

Bradley wpatrywał się jak urzeczony w głowę dyrektora. Żołądek usiłował podpełznąć mu do gardła. Zakręciło mu się nagle w głowie. Wiedział, że zaraz się zdradzi, a to było by absolutnie fatalne w skutkach.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej paczkę papierosów, a z nią kilka drobnych monet, które niby przypadkiem upuścił na piankowy dywan.

- Ojej - zafrasował się i przykucnął szybko, żeby pozbierać pieniądze. Opuszczenie głowy to podstawowa zasada pierwszej pomocy w nagłych wypadkach szoku lub omdlenia i Bradley właśnie ją stosował. Zamroczenie zaczynało ustępować i powracało krążenie. Wiedział, że za chwilę będzie musiał wstać i spojrzeć na dyrektora, a był zdecydowany za panować do tego czasu nad swymi odczuciami. Ale w jaki, u diabła, sposób głowa dyrektora wróciła na swoje miejsce - po tym, co się wydarzyło ostatniej nocy?

I wtedy wróciła mu zdolność logicznego rozumowania. Przypomnił sobie, że niemożliwością było, aby dyrektor rozpoznał go zeszłej nocy pod fałszywą twarzą z gumo pla styku, którą włożył specjalnie na tę okazję. Z drugiej strony, po wydarzeniach ostatniej nocy dyrektor New Product, Inc, powinien być niezdolny do życia ani oddychania, nie mówiąc już o korzystaniu ze swych centrów pamięci. Bradley zostawił tułów tego człowieka w jednym kącie po koju, a głowę w drugim.

Człowieka?

Ogromnym zrywem woli zapanował nad sobą. Podniósł ostatnią monetę i wstał zarumieniony. - Przepraszam - wybąkał. - Przyszedłem do pana nie w charakterze rogu obfitości, tylko z raportem w sprawie prac nad mutacją indukowaną. - Jego zafascynowany wzrok przesunął się na szyję dyrektora i szybko umknął w bok. Stojący kołnierz skrywał ewentualne... ewentualne ślady. Wszelkie ślady, jakie mógł aby pozostawić ostra jak brzytwa stal przecinająca ciało i kość...

Czy istniał jakiś szczególny powód noszenia tego sterczącego kołnierza? Bradley nie miał pewności. Jesień 2060 roku przyniosła poważne zmiany w męskiej modzie w po równaniu z niewygodnymi stylami ubierania się obowiązującymi jeszcze kilka lat wcześniej i noszona przez dyrektora rozszerzająca się ku dołowi pół pelerynką ze złożonym szamerunkiem i ciasno dopasowanym kołnierzem wcale nie na leżała do strojów ekstrawaganckich. Bradley sam miał taką.

Boże, pomyślał sparaliżowany paniką, czy tych... tych stworów nie można nawet zabić? Dyrektor Arthur Court popatrzył z łagodnym uśmiechem na swojego zastępcę do spraw organizacji. - Kac? - spytał. - Niech pan idzie na naświetlanie. Ambulatorium jest wniebowzięte, ilekroć ma sposobność do wykorzystania swojej aparatury. Wydaje mi się, że nasz personel jest za zdrowy jak na ich gust.

On mówił !

Szalona myśl zawirowała pod czaszką Bradleja: sobowtór? Czy za biurkiem naprawdę siedział Court? Ale natychmiast zdał sobie sprawę, że to nie może być wyjaśnieniem. To był Court, ten sam Arthur Court, którego Bradley zabił kilka godzin temu. Jeśli można to mówić o zabijaniu, skoro praktycznie rzecz biorąc Court nie był istotą żywą... przynajmniej nie w tym sensie, co ludzie.

Wysiłkiem woli zawrócił swój umysł znad granicy bezpieczeństwa i przyjął pozę operatywnego zastępcy dyrektora firmy do spraw organizacyjnych. - Z kacem nie ma żartów - powiedział. - Mam tu najświeższe dane...

- Co z tym współczynnikiem zmienności. Z tego co wiem, pojawiło się coś, co utrudnia obliczenia.

- To prawda - przyznał Bradley. - Ale chodzi tu o zmienną teoretyczną. W praktyce nie ma ona najmniejsze go znaczenia, bo nie prowadzimy eksperymentów z wywoływaniem mutacji u ludzi. Wskaźnik sterylizacji w przypadku muszek owocowych czy... czy truskawek nie odbiega w istotny sposób od normy.

- Ale u ludzi odbiega, co? - Court przebiegł szybko wzrokiem dokumenty dostarczone mu przez Bradleya.

- Hmmmm. Moglibyśmy pójść tym tropem, ale to sporo by kosztowało i nie przyniosło żadnych bezpośrednich rezultatów nadających się do wykorzystania w praktyce. Decyzję pozostawiam panu.

- Ale potrafimy przewidywać z zadowalającą dokładnością reakcje u organizmów nie będących ludzkimi?

Bradley skinął głową. - Z dwuprocentowym współczynnikiem błędu. Wystarczy, by w drodze mutacji uzyskiwać ziemniaki długie na sześć metrów i smakujące jak rostbef, bez ryzyka, że zamiast tego wyjdą nam dziesięciomilimetrowe i o smaku cyjanku.

- Czy krzywa wariacji podnosi się w przypadku zwierząt?

- Nie. To dotyczy tylko ludzi. Potrafimy wyhodować kurczaki składające się z samego białego mięsa i mające kształt sześcianu, co ułatwia krojenie. I naprawdę potrafilibyśmy mutować również ludzi, gdyby nie było to prawnie zabronione... ale, jak już powiedziałem, wchodzi tu w grę pewien czynnik niepewności. Zbyt wielu ludzi, zamiast wydać zmutowane potomstwo, ulega w wyniku tego procesu sterylizacji.

- Hmm - mruknął Court i zadumał się. - No dobrze, dajmy więc sobie spokój z ludźmi. Nie widzę w tym żadnej korzyści. Poniechać tego kierunku badań. Skupić się na pozostałych. Jasne?

- Jasne - przytaknął skwapliwie Bradley. Spodziewał się, że będzie musiał dokładniej zreferować ten punkt sprawozdania, chociaż, po wypadkach ostatniej nocy, nie przed Courtem. Zdał sobie teraz sprawę, że wciąż trzyma w palcach nie zapalonego papierosa. Wsunął go w usta, podszedł do bocznych drzwi i otworzył je. Odwrócił się w progu.

- To wszystko?

Obserwował obracającą się szyję Courta, zdjęty szaloną obawą, że może z niej odpaść głowa. Ale nie odpadła.

- Tak, to na razie wszystko - powiedział uprzejmie Court.

Bradley wyszedł, starając się wyrzucić z pamięci obraz cienkiej czerwonej linii okalającej gardło Dyrektora, którą zobaczył przed chwilą, kiedy tamten odwrócił głowę.

A zatem tych stworów nie można zgładzić poprzez ścięcie. Ale można je zniszczyć. Można je rozpuścić w kwasie, rozbić młotem, rozmontować na części pierwsze, spalić...

Cały kłopot w tym, że nie wymyślono jeszcze niezawodnego sposobu ich rozpoznawania.

Pewną wskazówką była krzywa sterylizacji po niezbyt silnym napromieniowaniu, ale uciekając się do tej metody można też było, choć niekoniecznie przy tak słabych dawkach promieni gamma, wysterylizować prawdziwego człowieka. A i bez tego część ludzi była już bezpłodna. Bradley dysponował tylko ogólną metodą selekcji. Potem już, aby rozpoznawać te potwory, musiał zdawać się na psychologię. Wiedział, że można je zwykle znaleźć wśród wysoko postawionych i wpływowych osobistości, choć niekoniecznie zajmujących eksponowane stanowiska. Na przykład taki Arthur Court, który jako dyrektor New Products, Inc. wywierał ogromny wpływ na kulturę - bo cywilizacja kształtowana jest przez wkładane jej w ręce narzędzia techniczne.

Bradley wzdrygnął się.

Zeszłej nocy obciął Arthurowi Courtowi głowę.

Arthur Court był androidem.

- No i co ty na to? - zapytał Bradley sam siebie, znalazłszy się na korytarzu, za drzwiami gabinetu Courta. Spojrzał z czymś w rodzaju akademickiego zainteresowania na własną rękę,

która drżała tak, aż furkotały trzymane w niej papiery. Co on mógł na to poradzić? On czy jakikolwiek inny człowiek?

Nie można było z nimi walczyć jak równy z równym. Odznaczali się prawdopodobnie współczynnikiem inteligencji daleko wyższym od I.Q. ludzkości. Na polu czystego intelektu Bradley nie miałby z nimi żadnych szans. Superkomputery potrafiły rozwiązywać zawile problemy, z którymi nie poradziłby sobie żaden ograniczony umysł ludzki. Ostatniej nocy Bradley założył zniekształcającą rysy twarzy gumową maskę - ale jeśli zimny, metaliczny mózg Courta postawił sobie za zadanie rozwiązanie zagadki j ego tożsamości, to czy Court nie dojdzie wcześniej czy później do właściwej odpowiedzi?

A może już ją znalazł?

Bradley stłumił w sobie paniczny impuls pchający go do ucieczki. Za drzwiami, których dotykał jeszcze łokciem, panowała taka martwa cisza. Z tego co wiedział, dysponowali wzrokiem, który potrafił prześlizgnąć się pomiędzy wirującymi atomami drzwi i zobaczyć tutaj Bradleya, tak jakby stał za szkłem - przejrzeć go na wylot i zajrzeć do zwojów jego mózgu, a tam odczytać przybierające dopiero kształt myśli.

- To tylko androidy - przypomniał sobie z wielką stanowczością, odwracając się od drzwi i zmuszając nogi do podjęcia marszu korytarzem. - Gdyby były takie potężne, nie byłoby mnie tu teraz.

Mimo to zastanawiał się z gorączkowym pośpiechem, co też wydarzyło się ostatniej nocy po j ego wyjściu z mieszkania Courta. Starał się nie myśleć o tym, jak wyglądał Court leżący bez ruchu obok masywnej stalowej maczety zbroczonej tymi plamami, które wyglądały na zakrzepłą krew, a nie były ludzką krwią.

Sam się naprawił po wyjściu Bradleya? Właśnie słowa „naprawił” należało tu użyć - nie wyleczył. Leczyć można tylko ludzi. Prawdopodobnie zależało to od tego, gdzie usytuowany był mózg androida. Wcale nie powiedziane, że znajdował się w głowie. Głowa jest miejscem zbyt podatnym na wszelkiego rodzaju zagrożenia, by umieszczać w niej tak ważny zespół. Pod tyłoma względami można ulepszyć budowę człowieka. Może androidy to zrobiły. Może mózg Courta ukryty był bezpiecznie gdzieś w tajemniczych zakamarkach jego syntetycznego ciała i jego chłodne, cykające myśli przez cały czas kontynuowały swój zimny jak stal tok, kiedy Bradley stał tam w szoku niedowierzania, zapatrzonego w ciało swojej ofiary?

Kto tu był ofiarą, a kto zwycięzcą!

Po skróceniu o głowę ustały w robocie wszystkie procesy funkcjonalne. Bradley upewnił się co do tego. Nie oddychał, serce mu nie biło. Ale być może metaliczny mózg cykał cicho gdzieś w środku na swój chłodny sposób. Tak chłodny, pomyślał irracjonalnie Bradley, że całe syntetyczne ciepło syntetycznej krwi nie mogło go podgrzać choćby o ułamek stopnia w kierunku temperatury ciała ludzkiego.

Albo po wyjściu Bradleya tułów Courta wstał i przyspawał sobie z powrotem głowę, albo przyszli jacyś inni, żeby usunąć skutki - sabotażu. Czyżby każdy działający robot emitował coś w rodzaju stałej wiązki energii, której zanik sprowadzał w dane miejsce brygady remontowe? Jeśli tak było, to Bradley miał szczęście, że nie ociągał się zbytnio z opuszczeniem pokoju, w którym nie zostało popełnione żadne morderstwo, chociaż głowa Courta leżała tak daleko od jego nieruchomego tułowia...

Istnieje oczywiście możliwość, że doznałem pomieszania zmysłów, pomyślał ironicznie Bradley. Na pewno będzie miał trudności z przekonaniem kogokolwiek, że tak nie jest. A będzie musiał kogoś o tym przekonać. Nie mógł już dalej działać w pojedynkę. Posunął się już za daleko, żeby zatrzymać zgromadzoną wiedzę dla siebie. Zdradził się przez prowadzącą tę ogniową próbę, obcinając androidowi głowę. Wcześniej czy później dojdą tożsamości człowieka skrywającego twarz pod gumową maską. Zanim to się stanie, będzie musiał przekazać dalej informacje, w których był posiadaniem.

I tu podejmował drugie straszliwe ryzyko. Androidy, pojawszy go, nie okażą mu cienia litości. Ale czego może oczekiwać po ludzkości, kiedy opowie tę fantastyczną historię? Skończę w pokoju bez klamek, pomyślał, a one będą się dalej mnożyć, aż...  
Aż co? Aż zdobędą przewagę liczebną nad ludźmi i przejmą władzę? Może już to zrobiły. Może po popełnieniu tego nieskutecznego morderstwa puściły go wolno, bo był jedynym człowiekiem, jaki pozostał jeszcze w całym cywilizowanym świecie... Może w rzeczywistości był zupełnie nie szkodliwy. Może...  
- Oj , przymknij się - skarcił z rozdrażnieniem siebie samego.

- A więc przynajmniej nie podejrzewa pan, że i ja je stem... androidem? - spytał surowo doktor Wallinger.

Był trochę zdenerwowany, bo mijało właśnie dziesięć minut, jak siedział pod nieruchomą lufą pistoletu skierowaną w jego brzuch. Sytuacja, w której jakaś taj emnicza postać w gumo wej masce na twarzy i szamerowanej złotem pelerynce roz szerzającej się kloszowato i skrywającej większą część ciała właściciela siedziała tutaj, w jego bibliotece, zmuszając go do wysłuchiwania rojeń wariata, należała z pewnością do absurdalnych.

- Pan ma dzieci - powiedział Bradley głosem nieco zduszonym przez maskę. - Dlatego właśnie postawiłem na pana.

- Słuchaj pan - powiedział poważnie Wallinger - jestem fizykiem atomowym. Przypuszczam, że większej pomocy mógłby panu udzielić psycholog, nie...

- Chciał pan powiedzieć psychiatra?

- Wcale nie. Oczywiście, że nie. Ale...

- Ale i tak bierze mnie pan za wariata. W porządku. Byłem na to przygotowany.

Przypuszczam, że gdyby nie to, nie zaufałbym panu tak dalece.. To normalna reakcja. Ale... niech cię szlag, człowieku, zastanów się! Spójrz na to po ważnie. Czyż nie można sobie wyobrazić, że mogłoby dojść do czegoś takiego?

Wallinger, zerknąwszy ukradkiem na rewolwer, złączył czubki palców i zacisnął usta. - Hmmm, to prawdopodobne... Tak, właściwie to nie ma żadnego wyraźnego progu. Chociaż dawka 1/100 rentgena dziennie uważana jest za bezpieczną, o ile oboje z rodziców nie są poddawani bombardowaniu cząsteczkami gamma. Uwzględnił pan normalny czas regeneracji? Widzi pan, nawet w warunkach bombardowania zmutowane geny wykazują mniejszą tendencję do podziału i są stopniowo wypierane przez geny normalne.

- To dla mnie nic nowego - powiedział Bradley siląc się na spokój. - Mnie chodzi o to, że promieniowanie gamma, które wywołałoby mutację u ludzi, nie ma żadnego wpływu na roboty, bo są bezpłodne. Pół biedy, gdyby bezpłodne były tylko androidy, ale promieniowanie gamma sterilizuje również i ludzi. Pan ma dzieci. Pan jest normalny. Ale...

- Zaraz, zaraz - przerwał mu Wallinger. - Czy nie mogą istnieć androidy-dzieci? Skoro potrafią wytwarzać do rosnących, to nie mogłoby również montować syntetycznych dzieci?

- Nie. Przemyślałem to bardzo dokładnie. Dzieci za szybko rosną. Musieliby przekonstruowywać całe dziecko - androida co jakieś dwa tygodnie, zmieniać wszystkie jego wymiary wewnętrzne i zewnętrzne, wszystko w nim przera bić. Uważam, że wymagałoby to zbyt dużo czasu i wkładu pracy. Jeśli moje wyliczenia są prawidłowe; nie mogą sobie jeszcze na to pozwolić. Za mało ich jeszcze. A później, kiedy już podołają temu zadaniu, nie będzie

to konieczne. Rozumie pan? Kiedy wreszcie zdołają już podjąć ten wysiłek, nie będzie już takiej potrzeby. I tak będą w większości. Nie będą musiały nas zwodzić. One...

Bradley urwał. Głos wymykał mu się spod kontroli. Musi bezwzględnie zachowywać w tej sprawie spokój i opanowanie.

- Można na to spojrzeć pod jeszcze innym kątem - zaczął znowu. - Nie wydaje mi się, żeby dziecku-androidowi udało się oszukać inne dzieci. Te prawdziwe. One zbyt bezpośrednio postrzegają otoczenie. Mózg androida na strojony jest na syntetyczne myślenie kategoriami dorosłego człowieka. Odwaliły tu kawał dobrej roboty, ale i tak, znając prawdę, można je przyłapać na psychologicznych potknięciach w adaptacji. Po pierwsze, nie są ekshibicjonistami. Nigdy nie usiłują rozpychać się łokciami albo wywyższać ponad innych. Bo i po co? Są perfekcyjnie funkcjonalnymi i wydajnymi maszynami. Nie muszą szukać kompensacji. Są zbyt dobrze wyregulowane, by były naprawdę ludzkie.

- To dlaczego nie mogą ich nastawić na mentalność dziecka?

- Z tego samego powodu, dla którego nie potrafią stworzyć fizycznie rosnącego dziecka. Umysł dziecka za bardzo różni się od umysłu dorosłego i za szybko się zmienia. Rozwijają się. A zresztą, po co miałyby to robić? Nie muszą. Do tej pory udawało im się nas oszukiwać, a nawet jeśli jeden człowiek zna prawdę, to co może w tej sprawie uczynić? Nie wysłuchacie mnie. Nie...

- Przecież słucham - zaproponował łagodnie Wallinger. - Wyszła z tego nawet interesująca opowieść. Ciekaw jestem, skąd zaczerpnął pan pomysł.

Bradley ledwie się powstrzymał, żeby nie powiedzieć: - Zajmowałem się tym zawodowo. Miałem okazję skorelować mnóstwo materiałów i wszystko wskazywało na istnienie niewiadomego czynnika. - Ale nie powiedział tego. Wolał zachować anonimowość, dopóki nie będzie miał pewności, co do swego bezpieczeństwa w momencie dekonspiracji. Taka wskazówka mogłaby zbyt szybko doprowadzić na jego trop.

- Ja... ja to wywnioskowałem - powiedział. - Mam przyjaciół pracujących w rozmaitych instytucjach, którzy wciąż napomykali o małych nieprawidłowościach, jakie zauważali. Zainteresowałem się tym. Wszystko zaczynało się zgadzać. Zdarzały się wypadki, w których pacjenci powinni byli umrzeć, czasami nawet umierali, a potem wracali do życia. Tak, zawsze tuszowali to formułką o zastrzykach z adrenaliny i tak dalej, ale zbyt często to się zdarzało. I niezmiennie dotyczyło ludzi na wpływowych stanowiskach. Nie wiem, jak to w praktyce przeprowadzają - być może prawdziwa osoba umiera, a jej miejsce zajmują androidy. Dysponują siłami żywotnymi właściwymi maszynom, ale i maszyny mają swoje ograniczenia. Skaleczyć takiego i krwawi, ale...

Bradley urwał oceniając czujnym spojrzeniem wrażenie, jakie jego słowa wywierają na Wallingera.

- No dobrze - zdecydował się nagle. - Powiem panu, co się naprawdę stało. Proszę postarać się słuchać bez uprzedzeń, jeśli pan potrafi. Zaczęło to się przed sześcioma miesiącami. Byliśmy sami w... laboratorium z jednym z moich przyjaciół. - Tym przyjacielem był dyrektor Arthur Court. Wtedy właśnie Bradley zobaczył na własne oczy pierwszy dowód. Potrącił retortę, która stłukła się i przecięła mu do kości nadgarstek. Nie wiedział, że to zauważyłem. A zresztą, chociaż wszystko widziałem, przez długi czas próbowałem wyperswadować samemu sobie wiarę w to, czego byłem świadkiem. Na powierzchni jego nadgarstka znajdowała się warstwa ciała i ono krwawiło. Ale pod spodem były przewody i metal. Mówię panu, ja je widziałem! To nie była proteza ręki, to była prawdziwa ręka. W skład protezy nie wchodziłoby ciało i krew.

- Jak się zachował?

- Zupełnie się zdradził. Schował rękę do kieszeni i pod jakimś pretekstem wymknął się z sali. Nie chciał, żebym się zorientował, co się stało, bo wtedy trzeba by było wezwać lekarza, a przypuszczam, że żaden z nich ludzi nie był wtedy osiągalny. Nie mógł dopuścić do tego, by

człowiek wykonywał przy jego ranie choćby ruchy, jakich wymaga bandażowanie. Och, mają wiele słabych punktów. Ale teraz nad szedł czas, by uderzyć, dopóki jeszcze nie zniwelowali tych swoich słabości. Teraz... - Bradley znowu urwał, narzucając kontrolę swemu głosowi.

- Co pan zatem proponuje? - spytał Wallinger uprzejmym głosem. Nie można było odgadnąć, czy Bradleyowi udało się przekonać tego człowieka, a nawet czy przynajmniej są jakieś tego początki.

- Nie wiem. - Ramiona Bradleya opadły pod kloszową pelerynką. - To dlatego zwracam się do pana. Myślałem... no dobrze, niech pan posłucha. Istnieje pewna możliwość. Potrzebuję niezawodnego sposobu lokalizowania ich. Podejście psychologiczne zdaje do pewnego punktu egzamin, ale jest zbyt powolne. Muszę znać tyle faktów z życia obiektu i jego nawyków. Jeśli do tego trzeba bardzo dokładnie określić czynniki logiki i wydolności mechanicznej, niezbędna jest podwójna kontrola. Ale...

- Ale wystarczy tu się oprzeć o sam czynnik wydolności mechanicznej - podpowiedział niespodziewanie Wallinger. - Wziął pan to pod uwagę? Czynniki te mogłby... - Urwał i uśmiechnął się z pewnym zakłopotaniem. - Niech pan mówi dalej - powiedział.

Twarz Bradleya sfałdowała się pod gumową maską w szeroki, tryumfalny uśmiech. Pierwsze lody ruszyły. Udało mu się zaprezentować fizykowi hipotetyczny problem, który wyrzesał iskrę chwilowego zainteresowania. Obracali się na dal w królestwie teorii, ale Wallinger zareagował. Samo to było już sukcesem. Podjął z rosnącym entuzjazmem:

- I o to właśnie chodzi. Maszyna musi być zasilana. Musi gdzieś istnieć jakieś źródło energii. Może noszą je w sobie, a może odbierają energię emitowaną przez jakieś zdalne źródło zasilania. Ale chyba można je wykryć. Coś w rodzaju rejestratora tyratronowego ukrytego w uczęszczanych przez nie miejscach albo licznik Geigera, albo...

- Sądzi pan, że można ich wykrywać na podstawie promieniowania jonizującego?

- Och, sam nie wiem, co ja sądzę. Źródłem zasilania dla tych stworów może być, na przykład, synteza jądrowa. Możliwe że nim być cokolwiek. Dlatego właśnie potrzebna mi pomoc kogoś takiego, jak pan. Kogoś, kto byłby w stanie wysuwać hipotezy bardziej zbliżone do rzeczywistości od moich.

Wallinger oglądał w skupieniu czubki swoich palców. - Widzi pan, ja bym się tego nie podjął - powiedział. - O ile nie dysponowałbym o wiele większym zasobem informacji niż to, co usłyszałem od pana. Prosił mnie pan o wysłuchanie go bez uprzedzeń. Teraz niech pan posłucha mnie. Gdybyśmy zamienili się miejscami, to czy nie zażądałby pan bardziej przekonującego dowodu niż zapewnienia jakiegoś nieznanego? Opracowanie teoretycznego urządzenia do wykrywania tych pańskich teoretycznych androidów wymagałoby mnóstwa czasu i doświadczeń, zwłaszcza że pan nie potrafi jeszcze nawet w przybliżeniu określić zasady ich funkcjonowania. Czy zastanawiał się pan nad podejściem do tego od bardziej praktycznej strony - na przykład nad zastosowaniem promieni rentgenowskich? Organizm ludzi to strasznie skomplikowana konstrukcja. Wątpię, czy dałoby się ją perfekcyjnie skopiować.

Bradley wzruszył ramionami pod kloszową peleryną. - Promienie rentgenowskie wykazują tylko miejsca jasne i ciemne. Te... te stwory mają wewnątrz tak zbudowane, że na kliszy rentgenowskiej wychodzą normalnie. Jedynym sposobem upewnienia się byłoby zastosowanie chirurgii - a jak to zrobić? One nigdy nie chorują. Gdyby pan widział to co ja... Urwał. Nie mógł powiedzieć: - Gdyby odciął pan głowę Arthurowi Courtowi i wiedział to co ja o przewodach i plastrych rurkach, o kręgosłupie, który nie jest z kości... - Ale gdyby przyznał, jak daleko się posunął, aby zdobyć ten niezłomny dowód, w odczuciu Wallingera zabrzmiałoby to jako dowód jego obłąkania.

- Są zbudowane częściowo z krwi i ciała, a częściowo z elementów mechanicznych - powiedział ostrożnie. - Być może te elementy mechaniczne są niezbędne do podtrzymywania

normalnego funkcjonowania żywych tkanek. Ale nig dy się o tym nie przekonamy nie stosując siły. Wszystkie są osobami dorosłymi na wysokich stanowiskach. Trzeba by było uzyskać ich zgodę na operację, a one jej, naturalnie, w żadnym przypadku nie wyrażą. Chyba że... - Urwał. Po myśl, który przemknął mu przez myśl, zamazał na chwilę twarz Wallingera. A może to mimo wszystko był sposób. Może. . .

- Niech mnie pan posłucha - Wallinger mówił bez zniecierpliwienia nie odrywając oczu od rewolweru. - Potrafię myśleć logicznie. Przedstawił mi pan tutaj interesującą koncepcję, ale nie jest pan jeszcze w stanie niczego dowieść. Dlaczego nie wróci pan do swoich zajęć, jakiegokolwiek one są, i nie zbierze więcej danych? I kiedy pan...

- Boję się wracać - powiedział ciekawym głosem Bradley.

Pukanie do zamkniętych drzwi nie pozwoliło Wallingero wi odpowiedzieć. Zanim zdążył się odwrócić, drzwi uchyliły się leciutko i przez szparę wskoczył do pokoju na wpół wyrośnięty kot, a tuż za nim mała dziewczynka i o wiele od niej mniejszy chłopczyk. Kot przemknął galopkiem po dywanie na sztywnych łapach i z wysoko uniesionym ogonem, co w kocim pojęciu wyraża dobry humor. Dziewczynka za trzymała się na widok Bradleya, ale chłopczyk był zbyt zaafektowany zabawą ze zwierzątkiem, żeby cokolwiek zauważyć.

- Dzieci, wracać mi na górę! Ale już! - powiedział Wallinger głosem nie brzmiącym wcale jak jego własny. Twarz mu nagle poszarzała. Nawet nie spojrzął na Bradleya.

Kot przewrócił się ciężko na grzbiet i bijąc ogonem o podłogę boksował łapami opędzając się od chłopca, ale nie wysuwając pazurków. Ciszę, jaka nagle zaległa w pokoju, przerwało jego niewprawne, jakieś nienaturalne mruczenie.

- Jerry - powiedział Wallinger - zabierz kotka i wrać na górę. Słyszysz, co do ciebie mówię? Sue, wiesz przecież, że nie wolno wam wchodzić do mojego gabinetu bez pukania. Idźcie na górę.

- Pukaliśmy - powiedziała dziewczynka nie spuszczając wzroku z Bradleya, który ukrył rewolwer w fałdach peleryny. Usiłował przeanalizować myśl, która mu zaświtała, kiedy tylko ujrzał dzieci. Było to coś, co mógł wykorzystać, ale rozwinięcie tego pomysłu zajmie trochę czasu.

Wstając dostrzegł, że Wallinger wzdryga się nerwowo. Ten człowiek siedział jak na szpilkach. Bradley zrozumiał nagle dlaczego.

Dziewczynka obserwowała nieznajomego okrągłymi, pełnymi zainteresowania oczyma. Chłopiec i kot zauważyli go jednocześnie i zawstydzili się obaj. Kot pozbierał się na cztery łapy i przygotował do sprzedania drogo swego życia, a chłopiec rozejrzał się za czymś, za czym można by się było schować. Dziewczynka wykazywała jednak nieomylną ochotę popisania się. Bradley oceniał ją na jakieś siedem lat. Przesunął wzrokiem po twarzach rodziny Wallingera i uśmiechnął się.

- Nic się nie stało - powiedział. - Nie będę panu dłużej zabierał czasu, doktorze. Skontaktuję się z panem.

- Bardzo proszę - powiedział Wallinger trochę za serdecznie. Zainteresowany był teraz tylko jak najszybszym uwolnieniem dzieci od niebezpiecznego towarzystwa swego gościa.

Odprowadził Bradleya na korytarz wpychając następnym razem mu na pięty dzieci z powrotem do gabinetu i zamykając drzwi.

- Ja... - zaczął się trochę jękać.

- Nieważne - powiedział Bradley. - Za kogo pan mnie bierze? Miłe dzieciaki.  
Wallinger westchnął. - Gdzie mogę się z panem spotkać?  
- Nie może pan. Sam przyniosę panu dowód tego, o czym panu opowiedziałem. Te stwory są pod skórą na wpół maszynami i znajdę jakiś sposób, aby pana o tym przekonać.  
Przypuszczam, że zaraz po moim wyjściu zatelefonuje pan na policję. Nic na to nie poradzę.  
- Nie, nie, oczywiście że tego nie zrobię - zrelaksował się Wallinger.  
- W porządku. Ale jeszcze jedno. Powiedziałem, że będę się wracał. To prawda. Popiełem... no, pewne czyny, które mogą mnie zdradzić. Musiałem to zrobić, żeby nabrać pewności... Teraz na dwoje babka wróżyła, czy to oni, czy ja znajdziemy pierwszy dowód. Doktorze Wallinger, zamierzam spisać nazwiska i fakty związane z tą sprawą - rzeczy, których nie śmiem panu teraz powiedzieć. Jeśli otrzyma pan te informacje, będzie pan wiedział, że androidy znalazły swój dowód pierwszy. I to, samo w sobie, powinno stanowić dla pana dowód, że to wszystko prawda. Jeśli do tego dojdzie, mnie już nie będzie. Wtedy wszystko będzie zależało od pana.  
- Proszę się o to nie martwić - uspokoił go Wallinger. - Jestem pewien...  
- Dobrze już, dobrze - nie dał mu skończyć Bradley. - Poczekamy, zobaczymy. Do widzenia, doktorze. Odezwę się do pana.  
Idąc już ulicą obejrzał się przez ramię na dom. Nikt z niego nie wyszedł. Skręcił za róg, wszedł do samoobsługowego sklepu i przepchnął się przez zatłoczone przejścia między półkami do budki telefonicznej usytuowanej obok okna wystawowego. Widział przez szybę odległy narożnik domu Wallingera i okno biblioteki, w której stało jego biurko. Przy biurku siedział pomniejszony odległością człowiek i telefonował gestykulując z ożywieniem.  
Bradley westchnął. Wallinger nie znał przynajmniej jego twarzy ani nazwiska. Mógł jedynie powtórzyć policji zasłyszany opowieść, zbyt zwariowaną, by ktokolwiek w nią uwierzył.  
Bradley będzie musiał znowu kroczyć ścieżką nad przepaścią, balansując niczym linoskoczek. Obie strony były przeciwko niemu.  
Odetchnął głęboko, rozprostował ramiona i skierował swe kroki z powrotem do biura, w którym będzie go oczekiwał Arthur Court.

Przy biurku Courta stało ich dwóch. Widział tylko ich plecy. Bradley zatrzymał się nie zdecydowanie przy drzwiach. Coś było nie tak. Ostrzegł go instynkt - atmosfera tego pokoju, postawa tych dwóch przed nim, coś nieuchwytnego, co wciąż zdawało się alarmować krzykiem jego nerwy wy starczająco napięte, by odebrać to ostrzeżenie.  
Z tych dwóch przed biurkiem jeden nie był człowiekiem. Drugi znany był pod nazwiskiem Johnson i też mógł nie być człowiekiem. Trudno było powiedzieć.  
Dopiero przy drugiej próbie udało się Bradleyowi wydobyć normalny głos z zaschłego nagle gardła.

- Pan mnie wzywał?

Court odwrócił się z uśmiechem. Wysoki kołnierz skrywał linię, wzdłuż której zespawane zostały z powrotem głowa z tułowiem. Jego uśmiech był idealnie normalny, ale gdy szczeka androida poruszyła się i napięły się jej ludzkie mięśnie, Bradleyowi wydało się naraz, że słyszy ci chutkie, bezgłośnie tykanie nieskończenie drobnych trybów kół.

- Proszę spojrzeć, Bradley - powiedział Court. - Wiadział pan to już kiedyś.

Bradley spojrział. Krew odpłynęła mu na chwilę z głowy i pokój poszarzał pod wpływem raptownego zamroczenia. Ale tym razem nie ważył się niczego upuścić ani nawet za grać na zwłokę, dopóki nie dojdzie z powrotem do siebie. Obaj go obserwowali. Dokonał strasznego wysiłku i ode pchnął szarość, opanował drżenie głosu, uspokoił dygotające dłonie.

- Czy co widziałem? - spytał idealnie normalnym głosem. Ale dobrze wiedział, o co im chodziło.

Court podniósł w górę ostrą jak brzytwa maczetę, którą przed czterdziestu ośmiu godzinami odrąbała mu głowę od szyi. To była bez wątpienia ta sama broń, którą Bradley kupił dwa dni temu w sklepiku ze starzyzną i użył przeciwko dyrektorowi. Poznał ją po rzeźbionej rękojeści, po szczybie na klindze, gdzie w naostrzoną stalową krawędź wgryzł się jakiś nieludzko wytrzymały metal z szyi Arthura Courta. Bradley widział ją ostatnio, jak leżała obok bezgłowego tułowia androida, czerwona od fałszywej, androidzkiej krwi.

- Widział pan to już? - ponowił pytanie Court.

- No... nie sądzę - usłyszał Bradley swoją odpowiedź wypowiedzianą tonem zawierającym akurat tyle co trzeba dla dunku bezosobowego zainteresowania. - W każdym razie nie pamiętam. A co?

Popatrzyli na niego znacząco. I to jedno spojrzenie, iden tyczne w na obu twarzach, dało mu nagle pewność, że żaden z nich nie jest człowiekiem. W tym spojrzeniu było coś specyficznego. Po chwili uświadomił sobie, że było to takie samo spojrzenie, jakie widział w ślepiach kotka Wallingera - jakieś odległe, dzikie, spekulatywne, nie wrogie, ale czujne. Jeden gatunek patrzący na inny gatunek, oceniający potencjalne zagrożenie. Kotek widział go pod zupełnie innym kątem, patrząc z dołu, w ostrej perspektywie i prawdopodobnie nie w kolorach, ale w odcieniach szarości. Nadz wyczajna wydała mu się nagle myśl, jak obco może wyglądać dla małego, dzikiego, czujnego stworzenia. Gdyby mógł zobaczyć siebie takiego, jakim ono go widziało, mógłby wcale siebie nie rozpoznać w tej budzącej niepokój postaci. I dotarło do niego teraz, że dla androidów musi wyglądać równie dziwnie i obco. W jakich barwach wykraczających poza widmo go widziały? I jakże delikatną, podatną na uszkodzenia konstrukcją z ciała i kości musiał się wydawać tym stworem ze stali i tworzyw sztucznych. Kazali mu długo czekać, zanim któryś odezwał się lub po ruszył. Potem ten zimnosoczewkowy wzrok spełził z jego twarzy. Ruchy obu androidów były tak zsynchronizowane, jakby szły w jednym zaprzęgu. To błąd, pomyślał Bradley - nie powinni dopuszczać do tego, żebym zdał sobie sprawę, jak mechanicznie reagują. I druga myśl, następująca tuż za pierwszą, ostrzegła go, że być może już im nie za leży. Wiedzą, co wie. Nie mają już nic do ukrycia...

Court odwrócił się ostentacyjnie i zapisał coś w biurowym notatniku.

- W porządku, Bradley, dzięki. Och... chwileczkę. Niech pan będzie w swoim gabinecie za pół godziny, do brzo? Chcę jeszcze z panem porozmawiać.

Bradley skinął głową. Wolał się nie odzywać, nie będąc pewnym, jak zabrzmiał jego głos.

Wypełniło go nagle głębokie, gorzkie upokorzenie, że musi wypełniać polecenia tego... tej maszyny.

To zaprzeczenie wszystkiego, co normalne, skoro czło wiek zwraca się per „pan” do przedmiotu skleconego z trybi ków i drutów.

Spuścił wzrok na swe dłonie, które leżały przed nim splecione kurczowo na blacie biurka. Upłynęło dziesięć minut. Będzie musiał zacząć działać, zanim upłynie następnych dwa dziesięcia. Wiedzieli. Nie przypadkowo wezwali go, żeby zbaczył wyszczerbione stalowe ostrze. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak wpadli na jego trop, ale ich zimne, wydajne mózgi rozpracowywały logiczne teorie, jakich się nawet nie domyślał. Najwyraźniej przechytrzyli go bez trudu. Pomimo wszystkich środków ostrożności, jakie podjął, pieczołowite go zacierania wszelkich śladów, które mogły doprowadzić do wykrycia jego tożsamości, wiedzieli. A jeśli nawet nie wiedzieli, to zachowywali się zbyt podejrzanie, by to lekce ważyć. Za pięć, najdalej za dziesięć minut będzie się musiał na coś zdecydować. Będzie musiał przejść do działania.

Nie potrafił. Jego myśli przepelniała gorycz przedwczesnej klęski. Jak mógł z nimi walczyć, skoro nawet jego własny rodzaj zbywał go jako obłąkanego? Wątpliwe, wmawiał sobie, czy cała ludzka rasa, nawet uświadamiając sobie w tej chwili niebezpieczeństwo i powstając do działania, potrafiła by ich teraz pokonać. Jak daleko są już zaawansowani w przygotowaniach? Ilu ich jest? Zbyt wielu, by poradził im jeden człowiek.

Pomyślał o całej długiej historii rasy ludzkiej rozwijającej się z mozołem przez niezliczone tysiąclecia nie spisywanych dziejów, przez pięć tysięcy lat powolnego wzrostu wiedzy i dojrzałości - aż do tej godziny. Do złożenia tego bezcennego dziedzictwa w żelazne androidzkie ręce przyobleczone syntetycznym ciałem. Co zrobią z tym darem? Dlaczego przejmują tę kulturę, której stworzenie zajęło rodzajowi ludzkiemu tyle pełnego wyrzeczeń czasu? Czy będzie cokolwiek dla nich znać, czy może odrzucą dorobek wszystkich tych tysiącleci i zbudują własną bezduszną cywilizację na fundamentach ignorujących wszystkie stracone wieki panowania człowieka?

Jak to się zaczęło? Zadał sobie pytanie. Dlaczego? Dla czego? I z ludzkiej logiki, którą posługiwał się jego mózg, zrodził się przeblysłk odpowiedzi. Rasa ludzka była zgubiona już wtedy, kiedy pierwszy człowiek zmontował pierwszego udanego androida.

Bo udany android oznaczał androida nieodróżnialnego od człowieka, androida potrafiącego tworzyć innych na swe podobieństwo, androida zdolnego do niezależnego poruszania się i rozumowania. A jaki cel zagościł w mózgu tego pierwszego z ich metalowego rodzaju? Czy jego ludzki stwórczytel zaszczerpił tam jakiś rozkaz, który doprowadził - za jego wiedzą lub bez niej - do tego, co nastąpiło. Czy był to rozkaz, który android mógł wykonać tylko poprzez tworzenie swoich kopii aż do zainfekowania całej rasy ludzkiej robotami komórkami androidów?

To było całkiem możliwe. Być może oryginalny twórca jeszcze żyje, może już umarł - ze starości, w wypadku, lub zamordowany rękami własnych frankensteinowskich twórców. I być może paradoksalnie, rasa androidów przebiega wciąż naprzód wzdłuż rozprzestrzeniających się coraz szerzej fal wznieconych tym pierwszym rozkazem, dążąc ku nieskończoności, ku ostatniemu miejscu po przecinku, ku jakiemuś hipotetycznemu celowi, którego nie pozna nigdy żaden człowiek...

Wykończą mnie, pomyślał niemal beznamiętnie Bradley. Jeśli jeszcze mnie nie podejrzewają, to wkrótce zaczną. I nie mogę zrobić nic, żeby temu zapobiec. Wallinger mi nie wierzy. Nikt nie daje mi wiary. A androidy będą podążały moim tropem, dopóki mnie nie dopadną, choćbym uciekł na koniec świata. A gdy już mnie wykończą, zabiorą się prawdopodobnie do takiego udoskonalenia swojego kamuflażu, że nawet ja, wiedząc to, co wiem, nie byłbym w stanie go zdemaskować. One to porafią. Potrafią przeanalizować każdy punkt, który wzbudził moje podejrzenia, i zatkać każdą lukę ludzkim zachowaniem. Są maszynami. To część ich problemu. Mogą go rozpracować, jeśli postawią przed sobą takie zadanie. Może już się nim zajmują. Tymczasem wykończą mnie, może...

Walnął z całej siły obiema pięściami w biurko. - Nie! - powiedział sobie zawzięcie i wstał. Pozostało jeszcze piętnaście minut.

Zabrzączał telefon stojący na biurku Arthura Courta. Android położył na aparacie metaliczną dłoń i maszyna przemówiła do maszyny. Ze słuchawki rozległ się cichy i wyraźny głos Bradleya.

- Halo. Mówi Bradley. Czy bardzo pan zajęty? Wyszło właśnie coś bardzo dziwnego i pomyślałem sobie, że pan powinien się pierwszy o tym dowiedzieć. Ja... nie bardzo wiem, co robić.

- A co się stało? O czym pan mówi?

- Wolalbym nie przez telefon.

- Gdzie pan jest?

- Po drugiej stronie ulicy. Zna pan bar „Zielone Drzwi”?

- Zdaje się, że kazałem panu czekać w gabinecie, Bradley.

- Kiedy usłyszysz pan, co mam panu do zakomunikowania... - Bradley zamilkł na chwilę, żeby przełknąć ogarniającą go zimną wściekłość na arogancję w głosie tej maszyny - ... zrozumie pan. Przyjdzie pan?

- Proszę się stamtąd nie ruszać. Będę za pięć minut.

Bradley siedział za kierownicą swego samochodu wyczuwając słabutkie dygotanie silnika pracującego na jałowym biegu. Utkwił oczy w drzwiach biurowca po drugiej stronie ulicy. Czekał zaciskając palce na plastikowej kierownicy, a miarowe tętno samochodu wydawało mu się echem gwałtownego łomotu w klatce piersiowej.

Przez obrotowe drzwi wyszedł Arthur Court. Spojrzał w górę, potem w dół ulicy. Skręcił w lewo i ruszył szybko, wydłużonym krokiem wzdłuż budynku, w kierunku wąskiej, bocznej uliczki, przy której znajdował się bar Zielone Drzwi. Bradley czekał śledząc Courta, obserwując ruch uliczny, wypatrując stosownego momentu.

Wszystko układało się z cudowną precyzją. W bocznej uliczce znajdowało się tylko troje przechodniów i wszyscy oddalali się w głąb niej. Wzdłuż wąskich chodników par kowalów wielkie ciężarówki przesłaniając cały widok, chyba że ktoś patrzył dokładnie na wprost. Wyglądało to tak, jakby Arthur Court przemykał przez szereg oddzielnych po kołków między ciężarówkami - a w ostatnim takim punkcie miał spotkanie z Bradleyem, o którym jeszcze nie wie dział...

Wóz, pomrukując jak tygrys pod dłońmi Bradleya, wtaczał się z wolna w cichą uliczkę, w którą przed chwilą skręcił Court. Trzeba to przeprowadzić z wyczuciem, powtarzał sobie w napięciu Bradley. Nie za mocno, nie za słabo. Nie wcześniej, niż Court znajdzie się na rogu, skąd nie będzie już dla niego ucieczki, gdzie nie pomoże mu nawet błyskawiczny refleks, impulsy sterujące z szybkością elektronów ruchami ciała będącego dosłownie konstrukcją ze stalowego drutu i sprężyn. Nie wcześniej, niż znajdzie się w pułapce bez wyjścia.

Samochód jakby przysiadł na zadzie i jak wystrzelony z procy wyrwał do przodu. Słyszając ryk silnika burzącego spokój uliczny, Court odwrócił się gwałtownie. W tej chwili zaskoczenia, kiedy jego zimnosoczewkowe oczy napotkały wzrok Bradleya, twarz miał jak maszyna. Bradley stał się integralną częścią samochodu, tych dwoje stopiło się w jedno i wóz przeistoczył się w broń posłuszną jego rękóm, tak jak posłusznym było stalowe ostrze, które odrąbało głowę Courta od szyi. Ale tym razem nie będzie żadnego błędu. Przygarbiony za kierownicą, naprowadzając samochód na cel niczym rewolwer, miał już Courta między jednym błotnikiem, a drugim, z nakrętką wlewu chłodnicy wymierzoną do kładnie w jego brzuch, ze ślepą ścianą ciężarówki za plecami. Człowiek i stworzona przez człowieka maszyna stanowili wspólnie niszczycielską broń, która wpadła z całym impetem na inną maszynę stworzoną przez człowieka przygniatając ją do ściany ze stali... Bradley widział, jak twarz Courta gaśnie za nakrętką chłodnicy. Widział, jak mechaniczne ciało osuwa się wolno i niknie mu z oczu. Odczekał chwilę, gotów naprzec jeszcze samochodem, jeśli trzeba będzie...

- Wszystko w porządku - powiedział Bradley uspokajająco. Court poruszył się na siedzeniu obok i coś wybełkotał. - Nie, wszystko w porządku, Court. Uspokój się. Miałaś mały wypadek, ale nie obawiaj się, nie wiozę cię do lekarza...

- Nie... - wymamrotał Court niemal wyraźnie. Bradley westchnął i zjechał do krawężnika. Miał nadzieję, że nie będzie zmuszony robić zastrzyku, ale na wszelki wypadek strzykawkę miał przygotowaną.

Działał oczywiście po omacku. Nie mógł być pewien, czy mechanizmy androida zareagują na narkotyk przeznaczony do wprowadzania w ludzki krwioobieg. Ale istniały szanse, że zareagują, przynajmniej czasowo. Android był tworzony z myślą o jak najwierniejszym podobieństwie do człowieka. Jego odruchy wzorowane były na ludzkich. Skaleczony, krwawił. Odciąć mu głowę i zamierać oddech, ustawało krą żenie. A więc dobrze, podać mu narkotyk i na jakiś czas zaśnie...

Court zasnął.

Tylko stwór wykonany z metalu powleczonego ciałem po trafiłby tak kuśtykać na podobieństwo marszu, na wpół niesiony, na wpół świadomy, z potężną dawką środka uspokajającego w syntetycznych żyłach. Bradley wprowadził go po schodkach do domu Wallingera. Tym razem nie miał na twarzy maski. Stawiał wszystko na jedną kartę. Jeśli dozna teraz porażki, dalsze ukrywanie tożsamości i tak nie będzie miało sensu.

Drzwi otworzyła mała dziewczynka.

- Tatusz jest u sąsiadów - oznajmiła zerkając ciekawie i bez obawy na zamroczonego, ślaniającego się na nogach Courta. - Za chwilę wróci. Można panowie wejść? - Wy stosowała to zaproszenie z całą powagą osó bki świeżo wpro wadzonej w arkana towarzyskich

konwenansów, ale widać było, że nie gościnność, ale ciekawość podyktowała jej te słowa. Widać też było, że jest tak nie obyta z niebezpieczeństwem, iż sytuacja ta nie wzbudza w niej najmniejszych obaw.

Bradley poprowadził swoje brzemie korytarzem do biblioteki. Na sofie pod ścianą drzemał w swobodnej pozycji kot. Bradley opuścił nieprzytomnego androida na poduszki delikatnie strącając kota na podłogę. Złożoność umysłu jest tak wielka, że nawet w tym d&127;cydującym momencie pomyślał, iż w świecie maszyn kot i poduszka byłyby prawdopodobnie nierozróżnialne jedno od drugiego. Tylko człowiek, i to człowiek dojrzały, jest niezdolny do szorstkiego obejścia się z jakimkolwiek małym żyjącym stworzeniem. Kot ziewnął, obudził się i stwierdziwszy, że znajduje się na podłodze w obecności dwóch obcych, wyrwał jak błyskawica w stronę drzwi. Jego nadśluchujące uszy wyłoniły się teraz ponownie zza narożnika.

Nad nimi pokazała się po chwili onieśmiewiona, ale zaciekawiona twarzyczka najmniejszego Wallingera. Bradley nie bez trudności przypomniał sobie jego imię.

- Cześć, Jerry - zawołał układając Courta na sofie. - Ojciec już wrócił?

Dziecko milczało, ale w chwilę później, wystarczająco krótką, by odpowiedzieć na to pytanie, do pokoju weszła dziewczynka. Popychała przed sobą zapierającego się bra ciszka.

- Zatelefonowałam po tatę - oznajmiła nie pytana. - Zaraz tu będzie. Co się stało temu... panu?

- Miał... mały wypadek. Nic mu nie będzie.

Przyglądała się Courtowi z nieskrywanym zaaferowaniem. Court otrząsał się powoli z otumanienia. Niespokojnie to czył głową po poduszce bełkocząc coś chrapliwie. Chłopiec, dziewczynka i kotek przyglądali się mu od progu, a ich pozabawione wyrazu oczy sprawiały niemal przerażające wrażenie. Oczywistym było, że dla żadnego z tej trójki współczucie nie jeszcze nie znaczyło. W oczach wszystkich trojga malowała się tylko chłodna ciekawość młodych zwierząt.

A niby dlaczego mieliby się identyfikować z androidem? Bradley poczuł, jak to pytanie wskakuje na swoje miejsce w jego umyśle i jak oświetla je przeblask wspomnienia. Dzieci. Dzieci, które postrzegają zbyt wyraźnie, by rasa androidów zdołała je oszukać. Dzieci bez perspektywy spojrzenia, a więc i bez przyjmowanych z góry uprzedzeń, które czynią dorosłych ślepych na tę przerażającą inwazję na świat ludzi.

Dzieci powinny znać prawdę.

- Sue - nazywasz się Sue, tak? Posłuchaj. Chcę, żebyś powiedziała mi coś bardzo ważnego. Interesuje mnie... twoja opinia. - Bradley szperał rozpaczliwie w swych wspomnieniach o mentalności siedmiolatka. Egocentryczni, roztrzepani, łasi na nagrody, zainteresowani tylko swoimi własnymi zabawami, z wyjątkiem może tych najkrótszych wypadków w świat zewnętrzny. Gdyby tylko potrafił schlebić jej na tyle, by podtrzymać jej zainteresowanie...

- Sue, to jest coś, co tylko ty mi możesz powiedzieć. Chciałbym się przekonać, jak dużo wiesz o... o... - Znowu urwał.

- No nic, w każdym razie posłuchaj. Wiesz, że istnieją... - Jak miał to sformułować? Jak miał ją zapytać, czy wśród dorosłych, których znała, zauważyła androidy? Czy w ogóle już jakiegoś widziała? Od jej odpowiedzi wiele by wtedy zależało, bo jeśli znała prawdę, to musiałoby ich być o wiele więcej, niż Bradley podejrzewał. Gdyby wiedziało o nich nawet rozpieszczane dziecko...

- Sue, wiesz coś o ludziach takich jak... on? - wskazał na majaczącego androida. - Czy wiesz, że na świecie żyją... dwa rodzaje ludzi? - Czekając na odpowiedź, wstrzymał oddech.

W jej oczach pojawiła się czujność. Nigdy nie można być pewnym, kiedy dorosły stroi sobie z siebie żarty, mówiło jej spojrzenie.

- Nie, mówię całkiem poważnie. Nie przypuszczam... Ja po prostu chcę się dowiedzieć, czy ty wiesz. Nie wszystkie dzieci dostrzegają różnicę i ja...

- Oj, wszystkie dzieci to wiedzą. - W jej głosie pobrzmiwało lekceważenie.

- Co wiedzą?

- No o nich.

Bradley wziął gęboki oddech. Wiedzą o nich wszystkie dzieci.. .

- A twój ojciec wie? - Własny głos wydał mu się jakiś piskliwy.

Rzuciła mu jeszcze jedno z tych czujnych spojrzeń, które badały, czy nie kpi sobie z niej. Najwyraźniej upewniona, zachichotała.

- No, chyba tak. Czy nie wiedzą tego wszyscy?

Pokój zafalował lekko przed oczyma Bradleya. Jest ich tak wielu, o tylu więcej, niż to sobie wyobrażał...

- Ale ten drugi rodzaj - usłyszał swój własny, niemal błagalny głos. - Ten drugi rodzaj ludzi! Ilu...

Z korytarza dobiegły głosy. Wallingera i jeszcze czyjś, niski i silny.

- Tutaj, panie oficerze - mówił Wallinger. - Właśnie tutaj! Szybciej!

- Ilu ich jest na świecie? - dokończyła za Bradleya Sue. I roześmiała się. - Uczyliśmy się o tym w szkole, ale za pomniałam. Ale mogę ci powiedzieć, ilu ludzi prawdziwego rodzaju jest w tym pokoju. Jeden! Jeden!

- Powiesz to swojemu ojcu? - wyrzucił z siebie Bradley w gorączkowym pośpiechu. -

Powiesz mu, że jest tutaj tyl ko jeden człowiek prawdziwego rodzaju, kiedy wejdzie? Powiesz, Sue...

- Susan, cofnij się! - W drzwiach stał Wallinger. To spojrzenie szarych oczu, którym omiatał dzieci w poszuki waniu widocznych oznak wyrządzonej im krzywdy, postarza ło jego twarz. Zza jego pleców wychylał się umundurowany, gotowy na wszystko mężczyzna o czerwonej twarzy, zagłąda jąc do pokoju z ponurą czujnością.

Na chwilę zaległa cisza.

Potem Court leżący na sofie jęknął cicho i zaczął z wysił kiem siadać. Wallinger przebiegł przez pokój, żeby mu pomóc.

- Co mu zrobiłeś? - krzyknął do Bradleya. - Ty stuk nięty durniu, jak daleko się posunąłeś?

- Nic mu nie jest - wyjąkał Bradley. - On jest... im nie można nic zrobić!

Wallinger popatrzył na niego ponad głową Courta.

- A więc tak wyglądasz - powiedział. - Poznałem cię już oczywiście, nawet bez maski, ale twarzy, naturalnie... Powiesz nam, jak się nazywasz?

- Bradley - rzucił wyzywająco. - James Philips Bradley. - Czas anonimowości minął. Nie spodziewał się tu po licjanta - trudniej będzie składać wyjaśnienia w obecności tego wielkiego, sceptycznie nastawionego chłopiska - ale jeśli Sue powtórzy to, co mu przed chwilą powiedziała, może jednak zdoła ich przekonać. -

- Spytaj o nich swoją córkę - powiedział nagłaco. - Ona wie. Mówię ci, Wallinger, ona wie! Pamiętasz, co ci mówi łem o dzieciach? Powiedziałem, że nie mają nawet co marzyć o oszukaniu dzieci. Sue mówi, że one wszystkie wiedzą...

- Lepiej będzie, jeśli od razu cię uprzedzę, Bradley. Sue ma wybujałą fantazję. Nie wiem, jakich bajeczek ci naopo wiadała, ale... panie oficerze, czy nie lepiej, żeby pan...

- Chwileczkę! - Wszystko szło nie tak, jak to sobie za planował. Rzucił na szalę wszelkie tony perswazji, jakie udało mu się zawrzeć w swoim głosie. - Obiecał pan, że mnie wysłucha, Wallinger. Nie pamięta pan, że mi to obie cał? Wiem, że miałem wtedy rewolwer, ale proszę - niech mi pan da minutę na powiedzenie tego, co wiem. Ten czło wiek jest jednym z nich. - Urwał, żeby przejechać języ kiem po zeschniętych wargach. Wallinger sprawiał wrażenie głuchego na wszelkie argumenty... - Nie jest ranny. Zapo wiedziałem panu, że przedstawię dowód, i oto on. Ten czło wiek. Musiałem go tu sprowadzić uciekając się do jedyne go możliwego sposobu. Mówię panu, że im nie można wyrzą dzić krzywdy! Pod tą skórą są tylko przewody i metal. Mogę tego dowieść! Ja...

Urwał, czując jak ręce policjanta opadają lekko na jego ramiona i przytrzymują go za nie. Twarz Wallingera wyraża ła współczucie i przestach. To nie miało sensu. Należało zrobić jakieś nacięcie na syntetycznej skórze Courta, zanim tu przyszli. Teraz, oczywiście, nie pozwolą mu na to. Był dla nich szaleńcem, furiatem gotowym porznąć niewinną ofiarę w imię dowiedzenia swoich rojeń.

- No, uspokój się, młody człowieku - zaburczał łagodnie policjant za jego plecami. - Zrobimy sobie mały spacer po świeżym powietrzu i...

- Nie! Zaczekajcie! - Głos Bradleya zabrzmiał dziko nawet dla niego samego. Zdławił protest zbierając siły do ostatniego, nadludzkiego wysiłku udowodnienia tego, czego dowiedzenia był już tak bliski.

Soczewkooki Court obserwował go spod zmarszczonych brwi. Gdzieś w tym zimnym, nieludzkim ciele tykał niewzruszenie zimny, nieludzki mózg nawet nie rozbawiony jego porażką, bo skąd maszyna mogła wiedzieć, jak należy się śmiać?

Maszyna - i to tak blisko, tak blisko! Dzielili ich niepełna dwa metry odległości i ułamek centymetra syntetycznej skóry okrywającej mechanizmy ciała androida.

- Zaczekajcie! - powtórzył i wykręcił się do Wallingera wkładając całą energię, jaka mu jeszcze pozostała, w przeżycie swego przeświadczenia poprzez barierę uprzedzenia, która zaślepiała dorosłych obecnych w tym pokoju. - Posłuchaj, Wallinger! Porozmawiasz ze swoją dziewczynką, kiedy odejdziesz? Dasz mi chociaż tę szansę udowodnienia moich racji? Ona wie! To wcale nie wyobraźnia! Wszystkie dzieci wiedzą. Sądzisz, że będziesz bezpieczny, kiedy Court się stąd wydostanie? Nie zaufają tobie. Nie mogą. Będą się obawiali, że pewnej nocy możesz się obudzić i uświadomić sobie prawdę. Pomyśl o swojej córce, Wallinger! Court słucha. On wie, że go rozpoznała. Czy możesz ryzykować jej życie, Wallinger? Ryzykuj swoje, jeśli chcesz, ale pomyśl o Sue!

Przez twarz Wallingera przemknął pierwszy błysk niepewności, jaki udało się zauważyć Bradleyowi. Uścisk dłoni po licjanta spoczywających na barkach Bradleya nieco zelżał. Bradley wzruszył niecierpliwie ramionami. Chwilowe zwał pienie na twarzy fizyka, a może desperackie przekonanie w głosie Bradleya musiały dać coś do myślenia funkcjonariuszowi. Bradley wykorzystał ten moment.

- Pomyśl o Sue! - ciągnął. - Court nie śmie niczego sam przedsięwziąć, ale nie wiesz, jak wielu jest innych. Nie wiesz tego! Nawet się nie domyślasz! Może tacy, jak Court, są wybrakowanymi egzemplarzami - egzemplarzami tak niedoskonałymi, że same się zdradzają. Podejrzewam, że wyprodukowali jeszcze innych, tak zbliżonych do człowieka, że nawet nie jesteś sobie w stanie tego wyobrazić. Właśnie ci są niebezpieczni, Wallinger! Jeśli jest chociaż jeden taki, będzie wiedział, że nie może czuć się bezpiecznie, dopóki ty żyjesz. Za dużo ci powiedziałem, żeby...

- W porządku, panie oficerze - powiedział Wallinger z lekkim westchnieniem. - Przepraszam pana, Bradley, ale sam pan wie, jak to jest.

Oczy Bradleya przesunęły się z powrotem na Courta. Android siedział bez ruchu na sofie - twór z trybików i drutów tak bezpieczny pod swoją fałszywą skórą, jakby to była kolczuga. Wszystkie ludzkie prawa chroniły ludzkie ciało. Czyniły je tak świętym, że teraz dostawało się w żelazne ręce wroga. Gdyby tylko ci ludzie pozwolili mu ciąć raz nożem tę miękką, oszukańczą powłokę, która wcale nie była ciałem...

Nagle Bradley wybuchnął śmiechem.

Nawet robot wzdrygnął się nieznacznie na ten dźwięk, a policjant wydał z siebie groźny pomruk, myśląc najwyraźniej, że to pierwsze oznaki maniackiego szału. Ale Bradley miał już swą odpowiedź. Wiedział przynajmniej, jak przekonać nawet takiego Wallingera.

- Ten wypadek samochodowy! - Samochód w jego rękach był jak maczuga. Wiedział - pamiętał. Można się przecież zorientować, czy cios ledwie musnął wroga, czy też dosięgnął celu. Do tej pory nie przyszło mu to do głowy. Zbyt wiele spraw go zaprzętało. Ale Court

przyparty maską samochodu do burty ciężarówki, nie mógł wyjść z tego bez szwanku. Upadł, tak jak upadłby człowiek, ale teraz siedział, na co nie zdobyłby się żaden człowiek, siedział prosto i oddychał bez trudu...

Bradley przypominał sobie bardzo wyraźnie wrażenie pękających żeber, zgrzyt giętego metalu, tam gdzie żadnego metalu być nie powinno. Żaden człowiek nie mógłby siedzieć po takim przygwożdżeniu do ściany samochodem, jak samochód Bradleya przygwoździł Arthura Courta.

Szarpnął się tak gwałtownie, że dłonie policjanta zsunęły się z jego barków. Jednym susem przemierzył pokój i zanim android domyślił się, o co mu chodzi, już zdzierał z niego marynarkę.

Funkcjonariusz stęknął i niezgrabnym skokiem znalazł się przy nim tak szybko, że Bradley miał do dyspozycji zaledwie pół sekundy, zanim masywne, odziane w granat ciało odrzu ciło go swym impetem od sofy. Bradley wykorzystał te pół sekundy do granic możliwości. Jego ręce zaciśnięte kurczo wo na marynarce i koszuli poleciały w bok pod ciężarem ciała policjanta unosząc ze sobą wyprute płaty materiału.

Krótką pelerynka Courta rozpostarła się szeroko pod wpływem gwałtownego, obronnego ruchu, jaki wykonał. Rozchyliły się pod nią marynarka i koszula i na jeden bez czasowy moment w pokoju zaległa cisza nie zakłócona na wet czymkolwiek oddechem. Bradleyowi wydawało się, że wraz z oddechem zamarło mu też serce, bo aż do tej chwili ostatecznej próby nie mógł mieć całkowitej pewności...

Ich oczom ukazała się śniada klatka piersiowa; pokryta gładką skórą androida. Ale odcisnął się na niej ślad ozdobnej kraty na chłodnicę samochodu, która wgniotła do wewnątrz androidzkie żebra. Bradley słyszał metaliczny zgrzyt, z którym ustępowały pod naporem ciężaru. Teraz widział skutki. Oglądał połyskliwy szkielet ze stali, tam gdzie klatka piersiowa żadnego człowieka nigdy nie zawierała metalu, a w głębi tego szkieletu płataninę przewodów i cienkich, przezroczystych rurek, którymi sączyła się czerwona ciecz...

Oglądał mózg androida.

Głęboko wewnątrz, za ściankami pogiętych stalowych żeber, widniał mały, jasny, pulsujący przedmiot. Biło od niego nieustające migotanie oświetlając niesamowicie od wewnątrz jamę klatki piersiowej robota w taki sposób, że błyszczące stalowe żebra odbijały jasne promienie tej ilumi nacji, i światło, przeniknąwszy przez krew tam, gdzie przebiegały przed nimi przezroczyste żyły, przybierało barwę rozj arzonego szkarłatu. W rozjaśnionych miejscach ciecz płynęła szybciej, a wraz z nią rurkami pędziły pęcherzyki powietrza. Ten przedmiot, ta wewnętrzna lampa płonąca w zgruchotanej osłonie klatki piersiowej androida, mógł być zarówno sercem, jak i mózgiem.

Bradley ani na chwilę nie stracił zdolności logicznego rozumowania. To co zrobił, było czystym odruchem. Niewia rygodny widok sparalizował na tę jedną decydującą sekundę policjanta, ale Bradleya pobudził do działania.

Rzucił się do przodu z wyciągniętymi przed siebie rękami i jednym sierpowym uderzeniem pięści wybił błyszczący przedmiot z gniazda.

Przez jedną nierealną chwilę widział swoją dłoń zanurzoną głęboko w pustej piersi maszyny, widział przesuwające się w miniaturze odbicie swego ciosu w wypolerowanych żebrach, widział swoje knykcie skapanie w słabiutkim, karminowym blasku tego wewnętrznego światełka przeświecającego przez przezroczyste żyły.

A potem światełko zgasło.

Rozległ się chrzęst przypominający kruszenie kryształu. Towarzyszył mu odgłos bardziej wyczuwalny nerwami niż słyszalny, wysokotonowe gwałtowne buczenie, które ścichło i ustało. I Arthur Court nie był już ani człowiekiem, ani androidem. Nie był nawet maszyną.

Człekokształtny stwór w ubraniu człowieka przechylił się w przód sztywno, jak kawał metalu, i zwalił bezwładnie na dywan: manekin, o którym nikt by teraz nie powiedział, że kiedykolwiek oddychał, żył, czy mówił...

Bradley podźwignął się roztrzęsiony na nogi. Policjant, wciąż rozciągnięty na podłodze, gapił się jak zahipnotyzowany wany nie przejawiając żadnych chęci do wstania. Jego twarz, przed chwilą jeszcze rumiana, była teraz popielata, a bezbarwne usta otwierały się i zamykały bezgłośnie usiłując na daremnie ubrać to nieprawdopodobieństwo w słowa. Bradley miał szaloną ochotę wybuchnąć śmiechem. Po takim wstrząsie, pomyślał, nawet prawdziwie ludzki organizm nie funkcjonowałby zbyt sprawnie.

Pierwszy otrząsnął się Wallinger. Bradley zerknął z ukosa na poszarzałą, porytą zmarszczkami i stężoną z przerażenia twarz fizyka. Ale tamten poruszał się dosyć sprawnie. Przy najmniej słuchały go kończyny. Obszedł Bradleya ledwie zaszczycając go spojrzeniem, ominął metalowego stwora leżącego na podłodze i pochylił się nad policjantem...

Podniósł energicznie zgiętą w łokciu rękę i zadał funkcjo nariuszowi silny, wprawny cios kantem dłoni. Mężczyzna padł nie wydawszy dźwięku.

Wallinger spojrzał ponad nim w oczy Bradleya.

Jesteś... po ich stronie? - Bradley dobył z siebie głos z wysiłkiem, zdziwiony, że mówi szeptem. Nie ważył się oderwać wzroku od oczu Wallingera, ale jego umysł przestał już funkcjonować i nie bardzo wiedział, dlaczego patrzy ani dlaczego ten rozsadzający mu pierś łomot nagłego przerażenia tak utrudnia oddychanie. - Pracujesz dla... nich?

Wallinger wyprostował się powoli pozwalając ciału w gra natowym mundurze osunąć się na podłogę. Spuścił wzrok z Bradleya i spojrzał poprzez pokój na drzwi prowadzące na korytarz. Bradley z wielkim wysiłkiem skierował wzrok w tę samą stronę.

Dzieci wciąż patrzyły. Bez obawy, zaciekawione, nie rozumiejące, co się dzieje, patrzyły tak, jak patrzyłyby na film w pobliskim kinie.

- Sue, Jerry, na górę! - Głos Wallingera był stanowczy, prawie normalny. - W tej chwili! I zamknijcie za sobą drzwi.

Trzask zamykanych drzwi zdawał się rozprasać nieco na pięcie, w jakim znajdował się ten człowiek, bo odetchnął lekko i przygarbił się. Spojrzał Bradleyowi w oczy, skrzywił się, chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

- Powiedz mi! - Głos Bradleya był silniejszy, pojawiło się w nim żądanie. - Po czyjej jesteś stronie?

Wallinger nie śpieszył się z odpowiedzią. Kiedy się wreszcie odezwał, nie była to odpowiedź wprost.

- Nie ma tego w dokumentach, Bradley - powiedział prawie nieśmiało - ale chyba powinien się pan o tym dowiedzieć - te dzieci nie są moje.

- Nie...

- Adoptowałem je.

- Ale... ale w takim przypadku... - Nie warto było kończyć tego protestu. Bradley wybrał tego człowieka na swego powiernika przede wszystkim dlatego, że miał pewność, iż ma do czynienia z wpływową osobą o niekwestionowanym człowieczeństwie - z ojcem innych ludzi. Nie z bezpłodną maszyną.

Wallinger wruszył nieznacznie ramionami. Spuścił wzrok na ciężko oddychającego człowieka leżącego u jego stóp.

- Musiałem to zrobić - mruknął. - Teraz będę musiał obmyślić jakiś sposób wmówienia mu, że to wszystko mu się śniło. Nie podoba mi się to, ale nie przychodzi mi do głowy nic innego, chyba że... - Zerknął na swoje biurko. - Chyba że to.

W górnej szufladzie znajdowała się butelka whisky. Poruszając się z ostentacyjnym pośpiechem otworzył ją, nalał dwie szczodre porcje do małych metalowych kubeczków wy

ciągniętych z tej samej szuflady, a potem z premedytacją przechylił butelkę do góry dnem nad piersią pojękującego policjanta.

Bradley sięgnął po kubek i przytrzymał go obiema dłońmi, żeby opanować drzenie. Mocny, piekący trunek poraził mu na chwilę przętyk, a potem spłynął w dół roznosząc po całym ciele przyjemne ciepło.

- Widzi pan, ta historia nie może wyjść poza te mury - powiedział Wallinger podnosząc do ust swój kubek.

- Ale ja nie... chcesz powiedzieć, że przez cały czas wiedziałeś? Wallinger, czym ty jesteś?

- Ta historia nie może wyjść poza te ściany - ciągnął spokojnie Wallinger, ignorując pytanie. - Oczywiście, że wiedziałem. Ale musimy to zachować dla siebie.

- Jesteś po ich czy po naszej stronie? - Bradley miał wrażenie, że chrapliwy głos ściera mu krtań. - Jesteś człowiekiem, czy... czy...

- Łudzisz się, że nie złączą działać, jeśli dowiedzą się, ile o nich wiemy? Musimy się jakoś pozbyć mechanizmu Courta, tak żeby nie byli go w stanie znaleźć. Przykro mi z powodu tego tutaj policjanta, ale będzie musiał ocknąć się z przekonaniem, że był pijany i że to, czego byliśmy świadkami, śniło mu się. Mówię ci, Bradley, nie wolno nam zdradzić się przed nimi, że wiemy!

Bradley upuścił na dywan opróżniony kubek. Postąpił sześć odmierzonych kroków i położył ciężko dłonie na ramionach Wallingera. Ciało sprawiało w dotyku wrażenie ciała; kość pod nim była mocna i twarda. To mogła być kość... albo stal. Z wyglądu trudno je rozpoznać. Ale na pewno można je odróżnić po sposobie zachowania się, po reakcjach, po sposobie myślenia. Po tym, co cenią przede wszystkim...

- Dzieci! - powiedział z naciskiem Bradley. - Żadna... maszyna... nie pomyślałaby w pierwszym rzędzie o dzieciach, tak jak ty to zrobiłeś. Mam rację, Wallinger? Chociaż nie są twoje, stawiasz je na pierwszym miejscu. Dlaczego powiedziałeś mi, że nie są twoje? Czy chciałeś przez to... co chciałeś przez to osiągnąć, Wallinger? Co na prawdę czujesz do tych dzieci?

Wallinger uśmiechnął się. Głos miał teraz łagodny i rozbawiony.

- Czyż to nie oczy androida? - sparafrazował z lekką ironią. - Czyż to nie ręce - nie zmysły nie uczucia androida? Czyż nie krwawimy, jeśli nas ukłuć?

Bradley zdjął ręce z jego ramion. Cofnął się o krok patrząc takim wzrokiem, jakby chciał przebić zbyt idealne złudzenie ciała i zobaczyć, czy pod tą dobroduszną uśmiechającą się twarzą znajdują się kości, czy stal.

- Wykonano jednego androida - powiedział Wallinger - stanowiącego idealną replikę człowieka. Wszystko, czego użyto do jego budowy zarówno od strony psychicznej jak i fizycznej, było tak zbliżone do sposobów ludzkiego myślenia, jak tylko pozwalał na to ich stan wiedzy. - Urwał, krzywiąc się.

- Tak - podjął - zbyt się zbliżyli do ideału. Udało im się. Prawdę powiedziawszy... obawiam się, że stworzyli... człowieka.

- Ciebie?

Wallinger uśmiechnął się.

- Nie wierzę - zaprotestował gwałtownie Bradley. - To niemożliwe.

Wallinger posłał mu zagadkowe spojrzenie. Potem otworzył inną szufladę, poszperał w niej i wyciągnął szczyrtek. Rozłożył ostrze i niemal tym samym gestem przeciągnął nim w poprzek grzbietu dłoni. .

Bradley wstrzymał oddech. Nie chciał patrzeć, ale nie potrafił oderwać wzroku.

- Potrafię powstrzymać krwawienie, jak widzisz - powiedział Wallinger. - Tak właśnie Courtowi udawało się z początku zataić, że jest ranny. Potrafimy to kontrolować w każdych okolicznościach, jeśli zachodzi tego potrzeba.

Nie pojawiła się ani kropla krwi. Krawędzie syntetycznej skóry były czyste i gładkie niczym jasna guma, a pod nią po ruszały się stalowe ścięgna, pulsowały pełną baniek powie trza czerwona cieczą przezroczyste, cienkie jak włos rurki. To była dłoń z żywego metalu. To była dłoń androida.

- Zadowolony? - Wallinger cofnął rękę. Pomagając so bie drugą złączył ze sobą krawędzie przecięcia i wygładził bliznę. Zasklepiła się jak wosk i zagoiła, zanim Bradley wykrztusił swój pełen niedowierzania protest.

- Proszę, lepiej wypij jeszcze jednego drinka. - Rozbawiony głos Wallingera zdawał się przemawiać z wielkiej dali, przebijając się przez dzwonienie w uszach.

- Ale... dlaczego mi nie powiedziałeś? Jesteś pewien, że nic nie podejrzewają? Czy naprawdę możemy się tego poz być... zniszczyć Courta? Nic nie rozumiem, Wallinger! Je steś naprawdę androidem i pracujesz przeciwko androi dom... co my zrobimy? Musi istnieć jakaś procedura, za któ rej pośrednictwem sprawdzają, co się dzieje z każdym z nich. A co z Courtem? Wallinger, jeśli to wszystko praw da, dlaczego nie pomogłeś mi zdemaskować Courta? Mógł byś...

- Powoli! Po jednym pytaniu na raz! - Głos Wallingera wdarł się w niemal histeryczną paplaninę rozluźnionego Bradleya. - Najpierw o Courcie. Nie mogłem działać prze ciwko niemu, Bradley. Jestem sam bardzo niedoskonałym mechanizmem, zważywszy cel, do którego zostałem stwo rzony, i zniszczą mnie, j eśli zorientuj ą się, co zamierzam. . . ale istniej ą pewne zasady, których nawet ja muszę prze strzegać. Są we mnie wbudowane. Nie mogę wyrzucić krzywdy innemu androidowi. Po prostu nie mogę. Tak już jesteśmy skonstruowani. Nie mógłbym tego zrobić, tak samo jak ty nie potrafiłbyś powstrzymać krwotoku z rany. Mogę być niedoskonałą maszyną, ale sam nie jestem tak niedoskonały.

- A więc co zrobimy? Dlaczego nie wezwać policji... prasy.

- O nie! Nie mów, jak głupiec. Czy nie uważasz, że dowiedziawszy się o wyj ściu swego sekretu na jaw androidy zdecydowanie i szybko zaatakują? Mają przygotowane plany na każdą ewentualność. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Naszą jedyną szansą jest praca w ukryciu, dopóki sami nie opracujemy przemyślanego planu działania.

- Mogłeś mi to powiedzieć wcześniej - powiedział z wyrzutem Bradley. - Kiedy pierwszy raz do ciebie przyszedłem...

- Jak miałem ci powiedzieć? Nie wiedziałem, kto kryje się pod tą maską. Równie dobrze mogłeś być podstawiony przez nich. A dzisiaj... nie chciałem mówić w obecności Courta. Musiałem postąpić, jak normalny człowiek - we zwać policję - okazać właściwe reakcje. Dopiero kiedy rzu ciłeś się na Courta, upewniłem się co do ciebie.

- No już dobrze. Tracimy tylko czas. Wiedzą; że Court... jest zniszczony. Będą go szukać. Co zrobimy?

- Sam chciałbym to wiedzieć. - Wallinger wstał gwał townie i zaczął przechadzać się tam i z powrotem po pokoju szybkimi, nerwowymi krokami. Niewiarygodne było, że tę idealną kopię człowieka poruszają przewody, nie ner wy - stalowe sprężyny zamiast mięśni. Podobieństwo było tak niesamowicie idealne nawet co do sposobu rozumowania...

Pełne koło, pomyślał Bradley z mieszaniną tryumfu i obawy. Jeśli to prawda, przeszli samych siebie. Stworzyli tak idealnego androida - jeśli to w ogóle prawda - że ten za mierza wykończyć cały ich rodzaj. Nie mogą pozostawić go przy życiu. Gdy tylko nabiorą co do niego najmniejszych po dejrzeń, będą musieli go zniszczyć. Każdy kij ma dwa koń ce. Budując pierwszego udanego androida rasa ludzka wy dała na siebie wyrok, który utrzymywał się w mocy aż do chwili wyprodukowania przez roboty pierwszego udanego humanoida. Jest równie niebezpieczny dla nich, j ak oni dla nas. - Przyjrzał się bacznie Wallingerowi.

- Co do nich czujesz... do androidów? - spytał.

- To mieszane uczucie - uśmiechnął się z przymusem Wallinger. - Moja postawa kształtuje się, oczywiście, już od dłuższego czasu, ale aż do chwili obecnej nie opowiadałem się zdecydowanie po żadnej ze stron. Nie wiem, jak określić, co czuję. Zagubienie. W praktyce, nieprzynależność do żadnej ze stron. Wydaje mi się, że czuję dokładnie to samo co ty do rasy ludzkiej - że jestem jej częścią. Bo jestem jej częścią. Zbyt dobrze mnie skonstruowali. Ale ilu ludzi, znając prawdę, zaakceptowałoby mnie? A nie ma już dla mnie powrotu do androidów, skoro raz ich zawiodłem. Nie należę do żadnej ze stron. Wiem tylko, że ja... - Urwał nagle, uśmiechnął się i po chwili zastanowienia powiedział: - Mówię jak człowiek, myślę jak człowiek, pozbyłem się androidzkich zachowań. Rozumiesz? Kiedy próbuję ci opisać uczucia androida, ubieram to automatycznie w słowa Szekspira albo świętego Pawła. W słowa ludzi opisujące uczucia człowieka. Ale wciąż patrzę na wszystko jak przez szybę... - Przyłożył rękę do oczu, które, jak wiedział Bradley, były soczewkami, nie żywą substancją. - Widzę przez tą szybę w ciemnych barwach...

Po tych słowach na dłuższą chwilę zapadło między nimi milczenie.

- No tak - westchnął w końcu Wallinger - a więc spada to na mnie. Ja ich znam. Ty nie.

- Jak mam ci pomóc?

- Idź do domu. Zostaw mi numer swojego telefonu i nie ruszaj się stamtąd, dopóki nie zadzwonię. Dobrze? Mam pewien pomysł dotyczący pozbycia się... tego... - Wskazała na człekokształtną kupę przewodów, ciała i stali leżącą na podłodze. - Muszę zrobić to sam. Potem, jutro, zatelefonuję do ciebie. Ale cokolwiek się wydarzy, Bradley, nie opuszczaj swojego mieszkania, póki się z tobą nie skontaktuję. Nawet nie otwieraj drzwi! A co najważniejsze, nie puszczaj pary z ust o tym, co się wydarzyło. Jeśli to zrobię...

- Jeśli to zrobię, wyląduję w sali bez klamek - wpadł mu w słowo Bradley. - Wiem. Poza androidami nikt by mi nie uwierzył, a one byłyby niezmiernie rade, gdybym się zdradził. Nie obawiaj się, będę trzymał język za zębami. Ale nie każ mi zbyt długo czekać, dobrze?

- Będę się starał - obiecał Wallinger.

Schodząc po schodach na ulicę Bradley zerknął w górę. Z korytarza obserwowała go dwójka dzieci. Dziewczynka uśmiechała się. Wskazała palcem na braciszka, a potem pomachała Bradleyowi kiwając główką. Naszło go dziwne uczucie, że stara się mu w ten sposób coś przekazać. Ale za jej uśmiechem kryła się wiedza dziecka, ezoteryczna, nie przyswajalna przez umysł dorosłego.

Bradley pomachał jej w odpowiedzi i oddalił się chodnikiem.

Gdy się obudził, było jeszcze ciemno. Leżał przez chwilę cicho, oszołomiony, zastanawiając się, gdzie jest i co wyrwało go ze snu. Nie widział zegarka, ale w powietrzu unosiła się nieruchomość przedświt.

Potem zobaczył światło wpadające do pokoju przez szpałę między podłogą a drzwiami i usłyszał ciche głosy rozmawiające za nimi. Leżał we własnym łóżku, a tam był jego pokój gościnny, ale dlaczego paliło się w nim światło i czyje to były głosy, nie potrafił odgadnąć. Wstał i skradając się bosy po podłodze podszedł do drzwi. Uchylił je na kilka milimetrów. W pokoju za nimi znajdowało się pięciu mężczyzn. Rozsiedli się wygodnie i rozmawiali cicho, jak ludzie czekający na coś... na kogoś.

Pierwsza twarz, jaką zauważył, należała do Arthura Courta.

- Dobrze, Bradley. - Znajomy głos dyrektora rozległ się w tej samej chwili, w której Bradley go rozpoznał. - W porządku, już czas. Wejdz.

Bradley nie miał pojęcia, czy android potrafił rzeczywiście widzieć poprzez wirujące atomy drzwi, czy też jego obecność zdradził jakiś odgłos. Nie miało to znaczenia. Nie było już dla niego ratunku. Dla niego ani dla rasy ludzkiej... Przystąpił w milczeniu próg i zamknął za sobą drzwi. Za trzymał się przesuając wzrokiem po pięciu mężczyznach przebywających w jego pokoju gościnnym. Siedzieli idealnie nieruchomi z utkwionymi weń oczyma. Żaden nie palił. Żaden się nie poruszał. Żaden nie miał napiętych jak struny nerwów niedoskonałych ludzi, a więc nie odczuwał potrzeby wykonywania niepotrzebnych ruchów. Żaden z nich nie był człowiekiem.

Gdy cisza osiągała już poziom, ponad który stałaby się niemożliwa do zniesienia, Bradley przemówił.

- Co się stało z Wallingerem? - zapytał.

- Nic - odpowiedział z uśmiechem Court.

- Nic? Ale przecież...

- Potrzeba nam było trochę czasu. Wallinger nam go dał. I to wszystko.

Nagły przyptyk goryczy zamazał na chwilę wzrok Bradleyowi. Jakże łatwo dał się podejść Wallingerowi! Jakże łośnie naiwny był nielogiczny ludzki mózg w zestawieniu z żelazną logiką maszyny! Wallinger dokładnie wiedział, ja icie tony perswazji najprawdopodobniej uśmierzą obawy Bradleya. I przemawiając, ten spokojny maszynowy umysł nawet nie łgał, bo jak można przypisywać maszynie fałszywość, czy szczerą intencję?

Potrzebowali czasu - na co? Na naprawę roztrzaskanego Courta, na zebranie sił, na zamknięcie okrażenia. Najbardziej ze wszystkiego chodziło im o zamknięcie ust Bradleyowi w na czas, kiedy przygotowywali się do jego zniszczenia. W jaki sposób? Co zrobią? Czy nawet w tej ostatniej chwili istniał jakiś sposób przechytrzenia ich? Nie sądził, ale rozpaczyliwy spryt kazał mu powiedzieć:

- W porządku, nie mogę was powstrzymać. Róbcie, co chcecie. Ale proszę cię, Court... proszę! Pracowaliśmy razem... nie możesz mnie winić za to, że spełniałem swój obowiązek, ale przepracowaliśmy razem szmat czasu. Zrób mi przysługę. Proszę, nie daj im mnie umieścić w domu wariatów! Lepiej będzie, jeśli mnie zastrzelicie... bezpieczniej dla was! Wszystko, tylko nie dom wariatów.

O mało się nie zakrztusił, kiedy musiał to powiedzieć. Żaden człowiek nie powinien się tak poniżać przed maszyną. Ale jeśli miało to służyć ostatecznemu ocaleniu człowieka, to tak, może posunąć się nawet do błagania o łaskę tego tworu ze stali i drutu. Ta specyficznie przewrotna ludzka logika będąca częścią folkloru, stanowiła jego ostatnią broń przeciwko nim. Taka logika ocaliła Królika przed nieprzyjaciółmi. Nie wrzucaj mnie w dzikie róże! Gdyby umieścili go w domu wariatów, zachowałby przynajmniej życie, mógłby przynajmniej działać nadal przeciwko nim. A dzieci wiedziały. Gdyby tylko pozostał przy życiu, ktoś wreszcie by go usłyszał.

- Proszę cię, Court, wszystko, tylko nie dom wariatów!

Android uśmiechnął się. Niesamowita była myśl o tych małych sprężynkach i dźwigienkach, które ściągały jego twarz, gdy zmieniała wyraz. Do wyobraźni przemawiała świadomość, że kiedy Arthur Court mówi, umysł dyktujący mu słowa znajduje się w lśniącej jamie klatki piersiowej, gdzie coś wykonane z migoczących światełek stanowiło esencję duszy maszyny.

- Bądź spokojny, Bradley - powiedział android. - To nie będzie dom wariatów.

Bradley przywarł do drzwi. A zatem do zrobienia pozostała mu tylko jedna rzecz. Starł się wymyślić jakiś fortel, ale w głowie miał pustkę. Próbował już wszystkiego, czego próbować mógł człowiek, i wszystko zawiodło.

Ale nie powinni go zabić. Miał jeszcze tę jedną możliwość i nie dopuści do tego ostatniego upokorzenia. Jeśli już musi umrzeć, niech to będzie z własnej woli, z własnego wyboru.

Napinając mięśnie do tego ostatniego skoku, ocenił wzrokiem odległość dzielącą go od okna. Tyle było rzeczy, o które nigdy się nie dowie, pomyślał rozpaczliwie. Sam los rasy ludzkiej, za którą walczył tak bezskutecznie, pozostanie dlań teraz wielką niewiadomą. Pomyślał o Wallingerze tak przypominającym człowieka w swych reakcjach, mimo zdrady, tak przekonywająco ludzkim w swych wypowiedziach. Być może w słowach Wallingera było więcej prawdy, niż mu się wydawało. Być może stworzyli androida zbyt zbliżonego do człowieka...

Ale było już za późno. Zabrzmiał mu przez chwilę w uszach głos Wallingera i wspaniała wypowiedź świętego Pawła, która zaczynała się od słów „Chociaż mówię językiem ludzkim...”. Wallinger mówił językiem ludzi, ale na złość człowieka. Było coś przerażającego w trafności tego ustępu z listu do Koryntian.

„Języki, co będą, przemijają, wiedza, co będzie, zaniknie...”

Odepchnął się na oślep od drzwi w ostatnim desperackim skoku. Znajdujący się najbliżej android zareagował zbyt późno, by zastąpić mu drogę. Rozsunął jednym szarpnięciem zasłony, zamachnął się i roztrzaskał pięścią szybę, która oddzielała ich od gwarnej ulicy biegnącej dwadzieścia pięć metrów niżej. Ludzkie ulice, które tak niedługo nie będą już ludzkie... Wychylił się gwałtownie przez rozbite okno. Zawisł nad wrotem głowy nad wirującą w dole otchłanią. Zobaczył pod kolanami opadającą pionowo ścianę budynku, którego linie, kiedy się tak kołysał, uciekały oszaleńczo do wewnątrz.

Powstrzymał go głos Arthura Courta.

- Zaczekaj, Bradley, zaczekaj! Nie rób tego, dopóki nie usłyszysz prawdy!

To powstrzymało go na krawędzi, a nawet poza krawędzią parapetu okna. Wydawało mu się, że żadna siła na świecie nie potrafi odwrócić tego straszliwego ssania grawitacji, która położyła już na nim swoją łapę i przechylała coraz bardziej na zewnątrz i ku dołowi samym momentem obrotu wymiaru ziemi. Ale przekonał się, że jest silniejszy, niż myślał...

Twarz Courta była surowa. Bradley stał opierając się o rozbite okno; kolana odmawiały mu posłuszeństwa, w głowie wciąż wirowało od przyciągania ulicy w dół. Patrzył na androida nie widzącymi oczyma poprzez całą szerokość pokoju.

- Głupcze! - wycedził przez zęby Arthur Court. - Chcesz nam wszystko popsuć?

- Ależ ja...

- Nadal nic nie rozumiesz? Wciąż do ciebie nie dociera, że Wallinger powiedział ci prawdę?

- Wallinger... powiedział prawdę?

- Tak - częściową. Pomyśl, Bradley, rusz głową!

Nie potrafił myśleć. Jego umysł przeszedł zbyt wiele ogłuszeń wstrząsów, by teraz rozumować. Ale nie musiał myśleć. Usłyszał podpowiedź przed wieloma godzinami i aż do tej chwili nie uświadamiał sobie tego. Wróciły wspomnienia i w uszach zabrzmiał mu cieniutki głosik Sue Wallinger mówiący w cichej bibliotece. Zobaczył ją stojącą przy drzwiach, kiedy odchodził. Przypomniał sobie jej gest i jej uśmiech.

„Mogę ci powiedzieć, ilu ludzi prawdziwego rodzaju jest w tym pokoju - jeden, jeden!”

I uśmiechnęła się do niego dotykając ramienia braciszka.

Nie miała na myśli nikogo z obecnych w tym pokoju poza ludzkim dzieckiem płci męskiej. Pytał o ludzi - ona dotknęła ramienia brata. Wszystkie dzieci wiedziały - wszystkie androidy wiedziały. Tylko ludzie byli ślepi - a z nimi James Bradley.

- Spójrz pod nogi - rozległ się niemal łagodny głos Courta.

Bradley spojrzał. Na podłodze była krew. Poczł piecze nie dłoni i uniósł w omdleniu rękę, żeby zobaczyć, skąd się bierze. Przebił pięścią szybę. Wtedy nie miało dla niego znaczenia, czy przetnie sobie skórę, czy nie. Teraz też nie miało to znaczenia...

Zobaczył bez zaskoczenia, bez szoku, tylko z odrętwieniem, że krawędzie przeciętej skóry rozstąpiły się gładko. Do złożonej w miseczkę dłoni sączyła się powoli krew. W niezmaconej ciszy patrzył na odsłonięte ścięgna dłoni, na lustrzany blask bijący od każdej stalowej

powierzchni. Zo baczył precyzyjne, maleńkie, ciasno zwinięte sprężynki reagujące idealnie, gdy zaciskał palce.

- Zbyt dobrze cię zbudowaliśmy - mówił Arthur Court. - Zbudowaliśmy cię tak dobrze, że jesteś niedo skonały. Trzeba cię poddać przeróbce, Bradley. Żaden android nie może być zdolny do atakowania własnego rodzaju. Od tego prawa zależy nasze przetrwanie. Czy rozu miesz teraz, co próbował ci powiedzieć Wallinger? Zagroże nie ze strony idealnego androida jest zbyt wielkie. Ty jesteś idealny. Odpowiedz mi, Bradley - rozumiesz, co do ciebie mówię? Nie mógł odpowiedzieć. Znał teraz prawdę, ale czuł się zupełnie tak samo jak przedtem. Nadal był człowiekiem. Zachował całą swą lojalność wobec rodzaju ludzkiego, którego kopia tak bezlitośnie go uczyniono. Dopóki nie doko nają tej przeróbki, która wyeliminuje jego niedoskonałość, musi kontynuować walkę, którą podjął w imieniu ludzi przeciwko maszynom. Dopóki nie przerobią go z niedoskonałe go androida w idealnego przedstawiciela rasy maszyn...

Kiedy przychodzi to co jest doskonałe, to co jest niedoskonałe musi zostać zniszczone. Święty Paweł wyłożył to wszystko z tak przerażaj ącą j asnością. „Chociaż mówię językami ludzi... głos mój jest niczym dźwięczny szpil...”

- Nie chcemy cię spisywać na straty, Bradley - powiedział Court. - Jesteś wspaniałą maszyną. Bardzo na ciebie liczymy. Tyle jest do zrobienia i potrzebujemy twojej pomocy.

- Nie - powiedział Bradley. - Nie.

I tym razem nie mogli go już powstrzymać.

Nie tracił czasu na odgarnięcie zasłony, a szyba była już wybita. Zobaczył znowu przechylającą się do wewnątrz ścianę opadaj ącą pionowo przez dwadzieścia pięter w kierunku ulicy. Klęczał na parapecie.

Na dole zobaczą go ludzie. Tam w dole, na ulicy, na pew no zobaczą i być może zrozumieją znaczenie tego paradok su, jakim było ciało androida - stalowe żebra i nieodłączne okablowanie, za którego pośrednictwem poruszany był kiedyś ten powleczony ciałem mechanizm...

Gdzieś głęboko w piersi mały iskrzący przedmiot, który w tym momencie myślał tak, jak myśli człowiek, uświadomił sobie cudowność tej chwili. - Czy to jest tak, jak czuje się człowiek poświęcający swe życie dla własnego rodzaju? - zadał sobie pytanie Bradley. - A może poruszam się jedy nie jak maszyna, ślepo posłuszny rozkazom wydanym mi w procesie wytwarzania? Musieli postawić przede mną zada nie zachowywanie się jak człowiek. A to jest rzecz, którą robią ludzie... nie maszyny. W żadnym wypadku maszyny.

Wychylił się na zewnątrz. Potężny moment obrotowy ziemi przeciągnął go przez parapet. Niewiele był w stanie zdziałać dla rasy, na której podobieństwo został stworzony, ale teraz dawał jej z siebie wszystko. Może jej to pomoże. Może nie. Nigdy się tego nie dowie.

Roboty stłoczyły się przy parapecie i patrzyły za nim, jak spada.

przekład : Jacek Manicki

Nie powinno się winić za ten błąd najmłodszego anioła. Dano mu nowiuteńką, błyszczącą aureolę i wskazano planetę, o którą chodziło. Bez zastrzeżeń zastosował się do wskazówek, czując dumę z odpowiedzialności, którą go obarczono. Było to wtedy, kiedy pierwszy raz wyznaczono go do uczynienia człowieka świętym. Wylądował w Azji i odpoczywał u wejścia do groty otwierającej się w połowie drogi na jeden z himalajskich szczytów. Serce waliło mu z podniecenia, gdy wszedł do jaskini, by przygotować się do zmaterializowania, celem wręczenia Wielkiemu Lamie jego rzetelnie zapracowanej nagrody. Przez 10 lat tybetański asceta Kai Yung siedział bez ruchu pogrążony we wzniosłej kontemplacji. Następnie dziesięć lat przesiedział na szczycie kolumny, osiągając dodatkowe zasługi. A przez ostatnią dekadę żył w tej grocie jak pustelnik, zapominając o przyziemnych sprawach.

Najmłodszy anioł przeskoczył próg groty - i zmarł ze zdumienia. Najwyraźniej trafił w niewłaściwe miejsce. Przejmujący zapach sake uderzył go w nozdrza. Stał jak wryty i z przerażeniem wpatrywał się w zaszuszonego, małego staruszka, który, przykucnięty radośnie przy ognisku, piekł udko jagnięcia. Jaskinia rozpusty!

Jak należało się spodziewać, najmłodszy z aniołów, wiedząc niewiele o losach świata, nie mógł pojąć, co spowodowało upadek Wielkiego Lamy. Olbrzymi dzban sake, który zostawił u wejścia do groty jakiś nieopatrny wierny, wyglądał zachęcająco, więc Lama spróbował, potem raz jeszcze. W obecnej chwili był to najgorszy kandydat na świętego.

Najmłodszy anioł wahał się. Jego wytyczne były jednoznaczne. Ten rozpustny pijaczyna z pewnością nie mógł być przeznaczony do noszenia aureoli. Lama czknał głośno i sięgnął po kolejną czarę sake. Widząc to, anioł nie czekał dłużej, rozpostarł skrzydła i odleciał w poczuciu obrażonej dumy.

W jednym ze środkowo-zachodnich stanów Ameryki Północnej leży miasteczko o nazwie Tybet. Któż może mieć pretensje do anioła, że wylądował właśnie tutaj i po krótkich poszukiwaniach odnalazł człowieka, który najwidoczniej już dojrzał do tego, by zostać świętym. Jego nazwisko, jak głosiła tabliczka na drzwiach małego domku na przedmieściach - brzmiało K. Young.

„Może źle zrozumiałem”, pomyślał najmłodszy anioł. „Mówili mi, że chodzi o Kai Yung. To jest Tybet, więc to musi być on. W każdym razie wygląda jak święty”.

„Tak”, stwierdził najmłodszy, „to tu. Gdzie jest aureola.”

Pan Young siedział zadumany na brzegu łóżka ze spuszczoną na piersi głową. Przedstawiał sobą żalony widok. W końcu wstał, ubrał się. Ubrany, ogolony; uczesany i umyty zszedł na dół na śniadanie.

Jill Young, jego żona, przeglądała gazetę, popijając sok pomarańczowy. Była drobną, całkiem ładną kobietą w średnim wieku, która już dawno temu zaniechała prób zrozumienia zawiloci życia. Uznała, że to zbyt skomplikowane. Bez przerwy działały się jakieś dziwne rzeczy. Więc o wiele rozsądniej jest stać na uboczu i po prostu patrzeć na to, co się dzieje. Skutkiem takiej postawy było to, że jej ładną twarzyczkę oszczędzały zmarszczki, za to wiele siwych włosów przybyło na głowie męża.

Więcej można by powiedzieć obecnie o głowie pana Younga. W nocy uległa ona pewnym zmianom. Pan Young był nieświadomy tego. Jill piła sok i z uśmiechem przyglądała się dziwnemu kapeluszu reklamowanemu w gazecie.

- Cześć Filthy - powiedział Young. - Dzieńdoberek. Nie było to skierowane do żony. Pojawił się bowiem mały terierek szkocki, o mocno łobuzerskim wyglądzie, który miotał się histerycznie pod nogami swojego pana, wpadając w zupełne szaleństwo, kiedy pan pociągnął go lekko za kosmate uszy. Mały chuligan trzepał głową na wszystkie strony i popiskując z radości, ślizgał się pyskiem po dywanie. Zmęczony się w końcu, terierek, wabiący się

Filthy MacNasty, zaczął walić łebkiem o podłogę z widocznym zamiarem pozbycia się resztek rozumu, jeśli jeszcze takowe posiadał.

Young zignorował te dobrze mu znane popisy. Usiadł, rozłożył serwetkę i przyjrzał się śniadaniu. Chrząknąwszy z ukontentowania zabrał się do jedzenia.

Jedząc, zaczął zdawać sobie sprawę, że żona przygląda mu się dziwnie z rosnącym zainteresowaniem. Pospiesznie wytarł usta serwetką. Ale Jill nadal patrzyła podejrzliwie. Young zbadał stan swojej koszuli. Jeśli nie była niepokalanie czysta, to przynajmniej nie znalazł na niej zabłakanych kawałków bekonu czy jajka. Spojrzał na żonę i zauważył, że wpatrywała się w coś nieco ponad jego głowę. Spojrzał w górę.

Jill, poruszywszy się nieznacznie, szepnęła.

- Kenneth, co to jest?

Young przejechał ręką po włosach.

- Co takiego kochanie?

- To na twojej głowie.

Przetrzęsł palcami włosy.

- Na mojej głowie? O czym mówisz?

- To świecące - wyjaśniła Jill. - Co, na Boga, zrobiłeś sobie?

Young zaczął odczuwać lekką irytację.

- Nic. Zdarza się czasem, że mężczyźni łysieją.

Jill zmarszczyła brwi i łyknęła soku. Jej oczy z uporem spoglądały w górę. W końcu odezwała się:

- Kenneth, chciałabym, żebyś...

- Co?

Wskazała na wiszące na ścianie lustro.

Chrząknąwszy z dezaprobatą, Young wstał i podszedł do lustra. Nie spostrzegł nic nadzwyczajnego. Ta sama twarz, którą widywał w lustrze od lat. Nic nadzwyczajnego. Nie mógł, wskazując na nią, powiedzieć z dumą: Spójrzcie, oto moje oblicze. Ale - z drugiej strony - jego fizjonomia nie była z tych, co wywołują uczucie zażenowania. Koniec końców, zwykle, starannie ogolone, zaróżowione oblicze. Długie obcowanie z nim wzbudzało w Youngu uczucie tolerancji, żeby nie powiedzieć dumy.

Lecz otoczone aureolą zyskiwało nowy, tajemniczy wyraz.

Aureola była zawieszona jakieś dziesięć centymetrów nad głową. Mogła mieć piętnaście centymetrów średnicy i wyglądała jak błyszczący pierścień światła. Wcale jej nie czuł, kiedy ze zdumieniem dotknął jej parę razy palcami.

- To... aureola - powiedział w końcu i odwrócił się, by spojrzeć na Jill.

Po namyśle stwierdziła:

- Aniołowie miewają aureole.

- Czy ja wyglądam na anioła? - zdenerwował się. To jest zjawisko fizyczne. Jak z tą dziewczyną, której łóżko miało zwyczaj biegania po pokoju. Czytałaś o tym.

Jill знаła tę sprawę.

- Ona robiła to siłą mięśni.

- Ale ja nic nie robię - powiedział z przekonaniem. To naukowa sprawa. Wiele ciał świeci samoistnie.

- O tak. Na przykład muchomor.

Young bez zmruczenia oka wysłuchał tej rewelacji, po czym zatarł ręce. - Dziękuję ci, kochanie. Przypuszczam, że wiesz, iż ta wiadomość mi nie pomoże.

Aniołowie mają aureole powtórzyła Jill z niesamowitym uporem.

Young znowu zawędrował przed lustro.

- Kochanie, czy mogłabyś się zamknąć na chwilę. Boję się jak diabli, a to, co mówisz, odwagi mi me dodaje.

Jill rozplakała się, wybiegła z pokoju i słychać było, jak żali się Filthiemu ściszym głosem. Young dokończył kawę, ale straciła cały smak. Nie był wcale tak przerażony, jak twierdził. To zjawisko było dziwne, nieziemskie, ale żadną miarą nie przerażające. Może rogi spowodowałyby lęk i konsternację. Ale aureola?... Pan Young czytywał dodatki niedzielne i stąd wiedział, że wszystkie dziwne zjawiska można wytłumaczyć naukowo. Gdzieś słyszał, że cała mitologia opiera się na sprawdzonych naukowo faktach. To uspokoiło go, aż do momentu, gdy był gotów do wyjścia do biura.

Włożył kapelusz. Niestety, aureola była nieco zbyt obszerna. Kapelusz wyglądał jakby miał dwa rondo, z których górne jasno świeciło.

- Do diabła! - rzekł zmartwiony. Przekopał szafę, mierząc po kolei wszystkie kapelusze, ale żaden nie zakrywał aureoli. W takim stanie nie mógł przecież wsiąść do autobusu.

Uwagę jego zwrócił spory przedmiot wciśnięty w kąt. Wyciągnął go i obejrzał z odrazą. Było to mocne zdefasonowane, olbrzymie, wełniane nakrycie głowy, przypominające wojskowe czako. Było ono niegdyś częścią karnawałowego kostiumu. Sam kostium przestał istnieć już dawno temu, ale czako jakoś ocalało, ku ucieście terierka, który czasami w nim spał.

To przynajmniej ukryje aureolę. Young ostrożnie włożył to monstrum na głowę i poszedł do lustra. Wystarczyło jedno spojrzenie. Szepcząc pod nosem jakieś pobożne teksty otworzył drzwi i wyszedł z domu.

Wybór mniejszego zła jest często trudny. W trakcie koszmarnej jazdy do centrum, nie jeden raz przyszło Youngowi do głowy, że wybrał fałszywie. Nie mógł zmusić się do zderzenia z głową tego monstrum i podeptania - choć miał na to coraz większą ochotę. Wciśnięty w kąt autobusu z zainteresowaniem studiował własne paznokcie, marząc o rychłej śmierci. Za sobą słyszał chichoty i stłumione śmiechy, czuł badawcze spojrzenia rzucone na jego skurczoną z wstydu głowę.

Jakiś dzieciak rozdarł mu serce i szarpał otwartą ranę bezlitosnymi paluchami.

- Mamusiu - szeptał przenikliwie mały - spójrz na tego śmiesznego faceta.

- Tak, kochanie - odpowiedział kobiecie głos. - Bądź grzeczny.

- Co on ma na głowie? - berbec domagał się odpowiedzi.

Nastąpiło pełne wymowy milczenie.

- Nie wiem, kochanie - odpowiedziała w końcu zmieszonym głosem.

- A po co to ma?

Cisza.

- Mamusiu...

- Tak, kochanie.

- Czy on jest pomyłony?

- Bądźże cicho! - odpowiedziała wymijająco.

- Ale co to jest?

Tego było już za wiele. Young wyprostował się i dumnym krokiem przeszedł przez autobus, jego szklany wzrok nie widział niczego po drodze. Stojąc na tylnej platformie, odwrócił twarz, by nie widzieć zaintrygowanych spojrzeń konduktora.

Kiedy autobus zwolnił, Young poczuł, że ktoś położył mu rękę na ramieniu. Odwrócił się. Obok niego stała matka tego berbecia, patrząc na niego z dezaprobatą.

- Tak? - odezwał się zgryźliwie.

- To Billy - powiedziała kobieta. - Nic się przed nim nie ukryje. Czy mógłby pan mu wyjaśnić, co pan ma na głowie?

- Brodę Rasputina - warknął Young. - Przekazał mi ją w testamencie. - I ignorując kolejne pytanie wyskoczył z autobusu z zamiarem schowania się w tłumie.

Było to dość trudne. Wiele osób było zaintrygowanych jego nakryciem głowy. Na szczęście był już blisko biura. Dysząc ciężko, wpadł do windy i rzuciwszy windziarzowi mordercze spojrzenie zażądał:

- Dziewiąte!

- Proszę mi wybaczyć! - odezwał się uprzejmie windziarz. - Ma pan coś na głowie.

- Wiem - odpowiedział Young. - Sam to tam wsadziłem.

Robiło wrażenie, że wyjaśniało to wszelkie wątpliwości. Ale skoro tylko pasażer wyszedł z windy, chłopak uśmiechnął się szeroko. Parę minut później, spotkawszy dozorcę, spytał:

- Znasz pana Younga? Ten facet...

- Znam go. I co z tego?

- ...spił się jak szewc.

- On? Zgłupiałeś.

- Spity jak bela - zapewniał chłopak - jak pragnę zdrowia.

Tymczasem uświęcony Young zbliżał się do gabinetu doktora Frencha, lekarza, którego kiedyś poznał, a który szczęśliwym zbiegiem okoliczności urzędował w tym samym budynku.

Nie czekał długo. Pielęgniarka, popatrzywszy z przerażeniem na jego niesamowite nakrycie głowy, zniknęła na chwilę, i powróciwszy szybko, zaprowadziła pacjenta do gabinetu.

Dr French, wysoki, uprzejmy mężczyzna z potężnymi wąsiskami niemal wylewnie powitał Younga.

- Proszę, proszę wejść. Jak się pan miewa? Mam nadzieję, że to nic poważnego. Proszę zdjąć kapelusz.

- Chwileczkę - zaproponował Young, broniąc się przed lekarzem. - Najpierw chciałbym wyjaśnić. Mam coś na głowie.

- Cięcie, bliznę czy pęknięcie? - zainteresował się lekarz. - Opatrzę pana w mgnieniu oka.

- Nie jestem chory - zaprotestował Young. - Przynajmniej mam nadzieję, że nie. Mam... tego, no... aureolę. - Ha, ha - zaśmiał się dr French. - Aureolę? Chyba nie jest pan taki święty?

- Do diabła - warknął Young i zerwał swoją czapę. Doktor cofnął się o krok. Po chwili zaintrygowany spróbował dotknąć aureoli palcem, jednak nie udało mu się.

- Będę szczerzy, to coś dziwnego - powiedział w końcu. - Rzeczywiście wygląda jak aureola, nieprawdaż?

- Ale co to jest? Chciałbym się dowiedzieć. French zawahał się. Szarpnął nerwowo wąsy.

- Tak, to raczej nie moja specjalność. Może fizyk mógłby - no nie? Może Mayo? Czy to się zdejmuje?

- Nie! Nie można tego nawet dotknąć.

- Ach tak. Wydaje mi się, że będę potrzebował opinii specjalistów. Tymczasem, proszę pozwolić...

Odbyło się systematyczne szaleństwo: badano serce, temperaturę, krew, ślinę i naskórek, a wyniki zapisano.

W końcu French stwierdził:

- Jest pan zdrow jak ryba. Proszę przyjść jutro o dziesiątej. Zaproszę paru specjalistów na konsultację.

- A czy... nie może pan tego jakoś usunąć?

- Wolałbym nie próbować teraz. To może być jakaś forma radioaktywności. Może być potrzebna terapia radowa...

Young wyszedł, mruczając pod nosem o promieniach alfa i gamma. Zniechęconym gestem wdział swoje kapelutko i zszedł na dół, do biura.

Agencja Reklamowa Atlas była najbardziej konserwatywną z istniejących. Została założona w 1820 roku przez dwóch braci z siwymi bokobrodami i odnosiło się wrażenie, że do dnia dzisiejszego nosi piętno tych nieszczęsnych bokobrodów. Wszelkie zmiany napotykały na dezaprobatę zarządu, który dopiero w 1938 roku uznał fakt istnienia radia i podpisał kontrakty na reklamę radiową.

Zdarzyło się, że młodszy wiceprzewodniczący Agencji został zwolniony z pracy za...

noszenie czerwonego krawatu. Young przekradł się chyłkiem do swojego pokoju. Był pusty.

Opadł na krzesło przy biurku, zdjął kapelusik i spojrzał nań z chichotem. Wyglądał chyba jeszcze gorzej, niż kiedy zobaczył go rano w szafie. Przypominał nieco szopę na siano i co gorsze pachniał niezbyt mocno, ale bez wątplenia był to zapach niedomytego terierka. Young zbadał aureolę i - stwierdziwszy, że trzyma się doskonale—wziął się do pracy. Spojrzał wzrokiem pełnym nieszczęścia na uchylające się drzwi, w których właśnie pojawił się Edwin G. Kipp, szef agencji Atlas. Young ledwie zdążył wcisnąć głowę pod biurko, by ukryć aureolę.

Kipp był drobnym, wytwornym mężczyzną, noszącym binokle i bródkę a la Van Dyck z wdziękiem i powściągliwością. Jego krew już dawno temu musiała przeistoczyć się w bryłki lodu. Otaczała go aura elegancji, żeby nie powiedzieć ponurego konserwatyzmu.

- Dzień dobry panu - przywitał się. - A... czy to pan?

- Tak - zapewnił niewidoczny Young. - Dzień dobry. Właśnie wiązę sznurowadła.

Od udzielenia odpowiedzi wybawił Kippa atak niesłyszalnego niemal kaszlu. Biurko trwało w milczeniu.

- Hm... panie Young?

- Jestem, jestem - odpowiedział nieszczęsny Young. - Jest zasupłane, to znaczy, sznurowadło. Czy pan mnie potrzebuje?

- Tak.

Kipp czekał ze wzrastającym zniecierpliwieniem. Nie było widać najmniejszych oznak pośpiechu. Szef rozważał możliwość zajrzenia pod blat biurka, ale obraz rozmowy przeprowadzonej w tak groteskowych warunkach był zbyt odrażający. Z rezygnacją więc powiedział Youngowi, o co chodzi.

- Właśnie dzwonił pan Devlin - stwierdził Kipp. Wkrótce przyjeżdża. Życzy sobie by... by pokazano mu miasto.

Niewidoczny Young przytaknął. Devlin był jednym z najlepszych klientów agencji. Raczej byłych klientów, bo w zeszłym roku, ku zmieszaniu Kippa i zarządu, przeniósł swoje interesy do innej firmy.

Szef ciągnął dalej:

- Powiedział mi, że ma pewne wątpliwości, co do swojego nowego kontraktu. Chciał zlecić go firmie World, ale korespondując z nim w tej sprawie skłoniłem go do osobistej rozmowy, która może przynieść nam korzyść. Tak więc, przyjeżdża do naszego miasta i pragnie... hm, pragnie zwiedzić je. .

Kipp ciągnął poufnym tonem:

- Chciałbym zaznaczyć, że pan Devlin oświadczył raczej kategorycznie, iż woli mniej konserwatywną agencję. Chodliwszą - jak to określił. Wieczorem jesteśmy umówieni na obiad i spróbuję przekonać go, że nasze usługi będą najwłaściwsze. Ale - Kipp znowu zakaszłał - chociaż dyplomacja jest oczywiście ważna, chciałbym, by zajął się pan dzisiaj naszym gościem.

W czasie tej przemowy biurko trwała w milczeniu. Teraz jęknęło konwulsyjnie i stwierdziło:

- Nie mogę, jestem chory.

- Jest pan chory? Czy mogę więc wezwać lekarza? Young pospiesznie odrzucił tę propozycję i nadal pozostał w ukryciu.

- Nie, ja... chciałem powiedzieć...

- Zachowuje się pan dość oryginalnie - rzekł Kipp z godną pochwały powściągliwością. - Jest jednak coś, o czym powinien pan wiedzieć. Nie chciałem o tym mówić, ale... w każdym razie, Zarząd zwrócił uwagę na pańską osobę. Dyskutowaliśmy to na ostatnim posiedzeniu.

Planujemy powierzenie panu stanowiska wiceprzewodniczącego agencji.

Biurko całkiem oniemiało.

- Przyczynił się pan do podwyższenia standardu naszej pracy w ciągu minionych piętnastu lat.

- Mówił Kipp. Nawet najdrobniejsza plotka nie kala pana nazwiska. Gratuluję panu!

Przewodniczący podszedł z wyciągniętą ręką. Ręka, która wychyłała spod blatu szybko uściśnęła prawicę Kippa i błyskawicznie zniknęła.

Nic więcej się nie wydarzyło. Young nieustępliwie trwał w swoim sanktuarium. Kipp zdał sobie sprawę, że jeśli nie wyciągnie go siłą, nie ma najmniejszych szans na ujrzenie Younga w obecnej chwili. Wycofał się więc, kaszlnąwszy ostrzegawczo.

Biedny Young wynurzył się spod biurka, krzywiąc się z bólu w miarę rozprostowywania nóg. A to bigos. Jak może zająć się Devlinem, nosząc aureolę? A nie zająć się - żegnaj wiceprezesuro! Young wiedział doskonale, że pracownicy Agencji Reklamowej Atlas chodzą dość wąskimi ścieżkami.

Nagle pojawienie się anioła na szczycie biblioteki przerwało jego rozmyślenia.

Szafka nie była wysoka, więc nieziemski gość siadł całkiem wygodnie i zwinąwszy skrzydła, machał piętami. Odzienie jego stanowiła kusa sukienka z białego brokatu oraz jasno świecąca aureola, na widok której Young poczuł nagłą falę mdłości.

- To już koniec - powiedział z nieugiętą pewnością. - Aureola może być wynikiem zbiorowej hipnozy. Ale kiedy jawią mi się anioły przed oczami...

- Nie bój się - powiedział anioł. - Jestem całkiem prawdziwy.

Young patrzył dziko. - Skąd mam wiedzieć? Najwidoczniej gadam z powietrzem. To schizocoś tam. Zjeżdżaj.

Anioł kręcił palcami u nóg i spoglądał zafrasowany.

- Chwilowo nie mogę. Chodzi o to, że pomyliłem się. Chyba zauważyłeś, że masz nad głową aureolę?

Young zachichotał nerwowo.

- O tak, zdążyłem zauważyć!

Drzwi otworzyły się, zanim aniołek zdążył odpowiedzieć. Zajrzał Kipp, ale zobaczywszy, że Young jest zajęty mruknął „przepraszam” i wycofał się.

Anioł podrapał się po złotych loczkach.

- Więc, twoja aureola miała być właściwie wręczona komu innemu - tybetańskiemu lamie.

Lecz na skutek szczególnego zbiegu okoliczności, doszedłem do wniosku, że to ty jesteś kandydatem na świętego. Tak więc... Anioł zrobił znaczący gest.

Young był całkiem zbity z tropu.

- Niezupełnie...

- Ten lama... zgrzeszył. A żaden grzesznik nie może nosić aureoli. I, tak jak powiedziałem, wręczyłem ci ją przez pomyłkę.

- A więc możesz ją zabrać?

- Twarz Younga była pełna rozmarzenia.

Anioł uniósł łaskawą dłoń.

- Nie lękaj się. Sprawdziłem u naszego anioła-archiwariusza. Wiedziesz przykładowe życie, więc w nagrodę pozwolono ci zatrzymać tę aureolę, znak świętości.

Przerażony Young skoczył na równe nogi, wymachując rękami. - Ale... ale... ale...

- Zostań w pokoju - powiedział anioł i zniknął. Young opadł na krzesło, masując bolącą głowę. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i na progu stanął Kipp. Na szczęście ręce Younga chwilowo zasłaniały aureolę.

- Pan Devlin przyjechał - zaanonsował szef. - Hm... ktoś to siedział na biblioteczce?

Young był zbyt zdruzgotany, by wymyśleć coś sensownego. Wymamrotał więc:

- Anioł.

Kipp pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Tak, oczywiście... Chwileczkę. Powiedział pan: anioł?... Anioł? Wielkie nieba! - Zbladł i pospiesznie oddalił się do swojego biurka.

Young pogrążył się w kontemplacji swojego kapelusza, leżał on wciąż na biurku i kurczył się pod morderczym spojrzeniem. Noszenie do końca życia aureoli byłoby niewiele bardziej uciążliwe od paradowania w tej kretyńskiej czapce.

Young z wściekłością palnął pięścią w stół.

- Nie wytrzymam tego dłużej, nie ścierpię - urwał gwałtownie. Oszołomienie błysnęło mu w oczach. - Racja! Nie będę musiał tego nosić. Skoro lamie udało się wymigać... jasne.

Grzesznik nie może nosić aureoli. - Twarz Younga stała się uosobieniem zła. - Zostanę więc grzesznikiem! Będę deptał wszystkie przykazania.

Zamyślił się. Akurat nie mógł sobie żadnego przypomnieć. Jest! „nie będziesz pożądał żony bliźniego swego.

Young pomyślał o żonie swojego sąsiada - niejakiej pani Clay, potwornym babsku liczącym jakieś pięćdziesiąt wiosen, o twarzy jak wysuszony pudding. Na złamanie tego przykazania nie miał szczególnej chęci.

Przypuszczalnie jeden dobry, zdrowy grzech sprowadzi tu anioła, który pospiesznie zabierze jego aureolę. Jaką zbrodnię byłoby najłatwiej popełnić? Young zmarszczył brwi.

Nic nie przychodziło mu do głowy. Zdecydował się iść na spacer. Bez wątpienia nadarzy się jakaś grzeszna okazja. Zmusił się do naciągnięcia swojej czapeczki i już miał wsiąść do windy, kiedy pozdrowił go schrypnięty głos. Korytarzem toczył się jakiś grubas.

Young instynktownie poznał pana Devlina

Określenie „gruby” zastosowane do osoby pana Devlina brzmiało jak eufemizm. Ten człowiek wyglądał, jakby wylewał się z własnej skóry. Jego stopy zduszone we wściekle żółtych butach na wysokości kostek rozlewały się niczym rozkwitające kwiaty. Wlewały się w to łydki, które wyglądały jakby zbierały impet do rozprzestrzenienia się i wzniesienia, by rzucić się z szaloną bezwolnością i ukazać w całej okazałości i w pełni chwały w połowie Devlina. Sylwetka tego gentlemana przywoływała na myśl ananas cierpiący na elephantiasis. Masy ciała wylewały się z kołnierzyka, tworząc bladą, obwisłą bryłę, w której Young zauważył pewne niejasne podobieństwo do twarzy.

Tak właśnie prezentował się pan Devlin, szarżując korytarzem niczym cwałujący mamut, pod którego kopytami drżała ziemia.

- Pan jesteś Young! - wysapał. - Małośmy się nie minęli, co? Czekałem w biurze... - Devlin urwał i spojrzał z zafascynowaniem na czapkę. Potem siląc się na uprzejmość zaśmiał się nieszczerze i odwrócił wzrok:

- Chodźmy więc, jestem gotów.

Young toczył wewnętrzną walkę rozszarpywany przez wątpliwości. Niezaopiekowanie się Devlinem mogło oznaczać utratę wiceprezesury. Z kolei aureola ciążyła niczym kawał żelaza na jego tętniących skroniach. Tylko jedna myśl zajmowała go bez reszty: Musi pozbyć się tej świętości nad głową.

Jak tylko poradzi sobie z tym, zaufa swojemu szczęściu i dyplomacji. Zabranie gdzieś swojego gościa mogłoby okazać się fatalnym w skutkach szaleństwem. Wystarczająco fatalne było paradowanie w tej nieszcześnie czapce.

- Przepraszam - chrząknął Young - mam niecierpiącą zwłoki sprawę. Wrócę jak tylko będę wolny.

Sapiąc ze śmiechu, Devlin chwycił go mocno za rękę.

- Nic z tego. Pokażesz mi pan miasto! Teraz, zaraz! Young wyczuł silny zapach alkoholu.

Szybko pomyślał.

- Dobrze - zgodził się w końcu. - Chodźmy więc. Na dole jest bar, wypijemy drinka.

- Dobrze mówisz - powiedział jowialnie Devlin, nieomal unieszkodliwiając Younga przyjacielskim klepieniem po plecach.

- O, jest winda.

Wcisnęli się do środka. Young zamknął oczy i cierpiał, czując, jak jego kapelusz przyciąga zaciekawione spojrzenia. Popadł w stan śpiączki, z którego ocknął się dopiero na parterze, gdzie Devlin wyciągnął go z windy i zawlókł do pobliskiego baru.

Plan Younga był następujący: wleje parę drinków do przepastnej gardzieli swojego kompana i poczekawszy na odpowiedni moment, dyskretnie się ulotni. Ów przemyślny plan miał tylko jedną wadę: Devlin nie chciał pić sam.

- Jeden dla mnie i jeden dla ciebie - zdecydował. I jeszcze po jednym.

Young nie mógł odmówić w tych okolicznościach. Najgorsze w tym wszystkim było to, że alkohol wypity przez Devlina zostawał natychmiast pochłonięty przez wszystkie komórki jego olbrzymiego ciała, którego właściciel trwał ostatecznie w jednakowym stanie pełnego szczęścia, podczas gdy biedny Young, by określić to delikatnie, był zalany.

Siedział cichutko na swoim stołku, spoglądając na Devlina. Za każdym nadejściem kelnera Young widział jego wzrok przykuty do kapelusza. Irytowało go to coraz bardziej.

Poza tym Young martwił się swoją aureolą. Rozmyślał o grzechach. Podpalenie, włamanie, sabotaż i morderstwo jak w kalejdoskopie przesuwają się przez jego zamroczony umysł. W pewnej chwili spróbował porwać kelnerowi drobne, ale ten był zbyt czujny. Uśmiechnął się tylko przyjaźnie i postawił przed Youngiem kolejną szklaneczkę.

Ten ostatni wpatrywał się w nią z odrazą. Nagle, podjąwszy jakąś decyzję, wstał i pozeğłował do drzwi. Devlin dogonił go dopiero na ulicy.

- Co się stało? Strzelmy jeszcze po jednym!

- Mam coś do zrobienia - powiedział Young z bolesną dobrocią. Wyrwał laskę mijanemu przechodniowi i zaczął nią wywijać tak groźnie, że protestująca ofiara uciekła w panice. Podniósłszy laskę, zadumał się ponuro.

- Co masz do roboty? - indagował Devlin. - Pokaż mi miasto.

Young przyglądał się uważnie dzieciakowi, który stał przy krawężniku i odwzajemniał mu się równie zaintrygowanym spojrzeniem. Brzdąc przypomniał mu tego ohydneho smarkacza z autobusu.

- Co to takiego ważnego? - żądał wyjaśnień Devlin. - Ważne sprawy, o co chodzi?

- Muszę sprać paru brzdąców - powiedział Young i ruszył na przerażonego malca, wymachując laską. Dzieciak, krzyknąwszy przeraźliwie, uciekł. Young gonił go parę metrów, po czym natknął się na latarnię. Słup zachowywał się nieuprzejmie i władcym gestem zabraniał przejścia. Young zaprotestował, zaczął się kłócić, ale bez skutku.

Dzieciak dawno już zwiął. udzieliwszy lampie paru złośliwie-sarkastycznych uwag, Young odwrócił się. - Co ty do licha wyrabiasz? - zirytował się Devlin. Chodź stąd, bo gliniarz już ci się przygląda. - Wziął Younga pod rękę i poprowadził zatłoczonym chodnikiem.

- Co wyrabiam? - drwił Young. - To proste, chcę grzeszyć!

- Tego... Grzeszyć?

- Grzeszyć.

- Ale po co?

Young znacząco postukał się po czapeczce, ale Devlin nie zrozumiał właściwie jego gestu.

- Jesteś czubek?

- Zamknij się - Young wpadł w furję i nieoczekiwanie wstawił laskę między nogi przechodzącego dyrektora banku, którego znał z widzenia. Nieszczęśnik upadł ciężko na chodnik, lecz wstał bez uszczerbku, zachowując godność. - Przepraszam! - warknął.

Young wykonał serię dziwnych gestów. Podbiegł do lustra na jednej z wystaw, czyniąc jakieś niesamowite wygibasy ze swą czapką. Najwyraźniej próbował unieść ją nieco, by móc pod nią zajrzeć, jednocześnie nie narazić się na wzrok profanów. W końcu zaklął głośno, odwrócił się, ciągnąc za sobą zdumionego Devlina niczym balon na uwięzi. Szedł, mrużąc do siebie stłumionym głosem.

- Grzech - prawdziwy grzech. Coś strasznego. Spalić przytułek dla sierot. Zabić teściową. Zabić... kogokolwiek! Spojrzał szybko na Devlina, a ten aż cofnął się w przypiływie nagłego strachu. W końcu Young chrząknął z dezaprobatą.

- Nie. Za tłusty. Nie można strzelbą ani nożem. Trzeba by wysadzać... Czekaj! - ścisnął Devlina za rękę. - Kradzież to grzech! Czy nie tak?

- Oczywiście - zgodził się dyplomatycznie Devlin. Ale ty nie...

Young potrząsnął głową. - Nie, za dużo ludzi. Nie ma sensu narażać się na więzienie. Chodźmy.

Ruszył żwawo. Devlin za nim. Jak obiecał, pokazał gościowi miasto, chociaż później żaden z nich nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, co robili. Wkrótce Devlin zatrzymał się w sklepie alkoholowym celem uzupełnienia ubytków i wychynął z niego z butelkami sterczącymi tu i ówdzie z kieszeni.

Godziny zlewały się w alkoholowej mgiełce. Dla nieszczęsnego Devlina życie stawało się mglistą nierealnością. Popadł w stan śpiączki, ledwie zdając sobie sprawę z licznych wydarzeń, które następowały jedne po drugich w czasie całego popołudnia aż do późna w nocy. Na koniec doszedł na tyle do siebie, by uświadomić sobie, że wraz z Youngiem stoją przed drewnianą figurą Indianina, na zewnątrz sklepu tytoniowego. Był to być może ostatni z drewnianych Indian. Ten zużyty nieco relikwini minionych dni sprawiał wrażenie, że przygląda się wyblakłymi, szklanymi oczami garści drewnianych papierosów, które trzymał w wyciągniętej ręce.

Young pozbył się gdzieś swojego nakrycia głowy i Devlin nagle dostrzegł w swoim towarzyszcu coś zdecydowanie niepokojącego.

Odezwał się łagodnie: - Ty masz aureolę.

Young nieznacznie drgnął.

- Tak - powiedział - mam aureolę. Ten Indianin... - przerwał.

Devlin spojrzał z odrazą. W jego nieco zmęczonym umyśle drewniany Indianin wywierał o wiele mocniejsze wrażenie, niż ta podejrzana aureola. Aż ciarki go przeszły. Z dezaprobatą odwrócił wzrok.

- Kradzież to grzech - szepnął Young i po chwili z radosnym okrzykiem zaczął podnosić Indianina. Padł natychmiast rażony jego ciężarem, lecz zaraz, bluzgając przekleństwami, ponownie spróbował ruszyć to straszycło.

- Ciężkie - stęknął, uporawszy się w końcu. - Pomóż mi.

Devlin już dawno porzucił nadzieję znalezienia jakiejś logiki w poczynaniach tego szaleńca. Young był zdeterminowany, by zgrzeszyć, a fakt posiadania przez niego aureoli był w pewnym stopniu niepokojący dla podbitego Devlina. W końcu obaj panowie powędrowali ulicą, taszcząc sztywne ciało drewnianego Indianina.

Właściciel sklepu tytoniowego wyszedł na ulicę i patrzył w ślad za nimi, zacierając ręce. W jego oczach, śledzących oddalającą się figurę, widniała nieskrywana radość.

- Przez dziesięć lat próbowałem pozbyć się tej maskary - szepnął radośnie. - I teraz... nareszcie!

Wszedł do sklepu i zapalił cygaro, by uczcić swoje wyzwolenie.

Tymczasem Young i Devlin znaleźli postój taksówek. Stała tam jakaś taksówka, której kierowca słuchał radia, paląc papierosa. Young pomachał na niego.

- Taksówka? - Kierowca ożywił się, wyskoczył z samochodu i otworzył drzwiczki. Zastygł w półukłonie, oczy o mało nie wyskoczyły mu z orbit.

Nigdy nie wierzył w duchy. Mało, uważał się za cynika. Ale stanąwszy oko w oko z bulwiastym wampirem i upadłym aniołem, taszczącym sztywny korpus Indianina, uwierzył nagle, że poza życiem rozciąga się ciemna otchłań pełna niewyobrażalnego zła. Jęknąwszy rozdzierająco, przerażony kierowca dał susa do swojej taksówki, ruszył i znikł jak dym w podmuchu wiatru.

Young z Devlinem spojrzeli ponuro na siebie.

- I co teraz? - spytał Devlin.

- Tak - odparł Young. - Mieszkam niedaleko stąd. Parę ulic dalej. Chodźmy więc!

Było bardzo późno i ulice były niemal puste. Paru przechodniów, których spotkali, dla zachowania władz umysłowych wołało zignorować mijanych wędrowców i iść własną drogą. Tak więc Young, Devlin i drewniany Indianin dotarli do celu.

Drzwi domu były zamknięte, a Young nie mógł znaleźć klucza. Czuł dziwną awersję do budzenia Jill. Z równie dziwnego powodu czuł, że drewniany Indianin powinien zostać ukryty. Piwnica wydawała się być doskonałym schronieniem. Zaciągnął obu kompanów pod piwniczne okienko, stłukł je i najciszej jak potrafił wrzucił figurę do środka.

- Czy ty naprawdę tu mieszkasz? - Dopytywał się podejrzliwie Devlin.

- Cicho! - przestrzegął Young. - Chodźmy.

Ruszył w ślad za Indianinem, ładując z hukiem na kupie węgla. Wkrótce dołączył Devlin, sapiąc i narzekając. W piwnicy było całkiem jasno. Aureola świeciła z siłą co najmniej dwudziestowatowej żarówki.

Young pozwolił Devlinowi opatrzyć potłuczenia, a sam zaczął szukać Indianina. Figura zniknęła gdzieś nieoczekiwanie. W końcu znalazł ją za balią, wyciągnął i postawił w kącie. Cofnął się o krok i patrzył na nią, chwiejąc się nieznacznie.

- Jest więc grzech - czknął z zachwytem. - Kradzież. Nie chodzi o to, co się kradnie. Chodzi o zasadę. Drewniany Indianin jest tyle wart, co milion dolarów, prawda Devlin?

- Chciałbym porąbać tego Indianca na kawałki - odpowiedział z zapalem Devlin. - Kazałeś mi go targać co najmniej pięć kilometrów. - Przerwał na chwilę nasłuchując. - A co to, na Boga? Słychać było jakiś zbliżający się tumult. Filthy, często pouczany o obowiązkach stróża domu, poczuł nadarżającą się okazję. Z piwnicy dochodziły hałasy - bez wątpienia złodzieje.

Chuligański terierek popędził więc schodami w dół przy akompaniamencie straszliwych pogroźek i przekleństw. Głośno obwieszając swoją chęć wykurzenia intruzów, rzucił się na Younga, który wydawał jakieś pospieszne cmokania celem uspokojenia rozwrzeszczanego terierka.

Filthy miał jednak inny pogląd na tę sprawę. Zakręcił się niczym derwisz łaknący krwawego morderstwa. Young zatrzepotał rękami, bezskutecznie chcąc złapać równowagę, po czym runął jak długi na podłogę. Leżał tak z twarzą ku ziemi, podczas gdy Filthy, spostrzegłszy aureolę, rzucił się na nią, trając głowę swego pana.

Stłamszony Young czuł, jak nadciągają zjawy wypitych drinków. Chciał schwycić psa, ale trafił na stopy drewnianego Indianina. Figura zachwiała się. Filthy spostrzegł z awersją niebezpieczeństwo, więc rozpląszczył się u boku swojego pana. Jednak w pół drogi zawahał się, jako że przypomniały mu się jego powinności. Ze stłumionym warknięciem zatopił więc zęby w najbliższej pyska części ciała Younga, usiłując pozbawić nieszczęśnika spodni.

Tymczasem Young z twarzą wtuloną w podłogę trzymał nogę drewnianego Indianina w desperackim uścisku. Rozległ się ogłuszający łomot. Białe światło zalało piwnicę. Pojawił się anioł.

Tego było już za wiele jak na możliwości Devlina. Klapnął na stosie węgla, zamknął oczy i zaczął mówić coś cicho do siebie. Filthy warknął na przybysza, spróbował - jednak bez powodzenia - ugryźć jedno ze zwisających mu przed nosem skrzydeł, po czym zadumał się nad tym wszystkim, poszczekując ochryple. Skrzydło przejawiało mało zadowalającą go niematerialność.

Anioł stanął nad Youngiem z płonącymi oczami, w pozie wyrażającej życzliwe zadowolenie.

- Niech to będzie - powiedział cicho - symbolem twojego pierwszego dobrego uczynku, od dnia kiedy nosisz aureolę. - Końcem skrzydła wskazał na ponurą figurę Indianina, która natychmiast zniknęła. - Uradowałeś serce bliźniego - małą rzeczą, to prawda, jednak uradowałeś go i to kosztem dużego wysiłku ze swojej strony.

- Przez cały dzień walczyłeś, by go uwolnić, nie licząc na nagrodę, a tylko na jutrzejsze troski, które gnębić cię będą. - Idź więc, K. Youngu, i niech aureola będzie ci nagrodą i strzeże cię od wszystkich grzechów. - Najmłodszy anioł znikł cicho, za co Young był mu szczerze wdzięczny. Zaczęła go już bowiem boleć głowa i obawiał się możliwości hałaśliwego zniknięcia.

Filthy szczechnął nerwowo i ponowił atak, na aureolę. W tej sytuacji Young stwierdził, że niezbędny jest do - niemiłej mu - pozycji pionowej. Spowodowało to wprawdzie silne wirowanie ścian wraz z balią, przypominające płąsy wszystkich niebiańskich istot, jednak uniemożliwiało dalsze tańce derwisza wykonywane przez Filthiego na jego głowie.

Kiedy trochę później obudził się całkiem trzeźwy, uczuł skruchę. Leżał między stertami węgla, patrzył na zagładające przez okienko promienie słońca i próbował odtworzyć ze strzępków wspomnień wydarzenia dnia wczorajszego. Jego żołądek podejmował spazmatyczne próby ucieczki przez piekące gardło.

Wraz z obudzeniem przyszła świadomość trzech faktów: jutrzejsze troski gnębiły go faktycznie; aureola odbijała się w szkło nad toaletką - no i jeszcze pożegnalne słowa anioła. Jęknął z głębi serca. Kac zniknie, niestety, nie zniknie aureola. Tylko grzesząc, może stać się niegodnym jej - ale ta świecąca ochrona odróżniała go od wszystkich innych ludzi. Wszystkie jego uczynki będą odąd dobre, to co zrobi, będzie służyło innym. Nie mógł już więcej zgrzeszyć!

przekład : Anna Zastawnik

Henry Kuttner      Cmentarne szczury

Stary Masson, stróż jednego z najstarszych i najbardziej zaniedbanych cmentarzy w Salem, był w stanie wojny ze szczurami. Wiele pokoleń temu przybyły one z portów i zamieszkały cmentarz. Była to kolonia niezwykle wielkich szczurów i kiedy Masson objął posadę po niewytłumaczonym zniknięciu poprzedniego stróża, postanowił je przepędzić. Najpierw zastawiał na nie sidła i podsuwał pod wyloty nor zatrute jadlo, potem próbował je wystrzelać, ale wszystko bez skutku. Szczury pozostały, mnożąc się i rojąc po cmentarzu wygłodniałymi hordami.

Były wielkie. Nawet jak na „mus decumanus”, który osiąga czasem długość piętnastu cali, nie licząc gołego, różowo-szarego ogona. Masson widział czasem przemykające sztuki wielkości sporego kota, a kiedy grabarze natrafili parokrotnie na ich nory, ocenił, że cuchnące tunele miały dostatecznie duży przelot, aby mógł się przez nie przedostać człowiek na czworakach. Statki z odległych portów, przybывające wiele lat temu do butwiejącej przystani Salem, przywoziły dziwne ładunki.

Czasami Masson zastanawiał się nad niezwykłą wielkością nor. Przypominał sobie różne dziwne i niepokojące legendy, które słyszał czasem, odkąd przybył do starożytnego Salem,

gdzie straszło. Legendy o półtrupich, nieludzkich istotach, kryjących się w zapomnianych ziemnych norach. Dawne dni, kiedy Cotton Mather trzebił kutcy zła, których wyznawcy czcili w okropnych orgiach Hekate i Wielką Czarną Matkę, już minęły. Ale ciemne domostwa o spadzistych dachach wciąż jeszcze pochylały się niebezpiecznie ku sobie poprzez wąskie, brukowane uliczki, a w podziemnych pieczarach i piwnicach kryły się jakoby bluźniercze tajemnice i w dalszym ciągu były odprawiane stare pogańskie misteria wbrew prawu i rozumowi. Starzy ludzie, kiwając mądrze głowami, opowiadali, że pod przeklętą ziemią salemskiego cmentarza są rzeczy jeszcze gorsze niż robactwo i szczury.

Istniał też jakiś dziwny strach przed szczurami. Masson czuł do okrutnych małych gryzoni odrazę i respekt, gdyż znał niebezpieczeństwo czające się w ostrych, błyszczących kłach, nie mógł jednak zrozumieć niewytłumaczalnej trwogi, jaką objawiali starzy ludzie wobec opuszczonych i zaszczurzonych domów. Słyszał coś niecoś o mieszkających głęboko pod ziemią jakichś wampirowatych stworach, które jakoby umiały wzbudzać posłuch szczurów i rządzić nimi niczym straszliwą armią. Szczury, jak mówili starzy, były posłańcami kursującymi między tym światem a starożytnymi, ponurymi pieczarami głęboko pod powierzchnią Salem. Mówiono, że na podziemne nocne uczty kradzione są ciała z grobów cmentarza. Opowiadano historię Pieda Pipera, ponurą legendę kryjącą przerażające bluźnierstwo o czarnych jaskiniach w Avernus, które wydały spłodzone piekielną mocą stwory nie wychodzące nigdy na światło dnia.

Masson nie zwracał uwagi na te opowieści. Nie zaprzyjaźnił się nad miarę z sąsiadami, a w istocie starał się jak mógł ukryć obecność szczurów przed obcymi. Dochodzenie, jak sądził, oznaczałoby otwieranie wielu grobów i o ile to, że niektóre trumny były pogryzione i puste, można by było przypisać działalności szczurów, o tyle Massonowi trudno byłoby wyjaśnić, dlaczego ciała w niektórych trumnach były zmaltretowane.

Złoto dentystyczne jest najwyższej próby, a nieboszczykowi nie usuwa się sztucznych zębów. Ubranie, rzecz jasna to inna sprawa, gdyż przedsiębiorstwo pogrzebowe daje normalne, tanie ubranie ze zwykłego materiału, które można łatwo rozpoznać. Ale złoto, to co innego. A czasem zdarzali się studenci medycyny i mniej szanujący się lekarze, którym potrzebne były ciała nieboszczyków, a którzy nie dbali zanadto o ich pochodzenie.

Jak dotąd, Masson skutecznie przeciwdziałal wszelkim dochodzeniom. Gwałtownie zaprzeczał istnieniu szczurów, mimo że ograbiały go one czasem z łupu. Masson nigdy nie troszczył się o nieboszczyka po dokonaniu swej ponurej kradzieży, natomiast szczury wywlekały całe ciało wygryzioną w trumnie dziurą.

Rozmiary tuneli budziły czasem niepokój Massona. Dziwne było też, że dziura była zawsze wygryziona w szczycie trumny, a nigdy od góry, czy z boku. Wyglądało na to, jakby szczury wykonywały swą pracę pod kierownictwem jakiegoś przedziwnie inteligentnego przywódcy.

Teraz stał w rozkopanej mogile, wyrzucając na bok ostatnią łopatę mokrej ziemi. Padało. Drobną deszcz siąpił od tygodni z nasiąkłych wilgocią czarnych chmur. Cmentarz leżał w żółtej, lepkiej glinie, z której wymyte w deszczu nagrobki wystawały na obraz nierównych szyków wojska. Szczury wycofały się do nor i nie było ich widać od wielu dni. Ale ponurą, zarośniętą twarz Massona żłobił grymas. Trumna, na której stał, była drewniana.

Pogrzeb odbył się kilka dni temu, ale Masson do tej pory nie odważył się na odkopanie trumny. Jakiś krewny zmarłego przychodził często na grób nawet podczas deszczu. Ale o tak późnej godzinie już na pewno nie przyjdzie, myślał z szyderczym uśmiechem Masson, żeby w nie wiem jak wielkim smutku był pogrążony. Wyprostował się i odłożył łopatę na bok.

Z wysokości wzgórze, na którym leżał starożytny cmentarz, widział przebijające w deszczu, migocące światła Salem. Wyjął z kieszeni elektryczną latarkę. Teraz będzie potrzebna. Ujął w rękę łopatę, pochylił się i przyglądał się mocowaniu wieka.

Nagle zesztyniał. Poczł pod stopami niespokojne drżenie i skrobanie, jakby się w trumnie coś się poruszyło. Przez chwilę stał sparalizowany przesądnym strachem i natychmiast, gdy

tylko zdał sobie sprawę z przyczyny odgłosów, wypełniła go wściekłość. Szczury go znów uprzedziły!

W napadzie złości Masson zaatakował mocowanie wieka trumny. Podłożył ostrze łopaty pod brzeg deski i podważył na tyle, aby dokończyć dzieła gołymi rękami. Skierował zimny strumień światła latarki w głąb trumny.

Deszcz kropił po białym atlasie wyściełającym trumnę. Była pusta. Masson dostrzegł jakiś ruch w szczycie skrzyni i skierował latarkę w tę stronę. Zobaczył wygryzioną w trumnie dziurę prowadzącą w ciemność. A w niej zniknął właśnie czarny, bezwładnie wleczony pantofel. Masson uświadomił sobie, że szczury były od niego tym razem szybsze zaledwie o kilka minut. Zeskoczył w dół, puszczając latarkę i łapiąc za but. Latarka spadła do trumny i natychmiast zgasła. But wysliznął się z ręki. Masson usłyszał ostry, podniecony pisk. Znalazł latarkę i skierował jej światło do nory.

Tunel był duży, gdyż inaczej nie można by nim wlec trupa. Masson zastanawiał się, jak wielkie musiały być szczury, aby były w stanie ciągnąć ludzkie ciało, ale naładowany rewolwer w kieszeni przydał mu animuszu. Gdyby to był zwykły trup, Masson byłby zapewne raczej zostawił łup szczurom, niż pchał się w ciasną norę, ale zwrócił był uwagę na niezwykle piękne spinki w mankietach koszuli i spinkę w krawacie z niewątpliwie prawdziwą perłą. Bez wahania przypiął latarkę do paska i wczołgał się do nory.

Była wąska, ale można się było nią precyzyjnie przesuwać. Przed sobą widział w świetle latarki czarne półbuty wleczone po mokrej ziemi dna tunelu. Szedł norą jak mógł najszybciej, od czasu do czasu ledwo przeciskając swój chudy tułów między jej ścianami.

Powietrze w norze odurzało stęchłym odorem padliny. Postanowił, że jeżeli nie dogoni zwłok w ciągu minuty, wycofa się. Spóźniony strach zaczął się wkradać w jego mózg, jak robactwo, ale zachłanność popychała go naprzód. W swojej pogoni na czworakach kilkakrotnie minął wyloty odgałęziających się tuneli. Ściany nory były wilgotne i oślizłe i dwukrotnie oberwały się za nim ze stropu grudy ziemi. Za drugim razem zatrzymał się i wykręcił głowę, aby obejrzeć się za siebie. Oczywiście, nie zobaczył nic, dopóki nie odpiął od paska latarki i nie skierował jej do tyłu.

Zobaczył za sobą kilka grad i nagle zdał sobie sprawę ze swojego przerażającego położenia. Jego puls przyspieszył na myśl o możliwości zapadnięcia gruntu i postanowił zaniechać swojego pościgu, mimo że już prawie dogonił trupa i wlokące go niewidzialne stwory. Nie pomyślał dotąd o jednej rzeczy - nora była za wąska, aby zawrócić.

Przez chwilę ogarnęła go panika, ale przypomniał sobie boczny tunel, który dopiero co minął i poczołgał się wstecz, aż do niego wrócił. Wsunął w wylot nogi na tyle, aby móc zawrócić, a potem zaczął szybki odwrót, mimo bólu w posiniaczonych kolanach.

Wściekły ból przeszył mu nogę. Poczul jak ostre zęby zatapiają się w jego ciele i usłyszał tupot wielu małych nóg. Zaświeciwszy latarką za siebie, Masson aż wciągnął spazmatycznie ze strachu powietrze. Zobaczył z tuzin wielkich szczurów obserwujących go uważnie błyszczącymi w świetle latarki wąskimi oczkami. Były to ogromne, niekształtne zwierzęta wielkości kota. Za nimi dostrzegł jeszcze w ruchu ciemny kształt, który na błysk latarki usunął się szybko w cień. Masson zadrżał na widok tak niewiarygodnych rozmiarów.

Światło powstrzymało je przez chwilę, ale powoli zaczęły znów się zbliżać, a ich zęby jaśniały w bladym, elektrycznym świetle matowym, żółtym odbłaskiem. Masson sięgnął po rewolwer, wyplątał go z kieszeni i starannie wymierzył. Był w niewygodnej pozycji i starał się wcisnąć nogi w wilgotne ściany tunelu, aby nie wsadzić pocisku we własną stopę.

Przetaczający się grzmot wystrzału ogłuszył go na chwilę, a chmury dymu zmusiły do kaszlu. Kiedy mógł już coś usłyszeć, a dym opadł, zobaczył, że szczury uciekły. Schował rewolwer i zaczął szybko pełznąć wzdłuż tunelu, a wtedy znów, drecząc i podbiegając, dopadły go.

Zaroily mu się u nóg, tnąc i piszcząc jak obłąkane, aż Masson wrzasnął okropnie, sięgając jednocześnie po broń. Strzelił, nie celując i miał szczęście, że nie ustrzelił sobie stopy. Tym

razem szczury nie odstępowały tak daleko, ale Masson pełzł szybko wzdłuż nory, gotów do strzału na pierwszy znak ataku.

Usłyszał z tyłu tupot i skierował ostry strumień światła za siebie. Wielki szary szczur zatrzymał się i obserwował go. Długie strzępiaste wąsy drgały mu, a oślizły, goły ogon poruszał się powoli z boku na bok. Masson krzyknął i szczur wycofał się.

Pełznąć zatrzymał się na chwilę, by odetchnąć przy czarnym wylocie odgałęzienia tunelu, kiedy nagle zobaczył na wilgotnej glinie o kilka jardów przed sobą bezkształtną masę. Przez moment sądził, że to ziemia oberwała się ze stropu, ale za chwilę rozpoznał ludzkie ciało. Była to brunatna, skurczona mumia, która - ku okropnemu przerażeniu Massona - poruszała się...

Pełzła ku niemu i w bladym świetle latarki zobaczył nacierającą nieruchomą twarz.

Pozbawiona czucia, trupia czaszka osadzona na od dawna martwym tułowiui była ożywiona jakimś piekielnym instynktem. Szklistość rozdętych i wybałuszonych oczu zdradzała, że to było ślepe. W miarę posuwania się ku Massonowi, trup wydawał słaby jęk, a jego rozpadające się, spękane wargi były rozciągnięte w uśmiechu przerażającego głodu. Masson zamarł w otchłani przerażenia i obrzydzenia.

Zanim trwoga zdołała sparaliżować go całkowicie, Masson zdołał rzucić się gorączkowo w boczną norę. U swoich stóp usłyszał odgłos skrobienia i jęk podążającego w ślad za nim trupa. Obejrzał się przez ramię, przeraźliwie krzyknął i zaczął desperacko przedzierać się przez ciasny tunel. Czołgał się z trudem, a ostre kamienie kaleczyły mu dłonie i kolana. Błoto zalepiało mu oczy, ale nie odważył się zatrzymać nawet na krótką chwilę. Gramolił się gorączkowo, łapiąc powietrze, klnąc i modląc się histerycznie.

Szczury atakowały go z piskiem triumfu, a w ich oczach lśnił okropny blask głodu. Masson już omal nie uległ ich złowrogim zębom, nim zdołał je pobić silnymi ciosami. Przejście było coraz ciasniejsze. W gorączkowej trwodze kopał, wrzeszczał i strzelał, dopóki kurek nie opadł na pustą łuskę. Ale w końcu odparł je.

Pełznąć spostrzegł, że znalazł się pod dużym kamieniem osadzonym w stropie tunelu i orającym mu boleśnie plecy. Poczul, że pod naciskiem jego ciała kamień jakby ustąpił i w strwożonym mózgu Massona zaświtała nowa myśl. Gdyby tak zwalić kamień i zablokować tunel.

Ziemia była mokra i lepka od wielu deszczów. Masson niemal uniósł się do góry rozkopując rękami glinę wokół kamienia. Szczury znów były blisko. Widział znowu ich oczy, w których odbijał się blask latarki. Rozkopywał z pośpiechem grunt. Kamień poddawał się. Chwycił go i próbował obruszyć, ciągnąc tam i z powrotem.

Szczur podchodził blisko - był to ten sam potwór, którego zauważył już poprzednio. Szary, trędowaty, obrzydliwy, przybliżał się z obnażonymi, żółtymi zębami, a razem z nim nadciągał jęczący w swej wędrówce ślepy trup. Masson szarpnął kamień z całej siły. Poczul, jak się osuwa, odwrócił się i popełznął dalej wzdłuż tunelu.

Za sobą usłyszał tąpnięcie osuwającego się kamienia i nagły, przeraźliwy skrzek agonii. Na nogi posypały mu się grudy ziemi. Ciężkie brzemie przygniotło mu stopy i oswobodził je z trudnością. Cały tunel zapadł się.

Łapiąc spazmatycznie powietrze, Masson rzucił się w trwodze do przodu, a przemoczona ziemia osuwała się za nim. Nora zwężała się do tego stopnia, że ledwie mógł już wykonywać jakieś ruchy rękami i nogami, aby jako tako przesuwać się naprzód. Zwijając się jak węgorz, poczul nagle pod plecami rozdzierający się atlas, a głową trafił na twardą przeszkodę, zagradzającą mu dalszą drogę. Poruszył nogami i stwierdził, że nie były przygniecione zapadającą się gliną. Leżał płasko na brzuchu, a gdy spróbował się podnieść, poczul strop tuż, o kilka cali nad grzbietem. Przeszył go paniczny strach.

Przypomniał sobie, że kiedy ślepe monstrum zastąpiło mu drogę, rzucił się w przerażeniu w boczny tunel - to był tunel bez wyjścia. A teraz leżał w t r u m n i e, w pustej trumnie, do której dostał się dziurą wygryzioną przez szczury!

Chciał się obrócić na plecy i nie mógł. Wieko trumny unieruchamiało go w bezwzględny sposób. Zebrał się w sobie i napał. Ale wieko było niewzruszone. Gdyby nawet udało mu się wyjść ze skrzyni, to w jaki sposób przekopać się przez warstwę pięciu stóp ubitej ziemi! Dyszał. Potwornie śmierdziało, było nieznośnie gorąco. W paroksyzmie strachu darł i szarpał atlas w strzępy. Jeszcze jedna bezowocna próba wbicia stóp w zawalony tunel blokujący odwrót. Gdyby tylko mógł się odwrócić, mógłby przekopać się do powietrza... powietrza... Przeważenie przeszło mu pierś jak rozpalone do białości żelazo i pulsowało w gałkach ocznych. Czuł, że głowa mu puchnie coraz bardziej i bardziej, aż nagle znów usłyszał triumfujący pisk szczurów. Zaczął krzyczeć jak obłąkany, ale nie był w stanie ich odpędzić. Przez chwilę jeszcze miotał się histerycznie w swoim wąskim więzieniu, aż uspokoił się łapiąc powietrze. Powieki mu opadły. Czerniały język wysunął się z ust. Zapadł w czerń śmierci z bijącym w uszy szalonym piskiem szczurów.

przekład : Aleksander Rodziewicz

Henry Kuttner      Czego ci trzeba

abertz ic ogezC

Tak wyglądał napis. Tim Carmichael, pracujący dla pewnego pisma specjalizującego się w ekonomice i dorabiający do niewielkiej pensji pisanem sensacyjnych i nieprawdziwych artykułów dla różnych brukowców, nie mógł znaleźć sensu w tym odwróconym tekście. Sądził, że to tani chwyt reklamowy, rzecz rzadko spotykana na Park Avenue, gdzie szyldy na sklepowych frontonach podkreślały ich klasyczną okazałość. Był poirytowany.

Mrucząc coś cicho poszedł dalej, lecz nagle odwrócił się i pomaszerował z powrotem. Nie miał dość silnej woli, by stłumić chęć dowiedzenia się czegoś, a jego zdenerwowanie rosło. Stanął przed wystawą, spojrzął w górę i powiedział do siebie:

- Mamy to czego ci trzeba. Ach tak!

Tekst wypisany był niewielkimi, drukowanymi literami na czarnym pasie przecinającym wąską, szklaną płaszczyznę. Pod nią znajdowało się jedno z tych panoramicznych okien wystawowych z absolutnie przejrzystego szkła. Widział przez nie kilka przedmiotów starannie ułożonych na białym welwecie. Zardzewiały gwóźdź, rakieta śnieżna i brylantowy diadem. Robiły to takie wrażenie, jakby Salvadore Dali zaprojektował dekorację dla Cartiera albo Tiffany'ego.

- Biżuteria? - zapytał cicho. - Ale czemu „Czego ci trzeba”?

Wyobraził sobie milionerów pogrążonych w beznadziejnej rozpaczce z powodu braku kolii z pięknie dobranych pereł, dziedziczki fortun żałośnie łkające i niepocieszone, gdyż pragną kilku szafirów. Zasadą handlu przedmiotami zbytku była subtelna gra popytu i podaży na

samych szczytach społeczeństwa. Tylko niewielu ludzi potrzebowało diamentów. Reszta po prostu pragnęła ich i miała czym za nie zapłacić.

- Mogą też sprzedawać butelki z dzinami - zdecydował Carmichael. - Albo pałeczki magiczne. Ten sam numer co z królikiem i kapeluszem. Napisz „Cośtam” na szybie, a ludzie płacą te swoje dziesiątki i pchają się do środka. Za dwa centy...

Tego ranka miał zgagę i odczuwał generalną niechęć do świata. Perspektywa wykrycia oszustwa była dosyć atrakcyjna, a jego legitymacja prasowa dawała mu pewne możliwości. Otworzył drzwi i wszedł do sklepu.

To jednak była Park Avenue. Żadnych szaf ani lad. Równie dobrze mogła to być galeria sztuki. Kilka dobrych płócien wisiało na ścianach. Uderzyła go kombinacja oszałamiającego luksusu z chłodem pomieszczenia całkowicie niezamieszkanego.

Zza zasłony w tylnej części pomieszczenia wyszedł bardzo wysoki mężczyzna o zdrowej, rumianej twarzy, błękitnych oczach o ostrym spojrzeniu i starannie uczesanych siwych włosach. Jego drogi, choć nieco zaniedbany, tweedowy garnitur dziwnie nie pasował do wystroju wnętrza.

- Dzień dobry - powiedział, szybkim spojrzeniem lustrując ubranie gościa. Wyglądał na lekko zaskoczonego. Czy mogę w czymś panu pomóc?

- To możliwe - Carmichael przedstawił się i pokazał legitymację.

- Ach... Nazywam się Talley. Piotr Talley.

- Widziałem pański szyld.

- Tak?

- Nasze pismo zawsze szuka tematów. Nigdy dotąd nie zauważyłem pańskiego sklepu.

- Istnieje w tym miejscu od lat - wyjaśnił Talley.

- Czy to galeria?

- Właściwie... nie.

Drzwi otworzyły się. Wszedł rumiany mężczyzna i serdecznie przywitał się z właścicielem. Carmichael rozpoznał go i jego opinia o sklepie zaczęła gwałtownie zrywać. Ten rumiany był to Ktoś - naprawdę.

- Jest troszkę wcześniej, panie Talley - powiedział klient - ale nie chciałem się spóźnić. Czy znalazł pan czas, żeby zdobyć dla mnie... to, czego mi trzeba?

- Oczywiście. Mam tę rzecz. Chwileczkę - Talley pospiesznie wyszedł za draperię i wrócił po chwili z małą, starannie zapakowaną paczuszką, którą podał mężczyźnie. Ten wręczył mu czek (Carmichael zdążył odczytać sumę i nerwowo przełknął ślinę) po czym wyszedł. Jego samochód stał przy krawężniku przed sklepem.

Dziennikarz podszedł do drzwi, skąd mógł wszystko obserwować. Rumiany mężczyzna był niecierpliwy. Jego szofer z kamiennym spokojem czekał, aż paczuszka zostanie odpakowana drżącymi z pośpiechu palcami.

- Nie jestem pewien, czy pragnę reklamy, panie Carmichael - powiedział Talley. - Moja klientela jest dosyć starannie dobrana.

- Może nasze cotygodniowe biuletyny ekonomiczne mogłyby pana zainteresować?

Talley z trudem powstrzymał śmiech.

- Nie, nie przypuszczam. Naprawdę nie to jest moim celem.

Rumiany mężczyzna tymczasem odwinął paczkę i wyjął z niej jajko. Na ile Carmichael, ze swego stanowiska przy drzwiach, mógł mu się przyjrzeć, było to zupełnie normalne jajko. Ale właściciel traktował je niemal z szacunkiem. Gdyby ostatnia kura na Ziemi zdechła dziesięć lat temu, nie byłby chyba bardziej zachwycony. Twarz jego wyrażała głęboką ulgę.

Powiedział coś do szofera i samochód łagodnie potoczył się naprzód.

- Czy pański business to nabiął? - zapytał nieoczekiwanie Carmichael.

- Nie.

- A nie mógłby pan mi wyjaśnić, o co chodzi?

- Obawiam się, że raczej nie - odparł Talley.

Swym dziennikarskim nosem Carmichael wyczuwał jakąś niezłą historię.

- Oczywiście, sam mógłbym do tego dojść, przez Better Business Bureau...

- Nie mógłby pan.

- Nie? Na pewno by ich zainteresowało, dlaczegoż to dla jednego z pańskich klientów jajko jest warte pięć tysięcy dolarów.

- Moja klientela jest tak nieliczna, że wysokie ceny są konieczne - wyjaśnił Talley. - Na pewno słyszał pan o tym, no... mandarynie, który płacił bajońskie sumy za jajka o udowodnionej starości.

- Ten facet nie był mandarynem - stwierdził Carmichael.

- A tak, rzeczywiście. Więc, jak już mówiłem, nie pragnę reklamy...

- Myślę, że jednak tak. Przez jakiś czas pracowałem w reklamie. Ten szyld wypisany na opak to klasyczna przynęta.

- Nie jest pan psychologiem - odparł Talley. - Po prostu spełniłem swoje marzenia. Przez pięć lat codziennie patrzyłem na szybę i czytałem ten napis od tyłu - z wnętrza sklepu. To mnie doprowadzało do pasji. Wie pan, słowo staje się dziwaczne, gdy mu się przyglądać przez dłuższy czas. Każde słowo. Staje się czymś nie należącym do ludzkiego języka. Zacząłem popadać w nerwicę na tle tego napisu. Od tyłu nie ma żadnego sensu, ale ja ciągle próbowałem jakiś znaleźć. Kiedy zacząłem mówić: „Abezrt ic ogeztc, ot ymam” i szukać jakichś filologicznych derywacji, wezwałem malarza. Ludzie i tak przychodzą, jeśli ich to zainteresuje.

- Ale niezbyt wielu - ocenił Carmichael. - To jest Park Avenue. A pan urzęduje w miejscu zbyt kosztownym. Nikt z niskimi dochodami - ani średnimi - tu nie przyjdzie. Zatem pracuje pan dla tych o dochodach wysokich.

- Cóż... - odparł Talley. - Rzeczywiście tak jest.

- I nie powie pan, o co chodzi?

- Raczej nie.

- Sam pan wie, że mogę się tego dokopać. To mogą być narkotyki, pornografia, jakieś paserstwo na większą skalę...

- Bardzo prawdopodobne - zgodził się Talley uprzejmie. - Skupuję kradzioną biżuterię, pakuję ją w jajka i sprzedaję. Albo może to jajko wypakowane było mikroskopijnymi francuskimi pocztówkami. Do widzenia panu, panie Carmichael.

- Do widzenia - odpowiedział Carmichael i wyszedł. Dawno już powinien być w redakcji, ale ten problem podziałał na niego zbyt silnie. Jakiś czas bawił się w detektywa, obserwując sklep; osiągnął niezłe rezultaty - do pewnego stopnia. Dowiedział się niemal wszystkiego, z jednym wyjątkiem - dlaczego?

Późnym popołudniem znowu poprosił właściciela.

- Chwileczkę - powiedział na widok jego niechętniej miny. - Niezależnie od tego, co pan sobie myśli, ja przecież mogę być klientem.

Talley roześmiał się.

- A czemu by nie? - Carmichael zacisnął wargi. Przecież pan nie wie ile mam na koncie. A może pan obsługuje tylko wybranych klientów?

- Nie. Ale...

- Przeprowadziłem pewne obserwacje - powiedział szybko dziennikarz. - Widziałem tych ludzi. Prawdę mówiąc nawet ich śledziłem. I wiem, co od pana kupują.

- Naprawdę? - Talley zmienił się na twarzy.

- Naprawdę. Oni wszyscy bardzo się spieszą, żeby rozwinąć swoje pakunki, a to mi bardzo ułatwiło. Paru przegapiłem, ale widziałem dosyć, żeby można było zastosować niektóre reguły logiki. Przede wszystkim: pańscy klienci nie wiedzą, co kupują. Tak jak na loterii. Kilka razy byli mocno zaskoczeni. Jakiś facet otworzył paczkę i znalazł plik wycinków ze

starych gazet. A co pan powie na temat okularów słonecznych? A rewolwer? Pewnie nielegalny, nawiasem mówiąc - brak pozwolenia. Albo diament... musiał być sztuczny, był za duży.

- Hm... - odparł Talley enigmatycznie.

- Nie jestem zupełnie zielony i widzę, że coś tu nie gra. Większość tych ludzi to grube ryby, w ten czy inny sposób. Dlaczego żaden z nich nie zapłacił panu, jak ten pierwszy - ten, co przyszedł, jak tu byłem rano?

- W zasadzie sprzedaję na kredyt - wyjaśnił Talley. Mam swoje zasady. Muszę tak robić, dla spokoju sumienia. Ponoszę wielką odpowiedzialność. Widzi pan, sprzedaję... te rzeczy... z pewnego rodzaju gwarancją. Opłata wpływa dopiero wtedy, kiedy przedmiot okaże swoją przydatność.

- Aha. Jajko. Okulary słoneczne. Rękawice azbestowe - chyba to były one. Wycinki z gazet. Rewolwer. I diament. Jak pan to wymyśla?

Talley milczał.

- Ma pan gońca. Posyła go pan, a on wraca z zakupami. Może idzie do spożywczego na Madison i kupuje jajko. Albo do lombardu na Szóstej po rewolwer. Albo... co cóż, mówiłem panu, że dojdę, co pan właściwie sprzedaje.

- I udało się panu? - spytał uprzejmie Talley.

- „Mamy to, czego ci trzeba” - odparł Carmichael. - Ale skąd pan w i e ?

- Widzę, że zbliża się pan do końcowych wniosków.

- Głowa mnie boli - nie miałem okularów! - i nie wierzę w magię. Za dużo znam takich dziwaczkich sklepików, sprzedających niezwykle przedmioty. Za dużo o nich wiem - pisałem o nich. Facet idzie sobie ulicą i nagle widzi jakiś śmieszny stragan, ale właściciel nie obsługuje go, bo handluje tylko z krasnoludkami... Albo właśnie jemu sprzedaje cudowny amulet o specjalnej skuteczności. Tak czy siak - fe!

- Hm... - powiedział Talley.

- Może pan sobie hm-kać ile pan chce, ale nie ucieknie pan od logiki. Albo jest w tym jakiś wielki, ale sensowny kant, albo to jedno z tych śmiesznych przedsięwzięć - magicznych sklepików. A w to nie wierzę. Bo to jest nielogiczne.

- Dlaczego nie?

- Z przyczyn ekonomicznych - wyjaśnił Carmichael. - założmy na chwilę, że władza pan jakimiś tajemnymi mocami - powiedzmy, umie pan budować jakieś urządzenia do telepatii. W porządku. Ale po co, u licha, miałyby pan rozkręcać interes? Żeby sprzedawać te urządzenia? Żeby zarabiać pieniądze? Żeby żyć? Po prostu, włączyłby pan to, odczytał myśli jakiegoś maklera i kupił odpowiednie akcje. I to jest podstawa, wewnętrzna sprzeczność takich przedsięwzięć - jeżeli się coś posiada, żeby otworzyć i prowadzić taki sklep, to się go wcale nie potrzebuje. Po co się bawić w Robin Hooda?

Talley nie odpowiedział. Carmichael uśmiechnął się krzywo.

- „Zastanawiałem się zawsze, co kupują handlarze win, a co jest choć w połowie tak cenne, jak to, co sprzedają” - zacytował. - Właśnie - co p a n kupuje? Wiem, co pan sprzedaje - jajka i okulary słoneczne.

- Jest pan niedyskretnym człowiekiem, panie Carmichael - powiedział cicho Talley. - Czy nigdy nie przyszło panu do głowy, że to nie pańska sprawa?

- Przecież mogę być klientem - powtórzył Carmichael. - Co pan na to?

Chłodne, błękitne oczy Talleya przybrały wyraz zastanowienia. Potem pojawił się w nich jakiś nowy blask; przygryzł wargi.

- Nie pomyślałem o tym - przyznał. - Mógłby pan. W pewnych okolicznościach. Przepraszam na chwilę.

- Proszę bardzo - zgodził się Carmichael. Talley wszedł za zasłonę.

Na zewnątrz ruch uliczny płynął leniwie wzdłuż Parku Avenue. Słońce schowało się już gdzieś za Hudson i ulica pogrążona była w błękitnym cieniu, który niepostrzeżenie pochłoniął barykady wieżowców. Carmichael spojrzął na szyld - MAMY TO, CZEGO CI TRZEBA - i uśmiechnął się.

W pokoiku na zapleczu Talley przysunął twarz do lornetowego wizjera i przekręcił wyskalowaną tarczę. Potem jeszcze kilka razy. Następnie, przygryzając dolną wargę był człowiekiem delikatnym - przywołał gońca i udzielił mu kilku wskazówek. Po czym wrócił do Carmichaela.

- Jest pan klientem - powiedział. - Pod pewnymi warunkami.

- Chodzi o stan mojego konta?

- Nie. Dam panu specjalny rabat. Proszę jednak zrozumieć jedną rzecz. Ja naprawdę mam to, czego panu trzeba. Pan nie wie czego, ale ja wiem. A ponieważ tak jest... cóż, sprzedam to panu za, powiedzmy, pięć dolarów.

Carmichael sięgnął po portfel, lecz Talley powstrzymał go ruchem ręki.

- Zapłaci mi pan, gdy pan będzie usatysfakcjonowany. Zresztą pieniądze to tylko nominalna część należności. Jest jeszcze coś. Jeśli będzie pan zadowolony, chciałbym, żeby mi pań obiecał, że już nigdy nie pojawi się pan w pobliżu mojego sklepu, ani nikomu o nim nie wspomni.

- Rozumiem - powiedział powoli Carmichael. Jego teorie uległy niewielkim zmianom.

- To nie potrwa... o, już jest - dzwonek na zapleczu oznajmił gońca. - Chwileczkę - rzucił Talley i znikł za kotarą. Po chwili wrócił ze starannie zapakowaną paczuszką, którą wepchnął dziennikarzowi do rąk.

- Proszę to nosić przy sobie - powiedział. - A teraz żegnam.

Carmichael skinął głową, schował paczkę do kieszeni i wyszedł. Czuł się bogaty, więc zatrzymał taksówkę i pojechał do znajomego baru. Tam, w słabo oświetlonym wnętrzu budki telefonicznej, odwinął pakunek.

Łapówka, zdecydował. Talley płacił mu za nabranie wody w usta w sprawie swoich machlojek, na czymkolwiek by nie polegały. W porządku, żyj i daj żyć innym. Ciekawe, ile tego...

Dziesięć tysięcy? Pięćdziesiąt? Jak duży był ten szwindel? Otworzył prostokątne, kartonowe pudełko. W środku, owinięte w bibułę, leżały nożyce; tekturowa pochewka chroniła ostrza. Carmichael zamruczał coś cicho. Wypił swój coctail, zamówił drugi, ale nie czuł smaku. Spojrzał na zegarek i doszedł do wniosku, że sklep na Park Avenue jest już pewnie zamknięty i pan Piotr Talley już sobie poszedł.

- „...choć w połowie tak cenne, jak to, co sprzedają” - powiedział. - A może to nożyce Atropos? Ba...

Zdjął tekturę i celem eksperymentu kilka razy przeciął powietrze. Nic się nie stało.

Z lekko zaczerwienionymi policzkami wsadził ostrza z powrotem do tekturowej pochewki i schował nożyce do kieszeni płaszcza. Ale numer! Postanowił następnego dnia zadzwonić do Piotra Talleya.

A do tego czasu? Przypomniał sobie, że był umówiony na kolację z jedną z dziewcząt z redakcji, więc pospiesznie zapłacił rachunek i wyszedł. Ściemniało się i chłodny, północny wiatr wiał od strony Park Avenue. Carmichael szczelniej zawiązał szalik wokół szyi i zaczął machać na przejeżdżające taksówki. Był porządnie zdenerwowany.

Pół godziny później chudy mężczyzna o smutnych oczach - Jerry Worth, jeden z przepisujących teksty przed odesłaniem ich do drukarni - przywitał go przy barze, gdzie Carmichael spędzał czas oczekiwania.

- Czekasz na Betsy? - spytał, skinąwszy w kierunku restauratora. - Przysłała mnie, żeby ci powiedział, że nie może przyjść. Kupa roboty, zamykamy numer. Przepraszam i w ogóle. Gdzieś był przez cały dzień? Miałem parę spraw do ciebie. Napijmy się.

Zamówili żytnią. Carmichael był już lekko wstawiony. Rumieńce na jego policzkach przybrały ciemniejszy odcień, marszczył czoło.

- Czego ci trzeba - mrucał. - Mały, skryty...

- Co? - spytał Worth.

- Nic. Wypijmy. Właśnie postanowiłem narobić jednemu gościowi kłopotów. O ile potrafię.

- Sobie niemal narobiłeś kłopotów. Ta analiza wydobywania rud...

- Jajka! Okulary!

- Wyciągnąłem cię z tego...

- Zamknij się - powiedział Carmichael i zamówił następną kolejkę. Trząśnięcie z wściekłości, ilekroć poczuł w kieszeni ciężar nożyc.

- Nie przeszkadza mi spełnianie dobrych uczynków, ale lubię o nich opowiadać - powiedział z uporem Worth pięć kolejek później. - A ty mi nie pozwalasz. Pragnę tylko odrobiny wdzięczności.

- Dobra, opowiadaj - zgodził się Carmichael. - Wyrzuć to z siebie. Kto ci przeszkadza?

- Te rudy - powiedział Worth z wyraźną satysfakcją. - To było to. Nie było cię w redakcji, ale ja to wyłapałem. Sprawdziłem w naszych rejestrach, wszystko o Trans-Steel było na opak. Jakbym nie poprawił, byłoby już w drukarni.

- Co?

- Trans-Steel. Oni...

- Ty draniu! - ryknął Carmichael. - Przecież wiem, że to się nie zgadzało z naszymi danymi. Miałem nawet zostawić notatkę, żeby je uaktualnili. Miałem informacje z samego źródła. Po jaką cholere wtykasz nos w nie swoje sprawy?

Worth nerwowo zamrugnął oczami.

- Chciałem pomóc...

- Mogłem za to dostać piątkę podwyżki. Narobiłem się jak dziki, żeby to wygrzebać. Słuchaj, czy materiał już poszedł?

- Nie wiem. Może nie. Croft jeszcze sprawdzał kopie.

- O.K. - rzucił Carmichael. Złapał szalik, zeskoczył ze stołka i ruszył do drzwi z protestującym Worthem następującym mu na pięty. Dziesięć minut później byli już w redakcji, wysłuchując uprzejmych wyjaśnień Crofta, że owszem, maszynopis został już odesłany do drukarni.

- To takie ważne? Co to właściwie tam było? A przy okazji, gdzie byłeś cały dzień?

- Tańczyłem sobie wśród tęczy - warknął Carmichael i wyszedł. Upřednio mieszał whisky i żytnią, więc chłodne, nocne powietrze nie otrzeźwiło go. Chwiejąc się lekko, stał na krawężniku i obserwował chwiejące się budynki.

- Przepraszam cię, Tim - powiedział Worth. - Teraz już za późno. Nic się nie stanie, miałeś prawo opierać się na redakcyjnych rejestrach.

- Spróbuj mnie powstrzymać - odrzekł Carmichael. - Ty cholerny, mały... - był wściekły i pijany. Pchnięty nagłym impulsem zatrzymał kolejną taksówkę, by jechać do drukarni.

Trochę zakłopotany Jerry Worth wsiadł za nim.

Rytmiczny hałas wypełniał budynek. Szybka jazda taksówki spowodowała u Carmichaela lekkie nudności; bolała go głowa, rozpuszczony we krwi alkohol krążył w jego żyłach.

Duszne, gorące powietrze nie przyniosło ulgi. Wielkie linotypy, ludzie poruszali się wokół nich jak widma. Widok był trochę koszmarny. Carmichael, przygarbiony, z upartą miną przestępował z nogi na nogę, gdy nagle coś szarpnęło go z tyłu i zaczęło ciągnąć.

Worth krzyknął. Na jego twarzy pojawił się wyraz zgrozy. Wykonywał jakieś nieskoordynowane ruchy.

To było częścią koszmaru. Carmichael zrozumiał, co się stało. Jakieś ruchome dźwignie zaczepiły o końce jego szalika i nieustępliwie ciągnęły go pomiędzy miażdżące, metalowe tryby. Stukot, dudnienie i wycie ogłuszały. Szarpnął szalik.

..nóż! Utnijcie to! - wrzeszczał Worth.

Carmichaela uratował spowodowany alkoholem specyficzny stan umysłu. Trzeźwy byłby zupełnie obezwładniony strachem. Tymczasem teraz trudno mu wprawdzie było zebrać myśli, lecz gdy jakaś już mu zaświtała, była jasna i klarowna. Przypomniał sobie nożyce i sięgnął dłonią do kieszeni. Błysnęły wyszarpięte z tekturki ostrza. . Szybkim choć niepewnym ruchem odciął szalik.

Biały jedwab zniknął we wnętrzu maszyny, Carmichael dotknął postrzępionego brzegu tkaniny i uśmiechnął się niepewnie.

Piotr Talley żywił nadzieję, że Carmichael się więcej nie pojawi. Linie prawdopodobieństwa wykazywały dwa możliwe warianty; w jednym wszystko szło dobrze, w tym drugim...

Carmichael wszedł do sklepu następnego ranka i wyjął pięciodolarowy banknot. Talley schował go.

- Dziękuję. Ale mógł mi pan przysłać czek.

- Mógłbym. Tylko, że wtedy nie dowiedziałbym się tego czego chcę się dowiedzieć.

- To prawda - westchnął Talley. - Pan już zdecydował, czyż nie?

- Dziwi się pan? - spytał Carmichael. - Ostatniej nocy - wie pan co się stało?

- Tak.

- Skąd?

- Właściwie mogę panu powiedzieć. I tak pan do tego dojdzie. Tyle przynajmniej wiadomo na pewno.

Carmichael usiadł, zapalił papierosa i kiwnął głową.

- Logika. W żaden sposób nie mógł pan zaaranżować tego małego wypadku. Betsy Hoag zdecydowała nie przyjść na randkę już wczoraj wczesnym rankiem. Zanim pana poznałem. A to był początek łańcucha zdarzeń, prowadzącego do wypadku. Ergo, musiał pan wiedzieć, co się stanie.

- Wiedziałem.

- Jasnowidzenie?

- Mechanicznie. Zobaczyłem, że będzie pan zmiądzony przez maszynę...

- To implikuje zmiany przyszłości.

- Z pewnością - powiedział Talley, wzruszając ramionami. - Przyszłość jest możliwa w nieskończonej ilości wariantów. Różne linie prawdopodobieństwa. Wszystko zależy od przejść przez pewne punkty krytyczne, gdy się one pojawiają. Tak się złożyło, że posiadam pewną wiedzę w niektórych gałęziach elektroniki. Kilka lat temu, właściwie przypadkowo, odkryłem zasadę widzenia przeszłości.

- Jak pan to robi?

- Głównie chodzi tu o indywidualne zogniskowanie osobnika. Od momentu, kiedy pan wszedł tutaj - machnął ręką - jest pan w zasięgu promienia mojego skanera. Samą maszynę mam na zapleczu. Obracając wyskalowaną tarczą sprawdzam możliwe wersje przyszłości. Czasem jest ich dużo. Niekiedy tylko kilka, jakby czasami niektóre stacje nie nadawały. Patrząc w ekran i widzę, czego panu trzeba - i dostarczam to.

Carmichael wypuścił nosem dym z papierosa i przez półprzysłone powieki obserwował niebieskie pasma.

- Przegląda pan całe życie człowieka - potrójnie, poczwórnym, czy ile tam trzeba?

- Nie - zaprzeczył Talley. - Moje urządzenie jest ustawione tak, że wykrywa krzywe krytyczne. Kiedy się pojawią, śledzę je dalej i sprawdzam, co linie prawdopodobieństwa wskazują jako konieczne dla czyjego bezpieczeństwa czy szczęśliwego ocalenia.

- Okulary słoneczne, jajko, rękawice...

- Pan... powiedzmy, Smith jest jednym z moich stałych klientów. Ilekroć szczęśliwie przetrwa kryzys, z moją pomocą, zjawia się po kolejne wskazówki. Umiejscawiam wtedy następny kryzys i zaopatruję go w to, czego mu trzeba, by go przetrwać. Teraz dałem mu azbestowe rękawice. Za mniej więcej miesiąc znajdzie się w sytuacji, kiedy będzie musiał - w pewnych okolicznościach - poruszyć rozgrzany do czerwoności metalowy pręt. On jest malarzem. Jego ręce...

- Rozumiem. Więc nie zawsze chodzi o ratowanie życia.

- Oczywiście, że nie. Życie nie jest jedynym istotnym czynnikiem. Stosunkowo niewielki kryzys może doprowadzić... no, choćby do rozwodu, nerwicy, błędnej decyzji i zguby setek ludzkich istnień. Ja zapewniam życie, zdrowie i szczęście.

- Jest pan altruistą. Ale czemu ogranicza pan swoje interesy do kilku osób?

- Nie mam ani dosyć czasu, ani dosyć sprzętu. - Można zbudować więcej maszyn.

- Cóż... - powiedział Talley. - Większość moich klientów to ludzie bogaci. Muszę z czegoś żyć.

- Gdyby panu zależało na pieniądzach, mógłby pan na przykład odczytać przyszłe notowania giełdowe - stwierdził Carmichael. - Wracamy do starej kwestii: jeśli ktoś ma cudowną moc, czemu zadowolona się prowadzeniem byle jakiego sklepiku?

- Z przyczyn ekonomicznych. Ja... och, nie lubię grać na giełdzie.

- To nie byłaby gra - zauważył Carmichael. - „Zastanawiałem się zawsze, co kupują handlarze win...” No właśnie. Co p a n z tego ma?

- Satysfakcję - odparł Talley. - Można to tak określić.

Ale Carmichael nie był zadowolony. Zapomniał na razie o problemie i rozważał nowe możliwości. Gwarancja: życie, zdrowie i szczęście.

- A co ze mną? Czy w moim życiu znowu nastąpi kryzys?

- Zapewne. Choć niekoniecznie wiążący się z zagrożeniem życia.

- A więc jestem pańskim stałym klientem.

- Ale ja nie...

- Proszę posłuchać. Nie będę pana wykorzystywał. Zapłacę. Dużo. Nie jestem bogaczem, ale doskonale wiem, ile są dla mnie warte usługi tego rodzaju. Żadnych kłopotów...

- To niemożliwe.

- Och, niechże pan da spokój. Nie grożę panu reklamą, jeśli jej właśnie pan się boi. Jestem zwyczajnym człowiekiem, nie jakimś melodramatycznym demonem zła. Czy wyglądam groźnie? Czego się pan boi?

- Jest pan zwyczajnym człowiekiem, to prawda - zgodził się Talley. - Tylko że...

- Ale dlaczego? - nie dawał za wygraną Carmichael. - Nie będę pana niepokoił. Z pańską pomocą szczęśliwie przeżyłem jeden kryzys. Za jakiś czas nastąpi kolejny. Niech mi pan da to, czego będę potrzebował. Zapłacę, ile pan zechce. Jakoś zdobędę pieniądze. Pożyczę, jeśli nie będzie innego wyjścia. Nie będę sprawiał kłopotów. Chcę tylko, kiedy minie kolejny kryzys, żeby wolno mi było przyjść tutaj i zaopatrzyć się w amunicję na następny. Co w tym złego?

- Nic - odpowiedział Talley spokojnie.

- No właśnie. Jestem zwyczajnym człowiekiem. Mam dziewczynę - to Betsy Hoag. Chcę się ożenić, osiedlić gdzieś na wsi, wychowywać dzieci i czuć się bezpiecznie. Przecież nie ma w tym nic złego.

- Było za późno w chwili, w której wszedł pan dzisiaj do tego sklepu - powiedział Talley. Carmichael gwałtownie podniósł głowę.

- Dlaczego? - zapytał ostro.

Gdzieś z tyłu zadzwonił dzwonek. Talley wszedł za zasłonę i niemal natychmiast wrócił, niosąc obwiązany pakunek. Wręczył go Carmichaelowi. Ten uśmiechnął się.

- Dziękuję - powiedział. - Bardzo dziękuję. Czy wie pan, w przybliżeniu, kiedy to nastąpi?

- W ciągu tygodnia.

- Pozwoli pan, że ja... - Carmichael odwinął paczkę. Wyjął z niej parę butów na gładkich, plastikowych podeszwach i zaskoczony spojrzał na Talleya.

- Takie coś? Będę potrzebował butów?

- Tak.

- Przypuszczam... - zawahał się. - Sądzę, że mi pan nie powie dlaczego.

- Nie, tego nie zrobię. Ale niech je pan nosi, gdziekolwiek by pan szedł.

- Może pan być spokojny. I... przyślę panu czek. Zebranie pieniędzy może mi zabrać kilka dni, ale zapłacę na pewno. Ile?

- Pięćset dolarów.

- Przyślę czek jeszcze dzisiaj.

- Wolałbym nie przyjmować zapłaty, dopóki klient nie będzie usatysfakcjonowany - wyjaśnił Talley. Zachowywał się teraz z rezerwą, jego niebieskie oczy były skupione i chłodne.

- W porządku - zgodził się Carmichael. - Teraz idę to uczcić. Pan... nie pije?

- Nie mogę zostawić sklepu.

- No cóż, w takim razie do widzenia. I dziękuję raz jeszcze. Nie będzie ze mną żadnych kłopotów, obiecuję odwrócił się i wyszedł.

Talley popatrzył za nim i uśmiechnął się smutno. Nie odpowiedział na pożegnanie Carmichaela. Jeszcze nie. Kiedy drzwi się zamknęły, wrócił na zaplecze i wszedł do pokoju, w którym stał skaner.

Wiele zmian może nastąpić przez dziesięć lat. Człowiek znający niezwykłą moc, mający ją w zasięgu ręki, może zmienić się z człowieka, który po nią sięgnie, w człowieka, który to uczyni - a normy moralne pójdą w zapomnienie.

Carmichael zmieniał się powoli. Dobrze świadczy o jego sile wewnętrznej, że aż dziesięć lat trwało przewartościowanie skali, w której był wychowany. W dniu, w którym wkroczył do sklepu Talleya, niemal nie było zła w jego duszy. Pożądanie jednak stawało się silniejsze z każdym tygodniem, z każdą wizytą. Talley, dla siebie znanych powodów, wolał siedzieć biernie, czekając na klientów, pod przykryciem trywialnych zadań tłumiąc niewyobrażalne możliwości maszyny. Ale Carmichael nie był zadowolony.

Osiągnięcie tego dnia zabrało mu dziesięć lat, lecz dzień ten w końcu nadszedł.

Talley siedział w pokoju na zapleczu plecami do drzwi, zagłębiony w starym, bujanym fotelu. Maszyna przez te dziesięć lat zmieniła się niewiele. Wciąż pokrywała większą część powierzchni dwóch ścian, a okular skanera pobłyskiwał w ciemnożółtym świetle lamp fluorescencyjnych.

Carmichael pożądliwie spojrzał w jego kierunku. To było okno - i drzwi - do mocy ponad ludzkie marzenia. Tam, w tym niewielkim otworze kryła się niewyobrażalna potęga, władza nad życiem i śmiercią wszystkich ludzkich istot. A pomiędzy nim a tą cudowną przyszłością nie było nic - nic prócz człowieka, który siedział w fotelu, wpatrując się w maszynę.

Zdawać by się mogło, że Talley nie słyszał odgłosu kroków ani cichego skrzypnięcia drzwi. Nie poruszył się, kiedy Carmichael wolno unosił pistolet. Można by sądzić, że nie domyślał się, co nadchodzi, ani dlaczego, ani z czyjej ręki, kiedy Carmichael przestrzelił mu głowę.

Talley westchnął i zadrżał lekko. Nie pierwszy już raz, przeglądając odcinki linii prawdopodobieństwa, obiektyw ukazywał mu jego własne, martwe ciało. Za każdym razem jednak, widząc tę znajomą sylwetkę padającą bez życia, czuł jakby podmuch nieopisanego chłodu wiejący ku niemu z przyszłości.

Wyprostował się i usiadł wygodnie, w zamyśleniu spoglądając na parę butów o szorstkich podeszwach leżących obok, na stole. Przez chwilę nie ruszał się, myślami prowadząc Carmichaela wzdłuż ulicy, do wieczora, ranka i dalej, ku nadchodzącemu kryzysowi. Jego skutki zależęć miały od tego, czy wystarczająco pewnie będzie stał na peronie metra, gdy kolejka z hukiem zbliżać się będzie do miejsca, w którym znajdzie się pewnego dnia w przyszłym tygodniu.

Talley wysłał gońca po dwie pary butów. Wahał się długo jeszcze godzinę temu, wybierając między parą na szorstkich i na gładkich podeszwach. Był bowiem dobrym człowiekiem i często jego praca napępiała go niesmakiem. W końcu jednak zapakował dla Carmichaela buty na gładkich podeszwach.

Westchnął raz jeszcze i znowu pochylił się nad skanerem, obracając tarczę, aby przywołać oglądaną, poprzednio scenę. Carmichael stojący na zatłoczonym peronie połyskującym plamami smaru z jakiegoś przecieku. Carmichael w butach o śliskich podeszwach wybranych dla niego przez Talleya. Poruszenie w tłumie, parcie ku krawędzi peronu i stopy Carmichaela, rozpaczliwie usiłującego odzyskać równowagę, gdy pociąg huczy tuż obok.

- Żegnam, panie Carmichael - mruknął Talley. To było pożegnanie, którego nie wypowiedział, kiedy tamten wychodził ze sklepu. Teraz zrobił to z żalem. Żałował dzisiejszego Carmichaela, który nie zasłużył sobie na taki koniec. Dziś nie był jeszcze melodramatycznym demonem zła, na którego śmierć można patrzeć bez drgnienia. Ale Tim Carmichael dnia dzisiejszego musiał zapłacić za Carmichaela za dziesięć lat. Musiał.

Nie jest rzeczą dobrą posiadanie władzy nad życiem i śmiercią swoich bliźnich. Piotr Talley wiedział, że nie jest to rzeczą dobrą - ale tę władzę włożono mu w ręce. Nie pragnął jej. Zdawało mu się, że przy pomocy jego wytrenowanych palców i wytrenowanego umysłu maszyna zupełnie przypadkowo wzrosła do swej potężnej postaci.

Początkowo peszyła go. Jak używać takiego urządzenia? Jakie niebezpieczeństwa, jakie straszliwe możliwości kryły się w tym oku, patrzącym poprzez zasłonę jutra? Spoczęła na nim odpowiedzialność i nim znalazł odpowiedź, z trudem znosił jej ciężar. A kiedy już wiedział... cóż, wtedy ciężar jeszcze się zwiększył. Albowiem Piotr Talley był człowiekiem

łagodnym. Nikomu nie mógł zdradzić prawdziwego powodu dla którego prowadził sklep. Satysfakcja, powiedział Carmichaelowi. Rzeczywiście, czasem odczuwał głęboką satysfakcję. Ale kiedy indziej - tak jak teraz - był tylko przestach i poniżenie. Zwłaszcza poniżenie. Mamy to, czego ci trzeba. Tylko Talley wiedział, że informacja ta nie była przeznaczona dla tych, co odwiedzali jego sklep. To była wiadomość dla świata - tego świata, którego przyszłość była ostrożnie, delikatnie kształtowana > przez Piotra Talleya. Niełatwo było zmienić generalną linię przyszłości. Przyszłość jest piramidą ułożoną cegła za cegłą i cegła za cegłą musiał ją Talley zmieniać. Istnieli ludzie, którzy byli niezbędni, którzy mogli budować, tworzyć - którzy powinni być ocaleni. Talley dawał im to, czego było im trzeba. Ale, co nieuniknione, byli i inni, których przeznaczeniem było zło. Talley dawał im także - to, czego było trzeba światu - śmierć. Piotr Talley nie chciał tej straszliwej mocy. Ale klucz do niej znalazł się w jego rękach, a nie ośmieliłby się przekazać takiej władzy żadnemu z żyjących. Czasem popełniał błędy. Poczł się trochę pewniej, kiedy doszukał się podobieństwa maszyny do klucza. Klucza do przyszłości. Klucza, który mu powierzono. Pamiętał o tym, gdy opierając się wygodnie, sięgał po starą, wytartą księgę. Łatwo odszukał dobrze znany cytat. Jego wargi poruszały się lekko, gdy czytał go jeszcze raz w małym pokoiku za sklepem na Park Avenue. „Otóż i Ja tobie powiadam: Ty jesteś Piotr... I tobie dam klucze Królestwa Niebieskiego...”

przeł. Piotr W. Cholewa

Henry Kuttner     De profundis

Kłopot jest ze słowami. Kłopot - tylko szalenieć mógł to napisać, gdyż mogła się to przydarzyć tylko szaleńcowi. I trudna ominąć barierę. To znaczy barierę, która się wzniosła dokoła prawdziwego mnie. Myślę jasno, ale nigdy nie wiem, kiedy się znajdę pod przymusem i nieodpowiednie słowa zaczną spływać na papier...

Jestem jak nazbyt prędko kręcące się koło. Odebrałem dość staranne wykształcenie - przedtem. Znam mnóstwo frazesów. Lekarze nie mają jeszcze pewności, co mi dolega. Pozostaje nieobowiązująca prognoza. Może to być katatonia lub schizofrenia.

**TO NAJSTRASZNIJSZA BEZNADZIEJNA PUŁAPKA**

Stop. Muszę się przecież postarać, żeby to miało sens. Muszę się postarać i napisać to w formie tradycyjnej. Chcę to napisać do góry nogami i wspak, i jak palimpsest, po całej kartce. Muszę jednak wszystko wyjaśnić. Tylko ja potrafię odróżnić halucynację od rzeczywistości, ale naturalnie nikogo nie mogę zmusić; by bo widział. Kłopot polega na tym, że wślizgują się między moje halucynacje i sami udają złudzenia...

Czasami nawet mnie jest z tym trudno. Brak mi kotwicy zdrowia, której bym się mógł ucześcić. Wiem, że jestem szalony. To znaczy, wiem o tym, kiedy jestem na wpół rozumny.

Kiedy się znajdę na równi pochyłej, pozostaje jedynie to wirujące, więzące piekło ciemności...

Histeria choroby: William Rogers, lat 38, biały, stanu wolnego, wczesne rozpoznanie neurozy i psychozy...

Coś takiego wypisano w mojej karcie. Nie pamiętam zbyt wiele z przeszłości. Byłem już kiedyś w sanatorium. Przypominam sobie, że coś mi dolegało jeszcze w dzieciństwie. Pamięć mnie troszkę zawodzi, zwłaszcza odkąd czas się odrobinę wypaczył, by dopuścić Gości. Goście to nie halucynacje. To rzeczywiste byty pośród mych wszystkich urojeń. Pojawili się dopiero w ostatnich czasach. Tyle wiem. Wszystko mi całkiem jasno wytłumaczyli. Nikt inny nie może ich widzieć czy słyszeć. Mówili, że jeśli chcę, mogę powiedzieć lekarzom; lekarze będą słuchali życzliwie i zadawali pytania, i w nic nie uwierzą. Halucynacje słuchowe i wzrokowe. Bogu wiadomo, że miałem ich dość, od tego zacznijmy.

Niekiedy widywałem Chmurę. I widywałem demony. Były tak jakoś tradycyjne, że wiedziałem, iż nie są rzeczywiste, choć mi mówiły, że zgrzeszyłem. Ta było na długo przed pojawieniem się Gości. Oni są całkiem realni. Przybywają z innego kontinuum czasoprzestrzeni. Chcą odwiedzać i obserwować. Mogłoby się zdawać, że chcieliby spotkać kogoś w rodzaju Einsteina, ale bynajmniej tak nie jest. Nie pragną, żeby nasz świat się o nich dowiedział. Wyobrażam sobie dlaczego. Nie da się obserwować elektronu, jeśli się go nie wyrzuci z normalnego toru. Zwierzę nie będzie się -zachowywało naturalnie wiedząc, że ktoś na nie patrzy. A może są też inne przyczyny...

Goście przedstawiają straszny widok.

Przemawiają językiem telepatii, choć często słyszę go jako dźwięk. W pojęciach ogólnych jest tak odmienny od naszego, że niekiedy wydaje się językiem wierszyków dziecińczych, to znowu wyższej matematyki.

Słowa zamieniają się, przeobrażają i nie mogę spisać zdarzeń w logicznym porządku, myślę, że kawa ława trawa siedziała biegała skakała.

NIE

Czuję przymus rymowania. Czy to echolalia? Wydaje mi się, że jeśli wypełnię umysł bezsensownymi rymami, powstrzyma to Gości od wizyt i innych...

Wszystkich innych. Nierzeczywiste głosy słyszałem, odkąd sięgam pamięcią. Przez całe moje życie coś dziwnie było nie tak. Chciałem robić pewne rzeczy, a nie umiałem powiedzieć dlaczego. Jak wtedy, kiedy zbierałem chusteczki do nosa. Bezsensowne. I głosy w moim pokoju.

- William Rogers podchodzi do okna - szeptały. - Wypadnie z okna. Nie, nie wypadnie, ale schodząc ze schodów się potknie i skręci kark. Za dużo wie, żeby mógł żyć. Dopilnujemy, żeby nie żył.

To była halucynacja słuchowa.

MUSZĘ... PRZESTAĆ...

Dobra. To był okres dość paskudny. Wiedziałem, że nie są rzeczywiste, ale wydawały się rzeczywiste, wszystkie te jaskrawo ubarwione insekty wążące ani na piżamę. Musiałem raz wrzasnąć. Wszedł sanitariusz. Bałem się, że znów zawiną mnie w wilgotne prześcieradło, ale zamknąłem oczy i dałem im pełzać, i po minucie to ustało. Sanitariusz zapytał, co się dzieje. Odpowiedziałem, że już nic.

Ale polecono podać mi środek uspokajający w razie potrzeby. Jestem tu nadal na obserwacji. Lekarze nie zdołali jeszcze określić istoty mojej psychozy. Pewne czynniki komplikują sprawę. Wiem jakie. Na początku cierpiałem na zwykłą psychozę, ale potem zjawili się Goście i narobili bigosu. Żyroskop mojego umysłu wiruje jak szalony.

Niektórzy ludzie rodzą się z niebezpieczną cechą dziedziczną, innych wypacza otoczenie. Ja cierpiałem na jedno i drugie. Nie pamiętam wiele i niechętnie próbuję pamiętać. To nieprzyjemne. Poza tym ważne rzeczy zdarzyły się, kiedy całkiem postradałem zmysły. Goście są sprytni. Udają halucynacje i ukazują się tylko komuś, kto już halucynacji doznawał. Ale nie było... grozy... dopóki się pojawili się Goście. Do tej pory podtrzymywała mnie przynajmniej jakaś radość, występująca na przemian z czarną rozpaczą, i głosy... Czasami mówiły, że mnie będą ochraniać. Kiedy indziej groziły. Często mi powtarzały, że zgrzeszyłem i muszę ponieść karę.

Grzeszyłem. Musiałem grzeszyć. Nie wiem czemu. Muszę się jakoś poprawić. Głosy... I były halucynacje dotykowe. To straszne dotykać szkła, a mieć wrażenie, że się dotyka futra. Straszna była świadomość, że skórę powleka mi lodowata galareta. A kiedy mnie tu przywieźli, przez pewien czas dodawali mi do posiłków jakieś paskudztwa. Nie chciałem jeść. Gdzieś w głębi mego umysłu zalegała czerń. Zawsze wiedziałem, kiedy się zbliża. Była bezkształtna i dziwna. Wyrastała z niczego, w niezrozumiałym dla mnie kierunku, i nabrzmiewała, nabrzmiewała, coraz bliższe. Ale nigdy mnie nie dotknęła. Tylko śledziła. Nazywałem ją Chmurą. Nigdy nie mogłem jej poczuć dotykiem, skosztować czy powąchać, tak jak tych innych rzeczy. Ani wyraźnie zobaczyć. Teraz nie pokazuje się już od dawna, chociaż te inne rzeczy ani na chwilę się ze mną nie rozstają. Lecz głosy są przytłumione, kiedy przychodzą Goście...

To było tak.

Zdarzyło się wkrótce po moim przybyciu. Najpierw lekarze przez długi czas poddawali mnie kąpielom i kazali zawijać w mokre prześcieradła, a parę razy polecili mi włożyć kaftan bezpieczeństwa, co było okropne, bo utrudniał oddychanie, jaskrawe insekty zaś łąziły mi po twarzy. Nieco później nauczyłem się akceptować te rzeczy. Ludzie tutaj obserwowali mnie z tym znajomym wyrazem bacznej, na poły przyjacielskiej czujności. Głosy przemawiały w mej głowie, parokrotnie z mglistości wyłoniła się Chmura, rosła i siedziała przyglądając się czas jakiś, a potem malała i nikła. Długo to trwało.

Potem zjawili się Goście.

Czułem, jak badają. Tego wieczora w sanatorium były kłopoty. Pacjent cierpiący na manię samobójczą wyrwał się z oddziału dla furiatów. Zdwojono dawkę środków uspokajających. Wyglądało to na szczytowy moment jakiegoś cyklu. A to Goście szukali kontaktu.

Obłęd nie musi oznaczać przytępionej percepcji. Niejednokrotnie zdolny byłem oceniać to życie bezstronnie i krytycznie, ponieważ jestem z niego wyłączony. Na swój sposób dostrzegałem jakby ład w chaosie światowych wydarzeń. Ludzkość zmierzająca do nieznanego celu, ale być może nie całkiem pozbawiona kierunku. Widziałem, że coś ma nadejść. Coś nowego i odmiennego. Może coś lepszego.

Nie pomyślałem, że może to być coś całkiem obcego.

Tego wieczora byłem w pokoju sam. Drzwi zamknięto na klucz. Wpatrywałem się w szybę, z siatką wpuszczoną w szkło, i czekałem na obchód. Wtem poczułem, jak coś lejkowatego wsuwa mi się do głowy, oddala i powraca. Zawirowało, wbiło się i rozrosło. Przez sekundę myślałem, że może to Chmura, lecz Chmura jest bezkształtna, cicha i czujna. Nigdy mi nie dokucza. To dokuczało. Ogarnęło macie silne, rozedrgane, pełne napięcia podniecenie. Przybyli z mętnych dali i zawiśli w powietrzu przede mną. Otaczała ich przezroczysta ciemność; właściwie nie ciemność, bo widziałem przez nią ściany pokoju. Było ich trzech. Przypominali ludzi, ale koślawych, małych, z wielkimi głowami pokrytymi Płataniną niebieskich pulsujących żył. Nie chodzili; nie mogli na tych swoich nogach.

Unosili się w mroku, nieznacznie przesuwając, spoglądając na mnie. Przemawiały ich umysły:

- Nadaje się. Inteligencja ponad przeciętną. Psychoza pożądana. Od razu wiedziałem, że to nie halucynacje. Wstałem, żeby zawołać sanitariusza. Kazali mi wrócić do łóżka. Otworzyłem usta do krzyku, ale zmrozili mi gardło.

- Nie zrobimy ci krzywdy.

Mój umysł powiedział: - A jednak jesteście realni. Jesteście realni. Jesteście realni.

- Jesteśmy realni. Nie zrobimy ci krzywdy. Chcemy cię użyć do...

Wtedy wszystkie głosy zebrały się w mojej głowie i krzyknęły: ZGRZESZYŁEŚ, ZGRZESZYŁEŚ, ZGRZESZYŁEŚ...

Wrzeszczałem i wrzeszczałem.

Goście wrócili nieco później. Ale dopiero po upływie pewnego czasu mogłem z nimi sensownie rozmawiać. Raż wszedł lekarz, kiedy byli u mnie, lecz oni zamilkli, zawieszani w swojej klarownej ciemności, i nic nie zauważył. Po jego odejściu...

- Jesteście niewidzialni?

- Nie przebywamy cali w twojej płaszczyźnie czasoprzestrzeni.

- Czego ode mnie chcecie?

- Na targ, na targ, kupić tłustą świnię...

- Go?

Nie umieli jednak tego wyjaśnić. Brzmiało bezsensownie. Zapytałem, skąd przybyli.

- Zza wzgórz i jeszcze dalej. Z czasu. Z przyszłości. Badamy wasz świat.

- Ale ja rzadko opuszczam ten pokój.

- Nie musisz. To niepotrzebne. - Niebieskie żyły pulsowały na ich głowach. - Twój umysł dostarcza nam... - słowo pozbawione znaczenia - ...co nam pozwoli dotrzeć wszędzie w twoim odcinku czasu. Jesteś katalizatorem.

Dotknęły mnie palce. Jakaś Rzecz, czerwona i straszliwa, wyłaziła z podłogi. Nienawidziła mnie. Wszystkie głosy się śmiały. Zamknąłem oczy i krzyknąłem. Kręciłem się, wirowałem, kręciłem...

Zły czas przeminął. Później Goście wrócili.

- Czemu ja? Czemu mnie wybraliście?

- Potrzebowaliśmy kontaktu. Tyś się wyjątkowo dobrze nadawał. Szukaliśmy długo, zanim cię znaleźliśmy.

- Ale dlaczego...

- Twoja era stoi na rozdrożu. Odkryto wielkie siły. Przesuwają się płaszczyzny prawdopodobieństwa. To okres niezwykle doniosły. Wiele jest poziomów rzeczywistości. Musimy badać przeszłość, by stwierdzić, co jest prawdziwą rzeczywistością, i w miarę potrzeby zmienić tę przeszłość.

Nie pojmowałem.

- Tobie nie stanie się krzywda. Twojemu światu nie stanie się krzywda. Wszelkie dokonane przez nas zmiany wydadzą się absolutnie naturalne.

- Nie mogę tego znieść. Weźcie kogoś innego.

- Nie.

- Ale jesteście straszni...

To dlatego, że byli tak obcy. Tak całkowicie różni od nas, nawet bardziej, niż to sugerował ich potworny wygląd. Ich myśli biegły innymi torami. Ich ciała były inne w każdym szczególe. Ich system nerwowy był inny. Czulem emanującą z nich energię. Napięcie stawało się nieznośne. Zawsze, kiedy już chwilę ze mną pobyli, zaczynałem wrzeszczeć. Lekarze byli zaskoczeni. Często mnie wypytywali. Opowiadałem im o Gościach, ale oni tylko spoglądali po sobie.

- Nigdy przedtem nie widywał pan tych Gości, dopiero ostatnio?

- Nie, nie widywałem.

- Czy są tacy jak ta Chmura, o której pan wspominał?

- Nie. Chmura towarzyszy mi od lat z pewnymi przerwami. Nigdy mnie nie zdręcza.

- Czy są jak te głosy? Gzy mówią tak, jakby to były te same głosy?

- Nie. Głosy są odcieleśnione. Goście mówią właściwie bez słów. Powiedzieli mi, że w nich nie uwierzycie.

- Och, nic mi o tym nie wiadomo. Nie mógłby pan trochę więcej opowiedzieć mi o...

TY CHOLERNY ŁGARZU NIE WIERZYSZ W ANI JEDNO MOJE SŁOWO NA LITOSĆ BOSKĄ

Ale próbowali pomóc. Byli zniechęceni. Do czasu pojawienia się Gości nie tracili optymizmu. Chcieli chyba zastosować terapię wstrząsową i liczyli na sukces. Goście wnieśli jednak nieznaną element i nadali psychozie nowy, nie dający się rozpoznać charakter.

Potem przez pewien okres Goście się nie pojawiali. Przypuszczalnie próbowali wyjaśnić dlaczego, ale nie potrafiłem zrozumieć. Po ich odejściu pozostały tylko głosy i parę innych paskudnych rzeczy. I lekarze rzeczywiście zastosowali terapię wstrząsową. Była brutalna, lecz skuteczna.

W głowie zaczęło mi się przejaśniać. Nie pamiętam, jak długo to trwało. Lekarze mniej się hamowali w rozmowach ze mną i w atmosferze wyczuwałem nową nadzieję.

Przenieśli mnie na oddział otwarty. Było tam znacznie przyjemniej. Miałem trzy dobre dni. I wtedy wrócili Goście.

- Dalsze badania.

- Nie. Idźcie sobie. Proszę. Nie mogę tego znieść.

- Nie zrobimy ci krzywdy.

- Ale ją robicie. Wyczuwam to... napięcie... bijące od was. Napinam się cały w środku. To źle działa na mój umysł. To...

- Dziwne. To przeciętny homo sapiens, oczywiście, tyle że niezwykle podatny. Zapewne na skutek psychozy. Szyszynka i wzgórek... przyswajają nasze...pytała się Kasia o swojego Jasia...

Słowa. Nie mogłem zrozumieć słów. Jedyne sposoby komunikacji, a one stanowią nieprzekraczalną barierę.

- Wynoście się. Idźcie sobie. Dajcie mi spokój. Nie mogę tego wytrzymać.

- Ten właśnie kontakt jest potrzebny. Musimy zachować nasz iloraz energii, żeby nie stracić kontaktu z twoim odcinkiem czasu. Tak się składa, że jesteś niezwykle podatny.

- Jak długo tu będziecie?

- Przez wiele cykli. Zaczynamy od podstaw reorganizować wasz obszar czasoprzestrzeni...

- Co się stało, Rogers?

Głos sanitariusza.

- Nic. Wrócili. - Kto wrócił?

- Goście. Nie chcą się wynieść. PROSZĘ ICH STĄD WYRZUCIĆ! - Siostrze, proszę uważać na Rogersa...

- Nie zrobimy ci krzywdy. Chwilowo zajmujemy się obszarem mózgu, w celu zbadania niższych poziomów nonsensu nonsensu nonsensu...

- NIECH WAS DIABLI WYNOŚCIE SIĘ STĄD NA LITOŚĆ BOSKĄ.

Wróciłem do izolatki.

Nie było nadziei.

Cierpiałem na chorobę umysłową. Odbudowana została ściana, która mnie odgradzała od reszty ludzi. Lekarze nie sprawiali już wrażenia optymistycznych. Katatonię, schizofrenię można leczyć wstrząsami. Ale zastosujcie zmienny czynnik wstrząsowy do żyroskopu, a nie da się przywrócić mu równowagi i utrzymać go na gładkim, równym biegu. Głosy powróciły. Jaskrawe insekty pełzały, jedzenie miało smak trucizny, łóżko było rozdziawianą jamą ustną o strasznych białych wargach, rozwartych, by mnie pożreć...

Któregoś dnia uświadomiłem sobie, że Goście robią to umyślnie. Nie chcieli mego wyzdrowienia. Sama ich obecność wystarczała, bym trwał w stanie psychotycznym, dopóki zaś byłem obłąkany, mogli przychodzić do mnie o każdej porze i bez znaczenia byłoby, gdybym o tym gadał.

Byli tak obcy. Ja byłem dla nich niczym. Należałem do podgatunku. Oni stanawili coś, co może ewoluować na Ziemi lub na czymś do Ziemi podobnym kiedyś w ewentualnej przyszłości. Zwykłem siadywać i rozmyślać o tym maleńkim punkciku światła - tym czasie i przestrzeni, i planecie - i o otaczającej go zewsząd olbrzymiej niewiadomej, zaludnionej przez Bóg wie co.

A ja byłem po prostu jednym samotnym człowiekiem, od początku z felerem.

Lekarze wyzbyli się nadziei.

Tego wieczora leżałem w łóżku popłakując. Nie miałem wyjścia. Poczułem, jak napięcie zaczyna wibrować w mojej głowie, i wiedziałem, że Goście nadchodzą. Byłem bezradny i sam, całkowicie, zupełnie sam. Nikt poza obłąkanymi nie zna prawdziwej samotności.

Przyszli. Błagałem, żeby mi dali spokój. Patrzyli na mnie swoim zimnym wzrokiem. Żył na ich głowach pulsowały błękitnawo.

- Jak długo pożyje?

- Dość długo.

- Nie chcę żyć - powiedziałem. - Przez was wszystko powraca. Boję się ruszyć. Czuję to w tej chwili, to coś, co się z was wylewa. Może to coś was trzyma przy życiu. Ale ja nie jestem tak zbudowany, by to wytrzymać. Pozwólcie mi umrzeć.

- Ty się nie liczysz. Jesteś przydatnym narzędziem...

Przestałem słuchać. Coś zaczynało się dziać.

Bardzo maleńka i niewyraźna, gdzieś w głębi mego umysłu, Chmura zaczęła rosnać. Byłem szczęśliwy. Po trosze rozpraszała samotność. Ją przynajmniej znałem i nigdy mi się: nie naprzykrzała, a nie czułem jej już od wielu miesięcy. Od czasu przybycia Gości. Dobrze zapamiętany, wirowy, gładki ruch ogarniał wnętrze mej głowy, aż wtem pojawiła się Chmura, czujna jak zwykle. Była niczym stary przyjaciel.

Wśród Gości zapanowało nagle zamieszanie. Trochę jakby podrygiwali, zawieszeni tam w swojej klarownej ciemności.

- Co to takiego? Odpowiadaj. Co to takiego?

- Chmura. Cieszę się...

Rosła i rosła. Wypełniała mi głowę. Wszystko było dziwne i pomieszane.

- Chmura? Co on przez to rozumie? Co to jest? Czuję...

- DURNIE! TEN CZŁOWIEK JEST MÓJ!

Głos Chmury. Ale Chmura nie umiała mówić, prawda?

Goście się darli, poszturchując nawzajem w swej płynnej ciemności. Jakże pulsowały ich olbrzymie głowy! Chmura przepłynęła nad nimi i zaczęła wariować. Wariować jak ja. Teraz Chmura otuliła ich i nawet wrzaski ich brzmiały słabiutko...

Krzyczałam. Sanitariusz otwierał drzwi z klucza. Nadbiegały pielęgniarki. Nie widzieli Chmury. Nie widzieli Gości. Ale ja widziałem. JA WIDZIAŁEM!

Chmura też mnie wykorzystywała. Tak jak Goście. Może naprawdę byłem użytecznym narzędziem. Może nasza era jest zasadniczym punktem zwrotnym. Jedni i drudzy wysłannicy z obcego miejsca mnie poszukiwali. Ale Chmura była o wiele mądrzejsza niż Goście. Nie musiała robić mi krzywdy, by przeze mnie nawiązywać kontakt.

I była o wiele bardziej obca niż Goście. Obca nawet dla nich. Dotknęła ich, poraziła dziwną energią zaczerpniętą z niewyobrażalnie odległego czasu, przestrzeni i prawdopodobieństwa, a Goście w mojej przytomności skurczyli się i oszaleli, wrzeszczeli i zniknęli w kierunku, w którym nie mogłem podążać ani się zorientować.

Już mnie nie mogli skrzywdzić. Należałem do Chmury. Ona strzegła swojej własności.

Później poczułem lód pełnący mi po ciele. Usłyszałem dobrze znane głosy wykrzykujące ze ścian. Doleciały mnie dziwne zapachy i nowy smak zagościł na języku, Chmura zaś wypełniła pokój i szpital, i świat, i nieskończoność poza nim, i wirując w dół w białą ciemność hen, daleko, i nigdy przenigdy nie wracając...

W zeszłym tygodniu wypisali mnie, wyleczonego, z sanatorium. Kuracja trwała wiele miesięcy, lecz w końcu komisja uznała mnie za zdrowego. Nie mogłem tego pojąć.

Powiedzieli, że jestem wyleczony. Może. Przynajmniej Goście nigdy już nie wrócili. Bo jak by mogli?

Co do Chmury...

Podobnie jak Goście, przybyła z przestrzeni, czasu i prawdopodobieństwa, by badać ten świat. Ale była bardziej obca niż Goście i potężniejsza. Na tyle potężna...

Chmura, dla swoich własnych niepojętych celów, jest obserwatorem. Uznano mnie za zdrowego na umyśle. Chodzę po tym świecie i patrzę, jak ludzie budują przyszłość. Ale wiem, że nie jestem zdrowy. Udzieliłem psychiatrom właściwych odpowiedzi. Moje reakcje są reakcjami normalnego człowieka. Ale to nie są moje reakcje. To nie ja udzielałem odpowiedzi. To ktoś inny. Coś innego. Ponieważ

PONIEWAŻ

PONIEWAŻ

PONIEWAŻ

trudno pisać prawdę, trudno ominąć tę barierę w moim umyśle i stać się zrozumiałym, bo moje prawdziwe ja nadal jest zanurzone w cieniu, eterze, umbrze oparze cumulusie

Nie. Udawanie, że to ja, udawanie, że jestem wyleczony, kiedy prawdziwe ja jest bezradne i nadal

W

CHMURZE

CHMURZE

CHMURZE

Przełożyła Zofia Zinserling

Henry Kuttner      Drobne Szczegóły

Kiedy już odniósł wrażenie, że zgubił pościg, pierwsze kroki skierował do kiosku z gazetami. Ciekaw był daty. Nie wiedział, jak długo przebywał w Zamku If, bo już gdzieś po pierwszym roku stało się jasne, że liczenie dni nie ma większego sensu.

Ucieczka była po prostu niemożliwa. Wprawdzie Edmund Dantes zbiegł z prawdziwej twierdzy If, ale taki fortel był tu nie do powtórzenia. Kiedy „goście” tego jedyne w swoim rodzaju pensjonatu umierali, gdzieś w podziemiach odbywała się szybka kremacja.

Był to jeden z tych rozpaczliwie skąpych strzępków informacji, jakie udało mu się zebrać przez cały okres uwięzienia. Przez ten długi czas ani razu nie opuścił pojedynczego, pozbawionego okien, niemal luksusowo urządzonego pokoju i już zupełnie luksusowej syjamskiej kotki Shan, dzięki której nie czuł się tak bezgranicznie samotny.

Z bólem rozstawał się z Shan, ale ona przywiązywała się do przedmiotów, nie do ludzi, i dla niej nie było to więzienie. Cud, który umożliwił mu ucieczkę, nie należał do tych, które przeciągają się w nieskończoność. Wykorzystał nadarzącą się okazję i wydostał na wolność, kiedy nie przebrzmiały jeszcze echa eksplozji, jaka nastąpiła na dole.

Nie wiedział, co to było, ale możliwości ważniaków kierujących tym interesem były trochę nadprzyrodzone.

Wydostał się w worku ciśniętym z kilkunastoma innymi na platformę windy, a potem próbował zachować orientację zdając się na jakiś czas na zmysły dotyku i słuchu. Nie dowiedział się wiele, ale przypuszczał, że workami zajmowały się urządzenia automatyczne.

Przez automat był w każdym razie pilotowany helikopter - co odkrył wydostawszy się z worka. Przeżył kilka pełnych napięcia chwil wprawiając się w obsłudze ogromnie uproszczonych urządzeń pokładowych. W roku 1945 helikoptery były kolosalnie skomplikowanymi maszynami i nie potrafił wyzbyć się skłonności do niepotrzebnego utrudniania sobie zadania.

Przed lądowaniem pulpit eksplodował światełkami i krzykami. A więc wszczęto alarm. Ważniacy przetrzymujący go latami w If już go ścigali. No i dobrze. Znajdował się w znakomitej formie fizycznej. Zdrowie fizyczne i psychiczne pozwoliły mu zachować specjalne naświetlania i zabiegi. Wykształcenia i rozrywki dostarczał mu telewizor. Miał do dyspozycji książki.

Ale nigdy nie oglądał ani nie czytał niczego, co powstało później niż w lipcu 1945 roku. Może właśnie dlatego niepokój nie wżarł się tak w jego mózg i system nerwowy. Nie czuł się tak bardzo wyobcowany. Zdawał sobie, oczywiście, sprawę, że świat idzie naprzód, ale nie widział tego ruchu. To pomagało.

Helikopter wylądował na zaoranym polu. Była noc, ale księżyc znajdował się w pełni. Z sylwetek rysujących się na tle przyćmionej łuny wywnioskował, że do miasta ma niedaleko.

Helikopter poderwał się w powietrze i odleciał. Nie miał światełek pozycyjnych i znikł szybko w górze, wznosząc się najwyraźniej do stratosfery.

Odetchnął kilka razy głęboko. I wtedy poczuł na sobie spojrzenie nieistniejących oczu; ciarki przeszły mu po plecach - i już wiedział, że jest ścigany.

Było inaczej, ale nie za bardzo. Nadal obowiązywały te same normy. Po ulicach chodzili ludzie, a krój odzieży zbytnio się nie zmienił. Nosił kopię tego samego garnituru, który miał na sobie w 1945, w ten lipcowy dzień, kiedy przyszli po W ego ważniacy. Ważniacy, którzy siedzieli na zewnątrz i czekali z zakrytymi twarzami, podczas gdy ich goryle... brali...

Tenninga.

- Jestem Dave Tenning - pomyślał i doznał lekkiego wstrząsu nowości. Odwykł od myślenia o sobie w jakimkolwiek sensie osobistym. Spokojna, niezachwiana świadomość tożsamości personalnej zanikła stopniowo z biegiem lat spędzonych w więzieniu. Stał się nieświadomy własnego ja, jak dziecko. Nie istniała potrzeba jego określenia.

- Jestem Dave Tenning, ale istnieje jeszcze inny Dave Tenning. - Tu właśnie kończyła się rzeczywistość i zaczynał strach. Aż do tej pory nie docierało do niego zbytnio, że na zewnątrz spaceruje po świecie jakieś alter ego. Bo po niedługim czasie świat zewnętrzny przestał właściwie dla niego istnieć, a zamieszkujący go ludzie, nawet ci, których dobrze znał, stali się mniej realni niż zmysłowa obojętność syjamki Shan.

J ego ubiór nie rzucał się w oczy. Nikt się za nim nie oglądał. Nie miał oczywiście pieniędzy i była to komplikacja, ale nie z tych nie do przewidzenia. Chłopaki ze Stara zrzucą się na niego. Ale musi uważać, żeby nie natknąć się na pseudo Dave'a Tenninga, dopóki nie będzie do tego przygotowany. Może będzie mu potrzebny pistolet. Tych sobowtórów można było zabić. Umierali zawsze razem ze swoim oryginałem.

To dlatego oryginały utrzymywano przy życiu oraz w dobrej kondycji fizycznej i psychicznej. Istniała jakaś ważna więź, coś związanego z psychiką, dynamo siły życiowej Oryginału, które podtrzymywało na chodzie Kopię na zasadzie indukcji. Snuł w tym kierunku teoretyczne rozważania i jak na razie wszystko się zgadzało.

Ale czuł się dziwnie, bo to nie był już jego świat. Wydawało mu się wciąż, że mijający go mężczyźni i kobiety zatrzymają się, popatrzą i wtedy rozlegnie się okrzyk - jaki, tego nie wiedział, ale zdawał sobie sprawę, że nie jest stąd. A w 1945 był stąd.

Wiedział też, za co go przyskrzynili. Felietonista rubryki obyczajowej był potencjalnym kandydatem do wiedzy. Potrzebowali swoich ludzi - sobowtórów - na kluczowych stanowiskach. Bez wątpienia mieli ich wielu. 1945 był rokiem przełomowym. Był to jeden z nielicznych przypadków, kiedy otworzono puszkę Pandory, kiedy z b y t w i e l e udostępniono wytrzeszczającej oczy cywilizacji.

Niemcy były już na kolanach, dogorywała Japonia, a na powojenny świat kładł się cieniem strach. Nie dlatego, że było tak wiele do zrobienia, ale że wylaniało się tak wiele dróg dalszego rozwoju. To nie była puszka Pandory - to była wędka szczęścia.

Daleko trudniejszymi od technicznych były problemy społeczne, bo stosunki międzyludzkie pozostały niezmienione, a ludzie nie zmieniają się tak szybko jak wytwory ich rąk. Można zaplanować kurczaka w garnku dla każdego, ale przemiana, konwersja systemu społecznego, to zupełnie inna sprawa.

Nie wyglądało na to, by wiele się zmieniło - naprawdę nie wyglądało.

Rozpoznawał nawet niektóre miejsca. Pojawiło się trochę nowych budynków, chociaż niezbyt dużo. Samochody miały inny kształt, straciły opływowe linie i sprawiały przyjemniejsze dla oka wrażenie. Przy krawężnikach sunęły autobusy bez kierowców zatrzymując się co kawałek. Lampy uliczne dawały jakiś inny rodzaj światła. W witrynach sklepowych wystawiano ubrania, artykuły sportowe, alkohole, zabawki, nic radykalnie odmiennego.

Ale to te drobne szczegóły sprawiały, że Tenning czuł się w tym mieście obco. Nie był tu u siebie. Wiedział przy tym, że istnieje gdzieś drugi Dave Tenning, który go wyparł, i ta świadomość zacierała mu częściowo poczucie własnego ja.

Opanowało go na chwilę nieprawdopodobne poczucie winy - jak gdyby uciekając z If zakłócił prawidłową realizację planu. Jesteś obcy, mówili ludzie przechodząc obok i nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. Jesteś obcy.

- Żaden obcy. Mieszkałem w tym mieście osiem lat. Przeniosłem się tu z nowojorskiego brukowca i ludzie czytali moją kolumnę. No i co, że nie pisałem jak Winchell, Pyle ani Dan Walker. Nigdy nie mierzyłem wyżej niż pozycja drugorzędny felietonisty. Czytano mnie przy śniadaniu, przy kawie i ludzie mieli ubaw z bagna, w którym się paprałem.

- Jestem Dave Tenning. Przez wiele lat, a może stuleci siedziałem zamknięty w komfortowym, małym więzieniu z boską biblioteką i kotką imieniem Shan, której nie obchodziło nic z wyjątkiem kotki imieniem Shan. Ten duch spaceruje. Nie wiem, dokąd właściwie zmierza, ale szuka jakichś punktów zaczepienia. Na przykład daty.

W kiosku leżały normalne gazety, jak również małe, grube krążki z plastyku albo lakierowanej tektury. Tenning przystanął, żeby popatrzeć. Data...

Decem fish 7. No i co z tego?

- Gazetę, proszę pana? - zapytał kioskarsz. - Papierową czy roto?

- Panie - bąknął Tenning. - Co my dziś mamy?

- Decem.

Chciał zadać jeszcze jedno pytanie, ale tego nie zrobił. Odwrócił się i odszedł łamiąc sobie głowę, co oznaczała ta Siódemka. Siódmy rok? Na pewno nie Anno Domini. A więc?

Takie jak te drobne szczegóły będą najtrudniejsze do wychwycenia. Ludzie nie zmieniają się, a tylko starzeją. Ale mody, urządzenia i drobnostki podlegają szybkim przemianom, nawet do stopnia nierozpoznawalności. A on wciąż nie wiedział, który to rok.

Diabli z nim. Znajdował się na Gardner Street i wiedział przynajmniej, jak dojść do budynku Stara. Wskoczył do jednego z automatycznych autobusów, kiedy ten się zatrzymał, i przyszła mu ochota na papierosa. Po raz pierwszy od momentu ucieczki miał chwilę wytchnienia, ale jego nerwy nie odpoczywały.

Nikt z pasażerów autobusu nie palił. Nie widział do tej pory n i k o g o, kto by palił . Budynek Stara stał tam gdzie zawsze, wielki, stary i, co zastanawiające, ciemny. Z dachu znikł elektryczny neon. Tenning wszedł po stopniach i zastukał w wiekowe drzwi. Były zamknięte. Stał przed nimi niezdecydowany.

Tym razem naprawdę się bał. Tropiony lis chowa się pod ziemię, jeśli jednak zostanie swoją norę zablokowaną, jest źle. Tenning zaczął automatycznie przetrząsać, jedna po drugiej, kieszenie. Wszystkie były puste.

Potęźnie zbudowany mężczyzna kroczący ulicą zatrzymał się i zadarł głowę, żeby na niego spojrzeć. Pod nawisłymi brwiami pojawiły się diamentowe ostrza świata.

- Ten budynek jest zamykany o tiltej - poinformował Tenninga.

Tenning obejrzał się na zamknięte drzwi.

- O której?

- O tiltej.

- Do... doprawdy?

- To urząd państwowy - powiedział mężczyzna wruszając ramionami. - Jest czynny w godzinach pracy. Nie ma się co dobijać. W każdym razie nie przed fentą rano.

Tenning wszedł po stopniach.

- Myślałem, że to budynek Stara.

- Nie - wyprowadził go z błędu pewny siebie, spokojny głos. - Już nie. Ale spodziewaliśmy się tu ciebie.

Napięte, rozedrgane nerwy Tenninga trzasnęły. Podobny odgłos wydała jego pięść trafiając w szczękę mężczyzny, po czym Tenning poprawił ten pierwszy cios kilkoma następnymi. Walił na oślep ogarnięty paniką i histerią. Dopiero wrzawa zaniepokojonych głosów sprawiła, iż uświadomił sobie, że jego przeciwnik leży na ziemi i że nadbiegają jakieś postacie.

Znał tu każdą ulicę i zaułek, uciekł więc z łatwością. To go trochę podniosło na duchu. Ścigali go przypadkowi przechodnie. Gdyby byli to ci z If, miałby z ich zgubieniem o wiele więcej kłopotów.

A więc wiedzieli i byli na jego tropie. Świetnie. Marzył o pistolecie. Marzył o wielkiej pałce nabijanej kolcami. Marzył o trującym gazie, o bombach burzących i miotaczach płomieni. A najbardziej ze wszystkiego marzył o kryjówce.

Ta znajomość miasta była niebezpieczna. Występowały różnice w drobnych szczegółach i to one mogły go zdradzić. Mogła go zgubić zbytnia pewność siebie, bo na przykład zaułek, w którym się teraz znajdował, wyglądał zupełnie jak znana mu Poplar Way, a kiedy będzie nim szedł, być może trotuar uleci nagle w górę unosząc go ze sobą z powrotem do If i do kotki.

Doszedł do Slumsów i nie zauważył, żeby coś się tu zmieniło. Zmienili się za to ludzie. Nie znał nikogo z nich. Być może w innym systemie społecznym inni ludzie stoczyli się na dno.

Ale czy system społeczny uległ zmianie?

Na tyłach znajdowała się szykowna piwiarnia z ogródkiem. Wszedł do niej zwracając uwagę na szczegóły. Klienci płacili za drinki jakimiś zetonami. Przy stoliku pod dogorywającym drzewkiem w doniczce siedziała samotna dziewczyna pieszcząca w dłoniach wysoki kieliszek.

Popatrzyli na siebie. Na widok zbliżającego się kelnera Tenning wstał pośpiesznie i wszedł do budki telefonicznej. Było w niej kilka urządzeń nieznanego mu przeznaczenia, ale książki

telefonicznej nie znalazł. Wyszedł z budki i stanął bezradnie, niezdecydowany, co ma dalej począć.

Podszedł do dziewczyny. Ona też sprawiała wrażenie zagubionej .

- Przepraszam - zagał Tenning - czy mogę się przysiąść?

- Nic... się nie zgadza - wybełkotała. - Nie mogę się w tym połapać. Ty nie jesteś tym człowiekiem, cholera.

Była wstawiona, porządnie wstawiona. Ale trzymała się dzielnie i jej uroda nic na tym nie ucierpiała.

- Siadaj - burknęła po chwili. - Też się zgubiłeś?

- Tak. Zgubiłem się i załamałem. Potrzebna mi pięciocentówka na telefon.

Jej błękitne oczy rozszerzyły się. Wybuchnęła nieprzyjemnym śmiechem. I zawołała kelnera.

- Dwie duże whisky.

Tenning czekał. Drink smakował nieźle, ale czegoś w nim brakowało. Alkohol nieodurzający, teoretyzował.

- O co chodzi? - spytał. - Dzięki za drinka. Ale właściwie, to ja chciałem...

- Nie możesz zatelefonować do tak dawnych czasów powiedziała, a Tenningowi zeszywniał kręgosłup i ciarki przeszły mu po plecach. Zaciśnął palce na szklance.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - zapytał ostrożnie.

- Mnie też się to nie udało. Urodziłam się w niewłaściwym czasie. Niektórzy ludzie nie potrafią się po prostu przystosować. My dwoje do nich należymy. Jestem Mary. A ty?

- Dave - przedstawił się czekając na reakcję. Ale nie doczekał się żadnej .

A zatem nie wiedziała. Bo skąd mogłaby wiedzieć? Nie szpiegował go przecież cały świat.

Nie cały świat miał powiązania z If. Ten kot skradający się po ceglanej podłodze nie znajdował się przecież w kontakcie telepatycznym z Shan i nie przekazywał jej relacji z aktualnego miejsca pobytu zbiegłego więźnia.

- Dlaczego nie możesz zatelefonować? - spytał.

- Nie warto zakładać telefonów dla ludzi takich jak my. Wymrzemy, Dave. Nie możemy się rozmnażać. Nie robią nam krzywdy tylko dlatego, że nie wchodzimy im w drogę. Jeśli tylko zawadzasz - załatwione. Uchlać się tylko i rozmyślać o Andym. Znasz Andy'ego?

- Kto...

Roześmiała się.

- On umarł, a ja nie. Albo na odwrót. Nigdy cię tu nie widziałam.

- Nie było mnie... w mieście. Dłuższy czas.

- Nigdy nie zdobyłam się na wyjazd.

- Telefon...

- Wiesz, jak teraz działają - powiedziała - i jak je nazywają.

Tenning patrzył na zegar zawieszony wysoko na ścianie. Niewiele rozumiał z cyfr naniesionych na jego tarczy. To nie były cyfry. Zastąpiono je jakimiś umownymi znakami.

- Sela plus - powiedziała Mary - mamy więc mnóstwo czasu. Andy nie przyjdzie. Mówiłam ci, że nie żyje.

Drobne szczegóły są ważne. Stworzyli własne daty, własne nazwy godzin. Po co? Może żeby zasiać w ludziach ziarno niepewności. A może dlatego, że określenia czasu stanowiły swego

rodzaju wspólny mianownik i zmieniając je kierowano ludzi stopniowo na inną drogę rozwoju.

Nagle, wielkie przemiany byłyby nierealne. Miasta drapaczy chmur nie wybijają pod niebo w jedną noc. Statki kosmiczne nie polecą ni z tego ni z owego ku planetom. Bo ludzie zmieniają się wolniej niż otaczające ich przedmioty. Po odrodzeniu przychodzi chaos i rewolucja. Jeśli ludzie mają siłę.

Wtedy, w 1945 siły było aż nadto.

Powstawało setki planów odbudowy nowego świata. I każdy miał swych zwolenników, nierzadko fanatycznych.

Wybrano Hardinga, bo obiecywał n o r m a l n o ś ć. Ludzie byli zmęczeni po wojnie. Chcieli wpłynąć z powrotem do łona roku 1912. Nie życzyli sobie eksperymentów, które mogłyby jeszcze bardziej pogmatwać im życie.

Jeszcze przed klęską Japonii droga do przyszłości była jasno określona - setki planów i setki fanatyków. I potężna broń. Wybranie jednego planu pociągnęłoby za sobą sprzeciw i śmiertelne zagrożenie dla cywilizacji. Bo do 1945 roku rozwój nauki i techniki umożliwił wynalezienie broni o sile rażenia zbyt przerażającej, by wazyłby się ją zastosować ktokolwiek - prócz fanatyków.

Co do jednego zgadzali się wszyscy - była platforma Hardinga. Przedwojenne bezpieczeństwo. Dobry stary styl życia. Łatwo było prowadzić w tym kierunku propagandę. Ludzie pragnęli odpoczynku.

No i odpoczywali, a Utopia nie nadchodziła. Ale występowały pewne oznaki.

Opływowa linia nie była funkcjonalna dla pojazdów poruszających się po powierzchni. Nie stosowano jej.

Napoje alkoholowe działały po pewnym czasie odurzająco, nie wywołując jednak objawów zatrucia.

Decum fish 7.

Sela plus.

Ale oficjalnie - żadnych zmian. Ludzie byli zadowoleni i czuli się bezpieczni. Mieli swój stary, wypróbowany sposób na życie. Poza tym byli może nieświadomie poddawani przystosowaniu. Przyjmowali teraz za rzecz naturalną, że jest decum fish 7.

Garstka nieprzystosowanych, którzy nie potrafili przyzwyczaić się do psychofonów...

Był reporterem i z zawodowego nawyku pociągnął Mary trochę za język. Kosztowało to sporo kolejek. Musiał do tego tak kierować rozmową, żeby nie zahaczać o Andy'ego, który nie żył, ale który zwykł robić wiele rzeczy w dawnych czasach, kiedy używane były jeszcze telefony.

- Ludzie są inni - powiedziała Mary. - To tak, jakby... sama nie wiem. O coś im chodzi, ale nie wiem o co. Pamiętam, jak kiedyś w szkole wszyscy byli ogromnie podnieceni pobiciem drużyny Tech High w wielkiej grze.

Mnie było to obojętne. Ale wszystkim innym nie. Wystąpiło coś w rodzaju zbiorowej histerii.

Wszyscy pracowali na to zwycięstwo gdzieś głęboko w sobie, a ja tego nie rozumiałam.

No i co, jeśli nie wygramy? Co wtedy?

- Typ antyspołeczny - zawyrokował Tenning.

- Teraz też coś wisi w powietrzu. Wszyscy pracują na takie zwycięstwo nad Tech High. Tylko nie ja i... Machnęła ręką. - Ludzie tacy jak my nawet się nie denerwują .

- Pracowałem swojego czasu w redakcji Stara - powiedział. - Przenieśli się teraz, prawda?

- Oczywiście, przeniosły się wszystkie gazety. Są gdzieś wydawane. Tylko nikt nie wie gdzie.

- Czy ty... czytałaś Stara?

- Nie chcę czytać niczego.

- Miałem na myśli takiego felietonistę... Tenninga.

Wzruszyła ramionami.

- Wiem, o kogo chodzi. Nie pracuje teraz w redakcji Stara. Przeszedł do rozgłośni lokalnej .
- To... radio...
- Już nie. Tenning jest teraz popularny, Dave. Wszyscy go słuchają.
- O czym mówi?
- Plotki. I polityka. Ludzie tego słuchają...

Tak, ludzie słuchają tego cholernego dublera, a on urabia opinię publiczną. Urabia ją tak, jak sobie tego życzą ważniacy. To dlatego capnęli mnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. Nie byłem wtedy na świeczniku, ale słuchały mnie szerokie masy. Cieszyłem się rosnącą popularnością. Obsadzić na kluczowych stanowiskach odpowiednich ludzi, którzy będą realizowali ich plan...

Dublerzy, sobowtóry na właściwych miejscach. Bezbolesna kuracja psychologiczna, polana lukrem propaganda. I świat idący do przodu, zostawiający za sobą Dave'a Tenninga; ogromna kula, popychana przez tysiąc sobowtórów, zaczynała zbaczać z kursu i nabierać rozpędu. W porządku. Może sam plan był nawet dobry. Ale Dave Tenning był przez długi czas więźniem.

- Mam przyjaciół... a raczej miałem - powiedział. Mary, jak mogę się skontaktować z facetem, który nazywa się Pelham?

- Nie wiem.

- Royce Pelham. Wydawał Stara.

- Zamów jeszcze kolejkę.

- To ważne.

Wstała.

- Dobrze, Dave. Załatwię to.

I weszła do budki psychofonu. Tenning siedział i czekał.

Noc była ciepła. Chłodzona na zasadzie indukcji szklanka była przyjemna w dotyku.

Piwiarnia w slumsach, cuchnąca, nie za schludna, z usychającymi drzewkami w donicach, zdawała się rozpyływać w blasku księżyca.

Witaj w domu, Dave Tenningu. Witaj z powrotem wśród żywych. Nie ma orkiestry dętej, no i co z tego? Orkiestra dęta poszła przygrywać Dave'owi Tenningowi II. Pseudoczłowiekowi, który czynił dobro. Skądś dobiegały szalone, skoczne rytmy melodii trącej silnie struny nostalgii.

Wróciła Mary. Była blada.

- Ciągle myślę o Andym - powiedziała - jaki był, kiedy żył. On polubił te psychofony. Ja za nic nie mogę się do nich przekonać.

Czy po roku 1945 ludzie naprawdę chcieli żyć po staremu? A może wciąż dochodziły do głosu prawa rozwoju społecznego, przemian ewolucyjnych? Pozornie wszystko pozostało bez zmian. Ale ludzie lubili chyba otaczać się nowymi przedmiotami - jeśli tylko nie były zbyt nowe, jeśli tylko nie wskazywały nachalnie drogi ku Zmianie. Zanim dziecko zacznie biegać, trzeba je najpierw nauczyć chodzić, przewycięzać strach.

- Co z Pelhamem? - spytał Tenning.

- Carib Street wela tee.

- Jak... jak tam się dostać?

Wyjaśniła mu. Wciąż sprawiał wrażenie zakłopotanego. Mary dopiła drinka.

- A, sama cię zaprowadzę. Odwalimy to i jeszcze tu wrócimy.

Wsiadli do autobusu - nikt nie pobierał w nim opłat za przejazd - i dotarli w końcu do komfortowego, staromodnego domku na przedmieściach. Mary oznajmiła, że zaczeka w narożnym barku i napije się changa. Naciskając dzwonek Tenning zastanawiał się, jaki kolor ma ten chang.

Drzwi otworzył sam stary Pelham. Był teraz niższy, jakiś przykurczony i zupełnie łysy. Jego nalana, obwisła twarz wyrażała pytanie.

- Słucham?

- Royce. Poznajesz mnie, prawda?

- Nie - zaprzeczył Royce Pelham. A powinienem?

- Nie wiem, jak dawno to było, ale... Tenning. Dave Tenning. Star. Tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty.

- Jest pan przyjacielem Tenninga? - spytał Pelham.

- Muszę z tobą porozmawiać. Jeśli potrafię wyjaśnić. ..

- Proszę bardzo. Niech pan wejdzie. Dziś wieczorem jestem w domu sam, dzieciaki wyszły. Proszę.

Zasiedli w komfortowym pokoju umeblowanym w większości starymi sprzętami, między którymi zdarzały się jednak i nowe, zakłócające harmonię przedmioty, takie jak błyszczący, poruszający się, podświetlający kryształ na podstawce w rogu. Pelham zachowywał się uprzejmie. Siedział i słuchał. Tenning opowiedział mu wszystko; czego doświadczył, czego się dowiedział, nie pominął niczego.

- Ale pan nie jest Tenningiem - powiedział Pelham.

- Powiedziałem, że on jest dublerem.

- Pan nie jest nawet podobny do Tenninga.

- Postarzałem się.

- Pan nigdy nie był Tenningiem - uciął Pelham i wykonał jakiś gest. Część ściany przeobraziła się w lustro. Tenning odwrócił się i spojrzał na człowieka, który nie był Tenningiem i który nawet nie przypominał Tenninga.

Zrobili to w If. Nie było tam ani jednego lustra. Tylko Shan mogłaby powiedzieć prawdę, a Shan nie byłaby zaskoczona. Pięć, dziesięć, nawet dwadzieścia lat nie mogło go tak zmienić. Inna była budowa kostna. Był starszy, ale nie był starszym Dave'em Tenningiem. To ktoś inny postarzał się w If.

- Odciski palców - bąknął Tenning po dłuższej chwili. Powtórzył to dwa razy, zanim głos mu się uspokoił. - Odciski, Royce. Nie mogli ich zmienić.

Ale potem spojrzał na swoje dłonie. Wiedział, jak powinny wyglądać jego odciski palców. Te zwoje i spirale były jakieś niezwykle.

- Wydaje mi się... - zaczął Pelham.

- Nieważne. Nie zapomnieli o niczym. Ale umysł mam nadal swój. Pamiętam czasy starego Stara.

Zamilkł. Sobowtór też by to pamiętał. Sobowtór był idealną kopią Dave'a Tenninga z roku 1945 wraz z jego wspomnieniami i wszystkim innym. Enoch Arden. Obcy i wystraszony. W świecie, którego nigdy nie stworzyłem.

- Musi istnieć jakiś sposób dowiedzenia...

- Jestem człowiekiem o otwartym umyśle - powiedział Pelham - ale, na Boga, znam Tenninga od wielu lat. Ostatniego questena jadłem z nim lunch w Waszyngtonie. Pan po prostu nie może oczekiwać, że uda się... to co pan chce, żeby mu się udało.

- Może nie - bąknął Tenning. - A więc dopadną mnie w końcu i osadzą z powrotem w moim przytulnym, małym mieszkanku w gdziekolwiek - to - jest.

Pelham rozłożył ręce.

- W porządku - dodał Tenning. - W każdym razie dziękuję choć za to. Pójdę już.

Wyszedł .

Kiedy Tenning wszedł do barku, Mary popijała przy kontuarze swój pomarańczowy chang. Wdrapał się na stołek obok niej.

- Dobrze poszło? - spytała.

- Wprost wspaniale - odparł kwaśno.

- Masz jakieś plany?

- Jeszcze nie. Ale będę miał.

- Chodź ze mną - rozkazała. - Teraz moja kolej. Chcę coś zobaczyć.

Pojechali do śródmieścia na centralny plac, który pamiętał. Stanęli przy trotuarze, naprzeciwko markizy nad wejściem do hotelu, a pośród ciepłej, proroczej nocy bił słabym rytmem puls nowego życia.

Tenning zauważył, że ludzie są jacyś inni. Było to coś nieuchwytnego. Postarzeni się po prostu, ale nie tak, jak on. Nawet nie tak, jak Mary. Byli przystosowani do... zwolnionego tempa.

Ale z każdej twarzy przebijała utajona świadomość bezpieczeństwa. Nie będzie żadnych rewolucji. Korzenie wrosły mocno w stare przedmioty. A nowe przedmioty nadchodziły stopniowo, nieuchronnie.

- Niech to piekło pochłonie - mruknął Tenning.

- Co?

Wszystko było nie tak. Potrafiłby się łatwo przystosować do całkowicie nowego świata. Całkiem nowa byłaby cywilizacja, która istnieć będzie za tysiąc lat. To byłoby do przyjęcia. Ale do decem fish 7 zmianie uległy jedynie drobne szczegóły. Drobne szczegóły i ludzkie umysły.

Jakiś mężczyzna wyszedł z hotelu i wszedł do samochodu, który zatrzymał się przy krawężniku. Był to zupełnie zwyczajny człowiek, ale kiedy samochód ruszył i odjechał ulicą, palce Mary zacisnęły się kurczowo na ramieniu Tenninga.

- Co jest?

- To był Andy - powiedziała.

Przez chwilę nie docierało to do niego.

Potem pomyślał: - A więc to nie Andy umarł. To Mary. A raczej przestała żyć. Upierała się przy telefonach, kiedy Andy zaczynał się przyzwyczajać do psychofonów.

Ona też była ofiarą.

- Wracajmy do piwiarni - zaproponował Tenning.

- Z chęcią. Chodźmy.

Nie trwało to długo. Ale przy ich stoliku ktoś czekał mężczyzna o krzaczastych brwiach, którego Tenning spotkał na schodach budynku Stara. Na jego szczęce widniała purpurowa pręga.

Wnętrznoci Tenninga zmroził chłód. Sprężył się w sobie, zawahał i rozejrzał szybko dookoła.

- Jestem sam - odezwał się mężczyzna. - Posłuchaj, nie wszczynaj żadnych awantur.

Zapomniałem dać ci to. Klepnął dłonią skórzaną aktówkę leżącą na stoliku.

- Nie zabierzesz mnie z powrotem - warknął Tenning. Odruchowo ugiął nogi w kolanach zasłaniając sobą Mary, a instynkt wlał gwałt do jego krwioobiegu.

- Nie. Wyszedłeś tydzień czy coś koło tego za wcześniej, ale to nie ma znaczenia. Powodzenia.

- Mężczyzna uśmiechnął się, wstał i wyszedł pozostawiając roztrzęsionego, nie mogącego się opanować Tenninga.

Mary otworzyła aktówkę.

- To był twój przyjaciel?

- Nnnie.

- Musiał nim być. Skoro ci to zostawił.

- Co to jest? - Tenning wciąż patrzył za krzaczastobrewym mężczyzną.
- Żetony płatnicze - powiedziała. - I to dużo. Teraz możesz postawić mi drinka. Porwał aktówkę.
- Pieniądze? To dlatego... do diabła! Mogę teraz z nimi walczyć! Mogę rozgłosić prawdę po całym kraju! Jeszcze zobaczymy...

Shan pomrukiwała na kolanach rudowłosego mężczyzny. - Jak dotąd Tenning jest jedynym, który zbiegł, Jerry odezwał się mężczyzną delikatnie łaskocząc kotkę w policzek.

- A nie doszłoby do tego, gdybyśmy nie przechodzili akurat rekonwersji. Oczywiście, to i tak nie ma żadnego znaczenia. Był wyznaczony do zwolnienia za tydzień czy coś około tego. Jeśli któregoś dnia znajdziesz chwilkę czasu, możesz przejrzeć jego akta. Tenning jest interesującym zerem z gatunku tych bardziej kłopotliwych.

- Nie wszystko jest tu jeszcze dla mnie jasne - powiedział drugi mężczyzna. - Zajmuję się geopolityką. Nie jestem fizykiem. Te sobowtóry...

- To zmartwienie techników. Ty jesteś specjalistą od spraw administracyjnych z elementami psychologii. Oglądasz teraz całe przedsięwzięcie jakby z lotu ptaka - przechodzisz coś w rodzaju praktyki.

A co do sobowtórów - no cóż, pojęcie kopii jest interesujące. Kiedy pojawia się taka kopia, więź między nią, a oryginałem jest bardzo silna. To dlatego, między innymi, musimy przetrzymywać Oryginał w zamknięciu.

Po pewnym czasie Kopia rozwija własną osobowość na tyle, że może się już uniezależnić i wtedy wypuszcza się Oryginał na wolność. I tak jest już wtedy nieszkodliwy.

- A z początku był?

- O, tak. Taki ktoś, jak Tenning na pewno. On należy do grupy zagrożenia. Nie jest twórczy, ale wpływowy. Widzisz, twórcy i technicy byli z nami od początku. Rozumieli, że to jedyne bezpieczne rozwiązanie.

Ale Tenning i jemu podobni, jednostki przeciętnie uzdolnione, ale obdarzone agresywnością - wyobraź sobie, ile szkód mógł wyrządzić w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym wyrzaskując w eter swoje reakcje emocjonalne. Niezdyscyplinowane, niedojrzałe emocje ustawicznie zmieniające kierunek.

To, oczywiście, normalne - w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym wszyscy zmieniali światopoglądy. Właśnie temu musieliśmy położyć kres, póki nie zapanuje chaos. Tenning należał do tych pechowych niezdecydowanych, do facetów o zbyt wielkich wpływach, by swobodnie zmieniać zapatrywania, i zbyt małej inteligencji, by zdecydować się na konstruktywną współpracę z nami.

Nie było widoków na dojście do porozumienia z ludźmi jego pokroju. Nie mogliśmy nawet powiedzieć im całej prawdy. Duplikat Tenninga uczynił wiele dobrego - pod kontrolą.

Wszyscy nasi kluczowi ludzie dobrze się zasłużyli. Potrzebujemy takich jak Tenning do naprowadzania ludzi na właściwą drogę.

- Pod kontrolą - powiedział Jerry.

Rudowłosy mężczyzna roześmiał się. - Nie jesteśmy nadzorcami. Nie dopuszczaj do siebie tej myśli, nawet w głębi duszy, Jerry. Ludzie z dyktatorskimi zapędami są poddawani wtórnemu przystosowaniu - i to szybko. Oto odpowiedź - w tym systemie nie możemy nigdy zostać nadzorcami, nawet gdybyśmy tego chcieli. Zmiana postępuje zbyt wolno.

Taka była, oczywiście nasza koncepcja, a sama powolność procesu sprzyja funkcjonowaniu systemu wzajemnej kontroli i równoważenia, który wpływa na nasze zachowania. W chwili, w której ktoś z nas przejawiałby dyktatorskie zakusy, musielibyśmy zmienić system społeczny. A ludzie nie zaakceptowaliby takiej gwałtownej zmiany. Mieli ich już dosyć. Zapanowałby chaos, jeden osamotniony dyktator byłby bez szans. Miałby zbyt wielu oponentów. Wszystkie nasze wysiłki - nie zapominaj o tym, Jerry ukierunkowane są na zogniskowanie zmian orientacji światopoglądowej. Roboty wystarczy na razie dla każdej organizacji.

- A co z Tenningiem? Czy teraz, kiedy znajduje się na wolności, jest nieszkodliwy?

- Zupełnie nieszkodliwy Mellhorn wręczył mu wystarczającą sumę żetonów płatniczych, by przetrwał okres przejściowy, i przystosuje się, jak wszyscy inni - jeśli potrafi.

- Ciężko mu, ciśniętemu w obcy świat, prawda?

- Nie jest dla niego taki znowu obcy. Przyzwyczai się. To znaczy, przyzwyczai się teraz albo nigdy. Nie jestem taki pewien. Niektórzy po prostu nie mogą się przystosować. Zdolność do zmieniania się w miarę zmian zachodzących w otoczeniu wymaga pewnej elastyczności i pewności siebie.

Ludzie tacy jak Tenning - sam nie wiem. To zabawne, Jerry, pojawiła się teraz cała nowa klasa zsuwająca się na dno systemu społecznego. Ludzie, którzy nie potrafią lub nie chcą zaadaptować się do nowych rzeczy. Ma to oczywiście miejsce po każdym większym wstrząsie społecznym, ale tym razem otrzymaliśmy nową grupę nieprzystosowanych.

W makroskali procent korzyści jest oczywiście wyższy. Szkoda mi tej nieprzystosowanej grupy, ale niewiele możemy na to poradzić. Nie wiem, co się stanie z Tenningiem. Będziemy go obserwowali i pomożemy, jeśli będziemy w stanie.

Ale przede wszystkim ci ludzie o przeciętnych uzdolnieniach i ciągotach do przypochlebiania się opinii publicznej mają jedno słabe miejsce. Mam nadzieję, że sobie poradzi. Mam nadzieję.

- Nie rozumiem, Dave - powiedziała Mary. - Z kim ty chcesz walczyć?

Ścisnął z wściekłością skórzaną aktówkę.

- Z waźniakami, z tymi, którzy zmajstrowali psychofony i wprowadzili ten popieprzony system z decem fish siódmym. Z całym tym - burdelem. Powinnaś to wiedzieć.

- Ale czego ty chcesz? - spytała. - O co, według ciebie, walczysz?

Spojrzał na nią. I w ciepłym półmroku drgnęła fala przyszłości niczym obce przyśpieszenie, które bardzo niewyraźnie wyczuwał i które przepelniało go nienawiścią.

- Będę walczył - obiecał. - Ja... ja to powstrzymam.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Kelner przystanął przy stoliku Mary.

- Duża whisky z lodem - zamówiła. Posłał pytające spojrzenie za Tenningiem.

- Jedna?

- Tak, jedna.

- On już nie wraca?

Nie odpowiadała przez chwilę nasłuchując dyskretnego rytmu muzyki dochodzącego zza jej pleców.

- Dziś już nie - powiedziała w końcu - Ale w ogóle wróci. Nie ma tam nic do roboty. Już nie. Jasne, że wróci... pewnego dnia.

przekład : Jacek Manicki

Henry Kuttner      Dwuręka maszyna

Zawsze od czasów Orestesa istnieli ludzie, których ścigały Furie. Dopiero jednak w Dwudziestym Drugim Wieku ludzkość stworzyła dla siebie ze stali zespół prawdziwych Furii. Przedtem ludzkość przeszła kryzys. Był więc sensowny powód do budowy człekokształtnych Furii, chodzących krok w krok za ludźmi, którzy zabijali innych ludzi. Za nikim więcej. Nie było już wówczas żadnych innych przestępstw, które miałyby jakiegokolwiek znaczenie. Rzecz była prosta. Bez żadnego ostrzeżenia człowiek, który czuł się całkowicie bezpieczny, nagle słyszał za sobą ciche stąpanie. Oglądał się i widział idącą ku niemu maszynę o dwóch rękach, wyglądającą jak człowiek ze stali, bardziej nieprzekupną, niż mógłby być jakiegokolwiek człowiek zbudowany z czegoś innego niż stal. Wtedy dopiero morderca wiedział, że został osądzony i skazany przez wszechwiedzące, elektroniczne umysły, znające społeczeństwo lepiej, niż mógłby je poznać jakiegokolwiek umysł ludzki. Przez resztę swoich dni człowiek słyszał za sobą owe ciche kroki, kroczącą klatkę o niewidzialnych prętach, która odgradzała go od świata. Już nigdy w życiu nie miał być samotny. A pewnego dnia - nigdy nie wiedział, kiedy strażnik zmieniał się w kata.

Danner siedział wygodnie rozparty na profilowanym, restauracyjnym krześle i smakował językiem kosztowne wino. Przymknął oczy, by lepiej czuć jego smak. Czuł się absolutnie bezpieczny. Och, był chroniony, chroniony w sposób doskonały. Już blisko godzinę tu siedział, zamawiając najdroższe potrawy, wsłuchując się w cichą muzykę i szmer rozmów przy sąsiednich stolikach. To było miłe miejsce. I było bardzo miło mieć tak dużo pieniędzy - teraz.

To prawda, musiał zabić, by je zdobyć. Nie masz poczucia winy, jeśli cię nie wykryją, a Danner był chroniony. Chroniony u samego źródła, co było czymś nowym w tym świecie. Danner znał konsekwencje zabójstwa. Gdyby Hartz nie przekonał go, że jest absolutnie bezpieczny, nigdy by nie pociągnął za spust...

Przez jego umysł przemknęło wspomnienie jakiegoś archaicznego słowa. Grzech. Nic nie znaczyło. Kiedyś, w jakiś niezrozumiały sposób, łączyło się z winą. Teraz już nie. Ludzkość przeszła zbyt wiele. Grzech był słowem pozbawionym znaczenia.

Przestał o tym myśleć i skosztował sałaty „heart-of-palms”. Nie smakowała mu. No cóż, z takimi rzeczami trzeba się liczyć. Nic nie jest doskonałe. Znowu łyknął wina. Lubił, jak szkło,

niby coś żywego, wibrowało w jego rękę. To było dobre wino. Zastanawiał się, czy nie zamówić jeszcze. Nie, pomyślał, zostawmy to na następny raz. Tak wiele było jeszcze przed nim, tak wiele czekało na niego. To było warte każdego ryzyka. A on, oczywiście, nie ryzykował.

Danner był człowiekiem, który urodził się w niewłaściwym czasie. Był wystarczająco stary, by pamiętać ostatnie dni utopii, wystarczająco młody, by schwytały go w pułapkę nowe prawa ekonomii niedostatku, które maszyny narzuciły swoim twórcom. We wczesnej młodości miał dostęp do każdego zbytku, tak jak wszyscy. Pamiętał dni, kiedy dopiero dorastał, a ostatnie Maszyny Ucieczki jeszcze pracowały, pamiętał cudowne, jaskrawe, przedziwne wizje światów, które nigdy nie istniały i istnieć nie mogły. Potem ekonomika niedostatku zlikwidowała te przyjemności. Teraz dostaje się, co konieczne - i nic więcej. Teraz trzeba pracować. Danner nienawidził każdej minuty tych nowych czasów.

Gdy nadeszła gwałtowna zmiana, był zbyt młody i niedoświadczony, by wziąć udział w wyścigu. Dzisiejsi bogacze byli ludźmi, którzy zbudowali swe fortuny na kontrolowaniu nielicznych rozkoszy, zapewnianych jeszcze przez maszyny. Wszystko, co pozostało Dannerowi, to piękne wspomnienia i ponure, gniewne uczucie, że go oszukano. Jedyne, czego pragnął, to, by wróciły jasne dni i nie miało znaczenia, jak to osiągnąć.

Cóż, teraz to osiągnął. Przesunął palcem po brzegu kieliszka, wsłuchując się, jak cicho dźwięczy pod jego dotknięciem. Dmuchane szkło? - zastanawiał się, Zbyt mało wiedział o przedmiotach zbytku, by zrozumieć. Ale nauczył się. Miał całe życie, żeby się uczyć. I być szczęśliwym.

Popatrzył na salę. Poprzez przezroczysty dach widział stłoczone wieże miasta. Tworzyły kamienny las ciągnący się dalej, niż sięgał wzrokiem. A to było tylko jedno miasto. Kiedy się nim zmęczy, będą inne. Wokół kraju, wokół planety leżała sieć łącząca miasto z miastem, podobna do olbrzymiej, splecionej, na wpół żywej monstrualnej pajęczyny. Można ją nazwać społeczeństwem.

Poczuł nagle, jak zadrżała.

Sięgnął po wino i wypił szybko. Cień niepokoju, który, jak mu się zdawało, wstrząsnął fundamentami miasta, był czymś nowym. To dlatego... tak, z pewnością powodem był nieznany dotąd lęk.

To dlatego, że nie został odkryty.

To nie miało sensu. Oczywiście, miasto było tworem złożonym. Oczywiście, pracowało w oparciu o niezawodne maszyny. One i tylko one sprawiały, że człowiek nie stawał się - i to szybko - kolejnym wymarłym gatunkiem. Z maszyn komputery analogowe, elektroniczne komputery były żyroskopem wszelkiego życia. Stwarzały prawa i wymuszały ich stosowanie, prawa konieczne, by utrzymać ludzkość przy życiu. Danner niewiele rozumiał z potężnych zmian, które przetoczyły się nad społeczeństwem za jego życia, ale tyle wiedział nawet on... Więc być może słusznie poczuł drżenie podstaw porządku społecznego, bo siedział tu, w wygodnym fotelu z pianogumy, popijał wino, słuchał cichej muzyki, a żadna Furia nie stała za nim, by dowieść, że kalkulatory wciąż strzegą ludzkości...

Jeżeli nawet Furie nie są nieprzekupne, to w co może wierzyć człowiek?

I dokładnie w tym momencie przybyła Furia.

Danner usłyszał, jak szmery wokół cichną. Zamarł z widelcem w połowie drogi do ust. Spojrzał ku drzewom. Furia była wyższa niż człowiek. Stała przez chwilę nieruchomo, popołudniowe słońce rzucało oślepiające błyski, odbijając się w jej ramieniu. Nie miała twarzy; mimo to zdawała się wolno badać wzrokiem jeden stolik po drugim. Potem weszła i słoneczny refleks znikł z jej ramienia; wyglądała jak zakuty w stał człowiek, powoli idący między jedzącymi.

- Nie do mnie - powiedział do siebie Danner, odkładając pełny widelec. - Wszyscy się zastanawiają. Ja w i e m. I, jak do tonącego umysłu, napłynęło czyste, ostre, skoncentrowane

w jednej chwili, a przecież z wyraźnym każdym szczegółem, wspomnienie tego, co mówił Hartz. Tak, jak kropla wody może odbijać obraz szerokiej panoramy skupiony w małym ognisku, czas zdawał się skupiać w jednej sekundzie pół godziny, które Danner i Hartz spędzili razem w biurze Hartza, gdzie ściany stały się przezroczyście za naciśnięciem guzika.

Znow zobaczył Hartza, pulchnego, jasnowłosego, ze smutnie opuszczonymi brwiami. Człowiek, który wydawał się spokojny, póki nie zaczął mówić; wtedy czuło się wokół niego jakby płomień, atmosferę tak silnego napięcia, iż zdawało się, że powietrze drży bezustannie. Danner, w swojej wizji, stał przed jego biurkiem, czując przez podeszwy butów wibrację podłogi - uderzenia serc komputerów. Widział je przez szyby - gładkie, lśniące przedmioty z migającymi na płytach czołowymi światełkami podobnymi do płomyków płonących w barwach, szklanych zniczach. Słyszał ich daleki terkot, kiedy wchłaniały fakty, analizowały je i odpowiadały językiem liczb, wydając tajemne decyzje. Trzeba było takich ludzi jak Hartz, by zrozumieć znaczenie ich wyroków.

- Mam dla ciebie robotę - powiedział Hartz. - Chcę, żeby zginął pewien człowiek.

- Och, nie - odparł Danner. - Za jakiego durnia mnie pan bierze?

- Chwileczkę. Umiesz wydawać pieniądze, prawda? - Na co? - spytał gorzko Danner. - Na elegancki pogrzeb?

- Życie w luksusie. Wiem, że nie zrobisz tego, o co proszę, jeśli nie dostaniesz pieniędzy i ochrony. I właśnie to chcę ci zaproponować. Ochronę.

Danner popatrzył przez przezroczystą ścianę na komputery.

- Jasne - powiedział.

- Nie, naprawdę. Ja... - Hartz zawahał się, rozejrzał po pokoju niespokojnie, jakby nie dowierzając środkom, podjętym przez siebie dla zapewnienia tajności tej rozmowy. - To coś nowego. Jeżeli zechcę, mogę przesterować Furie. - Jasne - powiedział znowu Danner.

- To prawda. Pokażę ci. Mogę odciągnąć Furie od dowolnie wybranej ofiary.

- Jak?

- To mój sekret. To chyba oczywiste. Krótko mówiąc, znalazłem sposób, żeby fałszować dane tak, że maszyny wydają błędny werdykt przed osądzeniem albo błędne rozkazy po osądzeniu.

- Ale to jest... niebezpieczne, prawda?

- Niebezpieczne? - Hartz spojrział na Dannera spod swoich smutno opuszczonych brwi. - No cóż, tak. Tak myślę. Dlatego nie robię tego często. Prawdę mówiąc, do tej pory zrobiłem to tylko raz. Opracowałem metodę teoretycznie. Potem ją sprawdziłem, ten jeden raz. Zrobię to znowu, żeby ci udowodnić, że mówię prawdę. A potem jeszcze raz, żeby cię ochronić. I to wszystko. Nie chcę irytować komputerów bardziej, niż muszę. Jak załatwisz swoją robotę, nie będę już musiał.

- Kto ma zginąć?

Hartz mimowolnie spojrział w górę, w kierunku wyższych pięter, gdzie pracowali najwyżsi rangą urzędnicy.

- O'Reilly - powiedział.

Danner także spojrział w górę, jakby poprzez podłogę mógł zobaczyć podwyższone obcasy butów O'Reilly'ego, kontrolera komputerów, deptające kosztowny dywan.

- To bardzo proste - wyjaśnił Hartz. - Chcę dostać jego stanowisko.

- Więc dlaczego sam go pan nie wykończy, jeśli jest pan taki pewny, że potrafi powstrzymać Furie?

- Bo wtedy wszystko by się wydało - odparł niecierpliwie Hartz. - Pomyśl trochę. Mam oczywisty motyw. Nie potrzeba komputera, żeby wymyślić, kto najbardziej skorzystał na śmierci O'Reilly'ego. Jeśli uratuję się od Furii, ludzie zaczną się zastanawiać, jak to zrobiłem. Ale ty nie masz żadnego motywu. Nikt nie będzie wiedział, prócz komputerów, a nimi ja się zajmę.

- Skąd mam wiedzieć, że pan to potrafi?

- To proste. Patrz.

Hartz wstał i przeszedł szybko po elastycznym dywanie, który nadawał jego krokom pozory sprężystości. Pod przeciwległą ścianą, na wysokości piersi, umocowano pulpit z nachylnym skośnie ekranem. Hartz nerwowo wduśił przycisk i na jego powierzchni ukazała się wyrysowana wyraźnie mapa jednej z dzielnic miasta.

- Muszę znaleźć sektor, w którym aktualnie operuje jakaś Furia - wyjaśnił. Mapa zamigotała i Hartz znów nacisnął guzik. Linie ulic zafalowały i znikły, kiedy szybko, nerwowo badał dzielnicę. Potem rozbłysnął fragment planu z zaznaczonymi trzema barwnymi promieniami. Przecinały się w jednym punkcie w pobliżu środka. Punkt na planie przemieszczał się wolno, z prędkością odpowiadającą prędkości pieszego, zmniejszonego do skali ulicy, po której szedł. Wokół barwne linie wirowały powoli, ciągle zogniskowane na tym jednym punkcie.

- Jest - rzucił Hartz pochylając się, by odczytać z mapy nazwę ulicy. Kropla potu upadła mu z czoła. Zmieszany, starł ją palcem ze szklanej powierzchni. - Tam jest człowiek z przypisaną mu Furią. Dobra. Teraz ci pokażę. Patrz tutaj.

Nad pulpitem wisiał monitor. Hartz włączył go niecierpliwie i czekał, aż wyostrzy się wizja ulicznej sceny. Tłumy, ruch, ludzie dokądś spieszący, ludzie spacerujący bez celu. A w samym środku mała oaza izolacji, wyspa w morzu głów. Ta ruchoma wyspa miała dwóch mieszkańców, jakby Cruzoe i Piętaszka - tylko dwóch. Pierwszy, wynędzniały mężczyzna szedł ze wzrokiem wbitym w ziemię. Drugim mieszkańcem tej wyspy bezludnej był wysoki, lśniący, ludzki kształt, idący krok w krok za pierwszym.

Szli w pustej przestrzeni zamykającej się tuż za nimi i otwierającej przed nim, jakby otaczały ich niewidzialne ściany rozpychające tłum na boki. Niektórzy przechodnie przyglądali się im, inni odwracali się zmieszani czy zaniepokojeni. Część obserwowała bacznie, jakby w nadziei, że właśnie w tej chwili Piętaszek uniesie swe stalowe ramię i zada Robinsonowi śmiertelny cios.

- Patrz teraz - rzucił podenerwowany Hartz. - Za chwilę. Mam zamiar odciąć Furię od tego człowieka. Czekaj - podszedł do biurka, otworzył szufladę i pochylił się nad nią tajemniczo. Danner usłyszał serię szcęknięć, potem stuk wciskanych klawiszy. - Teraz - powiedział Hartz, zamykając szufladę. Przesunął grzbietem dłoni po czole. - Gorąco tu, prawda? Przyjrzyjmy się bliżej. Zobaczysz, co się stanie za parę minut.

Skoczył z powrotem do monitora; pstryknął przełącznikiem ogniskowej i scena rozszerzyła się. Mężczyzna i jego strażnik ukazali się w zbliżeniu. Twarz człowieka jakby przyjęła od robota beznamiętny wyraz. Można by sądzić, że długi czas żyli razem. Być może naprawdę tak było. Czas jest elastyczny, bywa, że wydłuża się bardzo w minimalnej przestrzeni.

- Czekam, aż wyjdą z tłumu - powiedział Hartz. To nie może budzić podejrzeń. O, teraz skręcają. Mężczyzna, pozornie idący bez celu, skręcił na rogu i ruszył wąskim, ciemnym przejściem, oddalając się od ulicy. Oko kamery podążało za nim. Robot także.

- Więc macie kamery, które mogą to zrobić? - spytał Danner z zainteresowaniem. - Zawsze to podejrzewałem. Jak to działa? Są umieszczone na każdym rogu, czy promień jest trans...

- Nieważne - odrzekł Hartz. - Tajemnica zawodowa. Po prostu patrz. Trzeba będzie zaczekać, aż... nie, nie! Patrz, on ma zamiar spróbować teraz!

Mężczyzna obejrzał się ukradkiem. Robot właśnie mijał akret. Hartz rzucił się do biurka i szarpnięciem otworzył szufladę. Ręka zawisła w oczekiwaniu, oczy bacznie śledziły ekran. Interesujące było, jak mężczyzna, choć nie mógł mieć pojęcia, że obserwują go czyjeś oczy, uniósł głowę ku niebu i przez chwilę patrzył wprost w ukryty, uważny obiektyw kamery, wprost w oczy Hartza i Danner. Zobaczyli, jak gwałtownie, głęboko nabiera tchu i rzuca się do ucieczki.

Z szuflady Hartza dobiegło metaliczne szczęknięcie. Robot, który zaczynał przyspieszać w tym samym momencie co człowiek, hamował niezdarnie i chyba przez chwilę chwiał się na stalowych nogach. Zwolnił. Zatrzymał się, jak tracący obroty silnik. Stał nieruchomo. Na granicy pola widzenia kamery widać było odwróconą do tyłu twarz mężczyzny z otwartymi w zdumieniu ustami. Robot stał w alei, robiąc niezdecydowane ruchy, jak gdyby nowe rozkazy, wtłoczone przez Hartza do jego mechanizmów walczyły z wbudowanymi poleceniami w każdym posiadanym efektorze. Potem odwrócił do człowieka swoje stalowe plecy i ruszył wzdłuż ulicy gładko, niemal dostojnie, jakby wykonywał jedynie słuszne instrukcje, a nie rozrywał swym niezwykłym zachowaniem najsilniejszych społecznych więzi. I jeszcze jedno spojrzenie na twarz człowieka, dziwnie przerażonego, jakby opuścił go ostatni przyjaciel na świecie.

Hartz wyłączył ekran. Znowu otarł czoło. Podeszedł do szklanej ściany i spojrzał w dół, na komputery, jakby bojąc się, że mogą się dowiedzieć, co uczynił. Na tle tych metalowych gigantów zdawał się całkiem mały.

- Dobrze, Danner? - rzucił przez ramię.

Czy było dobrze? Jasne, były jeszcze rozmowy, przekonywanie, podnoszenie ceny. Ale Danner wiedział, że decyzja została podjęta właśnie w owej chwili. Kalkulowane ryzyko, opłacalne. Z pewnością opłacalne. Tyle, że...

W martwej ciszy sali restauracyjnej zamarł wszelki ruch. Furia szła spokojnie między stolikami, lśniąca, nie dotykając nikogo. Zwrócone ku niej twarze bladły. W każdym mózgu płonęła myśl: „Czy to możliwe, żeby przyszła po mnie?”. Nawet zupełnie niewinni myśleli: „To pierwszy błąd, jaki popełnili. I chodzi o mnie! Pierwsza pomyłka, ale nie ma apelacji i nic nie mogę zrobić”. Bo choć вина nie miała znaczenia w tym świecie, kara je miała, a kara może uderzać jak grom, na ślepo.

Przez zaciśnięte zęby Danner powtarzał sobie znowu:

- Nie po mnie. Jestem bezpieczny. Jestem chroniony. To nie przyszło po mnie.

A przecież, myślał, jakie to dziwne, co za zbieg okoliczności, prawda? Dwóch morderców pod tym kosztownym, szklanym dachem, akurat dzisiaj. On - i ten, po którego przyszła Furia. Upuścił widelec i usłyszał, jak brzęknął o talerz. Popatrzył na jedzenie i nagle jego umysł odepchnął od siebie wszystko, co działo się dookoła. Metodą strusia, chowającego głowę w piasek, zaczął myśleć o jedzeniu. Jak rosna szparagi? Jak wygląda żywność na surowo? Nigdy takiej nie widział. Przybywała w stanie gotowym do spożycia z restauracyjnych kuchni, albo automatycznych podajników. Weźmy ziemniaki. Jak wyglądały? Wilgotna, biała masa? Nie, czasem były owalnymi plasterkami, więc całe też muszą być owalne. Ale nie kuliste. Czasami podają je jako długie paski, kwadratowe na końcach. Coś długiego, owalnego, potem pociętego równo. No i białe oczywiście. I rosły w ziemi, był prawie pewien. Długie cienkie korzenie rozciągające swe białe rozgałęzienia wśród rur i kanałów, które widział kiedyś odsłonięte, gdy naprawiano ulicę. Jakie to dziwne, że jadł coś podobnego do chudych, bezwładnych ludzkich ramion, obejmujących trzewia miasta, blade ciągnących się tam, gdzie robaki miały swe siedziby. I gdzie on sam, kiedy Furie go wykryją, będzie być może...

Odsunął talerz.

Poruszenia i szmery na sali sprawiły, że jak automat podniósł wzrok. Furia była w połowie drogi i było niemal śmieszne widzieć ulgę tych, których minęła. Dwie czy trzy kobiety zakryły twarze dłońmi, jeden z mężczyzn zsunął się bezwładnie z krzesła, gdy Furia przechodząc pozwoliła ich ukrytym strachom powrócić w ciemne głębie podświadomości. Była już całkiem blisko. Wyglądała na jakieś siedem stóp wysokości. Jej ruchy były niezwykle płynne. Jeśli się dobrze zastanowić, było to dość nieoczekiwane. Bardziej płynne niż ludzkie. Jej stopy odmierzały na dywanie ciężkie, miarowe kroki. Bum, bum, bum, Danner próbował obliczyć, ile może ważyć. Słyszało się zawsze, że nie wydają żadnego dźwięku poza tym strasznym stąpieniem, lecz ta zgrzytała gdzieś leciutko. Nie miała twarzy, lecz ludzki wzrok mimowolnie szkicował na gładkiej, stalowej powierzchni jakieś wzniosłe rysy, przeszukujące salę oczy.

Zbliżała się. Wszystkie spojrzenia skierowały się na Dannera. A Furia szła wprost na niego. Wyglądało to prawie jak...

- Nie! - powiedział sobie Danner. - Och nie, to niemożliwe - czuł się jak człowiek wśród koszmaru, na krawędzi jawy. - Niech się szybko obudzę - pomyślał. Niech się obudzę, j u ż, zanim to tu podejdzie.

Ale ucichło. Słyszał najcichszy z możliwych zgrzyt, kiedy tak wznosiło się nad jego stolikiem, nieruchome, twarzą bez twarzy zwrócone ku niemu.

Danner poczuł zalewającą go falę gorąca nie do wytrzymania - poczuł wstyd, gniew, niedowierzanie. Serce biło tak mocno, że czuł, jak kołysz się pod nim podłoga. Ból jak błyskawica przeszył mu głowę od skroni do skroni.

Stał wyprostowany i krzyczał.

- Nie, nie! - darł się do nieczulej stali. - Pomyliłaś się! To pomyłka! Zjeżdżaj stąd, durna! Pomyliłaś się, pomyliłaś!

Nie patrząc, sięgnął na stół, wymacał talerz i rzucił go wprost w pancerną pierś. Porcelana rozbryznięła się, jedzenie rozmazało się na stalowej płycie, znacząc ją białymi zielonymi i brązowymi plamami.

Danner potknął się o krzesło, okrążył stół i minął metalową postać. Szedł do drzwi.

Wszystkim, o czym mógł teraz myśleć, był Hartz. Morze twarzy falowało dookoła, kiedy wytaczał się z restauracji. Niektórzy patrzeli z zachłanną ciekawością, ściągając go wzrokiem. Inni wcale nie patrzeli, wbijając oczy w talerze lub zakrywając twarze rękami. Za sobą słyszał miarowe kroki i ciche, rytmiczny zgrzyt dobiegający gdzieś spod pancerza.

Twarze po obu stronach znikły. Przeszedł przez szklane drzwi, nie pamiętając, by je otwierał. Był na ulicy. Był zlany potem, powietrze zdawało się lodowato zimne, choć dzień nie był chłodny. Spojrzał niewidzącymi oczyma w lewo, potem w prawo, po czym rzucił się do budek telefonicznych, pół bloku od miejsca, gdzie stał. Obraz Hartza widział tak wyraźnie, że zderzał się z ludźmi, nie dostrzegając ich. Za sobą słyszał poirytowane głosy, które nagle milkły, zalęknione. Przejście w magiczny sposób otwierało się przed nim. W nowo powstałej wysepce swojej izolacji zmierzał do najbliższej budki.

Kiedy zamknął szklane drzwi, grzmot uderzeń serca wprawił w drżenie małą, dźwiękoszczelną kabinę. Widział robota czekającego beznamietnie z rozmazaniem ciągle na piersi jedzeniem. Wyglądało jak jakaś robocia wstęga honorowa przypięta do stalowego torsu. Danner spróbował wykręcić numer. Palce miał jak z gumy. Oddychał głęboko i ciężko, starając się wziąć w garść. Bezsensowna myśl przemknęła mu przez głowę: zapomniałem zapłacić za obiad. A potem: dużo mi teraz przyjdzie z forsy. Och, przeklęty Hartz, niech go diabli, niech go diabli!

Wykręcił numer.

Dziewczęca twarz wypłynęła na ekran, nabierając ostrych, czystych kolorów. Dobre, drogie ekrany montują w publicznych budkach w tej części miasta, zanotował automatycznie jego mózg.

- Biuro Kontrolera flartza. Czym mogę służyć? Dopiero po trzeciej próbie Danner zdołał wykrztusić swoje nazwisko. Zastanawiał się, czy dziewczyna widzi go, a za nim, niewyraźną przez szybę, wysoką, oczekującą figurę. Nie dowiedział się, gdyż natychmiast opuściła wzrok na coś, co musiało być listą leżącą przed nią na niewidocznym stoliku.

- Przykro mi, ale pan Hartz wyszedł. Dzisiaj już go nie będzie.

Światło i barwy znikły z ekranu.

Danner rozsunął drzwi i wyprostował się. Kolana mu drżały. Robot zostawił tylko tyle miejsca, by drzwi mogły się otworzyć. Przez chwilę stali naprzeciw siebie. Danner usłyszał nagle swój niekontrolowany chichot, który - nawet on zdawał sobie z tego sprawę - graniczył z histerią. Robot z plamami jedzenia podobnymi do wstęgi honorowej wyglądał tak śmiesznie! Ku swemu zaskoczeniu Danner stwierdził, że jego lewa ręka cały czas ściska restauracyjną serwetkę.

- Cofnij się - powiedział do robota. - Pozwól mi wyjść. Och, ty durniu, nie wiesz, że to pomyłka?

Głos mu drżał. Robot zgrzytnął cicho i odstąpił.

- Jest wystarczająco fatalne, że za mną łazisz - powiedział Danner. - Przynajmniej mógłbyś być czysty. Brudny robot to zbyt wiele... zbyt wiele...

W jakiś idiotyczny sposób ta myśl była nie do zniesienia. Usłyszał szloch w swoim głosie. Pół śmiejąc się, pół łkając, wytarł stalową pierś do czysta i rzucił serwetkę na ziemię.

I właśnie w tym momencie, kiedy czuł jeszcze dotyk twardej stali, świadomość tego, co się stało, ostatecznie przebiła ochronną barierę histerii. Przypomniał sobie prawdę. Już nigdy w życiu nie będzie sam. Nigdy, póki oddycha. A kiedy umrze, umrze w tych stalowych ramionach, może na tej stalowej pierś, z pochyloną nad nim beznamiętną twarzą, ostatnią rzeczą, jaką zobaczy w życiu. Nie człowieka, ale czarną czaszkę Furii.

Osiągnięcie Hartza zajęło mu prawie tydzień. W ciągu tego tygodnia zmienił swoją opinię na temat tego, ile czasu potrwa, zanim człowiek ścigany przez Furię oszaleje. Ostatnią rzeczą, którą widział w nocy, były uliczne światła oświetlające poprzez zasłony drogiego, hotelowego apartamentu metalowe ramiona jego strażnika. Całą długą noc, gdy budził się z niespokojnej drzemki, słyszał cichy zgrzyt jakiegoś mechanizmu, pracującego pod pancerzem. I za każdym razem budząc się myślał, czy obudzi się jeszcze kiedykolwiek, czy cios spadnie w czasie snu? I jaki cios? Jak Furie wykonują egzekucje? Zawsze czuł ulgę, widząc słabe światło poranka oświetlające wartownika przy jego łóżku. Przynajmniej tę noc przeżył. Ale czy to było życie? I czy warte było tej męki?

Zatrzymał swój apartament. Być może dyrekcja hotelu wolałaby, żeby się wyprowadził, ale nie powiedzieli ani słowa. Możliwe, że nie mieli odwagi. Życie nabrało dziwnej przejrzystości, jakby oglądane przez niewidzialną ścianę. Poza próbami kontaktu z Hartzem nie było nic, na co Danner miałby ochotę. Odpłynęły gdzieś dawne marzenia o luksusie, rozrywkach, podróżach. Nie mógłby podróżować sam.

Godzinami przesiadywał w bibliotece, czytając wszystko co było osiągalne na temat Furii. To właśnie tutaj odkrył dwa nawiedzone, przerażające wersy Milтона napisane wtedy, kiedy świat był jeszcze mały i prosty - tajemnicze linie, nie mające żadnego sensu dla nikogo - dopóki człowiek nie stworzył Furii ze stali, na swój obraz i podobieństwo.

Lecz ta u drzwi stojąca maszyna o dwóch rękach,

Gotowa, by cios zadać i nie uderzać więcej...

Danner obejrzał się na swoją własną maszynę o dwóch rękach, stojącą nieruchomo za jego ramieniem. Pomyślał o Miltonie i o tych dalekich czasach, gdy życie było proste i łatwe. Spróbował wyobrazić sobie przeszłość. Dwudziesty wiek, kiedy wszystkie cywilizacje wspólnie runęły majestatycznie w chaos. I czasy jeszcze wcześniejsze, kiedy ludzie byli... jakoś inni. Ale jak? Nie umiał sobie wyobrazić czasów sprzed maszyn.

Po raz pierwszy jednak dowiedział się, co naprawdę zdarzyło się w tych dawnych dniach, gdy radosny świat zniknął ostatecznie i gdy zaczęła się jednostajna harówka. I kiedy po raz pierwszy, na podobieństwo człowieka, wykuto Furie.

Zanim zaczęły się naprawdę wielkie wojny, technika osiągnęła poziom, na którym maszyny, jak żywe stworzenia, rodziły maszyny. Mógł wtedy nastać Eden, raj na Ziemi, można było w pełni zaspokoić potrzeby każdego człowieka. Niestety, nauki społeczne zbyt daleko odstały od nauk technicznych. Gdy nadeszły dziesiątkujące ludzkość wojny, ludzie i maszyny walczyli ramię w ramię, stal przeciw stali, człowiek przeciw człowiekowi. Tyle, że ludzie ginęli łatwiej. Wojny skończyły się, gdy nie istniały już dwa społeczeństwa, które mogłyby ze sobą walczyć. Społeczeństwa rozpadły się na grupy coraz to mniejsze i mniejsze, aż do stanu bardzo bliskiego anarchii.

Maszyny tymczasem lizwały swoje metalowe rany i leczyły się nawzajem tak, jak zostały skonstruowane. Nie potrzebowały nauk społecznych. Spokojnie reprodukowały się i dostarczały ludzkości wszelkich zbytków, których dostarczania nauczył je okres Edenu. Niedoskonałe, oczywiście. Niecałkowicie, ponieważ niektóre ich rodzaje zostały wyniszczone zupełnie i nie zostało ani jednego egzemplarza, by się rozmnażał i reprodukował swój gatunek. Niemniej jednak większość z nich wydobywała surowce, rafinowała je, wytwarzała niezbędne części, produkowała paliwo, naprawiała uszkodzenia i przystosowywała potomstwo do działania ze sprawnością, do jakiej człowiek nigdy się nawet nie zbliżył. W tym czasie ludzkość dzieliła się coraz bardziej. Przestały istnieć jakiegokolwiek grupy, nawet rodziny. Ludzie już nie potrzebowali się nawzajem. Pękały więzi emocjonalne. Ludzie przyzwyczaili się do akceptowania najprzeróżniejszych surogatów i eskapizm stał się tragicznie prosty. Człowiek skierował swoje uczucia na Maszyny Ucieczki karmiące go cudownymi, niemożliwymi przygodami i sprawiające, że świat po przebudzeniu wydawał się zbyt nudny, by się nim przejmować. A procent urodzeń malał i malał. To były dziwne czasy. Zbytek i chaos szły ręką w rękę, anarchia i inercja stały się tym samym. A procent urodzeń ciągle malał...

W końcu kilka osób pojęło, co się dzieje. Człowiek jako gatunek wymierał. I nic nie mógł na to poradzić. Miał jednak potężnego sługę.

Przyszedł więc dzień, gdy jakiś zapomniany geniusz zaprogramował nowe wzorce w największych z ocalałych elektronicznych komputerów. Wprowadził nowy cel: „Ludzkość musi się znowu stać za siebie odpowiedzialna. To będzie wasze jedyne zadanie, aż do jego całkowitej realizacji”.

To było proste, lecz zmiany ogarnęły cały świat. Ludzkie życie zmieniło się drastycznie. Maszyny były zintegrowanym społeczeństwem, nawet jeśli ludzie nim nie byli. A teraz miały jeden zbiór instrukcji i wszystkie je wypełniały. Dni darmowego zbytku skończyły się. Maszyny Ucieczki zamknęły swój sklepik. Ludzie, aby przeżyć, musieli podjąć pracę, którą maszyny porzuciły. Musieli znowu zbierać się w grupy i pomału, pomału wspólne potrzeby i wspólne interesy zaczęły odradzać zagubione niemal zupełnie poczucie jedności ludzi. Postęp był jednak tak powolny. I żadna maszyna nie mogła odtworzyć w człowieku tego, co utracił - wewnętrznego sumienia. Indywidualizm osiągnął ostateczne granice i przez długi czas nie istniały żadne środki zapobiegające przestępstwom. Ludzie pozbawieni więzi rodzinnych i grupowych nawet nie odwzajemniali nienawiści. Sumienie znikło, gdyż żaden człowiek nie identyfikował się z żadnym innym.

Dla ocalenia człowieka przed wyginięciem, prawdziwym zadaniem maszyn stało się odtworzenie w człowieku jego realistycznego superego. Społeczeństwo współzależne byłoby autentycznie odpowiedzialne za siebie. Sumienie miałoby zakazywać popełniania i karać za „grzechy” - czyny przynoszące szkodę grupie, z którą człowiek się identyfikuje. I wtedy zjawily się Furie.

Maszyny uznały morderstwo popełnione w dowolnych okolicznościach za jedyne przestępstwo. Było to dość trafne, gdyż jako jedyne działanie nieodwracalnie niszczyło jednostkę - część społeczeństwa.

Furie nie mogły zapobiec przestępstwom. Kara nigdy nie leczy zbrodniarza. Lecz inni mogą zrezygnować z popełniania zbrodni ze strachu, gdy zobaczą, jaka jest kara. Furie były jej symbolem. Otwarcie chodziły po ulicach, każda za swą ofiarą, widoczny i wyraźny znak tego, że morderstwo zawsze zostaje ukarane i to ukarane publicznie - i strasznie. Były sprawne. Nigdy się nie myliły. Przynajmniej w teorii nigdy się nie myliły, a biorąc pod uwagę gigantyczną ilość informacji zmagazynowaną w maszynach analogowych, zdawało się prawdopodobnym, że ich prawo działało o wiele bardziej skutecznie, niż mogłoby działać prawo ludzkie.

Któregoś dnia człowiek ponownie odkryje pojęcie grzechu. Bez niego zbliżał się niebezpiecznie do granicy całkowitego zniknięcia, z nim odzyska być może władzę nad sobą i nad rasą mechanicznych sług pomagających mu zrekonstruować gatunek. Póki jednak ten dzień nie nadejdzie, Furie będą kroczyć ulicami miast - ludzkie sumienie zakute w metal kierowane przez maszyny, które człowiek stworzył dawno, dawno temu.

Danner nie bardzo pamiętał, co robił przez cały ten czas. Wiele myślał o owych dniach, kiedy pracowały jeszcze Maszyny Uciezki, a luksus nie był racjonowany. Wspominał te czasy z żalem, gdyż nie widział żadnych powodów dla eksperymentu, w który wplątała się ludzkość. Naprawdę, wtedy podobało mu się dużo bardziej. I nie było żadnych Furi.

Sporo pił. Raz opróżnił kieszenie do kapelusza beznogiego żebraka, gdyż był, tak samo jak on, oderwany od świata przez coś nowego i straszego. Dla Dannera tym czymś była Furia. Dla żebraka było to samo życie. Trzydzieści lat temu żyłby i umarł niezauważony, pielęgnowany tylko przez maszyny. To, że dzisiaj mógł w ogóle wyżyć z żebrania, znaczyło, że w społeczeństwie zaczyna się budzić współczucie dla jego członków. Dla Dannera nie znaczyło to nic. Nie będzie go tu na tyle długo, żeby zobaczyć, jak się skończy ta historia. Chciał porozmawiać z żebrakiem, mimo że tamten starał się odtoczyć na swoim małym wózku.

- Słuchaj - powtarzał, idąc za nim i przeszukując kieszenie. - Chcę ci wytłumaczyć. To nie jest tak, jak ci się wydaje. To jest...

Owej nocy był zupełnie pijany. Szedł za żebrakiem, aż tamten rzucił w niego jego pieniędzmi i odjechał szybko, podczas gdy Danner oparty o ścianę usiłował uwierzyć w jej realność. Ale realny był tylko cień Furii padający na niego od strony ulicznej latarni.

Później, tej nocy, w ciemnościach zaatakował Furie. Jak przez mgłę pamiętał, jak znalazł jakąś rurę i wykrzesał snopy iskier, waląc nią we wznoszące się nad nim nieczułe ramiona. Potem pobiegł, klucząc po alejach, aż w końcu ukrył się w ciemnej bramie i czekał, kiedy równe kroki znowu zabrzmiały w mroku.

Potem wyczerpany zasnął.

Następnego dnia udało mu się wreszcie zobaczyć z Hartzem.

- Co jest nie tak? - zapytał. W ciągu ostatnich tygodni zmienił się bardzo. Jego kamienna twarz zdawała się być odbiciem metalowej maski robota.

Hartz nerwowo uderzył dłonią o krawędź biurka. Skrzywił się. Pomieszczenie zdawało się wibrować nie rytmem pracy maszyn, ale jego własną spiętą energią.

- C o ś jest nie tak - powiedział. - Jeszcze nie wiem co. Ja...

- Ty nie wiesz! - Danner utracił nieco ze swojej niewzruszoności.

- Zaczekaj - Hartz uspokajająco machnął ręką. Wytrzymaj jeszcze trochę. Wszystko będzie w porządku. Możesz...

- Ile mam jeszcze czasu? - przerwał mu Danner. Obejrzał się przy tym na stojącą za nim Furie, jakby to jej zadawał to pytanie, nie Hartzowi. Czuło się ze sposobu, w jaki

wypowiedział te słowa, że zadawał je już wiele razy, patrząc w tą pustą, stalową twarz i że będzie je powtarzał, aż w końcu otrzyma odpowiedź. Ale to nie będą słowa...

- Nie mogę sprawdzić nawet tego - odparł Hartz. Do diabła, Danner, w tym było ryzyko. Wiedziałeś o tym. - Powiedziałeś, że możesz kontrolować komputer. Widziałem, jak to robisz. Chcę wiedzieć, dlaczego teraz tego nie zrobiłeś, tak jak mi obiecałeś.

- Coś się zepsuło, mówię ci. Powinno działać. W momencie, kiedy ten... interes został załatwiony, wprowadziłem dane, które powinny cię chronić.

- Ale co się stało?

Hartz wstał i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju. - Nie wiem. Po prostu nie wiem. Nie znamy wszystkich możliwości maszyny, to wszystko. Myślałem, że potrafię to zrobić, ale...

- Myślałeś!

- Wiem, że potrafię to zrobić. Ciągłe próbuję. Sprawdzam wszystko. W końcu dla mnie to też jest ważne. Pracuję tak szybko, jak mogę; dlatego nie mogłem się z tobą zobaczyć wcześniej. Jestem pewien, że mi się uda, jeśli tylko będę mógł pracować na swój sposób. Do diabła, Danner, to skomplikowana sprawa. To nie to samo, co nastawiać komptometr. Popatrz tam, na te wszystkie maszyny.

Danner nie pofatygował się, by spojrzeć.

- Lepiej to załatw - powiedział. - To wszystko.

- Nie próbuj mi grozić - Hartz był wściekły. - Zostaw mnie w spokoju, a rozpracuję to. Ale nie próbuj mi grozić.

- Ty też jesteś wplątany w tę historię - stwierdził Danner.

Hartz usiadł na brzegu biurka.

- Jak? - zapytał.

- O'Reilly nie żyje. A ty mi zapłaciłeś, żebym go zabił. Hartz wzruszył ramionami.

- Furia o tym wie - powiedział. - Komputery też o tym wiedzą. Ale to nie ma najmniejszego znaczenia. To twój palec nacisnął spust, nie mój.

- Obaj jesteśmy winni. Jeżeli coś mi się stanie, to ty... - Chwileczkę. Wyjaśnijmy tę sprawę do końca. Myślałem, że wiesz. To jest podstawa działania prawa, zawsze była. Nie jestem bardziej odpowiedzialny za śmierć O'Reilly'ego niż pistolet, z którego strzelałeś.

- Ale ty mnie oszukałeś! Okłamałeś mnie! Ja...

- Ty, jeśli chcesz się uratować, zrobisz to, co ci powiem. Nie oszukałem cię, po prostu popełniłem błąd. Daj mi trochę czasu, a naprawię go.

- Jak długo?

Tym razem obaj spojrzeli na Furię. Stała nieruchomo. - Ja nie wiem, jak długo - odpowiedział sobie Danner. - Ty mówisz, że też nie wiesz. Nikt nawet nie wie, jak ona mnie zabije, kiedy przyjdzie czas. Przeczytałem wszystko, co można dostać na ten temat. Fakt, metody się zmieniają tylko po to, żeby tacy ludzie jak ja siedzieli jak na rozżarzonych węglach. A czas? Czy też się zmienia?

- To prawda. Ale istnieje minimum - jestem prawie pewien. Ty go jeszcze nie przekroczyłeś. Uwierz mi, Danner, jeszcze nie potrafię odwołać Furii. Widziałeś, jak to robię. Widziałeś, że mój sposób działał. Teraz muszę tylko odnaleźć uszkodzenie. Ale im więcej czasu mi zajmujesz, tym mniej mogę go poświęcić na szukanie. Skontaktuję się z tobą. Nie próbuj więcej się ze mną spotkać.

Danner wstał. Zawód i wściekłość przebiły się przez nieruchomą maskę, którą rozpacz uformowała na jego twarzy. Zrobił kilka szybkich kroków w kierunku Hartza. Za sobą jednak słyszał powolne stąpanie Furii. Zatrzymał się. Obaj mężczyźni popatrzeli na siebie.

- Daj mi trochę czasu - powiedział Hartz. - Zaufaj mi, Danner.

Kiedy się miało nadzieję, było w pewien sposób jeszcze gorzej. Do tej chwili żył w stanie jakiegoś oszołomienia, które nie pozwalało odczuwać zbyt wiele. Teraz jednak istniała szansa, że mimo wszystko uda mu się uciec - uciec we wspańnię, nowe życie, dla którego tyle ryzykował o ile Hartz zdąży go ocalić.

Znów zaczął się bawić. Podróżował, choć, oczywiście, nigdy samotnie. Szukał nawet towarzystwa ludzi i - w pewien sposób - znajdował je. Lecz ludzie wiążący się z kimś, nad kim wisiał taki wyrok śmierci, nie byli zbyt pociągającymi typami. Zauważył na przykład, że stał się bardzo atrakcyjny dla niektórych kobiet - nie ze względu na siebie czy swoje pieniądze, ale ze względu na swojego towarzysza. Były zafascynowane możliwością bliskiego, a przecież bezpiecznego kontaktu z tym narzędziem losu. Czasami orientował się, że ponad jego ramieniem przyglądają się Furii w ekstazie oczekiwania. Reagował na to z dziwną zazdrością i porzucał je, gdy tylko dostrzegał pierwsze, pełne fascynacji spojrzenia, rzucane na robota, stojącego za jego plecami.

Próbował dalszych podróży. Zamówił raketę do Afryki, a wracając, zatrzymał się w dżunglach Ameryki Południowej. Jednak ani nocne kluby, ani egzotyka obcych miejsc nie wywarła na nim żadnego głębszego wrażenia. Słońce tak samo odbijało się w opływowych, stalowych powłokach jego anioła stróża, czy świeciło nad płową sawanną, czy przebijało się przez wiszące ogrody dżungli.

Nowości szybko go nudziły, bo przerażający, znajomy przedmiot zawsze znajdował się przy jego ramieniu. Nic nie mogło go zabawić.

Rytmiczny odgłos kroków stał się nie do wytrzymania. Używał zatyczek do uszu, ale i tak wibracja przewiercała mu czaszkę niby wieczna migrena. Nawet gdy Furia stała nieruchomo, w wyobraźni słyszał jej ciężkie stąpanie.

Kupował broń i próbował zniszczyć robota, bez rezultatu, oczywiście. Zresztą, wiedział, że gdyby mu się udało, niedługo przybyłby następny. Coraz częściej myślał o samobójstwie, lecz starał się odsunąć te myśli. Hartz powiedział, że ma jeszcze szansę.

W końcu wrócił do miasta. Tutaj był bliżej Hartza i bliżej nadziei. Znów spędzał większość czasu w bibliotece. Chodził tyle tylko, ile musiał, by nie słyszeć strasznego odgłosu kroków. I właśnie w bibliotece pewnego dnia znalazł odpowiedź...

Przeczytał wszystkie dostępne materiały faktograficzne na temat Furii. Przeczytał wszystkie odnośniki w literaturze pięknej, zdumiony tym, że było ich tak wiele i tak trafne stały się niektóre porównania - jak maszyna o dwóch rękach Milтона - po upływie tylu wieków. „Te stopy, co podążają, podążają za mną - czytał - ... w niespiesznym pościgu, równym krokiem, powoli, zawsze obecne...” Odwrócił stronę i zobaczył siebie i swoje problemy wyrażone bardziej dosłownie, niż w jakiegokolwiek alegorii:

Zrzuciłem spiętrzone godziny  
I wciągnąłem w siebie życie; zbrukany  
Stoję wśród stosów pyłu lat minionych...  
Moja młodość, skruszona, martwa leży pod nimi.

Kilka łez żalu nad samym sobą padło na wersy, które opisały go tak dokładnie. Potem przeszedł od literatury do bibliotecznego magazynu filmów, gdyż niektóre ich indeksy były wyszczególnione pod tematem, który badał. Oglądał Orestesa we współczesnym kostiumie, ściganego z Argos do Aten przez jednego siedmiostopowego robota - Furie,

zamiast trzech legendarnych Erynni z węzami zamiast włosów. Kiedy Furie weszły w użycie, nastąpił istny zalew sztuk na ich temat. Zatopiony w półsennych wspomnieniach z dzieciństwa, z dni, gdy pracowały jeszcze Maszyny Ucieczki, Danner zatracił się w akcji filmów.

Zamyślił się tak dalece, że gdy pierwszy raz znajoma scena błysnęła na ekranie, nie zdziwił się. Cały pokaz był częścią jego wspomnień i początkowo nie był zaskoczony, że jeden z obrazów żywiej coś przypomina niż inne. Ale potem jakby usłyszał dzwoniący w mózgu dzwon alarmowy. Wyprostował się gwałtownie i walnął pięścią w przycisk stopu. Cofnął taśmę i puścił ją od początku.

Zobaczył mężczyznę i Furię poruszających się ulicą w maleńkiej wysepce pustki, którą wytwarzali dookoła siebie, podobnych do Cruzoe z Piętaszkiem za plecami.

Zobaczył, jak mężczyzna skręca w alejkę, patrzy nerwowo w stronę kamery, nabiera tchu i nagle rzuca się do ucieczki. Zobaczył, jak Furia waha się, porusza niezdecydowanie, w końcu odwraca i spokojnie, chłodno odchodzi w innym kierunku, a jej stopy dudnią głucho na trotuarze...

Danner przewinął film i obejrzał tę scenę raz jeszcze, po prostu, żeby się upewnić. Ręce drżały mu tak, że z trudem radził sobie z projektorem.

- Co ty na to? - mruknął do Furii, stojącej przy nim w mrocznej kabinie. Nabrał zwyczaju wypowiedziania w jej kierunku cichych zdań, naprawdę nie zdając sobie z tego sprawy.

- Co z tym zrobimy? Widziałaś to już, prawda? Znajome, prawda? Prawda? Prawda!

Odpowiedz, ty cholerny, dumny kadłubie!

Odwrócił się i uderzył robota w pierś tak, jakby bił Hartza, gdyby mógł. Metal zadzwieczał głucho. Robot nie zareagował, choć, kiedy Danner popatrzył na niego, zobaczył w piersi i pozbawionej twarzy głowie odbicie nazbyt znajomej sceny, wyświetlanej na ekranie po raz trzeci - jak gdyby Furia także sobie przypominała.

Teraz znał odpowiedź. Hartz nigdy nie miał władzy, o której mówił. A jeśli nawet, to nie miał chęci jej użyć, by pomóc Dannerowi. To, co mu groziło, było już poza nim. Nic dziwnego, że wtedy, w biurze, był taki nerwowy. Niepokoił się nie dlatego, że robiąc to, co robił, igrał z niebezpieczeństwem, ale dlatego, że musiał dokładnie zgrać swoje ruchy z akcją filmu. Ileż razy musiał powtarzać scenę, wyliczając każdy ruch! I jak potem musiał się śmiać...

- Ile mam jeszcze czasu? - zapytał Danner, wybijając pięścią głuchy rytm na piersi robota. - 11e? Odpowiedz! Wystarczy?

Utrata nadziei była jak rozkosz. Nie musi już więcej czekać. Nie musi już więcej próbować. Musi tylko dostać się do Hartza i to dostać się szybko, nim skończy się jego czas. Z odrazą myślał o wszystkich dniach, które zmarnował na podróżach i szukaniu rozrywek, gdy tymczasem właśnie w tej chwili mogły upływać ostatnie minuty jego życia. Zanim upłyną ostatnie minuty Hartza.

- Chodź - powiedział do Furii, całkiem niepotrzebnie. - Szybko!

Ruszyła, dostosowując swoją prędkość do niego. Ukryty stoper w jej wnętrzu odmierzał sekundy pozostałe do chwili, kiedy maszyna o dwóch rękach uderzy raz, by nie uderzać więcej.

Hartz siedział przy nowiułkim biurku w biurze Kontrolera i spoglądał w dół z samego wierzchołka piramidy, sponad rzędów komputerów podtrzymujących działanie społeczeństwa i trzymających bat nad ludzkością. Odetchnął z głębokim zadowoleniem.

Zauważył tylko, że zbyt często myśli o Dannerze. Śnił o nim nawet. Nie czuł się winny. Wina implikuje sumienie, a duch anarchistycznego indywidualizmu był zbyt głęboko zakorzeniony w każdym ludzkim umyśle. Czuł się raczej niespokojny.

Zwykle wtedy opierał się wygodnie, otwierał niewielką szufladę, którą przeniósł ze swojego starego biurka, wsuwał do niej dłoń i pozwalał swym palcom leciutko muskać przełączniki. Całkiem leciutko.

Dwa ruchy - i Danner byłby uratowany. Kłamał mu wtedy w żywe oczy. Z łatwością mógł kontrolować Furie. Mógł ocalić Dannera, lecz nigdy nie miał zamiaru tego zrobić. Nie było potrzeby, a sprawa była niebezpieczna. Trudno przewidzieć konsekwencje, gdy igra się z mechanizmem tak złożonym, jak ten, który steruje społeczeństwem. Może nastąpić reakcja łańcuchowa, która całą organizację zepchnie z wytyczonego toru. Nie.

Być może pewnego dnia będzie zmuszony do użycia ukrytego w szufladzie urządzenia, miał jednak nadzieję, że to nie nastąpi nigdy.

Wepchnął szufladę z powrotem i usłyszał ciche szczęknięcie zamka.

Był Kontrolerem. W pewnym sensie strażnikiem maszyn tak wiernych, jak wierny nie mógłby być żaden człowiek. Quis custodiet, pomyślał. Stary problem. A odpowiedź brzmiała: nikt. Dzisiaj już nikt. On sam nie miał ponad sobą nikogo. Jego władza była absolutna. Nikt nie kontrolował Kontrolera, dopóki istniał ten niewielki mechanizm w szufladzie. Żadne sumienie wewnętrzne ani zewnętrzne. Nic nie mogło go poruszyć.

Gdy usłyszał kroki na schodach, przez chwilę zdawało mu się, że śni. Czasami śnił, że jest Dannerem i słyszy za sobą nieubłagane dudnienie kroków. Lecz teraz była to jawa.

To dziwne, ale usłyszał to niesłyszalne niemal stąpanie metalowych nóg, zanim dotarł do niego głośny tupot kroków Dannera pędzącego w górę po jego prywatnych schodach.

Wszystko odbyło się tak szybko, że czas zdawał się nie mieć żadnego związku z rozwojem wydarzeń. Najpierw ciężki, ledwo słyszalny rytm, potem nagły zgłęb, okrzyki, trzaskanie drzwiami i na samym końcu tam-tamp Dannera wbiegającego po schodach. Ciężkie kroki robota były tak zgrane z krokami człowieka, że metaliczne stąpania niemal zagłuszały tupanie kości, ciała i skóry.

Danner odepchnął drzwi, aż huknęły o ścianę. Krzyki i hałasy z dołu wdarły się do spokojnego gabinetu jak cyklon pędzący w kierunku obserwatora. Jak cyklon z sennego koszmaru, gdyż nigdy nie miał się zbliżyć. Czas się zatrzymał.

Zatrzymał się w chwili, kiedy Danner stanął w przejściu z wykrzywioną twarzą, oburącz trzymając rewolwer. Trząsał się cały i jedną ręką nie mógł sobie z nim poradzić.

Hartz działał bez zastanowienia jak automat. Zbyt często wyobrażał sobie w ten czy inny sposób tę chwilę. Gdyby mógł zmusić Furie do przyspieszenia śmierci Dannera, zrobiłby to. Nie potrafił tego jednak. Mógł jedynie czekać, tak samo niespokojnie jak sam Danner, wierząc wbrew przeczuciom, że cios spadnie, kat uderzy, zanim ofiara domyśli się prawdy. Albo straci nadzieję.

Hartz był więc gotów; gdy pojawiły się kłopoty. Stwierdził, że trzyma w ręku własną broń, a przy tym wcale nie pamięta, by wyjmował ją z szuflady. Problem polegał na tym, że czas się zatrzymał. W jakimś zakamarku umysłu Hartza tkwiła świadomość, że Furia musi powstrzymać Dannera od wyrządzenia mu krzywdy. Danner jednak stał w drzwiach sam z rewolwerem w drżących dłoniach. A jeszcze silniej niż z obowiązków Furii, Hartz zdawał sobie sprawę, że maszyny można powstrzymać. Furie mogą zawieść. Nie mógł powierzyć swojego życia ich niezawodności, ponieważ sam był źródłem rozkładu, który mógł je zatrzymać.

Broń znalazła się w ręku Hartza bez jego wiedzy. Spust popchnął mu palec i rewolwer odskoczył do tyłu. Pomiędzy nim a Dannerem zagwizdało powietrze.

Usłyszał, jak kula uderza w metal.

Czas ruszył znowu z podwójną szybkością, jakby chciał odrobić straty. Okazało się, że Furia była co najwyżej o krok od Dannera, bo jej stalowe ramię obejmowało go, a jej stalowa dłoń odchyliła jego rewolwer. Danner strzelił, lecz nie dość szybko. Furia dosięgnęła go wcześniej. A kula Hanza uderzyła pierwsza.

Trafiła Dannera w pierś; przeszła na wylot i zadzwoniła o stalowy pancerz Furii. Twarz Dannera wygładziła się. Wyrażała już tylko pustkę, taką samą, jak pochylona nad nim maska. Impet pocisku rzucił go do tyłu. Furia obejmowała go, więc nie upadł, tylko wolno zsuwał się między jej ramieniem a nieczułym ciałem. Jego broń upadła miękko na dywan. Krew płynęła z jej piersi i palców.

Robot stał nieruchomo. Struga krwi Dannera lśniła na stalowym torsie, niby jakaś robocia wstęga honorowa. Furia i Kontroler Furii patrzeli na siebie. Furia, naturalnie, nie mogła mówić, lecz Hartzowi zdawało się, że przemawia do niego.

- Samoobrona nie jest usprawiedliwieniem - zadawała się mówić Furia. - Nigdy nie karzemy intencji, lecz zawsze karzemy działania. Każdy akt morderstwa.

Hartzowi ledwie starczyło czasu, by wrzucić rewolwer do szuflady, nim pierwsi ludzie wbiegli do jego gabinetu. Ledwie starczyło mu także przytomności umysłu. Nigdy nie przemyślał tej sprawy tak daleko.

Pozornie był to oczywisty przypadek samobójstwa. Usłyszał swój lekko drżący głos udzielający wyjaśnień. Wszyscy widzieli, jak ten szaleniec przebiegł przez biuro z depczącą mu po piętach Furią. Nie po raz pierwszy zabójca wdzierał się do Kontrolera, błagając go, by odwołał strażnika i powstrzymał kata. Było tak, spokojnie wyjaśnił swoim podwładnym, że Furia oczywiście powstrzymywała tego człowieka od strzelania do niego, Hartza. I wtedy tamten zwrócił broń przeciwko sobie. Ślady prochu na ubraniu Dannera potwierdzały tę wersję (biurko stało bardzo blisko drzwi). Ślady na rękach Dannera dowodziły, że naprawdę strzelał.

Samobójstwo. To wystarczy każdemu człowiekowi. Ale nie mogło zadowolić komputerów. Wynieśli zwłoki i Hartz został sam z Furią. Stali naprzeciw siebie po dwóch stronach biurka. Jeśli nawet ktoś się temu dziwił, to w każdym razie nikt tego . nie okazał.

Hartz sam nie wiedział, czy to jest dziwne, czy nie. Nic podobnego się dotąd nie zdarzyło.

Nikt nie był takim szaleńcem, żeby popełniać morderstwo w obecności Furii. Nawet Kontroler nie wiedział dokładnie, w jaki sposób komputery zbierają dowody i ustalają winę. Czy w normalnej sytuacji ta Furia zostałaby odwołana? Czy, gdyby śmierć Dannera była naprawdę samobójstwem, Hartz zostałby tutaj sam?

Wiedział, że maszyny analizują już okoliczności tego, co zdarzyło się tu naprawdę. Nie był tego pewien, czy ta Furia otrzymała już rozkaz podążania za nim, gdziekolwiek pójdzie, od teraz do chwili jego śmierci. A może po prostu stała, czekając na odwołanie?

To zresztą nie miało znaczenia. Ta Furia czy inna, na pewno właśnie otrzymywała dotyczące go instrukcje. Pozostała mu tylko jedna rzecz do zrobienia. Dzięki Bogu, było coś, co mógł zrobić.

Hartz otworzył zamek, wysunął szufladę i delikatnie dotknął klawiszy, których miał nadzieję nigdy nie używać. Bardzo starannie, znak po znaku, wprowadził do komputerów zakodowane polecenia. Spojrzał przez szklaną ścianę i wyobraził sobie, jak rozplývają się dane na ukrytych taśmach, a ich miejsce zajmuje nowa, fałszywa informacja.

Popatrzył na robota i uśmiechnął się lekko.

- Teraz zapomnisz - powiedział. - Ty i komputery. Możesz odejść. Więcej się nie zobaczymy. Albo komputery pracowały niezwykle szybko - a tak właśnie pracowały - albo zaszedł zwykły zbieg okoliczności, gdyż po sekundzie Furia poruszyła się, jakby reagując na słowa

Hartza. Nie drgnęła nawet, odkąd Danner wysunął się spomiędzy jej ramion, a teraz nowe rozkazy ożywiły ją. Zmiana jednej grupy instrukcji na inną niemal szarpnęła stalowym ciałem. Krótki, ostry skręt sprowadził jej głowę do wysokości głowy Hartza. Wyglądało to prawie jak ukłon.

W pustej twarzy Furii zobaczył odbicie własnej twarzy. Wyraźnie niemal wyczuł drwinę w tym sztywnym ukłonie, we wstędze honorowej na piersi maszyny symbolu godnie spełnionego obowiązku. Nic honorowego nie było jednak w tym odejściu. Nie psujący się metal ulegał zepsuciu i spoglądał na Hartza odbiciem jego własnej twarzy.

Widział, jak kroczy do drzwi. Słyszał równe dudnienie jej kroków na schodach. Czuł, jak te kroki wprawiają w drzenie podłogę. Zakręciło mu się w głowie, gdy pomyślał, że to cała struktura społeczeństwa drży pod jego stopami.

Maszyny były zawodne.

Przetrwanie ludzkości wciąż jeszcze należało do komputerów, a komputerom nie można już było zaufać. Hartz zamknął szufladę i usłyszał ciche szcęknięcie zatrzasku. Spojrzał na swoje ręce - drżały. Ich drzenie odbijało się echem w jego mózgu, pewnym straszliwej niestabilności świata.

Jak lodowate zimno ogarnęła go nagle przerażająca samotność. Nigdy dotąd nie odczuwał tak silnie potrzeby towarzystwa. Nie jakiejś konkretnej osoby, ale ludzi. Po prostu ludzi. Chciał mieć pewność, że wokół niego są ludzkie istoty.

Chwycił kapelusz, płaszcz i szybko wybiegł na schody, z rękami w kieszeniach, gdyż żaden płaszcz nie mógł go osłonić przed wewnętrznym chłodem. W połowie drogi stanął jak skamieniały.

Za sobą usłyszał kroki.

Z początku nie miał odwagi się obejrzeć. Znał te kroki. Lękał się jednak dwóch rzeczy i sam nie wiedział, która z nich jest gorsza. Bał się, że za nim stoi Furia - i bał się, że jej tam nie ma. Gdyby była, odczułby jakąś nienormalną ulgę, gdyż znowu mógłby ufać maszynom i znikłaby ta przerażająca samotność.

Nie oglądając się, zrobił jeszcze jeden krok. Usłyszał złowieszcze stąpienie, echo swojego własnego. Odetchnął głęboko i spojrział.

Na schodach nie było nikogo.

Ruszył dalej, wciąż patrząc przez ramię. Słyszał dudniące z tyłu nieubłagane kroki, choć nie ściagała go żadna widzialna Furia. Żadna widzialna Furia.

Erynie znowu uderzyły od wewnątrz i niewidzialna Furia szła za Hartnem po schodach.

Było tak, jakby na świat powrócił grzech i znowu pierwszy człowiek poczuł się winny.

Komputery ostatecznie nie zawiodły.

Hartz zszedł wolno na dół i wyszedł na ulicę. Wciąż słyszał za plecami, tak jak zawsze już będzie słyszał, podążające za nim, nieubłagane, nie znające spoczynku stąpanie nóg, które nie były już z metalu.

przełożył Piotr W. Cholewa

Gallegher wytrzeszczył zamglone oczy i spojrzał tam, gdzie powinno być jego podwórko. Widział z okna absurdalną, nieprawdopodobną dziurę, która ziała tam w ziemi, i brały go mdłości. Dziura była wielka. I głęboka. Prawie wystarczająco głęboka, by pomieścić dość gigantycznego kaca Galleghera. Gallegher zastanowił się, czy powinien spojrzeć na kalendarz, potem jednak zdecydował, że lepiej nie. Miał uczucie, że od początku ochłaju minęło kilka tysięcy lat. Nawet jak na faceta z jego pragnieniem i możliwościami, wytrąbił sporo.

- Wytrąbiłem - skarżył się Gallegher wlokąc się w stronę kanapy, na którą się zwałił. - Wolę mówić „wychlałem”, to ma więcej ekspresji. Słowo „wytrąbiłem” przywodzi mi na myśl orkiestrę dętą i klaksony samochodowe, które i tak mam we łbie, do tego wszystkie włączone na pełną moc. - Omdlałą ręką sięgnął do zaworu dystrybutora trunków, zawahał się i porozumiał ze swym żołądkiem.

GALLEGHER: - Można malucha?

ŻOŁĄDEK: - Ostrożnie!

GALLEGHER: - Naparsteczek...

ŻOŁĄDEK: - Oooch!

GALLEGHER: - Nie rób mi tego! Muszę się napić. Podwórko mi ukradli.

ŻOŁĄDEK: - Szkoda, że mnie nie ukradli.

W tym momencie otworzyły się drzwi i stanął w nich robot, którego kółka, tryby i inne wichajstry szybko wirowały pod przezroczystą obudową. Gallegher spojrzał i zamknął oczy, złany potem.

- Wynoś się - warknął. - Przeklinam dzień, w którym cię zrobiłem. Twoje wirujące kieszki doprowadzają mnie do szału.

- Nie ma pan za nic poczucia estetyki - odrzekł robot urażonym tonem. - Proszę. Przyniosłem panu piwa.

- Hmm. - Gallegher wziął z ręki robota plastikowy pojemnik i zaczął łapczywie pić.

Chłodny miętowy posmak mile, odświeżająco łechtał podniebienie. - Aaach - westchnął siadając. - Trochę lepiej. Niewiele, ale...

- Może zastrzyk z tiaminy?

- Już dostałem od tego uczulenia - rzekł Gallegher posepnie do robota. - Dotknęła mnie zmora pragnienia. Hmm! - Popatrzył na dystrybutor. - Może...

- Jakiś policjant do pana.

- Jakież co?

- Policjant. Czeka już dość długo.

- Och - powiedział Gallegher. Spojrzał w kąt obok otwartego okna. - Co to jest?

Wyglądało to na jakąś dziwną maszynę. Gallegher przyglądał się jej z zainteresowaniem połączonym ze zdziwieniem i pewnym oszołomieniem. Nie było wątpliwości - sam zbudował to cholerne pudło. Zwariowany konstruktor Gallegher tak właśnie pracował. Nie miał żadnego wykształcenia technicznego, ale niezwykłym trafem jego podświadomość została obdarzona błyskiem geniuszu. Na trzeźwo Gallegher był zupełnie normalny, choć narwany i często na cyku. Jednak kiedy jego demoniczna podświadomość przejmowała nad nim kontrolę, wszystko mogło się zdarzyć. Właśnie po pijanemu zbudował tego robota, po czym spędził wiele tygodni próbując ustalić, do czego miał on służyć. Jak się okazało, zastosowanie nie było specjalnie pożyteczne, ale Gallegher zatrzymał robota w domu, pomimo że ten miał irytujący zwyczaj: wyszukiwał wszystkie możliwe lustra i przeglądał się w nich z próżnością, podziwiając swe metalowe wnętrze.

Znowu mi się przydarzyło, pomyślał Gallegher. Na głos zaś powiedział: - Jeszcze piwa. Szybko.

Gdy robot wyszedł, Gallegher pozbierał swe chude ciało i podszedł do maszyny przyglądając się jej z zaciekawieniem. Maszyna nie była włączona. Przez otwarte okno wychodziły jakieś jasne, giętkie przewody grubości palca; wisiały niewysoko nad krawędzią jamy znajdującej się tam, gdzie powinno być jego podwórko.

Zakończone były... Hmm! Gallegher wciągnął jeden przewód i przyjrzał się mu.

Zakończone były okutymi metalem otworami i były puste wewnątrz. Dziwne.

Maszyna miała około dwóch metrów długości, a wyglądała jak ożywiona składnica złomu.

Gallegher miał skłonność do improwizacji. Jeśli do połączenia nie mógł znaleźć odpowiedniego przewodu, łapał co było pod ręką, czasem haftkę, a czasem wieszak do ubrań, i włączał w urządzenie. Oznaczało to, że analiza jakościowa wykonanej już maszyny wcale nie była łatwa. Co na przykład oznaczała ta nylonowa kaczka owinięta drutami i z zadowoleniem spoczywająca na starej formie do wafli?

- Tym razem dostałem hopla - rozważał Gallegher. - Mimo wszystko jednak w nic nie wdepnąłem, jak zazwyczaj. Gdzie to piwo?

Robot tkwił przed lustrem i wlepił oczarowane spojrzenie we własne wnętrze. - Piwo? A, tu mam. Zatrzymałem się na chwilę, aby rzucić na siebie pełne podziwu spojrzenie.

Gallegher obdarzył robota mocnym słowem, ale wziął pojemnik. Wpatrywał się mrugając oczami w stojące pod oknem urządzenie, a jego długa twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi wykrzywiła się w grymasie zdumienia. Produkt końcowy...

Z wielkiej komory - ongiś kubła na śmieci, wychodziły cienkie rurki. Kubel był teraz szczelnie zamknięty; tylko esowaty przewód łączył go z małą prądnicą, czy czymś takim. Nie, pomyślał Gallegher. Prądnice są chyba duże? Och, jaka szkoda, że nie mam wykształcenia technicznego. Jak to rozszyfrować?

Było tam dużo, dużo więcej rzeczy, jak na przykład szara, kwadratowa kasetka z metalu; Gallegher na chwilę zbity z tropu próbował obliczyć jej pojemność w metrach sześciennych. Wyszło mu sto, co oczywiście było błędem, każdy bowiem bok kasetki miał dziesięć centymetrów.

Wieczko kasetki było zamknięte; Gallegher na chwilę odłożył ten problem i zajął się dalszymi bezowocnymi badaniami. Znalazł więcej zagadkowych urządzeń. Na ostatku zauważył krążek o średnicy dziesięciu centymetrów z rowkiem na obwodzie.

- I jaki jest produkt końcowy? Hej, Narcyz!

- Nie nazywam się Narcyz - odrzekł robot karcącym tonem.

- Głowa boli od samego patrzenia na ciebie, a ty mi każesz jeszcze pamiętać twoje imię - warknął Gallegher. - Zresztą maszyny nie powinny mieć imion. Chodź no tutaj.

- Słucham?

- Co to jest?

- Maszyna - odpowiedział robot - ale ani trochę tak piękna jak ja.

- Mam nadzieję, że jest bardziej pożyteczna. Co ona robi?

- Połyka ziemię.

- Aha. Stąd ta dziura w podwórku.

- Podwórka nie ma - zwrócił uwagę robot zgodnie z prawdą.

- Jest.

- Podwórko - rzekł robot, cokolwiek niedokładnie cytując Thomasa Wolfe'a - jest nie tylko podwórkiem, ale również negacją podwórka. Jest to spotkanie w przestrzeni podwórka i braku

podwórka. Podwórko to skończona i nierozprzestrzeniona ilość brudnej ziemi, to fakt zdeterminowany swym zaprzeczeniem.

- Czy ty wiesz, co ty mówisz? - zapytał Gallegher, mając szczerą ochotę także się dowiedzieć.

- Tak.

- Rozumiem. No więc przestań gadać o brudach. Chcę wiedzieć, po co zbudowałem tę maszynę.

- Niepotrzebnie pan mnie pyta. Wyłączył mnie pan ma wiele dni, a właściwie tygodni.

- Aha. Pamiętam. Sterczałeś wtedy przed lustrem i nie dałeś mi się ogolić.

- To była sprawa integralności artystycznej. Płaszczyzny mojej funkcjonalnej twarzy są daleko bardziej koherentne i ekspresyjne niż pańskie.

- Słuchaj no, Narcyzie - rzekł Gallegher, z wysiłkiem starając się zapanować nad sobą. -

Próbuję dowiedzieć się czegoś. Czy płaszczyzny twojego parszywego funkcjonalnego mózgu potrafią to pojąć?

- Oczywiście - zimno odrzekł Narcyz. - Nie mogę panu pomóc. Włączył mnie pan dopiero dziś rano, a potem zasnął pan pijackim snem. Maszyna była już skończona, ale nie włączona. Posprzątałem dom i uprzejmie przyniosłem panu piwo, gdy obudził się pan na swoim zwykłym kacu.

- To przynieś mi uprzejmie jeszcze trochę i zamknij się.

- A co z policjantem?

- Och, zapomniałem. Hm... Chyba lepiej zobaczę się z tym facetem. Narcyz wyszedł cicho stawiając stopy. Gallegher zatrzęsł się, podszedł do okna i wyjrzał przez nie na tę niesamowitą dziurę. Dlaczego? Jak? Przetrzęsał zakamarki umysłu. Bez skutku oczywiście. Jego podświadomość знаła odpowiedź, ale uwięziła ją skutecznie. W każdym razie nie zbudowałby tej maszyny bez jakiegoś ważnego powodu. Czy zresztą rzeczywiście nie? Jego podświadomość cechowała logika dość szczegółowa i powikłana. Narcyz wszak miał być super otwieraczem butelek piwa.

Do pokoju wszedł za robotem muskularny młody człowiek w dobrze skrojonym mundurze. - Pan Gallegher? - zapytał.

- Tak.

- Pan Galloway Gallegher?

- Odpowiedź ciągle jeszcze brzmi „tak”. Czym mogę służyć?

- Może pan przyjąć to wezwanie sądowe - odrzekł gliniarz. Wręczył Gallegherowi złożony świstek papieru. Labirynt kunsztownej frazeologii prawniczej niewiele mówił Gallegherowi. - Kto to jest Deli Hopper? - zapytał. - Nigdy o nim nie słyszałem.

- To nie moja sprawa - mruknęła władza. - Wezwanie dostarczyłem i tu się moja rola kończy. Policjant wyszedł. Gallegher wytrzeszczył oczy na papier. Niewiele się z niego dowiedział. W końcu z braku lepszego zajęcia pogadał przez wideofon z adwokatem, połączył się z kartoteką prawników i dowiedział się, że radcą prawnym Hoppera jest niejaki Trench, szycha w Radzie Legislacyjnej. Trench miał sztab sekretarek do odbierania telefonów, ale metodą gróźb, wymysłów i prośb Gallegher dostał w końcu połączenie z samym szefem.

Na ekranie Trench objawił się jako siwy, chudy, zasuszony człowieczek z przyszczyżonym wąsikiem. Głos miał ostry jak brzytwa.

- Pan Gallegher? O co chodzi?

- Słuchaj pan - powiedział Gallegher - właśnie doręczono mi wezwanie.  
- Ach, więc już je pan ma? Dobrze.  
- Co to znaczy dobrze? Nie mam zielonego pojęcia, co jest grane.  
- Popatrz, popatrz - rzekł sceptycznie Trench. - Może mógłbym odświeżyć pańską pamięć. Mój klient, który ma miękkie serce, nie skarży pana o oszczerstwo, groźbę użycia siły, czy też napaść i pobicie. Chce po prostu odzyskać swoje pieniądze albo dostać, co mu się należy. Gallegher zamknął oczy i zadygotał. - On chce? Ja... hm... czy ja mu ubliżyłem?  
- Nazwał go pan - powiedział Trench zaglądając do grubego skoroszytu - karaluchem na kaczych nogach, śmierdzącym Neandertalczykiem i albo brudną krową, albo brudną crowsą. Oba te określenia zaliczane są do obelżywych. Poza tym kopnął go pan.  
- Kiedy to było? - wyszeptał Gallegher.  
- Trzy dni temu.  
- I... wspominał pan coś o pieniądzach?  
- Tysiąc kredytek zaliczki, które panu wypłacił.  
- Na poczet czego?  
- Na poczet zamówienia, które miał pan wykonać. Nie zostałem dokładnie poinformowany o szczegółach. W każdym razie nie tylko nie wykonał pan zamówienia, ale także odmówił pan zwrotu pieniędzy.  
- Ojej. A kto to w ogóle jest Hopper?  
- Właściciel Hopper Enterprises. Dęli Hopper, impresario i agent rozrywkowy. Ale sądzę, że pan to wszystko wie. Zobaczymy się w sądzie, panie Gallegher. Zechce mi pan teraz wybaczyć, jestem zajęty. Oskarżam dziś w pewnej sprawie i myślę, że podsądny dostanie duży wyrok.  
- A co on zrobił? - zapytał Gallegher słabym głosem.  
- Zwykła sprawa o napaść i pobicie - odpowiedział Trench. - Do widzenia.  
Gdy twarz prawnika znikła z ekranu, Gallegher schwycił się za głowę i rykiem zażądał piwa. Podszedł do biurka sącząc piwo z plastikowego pojemnika z wbudowanym schładzaczem i uważnie przejrzał korespondencję. Nie było nic. Żadnej wskazówki. Tysiąc kredytek... nie przypominał sobie, żeby je dostał. Ale może w książce przychodów coś będzie...  
Było. Pod różnymi datami sprzed paru tygodni zapisano:  
Otrz. D. H. - zam. - zal. - 1000 k.  
Otrz. J. W. - zam. - zal. - 1500 k.  
Otrz. Grubasek - zam. - zal. - 800 k.  
Trzy tysiące trzysta kredytek! A na koncie ani śladu tej sumy. Był tam tylko dowód wypłaty siedmiuset kredytek, po czym na koncie pozostało jeszcze coś koło piętnastu. Gallegher jęknął i jeszcze raz przeszukał biurko. Pod suszką znalazł kopertę, którą poprzednio przeoczył.  
Koperta zawierała akcje, zarówno zwykłe, jak i uprzywilejowane, jakieś firmy zwanej „Wszystkie Zadania”. Pismo przewodnie potwierdzało przyjęcie sumy czterech tysięcy kredytek, za którą to wpłatę wydano panu Gallowayowi Gallegherowi akcje, zgodnie z zamówieniem...  
- Cholera jasna - powiedział Gallegher. Łykał piwo, a w głowie miał karuzelę. Kłopoty waliły się z trzech stron. D. H., Deli Hopper zapłacił mu tysiąc kredytek, żeby coś tam zrobił. Ktoś o inicjałach J. W. zapłacił mu półtora tysiąca za podobną rzecz. A sknera Grubasek dał mu tylko osiemset zaliczki. Dlaczego?  
Tylko szalona podświadomość Galleghera знаła odpowiedź na to pytanie. Owa osobowość skryta w jego mózgu sprytnie zaaranżowała umowy, zebrała forszę, spustoszyła osobisty rachunek bankowy Galleghera praktycznie go likwidując i kupiła akcje firmy „Wszystkie Zadania”. Ha!

Gallegher ponownie siadł przed wideofonem. Po chwili połączył się ze swym maklerem.

- Arnie?

- Cześć, Gallegher - powiedział Arnie patrząc w kamerę ponad biurkiem. - Co jest?

- Ja jestem. Uwiązany na sznurze. Słuchaj, czy ostatnio kupowałem jakieś akcje?

- Jasne. „Wszystkie Zadania”.

- No to chcę je sprzedać. Potrzeba mi forsy. Szybko.

- Zaczekaj chwilę. - Arnie nacisnął parę guziczków. Gallegher wiedział, że na bocznej ścianie pojawiły się aktualne notowania.

- No i co?

- Nie da rady. Lecą jak w studnię bez dna. Podaż za cztery, nikt nie oferuje żadnej ceny kupna.

- A ja za ile kupiłem?

- Za dwadzieścia.

Gallegher ryknął jak zraniony wilk. - Dwadzieścia?! I ty mi na to pozwoliłeś?

- Próbowałem ci to wyperswadować - rzekł Arnie znużonym głosem. - Mówiłem, że akcje lecą w dół. Jest jakieś opóźnienie w kontrakcie budowlanym, nie wiem dokładnie, jakie. Ale ty powiedziałeś, że masz cynk. Co mogłem zrobić?

- Mogłeś walić mnie w łeb, póki by mi nie przeszło - powiedział Gallegher. - No, nieważne. I tak już za późno. Czy mam jakieś inne akcje?

- Sto akcji „Bonanzy Marsjańskiej”.

- Ile dają?

- Może za wszystko dostałbyś dwadzieścia pięć kredytek.

- Cóż to za dźwięk trąb? - mruknął Gallegher.

- He?

- Boję się tego widoku...

- A, już wiem - rzekł Arnie, zadowolony z siebie. - „Danny Deever”.

- Aha - zgodził się Gallegher. - „Danny Deever”. Zaśpiewaj mi to na moim pogrzebie, stary. - Wyłączył się.

Dlaczego, po jaką cholerę, kupił te akcje?

Co takiego obiecał Dellowi Hopperowi z firmy Hopper Enterprises?

Kim byli J. W. (tysiąc pięćset kredytek) i Grubasek (osiemset kredytek)?

Dlaczego w miejscu podwórka ziała dziura?

Co to była za maszyna, którą zbudowała jego podświadomość, i na co?

Nacisnął guzik informacji na wideofonie i- tak długo kręcił tarczą, aż znalazł numer Hopper Enterprises. Wybrał go.

- Chcę mówić z panem Hopperem.

- Pańskie nazwisko?

- Gallegher.

- Proszę zwrócić się do naszego radcy prawnego, pana Trenchy.

- Już to zrobiłem - powiedział Gallegher. - Proszę posłuchać...

- Pan Hopper jest zajęty.

- Niech mu pani powie - rzucił pośpiesznie Gallegher - że mam to, czego chciał.

To poskutkowało. Na ekranie pojawił się Hopper, istny bawół z grzywą siwych włosów, aroganckimi, czarnymi jak węgiel oczami i nosem zakrzywionym jak ptasi dziób. Wydatnym podbródkiem wycelował w ekran i ryknął:

- Gallegher? Mało brakowało, a... - zmienił nagle ton. - Rozmawiałeś z Trenchem, co?

Wiedziałem, że to pomoże. Wiesz, że mogę cię wsadzić?

- No, może...

- Żadne może! Czy myślisz, że chodzę osobiście do wszystkich kopniętych wynalazców, którzy dla mnie coś robią? Gdyby mi nie kładli ciągle w łeb, że jesteś najlepszy w te klocki, dawno byś dostał nakaz sądowy!

Wynalazca?

- Chodzi o to - zaczął łagodnie Gallegher - że byłem chory...

- Gówno prawda - warknął Hopper. - Byłeś pijany jak świnia. Nikomu nie płacę za chłanie. Może zapomniałeś, że ten tysiąc to tylko pierwsza rata - po której będzie jeszcze dziewięć tysięcy?

- No... no nie. Hm... dziewięć tysięcy?

- I premia za szybkie wykonanie zadania. Szczęściem premię jeszcze możesz dostać. Minęły dopiero dwa tygodnie. Ale masz fart, że to już gotowe. Mam już nagrane parę fabryk. A moi ludzie szukają po całym kraju dobrych sal widowiskowych. Czy to się nada do małych aparatów, Gallegher? Stąd będzie stały przychód, a nie z dużych widowni.

- Hrrmmfff - za.krztusił się Gallegher. - No...

- Masz to u siebie? Już jadę zobaczyć.

- Niech pan poczeka! Chciałbym coś jeszcze uzupełnić...

- Potrzebny mi tylko pomysł - powiedział Hopper. - Jeśli pomysł jest dobry, cała reszta to pestka. Zadzwoń do Trenchy i każe mu wycofać to wezwanie. Zaraz będę.

Wyłączył się.

Gallegher rykiem zażądał piwa. - I brzytwę - dodał, gdy Narcyz wychodził z pokoju. - Chcę sobie poderżnąć gardło.

- Dlaczego? - zapytał robot.

- Żebyś miał rozrywkę, a co myślałeś? Dawaj to piwo. Narcyz przyniósł pojemnik.

- Nie rozumiem, czym się pan tak martwi - zauważył. - Czy nie lepiej zatracić się w entuzjastycznym podziwie dla mojej urody?

- Brzytwa lepsza - rzekł ponuro Gallegher. - Dużo lepsza. Mam trzech klientów, z których dwóch nie pamiętam w ogóle, a wszyscy zamówili u mnie coś, czego również nie pamiętam. Ha!

Narcyz zastanowił się. - Niech pan spróbuje rozumowania indukcyjnego - zaproponował. - Ta maszyna...

- Co z tą maszyną?

- No więc kiedy otrzymuje pan zamówienie, zwykle upija się pan do takiego stanu, w którym pańska podświadomość bierze górę i sama robi, co trzeba. Potem pan trzeźwieje.

Najwidoczniej tym razem też tak się stało. Zrobił pan przecież maszynę, nie?

- No jasne - odrzekł Gallegher - ale dla kogo? Nawet nie wiem, co ona robi.

- Mógłby pan ją włączyć i sprawdzić.

- Rzeczywiście. Zgłupiałem od rana.

- Zawsze jest pan głupi - powiedział Narcyz. - A także brzydki. Im bardziej przyglądam się mej własnej doskonałej urodzie, tym więcej litości czuję dla ludzi.

- A, zatkaj się - warknął Gallegher wyczuwając bezsens kłótni z robotem. Podszedł do tajemniczej maszyny i jeszcze raz przyjrzał się jej. Nic mu nie zadzwoniło.

Maszyna miała przełącznik, który Gallegher przesunął. Rozległa się piosenka o szpitalu świętego Jakuba.

...widziałem mą najdroższą na marmurowej płycie...

- Już wiem wszystko - powiedział Gallegher w gwałtownym przypiływie frustracji. - Ktoś zamówił u mnie gramofon.

- Chwileczkę - Narcyz wyciągnął rękę. - Niech pan wyjrzy przez okno.

- Okno. Oczywiście. I co z tego? Co... - Gallegher wychylił się przez parapet, oniemiały ze zdumienia. Poczł, jak kolana mu słabną i rozstępują się. No, czegoś takiego nie mógł się spodziewać.

Zespół rurek wychodzących z maszyny okazał się niewiarygodnie rozciągliwy. Rurki wysunęły się aż do dna jamy, na całe dziesięć metrów, i poruszały się beładnie naokoło niczym odkurzacze na pastwisku. Poruszały się tak szybko, że Gallegher widział tylko ich zamglone kontury. Wyglądało to, jakby głowa Meduzy ogarnięta tańcem św. Wita zaraziła swoje węże tą dolegliwością.

- Niech pan spojrzy, jak śmigają - powiedział Narcyz w zamyśleniu, całym ciężarem opierając się o Galleghera. - Chyba stąd ta dziura. One pożerają ziemię.

- Owszem - zgodził się konstruktor, odsuwając się od robota. - Ciekawe, po co. Ziemia...

hmmm. Surowiec. - Popatrzył na maszynę, która zawodziła:

...czy jest gdzieś na tym świecie kochanek taki drugi...

- Połączenie elektryczne - zadumał się Gallegher, przyglądając się maszynie badawczo. - Pobrana ziemia trafia do dawnego kosza na śmieci. I co potem? Bombardowanie elektronami? Protony, neutrony, pozytrony... szkoda, że nie wiem, co te słowa znaczą - zakończył żałośnie.

- Szkoda, że nie mam studiów.

- Pozytron to jest...

- Nic mi nie mów - poprosił Gallegher. - Pojawiają się tylko trudności semantyczne. Wiem bardzo dobrze, co to jest pozytron, tylko nie kojarzę tego z nazwą. Przyswoilem sobie tylko jego znaczenie inten-cjonalne, którego i tak nie da się wyrazić słowami.

- Ale da się wyrazić znaczenie ekstensjonalne - zwrócił uwagę Narcyz.

- To nie dla mnie. Jak powiedział Humpty Dumpty, pozostaje pytanie, kto jest panem. W moim przypadku panem jest słowo. Te cholerne słowa przyprawiają mnie o gęsią skórę. Po prostu nie chwytam ich znaczenia ekstensjonalnego.

- To głupie - powiedział robot. - Pozytron to słowo o całkowicie jasnym znaczeniu.

- Może dla ciebie. Dla mnie to znaczy tyle co banda chłopaków z rybimi ogonami i zielonymi wąsikami. I właśnie dlatego nigdy nie umiem domyślić się, co nabroiła moja podświadomość. Muszę stosować logikę symboliczną, a symbole... e tam, zamknij się - warknął Gallegher. - W ogóle po co mam się z tobą kłócić o semantykę?

- Pan zaczął - powiedział Narcyz.

Gallegher obrzucił robota nieprzyjaznym spojrzeniem, a następnie wrócił do zagadkowej maszyny, która wciąż pożerała ziemię i śpiewała o szpitalu świętego Jakuba.

- Ciekawe, dlaczego właśnie tę piosenkę?

- Przecież pan właśnie ją śpiewa po pijanemu, nie? Szczególnie w łazience.

- To mi nic nie mówi - powiedział krótko Gallegher. Zaczął badać maszynę. Urządzenie pracowało płynnie, szybko, wydzielając wielką ilość ciepła i trochę dymiąc. Gallegher odnalazł zawór smarowniczy, schwycił starą olejarkę i trysnął z niej smarem. Dym zniknął, a wraz z nim lekki zapach spalenizny.

- Nic z niej nie wychodzi - powiedział Gallegher po dłuższym okresie zdumionego skupienia.

- Tam? - wskazał robot.

Gallegher obejrzał szybko obracający się krążek z rowkiem. Tuż za nim, w gładkiej powierzchni cylindrycznej rury znajdował się mały okrągły otworek.

Jednak nie wyglądało na to, aby coś z tej rury wychodziło,

- Przesuń wyłącznik - powiedział Gallegher. Narcyz wykonał polecenie. Zawór zamknął się i krążek stanął. Natychmiast ustały wszystkie czynności. Muzyka ucichła. Macki wysunięte przez okno przestały wirować i skróciły się do zwykłej długości stanu spoczynku.

- Hm, najwyraźniej nie ma produktu końcowego - zauważył Gallegher. - Maszyna pożera ziemię i trawi ją całkowicie. To nie ma sensu.

- Nie ma?

- No jasne. W ziemi są różne pierwiastki. Tlen, azot... pod Nowym Jorkiem jest granit, więc jest i glin, sód, krzem... różne rzeczy. Żaden rodzaj przemiany fizycznej ani chemicznej tego nie tłumaczy.

- To znaczy, że maszyna powinna coś wytwarzać?

- Owszem - powiedział Gallagher. - To znaczy, racja. Miałbym znacznie lepszy humor, gdyby coś wytwarzała. Choćby błoto.

- A muzyka? - zwrócił uwagę Narcyz. - Oczywiście, jeśli ze spokojnym sumieniem można to wycie nazwać muzyką.

- Nawet w najśmielszej wyobraźni nie mogę dopuścić, aby powstała mi w głowie tak szaleńcza myśl - solennie zaprzeczył konstruktor. - Przyznaję, że moja podświadomość jest lekko kopnięta, ale jest logiczna, choć trochę po wariacku. Na pewno nie zbudowałyby maszyny do przemiany ziemi w muzykę, nawet gdyby to było możliwe.

- Ale przecież właśnie to robi, nie?

- Nie robi. Ciekawe, co Hopper u mnie zamówił. Cały czas gadał coś o fabrykach i widowniach.

- On tu zaraz będzie - powiedział Narcyz. - Niech pan go spyta.

Gallegher nie raczył odpowiedzieć. Zastanowił się, czy nie zażądać więcej piwa, odrzucił ten pomysł i zamiast tego siadł do dystrybutora trunków, aby z paru alkoholi zmiksować sobie klina. Potem usiadł na generatorze, który nosił dającą wiele do myślenia nazwę Monstro. Rozczarowany najwidoczniej, przesiadł się na mniejszy generator, zwany Bąbelkiem. Gallegherowi zawsze najlepiej się myślało na Bąbelku.

Klin naoliwił mu mózg zasnuty oparami alkoholu. Maszyna bez produktu końcowego... ziemia przemieniająca się w nicość. Hmm. Materia nie może znikać jak królik w kapeluszu magika. Gdzieś musi się podziewać. Przemiana w energię? Najwyraźniej nie. Maszyna nie wytwarzała energii. Przewody i wtyczki wskazywały, że przeciwnie, maszyna, by działać, potrzebowała energii elektrycznej.

A więc...

Co?

Spróbujmy z innej strony. Podświadomość Galleghera - Gallagher Bis - zbudowała to urządzenie z jakiegoś logicznego powodu. Powód ten wzmocniony został przychodem trzech tysięcy kredytek. Otrzymał tę sumę od trzech różnych osób i miał wykonać - może - różne rzeczy.

Która z nich pasowała do tej maszyny?

Spójrzmy na to jak na równanie. Nazwijmy klientów a, b i c. Nazwijmy cel maszyny - oczywiście nie samą maszynę - x. Wtedy a (lub) b (lub) c = x.

Nie całkiem. Symbol a nie reprezentuje Delia Hoppera, tylko to, co mu jest potrzebne. A to, co mu jest potrzebne, musi z konieczności i logicznie być celem maszyny.

Albo to, co jest potrzebne tajemniczemu J. W. czy równie tajemniczemu Grubaskowi.

No, Grubasek był odrobinę mniej tajemniczy. Gallagher miał tu pewną wskazówkę, nie wiadomo zresztą, ile wartą. Jeśli J. W. to b, w takim razie Grubasek będzie c plus tkanka tłuszczowa. Nazwijmy tkankę tłuszczową t; co wtedy mamy? Pragnienie.

Gallegher zażądał więcej piwa odrywając Narcyza od pozowania przed lustrem. Zadudnił piętami w Bąbelka, skrzywił się; kosmyk czarnych prostych włosów opadł mu na oczy.

Więzienie?

Och! Nie, gdzieś musi być jeszcze jakieś rozwiązanie. Na przykład akcje „Wszystkich Zadań”. Po co Gallagher kupił ich za cztery tysiące, skoro leciały w dół?

Gdyby mógł znaleźć na to odpowiedź, może by to pomogło. Gallagher Bis bowiem nie robił niczego bez przyczyny. A co to w ogóle za firma, owe „Wszystkie Zadania”? Włączył w

wideofonie informator Manhattanu. Na szczęście „Zadania” były korporacją zarejestrowaną przez państwo i miały biura na wyspie. Na ekranie pojawiło się pełnowymiarowe ogłoszenie:

WSZYSTKIE ZADANIA  
ROBIMY WSZYSTKO  
WID. RED 4-1400-M

No, Gallegher miał już numer wideofonu firmy, to było coś. Gdy zaczął nakręcać RED, zabrzączał dzwonek w drzwiach; Narcyz odwrócił się niechętnie od lustra i poszedł otworzyć. Wrócił po chwili prowadząc podobnego do bizona pana Hoppera.

- Przepraszam za spóźnienie - zadudnił Hopper. - Mój kierowca przejechał czerwone światło i jakiś gliniarz nas zatrzymał. Musiałem mu zdrowo nawrzucać.
- Kierowcy?
- Gliniarzowi. No, gdzie to jest?
- Gallegher zwilżył wargi. Czy rzeczywiście Gallegher Bis kopnął w tyłek tego wielkiego jak góra faceta? Nie była to miła myśl.
- Pokazał ręką w stronę okna. - Tam. - Czy miał rację? Czy Hopper zamówił maszynę, która pożera ziemię?
- Oczy Hoppera rozszerzyły się ze zdumienia. Rzucił Gallegherowi szybkie spojrzenie pełne zastanowienia, a następnie ruszył ku maszynie oglądając ją ze wszystkich stron. Wyjrzał przez okno, ale najwyraźniej to, co tam zobaczył, nie zainteresowało go zbytnio. Zamiast tego odwrócił się do Galleghera z wyrazem zaskoczenia na twarzy.
- To ma być to? Całkowicie nowa zasada, co? No, ale musi być nowa. I znowu żadnej wskazówki. Gallegher spróbował się słabo uśmiechnąć. Hopper tylko mu się przyglądał.
- No, dobra - powiedział. - Jakie jest praktyczne zastosowanie? Gallegher schwycił się brzytwy. - Lepiej panu pokażę - powiedział w końcu. Przeszedł pod okno i przesunął wyłącznik. Maszyna natychmiast zaczęła śpiewać „Szpital świętego Jakuba”. Macki wydłużyły się i zaczęły pożerać ziemię. Otworzyła się dziurka w cylindrze. Krążek z rowkiem zaczął się obracać. Hopper czekał.
- No? - powiedział po chwili.
- Nie... nie podoba się panu?
- Skąd mam wiedzieć? Nawet nie wiem, co to robi. Nie ma żadnego ekranu?
- Oczywiście że jest - powiedział Gallegher całkowicie zbity z tropu. - W tym cylindrze.
- W... czym? - Krzaczaste brwi Hoppera przykryły jego czarne jak smoła oczy. - W tym cylindrze?
- Mhm.
- Po... - wyglądało, jakby Hopper się dusił. - Po co tam jest, skoro człowiek nie ma rentgenowskich oczu?
- A powinien mieć rentgenowskie oko? - wymamrotał Gallegher oszołomiony ze zdumienia. - Pan chciał ekran z rentgenowskimi oczami?
- Jesteś jeszcze pijany - warknął Hopper. - Albo we łbie ci się pomieszało.
- Niech pan zaczeka chwilę. Może zrobiłem błąd...
- Błąd!

- Niech mi pan powie tylko jedno. Co ja miałem dla pana zrobić? Hopper wziął trzy głębokie oddechy.

- Pytałem ciebie - powiedział zimnym, pedantycznym tonem - czy możesz opracować metodę projekcji obrazów trójwymiarowych, które można by oglądać pod dowolnym kątem, z przodu, z tyłu czy z boku, bez zniekształcenia. Powiedziałeś, że tak. Dałem ci tysiąc kredytek zaliczki. Namotałem parę fabryk, aby można było niezwłocznie podjąć produkcję. Moi ludzie szukają odpowiednich widowni. Planuję kampanię sprzedaży odpowiednich przystawek do telewizorów domowych. A teraz, panie Gallagher, idę do mojego radcy prawnego i powiem, żeby ci przykręcił śrubę.

Wyszedł parszkając. Robot zamknął cicho drzwi, wrócił i bez polecenia ruszył po piwo.

Gallegher powstrzymał go skinieniem.

- Skorzystam z dystrybutora - jęknął, miksując sobie mocnego drinka. - Narcyz, wyłącz tę cholerną maszynę. Ja nie mam siły.

- W każdym razie jednego się pan dowiedział - rzekł robot pocieszająco. - Tego urządzenia nie zbudował pan dla Hoppera.

- Słusznie. Słusznie. Zrobiłem je dla... hm... albo J. W., albo dla Grubaska. Jak mam się dowiedzieć, kim oni są?

- Musi pan odpocząć - powiedział robot. - Czemu nie miałby pan się odprężyć i posłuchać mojego uroczego, melodyjnego głosu? Poczytam panu.

- On nie jest melodyjny - powiedział Gallagher automatycznie, nie zastanawiając się. - Skrzypi jak zardzewiałe zawiasy.

- Dla pańskich uszu. Moje zmysły są inne. Dla mnie pański głos brzmi jak skrzek astmatycznej żaby. Nie może pan zobaczyć mnie, jak jfa siebie widzę, i tak samo nie może pan mnie usłyszeć, jak ja siebie słyszę. Co zresztą nie szkodzi. Zemdlaliby pan z rozkoszy.

- Narcyzie - powiedział cierpliwie Gallagher - próbuję się skupić. Czy możesz łaskawie zamknąć swoją metalową gębę?

- Nie nazywam się Narcyz - odrzekł robot. - Na imię mi Joe.

- Więc zmieniam ci imię. Zastanówmy się. Sprawdzam „Wszystkie Zadania”. Co to był za numer?

- RED 5-1400-M.

- A, tak. - Gallagher siadł do wideofonu. Sekretarka, z którą się połączył, była chętna do pomocy, ale nic ważnego nie umiała powiedzieć.

„Wszystkie Zadania” była to określonego rodzaju spółka akcyjna. Miała powiązania z całym światem. Kiedy jakiś klient chciał, aby coś dla niego zrobić, przez swoich agentów kontaktowała się z odpowiednią firmą i nakręcała kontrakt. Sprawa polegała na tym, że „Wszystkie Zadania” dostarczały pieniędzy finansując operacje i działając na zasadzie zysku procentowego. Brzmiało to bardzo skomplikowanie i Gal-legherowi nic nie wyjaśniło.

- Czy w waszych kartotekach figuruje moje nazwisko? A... no dobrze, czy może mi pani powiedzieć, kto to jest J. W?

- J. W.? Bardzo pana przepraszam, ale potrzebne mi pełne nazwisko... - Nie znam go. A to ważna sprawa. - Gallagher długo się spierał, ale w końcu przekonał sekretarkę. Jedyńm pracownikiem „Wszystkich Zadań”, który nosił inicjały J. W. był niejaki Jackson Wardell, który w tym czasie przebywał na Callisto. - Jak długo tam jest?

- Urodził się tam - brzmiała okrutna odpowiedź sekretarki. - Nigdy nie był na Ziemi. Pewna jestem, że pan Wardell nie może być tą osobą, której pan szuka.

Gallegher zgodził się z nią. Postanowił, że nie ma co pytać jej o Grubaska, i z lekkim westchnieniem przerwał połączenie. No i co teraz?

Zadzwoił wideofon. Na ekranie pojawiła się twarz pucołowatego, łysawego, pulchnego człowieczka, który ze zdenerwowania marszczył czoło. Na widok konstruktora zachichotał z ulgą.

- A, jest pan, panie Gallegher - powiedział. - Od godziny staram się z panem połączyć. Chyba linia jest nie w porządku. O, mój Boże, myślałem, że odezwie się pan wcześniej!

Serce Galleghera załomotało. Grubasek... oczywiście!

Dzięki Bogu nareszcie koło fortuny zaczęło się obracać, Grubasek - osiemset kredytek.

Zaliczka. Zaliczka na poczet czego? Maszyny? Czy była ona rozwiązaniem problemu Grubaska czy J. W.? Gallegher usilnie błagał los, aby Grubasek potrzebował maszyny, która pożera ziemię i śpiewa „Szpital świętego Jakuba”. Obraz na ekranie zamglił się i zamigotał.

- Coś się dzieje na linii - powiedział pośpiesznie Grubasek. - Ale... czy udało się panu, panie Gallegher? Czy znalazł pan metodę?

- Oczywiście - powiedział Gallegher. Gdyby tylko mógł wyciągnąć coś z faceta, jakąś wskazówkę na temat tego, jakie było zamówienie...

- Och, cudownie! „Wszystkie Zadania” codziennie mnie ponaglają. Zwlekałem, ile mogłem, ale wiecznie nie będą czekać. Cuff ostro naciska, a ja nie mogę obejść tej starej ustawy...

Ekran zgasł.

W napadzie bezsilnego szału Gallegher omal nie odgryzł sobie języka. Zaczął szybko chodzić po laboratorium, z nerwami napiętymi od oczekiwania. Grubasek zadzwonił jeszcze raz. Na pewno. A tym razem pierwsze pytanie, które zada Gallegher, będzie brzmiało „Kim pan jest?”

Czas mijał.

Gallegher jęknął i sam spróbował uzyskać połączenie prosząc centralę, aby sprawdziła, z jakim numerem rozmawiał.

- Przykro mi, proszę pana. Połączenie nie było przez centralę. Nie możemy ustalić, skąd rozmawiano.

Dziesięć minut później Gallegher przestał przeklinać, chwycił kapelusz zawieszony na żelaznej figurce psa, która kiedyś służyła jako dekoracja trawnika, i ruszył w stronę drzwi. - Wychodzę - rzucił w stronę Narcyza. - Miej oko na tę maszynę.

- Dobrze, jedno oko - zgodził się robot. - Drugie będzie mi potrzebne do oglądania mojego precudnego wnętrza. Czemu nie dowie się pan, kto to jest Cuff?

- Co?

- Cuff. Grubasek wspominał o kimś takim. Mówił, że Cuff ostro naciska...

- Jasne! Tak mówił. I... co tam jeszcze było? Mówił, że nie może obejść starej wystawy...

- Ustawy. To znaczy prawa.

- Wiem, co to ustawa - warknął Gallegher. - Nie jestem kompletnym idiotą. Przynajmniej jeszcze nie. Cuff, co? Spróbuję jeszcze raz wykorzystać informator.

W spisie było sześć osób o tym nazwisku. Ze względu na płeć Gallegher wyeliminował połowę; wykreślił również firmę Cuff-Linx Manufacturing Co. i pozostały mu dwie osoby: Max i Frederick. Połączył się z Frederickiem i ujrzał chudego chłopaka z wytrzeszczeni oczu, który wyraźnie nie wkroczył jeszcze w wiek dorosły. Gallegher obrzucił go morderczym spojrzeniem pełnym frustracji i przerwał połączenie. Osłupiały Frederick przez następne pół godziny zastanawiał się, kto do niego zadzwonił, wykrzywił się jak upiór i rozłączył się bez słowa.

Pozostał jeszcze Max Cuff i to była rzeczywiście właściwa osoba. Gallegher upewnił się o tym, gdy kamerdyner Maxa Cuffa przełączył rozmowę do biura w mieście, skąd recepcjonistka oświadczyła, że pan Cuff spędza popołudnie w klubie Uplift.

- Ach tak? A kto to w ogóle jest Cuff?

- Nie rozumiem pana?

- Jaką ma fuchę? To znaczy, interes?

- Pan Cuff nie ma żadnego interesu - oświadczyła dziewczyna lodowatym tonem. - Pan Cuff jest radnym miejskim. To było interesujące. Gallegher rozejrzał się za kapeluszem, stwierdził, że ma go na głowie, pożegnał się z robotem, który nie raczył odpowiedzieć. - Jeśli Grubasek zadzwoni raz jeszcze - powiedział konstruktor - zapytaj, jak się nazywa. Rozumiesz? I uważaj na tę maszynę, gdyby chciała się przekształcić, czy coś w tym rodzaju.

Wyglądało na to, że Gallegher pomyślał o wszystkim; wyszedł więc z domu. Wiał chłodny jesienny wiatr strącając suche liście z napowietrznych alejek.

Przeleciało kilka aerotaksówek, ale Gallegher zatrzymał naziemną, bo chciał widzieć, którą pojedzie. Miał niejasne przekonanie, że wideofon do Maxa Cuffa nie da mu wiele. Z tym facetem trzeba będzie sprytnie pograć, szczególnie skoro potrafi „ostro naciskać”.

- Dokąd jedziemy?

- Do klubu Uplift. Wie pan, gdzie to jest?

- Nie - powiedział kierowca - ale się dowiem. - Włączył klawisz informatora na desce rozdzielczej. - W mieście, nie za blisko.

- Dobra jest - powiedział Gallegher i opadł na oparcie, zatopiony w czarnych myślach. Czemu wszyscy byli tacy nieuchwytni? Zazwyczaj duchy nie korzystały z jego usług. Jednak Grubasek pozostał osobą nieokreśloną, bez nazwiska, po prostu twarzą, której Gallegher nie znał. Kim zaś był J. W., nie wiadomo. Tylko Deli Hopper przybrał realne kształty, czego Gallegher bardzo żałował. Wezwanie sądowe szeleściło mu w kieszeni.

- Potrzebuję się napić - rzekł do siebie Gallegher. - Ot i cały kłopot. Nie pozostałem pijany. Przynajmniej nie dość długo. A, cholera.

Po jakimś czasie taksówka zatrzymała się przy budynku, który kiedyś był pałacykiem wybudowanym z cegły i szkła. Opustoszały, wyglądał ponuro. Gallegher wysiadł, zapłacił kierowcy i wszedł podjazdem. Nieduży szyld głosił, że jest to klub Uplift. Ponieważ nie było dzwonnka, Gallegher otworzył drzwi i wszedł do środka.

Natychmiast jego nozdrza rozszerzyły się jak u konia kawaleryjskiego, który poczuł zapach prochu. W środku odbywało się picie. Z instynktem gołębia pocztowego Gallegher ruszył prosto w stronę baru znajdującego się przy jednej ścianie sali wypełnionej krzesłami, stołami i ludźmi. Jakiś człowiek o smutnej twarzy, w kapeluszu na głowie grał w kąciku na bilardzie elektrycznym. Gdy

Gallegher się zbliżył, smutny spojrzał na niego i zastąpił mu drogę.

- Szukasz kogoś? - mruknął.

- Aha - powiedział Gallegher. - Maxa Cuffa. Powiedzieli mi, że tu jest.

- Zaraz, zaraz - powiedział smutny facet. - Czego chcesz od niego?

- Chodzi o Grubaska - zaryzykował Gallegher. Przeszyło go spojrzenie zimnych oczu.

- Kogo?

- Ty go nie znasz. Ale Max zna.

- Max chce cię zobaczyć?
- Jasne.
- No więc - rzekł smutny z powątpiewaniem - Max jest w Trzech Gwiazdach i robi obchód barów. Kiedy zaczniesz...
- Trzy Gwiazdy? Gdzie to jest?
- Broad Avenue czternaście.
- Dzięki - powiedział Gallegher. Wyszedł, obrzucając bar tęsknym spojrzeniem. Dobrze, dobrze, jeszcze nie. Najpierw interesy.

Trzy Gwiazdy była to zwykła mordownia, w której na ścianach wyświetlano wesołe filmy. Były one stereoskopowe i lekko obrzydliwe. Przyjrzawszy się im w zamyśleniu Gallegher potoczył wzrokiem po gościach. Nie było ich wielu. Uwagę jego zwrócił siedzący przy jednym końcu baru potężny facet, ze względu na kwiat gardenii, który miał w butonierce, oraz krzykliwy brylant na palcu. Gallegher podszedł do niego.

- Pan Cuff?
- Tak jest - odrzekł facet obracając się na stołku jak Jowisz wokół swej osi. Przyjrzał się Gallegherowi kołyszając się lekko. - A kto ty jesteś?
- Ja...
- Nieważne - powiedział Cuff przymrużając oko. - Nigdy po robocie nie mów, jak się naprawdę nazywasz. Ukrywasz się, co?
- Co?
- Jak tylko takiego zobaczę, od razu go rozpoznam. Ty... ty... hej! - powiedział Cuff pochylając się naprzód i wężąc. - Ty piłeś!
- Piłem - odrzekł gorzko Gallegher. - To stwierdzenie zupełnie nie oddaje rzeczywistości.
- To napij się ze mną - zaprosił go Cuff. - Doszedłem już do E. Egri burgundi. Tim! - ryknął. - Jeszcze jeden egri dla mojego kumpla! Na jednej nodze. I zajmij się F.
- Gallegher wśliznął się na stołek obok Cuffa i przyglądał się swemu towarzyszowi ciekawie. Radny wyglądał na lekko podciętego.
- Tak - powiedział Cuff - najlepiej pić alfabetycznie. Zaczyna się od A - absyntu, a potem według alfabetu - brandy, cointreau, daiquiri, egri...
- A co potem?
- Oczywiście F - powiedział Cuff, z lekka zdumiony. - Flip. O, już jest egri dla ciebie. No to lu!
- Wypili. - Niech pan posłucha - powiedział Gallegher. - Muszę z panem pogadać o Grubasku.
- O kim?
- O Grubasku - powiedział Gallegher mrugając znacząco. - Wie pan. Ostatnio pan naciska. Ustawa. Wie pan.
- Ach, o nim! - Cuff nagle ryknął gargantuicznym śmiechem. - Grubasek, co? To dobre. To bardzo dobre. Grubasek, to do niego bardzo pasuje.
- Ale on się nie nazywa... podobnie? - zapytał sprytnie Gallegher.
- Ani trochę. Grubasek!
- Czy jego nazwisko pisze się przez e, czy przez i?

- Jedno i drugie - powiedział Cuff. - Tim, gdzie jest flip? A, już gotowy? No to lu, stary. Gallagher skończył egri i zajął się flipem. I co teraz?
- Grubasek? - zaryzykował.
- Tak?
- Jak leci?
- Nigdy nie odpowiadam na pytania - odpowiedział Cuff gwałtownie trzeźwiejąc. Spojrzał ostro na Galleghera. - Ty jesteś od nas? Nie znam ciebie.
- Jestem z Pittsburga. Kazali mi przyjść do klubu, kiedy przyjadę.
- To się kupy nie trzyma - powiedział Cuff. - A, dobrze. Nieważne. Załatwiłem parę spraw i świętuję. Skończyłeś flipa? Tim! Gold-wasser!
- Na G wypili goldwasser, na H - hennessy, na I - istrę. - Teraz jarzębiak - powiedział Cuff z satysfakcją. - Tylko ten bar w mieście to sprowadza. Potem muszę opuszczać litery. Nie znam niczego na K.
- Kloisterekeller - powiedział Gallagher nieprzytomnie.
- K... co? Co to takiego? Tim! - Cuff ryknął na barmana. - Masz kloisterekeller?
- Nie mam - powiedział Tim. - Nie prowadzimy, proszę pana.
- To poszukamy kogoś, kto prowadzi. Jesteś cwany, stary. Idziemy razem. Potrzebuję cię.

Gallegher posłusznie poszedł za nim. Ponieważ Cuff nie chciał rozmawiać o Grubasku, wypadało zdobyć jego zaufanie. A najlepszym sposobem było picie z nim. Niestety, alfabetyczny ochłaj, przy wszystkich fantastycznych mieszankach, okazał się wcale niełatwy. Gallagher już miał kaca. A pragnienie Cuffa było nie do zaspokojenia.

- „L”? Co na „L”?

- Lacrima Christi. Albo liebfraumilch.

- O rany!

Pewną ulgę przyniósł do martini. Po orzechówce Galleghe-rowi zaczęło wirować w głowie. Na „R” zaproponował nzlinga, ale, Cuff nie chciał o tym słyszeć.

- No to ryżowe wino.

- Dobrze. Ryżowe... hej! Opuściliśmy „N”! Trzeba wracać do „A”!

Z wielkim kłopotem Gallagher wyperswadował mu to; udało mu się, dopiero gdy oczarował Cuffa egzotyczną nazwą ng ga po. Ruszyli w dalszą drogę po alfabecie poprzez sake, tequilę, unicum, vermouthe. „W” to oczywiście była whisky.- X?

Spojrzeni po sobie poprzez opary alkoholu. Gallagher wzruszył ramionami i potoczył wzrokiem dookoła. Skąd się wzięli w tym szykownym, dobrze umeblowanym gabinecie klubowym, zastanawiał się. Jedno było pewne - to nie Uplift. Hm, no...

- X - naciskał Cuff. - Nie zawieź mnie teraz, stary.

- E X trą żytnia - Gallagher wpadł na znakomity pomysł.

- To jest to! Zostały tylko dwie. Y i... i co jest po Y?

- Grubasek. Pamięta pan?

- A, stary Grubasek Smith - powiedział Cuff, parszcząc nieopanowanym śmiechem.

Przynajmniej brzmiało to jak „Smith”. - Grubasek. To do niego bardzo pasuje.

- Jak mu na imię? - zapytał Gallagher.

- Komu?

- Grubaskowi.  
- Nigdy o takim nie słyszałem - powiedział Cuff i zachichotał. Zbliżył się goniec i dotknął ramienia radnego.  
- Ktoś do pana, czeka na zewnątrz. ‘  
- Dobrze. Zaraz wracam, stary. Wszyscy wiedzą, gdzie można mnie znaleźć... przeważnie tutaj. Nigdzie nie odchodź. Zostało jeszcze Y i... i... i ta druga...  
Zniknął mu z oczu. Gallegher odstawił nietkniętego drinka, podniósł się i lekko się chwiejąc ruszył w stronę hallu. W oko wpadł mu stojący tam wideofon. Powodowany nagłym impulsem wszedł do środka i wykręcił numer laboratorium.  
- Znowu schlany - powiedział Narcyz, ledwie jego twarz ukazała się na ekranie.  
- Święte słowa - zgodził się Gallegher. - Jestem skuty jak... ep!... jak świnia. Ale coś mam.  
- Lepiej niech się pan postara o ochronę policyjną - powiedział robot. - Zaraz jak pan poszedł do domu, wdarło się paru bandziorów. ‘Szukali pana.  
- Paru co? Powtórz.  
- Trzech bandziorów - cierpliwie powtórzył Narcyz. - Główny z nich był chudy i wysoki; ubrany w garnitur w kratkę, miał żółte włosy i złoty ząb na przedzie.  
Pozostali...  
- Niepotrzebny mi rysopis - warknął Gallegher. - Powiedz mi tylko, co się stało.  
- Już wszystko powiedziałem. Chcieli pana porwać. Potem chcieli ukraść maszynę.  
Przepędziłem ich. Jak na robota, jestem dość silny.  
- Czy maszynie nic się nie stało?  
- A co ze mną? - poskarżył się Narcyz. - Ja jestem dużo ważniejszy niż jakaś zabawka. Czy nic pana nie obchodzą moje rany?  
- Nie - odrzekł Gallegher. - A masz jakieś?  
- Oczywiście że nie. Ale mógłby pan okazać choć trochę zainteresowania...  
- Czy maszynie nic się nie stało?!!!  
- Nie dopuściłem ich do niej - powiedział robot. - I niech pana szlag trafi.  
- Zadzwoń jeszcze raz - rzekł Gallegher. - Teraz potrzebuję czarnej kawy. Wyłączył się, wstał i wytoczył się z kabiny. W jego kierunku szedł Max Cuff. Za radnym szło trzech mężczyzn.  
Jeden z nich zatrzymał się w pół kroku otwierając ze zdumienia usta. - To ten gość, szefie. To Gallegher. Czy to z nim pan pił?  
Gallegher próbował zogniskować oczy. Obraz faceta wyostrzył się. Był to wysoki, chudy osobnik w ubraniu w kratkę, z żółtymi włosami i złotym zębem na przedzie.  
- Stuknijcie go - powiedział Cuff. - Szybko, zanim krzyknie. I zanim ktoś inny się tu zjawi.  
Gallegher, co? Spryciura, co?  
Gallegher ujrzał, jak coś leci w stronę jego głowy, i usiłował wskoczyć z powrotem do kabiny wideofonu, niczym ślimak wpełzający do muszli. Nie udało się.  
Oślepiły go wirujące błyski olśniewającego światła.

Cały kłopot z naszą kulturą społeczną, myślał sennie Gallegher, polega na tym, że cierpi ona zarówno na przerost, jak i na zwapnienie powłoki zewnętrznej.  
Cywilizację można porównać do grządki kwiatów. Każda pojedyncza roślina jest częścią składową kultury. Wzrost roślin to postęp. Technologia, ten kwiat ze straconymi złudzeniami,

otrzymała ongiś porządny zastrzyk mieszkanki odżywczej w postaci wojen, które zmusiły ją do rozwoju z czystej konieczności. Ale żaden świat nie jest zadowolający, jeśli wszystkie części nie równają się całości. Kwiat głuszył inną roślinę, która wykształciła w sobie tendencje pasożytnicze.

Zaprzestała wypuszczać korzenie. Owinęła się wokół kwiatu wspinając się po jego łodydze i liściach. Tą dławiącą lianą były religia, polityka, ekonomia, kultura - przestarzałe formy, które zbyt powoli się zmieniały, prześcignięte przez ową płomienną kometę nauk ścisłych unoszącą się na nieograniczonym niebie nowej ery.

Dawno temu literaci sądzili, że w przyszłości - ich przyszłości - model socjologiczny będzie inny. W erze statków kosmicznych zanikną takie nielogiczne zachowania, jak oszustwa giełdowe, brudna polityka czy gang-sterstwo. Jednak owi teoretycy nie mieli dość przenikliwości. Erę statków kosmicznych postawili w zbyt odległej przyszłości.

Ley wylądował na Księżycu wcześniej niż wycofano samochody z gaźnikami.

Wielkie wojny pierwszej połowy dwudziestego wieku nadały gwałtowne przyspieszenie rozwojowi techniki i rozwój ten trwał nadal. Niestety przeciętni ludzie zajmowali się głównie takimi sprawami, jak ro-boezogodziny i inflacja. Jedyne zgodny okres przypadł na czas wielkich projektów, np. Program Missisipi i podobne. I wreszcie był to czas chaosu, reorganizacji, burzliwych przemian pojęć ze starych na nowe oraz huśtawki przeskakującej żwawo z jednej skrajności w drugą. Profesja adwokacka stała się tak skomplikowana, że zespoły ekspertów musiały używać kalkulatorów Pedersena i mózgów elektronowych Mechanistra do przeprowadzania swoich naciąganych wywodów, które natychmiast trafiały w niezbadane krainy logiki symbolicznej, a co za tym idzie - pure nonsensu. Morderca mógł zostać uniewinniony, jeśli nie przyznał się do winy. A nawet jeśli się przyznał, istniały metody podważania solidnych, prawniczych dowodów.

Precedensy stały się przestarzałe. W tym szalonym labiryncie władze odwoływały się do niewzruszonych faktów historycznych - precedensów prawnych - które często obracały się przeciwko nim.

I tak szło rok po roku. Później socjologia doścignie postęp techniczny, ale jeszcze to nie nastąpiło. Hazard ekonomiczny osiągnął poziom nigdy przedtem nie spotykany w historii świata. Trzeba było geniuszy, by rozwikłali ten cały bałagan. Mutacje, wywołane skłonnością przyrody do wyrównywania szkód, dały ostatecznie takich geniuszy, ale miało upłynąć jeszcze wiele czasu, nim osiągnie się zadowolające rozwiązanie. Człowiekiem, który będzie miał największe szansę przeżycia, Gallegher już to pojmował, jest ktoś, kto ma dużą zdolność adaptacji oraz pierwszorzędną i wszechstronną zasób wiedzy praktycznej i niepraktycznej oraz praktyczne doświadczenie we wszystkim. To znaczy w rzeczach pochodzenia roślinnego, zwierzęcego i mineralnego...

Gallegher otworzył oczy. Widać było niezbyt wiele, głównie dlatego, że - jak to natychmiast stwierdził - ktoś cisnął go na stół twarzą na dół. Wyteżając siły usiadł. Nie był związany, znajdował się na słabo oświetlonym strychu, który wyglądał na magazynek i wypełniony był porozbijanymi rupieciami. Z sufitu padało słabe światło jarzeniówki. Były i drzwi, ale stał przy nich facet ze złotym zębem. Po drugiej stronie stołu siedział Max Cuff starannie nalewając whisky do szklanki.

- Ja też chcę - powiedział Gallegher słabym głosem. Cuff spojrzał na niego.

- Zbudziłeś się, co? Przykro mi, że Blazer stuknął cię tak mocno.

- A, nic. I tak pewnie bym stracił przytomność. Ten alfabetyczny obchód barów to mocna rzecz.

- Siup! - powiedział Cuff posuwając szklaneczkę w kierunku Galleghera i nalewając sobie następną. - Tak musiało być. To było sprytne, trzymać się mnie, czyli jedyne miejsce, gdzie chłopcom na myśl nie przyszło ciebie szukać.

- To u mnie wrodzone - rzekł skromnie Gallegher. Whisky goożywiła, ale w głowie miał jeszcze opary alkoholu. - Pańscy... hm... wspólnicy, przez co rozumiem oprychów spod ciemnej gwiazdy, próbowali mnie wcześniej porwać, prawda?

- Mhm. Nie było ciebie. Ten twój robot...

- To istne чудо.

- Dobra. Słuchaj, Blazer powiedział mi o tej maszynie, którą zrobiłeś. Wolalbym, żeby Smith nie położył na niej łapy.

Smith Grubasek. Hmmm. Układanka znowu się rozleciała. Gallegher westchnął. Jeśli zagra trzymając wszystkie karty przy sobie...

- Smith jeszcze jej nie widział.

- Wiem o tym - powiedział Cuff. - Mamy podgląd na jego wideofon. Jeden z naszych agentów wywęszył, że Smith powiedział „Wszystkim Zadaniom”, iż pewien człowiek pracuje nad sprawą, rozumiesz? Niestety nie wymienił nazwiska tego człowieka. Mogliśmy tylko śledzić Smitha i podglądać jego rozmowy czekając, aż się z tobą skontaktuje. A potem... w każdym razie wylapaliśmy to połączenie. Powiedziałeś mu, że masz to urządzenie.

- I co?

- Szybko przerwaliśmy rozmowę i Blazer z chłopcami poszedł złożyć ci wizytę. Mówiłem ci, że nie chcę, żeby Smith utrzymał ten kontrakt.

- Nic pan nie mówił o kontrakcie - powiedział Gallegher.

- Nie udawaj głupiego. Smith powiedział „Wszystkim Zadaniom”, że wyłożył ci całą sprawę. Może i zrobił tak. Tylko że Gallegher był wtedy uchłany i to Gallegher Bis słuchał tego Wszystkiego, niezawodnie gromadząc informacje w podświadomości.

Cuffowi odbiło się. Nagle odsunął szklanekę.

- Później pogadamy. Strułem się, do diabła. Nie mogę dobrze myśleć. Ale... nie chcę, żeby Smith dostał tę maszynę w ręce. Twój robot nie pozwala się nam do niej zbliżyć. Połączysz się z nim przez wideo i wyślesz go gdzieś, żeby chłopcy mogli przynieść tu twoją maszynę. Mów: tak albo nie. Jeśli nie, to jeszcze tu wrócę.

- Nie - powiedział Gallegher. - Z tego powodu, że i tak mnie pan zabije, żeby nie zrobić Smithowi drugiej maszyny.

Powieki Cuffa powoli nasunęły się na oczy. Przez jakiś czas siedział nieruchomo, jakby uśpiony. Potem spojrzał niewidzącym wzrokiem na Galleghera i wstał.

- No to zobaczymy się później. - Potarł ręką czoło; głos miał lekko przepity. - Blazer, trzymaj tu tę glistę.

Człowiek ze złotym zębem postąpił naprzód. - Dobrze się pan czuje?

- Jasne. Nie mogę myśleć... - Cuff wykrzywił się. - Łażnia turecka. Tego mi trzeba. - Podeszedł do drzwi pociągając za sobą Blazera. Gallegher ujrzał poruszające się usta radnego.

Wychwycił kilka słów.

- ...spije się... wideo do robota... spróbujcie...

Cuff wyszedł. Blazer wrócił do pomieszczenia, siadł naprzeciwko Galleghera i posunął w jego stronę butelkę.

- Nie przejmuj się - zaproponował. - Gołnij sobie, dobrze ci zrobi.

Cwaniaki, pomyślał Gallegher. Myślą, że jak się zaleję, to zrobię, co chcę. Hm...

Był jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Gdy Gallegher znajdował się całkowicie pod wpływem alkoholu, kontrolę przejmowała jego podświadomość. A Gallegher Bis był wynalazcą-geniuszem; szalonym, ale utalentowanym.

Gallegher Bis na pewno znalazłby wyjście z tej sytuacji.

- O to chodzi - powiedział Blazer widząc, jak znika alkohol. - Jeszcze jednego. Max to fajny facet. Nic do ciebie nie ma. Tyle że nie lubi, jak mu ktoś bruździ w jego planach.

- Jakich planach?

- Jak w przypadku Smitha - wyjaśnił Blazer.

- Rozumiem. - Galleghera przechodziły dreszcze. Wkrótce powinien być już na tyle przesycony alkoholem, aby jego podświadomość mogła się wydostać. Pił dalej. Być może za bardzo się starał. Zazwyczaj Gallegher bardzo starannie mieszał swoje drinki. Tym razem wszystkie składniki tego równania złożyły się na przygnębiające zero. Zobaczył, jak blat stołu powoli przybliżył się do jego nosa, poczuł łagodne, dość przyjemne uderzenie i zaczął chrapać. Blazer podniósł się i potrząsnął nim.

- I c-co oni teraz robią za wodę - wychrapał Gallegher. - Nie ma t-to jak wino, kobiety i śpiew... wino, wino, wino... Cz-czerwone.

- Wina mu się zachciało - powiedział Blazer. - Ten facet ciągnie jak bibuła. - Jeszcze raz potrząsnął Gallegherem, ale bezskutecznie. Rozległo się mrulknięcie Blazera, a potem kroki, coraz słabsze.

Gallegher usłyszał, jak drzwi się zamykają. Spróbował usiąść, spadł z krzesła i walnął się boleśnie głową o stołową nogę.

Podziałało lepiej niż wiadro zimnej wody. Chwiejąc się, Gallegher stanął na nogach. Pokój na poddaszu był pusty, poza nim samym i różnymi rupieciami. Niezwykle ostrożnie podszedł do drzwi i spróbował je otworzyć. Zamknięte. Mało tego, jeszcze wzmocnione stałą.

- Ładny gips - mruknął konstruktor. - Raz jeden potrzebna jest mi moja podświadomość, a ona nie chce się pokazać. Jak do diabła mam się stąd wydostać?

Nie było jak. Pokój nie miał okien, a drzwi były zabite na glucho. Gallegher posterował w kierunku stosu rupieci. Stara kanapa. Pudełko z papierami. Poduszki. Zwinięty dywan. Śmiecie.

Znalazł kawałek drutu, odłamek miki, plastikową spiralę, ongiś część ruchomej statuetki, i jeszcze parę drobiazgów. Złożył to wszystko do kupy. W rezultacie powstało coś, co mogło przypominać spluwę, choć podobne było także do miksera kuchennego. Wyglądało to niesamowicie, niczym marsjański miotacz.

Następnie Gallegher wrócił do krzesła i usiadł, siłą woli próbując wytrzeźwieć. Niespecjalnie mu się to udało. Kiedy znów usłyszał kroki, szumiało mu jeszcze w głowie.

Drzwi otworzyły się. Wszedł Blazer rzucając szybkie, czujne spojrzenie na Galleghera, który schował swój wynalazek pod stół.

- Już wróciłeś? Myślałem, że to może Max.

- On też przyjdzie - rzekł Blazer. - Jak się czujesz?

- We łbie mi szumi. Chciałbym się jeszcze napić. Tamtą butelkę skończyłem. - Faktycznie skończył ją, wylewając resztę zawartości do dziury w podłodze.

Blazer zaryglował drzwi i zbliżył się. Gallegher wstał, stracił równowagę i potknął się.

Oprych zawahał się. Gallegher wyciągnął swoją spluwę-mikser i podniósł ją do oczu, zezując przez lufę na twarz Bla-zera.

Bandzior sięgnął po to coś, pistolet albo łamigłówkę. Jednak owo niesamowite urządzenie, które Gallegher w niego wycelował, zaniepokoiło go. Zatrzymał się.

Zaczął myśleć, cóż to za nowa groźba przed nim. W następnej chwili już postanowił działać, w taki czy inny sposób, zapewne kończąc ów zatrzymany ruch w kierunku pasa.

Gallegher nie czekał. Wzrok Blazera skupiony był na aparacie. Całkowicie ignorując zasady ucziwej walki konstruktor kopnął przeciwnika w podbrzusze. Gdy Blazer zgiął się w pół, Gallegher wykorzystał chwilową przewagę rzucając się naprzód na bandziora i powalając go na ziemię zawziętymi ciosami wszystkich czterech kończyn. Blazer nadal usiłował dosięgnąć swej broni, ale ten pierwszy nieczysty cios poważnie go obezwładnił.

Gallegher był wciąż jeszcze zbyt pijany, by dobrze skoordynować ruchy. Wynagrodził to sobie włączając na przeciwnika i waląc go systematycznie w splot słoneczny. Ta tak-tyka okazała się skuteczna. Po pewnym czasie udało mu się wyrwać Blazerowi łamigłówkę i solidnie przyłożyć mu w skroń. I to było tyle

Gallegher powstał, przyglądając się swemu wynalazkowi i zastanawiając się, co też zdaniem Blazera mogło to być. Pewnie miotacz promieni śmierci. Uśmiechnął się słabo. W kieszeni nieprzytomnego oprycha znalazł klucz, otworzył drzwi od strychu i zeszedł po schodach. Jak na razie, nieźle. Sława wynalazcy miała swoje dobre strony. Przynajmniej udało się przez to odwrócić uwagę Blazera od stanu faktycznego. Co teraz?

Dom był trzypiętrowym opustoszałym budynkiem blisko łaźni. Gallegher wydostał się przez okno. Uciekł stamtąd nie zatrzymując się, dopóki nie znalazł się w aerotaksówce pędzącej w stronę dzielnic peryferyjnych. Siedząc w środku i ciężko dysząc włączył filtr powietrza i puścił chłodny wiaterek, by mu chłodził spoconą twarz. Wysoko na czarnym jesiennym niebie pojawił się księżyc w pełni. Przez okienko w podłodze widać było jasne wstążki ulic przecięte oślepiającymi przekątnymi autostrad na górnym poziomie.

Smith. Grubasek Smith. Ma coś wspólnego z „Wszystkimi Zadaniem?”. Zapłacił pilotowi i w przyprawie ostrożności wysiadł na lądowisku na dachu domu w dzielnicy White Way. Znajdowały się tam kabiny wideofoniczne; Gallegher połączył się z laboratorium. Na ekranie zobaczył robota.

- Narcyz...

- Joe - poprawił robot. - Znowu pan chłął. Dlaczego pan nie wytrzeźwieje?

- Zamknij się i słuchaj. Co się działo?

- Niewiele.

- Ci bandyci byli znowu?

- Nie - powiedział Narcyz - ale przyszło dwóch policjantów po pana. Pamięta pan to wezwanie sądowe? Miał pan stawić się w sądzie o piątej po południu.

Wezwanie. Ach, tak. Dęli Hopper, tysiąc kredytek.

- Czy są tam jeszcze?

- Nie. Powiedziałem, że wziął pan proszek.

- Dlaczego?

- Żeby się tu nie pętali. Teraz może pan wracać do domu, kiedy pan chce, jeśli będzie pan ostrożny.

- Co przez to rozumiesz?

- To pańska sprawa - powiedział Narcyz. - Niech pan sobie kupi sztuczną brodę. Ja już swoje zrobiłem.

- Dobrze - powiedział Gallegher. - Zrób dużo czarnej kawy. Dzwonił ktoś jeszcze?

- Wideo z Waszyngtonu. Jakiś komandor jednostki policji kosmicznej. Nie przedstawił się.

- Policji kosmicznej? Czy oni też mnie szukają? Czego chciał?

- Pana. - powiedział robot. - Do widzenia. Przerwał mi pan uroczą pioseneczkę, którą sobie nuciłem.

- Zrób tej kawy - zażądał Gallegher, gdy obraz już zniknął. Wyszedł z kabiny i stał przez chwilę zastanawiając się i jednocześnie patrząc bezmyślnie na unoszące się wokół niego wieżowce Manhattanu upstrzone nieregularnymi wzorami, ułożonymi przez oświetlone okna: prostokątne, okrągłe, owalne, półkoliste, a nawet w kształcie gwiazdy.

Wideo z Waszyngtonu.

Hopper ostro naciska.

Max Cuff i jego oprychy.

Grubasek Smith.

Najbardziej obiecująco wyglądał Smith. Wszedł jeszcze, raz do kabiny i wykręcił numer „Wszystkich Zadań”.

- Przepraszam pana, ale już nie pracujemy.

- To bardzo ważne - nalegał Gallagher. - Potrzebuję pewnej informacji. Muszę skontaktować się z człowiekiem...

- Przykro mi bardzo.

- S-M-I-T-H - przeliterował Gallagher. - Niech pani tylko sprawdzi w spisie, czy gdzieś, dobrze? Czy też chce pani, żebym poderżnął sobie gardło na pani oczach?

- Pogrzebał w kieszeni.

- Może zadzwoni pan jutro...

- Będzie już za późno. Niech pani to dla mnie zrobi. Proszę. Bardzo proszę.

- Przykro mi.

- Jestem akcjonariuszem „Wszystkich Zadań” - warknął Gallagher. - Ostrzegam panią, moja panno!

- A... och. No, co prawda, nie jest to przyjęte, ale... Smith? Jedną chwileczkę. Jak mu na imię?

- Nie wiem. Niech pani znajdzie mi wszystkich Smithów.

Dziewczyna zniknęła i pojawiła się ponownie z kartofelką opatrzoną napisem SMI.

- Ojej - powiedziała, przerzucając karty. - Tu będzie z kilka setek Smithów. Gallagher jęknął. -

Potrzebny mi jest gruby Smith - powiedział desperacko. - Chyba nie ma tego jak sprawdzić.

Usta sekretarki zacisnęły się. - Ach rozumiem, to miał być dowcip. Dobranoc! - Przerwała połączenie.

Gallegher siedział wpatrując się w ekran. Kilkuset Smithów. Nie za dobrze. Właściwie zdecydowanie źle.

Jedną chwileczkę. Kupił akcje „Wszystkich Zadań”, kiedy leciały w dół. Dlaczego? Musiał spodziewać się, że pójdą w górę. Ale według Arniego nadal spadały. Tu może być jakaś wskazówka.

Złapał Arniego w domu i przycisnął go do muru.

- Odwołaj swoje spotkanie. Moja sprawa nie zabierze ci dużo czasu. Dowiedz się tylko, dlaczego akcje „Zadań” lecą w dół. Zadzwon do mnie do laboratorium. Inaczej skręcę ci kark.

I szybko! Zdobądź mi te dane, jasne? Arnie zgodził się. Gallagher wypił kawę w ulicznym kiosku, zachowując ostrożność udał się taksówką do domu i wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi na dwa zamki. Narcyz tańczył przed wielkim lustrem w laboratorium.

- Dzwonił ktoś?

- Nie. Nic się nie działo. Spójrz na to wdzięczne pas.

- Później. Jeśli ktoś będzie chciał wejść, uprzedź mnie. Schowam się, póki się go nie pozbędziesz. - Gallagher mocno zacisnął oczy. - Czy kawa gotowa?

- Czarna i mocna. W kuchni.

Zamiast tego konstruktor poszedł do łazienki, rozebrał się, wziął zimny prysznic i lekkie naświetlanie. Czując się nieco mniej pijany wrócił do laboratorium z ogromnym kubkiem parującej kawy. Usadowił się na Bąbelku i zaczął przetykać płyn.

- Wygląda pan jak „Myślicie!” Rodina - zauważył Narcyz. - Znajdę panu szlafrok. Pańskie obrzydliwe ciało razi moje poczucie estetyki.

Gallegher nie słyszał tego. Włożył szlafrok, ponieważ spocona skóra nieprzyjemnie odczuwała chłód, nadal jednak pił kawę i patrzył nieprzytomnie w przestrzeń. Równanie:  $a$  (albo)  $b$  (albo)  $c$  równa się  $x$ . Jak dotąd starał się znaleźć wartości  $a$ ,  $b$  i  $c$ . Może to nie był dobry sposób. J. W. w ogóle nie znalazł. Smith pozostał nieuchwytny. A Dęli Hopper (tysiąc kredytek) był na nic. Może lepiej było znaleźć wartość  $x$ . Ta cholerna maszyna musi mieć jakiś cel. Owszem, pożerała ziemię. Ale materii nie można było zniszczyć; można ją było przekształcić w inne formy. Ziemia wchodziła do maszyny; nie wychodziło nic. Nic widzialnego. Wolna energia? Jest niewidzialna, ale można ją wykryć przyrządami. Woltomierzem, amperomierzem, elektroskopem... Gallegher ponownie na chwilę włączył maszynę. Jej śpiew był niebezpiecznie głośny, ale nikt do drzwi nie zadzwonił, a po chwili Gallegher z powrotem przestawił przełącznik na pozycję 0. Nie dowiedział się niczego

Zadzwonił Arnie. Udało mu się zdobyć potrzebne Gallegherowi informacje.

- To nie było łatwe. Musiałem użyć paru sztuczek. Ale dowiedziałem się, dlaczego akcje „Wszystkich Zadań” lecą w dół.

- Dzięki Bogu! Gadaj.

- „Zadania” to jakby wielka giełda zamówień, wiesz. Wynajmują podwykonawców do różnych zadań. W tym przypadku to wielki biurowiec, który ma stanąć w centrum Manhattanu. Tyle że firma budowlana nie może zacząć pracy. W tej sprawie wchodzi w grę duży szmal, a powstała wokół tego szeptana kampania, która zaszkodziła akcjom „Zadań”.

- Mów dalej.

Arnie kontynuował. - Zebrałem wszystko, co się dało, na wszelki wypadek. O tę fuchę starały się dwie firmy.

- Kto?

- Ajax i ktoś nazwiskiem...

- Może przypadkiem Smith?

- No właśnie - powiedział Arnie. - Thaddeus Smeith. Pisze się S-m-e-i-t-h. Nastąpiła dłuższa przerwa.

- S-m-e-i-t-h - powtórzył w końcu Gallegher. - To dlatego ta panienska nie mogła... co? A, nic. Powinienem być się domyślić. - No jasne. Kiedy zapytał Cuffa, czy nazwisko Grubaska pisze się przez „e” czy przez „i”, ten odpowiedział, że przez jedno i drugie. Smeith. Ha!

- Smeith dostał tę robotę - mówił dalej Arnie. - Przebił Ajax. Jednakże Ajax ma plecy na górze. Znaleźli jakiegoś radnego, który narobił wrzasku i powołał się na jakąś starą ustawę, którą usadził Smeitha. Chłop nic nie może zrobić.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ - powiedział Arnie - prawo nie pozwala mu blokować ruchu na Manhattanie. Ma to związek z prawami ruchu powietrznego. Klient Smeitha, czy raczej klient „Wszystkich Zadań”, wykupił niedawno parcelę, ale prawa do ruchu lotniczego nad nią są wydzierżawione na dziewięćdziesiąt dziewięć lat przez Transworld Strato. Hangary stratoplanów znajdują się obok tej posesji, a sam dobrze wiesz, że strato-planowo nie startują. Potrzebują trochę

miejsca na lot po prostej, zanim wzbiją się wyżej. I właśnie ich korytarz leży dokładnie nad tą posesją. Dzierżawa jest w porządku. Przez dziewięćdziesiąt dziewięć lat linie Transworld Strato mają prawo używać powietrza nad tą posesją, na wysokości powyżej piętnastu metrów od powierzchni ziemi.

Gallegher w zamyśleniu spojrzął z ukosa na Amiego. - Jak więc Smeith miał zamiar postawić tam budynek?

- Nowy właściciel ma prawo do przestrzeni od piętnastu metrów nad powierzchnią ziemi do środka planety. Kapujesz? Wielki osiemdziesięcioletni budynek w większości pod powierzchnią ziemi. Już to ktoś robił, ale nigdy przeciw komuś, kto ma plecy we władzach. Jeśli Smeithowi nie uda się wypełnić postanowień kontraktu, robotę weźmie Ajax, a ten idzie ręką w rękę z owym radnym.

- Owszem, Maxem Cuffem - powiedział Gallegher. - Poznałem już tego padalca. Ale... cóż to za ustawa, o której wspominałeś?

- Stara, w znacznym stopniu przestarzała, ale nadal obowiązująca, sprawdzałem. Nie wolno zakłócać ruchu ulicznego ani przeszkadzać w ruchu napowietrznym.

- No i co?

- Jeśli kopie się dziurę na osiemdziesiąt pięter - wyjaśnił Arnie - to wydobywa się mnóstwo ziemi i kamieni. Jak można to wszystko wywieźć nie zakłócając ruchu? Nawet nie próbowałem obliczać, ile ton trzeba wywieźć.

- Rozumiem - cicho powiedział Gallegher.

- I tak to jest jak na dłoni. Smeith dostał kontrakt. Teraz zaś jest w kropce. Nie może pozbyć się ziemi, którą będzie wydobywać, a niedługo już Ajax

..przejmie to wszystko i wyłudzi zezwolenie na wywóz ziemi.

- Jak, skoro Smeith nie może?

- Pamiętasz o radnym? No więc kilka tygodni temu zamknięto w okolicy kilka ulic w celu naprawy. Zrobiono objazd, przy samym placu budowy. Ruch jest tam zwężony i zrobił się taki ścisk, że ciężarówki z ziemią zatkałyby go do reszty.

Oczywiście ten objazd jest czasowy... - Arnie zaśmiał się krótko - do czasu, kiedy Smeith zostanie zmuszony do oddania kontraktu. Wtedy objazd zniknie i Ajax będzie mógł postarać się o pozwolenie.

- Och - Gallegher spojrzął przez ramię na maszynę. - Może jest sposób...Zadzwoił dzwonek u drzwi. Narcyz spojrzął pytająco.

- Zrób mi jeszcze jedną przysługę, Arnie - powiedział Gallegher. - Sprowadź mi tu szybko Smeitha.

- Dobrze, zadzwonię do niego.

- Jego wideo jest na podglądzie. Nie zaryzykuj. Czy możesz podskoczyć do niego i mi go tu przywieźć?

Arnie westchnął. - Ciężko każesz mi pracować na moją prowizję. Ale dobrze. Wyłączył się.

Gallegher wsłuchał się w dźwięk dzwonka, zmarszczył czoło i skinął na robota.

- Zobacz, kto to jest. Nie wierzę, aby Cuff próbował jeszcze jakichś sztuczek, ale... w każdym razie zobacz. Ja schowam się do tej szafy.

Stał w ciemnościach czekając, wytyczając słuch i zastanawiając się. Smeith - problem Smeitha został rozwiązany. Maszyna pożerała ziemię. Był to jedyny skuteczny sposób pozbycia się ziemi, jeśli nie chce się ryzykować eksplozji wodorowej.

Osiemset kredytów zaliczki za urządzenie czy metodę, która bezpiecznie usunie dość ziemi, aby uzyskać miejsce na wybudowanie podziemnego biurowca, budynku, który musiał mieścić się w większości pod powierzchnią ziemi ze względu na uprzednio wydzierżawione prawa ruchu powietrznego.

Może być. Tylko - gdzie podziewała się ta ziemia?

Wrócił Narcyz i otworzył drzwi szafy. - Przyszedł komandor John Wali. To on dzwonił kilka godzin temu z Waszyngtonu, mówiłem panu, pamięta pan?

- John Wali?

J. W. - półtora tysiąca kredytek! Trzeci klient!

- Wpuść go! - rozkazał Gallegher bez tchu. - Szybko! Czy jest sam?

- Tak.

- To pośpiesz się!

Narcyz oddalił się i powrócił z siwowłosym, dobrze zbudowanym mężczyzną w mundurze policji kosmicznej. Wali uśmiechnął się przelotnie do Galleghera, a potem jego bystre spojrzenie padło na maszynę przy oknie.

- To jest to?

- Witam pana, komandorze - powiedział Gallegher. - Ja... ja jestem prawie zupełnie pewien, że to jest to. Ale chciałbym najpierw omówić z panem kilka szczegółów.

Wali zmarszczył brwi.

- Pieniądze? Nie może pan szantażować rządu. A może źle pana oceniłem? Pięćdziesiąt tysięcy kredytek powinno panu wystarczyć na jakiś czas. - Jego twarz rozjaśniła się. - Dostał pan już czek na półtora tysiąca; jestem w stanie wypisać panu czek na resztę natychmiast po zakończeniu udanej prezentacji.

- Pięćdziesiąt ty... - Gallegher głęboko zaczerpnął oddechu. - Nie, nie o to, oczywiście, chodzi. Chciałem po prostu upewnić się, czy dotrzymałem warunków umowy. Chcę być pewien, że zrealizowałem wszystkie założenia. - Gdyby tylko mógł się dowiedzieć, co zamówił Wali! Może też maszynę pożerającą ziemię...

Była to nikła nadzieja, niemożliwy zbieg okoliczności, ale Gallegher musiał się dowiedzieć. Gestem wskazał komandorowi krzesło.

- Ale omawialiśmy już wszystko szczegółowo...

- Lepiej dwa razy sprawdzić - powiedział gładko Gallegher. - Narcyzie, nalej panu komandorowi.

- Dziękuję, nie.

- Kawy?

- Będę zobowiązany. No więc, jak panu mówiłem kilka tygodni temu, potrzebny jest nam ręczny ster statku kosmicznego, który sprosta wymaganiom co do elastyczności i wytrzymałości na rozciąganie.

Oho, pomyślał Gallegher.

Wali pochylił się naprzód, a oczy mu się rozjaśniły. - Statek kosmiczny z konieczności jest wielki i skomplikowany. Potrzebne są pewne stery ręczne. Nie mogą one jednak znajdować się w linii prostej; budowa statku wymaga, aby linki sterownicze zakręcały pod ostrymi kątami, idąc po pokrętnych, dziwacznych torach od punktu A do punktu B.

- No...

- Powiedzmy - rzekł Wali - że chce pan przekręcić kran w domu o dwie przecznice stąd. I chce pan to zrobić nie wychodząc z laboratorium. Jak?

- Sznurek. Drut. Linka.

- Która mogłaby obchodzić narożniki jak... na przykład... sztywny pręt nie mógłby. Jednakże, panie Gallegher, chciałbym powtórzyć to, co powiedziałem dwa tygodnie temu: ten kran bardzo trudno przekręcić. A trzeba go przekręcać często, setki razy dziennie, kiedy statek jest w kosmosie. Nasze najmocniejsze stalowe linki okazały się niewystarczające. Wygięcie i naciąg powodują ich pęknięcie. Kiedy linka jest zgięta i kiedy jest prosta, rozumie pan? Gallegher skinął głową. - Jasne. Każdy drut się przerwie, jeśli go zginać w dwie strony odpowiednio długo.

- Właśnie o rozwiązanie tego problemu prosiliśmy pana. Powiedział pan, że to się da zrobić. Czy udało się panu? I jak?

Ręczny ster, którego linka może zakręcać i może wytrzymać powtarzające się napięcia. Gallagher spojrział na maszynę. Azot... jakaś myśl błąkała się po zakamarkach jego mózgu, ale nie potrafił jej uchwycić.

Zadzwoił dzwonek. Smeith, pomyślał Gallagher i skinął na Narcyza. Robot zniknął z oczu. Wrócił z czterema ludźmi deptającymi mu po piętach. Dwaj z nich byli umundurowanymi policjantami. Pozostali zaś, kolejno, byli to Smeith i Dęli Hopper.

Hopper uśmiechał się z okrucieństwem. - Cześć, Gallagher - powiedział. -

Czekaliśmy. Nie zdążyliśmy, kiedy wchodził ten facet - wskazał na komandora - ale wypatrywaliśmy następnej~okazji.

- Panie Gallagher - powiedział Smeith ze zdziwieniem na pulchnej twarzy - o co chodzi?

Nacisnąłem dzwonek i wtedy ci trzech mnie otoczyli...

- Nic się nie stało - powiedział Gallagher. - Panu przynajmniej się udało. Niech pan wyjrzy przez okno.

Smeith posłuchał. Następnie znów się odwrócił, rozpromieniony.

- Ta dziura...

- Właśnie. I tej ziemi ja stąd nie wywiozłem. Zaraz zrobię panu pokaz.

- Zrobisz, ale w ciupie - rzekł zjadliwie Hopper. - Ostrzegłem ciebie, Gallagher, że mnie nie zrobisz w konia. Dałem ci tysiąc na wykonanie mojego zamówienia, a ty ani go nie wykonałeś, ani nie zwróciłeś forsy.

Komandor Wall wytrzeszczył oczy, zupełnie zapomniawszy o filiżance, którą miał na dłoni. Jeden z policjantów zbliżył się i ujął Gallagera pod ramię.

- Jedną chwileczkę - zaczął Wali, ale Smeith był szybszy.

- Myślę, że jestem winien panu Gallagherowi parę kredytek - powiedział wyciągając portfel. - Nie mam przy sobie więcej niż tysiąc w gotówce, ale chyba przyjmie pan czek na resztę. Jeśli ten... pan... chce gotówkę, tysiąc powinien tu być.

Gallagher przełknął ślinę. Smeith kiwnął do niego zachęcająco.

- Moje zamówienie pan'oczywiście wykonał. Nawet jutro mogę zacząć prace ziemne i budowlane. I nie będzie mi potrzebne żadne zezwolenie na wywóz.

Hopper wyszczerzył zęby.

- Mam gdzieś pieniądze! Chcę mu dać nauczkę! Mój czas jest wart wiele, a ten facet przewrócił mi cały program do góry nogami. Zamówienia, naganiacze... Poczyliłem wiele kroków zakładając, że potrafi zrobić to, za co mu zapłaciłem, a on teraz bezczelnie myśli, że uda mu się wykręcić. No więc, panie Gallagher, nie uda ci się to. Nie przyszedłeś na wezwanie sądu, skutkiem czego jesteś winien naruszenia prawa, i odcierpisz to, do cholery! Smeith rozejrzał się. - Ale... ja poręczę za pana Gallagera. Pokryję...

- Nie! - warknął Hopper.

- Ten facet mówi nie - mruknął Gallegher. - On dyszy, żądzą mojej krwi. Złośliwy diabełek, co?

- Ty pijany baranie! - krzyknął Hopper. - Panowie policjanci, proszę go zabrać do więzienia. Już!

- Niech się pan nic nie boi, panie Gallegher - podtrzymał go na duchu Smeith.

- W każdej chwili wyciągnę pana stamtąd. Mam parę wtyczek gdzie trzeba.

- Wtyczka... - wyszeptał Gallegher. - Przewód... Druk... I... i ekran stereo, na który można patrzeć pod każdym kątem. Druk!

- Zabrać go - szorstko rozkazał Hopper.

Gallegher starał się wyrwać z uścisku trzymających go policjantów.

- Zaczekajcie chwilę! Jedną chwileczkę! Mam już rozwiązanie. To musi być rozwiązanie.

Hopper, zrobiłem, co pan chciał, i pan też, komandorze. Puśćcie mnie.

Hopper parsknął i pokazał kciukiem drzwi. Zbliżył się Narcyz, stąpając cicho.

- Czy mam im porozbijać łby, szefie? - zapytał łagodnie. - Lubię kolor krwi. To jedna z podstawowych barw.

Komandor Wali odstawił w końcu filiżankę i podniósł się. Jego głos zabrzmiał ostro i metalicznie.

- W porządku, panowie. Proszę puścić pana Galleghera.

- Nie róbcie tego - naciskał Hopper. - A kim pan w ogóle jest? Jakimś tam sobie kapitanikiem statku kosmicznego!

Ogorzała twarz Walia poszarzała. Wyjął z kieszeni odznakę w skórzanym futerale.

- Jestem komandor Wali - przedstawił się. - Z Komisji Administracyjnej Astronautyki. Ciebie

- pokazał na Narcyza - ciebie powołuję na tymczasowego przedstawiciela władzy. Jeśli ci policjanci w ciągu pięciu sekund nie uwolnią pana Galleghera, możesz porozbijać im łby.

Ale było to już niepotrzebne. Komisja Astronautyki to jest coś! Stał za nią rząd, a w porównaniu z nią władze terenowe były drobnymi płótkami. Policjanci pośpiesznie uwolnili Galleghera, starając się sprawiać wrażenie, że nigdy go nie dotykali.

Hopper wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować. - Jakim prawem staje pan na drodze prawa, komandorze? - zażądał wyjaśnień.

- Prawem priorytetu. Rządowi potrzebne jest urządzenie, które pan Gallegher wykonał dla nas. Przynajmniej ma prawo do tego, aby go wysłuchano.

- Nie ma!

Wali zmierzył Hoppera lodowatym spojrzeniem.

- Wydaje mi się, że pan Gallegher kilka chwil temu powiedział, że pańskie zamówienie również wykonał.

- I to ma być to? - wielki waźniak wskazał palcem maszynę. - Czy to wygląda na ekran stereoskopowy?

- Daj mi lampę ultrafioletową, Narcyzie - powiedział Gallegher. - Jarzeniówkę. - Podeszedł do urządzenia, modląc się, aby jego przypuszczenie okazało się słuszne.

Ale musiało być. Nie było innej możliwości. Wyekstrahujcie azot z gleby i skały, a otrzymacie materię chemicznie obojętną.

Gallegher przesunął wyłącznik. Maszyna zaczęła śpiewać „Szpital świętego Jakuba”.

Komandor Wali patrzył ze zdumieniem i jakby mniej życzliwie. Hopper prychnął. Smeith podbiegł do okna i w ekstazie przyglądał się, jak długie macki pożerają ziemię wirując szaleńczo w dziurze widocznej w blasku księżycy.

- Lampa, Narcyzie.

Lampa była już podłączona do przedłużacza. Gallegher przesunął ją powoli wokół maszyny.

Wkrótce zbliżył się do krążka z rowkiem w najdalszym od okna końcu maszyny.

Coś zabłyszczało.

Zabłyszczało niebiesko... wydostawało się z owego niewielkiego zaworu w metalowym cylindrze, przewijało się w krążku z rowkiem i spływało zwojami na podłogę. Gallegher dotknął wyłącznika; gdy maszyna zatrzymała się, zawór się zamknął odcinając to niebieskie tajemnicze coś, co wydostawało się z cylindra. Gallegher podniósł zwój. Gdy odsunął światło, zwój zniknął. Konstruktor przybliżył lampę - i „coś” pojawiło się ponownie.

- Proszę bardzo, komandorze - powiedział. - Proszę to wypróbować.

Wali spojrzął z ukosa na poblask. - Wytrzymałość na rozciąganie?

- Bardzo duża - rzekł Gallegher. - Musi być. Nieorganiczny, mineralny składnik ziemi, ściśnięty i sprasowany w drut. Pewnie, że ma ogromną wytrzymałość na rozciąganie. Tylko że tony ciężaru nie da się na nim podnieść.

Wali skinął głową.

- Oczywiście że nie. Przejdzie przez stal jak nitka przez masło. Znakomicie, panie Gallegher. Musimy zrobić próby...

- Możecie robić. Nie obawiam się. Ten drut można prowadzić pod dowolnym kątem, z jednego końca statku na drugi, a on nigdy się nie zerwie pod ciężarem. Jest za cienki. Nie będzie... nie może być nierówno obciążony, bo jest za cienki. Druciana linka tu nie wystarczy. Potrzebna wam była elastyczność, która nie zredukuje wytrzymałości na rozciąganie. Jediną możliwą odpowiedzią był cienki, mocny drut.

Komandor uśmiechnął się. To wystarczyło.

- Przeprowadzimy rutynowe próby - powiedział. - Potrzebuje pan jeszcze pieniędzy? Mogę dać drugą ratę, w granicach rozsądku, powiedzmy do dziesięciu tysięcy.

Hopper przepchnął się do przodu.

- Ja nie zamawiałem drutu, Gallegher. Mojego zamówienia więc nie wykonałeś.

Gallegher nie odpowiedział. Regulował lampę. Drut zmienił barwę z niebieskiej na żółtą, a potem na czerwoną.

- To twój ekran, mądralo - powiedział. - Widzisz te ładne ko-lorki?

- Pewnie że widzę! Nie jestem ślepy. Ale...

- Różne barwy, w zależności od tego, jaka jest długość fali świetlnej. Masz. Czerwona. Niebieska. Znowu czerwona. Żółta. A gdy wyłączę lampę...

Drut, który Wali wciąż trzymał, stał się niewidzialny. Hopper z trzaskiem zamknął otwarte usta. Pochylił się naprzód przekrzywiając głowę na bok.

- Drut ma ten sam współczynnik załamania światła co powietrze - powiedział Gallegher. - Specjalnie tak zrobiłem. - Miał tyle przyzwoitości, że się zarumienił. Och, w końcu może za to później postawić drinka Gallegherowi Bis.

- Specjalnie?

- Potrzebował pan stereoekranu, który można oglądać ze wszystkich stron bez zniekształceń optycznych. I w kolorze, to się rozumie, w dzisiejszych czasach. No więc oto jest.

Hopper oddychał ciężko. Gallegher obrócił ku niemu rozpromienioną twarz.

- Niech pan weźmie szkielec sześcianu i każdy bok owinie szczelnie tym drutem. Niech pan zrobi ekran z gęstej siatki. Ze wszystkich stron. Niech pan rozciągnie dużo drutu wewnątrz sześcianu. W wyniku tego powstanie niewidzialny sześcian

wykonany z drutu. W porządku-Niech pan puści na to film czy telewizję, byle sygnał był w ultrafiolecie, a otrzyma pan świetliste wzory, w zależności od długości fali. Innymi słowy -

otrzyma pan obraz. Barwny obraz. Trójwymiarowyobraz - jest on bowiem wysyłany na niewidzialny szcześcian. I ostatecznie jest to obraz, na który można patrzeć pod każdym kątem bez zniekształcenia optycznego, ponieważ nie jest to tylko złudzenie optyczne stereoskopowego widzenia - jest to faktycznie obraz trójwymiarowy. Kapuje pan?

- Tak... rozumiem - powiedział Hopper słabym głosem. - Dlaczego... dlaczego nie powiedział mi pan tego wcześniej? Gallegher pośpiesznie zmienił temat.

- Komandorze Wali, potrzebna mi jest ochrona policyjna. Pewien oprych, który nazywa się Max Cuff, próbował chapnąć tę maszynę. Jego bandziory porwały mnie dziś po południu i...

- Przeszkadzanie w wykonywaniu zamówień rządowych, co? - powiedział Wali surowo.

- Znam ja tych małych polityków. Max Cuff nie będzie już panu szkodził... czy mogę skorzystać z wideofonu?

Smeith rozjaśnił się na samą myśl o tym, że Cuff dostanie po u-szach. Gallegher napotkał jego wzrok. W jego oczach pojawił się miły, jowialny błysk, który nie wiadomo dlaczego przypomniał Gallegherowi, aby zaproponować gościom drinka. Tym razem nawet komandor nie odmówił, odwracając się po skończonej rozmowie, aby wziąć szklaneczkę, którą podał mu Narcyz.

- Pańskie laboratorium znajdzie się pod ochroną - powiedział Gallegherowi. - Nie będzie już kłopotów.

Wypił, powstał i uściśnął dłoń konstruktora. - Muszę złożyć raport. Powodzenia i stokrotne dzięki. Zadzwońmy do pana jutro.

Wyszedł, przepuszczając przed sobą obu policjantów.

- Powinienem pana przeprosić - powiedział Hopper wychylając swojego drinka. - Ale co było, to było, co, stary?

- Niech tam - powiedział Gallegher. - Jest mi pan winien pieniądze.

- Tremch wyśle czek. I... hm... i... - głos uwiązł mu w gardle.

- Co się stało?

- Nic - powiedział Hopper odstawiając szklankę i przybierając kolor zielony. - Trochę powietrza... ep!

Drzwi zatrzasnęły się za Hopperem. Gallegher i Smeith popatrzyli po sobie ze zdumieniem.

- Dziwne - powiedział Smeith.

- Może go coś nawiedziło - wyraził przypuszczenie Gallegher. - Niezbadane są wyroki boskie...

- Widzę, że Hopper już zniknął - powiedział Narcyz pojawiając się z następnymi drinkami.

- Owszem. A bo co?

- Wiedziałem, że tak będzie. Nalałem mu czystego spirytusu - wyjaśnił robot. - Ani razu nie spojrzał na mnie. Nie jestem zarozumiały, ale ktoś tak niewrażliwy na piękno zasłużył na nauczki. A teraz nie zwracajcie mi głowy. Idę do kuchni poćwiczyć taniec, a wy możecie sobie wziąć drinki z dystrybutora. Jeśli chcecie, możecie przyjść popatrzeć na mnie.

Narcyz wytoczył się z laboratorium wirując wnętrzościami. Gallegher westchnął.

- I tak jest zawsze - powiedział.

- Co?

- Och, nie wiem. Wszystko. Na przykład dostaję zamówienia na trzy zupełnie różne rzeczy, schlam się i robię coś, co rozwiązuje wszystkie trzy problemy. Moja podświadomość robi wszystko łatwą metodą. Niestety, nie jest ona łatwa dla mnie, kiedy wytrzeźwieję.

- To po co trzeźwieć? - zapytał Smeith trafiając w samo sedno. - Jak działa ten dystrybutor? Gallegher zademonstrował. - Czuję się okropnie - zwierzył się. - Potrzeba mi albo tygodnia snu, albo...

- Czego?

- Drinka. No to lu. Wie pan co, jedna rzecz jeszcze mnie martwi.

- Co znowu?

- Dlaczego ta maszyna śpiewa „Szpital świętego Jakuba”, kiedy jest w ruchu.

- To ładna piosenka - powiedział Smeith.

- Jasne, ale moja podświadomość działa logicznie. Jej logika jest zwariowana, to trzeba przyznać. Ale...

- No to lu - powiedział Smeith.

Gallegher odprężył się. Zaczynał już czuć się dobrze. Po ciele rozeszło się ciepło. W banku były pieniądze. Policja odeszła. Max Cuff bez wątpienia odpokutowywał swoje grzeszki. A ciężki łomot obwieszczał, że Narcyz tańczy w kuchni.

Było już po północy, gdy Gallegher zakrzusił się drinkiem. - Już pamiętam! - wykrzyknął.

- C-co jest? - zapytał zdziwiony Smeith.

- Chce mi się śpiewać.

- No i co?

- Chce mi się śpiewać „Szpital świętego Jakuba”.

- No to śpiewaj - zaproponował Smeith.

- Ale nie sam - podkreślił Gallegher. - Zawsze lubię to śpiewać, kiedy jestem na bańce, ale moim zdaniem najlepiej brzmi to w duecie. Tyle że kiedy pracowałem nad tą maszyną, byłem sam.

- I?

- Pewno wbudowałem w nią odtwarzacz - powiedział Gallegher pogrążony w zadumie nad szalonymi pomysłami i osobliwymi wybrykami Galleghera Bis. - O, mój Boże. Maszyna, która robi cztery rzeczy naraz. Żre ziemię, wypuszcza linkę do sterów statku kosmicznego, wykonuje ekran stereoskopowy bez zniekształceń i śpiewa ze mną w duecie. Jakie to wszystko dziwne. Smeith zastanowił się.

- Jesteś genialny.

- Oczywiście. Hmm. - Gallegher powstał, włączył maszynę i wrócił, by usadowić się na Bąbelku. Smeith, zafascynowany widokiem, ponownie uwiesił się na parapecie i patrzył, jak śmigające macki pożerają ziemię. Po krążku przewijał się niewidzialny drut. Ciszę nocną zmąciły mniej lub bardziej melodyjne dźwięki „Szpitala świętego Jakuba”.

Ponad żalobnym jękiem maszyny unosił się głęboki bas zapytujący żarliwie kogoś nie nazwanego:

...czy jest gdzieś na tym świecie  
kochanek taki drugi...

Gallegher Bis też śpiewał

przekład : Wiktor Bukato

Henry Kuttner      Gdy się przebierze miarka

Zdumiało ich, że udało się im wynająć to mieszkanie - przy wysokich czynszach i warunkach zawarowanych w umowie najmu - a Joe Calderon czuł się szczęśliwy, bo stąd na uniwersytet miał tylko dziesięć minut drogi metrem. Myra, jego żona, wichrząc sobie w zamyśleniu rude włosy, orzekła, że właściciele zapewne spodziewają się u lokatorów partenogenezy - jeśli to właśnie miała na myśli; w każdym razie Chodziło jej o podzielenie się na pół organizmu i powstanie od razu dwu dojrzałych osobników. Calderon uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Dwuczłonowego podziału, głuptasku - powiedział obserwując małego, półtorarocznego Aleksandra, raczkującego po dywanie i przygotowującego się -do zajęcia pozycji pionowej na swych grubiotkich krzywych nóżkach.

Mieszkanie doprawdy przedstawiało się nieźle. Zaglądało tu od czasu do czasu słońce i było więcej pomieszczeń, niż mieli prawo oczekiwać za tę cenę. Najbliższa sąsiadka, egzaltowana blondyna, mówiąca chyba wyłącznie o swoich migrenach, poinformowała ich, że w mieszkaniu 4D trudno utrzymać lokatorów. Nie żeby straszło, ale pojawiają się tam dziwni goście. Ostatni najemca, agent ubezpieczeniowy, tego zresztą pociągający z butelki, wyprowadził się pewnego dnia narzekając na jakieś małe ludziki - podobno dzwoniły do jego drzwi o najrozmaitszych porach i pytały o niejakiego Potta czy kogoś o podobnym nazwisku. Dopiero po jakimś czasie Joe utożsamiał Potta z Cauldronem, czyli Calderonem.

Siedzieli teraz zadowoleni na kanapie i patrzyli na Aleksandra. Był wspaniałym dzieckiem. Jak wszystkie malce, na karczku miał wałeczek tłuszczu, a jego nóżki przypominały według Calderona grubo ciosane, kłocowate kończyny kamiennego posągu - tak przynajmniej wyglądały. Przyciągała wzrok i wręcz fascynowała ich niewiarygodna baniasta różowość. Aleksander zaśmiał się głupawo, wstał i chwiejnym krokiem, niczym pijany, ruszył w stronę rodziców, papląc coś niezrozumiałego.

- Głuptasek - powiedziała Myra z czułością i rzuciła dziecku ukochaną, miękką, aksamitną świnkę.

- No, to jesteśmy przygotowani do zimy - oznajmił Calderon. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o nerwowych ruchach, zdolny fizyk, kochający swoją pracę na uniwersytecie. Myra - raczej drobna, ruda, z zadartym noskiem i sardonicznymi piwnymi oczami - wydała pomruk niezadowolenia.

- Gdybyśmy mogli znaleźć służącą. Inaczej się zesłużę.

- Mówisz tonem straceńca. Co to znaczy, że się zesłużysz?

- Jako służka. Zagniatając, gotując, szorując. Dzieci to wielki egzamin. Ale warto się mu poddać.

- To betka w porównaniu z Aleksandrem. On przejdzie samego siebie.

Rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Calderon wstał z kanapy, przeszedł nieprzytomnie przez pokój i otworzył drzwi. Nie dostrzegł nikogo. I dopiero spojrzawszy nieco w dół ujrzał coś, co wprawiło go w lekkie oszołomienie.

W hallu stało czterech mini-ludzików. Ściśle mówiąc mini od czoła w dół, bo czaszki mieli ogromne, wielkości i kształtu arbuzów albo też dlatego, że na głowach siedziały im

wielgachne hełmy z połyskliwego metalu. Twarze ich - zasuszone, o ostrych rysach, maseczki - pokrywała gęsta sieć zmarszczek. Ubrania o krzykliwych nieprzyjemnych kolorach sprawiały wrażenie zrobionych z papieru.

- Och! - powiedział obojętnie Calderon.

Czwórka przybyszów wymieniła szybkie spojrzenia. Jeden z nich spytał:

- Czy pan Joseph Calderon?

- Tak.

- Jesteśmy - oznajmił najbardziej pomarszczony z tej czwórki potomkami pańskiego syna. On jest superdzieckiem. Przybyliśmy tu, żeby go kształcić.

- Tak - powiedział Calderon: - Ach tak, oczywiście. Ja... słuchajcie!

- Czego?

- Super...

- Tu jest - krzyknął inny karzełek. - To Aleksander! Wreszcie dało się nam trafić na właściwy moment! - I prześlizgnął się do mieszkania koło nóg Calderona.

Calderon zrobił kilka ruchów rękami, na próżno próbując ich zatrzymać, lecz mini-ludziki bez trudu mu się wymknęły. Kiedy się odwrócił, otaczały już Aleksandra. Myra, podciągając pod siebie nogi, przypatrywała się ze zdumieniem przybyszom.

- Spójrzcie - odezwał się karzełek. - Widzicie jego potencjalną defizję? - Przynajmniej brzmiało to jak „defizja”.

- A jego czaszka, Bordent - wtrącił drugi. - To niezwykle ważna część. Te zwoje są niemal doskonałe.

- Wspaniale - przyznał Bordent nachylając się do przodu. Aleksander sięgnął ręką do siatki zmarszczek, złapał Bordenta za nos i ścisnął z całej siły. Bordent znosił to ze stoickim spokojem, dopóki malec nie zwolnił chwytu.

- Niedorozwinięty - powiedział tolerancyjnie. - My go wyedukujemy.

Myra zeskoczyła z kanapy, wzięła dziecka na ręce i cofnęła się do wnęki, stawiając czoło mini-ludzikom.

- Joe, masz zamiar na to pozwalać? Co to za źle wychowane stworki?

- Bóg raczy wiedzieć - odparł Calderon. Zwilżył zaschnięte wargi językiem i spytał: - Co to za kawały? Kto was tu przysłał?

- Aleksander - wyjaśnił Bordent. - Z roku... no.., z grubsza dwa tysiące czterysta pięćdziesiątego. On jest praktycznie nieśmiertelny. Jedynie przemocą można zgładzić któregoś z supermanów, a w roku dwa tysiące czterysta pięćdziesiątym przemocy nie ma. Calderon westchnął.

- Nie, mówię poważnie. Kawały kawałami, ale...

- Wielokrotnie podejmowaliśmy próby. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym, czterdziestym czwartym, czterdziestym siódmym, wciąż w tym samym okresie. Przybywaliśmy albo za wcześnie, albo za późno. Ale teraz utrafiliśmy we właściwy sektor czasu. Naszym zadaniem jest wyedukowanie Aleksandra. Jako jego rodzice powinniście się czuć dumni. Wie pan, my was czcimy. Ojciec i matka nowej odmiany człowieka.

- Tfu! - prychnął Calderon. - Dość tego!

- Potrzebują dowodu, Dobish - skostatował któryś z karzełków. - Pamiętaj, że dopiero co dowiedzieli się, że Aleksander to homo superior.

- Homo tumany - sprostowała Myra. - Aleksander jest najzupełniej normalnym dzieckiem.

- Najzupełniej supernormalnym - oznajmił Dobish. - My jesteśmy jego potomkami.

- I dlatego jesteście superludźmi - odezwał się sceptycznym tonem Calderon mierząc wzrokiem mini-ludziki.

- Nie wszyscy, niewielu jest wśród nas supermanów typu Wolny Iks. Normą biologiczną jest specjalizacja. Tylko kilku to supermani czystej wody. Jedni specjalizują się w logice, drudzy w werbenatyce, inni, jak my, są doradcami. Gdybyśmy byli supermanami typu Walny Iks, nie

moglibyście stać tu sobie i mówić do nas. Czy też na nas patrzeć. Jesteśmy tylko elementami całości, natomiast tacy jak Aleksander stanowią wspaniałą całość.

- Och, wypędź ich - powiedziała Myra zmęczona już tym widowiskiem. - Czuję się jak żona Thurbera.

Calderon kiwnął głową.

- Okay, spływajcie, panowie. Odjazd. Mówię poważnie.

- Tank, potrzebują dowodu - przyznał Dobish. - Co zrobimy? Nieboślizg?

- Zbyt kłopotliwe - zaproponował Bordent. - A może urządzimy lekcję pokazową? Uspokajasz?

- Uspokajasz? - zdziwiła się Myra.

Bordent wyjął ze swojego papierowego ubrania jakiś przedmiot i obracał go w dłoniach.

Palce wyginały mu się na wszystkie strony. Calderon odczuł lekki wstrząs elektryczny.

- Joe, nie mogę się ruszyć - oznajmiła pobladła Myra.

- Ani ja. Nie denerwuj się. To jest... jest - przerwał, a potem umilkł.

- Siadać - polecił Bordent, obracając wciąż ów przedmiot w dłoniach.

Calderon i Myra ruszyli ku kanapie i usiedli. Języki im skołowaciały, cali zeszywnieli.

Dobish podszedł do nich, wdrapał się na kanapę i wyrwał Aleksandra z ramion matki.

Przerażenie malowało się w oczach Myry.

- Nie zrobimy mu nic złego - zapewnił Dobish. - Chcemy mu tylko udzielić pierwszej lekcji.

Czy wzięłeś przybory, Finn?

- Są w worku.

Finn wyciągnął z ubrania trzydziestocentymetrowy worek. Wysypało się z niego niewiarygodnie dużo rzeczy. Wkrótce cały dywan zasłany był przedmiotami o dziwnych kształtach i nieznanym przeznaczeniu. Calderon rozpoznał wśród nich tesseract.

Czwarty karzełek, który, jak się okazało, nazywał się Quat, uśmiechnął się uspokajająco do strapiionych rodziców.

- Przyglądajcie się. Ale nauczyć się niczego nie możecie, nie macie tego potencjału. Jesteście hamo sapiens. Za to Aleksander...

Aleksander pokazywał swoje humory. Był diabło wesolutki. Z właściwą dzieciom diabelską przekorą odmawiał współpracy. Nieoczekiwanie odpełzał do tyłu, wybuchał głośnym wrzaskiem, z zachwytem oglądał własne stopy, wpychał sobie piąstki do ust i niezadowolony z efektu płakał gorzko, paplał o jakiś niewidzialnych rzeczach tajemniczo i monotonicznie, wreszcie walnął Dobisha w oko.

Ludziki odznaczały się niewyczerpanymi zasobami cierpliwości. Po dwóch godzinach lekcję zakończono. Calderonowi nie wydawało się, żeby Aleksander zbyt dużo się nauczył.

Bordent pokręcił znowu tym swoim przyrządem. Skinął uprzejmie głową i nakazał towarzyszom odwrót. Czterech ludzików opuściło mieszkanie, a w chwilę później Calderon i Myra odzyskali zdolność ruchu.

Myra zeskoczyła z kanapy i chwając się nieco na zdrętwiałych nosach, chwyciła na ręce Aleksandra, po czym padła na kanapę. Calderon rzucił się ku drzwiom i otworzył je na oścież. Hall był pusty.

- Joe! - zawołała Myra cienkim, przerażonym głosem.

Calderon wrócił i pogłaskał ją po włosach. Spojrzał w dół na jasną kędzierzawą główkę Aleksandra.

- Joe, musimy zrobić... coś zrobić.

- Nie wiem - odparł. - Jeśli coś się stanie...

- Już się stało. Zabrali ze sobą te przedmioty. Aleksander, och! - Nie próbowali zrobić mu krzywdy - rzekł niepewnie.

- Nasz malec! On nie jest wcale superdzieckiem.

- No dobrze. Wyciągnę swój rewolwer. Cóż więcej mogę zrobić? - Ale ja coś zrobię - obiecała Myra. - Wstrętnie skrzaty! Zrobię coś, zobaczysz!

Niewiele jednak można było zrobić.

Następnego dnia zgadnie unikali tego tematu. Ale o czwartej po południu, w porze pierwszej wizyty, siedzieli z Aleksandrem w kinie na najnowszym filmie w technicolorze. Czwórka ludzików chyba tu ich nie odnajdzie...

Nagle Calderon poczuł, że Myra sztywnieje, i odwracając się ku niej miał jak najgorsze przeczucia. Myra zerwała się na równe nogi łapiąc z trudem powietrze i wpiła mu palce w ramię.

- Nie ma Aleksandra!

- Jak to nie ma?

- Po, prostu zniknął. Trzymałam go... Chodźmy stąd.

- Może go upuściłaś - powiedział głupawo Calderon i potarł zapalkę. Z tyłu rozległy się krzyki. Myra już się przepychała wzdłuż rzędu. Pod siedzeniem nie było żadnych dzieci. Calderon więc dogonił żonę w westybulu.

- Zginął - mamrotała Myra. - Ot, tak po prostu. Może przeniósł się w przyszłość. Joe, co my zrobimy?

Calderon znalazł taksówkę wprost cudem.

- Jedziemy do domu. Najprawdopodobniej jest tam. Mam przynajmniej nadzieję, że jest.

- Tak, oczywiście. Daj mi papierosa.

- Będzie w mieszkaniu...

I rzeczywiście był tam, siedział w kucki, z zainteresowaniem wpatrując się w przyrząd demonstrowany przez Quata - wściekle kolorowy ubijacz piany z czterowymiarowymi przystawkami, gadający cienkim, wysokim głosem. Nie po angielsku.

Bordent przytknął uspokajaczem i zaczął go obracać w dłoniach, jak tylko Calderon i Myra weszli do mieszkania. Joe złapał żonę za ramię, pociągając ją do tyłu.

- Czekać! - powiedział pospiesznie. - Nie trzeba. Nie będziemy niczego próbować.

- Joe! - Myra usiłowała się mu wyrwać. - Czy zamierzasz im pozwolić...

- Cicho - rozkazał. - Bordent, odłóż ten przyrząd. Chcemy z wami porozmawiać.

- Zgoda, o ile przyrzekniecie nie przeszkadzać.

- Przyrzekamy. - Calderon podprowadził na siłę Myrę do kanapy i przytrzymał ją tam. -

Posłuchaj, kochanie. Aleksandrowi nic się nie stanie. Oni mu krzywdy nie zrobią.

- Zrobić mu krzywdę! Też coś takiego! - wykrzyknął Finn. Obdarłby nas żywcem ze skóry w przyszłości, gdybyśmy go skrzywdzili w przeszłości.

- Zamilknij - polecił Bordent. To on był przywódcą w tej czwórce. - Rad jestem, że okazałeś się chętny do współpracy, Josephie Calderon. Sprzeciwia się mojej naturze użycie siły wobec półboga. Tak czy inaczej, jest pan przecież ojcem Aleksandra.

Aleksander wyciągnął pulchną rączkę i próbował dotknąć wirującego ubijacza piany.

Sprawił wrażenie zafascynowanego.

Quat rzekł:

- Dżeczaczek iskrzy. Czy mam dać szczepionkę?

- Nie tak szybko - odparł Bordent. - Będzie rozumny po tygodniu i wtedy możemy przyspieszyć cały proces. A teraz, panie Calderon, proszę się odprężyć. Może czegoś jeszcze sobie pan życzy?

- Drinka.

- Chodzi im o alkohol - wyjaśnił Finn. - Rubajat wspomina o tym, pamiętasz?

- Rubajat?

- Śpiwający rubinowy klejnot z Dwunastej Biblioteki.

- Ach, tak - rzekł Bordent. - Ten. Myślałem, że to tablica Jehowy, ta z gromami. Czy zechciałbyś zrobić trochę alkoholu, Finn?

Calderon przełknął ślinę.

- Nie kłopotcie się, mam trochę w tym kredensie. Czy mogę... - Nie jesteście w i ę ż n i a m i. - Głos Bordenta świadczył o tym, że czuje się wstrząśnięty. - Musieliśmy tylko zmusić was do wysłuchania kilku wyjaśnień, a potem... wszystko będzie inaczej.

Myra potrząsnęła głową, kiedy Calderon wręczył jej szklaneczkę, ale ten spojrzał na nią znacząco.

- Nie poczujesz tego. No, nie namyślaj się.

Nie spuszczała oka z Aleksandra. Dziecko naśladowało teraz piskliwe dźwięki wydawane przez ubijacz piany. Były przenikliwe i nieprzyjemne.

- Promienie działają - oznajmił Quat. - Widz jednak wykazuje pewien słaby opór korowy.

- Skontuj napięcie - polecił mu Bordent.

- Modżewabba? - powiedział Aleksander.

- Co to? - spytała Myra nienaturalnym głosem. - Superjęzyk?

Bordent uśmiechnął się do niej.

- Nie, po prostu dziecięce gaworzenie.

Aleksander zaczął płakać.

- Superdziecko czy nie, ale kiedy płacze tak jak teraz, ma swoje powody. Czy i te sprawy wchodzą w zakres waszej opieki?

- Naturalnie - odparł ze spokojem Quat. Wraz z Finnem wynieśli Aleksandra z pokoju.

Bordent uśmiechnął się ponownie.

- Zaczynacie nam wierzyć - skonstatował. - To nam pomoże. Calderon pił czując palenie whisky w ustach i lodowaty skurcz w żołądku.

- Gdybyście byli ludźmi... - zaczął niezdecydowanie.

- Gdybyśmy byli, nie znaleźlibyśmy się tutaj. Stary porządek ulega zmianie. Kiedyś musi się to zacząć. Aleksander to pierwszy homo superior.

- Ale dlaczego akurat my? - spytała Myra.

- Genetyka. Oboje mieliście do czynienia z radioaktywnością i pewnego typu krótkofalowym promieniowaniem, które oddziaływały na plazmę zarodków. Doszło do mutacji i od tej pory będą następować dalsze. Wy byliście pierwsi. Umrzecie, ale Aleksander będzie żył nadal.

Może tysiąc lat.

Calderon zagadnął:

- A to wasze przybycie z przyszłości... mówiliście, że was posłał Aleksander?

- Dorosły Aleksander. Dojrzały Superman. To oczywiście zupełnie odmienna kultura, poza waszym rozumieniem. Aleksander to jeden z Wolnych Iksów. Powiedział do mnie, naturalnie za pośrednictwem maszyny do tłumaczenia: „Bordent, do trzynastego roku życia nie rozpoznano we mnie supermana. Do tego czasu rozwijałem się jak zwykły homo sapek. Sam nie znałem własnego potencjału. A to było złe”. Doprawdy to jest zła rzecz, wierzcie mi. -

Bordent odszedł w tym momencie od tematu i dodał: - Organizm nie może ujawnić w pełni swych możliwości, o ile nie zapewni mu się najlepszych warunków rozwoju od samego urodzenia. Albo przynajmniej od dzieciństwa. Aleksander powiedział mi: „Urodziłem się mniej więcej przed pięciuset laty. Weź kilku doradców i udaj się w przeszłość. Odnalez mnie jako niemowlę. Zapewnij mi specjalistyczne szkolenie od samego początku. Myślę, że to mi zapewni rozwój”.

- Uważasz, że przeszłość da się kształtować? - spytał Calderon.

- Ma wpływ na przyszłość. Nie można zmienić przeszłości bez zmienienia również przyszłości. Ale wydarzenia mają tendencję do dryfowania z powrotem. Istnieje norma czasowa, jakiś generalny poziom. W pierwotnym sektorze czasu nie mogliśmy złożyć wizyty Aleksandrowi. Teraz jednak to uległo zmianie, a więc i przyszłość się zmieni, jakkolwiek w niewielkim stopniu. Nie wchodzi w grę żadne przełomy ani osie czasowe. Skutek będzie jedynie taki, że dorosły Aleksander zrealizuje pełniej swój potencjał. Aleksandra, który promieniał zadowoleniem, przyniesiono znowu do pokoju. Quat wrócił ponownie do lekcji z ubijaczem piany.

- Niewiele możecie zrobić - rzekł Bordent. - Myślę, że zdajecie już sobie teraz z tego sprawę. Myra zapytała:

- Czy Aleksander będzie wyglądał tak jak wy? - Twarz miała spiętą.

- O nie. On jest doskonały pod względem cielesnym. Nigdy naturalnie go nie widziałem, ale... Calderon rzekł:

- Dziedzic wszechczasów. Myra, czy zaczynasz się domyślać, o co chodzi?

- Tak. O supermana. Tylko że to nasze dziecko.

- I zostanie nim - wtrącił niecierpliwie Bordent. - Nie chcemy wcale pozbawiać go dobroczynnego wpływu domu i rodziców. Każde dziecko tego potrzebuje. W samej rzeczy, cierpliwość w stosunku do młodych to cecha ewolucyjna mająca zapewnić pojawienie się supernana, podobnie jak takim przygotowaniem jest zanikanie wyrostka robaczkowego. W pewnych okresach dziejów ludzkość staje się podatna na powstanie nowej odmiany człowieka. Nie udawało się to dotąd. Były antropologiczne poronienia, że tak powiem. I niech mnie drzwi ścisną, jeśli to nie jest ważne! Maluchy są okropnie irytujące. Długi czas pozostają zupełnie bezradne i wystawiają na próbę cierpliwość rodziców. im zwierzę niższego rzędu, tym prędzej jego małe dorasta. A u ludzi potrzeba wielu lat, zanim dzieci osiągną niezależność. Tak więc odpowiednio do stanu rzeczy wzrasta cierpliwość rodziców. Superdziecko nie dorośnie przed ukończeniem mniej więcej dwudziestu lat.

- To Aleksander wciąż będzie dzieckiem? - zapytała Myra.

- Fizycznie osiągnie rozmiary ośmioletniego homo sapka. A umysłowo... no, okreśmy to jako irracjonalność. Nie można w jego wypadku stosować intelektualnej czy emocjonalnej normy. Nie będzie rozsądny, podobnie jak nie są rozsądne inne dzieci. Trzeba czasu, żeby rozwinęła się selektywność. Za to jego możliwości będą o wiele, wiele większe, powiedzmy, od waszych w dzieciństwie.

- Dziękuję - powiedział Calderon.

- Będzie miał rozleglejsze horyzonty. Jego umysł jest zdolny do ogarnięcia i przyswojenia znacznie więcej niż wasz. Świat dla niego to prawdziwa skarbnica. W niczym nie będzie go można ograniczyć. Potrzeba jednak trochę czasu na to, by ukształtował się jego umysł, jego osobowość.

- Chciałabym jeszcze trochę whisky - odezwała się Myra. Calderon podał jej trunek.

Aleksander wpakował palec w oko Quawi i próbował mu je wydłubać. Quat poddawał się temu zabiegowi biernie.

- Aleksandrze! - krzyknęła Myra.

- Proszę siedzieć spokojnie - polecił Bordent. - Pod tym względem cierpliwość Quata jest naturalnie o wiele bardziej rozwinięta niż wasza.

- Byłoby jednak fatalnie, gdyby wyłupił Quatowi oko - rzekł Calderon.

- Quat się nie liczy w zestawieniu z Aleksandrem. On też to wie. Szczęśliwie dla dwuocznego widzenia Quata Aleksander nagle znudził się tą nową zabawką i z zapalem zaczął znowu przyglądać się ubijaczowi piany. Dobish i Finn pochylali się nad malcem i wpatrywali w niego. Calderon czuł, że chodzi tu o coś więcej.

- Indukowana telepatia - wyjaśnił Bordent. - Wymaga długiego czasu, więc już ją rozpoczynamy. Mówię wam, co za ulga, że trafiliśmy wreszcie w odpowiedni sektor czasowy. Dzwoniłem do tych drzwi co najmniej sto razy, ale nigdy do tej pory...

- Ruszaj się - powiedział wyraźnie Aleksander. - Naprawdę. Ruszaj się.

Bordent kiwnął głową.

- Na dziś dosyć. Przyjdziemy tu znów jutro. Będziecie gotowi?

- Przypuszczam, że będziemy gotowi, jak zawsze - odparła Myra opróżniając swoją szklaneczkę.

Podochocili sobie tego wieczora i dość wszechstronnie przedyskutowali całą sprawę.

Uświadomienie sobie środków i możliwości czterech ludzików również wpłynęło na tok ich rozumowania. Żadne z nich nie żywiło już wątpliwości. Wiedzieli, że Bordent i jego towarzysze przybyli z przyszłości, z odległości pięciuset lat, na polecenie przyszłego Aleksandra, który wyrósł na wspaniałego supermana.

- Zdumiewające, co? - powiedziała Myra. - Takie grubiućki bobo w łóżeczku zamienia się w supertajemnicze, cudowne dziecko do dwunastej potęgi.

- Gdzieś się to musi zacząć, jak mówił Bordent.

- Żeby tylko nie wyglądał jak te skrzaty, fuj!

- Będzie supermanem. Deukalion i jak jej tam to my, rodzice nowej odmiany człowieka.

- Czuję się dziwnie - zwierzała się Myra. - Jakbym urodziła łosia.

- To by się nigdy nie mogło zdarzyć - pocieszał ją Calderon. Pociągnij sobie jeszcze łyceczek.

- Ale równie dobrze mogłoby się to zdarzyć. Aleksander jest młosiem.

- Młosiem?

- Ja też potrafię mówić tą ich pseudomową. Dзецzące ple-ple w wielkim foyer. No proszę.

- To jest ich język - zauważył Calderon.

- Aleksander będzie mówił po angielsku. Znam swoje prawa.

- Nie wygląda na to, żeby Bordent zamierzał je naruszać. Zapewniał, że Aleksander potrzebuje środowiska rodzinnego.

- Tylko dlatego jeszcze nie zwariowałam - wyznała Myra. - O ile on... oni... nie zabiorą nam naszego malca...

Tydzień później stało się już najzupełniej jasne, że Bordent nie ma zamiaru naruszać praw rodzicielskich - a przynajmniej nie bardziej niż to było niezbędne i tylko dwie godziny dziennie. Przez ten czas czterech mini-ludzików wypełniało swe zadania wtłaczając do głowy Aleksandra całą wiedzę, jaką jego, wprowadzie super, lecz jednak dziecinny, umysł mógł wchłonać. Nie posługiwali się klockami, dziecinnymi rymowankami czy liczydłami. Broń, której używali w tej bitwie, była tajna, przyszłościowa, ale skuteczna. Nie ulegało wątpliwości, że czegoś Aleksandra nauczyli. I jak witamina B1, która, gdy podleje się nią korzenie, wywołuje rośnięcie rośliny, tak witamina nauk karzełek nasyciła Aleksandra i jego umysł potencjalnego supermana, toteż zareagował rozwijając się w błyskawicznym tempie.

Czwartego dnia już zrozumiałe mówił. Siódmego dnia z łatwością mógł prowadzić konwersację, jakkolwiek niemowłęce mięśnie twarzy, niedostatecznie wyćwiczone, szybko się męczyły. Policzki miały wciąż jeszcze kształt właściwy ssącym oseskom; nie był jeszcze

całkowicie człowiekiem, jeśli nie liczyć pojedynczych wypadków. Jednakże zdarzało się to teraz coraz częściej i gęściej.

Na dywanie panował straszny nieład. Ludziki już nie zabierały ze sobą przyborów, zostawiały je do użytku Aleksandra. Malec pełzał nie trudił się teraz zbyt chodzeniem, bo raczkował bardziej skutecznie - między owymi Przedmiotami, wybierał niektóre z nich i zestawiał ze sobą. Myra poszła do sklepu. Ludziki pojawiają się nie wcześniej niż za pół godziny. Calderon, zmęczony całodzienną pracą na uniwersytecie, nalał sobie whisky z wodą sodową i obserwował swego potomka.

- Aleksandrze! - zawołał.

Aleksander nie odpowiedział. Dopasował jakiś Przyrząd do jakiejś Rzeczy, umieścił ją w specyficzny sposób w Czymś Innym i siadł z zadowoloną miną. Potem dopiero spytał:

- Co?

Nie była to wymowa doskonała, ale słowo brzmiało jednoznacznie. Aleksander mówił trochę tak jak bezzębny staruszek.

- Co robisz? - spytał ojciec.

- Nic.

- Co takiego?

- Nic.

- Nic?

- Ja wiem, co - rzekł Aleksander - a to wystarczy.

- Aha, rozumiem. - Calderon spojrzał na cudowne dziecko z lekką obawą. - Nie chcesz mi powiedzieć?

- Nie.

- No cóż, w porządku.

- Przynieś mi picie - polecił Aleksander.

Przez głowę Calderona przemknęła szalona myśl, że malec domaga się whisky z wodą sodową. Potem westchnął, podniósł się i wrócił z butelką.

- Mleka - powiedział Aleksander, odmawiając picia podawanego mu napoju.

- Mówiłeś, że chcesz pić, a woda to picie, nie? - Na Boga, zapuszczam się w dyskursy z dzieciakiem. Traktuję malca jak... jak dorosłego. A przecież to nie dorosły, tylko tłuściutki bobas siedzący na tyłeczku na dywanie i bawiący się Małym Konstrukтором.

Zabawka powiedziała coś cienkim głosem. Aleksander mruknął:

- Powtórz!

I zabawka rzeczywiście to uczyniła.

- Co to jest? - zapytał Calderon.

- Nie.

- Bzik.

Calderon udał się do kuchni i przyniósł mleko. Sobie nalał następną whisky. Czuł się tak, jakby nagle wpadli w odwiedziny krewni, nie widziani od dziesięciu lat. Jak do licha p o s t ę p o w a ć z superdzieckiem?

Zaopatrzwszy Aleksandra w mleko, został w kuchni. Właśnie Myra zachrobotła kluczem w zamku drzwi wejściowych. Jej krzyk ciągnął męża w popłochu do pokoju.

Aleksander wymiotował z miną naukowca zaabsorbowanego fascynującym zjawiskiem.

- Aleksandrze! - krzyczała Myra. - Kochanie, czy ci niedobrze?

- Nie - odparł Aleksander. - Wypróbowuje proces zwracania pokarmu. Muszę się nauczyć kontrolować narządy trawienne.

Calderon, uśmiechając się krzywo, oparł się o drzwi.

- No tak, powinieneś zacząć z tym już teraz.

- Zmęczyłem się - oznajmił Aleksander. - Sprzątnijcie to.

Trzy dni później dzieciak zdecydował, że jego płuca wymagają ćwiczeń. Zaczął wrzeszczeć. Wrzeszczał o każdej porze, z ciekawymi wariantami: paniem, rykiem; zawodzeniem, wysokim, piskliwym wyciem. I nie przestał, dopóki nie był z siebie zadowolony. Sąsiedzi złożyli zażalenie.

- Kochasie, może wbiłeś sobie szpilkę? - pytała Myra. - Pozwól, niech zobaczę.

- Idź sobie - odparł Aleksander. - Jesteś za gorąca. Otwórz okno. Chcę świeżego powietrza.

- Dobrze, kochanie. Naturalnie.

Wróciła do łóżka i Calderon otoczył ją ramieniem. Wiedział, że rano będzie miała sińce pod oczami. Aleksander nadal wrzeszczał w swoim łóżeczku.

I tak mijały dni. Czterech ludzików przychodziło codziennie, żeby uczyć Aleksandra.

Zadowoleni byli z czynionych przez małego postępów. Nie uskarżali się, kiedy Aleksander folgował swoim zachciankom, takim jak walenie ich po nosach czy też rozszarpywanie na strzępy papierowych ubrań. Bordent klepnął się po metalowym hełmie i uśmiechnął triumfalnie w stronę Calderona.

- Robi postępy. Rozwija się.

- Nie posiadam się ze zdumienia. A co z dyscypliną? Aleksander oderwał się od zajęć z Quatem i oznajmił:

- Ludzka dyscyplina mnie nie dotyczy, Josephie Calderon.

- Nie nazywaj mnie Josephem Calderon. Ostatecznie jestem twoim ojcem.

- To prymitywna biologiczna konieczność. Nie jesteś wystarczająco rozwinięty, żeby nauczyć mnie dyscypliny, której potrzebuję. Twoje zadanie to zapewnienie mi pieczy rodzicielskiej.

- Och, więc tylko inkubator - zauważył Calderon.

- Ale ubóstwiony - uspokajał go Bordent. - Praktycznie rzecz biorąc logos. Rodzic nowej odmiany człowieka.

- Czuję się raczej jak Prometeusz - odparł lodowato rodzic nowej odmiany człowieka. - On też był potrzebny. I skończył, tak, że sęp wydziobał mu wątrobę.

- Nauczy się pan wiele od Aleksandra.

- On twierdzi, że nie jestem zdolny do pojęcia tego.

- No, a czyż tak nie jest?

- Z pewnością. Ja jestem po prostu typowym tatusiem - powiedział Calderon i pograżywszy się w smętnym milczeniu obserwował Aleksandra, który pod bacznym okiem Quata montował jakieś urządzenie z migotliwego szkła i metalowej spirali.

- Quat! Uważaj na jajko! - odezwał się nagle Bordent.

Finn chwycił niebieskawy jajowaty przedmiot, zanim mogła go dosięgnąć pulchna rączka Aleksandra.

- Nie jest niebezpieczne - zapewnił Quat. - Nie zostało podłączone.

- Mógł być je podłączyć.

- Chcę to jajko - odezwał się Aleksander. - Daj mi je.

- Jeszcze nie teraz, Aleksandrze - tłumaczył Bordent. - Najpierw musisz się nauczyć właściwego podłączenia. Inaczej mogłoby ci wyrządzić krzywdę. Potrafię to zrobić.

- Jeszcze nie jesteś na tyle logiczny, żeby zważyć swoje możliwości i braki. Później to będzie bezpieczne. Myślę teraz zapewne trochę filozoficznie. No, Dobish?

Dobish kucnął i przyłączył się do Aleksandra. Myra wyszła z kuchni, obrzuciła szybkim spojrzeniem całą scenę i wycofała się pospiesznie. Calderon podążył za nią.

- Nigdy się nie przyzwyczaję do tego, nawet gdybym żyła tysiąc lat - powiedziała wolno i dobitnie, odcinając zakalcowaty brzeg placka. - On jest moim dzieckiem tylko wtedy, kiedy śpi.
  - Nie będziemy żyć tysiąc lat - zapewnił ją Calderon. - Za to Aleksander tak. Szkoda, że nie możemy znaleźć posługaczki.
  - Próbowałam znowu dzisiaj - powiedziała znużonym głosem Myra. - Bez skutku. Wszystkie teraz pracują w zakładach zbrojeniowych. Wspominałam o dziecku.
  - Nie możesz robić tego wszystkiego sama.
  - Ty mi pomagasz, kiedy możesz. Tylko że też ciężko pracujesz. Ale wiecznie tak nie będzie.
  - Ciekaw jestem, czy gdybyśmy mieli następne dziecko, to...
  - I ja jestem ciekawa. Ale myślę, że mutacje nie są takie pospolite. Zdarzają się raz w życiu. Zresztą nie wiemy.
  - Tak czy inaczej, to nie ma teraz znaczenia. Na razie wystarczy nam najzupełniej jedno dziecko.
- Myra spojrzała w stronę drzwi.
- Czy tam wszystko w porządku? Zobacz. Martwię się.
  - W porządku.
  - Wiem, ale bo niebieskie jajko... Bordent mówił, że jest niebezpieczne. Sama słyszałam. Calderon zajrzał przez uchylone drzwi. Czterech karzełek siedziało naprzeciw Aleksandra, który miał zamknięte oczy. Nagle malec otworzył oczy i spojrzął gniewnie na ojca.
  - Nie wchodź - nakazał. - Naruszasz kontakt.
  - Najmocniej przepraszam - rzekł Calderon wycofując się z pokoju. - W porządku, Myro, jego dyktatorska małość jest cała i zdrowa. - To przecież superman - powiedziała niepewnie.
  - Nie, to superdziecko, a to różnica.
  - Jego najnowsza mania - mówiła Myra pochylając się nad piecykiem - to zagadki. Albo coś w rodzaju zagadek. Czuję się taka speszona, kiedy nie umiem zgadnąć. Ale on mówi, że to dobre dla jego jaźni. Kompensuje mu to fizyczną słabość.
  - Zagadki, patrzcie no! Ja też znam kilka.
  - Dla niego to będzie kaszka z mlekiem - stwierdziła Myra z ponurą pewnością.
- I rzeczywiście. „Będiesz dobrym synem, jeśli powiesz, co leci kominem” spotkało się z pogardą, na jaką zasługiwało. Aleksander poddał analizie ojcowskie zagadki, przepuścił je przez swój logiczny umysł, odkrył ich słabe punkty, potknięcia semantyczne i logiczne, po czym zagadki odrzucił. Albo też rozwiązał je, odpowiadając z tak niezwykłą celnością, że Calderon poczuł się zbyt zażenowany, by podać właściwą odpowiedź. Ograniczył się do zapytania, jaka jest różnica między krukiem a biureczkiem, a ponieważ nawet Zwariowany Kapelusznik nie potrafił rozwiązać swojej zagadki, z lekkim przerażeniem stwierdził, że przyszło mu wysłuchać wykładu o ornitologii porównawczej. Następnie pozwolił się Aleksandrowi nękać infantylnymi dowcipami dotyczącymi relacji promieni gamma i fotonów i próbował zachować filozoficzny spokój. Niewiele jest rzeczy tak irytujących jak zagadki dziecka. Jego kpiący triumf zamienia się w proch, w którym się tarzasz.
- Och, dajże spokój ojcu - powiedziała Myra wchodząc do pokoju z rozwianym włosami. - Usiłuje czytać gazetę.
  - Wszystkie te informacje są bez znaczenia.
  - Oglądam „historyjkę obrazkową - sprostował Calderon. - Chcę się dowiedzieć, czy Katzenjammerzy” odpłacą Kapitanowi za zawieszenie ich pod wodospadem.
  - Formuła humoru z kategorią bezsensowności - rozpoczął uczenie Aleksander, ale oburzony Calderon wyniósł się do sypialni, gdzie dołączyła do niego Myra.
  - Zamęcza mnie znowu zagadkami - zakomunikowała. - Zobaczmy, co zrobili Katzenjammerzy.
  - Wyglądasz dość mizernie. Jesteś zaziębiona?

- Nie, po prostu nie zrobiona. Aleksander poinformował mnie, że choruje od zapachu pudru.

- I co z tego! Nie jest przecież mimozą.

- Ale choruje. Oczywiście robi to naumyślnie. - Pasłuchaj, znowu tu idzie. Czego chcesz?

Aleksander chciał tylko mieć audytorium. Wymyślił nowy sposób wydawania imbecylnych dźwięków przy użyciu palców i warg. Niekiedy normalne fary rozwoju dziecka okazywały się trudniejsze do zniesienia niż okresy, superdziecka. Po miesiącu Calderon poczuł, że najgorsze jest jeszcze przed nimi. Aleksander wkraczał na te tereny wiedzy, na których nie stanęła ludzka stopa; i nabrał zwyczaju przypinania się do ojca niczym pijawka, by wyssać mu mózg jak cytrynę, w pogoni za najdrobniejszymi okruchami wiedzy zgromadzonej przez tego nieszczęśnika.

Podobnie postępował z Myrą. Świat był dla niego skarbnicą wszelkich wiadomości.

Zachłannie wszystkim się interesował, toteż w domu nic się nie mogło ukryć przed jego okiem. Calderon uciekał się do zamykania przed synem drzwi sypialni na noc - łóżeczko Aleksandra stało teraz w innym pokoju - ale wściekłe ryki mogły go zbudzić o każdej porze.

W samym środku przygotowań do obiadu Aleksander zmuszał Myrę do przerywania krzątania i wyjaśniania mu kalorycznych tajników funkcjonowania piecyka. Wyciągnął z niej wszystko, co wiedziała, potem przerzucił się na bardziej zawile aspekty tej kwestii i natrząsał się z jej ignorancji. Odkrył, że Calderon jest fizykiem - fakt troskliwie przed nim dotąd ukrywany - toteż piłował ojca niemiłosiernie. Zadawał mu pytania z geodezji i geopolityki. Dopytywał się o stekowce i jednoszynowce. Interesował się galerami i biologią. Lecz był sceptyczny i powątpiewał w głębię ojcowskiej wiedzy.

- Jednakże ty i Myra Calderon to moje najbliższe kontakty z homo sapkiem, a więc to dopiero początek. Odlóż papierosa. Szkodzi moim płucem.

- Dobra - zgodził się Calderon. Podniósł się ze znużeniem, z towarzyszącym mu teraz stale uczuciem, że przepędzany jest z pokoju do pokoju, i wyruszył na poszukiwanie Myry. -

Wkrótce przyjdzie Bordent. Możemy się gdzieś wybrać, co ty na to?

- Byczo! - W okamgnieniu znalazła się przed lustrem i zaczęła sobie poprawiać fryzurę. - Powinnam zrobić trwałą. Gdybym tylko miała czas!...

- Wezmę jutro wolny dzień i posiedzę w domu. Potrzebujesz wypoczynku.

- Och, nie, kochanie. Zbliżają się egzaminy. Po prostu nie możesz tego zrobić.

Aleksander wrzeszczał. Okazało się, że chce, by matka coś zaśpiewała. Interesowała go skala dźwiękowa homo sapka oraz prawdopodobny efekt emocjonalny i nasenny kołysanek.

Calderon przygotował sobie drinka, usiadł w kuchni i zapalił papierosa rozmyślając o oszałamiającym przeznaczeniu swego syna. Myra przestała śpiewać, czekał więc na płacz Aleksandra, tymczasem panowała cisza aż do momentu, kiedy wbiegła lekko rozhisteryzowana Myra i trzęsąc się, z wytrzeszczonymi oczami rzuciła się ku niemu.

- Joe! - Padła mu w ramiona. - Szybko, daj mi whisky albo... trzymaj mnie mocno, albo sama już nie wiem co!

- Co się dzieje? - Wcisnął jej do ręki butelkę, podszedł do drzwi i wyjrzał. - Aleksander? Jest spokojny. Je cukierka.

Myra nie zawracała sobie głowy sięganiem po szklaneczkę. Szyjka butelki dzwoniła jej o zęby.

- Spójrz na mnie. Tylko spójrz na mnie. Jestem w strasznym stanie.

- Co się stało?

- Och, nic. Zupełnie nic. Aleksander uprawia czarną magię, tylko tyle. - Opadła na krzesło i otarła sobie dłonią czoło. - Czy ty wiesz, co właśnie zrobił ten nasz genialny syn?

- Ugryzł cię - zaryzykował przypuszczenie Calderon ani przez chwilę nie powątpiewając w tę możliwość.

- Gorzej, znacznie gorzej. Poprosił mnie o cukierka. Powiedziałam, że w domu nie ma cukierków. Wtedy kazał mi iść na dół do sklepu i kupić. Tłumaczyłam, że musiałabym się najpierw ubrać, a ponadto że jestem zmęczona.

- Dlaczego nie poprosiłaś mnie, żebym poszedł?

- Nie miałam kiedy. Zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć, ten infantylny Merlin machnął magiczną pałeczką albo czymś w tym rodzaju i... i... już byłam w sklepie na dole. Koło kontuaru z cukierkami. Calderon zamrugął oczami.

- Spowodował amnezję?

- Bez najmniejszego odstępstwa czasowego. Po prostu tak... fiku-miku... i już tam stałam. W tych łachach, bez odrobiny pudru, z włosami w strąkach. W sklepie była też pani Busherman i kupowała kurczaka, no wiesz, ta kocica z przeciwka, była tak uprzejma, że powiedziała mi, że powinnam bardziej dbać o siebie. Miau! - zakończyła z furją Myra. - Wielki Boże!

- Teleportacja, tak to nazywa Aleksander. Nauczył się czegoś nowego. Nie zamierzam tego dłużej wytrzymać, Joe. Nie jestem ostatecznie szmacianą lalką. - Myra była bliska ataku hysterii.

Calderon wszedł do pokoju i stanął przypatrując się swojemu dziecku. Aleksander miał buzię umazaną czekoladą.

- Posłuchaj, mądralo - powiedział do malca. - Masz zostawić matkę w spokoju, słyszysz?

- Nic jej nie zrobiłem - stwierdziło cudowne dziecko niewyraźnie. - Po prostu byłem zręczny.

- Więc nie bądź taki zręczny. A gdzie się nauczyłeś tej sztuczki? - Teleportacji? Quat pokazał mi ją wczoraj. On sam tego zrobić nie potrafi, ale ja jestem superman Wolny Iks, więc potrafię. Nie opanowałem jeszcze całkowicie tej umiejętności. Gdybym spróbował przeteleportować Myrę Calderon, powiedzmy, do Jersey, mógłbym przez pomyłkę upuścić ją do rzeki Hudson.

Calderon zamruczał coś mało pochlebnego.

- Czy to wyraz pochodzenia anglosaskiego?

- Mniejsza o to. A w każdym razie nie powinieneś opychać się czekoladą. Rozchorujesz się. Matka już się przez ciebie rozchorowała. I mnie przyprawiasz o mdłości.

- Idź stąd - powiedział Aleksander. - Chcę się skoncentrować na smaku.

- Nie, mówiłem, że się pochorujesz. Czekolada jest zbyt ciężko strawna dla ciebie. Oddaj mi ją. Zjadłeś już dosyć. - Calderon wyciągnął rękę po papierową torebkę, ale w tym momencie Aleksander zniknął. W kuchni rozległ się pisk Myry.

Calderon jęknął zniechęcony i zawrócił do kuchni. Jak przypuszczał, Aleksander tam był, na piecu, i żarłocznie pchał sobie do ust czekoladowy cukierek. Myra zajmowała się butelką.

- Co za dom - powiedział Calderon. - Dziecko teleportuje się po całym mieszkaniu, ty zalewasz się w kuchni, a mnie grozi załamanie nerwowe. - Zaczął się śmiać. - Okay, Aleksandrze, możesz sobie zatrzymać cukierki. Wiem, kiedy należy strategicznie skrócić linię obrony.

- Myro Calderon - odezwał się Aleksander - chcę wrócić do tamtego pokoju.

- Pofruń - zaproponował Calderon. - Chodź, zaniósę cię.

- Nie ty, ona. Chodzi w lepszym rytmie.

- Zatacza się, to masz na myśli - skonstatowała Myra, ale posłusznie odstawiała butelkę, powstała i wzięła na ręce Aleksandra. Wyszła z kuchni. Calderon wcale się nie zdziwił słysząc po chwili jej krzyk. Kiedy dołączył do szczęśliwej rodzinie, Myra siedziała na podłodze, rozcierając sobie ramiona i zagryzając wargi. Aleksander się zaśmiewał.

- Co znowu?

- Poraził mnie prądem - odparła Myra dziecinnym głosem. Jak węgorz elektryczny. I zrobił to umyślnie. Och, Aleksandrze, przestaniesz już się śmiać czy nie?

- Upadłaś - szczebiotał triumfalnie malec. - Wrzasnęłaś i upadłaś. Calderon spojrzał na Myrę i zacisnął usta.

- Czy zrobiłeś to umyślnie? - spytał.  
- Tak. Ona upadła i wyglądała tak śmiesznie.  
- Ty będziesz wyglądał o wiele śmieszniej za chwilę. Superman Wolny Iks czy nie, zasłużyłeś sobie na porządne klapsa.  
- Joe - zawołała ostrzegawczo Myra.  
- Daj mi spokój, Musi się nauczyć respektować prawa innych.  
- Jestem homo superior - oznajmił Aleksander z taką miną, jakby wysunął rozstrzygający argument.  
- Mam zamiar rozprawić się z homo posteriorem - zapowiedział Calderon próbując złapać syna. Nagle doznał silnego wstrząsu. Jego system nerwowy poraził płocnień paralizującej energii; odrzuciło go sromotnie do tyłu; rąbnął w ścianę waląc w nią głową. Aleksander śmiał się do rozpuku.  
- Ty też upadłeś - zaszczębiotał. - Wyglądasz śmiesznie.  
- Joe - krzyknęła Myra. - Joe, zrobiłeś sobie coś?  
Calderon odparł kwaśno, że przypuszcza, iż wyjdzie z tego z życiem. Jakkolwiek, dodał, byłoby chyba mądrze zaopatrzyć się w szyny i zapas plazmy.  
- Na wypadek gdyby okazało się, że interesuje go wiwisekcja wyjaśnił.  
Myra spojrzała na Aleksandra z pełnym troski namysłem. - Mam nadzieję, że żartujesz.  
- Ja też.  
- Przyszedł Bordent. Porozmawiajmy z nim.  
Calderon otworzył drzwi. Czterech ludzików weszło z poważnymi misami. Nie marnowały czasu. Otoczywszy wianuszkami Aleksandra, wyjęły z zakamarków swoich papierowych ubrań nowe przyrządy i zabrały się do pracy.  
Malec powiedział:  
- Przteleportowałem ją na odległość około dwudziestu pięciu kilometrów.  
- Tak daleko? - spytał Quat.  
- Zmęczyłeś się?  
- Ani trochę.  
Calderon odciągnął. Bordenta na bok.  
- Chciałbym z tobą porozmawiać. Myślę, że Aleksandrowi przydałoby się lanie.  
- Na Foba! - krzyknął wstrząśnięty karzełek. - Ależ on jest A l e k s a n d r e m! To superman Wolny Iks!  
- Jeszcze nie. Na razie jest jeszcze dzieckiem.  
- Ale superdzieckiem. Nie, Josephie, Calderon. Muszę raz jeszcze powtórzyć, że środki dyscyplinarne mogą być stosowane wyłącznie przez dostatecznie inteligentne autorytety.  
- Przez was?  
- Och, jeszcze nie - odparł Bordent. - Nie chcemy go przeciążać. Nawet superumysł ma swoje ograniczenia, szczególnie w fazie kształtowania. Aleksander ma co robić, a jego stosunek do kontaktów towarzyskich nie wymaga jeszcze przez jakiś czas formowania.  
Dołączyła do nich Myra i wtrąciła się do rozmowy:  
- Tu się z wami nie zgadzam. Jak wszystkie dzieci jest nastawiony antytowarzysko. Może sobie dysponować mocami nadludzkimi, ale jeśli w grę wchodzi równowaga umysłowa i uczuciowa to Aleksander jest podczłowiekiem.  
- Taak - zgodził się Calderon. - A sprawa aplikowania nam wstrząsów elektrycznych...  
- On się tylko bawi - zapewnił Bordent.  
- I ta teleportacja. Wyobraźmy sobie, że przeteleportuje mnie na. Time Square, kiedy będę pod prysznicem.  
- To taka zabawa. Wciąż przecież jest dzieckiem.  
- A co z nami?

- Wy odziedziczyliście rodzicielską cierpliwość - wyjaśnił Bordent. - Jak już mówiłem, Aleksander i taka jak on odmiana człowieka to główna przyczyna, dla której wykształciła się cierpliwość. Nie ma takiej potrzeby, jeśli chodzi o homo sapka. Mam na myśli to, że wielki dystans oddziela normalną cierpliwość od normalnej irytacji. Zwykle dziecko może niekiedy doprowadzić rodziców do kresu cierpliwości, ale tylko tyle. Irytacja jest zbyt mała, by wyczerpać olbrzymie zapasy cierpliwości, jakimi dysponują rodzice. Inaczej jednakże sprawa się ma w wypadku Wolnych Iksów.
- Nawet cierpliwość ma swoje granice - powiedział Calderon. Zastanawiam się nad żłobkiem. Bordent potrząsnął świecąca, powleczone metalizującą osłoną, głową.
- On was potrzebuje.
- Ale - wtrąciła Myra - ale! Czy nie moglibyście go choć trochę skarcić?
- Och, to nie jest konieczne. Jego umysł jeszcze się nie rozwinął, więc musi się skoncentrować na sprawach znacznie ważniejszych. Musicie to wytrzymać.
- Zupełnie jakby to już nie było nasze dziecko - mruknęła. To nie jest Aleksander.
- Ależ tak. Właśnie tank. T o j e s t A l e k s a n d e r!
- Posłuchaj, to normalne, że matka pragnie przytulić swoje dziecko. Tylko że jak może to zrobić, jeśli spodziewa się, że dziecko rzuci ją przez pół pokoju?
- Calderon pogrzyżył się w myślach.
- Czy dorastając zyska więcej... więcej supermocy?
- O tak. Naturalnie.
- Stanowi groźbę dla życia i zdrowia. Ja wciąż twierdzę, że zasłużył na karę. Następnym razem włożę gumowe rękawiczki.
- To nic nie da - rzekł marszcząc brwi Bordent. - Ponadto muszę nalegać... nie, Josephie Calderon, nie wolno panu ingerować. Nie zdoła pan go utrzymać w ryzach, których zresztą i tak nie potrzebuje.
- Jedno lanie - powiedział Calderon pełen zadumy. - Nie po to, żeby się zemścić, lecz by mu pokazać, że musi respektować prawa innych ludzi.
- On się nauczy respektować prawa innych Wolnych Iksów. Nie wolno panu próbować niczego takiego. Lanie, jeśli nawet się panu uda mu je sprawić, w co wątpię, może wypaczyć go psychicznie. Jego nauczycielami, jego mentorami jesteśmy my. Musimy go o c h r a n i a ć. Rozumiecie?
- Myślę, że tak - rzekł wolno Calderon. - To groźba.
- Jesteście rodzicami Aleksandra, ale to Aleksander się liczy. Jeśli będę musiał użyć wobec was środków dyscyplinarnych, to ich użyję. - Och, mniejsza o to - westchnęła Myra. - Joe, chodźmy na spacer do parku, kiedy jest tu Bordent.
- Wróćcie za dwie godziny - powiedział mały człowieczek. Do widzenia.

Mijały dni, a Calderon nie mógł się zdecydować, co jest bardziej irytujące, czy okresy imbecylizmu Aleksandra, czy przenikliwej inteligencji. Cudowne dziecko nauczyło się nowych sztuczek; najgorsze zaś było to, że Calderon nigdy nie wiedział, co go czeka albo kiedy zaskoczy go jakiś zdumiewający kawał. Jak wtedy, gdy bryłka lepkich cukierków, zwędzonych ze sklepu dzięki zręcznej teleportacji, zmaterializowała się w jego łóżku. Aleksandrowi wydawało się to szalenie zabawne i zaśmiewał się do rozpuku.

Albo wtedy gdy Calderon odmówił pójścia do sklepu i kupienia cukierków, gdyż - jak twierdził - nie ma pieniędzy.

- Nie próbuj mnie teleportować, bo jestem bez grosza.

Aleksander spożytkował energię psychiczną w sposób szokujący; wypaczając reguły przyciągania ziemskiego. Calderon stwierdził, że wisi w powietrzu głową w dół i coś nim potrząsa, a monety sypią się strumieniem z jego kieszeni. Poszedł kupić cukierki.

Poczucie humoru rozwinęło się przede wszystkim z okrucieństwa. Im prymitywniejszy umysł, tym mniejsza wybredność. Kanibala będą zapewne śmieszyć do łez katusze gotowanej w kotle ofiary. Ktoś pośliznął się na skórce od banana i złamał kark. Człowiek dorosły przestaje się w tym momencie śmiać, tymczasem dziecko nie. A dla cywilizowanego osobnika zażenowanie jest tak samo przygnębiającym przeżyciem jak ból fizyczny. Niemowlę, dziecko, imbecyl nie potrafią się wczuć w kogoś, nie umieją się utożsamić z innym osobnikiem. Są autentyczni, a ich własne zasady arbitralne. Śmieci rozrzucone po całej sypialni nie rozśmieszały ani Myry, ani Calderona.

W ich domu był mały człowiek, ale nikt się z tego nie cieszył. Prócz Aleksandra. On się bawił doskonale.

- Nie ma chwili spokoju - utyskiwał Calderon. - On zjawia się wszędzie i o każdej porze.

Kochanie, chciałbym, żebyś wybrała się do doktora.

- I co mi przepisze? - spytała Myra. - Odpoczynek i tyle. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że upłynęły dwa miesiące od chwili, kiedy Bordent wziął w swoje ręce edukację Aleksandra?

- Zrobiliśmy nadzwyczajne postępy - rzekł Bordent zbliżając się do nich.

Quat pozostawał w kontakcie z Aleksandrem na dywanie, tymczasem dwa inne karzelki przygotowywały montaż nowych urządzeń.

- A raczej to Aleksander zrobił wielkie postępy.

- Potrzebujemy odpoczynku - warknął Calderon. - Jeśli stracę posadę, kto będzie utrzymywał tego waszego geniusza?

Myra spojrzała na męża, zauważywszy, jakiego użył zaimka dzierżawczego.

- Ma pan kłopoty? - zainteresował się Bordent.

- Dziekan rozmawiał ze mną raz czy dwa razy. Nie mogę już utrzymać w ryzach studentów na zajęciach. Jestem poirytowany.

- Nie musi pan trwonić swojej cierpliwości na studentów. Jeśli chodzi o pieniądze, to możemy pana w nie zaopatrzyć. Zajmę się zorganizowaniem pewnej liczby obiegowych monet.

- Ale ja chcę pracować. Lubię swoją pracę.

- Pańska praca to Aleksander.

- Muszę mieć służącą - wtrąciła Myra wyglądając dość bezradnie. - Czy nie moglibyście mi sprokurować jakiegoś robota czy czegoś w tym rodzaju? Aleksander wystraszył wszystkie dziewczyny, jakie udało mi się ugodzić. Żadna nie wytrzyma w tym domu wariatów.

- Mechaniczna inteligencja miałaby zły wpływ na Aleksandra oświadczył Bordent. - Nie.

- Chciałabym od czasu do czasu zaprosić kogoś w odwiedziny albo iść gdzieś z wizytą, albo po prostu być sama - westchnęła Myra.

- Pewnego dnia Aleksander dorośnie i otrzymacie nagrodę jako jego rodzice. Czy mówiłem wam już, że mamy wasze podobizny w Sali Wielkich Staroświeckich?

- Muszą być straszne - rzekł Calderon. - Wiem, że my wyglądamy teraz strasznie.

- Bądźcie cierpliwi. Myślcie o przeznaczeniu waszego syna.

- Myślę. Często. Ale on robi się męczący. Mówiąc oględnie.

- I tu wchodzi w grę cierpliwość - zauważył Bordent. - Natura zaplanowała wszystko z myślą o nowej odmianie człowieka.

- Hm.

- On pracuje teraz nad sześciowymiarowymi abstrakcjami. Wszystko idzie jak z płatka.

- Taak - przyznał Calderon i mruczając coś pod nosem poszedł do kuchni za Myrą.

Aleksander z łatwością posługiwał się swoimi przyrządami, jego pulchne paluszki stały się teraz silniejsze i bardziej pewne. Wciąż jeszcze żywił niezdrową ciekawość wobec niebieskiego jaja, którym wolno mu było posługiwać się jedynie pod bacznym okiem mentorów. Kiedy lekcja dobiegła końca, Quat wybrał kilka przedmiotów i schował je, jak zwykle, w szafce. Resztę zostawił na dywanie, żeby zapewnić pomysłowości Aleksandra pole do popisu.

- On się rozwija - zapewniał Bordent. - Dziś zrobiliśmy wielki krok do przodu.

Myra i Calderon weszli właśnie do pokoju i usłyszeli jego słowa.

- A mianowicie w czym?

- W usuwaniu psychicznej blokady. Aleksander nie będzie już musiał spać.

- Co? - spytała Myra.

- Nie będzie potrzebował snu. To i tak sztuczny zwyczaj. Supermani nie muszą spać.

- Nie będzie już spał, tak? - upewniał się Calderon. Wyraźnie zbladł.

- Tak jest. Będzie się teraz rozwijać szybciej, dwukrotnie szybciej. O pół do czwartej rano Calderon i Myra leżeli w łóżku, nie zmrzywszy nawet oka, widząc przez otwarte drzwi palące się a giorno światła, przy których bawił się Aleksander. Widzieli go wyraźnie, jak na oświetlonej scenie. Wyglądał teraz zupełnie inaczej. Różnica była subtelna, niemniej była. Pod złocistym puszkim głowa zmieniła nieco kształt, a jego buzia o dziecięcych niewyraźnych rysach nabrała inteligentnego, rezolutnego wyrazu. Nie wyglądało to wcale ładnie, ten wyraz jakoś do niej nie pasował. W rezultacie Aleksander wyglądał nie tyle jak superdziecko, ile jak jakiś prymitywny podstarzały osobnik. Całe właściwe dzieciom okrucieństwo i egoizm - najzupełniej zdrowe i naturalne cechy u rozwijającego się malca - uwidaczniały się na jego obliczu, kiedy tak bawił się kryształowymi klockami, które dopasował do siebie jakby w jakiejś skomplikowanej łamigłówce. Ta twarz przyprawiała o dreszcz.

Calderon usłyszał westchnienie Myry.

- To już nie jest nasz Aleksander - powiedziała. - Absolutnie nie.

Aleksander podniósł głowę i raptem zalał się łzami. Kiedy otworzył usta i zaczął z wściekłością wrzeszczeć, rozrzucając na wszystkie strony klocki, prysnęło wrażenie paradoksalnej starości i związanej z nią degeneracji. Calderon zobaczył, że jeden z klocków przeturlał się przez drzwi do sypialni i upadł na dywan, a z jego wnętrza wysypało się mnóstwo mniejszych i jeszcze mniejszych klocków, które potoczyły się migocąc w jego stronę. Wrzaski Aleksandra rozbrzmiewały w całym mieszkaniu. Wkrótce poczęły się zatrzaskiwać okna od podwórza, a teraz zadzwonił telefon. Calderon z westchnieniem sięgnął po słuchawkę.

Kiedy ją odłożył, skrzywił się i spojrzał na Myrę. Przekrzykując wrzask oznajmił:

- Zawiadomiono nas, że musimy się wyprowadzić.

- Och! No cóż - rzekła Myra.

- Koniec pieśni!

Milczeli oboje przez chwilę, po czym Calderon powiedział:

- Jeszcze dziewiętnaście latek. Myślę, że możemy oczekiwać czego takiego. Oni mówili, że powinien dojrzeć, jak będzie miał dwadzieścia, prawda?

- Będzie sierotą dużo wcześniej - jęknęła Myra. - Och, moja głowa! Myślę, że zaziębiłam się, gdy przeteleportował nas na dach przed obiadem. Joe, czy sądzisz, że jesteśmy pierwszymi rodzicami, którzy zostali... zostali tak urządzeni?

- Co masz na myśli?

- Czy było jakieś superdziecko przed Aleksandrem? Wydaje się, że zmarnowałyby się chyba wielkie zasoby cierpliwości, gdybyśmy to my mieli jej potrzebować jako pierwsi.

- Przydałoby się nam jej więcej. A będziemy potrzebować jeszcze sporo.

Nic nie mówił przez chwilę, leżał rozmyślając i próbując nie słyszeć rytmicznych ryków swego superdziecka. Cierpliwość. Wszyscy rodzice muszą mieć wiele cierpliwości. Wszystkie dzieci są od czasu do czasu nie do wytrzymania. Ród ludzki z całą pewnością potrzebuje wielkich zasobów miłości rodzicielskiej, by mogły przetrwać ich dzieci. Lecz dotąd żadnych rodziców nie doprowadzano tak konsekwentnie do granic wytrzymałości. Żadni rodzice dotąd nie musieli znosić czegoś takiego przez dwadzieścia lat, w dzień i w nocy, wyczerpani do ostateczności. Miłość rodzicielska to wspaniałe i wszechogarniające uczucie, ale...

- Ciekaw jestem - odezwał się pogrążony w myślach - ciekaw jestem, czy my jesteśmy pierwsi.

Rozważania Myry biegły w odwrotnym kierunku.

- Przypuszczam, że z tym jest jak z migdałkami i wyrostkiem robaczkowym - mruzczała. - Są zbyteczne, ale wciąż istnieją. Cierpliwość jest odwrotnie, szczątkowa. Istnieje przez całe tysiąclecia w oczekiwaniu na Aleksandra.

- Może. Ciekaw jestem... a jednak, gdyby był już kiedyś jakiś Aleksander, słyszelibyśmy o nim. Więc...

Myra oparła się na łokciu i spojrzała na męża.

- Tak myślisz? - spytała miękko. - Ja nie jestem taka pewna. Myślę, że mogło się to już kiedyś zdarzyć.

Aleksander nagle zamilkł. Przez chwilę w mieszkaniu panowała cisza. Po czym znany głos, tyle że bez słów, rozległ się jednocześnie w ich mózgach.

- Dajcie ani jeszcze trochę mleka. I chcę, żeby było ciepłe, nie gorące.

Joe i Myra spojrzeli na siebie w milczeniu. Myra westchnęła i odrzuciła kołdrę.

- Tym razem ja pójdę - powiedziała. - Coś nowego, co? Ja...

- Nie mitrzyć - polecił głos bez słów. Myra podskoczyła i pisnęła. W pokoju rozległy się wyraźnie trzaski wyładowań elektrycznych, a zza drzwi doleciał gromki śmiech Aleksandra.

- Wydaje mi się, że on jest teraz mniej więcej na poziomie dobrze wyszkolonej małpy - zauważył Joe wstając z łóżka. - Ja pójdę. Właż z powrotem. W przyszłym roku może osiągnąć poziom Buszmena. Pot, o ile jeszcze zastaniemy przy życiu, będziemy mieli przyjemność mieszkać z kanibalem dysponującym nadludzkimi umiejętnościami. W końcu może osiągnie poziom dowcipnisia. To powinno być interesujące. - Wyszedł z sypialni mrużąc coś pod nosem.

Dziesięć minut później, powróciwszy do łóżka, Joe ujrzał, że Myra klepie się po kolanach i patrzy w przestrzeń.

- Nie jesteśmy pierwsi, Joe - oznajmiła, nie spojrzawszy na niego. - Rozmyślam i rozmyślam i jestem całkiem pewna, że pierwsi nie jesteśmy.

- Ale przecież nie słyszeliśmy o żadnym dorastającym supermanie...

Obróciła głowę i posłała mu długie, pełne zadumy spojrzenie.

- Nie - przyznała.

Zamilkli. Po chwili odezwał się Calderon:

- Tak, rozumiem, o co ci chodzi.

W bawialni coś trzasnęło. Aleksander zachichotał, a dźwięk rozłupywanego drewna wydawał się w ciszy nocnej bardzo głośny. Gdzieś zatrzasnęło się kolejne okno.

- To jest moment przełomowy - powiedziała cicho Myra. Musi być.

- Przesycenie - mruknął Joe. - Przesycenie cierpliwością czy coś w tym rodzaju. To może się zdarzyć.

W polu widzenia ukazał się Aleksander ściskając w dłoniach coś niebieskiego. Siadł i zaczął manipulować błyszczącymi drutami. Myra zerwała się gwałtownie.

- Joe, on ma to niebieskie jajko! Musiał się włamać do szafki.

- Ale Quat mu mówił... - rzekł Calderon.

- To jest niebezpieczne!

Aleksander popatrzył na nich, uśmiechnął się i wygiął druty na kształt kolebki o wielkości jajka.

Calderon uświadomił sobie, że wyskoczył z łóżka i znajduje się w połowie drogi do drzwi. Zatrzymał się, nim do nich dotarł.

- Wiesz - powiedział z namysłem - to jajo może go zranić.

- Będziemy musieli mu je odebrać - zgodziła się Myra, niechętnie i ze znużeniem wstając z łóżka.

- Spójrz na niego - nalegał Calderon. - Spójrz tylko.

Aleksander radził sobie świetnie z drutami, jego ręce to pojawiały się, to znikwały im z oczu, kiedy manipulował tesoraktem poniżej kolebki. Osobliwa maska wiedzy nadawała jego pulchnej buzi wyraz senilizmu, który już tak dobrze znali.

- I tak to będzie szło dalej i dalej - burknął Calderon. - Jutro będzie jeszcze mniej podobny do siebie niż dzisiaj. W przyszłym tygodniu, w przyszłym miesiącu... a jak będzie wyglądał za rok?

- Ja wiem - odezwała się Myra jak echo. - A jednak przypuszczam, że będziemy musieli... - Urwała. Stała boso obok męża i patrzyła. - Przypuszczam, że to urządzenie będzie gotowe, jak tylko on podłączy ostatni drut. Powinniśmy mu je zabrać.

- Myślisz, że zdołamy?

- Powinniśmy spróbować.

Spojrzeni na siebie.

- Wygląda jak pisanka. Nie słyszałem jeszcze, żeby pisanka była dla kogoś niebezpieczna - skonstratował Calderon.

- Przypuszczam, że robimy mu naprawdę przysługę - zauważyła cichym głosem Myra. - Dziecko oparzy się i potem boi się ognia. Kiedy malec sparzy się zapalką, na przyszłość zostawi zapalki w spokoju. Stali w milczeniu i patrzyli.

Upłynęły jeszcze pewno ze trzy minuty, zanim Aleksandrowi udało się zrealizować to, o co mu chodziło. Rezultat był doprawdy oszałamiający. Błysk białego światła, huk rozdzierający powietrze i Aleksander zniknął w oślepiającym blasku, pozostawiając po sobie jedynie zapach spalenizny.

Kiedy mogli znowu cokolwiek zobaczyć, ujrzeli z niedowierzaniem pustą przestrzeń.

- Teleportacja? - szepnęła Myra w oszołomieniu. - Pójdę się upewnić.

Calderon przeszedł na ukos przez pokój i stanął przyglądając się mokrej plamie na dywanie, tam gdzie znajdowały się buciki Aleksandra.

- Nie, to nie teleportacja - orzekł, potem odetchnął głęboko. Wyparował. W porządku. A więc nigdy nie dorośnie i nie wyśle w przeszłość Bordenta, żeby wtargnął do nas. To się nigdy nie zdarzyło.

- Nie byliśmy pierwsi - powiedziała niepewnie oszołomiona Myra. - Nadchodzi przełomowy moment i tyle. Jakże mi żal pierwszych rodziców, którzy tego nie doczekali!

Odwróciła się gwałtownie, ale nie na tyle gwałtownie, żeby Calderon nie zobaczył, że płacze. Zawahał się patrząc na drzwi. Pomyślał jednak, że lepiej będzie teraz nie iść za nią.

Przełożyła Teresa Lechowska

Nie wyjmując cygara z zębów, lecz trzymając je odchylone pod bezpiecznym kątem, Terence Lao-t'se Macduff przyłożył oko do szpary w kurtynie i zlustrował audytorium czujnym spojrzeniem.

- Szafa gra - mruknął pod nosem. - A może i nie? Mam dziwne wrażenie, że mokra mysz pełza mi tam i z powrotem po krzyżu. Szkoda, że nie mogę wysłać do nich tej dziewczyny z Mniejszej Węgi, by wystąpiła zamiast mnie. No dobrze - idę.

Gdy kurtyna zaczęła się wolno podnosić, wyprostował swą krągłą postać.

- Dobry wieczór wszystkim - zaczął jowialnie. - Jestem szczęśliwy, widząc tak wiele żądnych wiedzy istot zebranych dziś tu, na najzbieleńszym ze światów aldebarańskich.

Wśród zgromadzonych rozległy się stłumione okrzyki zmieszane z odorem piżma charakterystycznym dla Aldebarańczyków oraz zapachami wielu innych ras i rodzajów. Na Tau Aldebarana nastąpiła właśnie Pora Loterii i słynna uroczystość, polegająca na liczeniu nasion w pierwszym owocu sphyghi sezonu, jak zwykle zwabiła czcicieli fortuny z całej galaktyki. Na sali był nawet Ziemianin ze zmierzwioną grzywą rudych włosów, siedzący w pierwszym rzędzie i z groźnym grymasem na twarzy wpatrujący się w Macduffa. Z trudem unikając tego spojrzenia, Macduff zaczął z pewnym pośpiechem:

- Panie, panowie i Aldebarańczycy! Proponuję państwu mój Uniwersalny Radioizotopowy Hormonalny Elixir Odmładzający - bezcenne odkrycie, które przywróci wam utraconą młodość za niewygórowaną cenę, nie przekraczającą finansowych możliwości każdego. Jakiś przedmiot świsnął Macduffowi nad głową. Wyćwiczonym uchem wyłowił z gwaru międzygwiazdnych języków kilka znajomych słów i zrozumiał, że uczucia zebranych są dalekie od aprobaty.

- Ten facet to oszust! Jak nic! - ryczał rudowłosy Ziemianin.

Odruchowo uchylając się przed przejrzałym owocem, Macduff spojrzał na niego ze zrozumieniem.

- Oho - pomyślał. - Ciekawe, jak się zorientował, że te karty były znaczone na podczerwień? Uniósł ramiona teatralnym gestem, prosząc o ciszę, zrobił krok w tył, kopnął dźwignię zapadni i w mgnieniu oka zniknął pod podłogą. Widzowie wydali straszliwy krzyk rozczarowania i wściekłości. Macduff, przemykając szybko wśród starych dekoracji, słyszał nad głową tupot licznych nóg i odnóży.

- Chlorofil się dziś poleje - mruczał, pędząc ile sił w nogach. - Cały kłopot z Aldebarańczykami polega na tym, że w głębi duszy pozostali nadal jarzynami. Żadnej etyki - tylko odruchy.

Biegnąc potknął się o na wpół opróżnioną puszkę progesteronu, hormonu niezbędnego, gdy jeleń, to znaczy klient zaliczał się do ptaków lub ssaków.

- To na pewno nie wina hormonów - rozważał głośno Macduff, kopniakiem odrzucając puszkę na bok. - To z pewnością przez ten izotop. Napiszę skargę do tej firmy w Chicago. Nieodpowiedzialni partacze! Powiniennem się spodziewać, że ich produkt jest nędznej jakości - przy tak niskiej cenie. Trzy miesiące, akurat! Przecież nawet dwa tygodnie nie minęły, od kiedy sprzedałem pierwszą butelkę - i dopiero co opłaciłem wszystkich i zacząłem mieć nadzieję na jakiś zysk!

Ostatnie słowa mówił serio. Tego wieczoru Uniwersalny Radioizotopowy Hormonalny Elixir Odmładzający miał przynieść pierwsze pieniądze Macduffowi. Chciwość aldebarańskich urzędników miała rozmiary nie przypisywane na ogół istotom wywodzącym

się z warzywnika. I jak teraz szybko zdobyć dość pieniędzy, by zapewnić sobie miejsce na statku? Wszystko przemawiało za tym, że dłuższy pobyt na planecie byłby niewskazany.

- Same kłopoty - mruzczał pod nosem Macduff, umykając korytarzem. Wypadł na zewnątrz i przewidująco wyrzucił stertę pustych skrzyń, tarasując drogę. Zza powstałej barykady dobiegły go wściekle wrzaski.

- Istna wieża Babel - powiedział do siebie, biegnąc ciężkim kłusem. - To właśnie cały kłopot z podróżami galaktycznymi. Zbyt wiele nadpobudliwych ras.

Nisko pochylony pospieszenie oddalił się z miejsca wydarzeń, wciąż komentując je pod nosem, ponieważ miał zwyczaj stale mówić do siebie, najczęściej zresztą wygłaszając poufne i pochlebne opinie o własnej osobie i postępowaniu.

Stwierdziwszy po chwili, że znalazł się w bezpiecznej odległości od dyszącego zemstą tłumu, zwolnił kroku, wszedł do nędznego lombardu i wydał kilka monet ze swych skromnych zasobów. W zamian otrzymał małą, odrapaną walizkę, zawierającą wszystko, co potrzebne do pospiesznego opuszczenia planety - to znaczy wszystko, prócz najistotniejszej rzeczy.

Macduff nie miał biletu.

Gdyby przewidział, jakie rozmiary osiągnęły na Tau Aldebarana korupcja i przekupstwo, z pewnością wzięłyby ze sobą więcej pieniędzy na łapówki. Chciał jednak, aby jego przyjazd zbiegł się z wielkim festiwalem sphyghi i zabrakło mu czasu na zgromadzenie znaczniejszych funduszy. Mimo wszystko nie tracił ducha. Kapitan Masterson z „Suttera” był mu winien grzeczność, a jego statek miał odlecieć rano.

- Może coś da się jeszcze zrobić - przeżuwał niewesołe myśli Macduff, maszerując z wysiłkiem przed siebie. Niech pomyślę. Numer jeden - Ao.

Ao, dziewczyna z Mniejszej Węgi o wybitnych zdolnościach hipnotycznych mogłaby być wspaniałą fasadą - oczywiście mówiąc w przenośni - dla poczynań Macduffa.

- Pożyczenie pieniędzy nie rozwiąże problemu numer jeden. Nawet jeżeli uda mi się namówić Ao, będę jeszcze załatwiać sprawę z jej opiekunem - problem numer dwa.

Problem numer dwa stanowił Algolianin zwany Ess Pu. Macduff zadał sobie trud stałego dowiadywania się o jego poczynaniach i stąd miał pewność, że Algolianin od dwu dni gra w kości niedaleko od centrum miasta, w Młynie Szczęścia Pod Ultrafioletową Latarnią.

Prawdopodobnie jego przeciwnikiem był wciąż burmistrz Aldebaran City.

- Co więcej - zastanawiał się Macduff - zarówno Ess Pu, jak i Ao mają bilety na „Suttera”.

Bardzo dobrze. Rozwiązanie jest proste. Pozostaje mi tylko przyłączyć się do gry, wygrać Ao i oba bilety, po czym strząsnąć kurz tej piekielnej planety ze swych stóp.

Niedbale kołysząc walizką, szybkim krokiem przemierzał boczne uliczki, wciąż słysząc w oddali narastający zgiełk, aż stanął u drzwi Młyna Szczęścia Pod Ultrafioletową Latarnią.

Niskie, łukowate wejście zasłonięto skórzanymi kotarami. Macduff zatrzymał się w progu i spojrzał za siebie, ze zdziwieniem stwierdzając, że w mieście panuje straszliwe zamieszanie. Podświadome poczucie winy oraz miłość własna sprawiły, że przez moment zastanawiał się czy to nie z jego powodu. Ponieważ jednak w swojej długiej karierze tylko raz skierował przeciwko sobie gniew mieszkańców całej planety, zdecydował, że najprawdopodobniej gdzieś się pali.

Tak więc rozchylił zasłony i wszedł pod Ultrafioletową Latarnię, rozglądając się pilnie, czy nie ujrzy gdzieś Angusa Ramsaya. Ramsay, jak czytelnik łatwo zgadnie, to rudowłosy mężczyzna niecznie zniesławiający Macduffa w teatrze.

- A przecież sam nalegał na kupno butelki eliksiru rozmyślał niefortunny wynalazca. - No, nie ma go tu, ale jest Ess Pu. Dałem mu tysiąc okazji, ale nie skorzystał z mojej wspaniałomyślności i nie sprzedał mi Ao. Teraz poniesie konsekwencje swego uporu.

Napinając mięśnie swych wąskich ramion (bo nie można zaprzeczać, że Macduff przypominał nieco gruszkę) przedarł się w kąt sali, gdzie Ess Pu pochylał się nad zielonym stolikiem razem ze swym towarzyszem, burmistrzem. Nieobytemu w kosmosie

obserwatorowi mogło się wydawać, że to tylko niewinna partyjka kości rozgrywana między jednym z lokalnych badylarzy, a homarem. Jednak Macduff był prawdziwym kosmopolitą. Już podczas pierwszego spotkania z Ess Pu, kilka tygodni wcześniej, dostrzegł w nim godnego uwagi, groźnego przeciwnika.

Wszyscy Algolianie są niebezpieczni i powszechnie znani ze skłonności do waśni, gwałtownych wybuchów wściekłości oraz odwróconej skali uczuć.

- To nadzwyczajne - rozmyślał Macduff, wpatrując się intensywnie w Ess Pu. - Oni czują się dobrze tylko wtedy, gdy kogoś nienawidzą. Uczucia przyjemności i bólu zamieniły się u nich miejscami. Algolianie kultywują wściekłość, nienawiść i okrucieństwo. Pożałowania godny stan rzeczy. Ess Pu z chrzęstem oparł pokryty łuską łokieć na stole i potrząsnął kubkiem przed nosem kulącego się przeciwnika. Ponieważ postać aldebarańskiego badylarza jest każdemu dobrze znana dzięki popularności ich programów wideo, nie muszą bliżej opisywać burmistrza.

Macduff opadł na najbliższy fotel i trzymając walizeczkę na kolanach, otworzył ją, po czym pospieszenie przejrzał różnorodną zawartość, na którą składały się między innymi: komplet kart do taroka, kilka grawerowanych sztabek plutonu (bezwartościowych) i wiele buteleczek z próbkami hormonów i izotopów. Miał tam również małą kapsułkę letejskiego pyłu, tego nieprzyjemnego narkotyku działającego na psychokinetyczne sprzężenie zwrotne. Tak, jak uszkodzenie mózdzku powoduje niezdolność podjęcia jakiegokolwiek decyzji, tak pył letejski narusza mechanizm psychokinezy. Macduff czuł, że nieco zamieszania w psychice Ess Pu może okazać się korzystne. Z tą myślą uważnie śledził grę.

Algolianin powiódł po stole spojrzeniem swych osadzonych na ruchomych słupkach oczu. Pofałdowane błony wokół jego pyska przybrały bladą barwę. Kości potoczyły się z grzechotem. Wypadło siedem. Membrany Ess Pu stały się zielone. Jedna z kości zadrżała jeszcze, zakolysała się i przetoczyła, dając jedynekę. Zadowolony Algolianin trzasnął szczypcami, burmistrz załamał ręce, a Macduff, wydając okrzyki podziwu, pochylił się, by poklepać spadzisty grzbiet Ess Pu, jednocześnie zręcznie wsypując zawartość kapsułki do jego kieliszka.

- Kolego - rzekł z zachwytem do homara. - Przemierzyłem galaktykę od końca do końca i nigdy jeszcze...

- Phe! - odparł kwaśno Ess Pu, zagarniając wygraną. Dodał też, że nie sprzedałby Ao, nawet gdyby mógł. Więc zjeżdżaj stąd! - zakończył, trzaskając pogardliwie kleszczami przed nosem Macduffa.

- Czemu nie możesz jej sprzedać? - dopytywał się ten ostatni. - Chociaż „sprzedaż” to w tym wypadku zupełnie niewłaściwe słowo. Mam na myśli...

Zrozumiał, że Algolianin odstąpił Ao burmistrzowi. Macduff zwrócił zdziwiony wzrok na tę wybitną osobistość, która wyraźnie czuła się nieswojo.

- Nie poznałem Waszej Dostojności - powiedział Macduff. - Z trudnością rozróżniam przedstawicieli niehumanoidalnych ras. Czyżbym dobrze zrozumiał - mówiłeś, że sprzedałeś ją burmistrzowi, Ess Pu? O ile pamiętam, Zarząd Mniejszej Węgi tylko oddaje w dzierżawę odpowiednim opiekunom...

- Ess Pu zrzekł się opieki na moją rzecz - wtrącił pospieszenie burmistrz, łząc w żywe oczy.

- Wynoś się - warknął Algolianin. - Nic ci po Ao. Ona jest objet d'art.

- Twoja znajomość francuskiego jest wspaniała rzekł taktownie Macduff - jak na homara. A jeśli chodzi o tę prześliczną istotę, to w moich badaniach naukowych zamierzam się niebawem zająć prognozowaniem nastrojów dużych zbiorowisk. Jak wszyscy wiemy, mieszkańcy Mniejszej Węgi mają dziwną zdolność wprowadzania słuchaczy w stan oszołomienia. Mając na podium taką dziewczynę jak Ao, mógłbym być pewny zainteresowania audytorium.

Przerwał mu przeraźliwy pisk wideoodbiornika. Wszyscy spojrzeli na ekrany. Dodatkowe aparaty na podczerwień i ultrafiolet zainstalowane dla gości o zróżnicowanych systemach postrzegania, mruzczały cicho. Na wszystkich widać było wybałuszone oczy spikera odczytującego komunikat.

- Liga Ochrony Moralności zwołała już walne zebranie członków.

Wyglądający na przestraszonego burmistrz zaczął się podnosić, ale najwidoczniej uznał, że lepiej dać temu spokój. Wszystko wskazywało na to, że ma coś na sumieniu. Zapytany o to Ess Pu w wulgarny sposób doradził Macduffowi opuścić lokal i nadął się przy tym obraźliwie.

- Phi - odparł nieustraszony Macduff wiedząc, że biega szybciej od niego. - Każ się wypchać! Błony Algolianina stały się szkarłatne z wściekłości. Nim zdołał coś powiedzieć, Macduff zaproponował szybko, że odkupi bilet Ao, czego nie mógł, a nawet nie miał zamiaru zrobić.

- Nie mam jej biletu - ryknął homar. - Ona go ma! A teraz wynoś się zanim...

Zakrzuszył się z wściekłości, zakaszła i wychylił swój kielich. Ignorując Macduffa wyrzucił szóstkę i popchnął stos żetonów na środek stołu. Burmistrz z nerwowym zainteresowaniem zerknął na wideoekran i postawił również. W tym momencie odbiornik zawył przeraźliwie głosem sprawozdawcy:

- ...tłumy demonstrantów maszerujących na siedzibę rządu! Rozgniewana ludność domaga się usunięcia obecnej administracji, oskarżając ją o korupcję i nieudolność! Bezpośrednią przyczyną rozruchów było prawdopodobnie ujawnienie machinacji niejakiego Macduffa... Burmistrz Aldebaran City podskoczył i rzucił się do ucieczki, lecz Ess Pu chwycił go szczypcami za poły surduta. Video wciąż piszczało okrutnie, podając aż nazbyt dokładny opis wynalazcy Elikseru Odmładzającego i tylko mglista atmosfera chroniła Macduffa przed natychmiastowym rozpoznaniem. Stał miotany wątpliwościami; rozsądek mówił mu, że powinien jak najprędzej opuścić lokal, ale instynktownie czuł, że przy stole wydarzy się coś ciekawego.

- Muszę iść do domu! - jęczał burmistrz. - Sprawy niezwyklej wagi...

- Stawiasz Ao? - dopytywał się skorupiak, znacząco potrząsając kleszczami. - Stawiasz, co? Prawda? No, powiedz!

- Tak! - krzyknął udręczony burmistrz. - Och tak, tak, tak! Co chcesz!

- Miałem szóstkę - przypomniał Ess Pu grzechocząc kubkiem. Membrany przy jego pysku pokryły się dziwnymi cętkami, a oczy poruszały się niepokojąco na ruchomych słupkach. Przypomniawszy sobie o pyłe letyjskim, Macduff zaczął powoli przesuwać się do wyjścia. Rozległ się ryk zdumienia i wściekłości, gdy Algolianin ujrzał, jak nieposłuszne jego woli kości upadły, dając siedem. Chwycił się za gardło, porwał swój kielich i podejrzliwie zerknął do środka. Było po zawodach. Młyn Szczęścia zatrzęsł się od dzikich wrzasków homara, ale Macduff już wysliznął się na zewnątrz i podreptał szybko ulicą, niknąc w chłodnych, przesyconych zapachem piżma, mrokach aldebarańskiej nocy.

- Mimo wszystko, nadal muszę zdobyć bilet - rozmyślał. - A także Ao, jeżeli to możliwe.

Pójdę do pałacu burmistrza. Chyba, że rozedrą mnie na strzępy - dodał, skręcając w bok, by uniknąć wymachujących pochodniami tłumów przewalających się bezładnie ulicami miasta.

- Jakże to zabawne. W takich chwilach jestem dumny, że należę do cywilizowanej rasy. Nie ma to jak nasz Układ Słoneczny - podsumował i na widok nadciągającej ciżby przeczłogał się pospiesznie pod ogrodzeniem. Przedostawszy się na drugą stronę, przeciął zaułek i dotarł do tylnych drzwi luksusowej siedziby z różowego porfiru. Mocno zastukał kołatką do hebanowych drzwi. Z cichym szmerem odsunięto otwór judasza. Macduff wbił stanowcze spojrzenie w niewidocznego odźwiernego.

- Wiadomość od burmistrza - oznajmił rześkim głosem. - Ma kłopoty. Wysłał mnie, żebym niezwłocznie przyprowadził mu tę dziewczynę z Mniejszej Węgi. To kwestia życia i śmierci. Pospiesz się!

Zza furty doleciał cichy okrzyk zdumienia i odgłos oddalających się kroków. Po chwili drzwi otwarły się, ukazując burmistrza we własnej osobie.

- Tu! - krzyknął oszalały ze strachu urzędnik. - Jest twoja. Tylko zabierz ją stąd natychmiast. Nigdy w życiu nie widziałem Ess Pu. Nie widziałem ciebie. Jej też nie widziałem na oczy. Nikogo nie widziałem. Och, ci zwariowani reformatorzy! Wystarczy cień podejrzania i będę zgubiony, zgubiony!

Trochę zdziwiony niespodziewanym uśmiechem losu, Macduff w pełni dorósł do sytuacji.

- Może pan na mnie polegać - rzekł nieszczęśliwej jarzynie, gdy smukłą i piękną dziewczynę wypchnięto za próg. - Opuści Tau Aldebarana jutro o świcie. Niezwłocznie zabiorę ją na pokład „Suttera”.

- Tak, tak, dobrze! - odparł burmistrz, bezskutecznie próbując zamknąć drzwi, co uniemożliwiła stopa Macduffa.

- Ma swój bilet na statek?

- Bilet? Jaki bilet? A tak, ma. Przypięty do opaski na przegubie. Och! Nadchodzą! Patrzcie! Przerażony burmistrz zatrzasnął drzwi. Macduff chwycił Ao za rękę i pomknął z nią w gąszcz krzewów otaczających plac. W chwilę później pochłonęła ich gęsta mgła i labirynt uliczek Aldebaran City.

W pierwszej napotkanej sieni Macduff przystanął i spojrzął na Ao. Warto było na nią popatrzeć. Stała, nie myśląc kompletnie o niczym. Nie musiała w ogóle myśleć. Była zbyt piękna.

Nikomus jeszcze nie udało się opisać istot z Mniejszej Węgi i prawdopodobnie nikomu się to nie uda. Mózgi elektronowe psują się i rtęć ścina się w ich komórkach pamięci przy próbach zanalizowania tego nieuchwytnego czynnika, zamieniającego każdego w słup soli. Niestety, cała ta rasa, a więc i Ao, nie grzeszy nadmiarem intelektu. Macduff spoglądał na dziewczynę z czysto platonycznym zachwytem.

Idealnie nadawała się na przynętę. Najwidoczniej mózg każdego mieszkańca Mniejszej Węgi emanuje jakieś nieznanne fale działające hipnotycznie. Macduff wiedział, że gdyby miał przy sobie Ao godzinę wcześniej, to niemal na pewno zdołałby uspokoić niesforne audytorium i zapobiec rozruchom. Magiczny urok Ao mógłby uspokoić nawet Angusa Ramsaya. Dziwne, ale wszelkie kontakty Ao z płcią odmienną miały wyłącznie platoniczny charakter, naturalnie z wyjątkiem przedstawicieli brzydszej połowy populacji Mniejszej Węgi. Wszystkim pozostałym wystarczyło jedynie spoglądanie na Ao. Prawdę mówiąc, wzrok nie miał z tym nic wspólnego, bo przecież każda rasa uznaje inne kanony piękna. A jednak wszystkie żywe organizmy podobnie reagują na obecność mieszkańców Mniejszej Węgi.

- Tu się coś szykuje, moja droga - rzekł Macduff, ruszając dalej. - Czemu burmistrz tak bardzo chciał się ciebie pozbyć? Oczywiście nie ma sensu pytać o to ciebie. Lepiej dostanemy się na pokład „Suttera”. Jestem pewny, że kapitan Masterson pożycz mi na bilet. Gdybym pomyślał o tym wcześniej, z pewnością namówiłbym burmistrza na małą pożyczkę... a może i nawet na dużą - dodał, przypominając sobie wyraźne objawy poczucia winy u tego zacnego obywatela. - Chyba straciłem okazję.

Ao z wdziękiem przeskoczyła przez błotnistą kałużę. Rozmyślała o przyjemniejszych i mniej przyziemnych sprawach.

Dochodzili już do kosmodromu, gdy dolatujące z oddali dźwięki i rosnąca luna zdradziły Macduffowi, że tłum podpalił porfirowy pałac burmistrza.

- To przecież tylko jarzyna - powiedział sobie - ale jednak czuję w sercu... Wielkie nieba! Przerwał wyraźnie wstrząśnięty. Przed sobą mieli zamglony kosmodrom, na którym opasłe cielsko „Suttera” tryskało blaskiem. Posłyszał odległy grzmiący pomruk - statek grzał silniki. Falujący tłum pasażerów kłębił się na pomoście.

- Rany boskie, odlatują! - wykrzyknął Macduff. To woła o pomstę do nieba. Nawet nie powiadomili pasażerów - a może ogłosili komunikat przez wideo. Tak, chyba tak zrobili. To

może spowodować szereg kłopotów. Kapitan Masterson będzie w sterowni, w pokoju z napisem „Nie przeszkadzać” na drzwiach. Start statku to skomplikowana sprawa. Jak na Tau Aldebarana dostać się we dwoje na pokład, mając tylko jeden bilet?

Silniki mrucały ponuro. Ciężkie pasma mgły snuły się po czarnobiałych płytach lądowiska. Macduff ruszył pędem, ciągnąc za sobą Ao, jakby była piórką.

- Mam pomysł - sapał. - Po pierwsze, trzeba się dostać na statek. Później, oczywiście, sprowadzą wszystkich pasażerów, ale kapitan... hm...

Uważnie przyjrzał się bystrookiemu oficerowi, stojącemu na końcu pomostu i sprawdzającemu bilety oraz nazwiska pasażerów na trzymanej w ręku liście. Podróżni, chociaż nieco zdenerwowani, przesuwali się we wzorowym porządku, najwidoczniej uspokojeni sugestywnym głosem stojącego przy luku pierwszego oficera. Macduff wpadł na pomost jak bomba, wlokąc za sobą Ao i wrzeszcząc ile sił w płucach.

- Nadchodzą! - ryczał, przedzierając się przez tłum i przewracając masywnego mieszkańca Saturna. - To drugie powstanie bokserów! Można by sądzić, że to inwazja Xerian! Wszyscy biegną wokół, krzycząc „Aldebaran dla Aldebarańczyków!”

Holuując Ao i młócąc wściekle walizką, wpadł w gęsty tłum pasażerów. Natychmiast zaczął biegać tam i z powrotem po pomoście, roztrącając stojących w kolejce i wrzeszcząc wniebogłosy. Oficer stojący przy luku próbował go przekrzyczeć - bez większych sukcesów. Usiłując trzymać się otrzymanych rozkazów, zapewnił, że chociaż kapitan został ranny, to nie ma powodu do niepokoju...

- Za późno! - zawył Macduff, pakując się w środek szybko rosnącej grupki poddających się panice. - Słyszycie, co krzyczą? Śmierć cudzoziemcom! Krwiożercze dzikusy. Za późno, za późno - dodał, przedzierając się z Ao przez ciżbę. - Zamknijcie luk! Do broni! Już tu są! W tym momencie kolejka rozsypała się i przerażeni pasażerowie różnych ras, niczym Lekka Brygada, zaszarżowali po pomoście. Kurczowo ściskając walizkę i Ao, Macduff poprowadził atak i w chwilę później znalazł się razem z wszystkimi na statku, pozostawiając za sobą leżących plackiem oficerów. Pospiesznie sprawdził swój stan posiadania i ruszył na poszukiwanie kryjówki. Nisko pochylony mknął korytarzem, aż wreszcie zwolnił, ale dalej szedł szybko. Jeśli nie liczyć Ao, wokół nie było nikogo. Z oddali dobiegały czyjeś przekleństwa.

- Panika ma swoje dobre strony - mrucał Macduff. - Nie miałem innego sposobu. Co ten głupiec mówił o kapitanie? Ranny? Mam nadzieję, że to nic poważnego. Muszę go naciągnąć na pożyczkę. No, moja droga, którą masz kabinę? A - jest. Przedział R. Lepiej ukryjmy się, aż do chwili, gdy będziemy w przestrzeni. Słyszysz ten sygnał? To oznacza, że startujemy, co odroczy kontrolę pasażerów. Do siatki, Ao!

Szarpięciem otworzył drzwi kabiny R i popchnął dziewczynę w kierunku sieci; pajęczej płataniny włókien, zwieszającej się z sufitu jak hamak.

- Wejdz tam i czekaj na mnie - nakazał. - Muszę znaleźć drugi hamak przeciwwstrząsowy. Delikatna siatka wabiła Ao niczym piana morskiej fali syrenę. W jednej chwili dziewczyna wtuliła się w miękkie wnętrze, spoglądając w dal rozmarzonym spojrzeniem. Nie myślała o niczym szczególnym.

- Bardzo dobrze - powiedział do siebie Macduff. Wyszedł, zamknął za sobą drzwi i ruszył do przedziału X, który na szczęście nie był zamknięty, a ponadto nikt nie zajmował jedyne hamaka.

- No - zaczął Macduff.

- To ty! - rozległ się nazbyt znajomy głos.

Macduff odwrócił się szybko na progu. Po drugiej stronie korytarza, w drzwiach przylegających do kabiny Ao stał znany już czytelnikom skorupiak.

- Co za niespodzianka - rzekł serdecznie Macduff. Mój stary przyjaciel Ess Pu. Jedyyny... ehm... Algolianin, którego chciałem...

Nie dano mu dokończyć. Wykrzykując coś, w czym można by z trudem rozróżnić słowa „pył” i „letejski”, Ess Pu runął naprzód, tocząc (no może nie dosłownie) spojrzeniem. Macduff pospiesznie zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz. Usłyszał głuchy łoskot i czyjeś zawzięte skrobanie.

- Bezczelne zakłócenie porządku publicznego - mamrotał do siebie.

Łomotanie do drzwi przybierało na sile. Nagle zagłuszył je dźwiękowy i poddźwiękowy sugestywny sygnał ostrzegający o natychmiastowym starcie. Napór na drzwi ustał. Klekot szczypiec ucichł w oddali. Macduff skoczył do siatki przeciwwstrząsowej. Chowając się w jej miękkich włóknach miał nadzieję, że kłopotliwy Algolianin nie zdąży na czas do swego hamaka i przyspieszenie rozgniecie go na podłodze. Silniki trysnęły ogniem, „Sutter” opuścił niespokojną planetę oraz jej wzburzonych mieszkańców, a kłopoty Macduffa dopiero się zaczęły.

Chyba już czas wyjaśnić pewne sprawy, w które bezwiednie wmieszał się Macduff.

Wspomniałem już mimochodem o takich, wydawać by się mogło, nie powiązanych ze sobą rzeczach, jak nasiona sphyghi i Xerianie.

W najdroższych perfumeriach, na najbardziej ekskluzywnych planetach można spotkać małe buteleczki zawierające kilka kropli płynu słomkowej barwy i noszące słynną etykietę „Sphyghi No. 00 „. Te perfumy nad perfumami kosztują tyle samo bez względu na to, czy sprzedawane są w zwykłej buteleczce, czy też w platynowym flakoniku wysadzonym klejnotami, a są tak drogie, że w porównaniu z nimi Cassandra, Radość Patou i Marsjańska Potyczka to taniocha.

Sphyghi to roślina endemiczna dla Tau Aldebarana. Jej nasiona strzeżone są tak troskliwie, że nawet największym rywalom Aldebarańczyków - Xerianom nie udało się ani siłą, ani podstępem, ani nawet w drodze uczciwego handlu zdobyć najmniejsze pestki. Powszechnie wiadomo, że Xerianie przehandlowaliby swoje dusze, a raczej swoją duszę za kilka nasion. Ze względu na podobieństwo do termitów zawsze istniały wątpliwości, czy pojedynczy Xerianin dysponuje własnym umysłem i wolą, czy też wszyscy przedstawiciele tej rasy są komórkami jednego wspólnego mózgu, wypełniającymi rozkazy zbiorowości.

Największy kłopot ze sphyghi to fakt, że cykl rozwojowy musi przebiegać w sposób niemal ciągły. Nasiona tracą zdolność kiełkowania po 30 godzinach od chwili zerwania owocu...

- Łagodny start - rozmyślał Macduff, gramoląc się z hamaka przeciwwstrząsowego. - Raczej nie należy się spodziewać, by Ess Pu doznał choćby nieskomplikowanego pęknięcia pancerza. Wyjrzał na zewnątrz i w tejże chwili drzwi po drugiej stronie otworzyły się z impetem, ukazując gotowego do ataku Algolianina. Macduff skoczył z powrotem do swej kabiny z szybkością przestraszonej gazeli.

- Jak szczur w pułapce - mamrotał, szybko przemierzając pomieszczenie. - Gdzie ten interkom? To woła o pomstę do nieba! No, tu jest. Proszę natychmiast połączyć mnie z kapitanem. Mówi Macduff, Terence Laot'se Macduff. Kapitan Masterson? Pan pozwoli, że pogratuluję udanego startu. Wspaniała robota. Słyszałem, że miał pan wypadek - mam nadzieję, że to nic poważnego?

Interkom zarzęził chrapliwie, nabrał tchu i rzekł:

- Macduff.

- Rana gardła? - zaryzykował Macduff. - Ale do rzeczy, kapitanie. Ma pan niebezpiecznego maniaka na pokładzie „Suttera”. Ten algoliański homar zupełnie zwariował i czyha pod moimi drzwiami - kabina X - gotów zabić mnie, jeśli wyjdę. Proszę uprzejmie przysłać tu paru uzbrojonych ludzi.

Z interkomu wydobyły się dziwne dźwięki, które Macduff przyjął za potwierdzenie.

- Dziękuję, kapitanie - rzekł uprzejmie. - Jest jeszcze tylko jedna drobna sprawa. Zmuszony okolicznościami przybyłem na pokład w ostatniej chwili i nie miałem możliwości wykupić biletu. Czas naglił, co więcej, musiałem zatroszczyć się o dziewczynę z Mniejszej Węgi, by uchronić ją przed niecnymi machinacjami Ess Pu i byłoby lepiej, gdyby wiadomość o jej obecności w kabinie R nie dotarła do tego homara.

Odetchnął głęboko i rzekł poufnie do interkomu:

- Miały miejsce przerażające wydarzenia, kapitanie Masterson. Prześladowała mnie żądna krwi tłuszczka, Ess Pu próbował mnie oszukać przy grze w kości, a Angus Ramsay groził mi...

- Ramsay?

- Być może słyszał pan to nazwisko, chociaż pewnie jest fałszywe. Wyrzucono go z trzaskiem ze służby za przemyt opium. Jestem przekonany...

Ktoś zastukał do drzwi kabiny i Macduff przerwał na chwilę.

- Szybka robota, kapitanie - powiedział. - Sądzę, że to pańscy ludzie?

Odpowiedział mu potwierdzający pomruk i stuk odkładanej słuchawki.

- Au revoir - rzekł Macduff i otworzył drzwi. Na zewnątrz stało dwóch umundurowanych członków załogi, spoglądając wyczekująco. Po drugiej stronie korytarza, w otwartych drzwiach stał Ess Pu, ciężko oddychając.

- Macie broń? - zapytał Macduff. - Ten zdradziecki skorupiak gotów was zaatakować.

- Kabina X - powiedział jeden z mężczyzn. - Pana nazwisko Macduff? Kapitan chce pana widzieć.

- Naturalnie - odparł Macduff, wyjął cygaro i odważnie wyszedł na korytarz, upewniwszy się jednak, że jeden ze strażników znajduje się między nim a Ess Pu. Nonszalancko przycinając cygaro, zatrzymał się nagle i nozdrza mu zadrgały.

- Chodźmy - powiedział strażnik.

Macduff nie poruszył się. Z otwartej kabiny Algolianina doleciał słaby, rozkoszny zapach - jak tchnienie rajy. Macduff nagle skończył zapalać cygaro i pospiesznie ruszając korytarzem, wydmuchnął wielki kłęb dymu.

- Chodźcie, chodźcie. Do kapitana. Muszę z nim się zobaczyć.

- To ci nowina - powiedział strażnik, wysuwając się naprzód, podczas gdy drugi szedł za Macduffem. Ten pozwolił się doprowadzić do kwater oficerskich, z upodobaniem przyglądając się swemu odbiciu w lustrzanych grodziach.

- Imponujący - mrucał do siebie, wydmuchując chmurę wonnego dymu. - Oczywiście, żaden tam gigant, ale bezsprzecznie imponujący na swój sposób. Nieco zbyt obfity brzuch świadczy jedynie o dobrym odżywianiu. A, kapitan Masterson! Bardzo dobrze, moi drodzy, możecie nas teraz zostawić samych. Zamknijcie drzwi wychodząc. No, kapitanie...

Urwał nagle. Mężczyzna za biurkiem powoli podniósł głowę. Jak każdy, oprócz najgłupszych czytelników, zgadł, był to Angus Ramsay.

- Przemyt opium, co!? - powiedział, wyszczerzając zęby do przerażonego Macduffa. -

Wyrzucony ze służby! Ty nędzny wyrzutku, oszczerco! Wiesz, co z tobą zrobię?!

- Bunt! - zakrzyknął Macduff. - Co pan tu robi? Zbuntował pan załogę i opanował „Suttera”? Ostrzegam, to nie ujdzie płazem! Gdzie kapitan Masterson?!

- Kapitan Masterson - odparł Ramsay z widocznym wysiłkiem opanowując gniew i zapominając na moment o brzydkim przyzwyczajeniu do posługiwania się slangiem - leży w szpitalu na Tau Aldebarana. Najwidoczniej biedak wpadł w ręce oszalałego tłumu. W

rezultacie to JA jestem kapitanem „Suttera”. Nie proponuj mi cygar, ty przeklęty łobuzie. Interesuje mnie tylko jedno. Nie masz biletu.

- Musiał mnie pan źle zrozumieć - powiedział Macduff. - Oczywiście, że mam bilet.

Wchodząc na pokład, oddałem go oficerowi. Tym interkomom zupełnie nie można wierzyć.

- Tak jak twojemu Eliksirowi Nieśmiertelności, albo niektórym graczom posługującym się kartami znaczonymi na podczerwień - wytknął kapitan Ramsay, znacząco zaciskając wielkie pięści.

- Odpowie pan za naruszenie nietykalności osobistej - powiedział Macduff z lekkim przestradchem. - Mam obywatelskie prawo...

- A, tak - zgodził się Ramsay - ale nie masz praw pasażera na tym statku. Tak więc, ty mikry bufonie, będziesz tyrać na swój bilet aż do pierwszego postoju na Xerii, a tam wykopimy cię na łeb na szyję.

- Kupię bilet - zaproponował Macduff. - W tej chwili, przypadkowo jest to dla mnie nieco kłopotliwe... - Jeżeli przyłapię cię na naciąganiu pasażerów, albo uprawianiu jakiegokolwiek hazardu z kimkolwiek, znajdziesz się w pace - powiedział krótko kapitan. - Wylany, co? Za szmugiel opium! Ha!

Macduff gorączkowo powoływał się na swoje prawa, na co Ramsay roześmiał się drwiąco:

- Gdybym cię dorwał na Aldebaranie - rzekł z wielką przyjemnością rozdarłbym twoje tłuste cielsko na strzępy. Tera będę mieć więcej zadowolenia wiedząc, że tyrasz ciężko ze smoluchami. Na tym statku będziesz uczciwy, choćbyś miał paść. A jeśli myślisz o tej dziewczynie z Mniejszej Węgi, to sprawdziłem wszystko dokładnie i w żaden sposób nie uda ci się podwędzić jej biletu.

- Nie może pan pozbawić jej opieki! To nieludzkie! krzyczał Macduff.

- Wynocha stąd! - przerwał gniewnie Ramsay wstając. - Do roboty!

- Chwileczkę - powiedział Macduff. - Pożaluje pan, jeśli mnie nie wysłucha. Na tym statku popełniono przestępstwo.

- Tak - odparł kapitan - i nawet wiem, kto je popełnił, gapowiczu. Wynos się!

Rzucił kilka słów do interkomu i w drzwiach pojawili się strażnicy, patrząc wyczekująco.

- Nie, nie! - wrzasnął Macduff, czując zbliżającą się nieuchronnie konieczność ciężkiej pracy.

- To Ess Pu! Algolianin! On...

- Jeżeli oszukałeś go, tak jak mnie... - zaczął kapitan Ramsay.

- To przemytnik! - krzyknął Macduff, szamocząc się w rękach strażników wynoszących go z pokoju. - Przemyca sphyghi z Tau Aldebarana! Mówię wam, czułem ten zapach! Ma pan kontrabandę na pokładzie, kapitanie Ramsay!

- Stać! - rozkazał Ramsay. - Postawcie go. Czy to nowa sztuczka?

- Czułem wyraźnie - upierał się Macduff. - Wiecie jak pachnie sphyghi. Nie można się pomylić. On musi mieć rośliny w kabinie.

- Rośliny? - zastanowił się Ramsay. - A to ci dopiero. Mhm. W porządku. Poproście tutaj Ess Pu.

Opadł na fotel, przyglądając się Macduffowi. Ten raźnie zatarł ręce.

- Może pan nic nie mówić, kapitanie. Nie ma potrzeby przeproszać za nadgorliwość.

Zdemaskowawszy tego niebezpiecznego Algolianina, wezmę go w krzyżowy ogień pytań, aż przyzna się do wszystkiego. Oczywiście, aresztuje go pan i jego kabina będzie pusta. Apeluję do pańskiego poczucia sprawiedliwości.

- Tss-powiedział kapitan Ramsay. - Zamknij dziób. Groźnie zmarszczony wpatrywał się w drzwi. Otworzyły się po chwili i wszedł Ess Pu. Człapał niezgrabnie w kierunku biurka, gdy nagle dostrzegł zniechęconego wroga. Natychmiast membrany przy pysku homara zaczerwieniły się gwałtownie, a zaciskające się kurczowo szczypce złowróźnie uniosły do ciosu.

- No, no, koleś! - ostrzegł Ramsay.

- Pewnie - zawtórował Macduff. - Pamiętaj, gdzie jesteś. Wszystko się wydało, Ess Pu. Kłamstwa nic ci nie pomogą. Krok po kroku kapitan i ja odkryliśmy prawdę. Opłacili cię Xerianie. Jako ich najemny szpieg wykradłeś nasiona sphyghi, milczące świadectwo twej winy masz w swojej kabinie.

Ramsay spoglądał na Algolianina w zadumie.

- Noo? - zapytał.

- Niech pan zaczeka - rzekł Macduff. - Kiedy Ess Pu przekona się, że wiemy wszystko, zrozumie bezsens swego uporu. Proszę mi pozwolić działać.

Ponieważ Macduffa najwidoczniej nie można było powstrzymać, kapitan mruknął coś niewyraźnie i wzięwszy gruby tom „Poradnika prawa międzygwiazdowego”, zaczął z powątpiewaniem przetrzucać kartki. Ess Pu gwałtownie zacisnął szczypce.

- Kiepski plan - rzekł Macduff. - Od samego początku nawet dla mnie, gościa na Tau Aldebarana, nie ulegało wątpliwości, że administracja planety przeżarta jest korupcją. Czy musimy daleko szukać odpowiedzi? Chyba nie. Obecnie zbliżamy się prosto do Xerii, której mieszkańcy od lat na wszystkie sposoby próbują złamać monopol sphyghi. Bardzo dobrze. Oskarżycielskim gestem wycelował cygaro w Algolianina.

- Opłacany przez Xerian, Ess Pu - ciągnął dalej przybyłeś na Tau Aldebarana i przekupiłeś kilku najwyższych urzędników, zdobyłeś kilka nasion sphyghi i przechytryłeś celników. Ciche poparcie burmistrza uzyskałeś, ofiarowując mu Ao. Nie musisz na razie odpowiadać dodał pospiesznie, nie mając zamiaru streszczać się w godzinie triumfu.

Ess Pu przypomniał sobie coś nagle i wydał z gardzieli odrażający odgłos:

- Pył letejski! Aaa! - zbulgotał, ruszając na Macduffa.

Ten pospiesznie umknął za biurko.

- Proszę zawołać swoich ludzi, kapitanie - poradził. - Wpadł w szal. Trzeba go rozbroić.

- Nie da się rozbroić Algolianina, nie rozczłonkując go - odparł z niejakim roztargnieniem Ramsay znad paragrafów. - Aaa - Ess Pu. Rozumiem, że nie zaprzeczasz?

- A jak ma zaprzeczać? - zapytał Macduff. - Ten krótkowzrostny łobuz zasadził nasiona w swojej kabinie i nawet nie umieścił tam neutralizatora zapachów. Nie zasługuje na litość, głupiec.

- Noo? - zapytał kapitan z dziwnym powątpiewaniem.

Ess Pu potrzęsnał wąskimi ramionami, znacząco trzasnął ogonem o podłogę i rozchylił pysk w imitacji uśmiechu.

- Sphyghi? - zapytał. - Pewnie. I co?

- Sam się przyznał - podchwycił Macduff. - Niczego więcej nie trzeba. Bierzcie go.

Podzielimy się nagrodą, kapitanie, jeżeli będzie jakaś.

- Nie - rzekł zdecydowanie Ramsay, odkładając po~ radnik. - Znowu wpadłeś, Macduff. Nie znasz się na prawie międzygwiazdowym. Znajdujemy się poza zasięgiem jonizacji Tau Aldebarana - a więc poza ich jurysdykcją - reszta to sama prawnicza paplanina. Jednak znaczenie tego paragrafu jest jasne. Aldebarańczycy mieli się troszczyć, bo nikt nie wykradł im nasion sphyghi, a skoro nie potrafili to ja nie będę się mieszał. Po prawdzie, nie mogę. To wbrew przepisom.

- Właśnie - rzekł Ess Pu z nieukrywanym zadowoleniem.

Macduff sapnął.

- Popiera pan przemysł?

- Jestem kryty - powiedział Algolianin, robiąc ordynarny gest do Macduffa.

- No - przyznał Ramsay - ma racje.. Prawo mówi o tym wyraźnie. O ile o mnie idzie, to Ess Pu może sobie trzymać sphyghi, stokrotki, a nawet zarzę - dodał w zadumie.

Homar parsknął i odwrócił się do drzwi. Macduff położył żałośnie rękę na ramieniu kapitana.

- Ale on mi groził! Moje życie jest w niebezpieczeństwie! Niech pan spojrzy na te szczypce.

- Tak - powiedział niechętnie Ramsay. - Wiesz, co grozi za zabójstwo, Ess Pu? Dobra. Rozkazuję ci nie mordować tego nędznego łajdaka. Jestem zmuszony trzymać się regulaminu, więc uważaj, żebym ja, albo ktoś z załogi, nie złapał cię na gorącym uczynku. Chwytasz? Ess Pu wydawał się chwytać. Zaśmiał się chrapliwie, trzasnął szczypcami i wymaszerował z pokoju, kolebiąc się z boku na bok. Obaj strażnicy stali przed drzwiami.

- Tutaj - rozkazał Ramsay. - Mam dla was robotę. Weźcie tego gapowicza do smoluchów i niech szef się nim zajmie.

- Nie, nie! - wrzeszczał Macduff, cofając się. - Ruszcie mnie tylko! Postawcie mnie! Bezczelność! Nie pójde! Puście mnie! Kapitanie Ramsay, żądam... Kapitanie Ramsay!

Na pokładzie „Suttera” minęło kilka dni, oczywiście relatywnych. Ao leżała zwinięta w swoim przeciwwstrząsowym hamaku, pogrążona w sennych marzeniach, zapatrzona w dal. Gdzieś wysoko w ścianie rozległo się posapywanie, odgłosy szurania i czyjeś chrząknięcie. Za kratką otworu wentylacyjnego pojawiła się twarz Macduffa.

- Ach, moja mała przyjaciółka - przywitał się uprzejmie. - Więc tutaj jesteś. Ostatnio muszę pełzać przewodami wentylacyjnymi jak jakiś fagocyt.

Dokładnie zbadał gęstą kratę.

- Przyspawana, tak jak wszystkie - stwierdził. W każdym razie widzę, że dobrze cię traktują, moja droga.

Spojrzał pożądliwie na obficie zastawioną tacę ze śniadaniem. Ao marzycielsko spoglądała w przestrzeń.

- Wysłałem depeszę - oznajmił głos z głębi ściany. Przehandlowałem kilka cennych klejnotów rodowych, jakie przypadkiem miałem przy sobie i zebrałem dość gotówki, by wysłać telegram po niżkowej taryfie. Na szczęście wciąż jeszcze mam swoją legitymację prasową. Wśród obfitej kolekcji dokumentów Macduffa najprawdopodobniej znajdowała się również legitymacja członkowska Klubu Niskich Miłośników Owsianki i Marszów, żeby podać najbardziej jaskrawy przykład.

- Co więcej, właśnie otrzymałem odpowiedź. Teraz muszę podjąć ogromne ryzyko, moja droga, naprawdę ogromne. Dzisiaj w mesie ogłoszą warunki loterii; to takie losowanie, wiesz? Muszę tam być, nawet narażając się na areszt lub poturbowanie przez Ess Pu. To nie będzie łatwe. Mogę rzec, że padłem tu ofiarą wszelkich wyobraźalnych zniewag, moja droga, oczywiście z wyjątkiem... co za bezczelność! - przerwał nagle, gdy sznur owiązany wokół jego kostki naprężył się i pociągnął go w głąb szybu. Krzyki Macduffa cichły w oddali. Słabnącym głosem oznajmił, że ma w kieszeni butelkę kwasu dwa-cztery-pięć-trójklorofenoksyoctowego, która może się zbić i zagrozić jego życiu. Po tych słowach jego głos przestał być słyszalny. Ao pozostała niewzruszona, ponieważ niezupełnie uświadomiła sobie krótkotrwałą obecność Macduffa.

- No tak - filozoficznie stwierdził ten ostatni, umykając korytarzem przed twardym czubkiem buta inspektora kontroli powietrza - sprawiedliwość jest ślepa. Oto podziękowanie za pracę w nadgodzinach - no, przynajmniej trzy minuty po fajrancie. Teraz jestem już wolny i mogę przystąpić do działania.

Pięć minut później, umknąwszy inspektorowi i wyglądziwszy co nieco zmierzwiłone piórka, śmiało ruszył do mesy.

- Jeden punkt na moją korzyść - rozmyślał. - Ess Pu najwidoczniej nie wie, że Ao jest na pokładzie. Gdy mnie gonił ostatnim razem, wciąż narzekał, że przeze mnie musiał zostawić ją na Aldebaranie. Niestety, jak do tej pory to jedyna moja przewaga. Teraz powinienem wmieszać się między pasażerów i nie dać się wykryć Ess Pu, kapitanowi Ramsayowi i reszcie załogi. Chciałbym mieć zdolności mieszkańca Ceres. No dobrze.

Ostrożnie zmierzając w stronę mesy, Macduff aż nazbyt intensywnie rozmyślał o serii prześladowających go ostatnio pechowych przypadków. Błyskawiczne tempo, w jakim staczał się po drabinie społecznej hierarchii na statku, miało w sobie coś niezwykłego.

- Chcecie zagonić Archimedesę do szuflowania? zapytał. - To tak, jak ważyć słonia na wadze analitycznej.

Kazali mu przestać gadać i zabrać się za łopatę. Natychmiast zaczął obmyślać najlepszy sposób wykorzystania zasady dźwigni. Trochę czasu zabrało mu dokładne wyliczenie współczynnika wpływu podprogowej radioaktywności na fale alfa mózgu.

- Inaczej wszystko może się zdarzyć - wyjaśnił demonstrując.

Łopata złamała się z trzaskiem.

Na prośbę szefa smoluchów, Macduffa przeniesiono do innej pracy. Jednak, co ze znacznym nakładem sił udowodniono, zakres posiadanej przez niego wiedzy nie obejmował wiadomości o prasowaniu śmieci, smarowaniu homeostatyczno-symbiotycznego mechanizmu kontrolnego zapewniającego wygodę pasażerom, czy też umiejętności sprawdzenia wskaźnika refrakcji termostatów bimetalicznych. Udowodnił to empirycznie. Tak więc, przeniesiono go do Działu Hydroponiki, gdzie spowodował wypadek z promieniotwórczym izotopem węgla. Macduff mówił potem, że to nie była wina izotopu, tylko gammeksenu, a raczej rezultat niedbałego zastosowania tego insektycydu bez mezo-inozytolu...

W każdym razie, kiedy trzydzieści stóp kwadratowych szklarniowego rabarbaru zaczęło wydychać tlenek węgla w wyniku nagłej mutacji spowodowanej gammeksenem, Macduffa wysłano prosto do kuchni, gdzie udało mu się dosypać hormonu wzrostu do zupy, doprowadzając niemalże do katastrofy.

Obecnie był raczej niezbyt cenionym pracownikiem Działu Kontroli Powietrza i wykonywał pracę, której nikt inny nie chciał robić. Coraz częściej wyczuwał rozchodzący się zapach sphyghi. Nic nie mogło zamaskować tej charakterystycznej woni, przechodzącej drogą osmozy przez błony komórkowe, sączącej się w każdy kąt statku i nozdrza wszystkich pasażerów.

Skradając się do mesy, Macduff stwierdził, że słowo sphyghi było na ustach wszystkich - tak jak przewidział.

Ostrożnie zatrzymał się na progu sali otaczającej cały statek niczym pas - a raczej krawat - tak, że podłoga wznosiła się stale w dwu kierunkach. Kiedy szło się w którąś stronę, miało się wrażenie, jakiego doznaje wiewiórka zamknięta w bębnie wirującym tak szybko, jak zwierzę porusza łapkami.

- Co za luksus! - pomyślał Macduff.

Jego dusza sybaryty wyrwała się do kuszących stolików zastawionych najróżniejszymi zimnymi zakąskami. Jak pałac z lodu ozdobny ruchomy bar przejechał obok po swej szynie. Orkiestra grała „Gwieździste Dni i Słoneczne Noce”, utwór naprawdę stosowny na statku lecącym w przestrzeni, a powietrze przesycił wspaniały zapach sphyghi.

Przez kilka minut Macduff stał z nierzucającą się w oczy godnością przy drzwiach, spoglądając na tłum pasażerów. Oczekiwał na pojawienie się kapitana Ramsaya. W końcu usłyszał głośny szmer zainteresowania i tłum pasażerów zbiegł po pochyłej podłodze salonu, skupiając się w jednym miejscu. Przybył kapitan. Macduff wtopił się w tłum i zniknął z szybkością meteorytu.

Z niezwykle uśmiechem na poznaczonej bliznami twarzy Ramsay stał na środku mesy. Nigdzie nie dostrzegł śladu Macduffa, chociaż od czasu do czasu zza szerokiego cielska przedstawiciela łuskoskrzydłych z Plutom dochodziły czyjeś cichcem mamrotane komentarze. Kapitan zabrał głos:

- Jak pewno wiecie - powiedział - mamy tu se ustalić zasady loterii. Niektórzy z was są być może pierwszy raz w kosmosie, więc mój zastępca wyjaśni, jak to się robi. Panie French, proszę. Pan French, poważny młody człowiek, odchrząknął, zastanowił się i spojrział uważnie na zebranych, gdy za plecami łuskoskrzydłego pasażera wybuchła krótkotrwała owacja.

- Dziękuję - powiedział. - Eee... wiele osób prawdopodobnie zna zasady starej loterii okrętowej, kiedy to pasażerowie zgadywali czas przybycia do portu. W kosmosie oczywiście sprężone układy wyrównawcze, efekторы i subtraktory kontrolują nasz statek tak dokładnie, że możemy być pewni, co do punktualnego przybycia na Xerię...

- Do rzeczy, człowieku, do rzeczy - rozległ się jakiś głos i kapitan Ramsay nerwowo spojrział w stronę pasażera Plutom.

- Ee... tak - ciągnął pan French. - Czy ktoś ma jakiś pomysł?

- Odgadnięcie daty na monecie - powiedział ktoś skwapliwie, ale został zagłuszony przez chór głosów wymieniających słowo sphyghi.

- Sphyghi? - zapytał kapitan Ramsay z nieszczerym zdziwieniem. - Mówcie o perfumach? Rozległ się śmiech zebranych. Myszowaty mieszkaniak Kapisto zabrał głos:

- Kapitanie Ramsay - powiedział. - A może urządzimy tutaj loterię z nasionami sphyghi, tak jak to robią na Tau Aldebarana? O ile wiem, polega to na odgadnięciu, ile nasion zawiera pierwszy owoc sezonu. Liczby nasion nie można przewidzieć. Czasem jest ich kilkaset, czasem kilka tysięcy i nie można ich policzyć, nie rozcinając owocu. Jeżeli Ess Pu wyrazi zgodę...

- Pozwólcie mi - powiedział kapitan - przekonać Algolianina.

Skorupiak ponuro spoglądał wokół i z początku opierał się, ale w końcu w zamian za połowę wygranej, wyraził zgodę. Tylko urok sphyghi i wyjątkowa szansa paplania o tej loterii przez wszystkie nadchodzące lata sprawiły, że podróżni pogodzili się z tym aktem bezgranicznej chciwości. Jednak w końcu wszystko uzgodniono.

- Stewardzi przejdą między wami - mówił Ramsay i rozdadał kartki. Należy na nich napisać swoje nazwisko i przypuszczalną liczbę nasion sphyghi, a następnie wrzucić do tej skrzynki. Tak, tak, Ess Pu. Będzie pan miał możliwość również wziąć udział, skoro pan nalega. Algolianin nalegał. Nie miał zamiaru tracić okazji. Po długim namyśle wpisał jakąś liczbę, ze złością wyskrobał swój podpis (fonetycznie) i miał zamiar się oddalić, gdy coś delikatniejszego niż zapach sphyghi rozeszło się w powietrzu. Rozmowy ucichły i wszystkie głowy odwróciły się. Zdziwiony Ess Pu rozejrzał się wokół i spojrział na drzwi. Jego wściekły ryk przez kilka sekund odbijał się od sufitu mesy. Stojąca na progu Ao nie zwróciła na to uwagi. Wpatrywała się gdzieś w dal swymi ślicznymi oczami, bezwiednie roztaczając wokół stężone fale uroku. Jej obecność podniosła temperaturę uczuciową wszystkich żywych istot w salonie i Ess Pu nie stanowił wyjątku. Tak, jak już mówiłem, dobre samopoczucie Algolianina wyraża się w bezgranicznej wściekłości. Ao nie zwracała na to najmniejszej uwagi.

- Moja! - dyszał homar, wymachując szczypcami przed nosem kapitana. - Ona jest moja!

- Weź te kleszcze, koleś - odparł z godnością Ramsay. - Chodź ze mną w ten tam kąt i spróbuj przedstawić swoją sprawę w grzeczniejszy sposób. Tera gadaj!

Ess Pu zażądał Ao. Wyjął dokument stwierdzający, że podróżował na Tau Aldebarana z Ao jako jej opiekun. Kapitan Ramsay niezdecydowanie potarł szczękę. W międzyczasie zakotłowało się wśród pasażerów wciskających zwinięte kartki do skrzynki. Zasapana, przysadzista postać Macduffa wypadła z tłumu w samą porę, by wyrwać dziewczynę z biorących ją w posiadanie szczypiec.

- Cofnij się homarze! - rozkazał z groźbą w głosie. Dotknij ją tylko, a pożałujesz!  
Ciągnąc za sobą dziewczynę, uskoczył przed atakiem Ess Pu za plecy kapitana Ramsaya.

- Tak myślałem - powiedział oficer, grożąc palcem skorupiakowi. - Czy nie mówiłem ci Macduff, żebyś nie zbliżał się do pasażerów?

- To wyraźne naruszenie prawa! - krzyknął Macduff. - Ao jest pod moją opieką, nie tego zbrodniarza.

- Możesz tego dowieść? - zapytał Ramsay. - On ma zaświadczenie. - Macduff wyrwał dokument ze szczypiec Ess Pu, przejrzał go pospiesznie, zmiął w kulę i cisnął na podłogę.

- Bzdura! - rzekł pogardliwie, oskarżycielskim gestem wyjmując depeszę. - Proszę czytać, kapitanie. Jak pan widzi wysłał ją Zarząd Mniejszej Węgi. Twierdzą, że Ao została nielegalnie wywieziona z planety i że Algolianina podejrzewa się o popełnienie tego przestępstwa.

- Co? - zdumiał się Ramsay. - Chwileczkę, Ess Pu! Jednak homar już pospiesznie przepychał się do wyjścia. Ramsay zmarszczył się, czytając depeszę, później rozejrzał się po sali i podszedł do dwumózgiego cefańskiego prokuratora znajdującego się wśród pasażerów. Po krótkiej chwili wrócił, potrząsając głową.

- Niewiele mogę zrobić, Macduff - rzekł. - To nie je naruszenie prawa międzygwiazdowego, niestety. Widzę, że mogię jedynie oddać Ao prawowitemu właścicielowi, a skoro takiego tu nie ma...

- Myli się pan, kapitanie - przerwał Macduff. Chce pan poznać jej prawowitego opiekuna? Stoi przed panem. Tu jest reszta depeszy.

- Co!?! - wykrzyknął kapitan Ramsay.

- Właśnie. Terence Lao-t'se Macduff. Tak tu jest napisane. Zarząd Mniejszej Węgi zaakceptował moją propozycję, została loco parentis dla Ao, pro tem.

- Dobra - odparł niechętnie oficer - Ao jest pod twoją opieką. Będziesz musiał uzgodnić to z władzami na Xerii, bo, jakem Angus Ramsay, wylecisz ze statku na zbity pysk, jak tylko tam wylądujemy. Możecie się tam tłuc z Ess Pu. A na razie - nie pozwalam członkowi załogi kręcić się wśród pasażerów. ODMASZEROWAĆ!

- Domagam się respektowania moich praw pasażera - powiedział z ożywieniem Macduff, cofając się jeden czy dwa kroki. - Losowanie jest wliczone w cenę biletu i żądam...

- Nie jesteś pasażerem. Jesteś niezdiscyplinowanym członkiem załogi.

- Ao jest pasażerką! - pisnął zadowolony Macduff. - Ma prawo wziąć udział w loterii, no nie? No więc kapitanie, proszę o kartkę!

Ramsay zamruczał coś przez zęby, lecz skinął na stewarda.

- Niech Ao wypełni kartkę - upierał się.

- Nonsens - powiedział Macduff. - Ao jest pod moją opieką, wypełnię to za nią. Co więcej, gdyby okazało się, że jakimś cudownym przypadkiem wygrała, moim obowiązkiem będzie zarządzać tymi pieniędzmi w jej najlepszym interesie, to znaczy, oczywiście, wykupić dla nas obojga bilety na Mniejszą Węgę.

- Po co ten raban? - zgodził się nagle kapitan. Jeżeli szczęście sprzyja ci aż tak i przydarzy się cud... Zaslaniając ręką kartkę, Macduff wypełnił ją szybko, zwinął i wrzucił w otwór skrzynki. Ramsay wziął lak od stewarda i zapieczętował pudełko.

- Osobiście - rzekł Macduff, przyglądając się temu czuję się przygnębiony atmosferą panującą na „Sutterze”. Patrząc na popieranie przemytu, krętackich praktyk adwokatów oraz hazardu, jestem zmuszony stwierdzić z niesmakiem, że pański statek, kapitanie, to gniazdo zbrodni. Chodźmy Ao, poszukamy świeżego powietrza.

Ao polizała swój kciuk i pomyślała o czymś bardzo przyjemnym, być może o smaku swego kciuka. Nikt się tego nie dowie.

Minęło trochę czasu, zarówno bergsoniańskiego jak i newtońskiego. Według jednego i drugiego wyglądało na to, że Macduff nie zagrzeje długo miejsca na statku.

- Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie - rzekł kapitan Ramsay do pierwszego oficera w dniu, gdy „Sutter” miał zgodnie z planem przybyć na Xerię. - Dziwi mnie tylko, że Macduffowi do tej pory udało się uniknąć szczypiec Ess Pu, skoro wciąż kręci się koło sphyghi. Nie mogę zrozumieć, co on chce osiągnąć, pętając się pod kabiną Algolianina z licznikami jodku sodu i spektroskopami. Cokolwiek napisał na swojej kartce i tak tego nie zmieni. Skrzynka z odpowiedziami jest w moim sejfie.

- A jeżeli znajdzie sposób otwierania sejfu? - dociekał młodszy oficer.

- Nie da rady - stwierdził kapitan - bo oprócz zamka czasowego sejf jest sprzężony z falami alfa mojego mózgu... o wilku mowa, panie French. Proszę spojrzeć, kto się zbliża.

Na korytarzu pojawiła się przysadzista, lecz zwinna sylwetka, zmykając o krok przed Algolianinem. Macduff dyszał ciężko. Na widok oficerów skoczył między nich jak pisklę pod opiekuńcze skrzydła kwoki. Zaślepiiony nienawiścią homar klapnął szczypcami przed nosem kapitana.

- Człowieku, opanuj się! - krzyknął ostro Ramsay. Ess Pu wydał niewyraźny bulgot i zamachał w powietrzu jakimś papierem.

- Człowieku, akurat! - rzekł z niejaką złośliwością Macduff ze swego chwilowego schronienia. - To tylko przerośnięty homar. Teraz każde większe stworzenie zaliczają do humanoidów; zupełnie obniżyli kryteria. Pcha się cała hołota z galaktyki. Marsjanie zrobili początek - a teraz to istny potop. Rozumiem potrzebę pewnego liberalizmu, ale to zagraża godności prawdziwych humanoidów, kiedy dumnego miana Człowiek używamy w stosunku do homara. Przecież to stworzenie nawet nie jest dwunogie. Prawdę mówiąc, sposób w jaki obnosi swój pancerz ma w sobie coś obrażającego moralność publiczną.

- No dobra, wiesz, że tylko mi się tak powiedziało. Co to jest, Ess Pu? Co za papier mi tu podtykasz?

Z nieskładnego bełkotu Algolianina oficerowie zrozumieli, że Macduff upuścił ten papier, uciekając. Skorupiak domagał się, by kapitan uważnie przeczytał te notatki.

- Później - odparł Ramsay, wpychając je do kieszeni. - Zara będziemy lądować na Xerii i musimy iść do sterowni. Odmaszerować, Macduff.

Macduff usłuchał ze zdumiewającą skwapliwością, przynajmniej dopóki znajdował się w zasięgu wzroku kapitana. Mamrocząc chrapliwie, Ess Pu ruszył w jego ślady. Dopiero wtedy kapitan wyjął papier z kieszeni. Przeczytał, prychnął i podał notatki pierwszemu oficerowi.

Jedną stronę kartki pokrywały następujące zapiski:

Problem:

Stwierdzić, ile nasion znajduje się w dojrzałym owocu, w którym zresztą nie wszystkie nasiona mogą być już uformowane? Zwykły zakres fał bezużyteczny.

Dzień pierwszy:

Próba oznakowania sphyghi izotopem promieniotwórczym tak, by można dzień po dniu liczyć rozpady i sporządzić wykresy. Nieudana. Ess Pu zastawił pułapkę, widoma oznaka przestępczej mentalności. Nie odniesiono obrażeń.

Dzień drugi:

Próba przekupienia Ess Pu Eliksiem Młodości. Niestety, zapomniano, że Algolianie gardzą młodością (małe mózdzki nade wszystko cenią wielkie rozmiary). Ess Pu wściekły.

Dzień trzeci:

Próba zogniskowania strumienia podczerwieni na sphyghi i określenia promieniowania wtórnego interferometrem akustycznym. Nieudana. Eksperyment z barwieniem komórek owocu falami świetlnymi. Nieudany.

Dzień czwarty:

Próba wpuszczenia chloroformu do kabiny Ess Pu. Nieudana. Niemożliwością jest zbliżenie się do owocu na tyle, by spróbować protonowego rezonansu jądrowego. Zaczynam podejrzewać, że Ess Pu był odpowiedzialny za wypadek kapitana Mastersona na Tau

Aldebarana. Prawdopodobnie zaszedł go z tyłu w ciemnej uliczce. Wszyscy brutalnie to tchórze. Uwaga: spróbować napuścić Xerian na Ess Pu po wylądowaniu. Jak? Na tym niby dziennik kończył się. French spojrzał pytająco.

- Nie wiedziałem, że Macduff stosuje takie naukowe metody - mruknął Ramsay. - To tylko potwierdza to, co Ess Pu mówił mi kilka dni wcześniej; że Macduff ciągle próbuje dostać się w pobliże sphyghi. Jednak nie dał rady i nie da. Tera musimy przygotować się do lądowania. Pospiesznie oddalił się razem z następującym mu na pięty Pierwszym. Przez chwilę na korytarzu było pusto i cicho. Potem wysoko na ścianie odezwał się interkom:

- Komunikat dla wszystkich. Pasażerowie i załoga „Suttera”, proszę o uwagę. Przygotować się do lądowania. Niezwłocznie po wylądowaniu pasażerowie zbiorą się w mesie i poddadzą xeriańskiej kontroli celnej. Zostaną także podane wyniki loterii. Obecność obowiązkowa. Dziękujemy.

Zapadła cisza przerywana tylko odgłosem ciężkiego oddechu i w końcu ktoś inny powiedział: - To było też do ciebie, Macduff - rzekł ponuro. Wiesz?

Cztery minuty później „Sutter” wylądował na Xerii.

Protestującego Macduffa wyciągnięto z kabiny i zawleczono do salonu, gdzie zgromadzili się już wszyscy pasażerowie. Przybyli urzędnicy xeriańscy i z trudem tłumiąc radość, pobieżnie kontrolowali dokumenty pasażerów i bez zapału przeszukiwali statek w poszukiwaniu ukrytego towaru. Widać było wyraźnie, że interesuje ich tylko sphyghi. Na środku mesy ustawiono stół, a na nim sphyghi; każda roślinka w osobnej, małej doniczce. Pulchne, złote owoce zwieszały się z gałązek, a różowy połysk ich puszystej skórki świadczył, że są dojrzałe. Wokół rozchodził się niebiański zapach. Ess Pu stał na straży, od czasu do czasu zamieniając kilka słów z przywódcą Xerian, który już zdążył przypiąć medal do skorupy Algolianina.

- To bezczelność! - wykrzykiwał szamocząc się Macduff. - Potrzebowałem jeszcze tylko kilka minut, by zakończyć pewne ważne badania...

- Przestań kłapać dziobem - powiedział mu kapitan Ramsay. - Sam osobiście z wielką przyjemnością wykopię cię z „Suttera”.

- Zostawicie mnie na łasce tego homara? On mnie zabije! Odwołuję się do naszej humanoidalnej wspólnoty... Kapitan Ramsay naradził się krótko z przywódcą Xerian, który skinął głową:

- Ma pan rację, kapitanie - powiedział, czy też powiedziało w pedantyczny sposób. - Według naszych praw dłużnicy odpracowują długi, a okaleczenie jest karane zależnie od skutków i napastnik musi zapłacić pełne odszkodowanie. Zabójstwo, naturalnie, karzemy śmiercią.

Dlaczego pan pyta?

- Czy to odnosi się nawet do Ess Pu? - nalegał kapitan.

- Oczywiście - odparł Xerianin.

- No, dobra - powiedział znacząco Ramsay do Macduffa.

- Dobra? Będzie tak bogaty, że może sobie pozwolić na zapłacenie sporego odszkodowania za przyjemność okaleczenia mojej osoby! Łatwo nabawiam się siniaków.

- Ale przynajmniej cię nie zabije - uspokajał go Ramsay. - To będzie dla ciebie nauczka, Macduff.

- Skoro tak, to przynajmniej porządnie mu przedtem przyłożę - rzekł Macduff, wrywając najbliższemu pasażerowi solidną laskę z malakki i z donośnym trzaskiem opuszczając ją na pancerz homara. Algolianin wydał przeraźliwy świst i doprowadzony do białej gorączki runął na Macduffa, który posługując się laską jak rapierem, cofał się zwinnie, nie przestając zadawać groźnych ciosów.

- Chodź tu, ty przerośnięta przystawko - wykrzykiwał zuchwale. - Załatwmy to teraz!

- Wał, Macduff! - krzyknął rozentuzjasmowany erudyta z Ganimeda.

- Stać! - ryknął kapitan Ramsay, przywołując swych ludzi na pomoc. Jednak Xerianie byli pierwsi. Szybko zbudowali mur między walczącymi i jeden z nich wyrwał łaskę z dłoni Macduffa.

- Jeżeli cię zranił, Ess Pu, zapłaci odszkodowanie powiedział przywódca. - Tak mówi prawo. Jesteś ranny? Z nieartykułowanych dźwięków wynikało, że nie. Xeriański wymiar sprawiedliwości nie bierze pod uwagę zranionej dumy. Termity są z natury skromne.

- Ustalmy to wreszcie - rzekł kapitan Ramsay rozszłoszczony obróceniem jego mesy w ruinę. - Tylko troje pasażerów wysiada tutaj. Ao, Ess Pu i Macduff.

Macduff rozejrzył się dookoła za Ao, znalazł ją i pospiesznie próbował ukryć się za jej plecami.

- A tak - powiedział Xerianin. - Ess Pu już wyjaśnił sprawę loterii. Pozwolimy na to, jednak pod pewnymi warunkami. Żaden nie-Xerianin nie podejdzie do tego stołu i ja osobiście policzę nasiona.

- W porządku - rzekł Ramsay, biorąc zapieczętowane pudełko i odchodząc na bok. - Kiedy przetniecie największy owoc i policzycie nasiona, ja otworzę urnę i ogłoszę zwycięzcę.

- Czekajcie! - wykrzyknął Macduff, ale nikt na niego nie zważał. Przywódca Xerian podniósł ze stołu srebrny nóż, wybrał największy, najbardziej dojrzały owoc sphyghi i przeciął go starannie na dwie połowy. Połówki potoczyły się po stole - ukazując idealnie pełne wnętrza... bez nasion. Trwożny krzyk Xerian odbił się echem po sali. Srebrne ostrze błysnęło, siekając owoc na kawałki. Jednak nawet jedno nasionko nie tkwiło w kremowej papce.

- Co się stało? - dopytywał się Macduff. - Nie ma nasion? To oszustwo. Nigdy nie dowierzałem temu Ess Pu. Nadymał się jak...

- Cisza! - przeciął zimno Xerianin.

Wśród posłusznego milczenia i rosnącego napięcia użył srebrnego noża jeszcze raz.

- Nie ma nasion? - zapytał tępo kapitan Ramsay, gdy otwarto ostatni owoc. Xerianin nie odpowiedział. Bawił się nożem i spoglądał na Ess Pu. Algolianin zdawał się być równie zdziwiony jak wszyscy, jednak, jak to głośno zauważył Macduff, z homarami nigdy nic nie wiadomo. Kapitan Ramsay odważnie przerwał milczenie, występując naprzód i przypominając urzędnikom, że reprezentuje tu GBI.

- Bez obawy - odparł chłodno Xerianin. - Na pokładzie pańskiego statku nie możemy nic zrobić, kapitanie.

- Od początku nie miałem zaufania do tego homara oznajmił tryumfalnie Macduff. - Wziął od was pieniądze i zmówił się z Aldebarańczykami. To zwyczajny oszust. Pospieszna ucieczka z Tau Aldebarana i znana skłonność do letejskiego pyłu...

Rycząc wściekle, Ess Pu runął na Macduffa, który w ostatniej chwili zdążył wyskoczyć przez otwarty luk na słabe światło xeriańskiego dnia. Ess Pu poczłapał za nim, klnąc głośno, z błonami pałającymi szkarłatem. Przywódca Xerian natychmiast wydał rozkaz i pozostali Xerianie wybiegli w ślad za nimi. Z zewnątrz dobiegły odległe, dziwne dźwięki. Po chwili zdyszany Macduff pojawił się sam.

- Dziwaczne stworzenia, ci Algolianie - rzekł poufnie do przywódcy, kiwając głową. - Widzę, że pańscy ludzie... ehm... tak, zatrzymali Ess Pu...

- Tak - odparł termit. - Na zewnątrz podlega naszej jurysdykcji.

- Tak też myślałem - mruknął Macduff, wolno podchodząc do Ao.

- Tera czekaj pan chwilę - powiedział Ramsay do Xerianina. - Nie...

- Nie jesteśmy barbarzyńcami - przerwał mu przywódca z godnością. - Daliśmy Ess Pu piętnaście milionów Kosmicznych Kredytów za tę robotę i zawiódł nas. Jeżeli nie może oddać tych piętnastu milionów plus koszty, będzie musiał to odpracować. Godzina pracy ludzkiej na Xerii tu Macduff przełknął nerwowo - ma wartość 1 /65 kredytu.

- To zupełnie wbrew przepisom - rzekł Ramsay ale to już nie moja sprawa. Macduff, przestań się uśmiechać. Ty też wysiadasz na Xerii, pamiętaj! Radzę ci schodzić Ess Pu z drogi.

- Sądzę, że będzie dość zajęty - odparł uprzejmie Macduff. - Z przykrością przypominam tak kompetentnemu oficerowi o jego obowiązkach, ale czy nie zapomniał pan o drobnej rzeczy - o loterii?

- Co? - Ramsay spojrział pustym wzrokiem na rozgnieciony owoc. - Loteria oczywiście jest odwołana.

- Bzdura - przerwał Macduff. - Tylko bez wykrętów. Można by pomyśleć, że usiłuje pan uniknąć wypłacenia nagrody.

- Jesteś stuknięty! Jakiej nagrody? Loteria polegała na tym, by odgadnąć ilość nasion sphyghi, a chyba nie- ulega wątpliwości, że owoc jest pusty. No więc? Jeżeli nikt nie ma zastrzeżeń...

- Ja mam! - krzyknął Macduff. - Dla dobra mojej podopiecznej żądam, by odczytać publicznie wszystkie kartki!

- Bądź rozsądny - naciskał kapitan. - Jeżeli chcesz tylko odsunąć ten przykry moment, kiedy wykopię cię z „Suttera”...

- Musi pan zakończyć loterię zgodnie z przepisami upierał się Macduff.

- Phe! Zamknij się nareszcie - warknął Ramsay, podnosząc zapieczętowaną skrzynkę i przyłączając do niej małe urządzenie. - Jak chcesz. Ale to cię i tak nie minie, Macduff. Tera proszę wszystkich o ciszę!

Przymknął oczy i przez chwilę bezgłośnie poruszał wargami. Pudełko otworzyło się nagle i z wnętrza wysypała się masa zwiniętych kartek. Ramsay skinął dłonią; jeden z pasażerów podszedł i zaczął głośno wyczytywać nazwiska i typowane liczby.

- Masz pięciominutowe odroczenie - mruknął cicho oficer do Macduffa. - Potem pójdziesz w ślady Ess Pu, a muszę rzec, że dla mnie to jasne; wywabieś go na zewnątrz celowo.

- Brednie - odparł raźnie Macduff. - Czy to moja wina, że ten skorupiak skierował przeciw mnie swe społeczne instynkty?

- A jak - powiedział Ramsay. - Wiesz dobrze, że tak było.

- Samiec Kor-ze-Kabloom, siedemset pięćdziesiąt wołał pasażer rozwijając kolejną kartkę. = Lorna Secundus, dwa tysiące dziewięćdziesiąt dziewięć. Ao, w zastępstwie...

Przerwał:

- No? - przynaglał go kapitan Ramsay, trzymając Macduffa za kołnierz. - No, ile?

- Terence Lao-t'se Macduff - ciągnął pasażer i znów przerwał.

- Co jest? Ile napisał? - gorączkował się kapitan. Stojąc przy otwartym luku i lekko unosząc nogę, gotował się do definitywnego rozstania z przyjmującym to zadziwiająco spokojnie Macduffem. - Pytałem o coś! Jaka liczba jest na kartce?

- Zero - powiedział pasażer słabym głosem:

- Właśnie! - stwierdził Macduff, wyrwijając się z rąk oficera. - A teraz, kapitanie, byłbym wdzięczny za wręczenie mi połowy wygranej jako opiekunowi Ao - po odjęciu naturalnie ceny naszych biletów na Mniejszą Wege. Jeżeli chodzi o część Ess Pu, to proszę wysłać mu te pieniądze razem z pozdrowieniami ode mnie. Być może odejmą mu kitka miesięcy z wyroku, który według moich obliczeń opiewa na 946 lat xeriańskich. Macduff wybacza nawet wrogom. Chodźmy, Ao, moja droga. Muszę wybrać odpowiednią kabinę.

To mówiąc zapalił nowe cygaro i odszedł wolno, pozostawiając kapitana Ramsaya wpatrzonemu przed siebie i poruszającego wargami jak w cichej modlitwie. Wreszcie krewki oficer odzyskał głos:

- Macduff! - zawołał. - Macduff! Jakiś to zrobił? - Dzięki naukowemu podejściu do sprawy - rzucił Macduff przez ramię.

Znany kabaret na Mniejszej Wedze rozbrzmiewał wesołym gwarem. Para komików przerzucała się dowcipami i żartami. Przy jednym ze stolików Ao siedziała z Macduffem i kapitanem Ramsayem.

- Wciąż czekam, aż mi wyjaśnisz, jak to zrobiłeś powiedział kapitan. - Jak umowa, to umowa. Podpisałem się pod twoim podaniem, no nie?

- Muszę przyznać - rzekł Macduff - że twój podpis ułatwił mi uzyskanie formalnej zgody na opiekę nad Ao, niech żyje sto lat. Szampana. Ao?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Z niezwykłym jak na nią zainteresowaniem spoglądała w oczy młodego samca z Mniejszej Wegi siedzącego w pobliżu.

- No - nalegał Ramsay. - Pamiętaj, że muszę zdać raport z całej podróży. Muszę wiedzieć, co się stało ze sphyghi. Z drugiej strony, czy myślisz, że padło mi na mózg i zagwarantowałem twoje pokrętne morale? Nie. Napisałem ostrożnie „o ile mi wiadomo”. Ale napisałeś na kartce zero na długo przedtem, nim owoc dojrzał, przecież sam widziałem!

- Racja - powiedział z prostotą Macduff, sząc szampana. - To była tylko kwestia odwrócenia uwagi przeciwnika. Myślę, że spokojnie mogę ci powiedzieć, jak to zrobiłem. Przypomnijmy sytuację. Zamierzasz pozostawić mnie na Xerii razem z tym homarem. Musiałem zmniejszyć jego przewagę, kompromitując go w oczach Xerian. Wygrana na loterii była tu tylko niespodziewanym efektem ubocznym. Po prostu dobrze zasłużony uśmiech losu, wsparty zastosowaniem naukowych metod pracy.

- Mówisz o tych notatkach, które znalazł Ess Pu - ta gadanina o interferometrach i analizatorach jonowych? To jednak znalazłeś jakiś sposób na policzenie nasion... och, widzę, że nie zgadłem, no nie?

- Jasne - Macduff pokręcił kieliszkiem i musnął swoje piórka. - Napisałem te notatki specjalnie dla Ess Pu. Sprawiałem, że był tak zajęty chronieniem sphyghi i ganiem za mną, że nie miał czasu pomyśleć.

- Dalej nic nie rozumiem - przyznał się Ramsay. Nawet jeżeli dowiedziałeś się jakoś, ile nasion jest w owocu, to jak mogłeś przewidzieć, że loteria będzie polegała akurat na tym?

- Och, to było najłatwiejsze. Weź pod uwagę okoliczności. Wszyscy mieli świeżo w pamięci loterię na Aldebaranie, a cały statek trząsł się od gadania na temat przemycanego sphyghi. Gdyby nikt tego nie zaproponował, ja sam podsunąłbym ten pomysł i... co jest? Odejdź! Spływaj!

Zwracał się do komików, którzy zbliżali się do stolika Macduffa. Kapitan Ramsay spojrział na nich w samą porę, by zobaczyć nowy skecz.

Rozśmieszanie widowni przez obrażanie kogoś ma wielowiekową tradycję, a galaktyczne podróże przyniosły wiele możliwości. Przedmiotem drwin stały się całe gatunki i rasy.

Dwaj komicy, gwarząc z ożywieniem, zaczęli udatnie naśladować dwie małpy zajęte iskaniem pcheł. Do chóralnego śmiechu nie przyłączyli się klienci pochodzący od małpy.

- Phi! - parsknął gniewnie Ramsay i zaczął podnosić się z krzesła. - Te cholerne...

- Cyt, cyt, kapitanie. Postaraj się popatrzeć na to obiektywnie. To tylko kwestia semantyki. Zrobił tolerancyjną minę.

- Bądź ponad to, tak jak ja to robię i podziwiał biegłość tych przebierańców w abstrakcyjnej sztuce naśladownictwa. Miałem właśnie wyjaśnić, dlaczego musiałem odwrócić uwagę Ess Pu. Obawiałem się, że może spostrzec, iż jest coś dziwnego w tak szybkim dojrzewaniu OWOCÓW.

- Pfe - powiedział Ramsay, lecz ponownie opadł na krzesło, ponieważ komicy rozpoczęli inny numer. - Dobra, mów dalej.

- Odwrócić uwagę - powiedział Macduff z zadowoleniem. - Widziałeś kiedyś gorszego członka załogi niż ja? - Nigdy - odparł Ramsay po krótkim namyśle. Nigdy w życiu.  
- Właśnie, Przerzucana mnie jak piłkę z działu do działu, aż w końcu trafiłem do Kontroli Powietrza - dokładnie tam, gdzie chciałem być. Pełzanie szybami wentylacyjnymi ma pewne zalety. Na przykład, wystarczyła mi tylko chwila i opróżniłem butelkę kwasu dwa-cztery-pięć-trójchlorofenoksyoctowego - z upodobaniem smakował nazwę związku - trójchlorofenoksyoctowego do wentylatora Ess Pu. Kwas musiał przeniknąć wszędzie - także do owoców sphyghi.

- Trójchloro - co? Mówisz, że zmajstrowałeś coś z owocami przed loterią?

Pewnie. Mówię ci, że loteria to tytko późniejszy produkt uboczny. Głównie zależało mi na wpakowaniu Ess Pu w kłopoty na Xerii, żeby ocalić własną ceną osobę. Na szczęście miałem przy sobie niezły zapas hormonów. Ten akurat, co Wie każde dziecko, znosi potrzebę zapytania krzyżowego;. Zgodnie z prawami biologii, w rezultacie otrzymujemy zawsze owoc bez nasion. Zapytaj każdego ogrodnika. Ciągłe się tak robi.

- Owoce bez nasion - powtórzył tępo Ramsay. - Zapylenie krzyżowe - o, do diabła!

Bez wątpienia Macduff miał jakieś skromne słowa na wargach, ale nagle jego uwagę przykuły występy komików. Przerwał w pół słowa, zaciągnął się cygarem i patrzył uważnie. Mniejszy z występujących zaczął kroczyć dumnie jak paw, strząsając popiół z wyimaginowanego cygara. Jego towarzysz wydał radosny okrzyk i uderzył go w głowę.

- Powiedz, bracie - krzyknął przenikliwym falsetem - co to za pingwin towarzyszył ci zeszłego wieczoru?

- To nie był pingwin - zachichotał radośnie pytany. - To Wenusjanin! W teje chwili na jego gest światło reflektora padło na pomarszczoną głowę Macduffa.

- Co? Co? Ośmieliliście się...! - wrzasnął rozwścieczony Macduff, z trudem odzyskując głos, wśród gromkiego śmiechu gości. - Oszczerstwa i kalumnie! Nigdy jeszcze mnie tak nie obrażono!

Kapitan dusił się ze śmiechu.

Nastroszony Macduff popatrzył groźnie wokół, wstał i chwycił Ao za rękę.

- Nie zwracaj na nich uwagi - sugerował Ramsay łamiącym się głosem - Mimo wszystko nie możesz zaprzeczyć, że jesteś Wenusjaninem z pochodzenia, Macduff, nawet jeśli twierdzisz, że wyklułeś się w Glasg... chciałem powiedzieć „urodziłeś”. Taa, z pochodzenia jesteś Szkotem i zaliczasz się do humanoidów, no nie? Nie jesteś bardziej pingwinem, niż ja małpą. Jednak Macduff już maszerował do drzwi. Ao posłusznie szła za nim, rzucając pożegnalne spojrzenia chłopcu z sąsiedniego stolika.

- Bezcelność! - powiedział Macduff.

- Wracaj, chłopie! - wołał za nim Ramsay, powstrzymując gwałtowny napad śmiechu. -

Pamiętaj o abstrakcyjnej sztuce naśladownictwa. To tylko kwestia semantyki...

Wyprostowany sztywno jak struna Macduff zignorował jego wołanie. Holując Ao i krocąc z godnością na krótkich, kaczyczych nóżkach, Terence Lao-t'se Macduff zniknął nieodwołalnie w mrokach nocy, mamrocząc coś pod nosem. Jak nawet najmniej rozgarnięty czytelnik pojmuje, Macduff niezupełnie był tym za kogo się podawał...

- Ha! - powiedział kapitan Ramsay z szerokim uśmiechem na twarzy - że też doczekałem takiej chwili! Kelner! Whisky - dość tego pieniącego się świństwa. Muszę uczcić nadzwyczajną okazję, istny dziw natury. Wiesz pan, że chyba po raz pierwszy w swoim życiu ten łobuz bez zasad opuścił scenę w pośpiechu i nie zostawił za sobą jakiegoś wykiwanego bidaka?

- Że co? O co chodzi? Jaki rachunek, tępaku? Przecież to Macduff mnie tu zaprosił i na jego... Jak...

- Cholera!

przeł. Zbigniew A. Królicki

Henry Kuttner      Idealna skrytka

Gallegher grał ze słuchu - byłoby to zupełnie naturalne, gdyby był muzykiem, ale Gallegher był uczonym. Zapijaczonym i narwanym, ale dobrym. Chciał być eksperymentującym technikiem i byłby w tym prawdopodobnie wybitny, ponieważ chwilami miał przebłycki geniusz. Niestety, brakło mu funduszy na tak wyspecjalizowane studia i dlatego Gallegher, z zawodu konserwator integratorów, utrzymywał swoje laboratorium jedynie jako hobby. Było to najkoszmarniej wyglądające laboratorium w całych sześciu stanach. Dziesięć miesięcy spędził budując urządzenie, które nazwał organami alkoholowymi. Mógł, leżąc na wygodnej, miękkiej kanapie i naciskając guziki wstrzykiwać do swego wygarbowanego gardła trunki cudownej jakości, różnorodności i ilości. Ponieważ jednak zbudował organy w przewlekłym stanie upojenia alkoholowego, nie pamiętał naturalnie zasady ich budowy. W pewnym sensie należało tego żałować.

W laboratorium było wszystkiego po trochu, większość rzeczy zupełnie ni przypiął, ni przyłatał. Reostaty miały maleńkie spódniczki jak baletnice i puste uśmiechy na glinianych twarzach. Prądnica rzucała się w oczy nazwą "Monstrum", a nieco mniejsza - etykietą głoszącą "Bełkotka". W szklanej retorce siedział porcelanowy królik i tylko Gallegher wiedział, jak on tam się znalazł. Zaraz za drzwiami warował ohydny pies z żelaza, pierwotnie ~ przeznaczony na ozdobę wiktoriańskich trawników czy może wrót piekielnych. Obecnie jego puste oczodoły służyły za uchwyty do probówek.

- Ale jak ty to robisz? - spytał Vanning.

Gallegher, którego wychudzona postać spoczywała rozciągnięta pod organami alkoholowymi, wstrzyknął sobie do ust podwójne martini.

- Hę?

- Słyszałeś przecież. Mógłbym ci zapewnić wspaniałą posadę, gdybyś potrafił robić użytek z tego swojego zwariowanego łba albo przynajmniej zaczął o siebie dbać.

- Próbowałem - mruknął Gallegher. - Nic z tego. Nie mogę pracować, kiedy się skupię.

Chyba, że robię coś mechanicznego. Moja podświadomość musi mieć bardzo wysoki iloraz inteligencji,

Vanning, przysadzisty, niewysoki mężczyzna z pobliźnioną, , śniadą twarzą, uderzał obcasami w Monstrum. Czasami Gallegher go martwił. Ten człowiek naprawdę nie zdawał sobie sprawy ze swoich możliwości ani z tego, jak wiele mogły one znaczyć dla Horace'a Vanninga, eksperta handlowego. "Handel" był naturalnie czymś całkowicie legalnym, ale współczesne, skomplikowane stosunki ekonomiczne pozostawiały wiele furtek, w które człowiek inteligentny mógł się wcisnąć. Prawdę powiedziawszy, Vanning zajmował się pokątnym doradztwem. Było to zajęcie popłatne. Gruntowna Znajomość prawa należała w tych czasach do rzadkości. Przepisy stanowiły taki gąszcz, że studiowanie prawa wymagało wieloletniego przygotowania. Ale Vanning miał wspaniale wyszkolony personel, ogromną

bibliotekę zawierającą wszelkie możliwe przepisy, decyzje i dane i za przyzwoite honorarium mógł powiedzieć na przykład doktorowi Crippenowi, jak bezpiecznie uniknąć płacenia podatku. Bardziej szemrane interesy załatwiał ściśle poufnie, bez żadnych pomocników. Na przykład sprawa takiej neurostrzelby...

Gallegher wynalazł tę wybitną broń nie zdając sobie nawet sprawy z jej znaczenia. Pewnego wieczoru, kiedy nawaliła mu spawarka, sklecił ją po prostu łącząc do kupy poszczególne części przylepcem. Gallegher dał to urządzenie Vanningowi, ale Vanning nie trzymał strzelby długo. Zarobił już tysiące kredytów pożyczając ją potencjalnym mordercom, przysparzając tym niemało kłopotu policji.

Na przykład przychodził do niego człowiek z branży i mówił:

- Słyszałem, że pan, potrafi pomóc, nawet jeśli komuś grozi wyrok za morderstwo. Gdybym tak na przykład...

- Wolnego! Nie mogę do czegoś takiego przykładać ręki.

- Hmmm. Ale...

- Teoretycznie rzece biorąc, przypuszczam, że zbrodnia doskonała jest możliwa. Przypuśćmy, że został wynaleziony nowy rodzaj broni i przypuśćmy, przykładowo; że znajduje się ona w schowku na Rakietodromie Pasażerskim w Newark.

- Hmmm?

- Ja tak tylko teoretyzuję. Sejf numer 79, kombinacja szyfrowa trzydzieści-coś-tam-osiem. Te drobne szczegóły zawsze pomagają w unaocznieniu sobie teorii, nieprawdaż?

- Pan chce powiedzieć...

- Naturalnie gdyby nasz morderca dorwał się do tej teoretycznej broni i się nią posłużył, byłby na tyle sprytny, żeby mieć w pogotowiu skrytkę pocztową pod adresem... powiedzmy: Sejf 40, Brooklyn Port. Mógłby wrzucić broń do skrytki, zapieczętować ją i pozbyć się obciążającego dowodu na pasie transmisyjnym najbliższego urzędu pocztowego. Ale to wszystko oczywiście teoria. Przykro mi bardzo, że nie mogę panu pomóc. Honorarium za rozmowę - trzy tysiące kredytów. Recepcjonistka przyjmie od pana czek.

Wyrok skazujący byłby w takim przypadku niemożliwy. Precedens: orzeczenie sądu 875-M, Policja Illinois, sprawa Dubsona z oskarżenia publicznego. Przyczyna śmierci musi zostać stwierdzona. Należy wziąć pod uwagę ewentualność wypadku. Jak stwierdził sędzia sądu najwyższego Duckett podczas procesu Sanderson contra Sanderson, gdzie chodziło o śmierć teściowej oskarżonej...

Bezwzględnie prokurator ze swoim sztabem biegłych toksykologów musi się zgodzić, że... Krótko mówiąc, Wysoki Sądzie, zgłaszam wniosek o umorzenie sprawy z braku dowodów i niemożliwości wyjaśnienia przyczyn śmierci...

Do Galleghera nigdy nawet nie dotarło, że jego neurostrzelba jest tak niebezpieczną bronią. Ale Vanning nawiedzał jego niechlujne laboratorium zachłannie śledząc wyniki naukowych igraszek przyjaciela. Nie jeden raz zyskał w ten sposób jakieś pożyteczne urządzenia. Kłopot polegał jednak na tym, że Gallegher nie chciał pracować!

Łyknął jeszcze raz martini, potrząsnął głową i podniósł swoje chude ciało. Mrugając podszedł leniwie do zawalonego różnymi rupieciami stołu laboratoryjnego i zaczął się bawić kawałkami drutu.

- Co robisz?

- Nie wiem. Bawię się. Bo tak to właśnie jest. Po prostu składam różne rzeczy do kupy i czasami coś z tego wychodzi... Tyle, że nigdy nie wiem co. Tss. - Gallegher zostawił druty i wrócił na kanapę. - A, do diabła z tym wszystkim.

Dziwadło, pomyślał Vanning. Gallegher był facetem z gruntu amoralnym, zupełnie nie na miejscu w tym skomplikowanym świecie. Z przewrotnym rozbawieniem patrzył na świat ze swego osobistego punktu obserwacyjnego niemal zupełnie obojętnie. No i robił różne rzeczy...

Ale wyłącznie dla własnej przyjemności. Vanning westchnął i rozejrzał się po laboratorium - jego pedantyczna dusza cierpiała męki na widok tego pobojuwiska. Machinalnie schylił się po leżący na podłodze zmięty fartuch i poszukał wzrokiem jakiegoś haczyka. Oczywiście nic takiego nie znalazł. Gallegher, który cierpiał na brak metali przewodzących, już dawno powyrywał ze ścian wszystkie haki i wykorzystał na różne sposoby.

Tak zwany uczony z półprzymkniętymi oczyma zrobił sobie klina. Vanning podszedł do stojącej w kącie metalowej szafki i otworzył ją. Nie było tam żadnych wieszaków, więc poskładał porządnie fartuch i położył go na dnie. Potem wrócił na swoje stanowisko na Monstrum.

- Napijesz się? - spytał Gallegher. Vanning potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję. Mam jutro sprawę.

- Zawsze jest jeszcze tiamina. Paskudztwo. Ja pracuję znacznie lepiej jak mam mózg obłożony poduszkami pneumatycznymi. - A ja nie.

- To tylko kwestia wprawy - mruknął! Gallegher - do której może dojść każdy, jeśli tylko... Na co się tak gapisz?

- Ta szafka... - powiedział Vanning marszcząc czoło ze zdziwieniem. - Zaraz, co to takiego... - Wstał. Metalowe drzwi pozostały nie domknięte i właśnie się otworzyły. A po fartuchu, który Vanning umieścił w metalowej przegródce, nie było śladu.

- To farba - wyjaśnił sennie Gallegher. - Coś w rodzaju impregnacji. Zbombardowałem wnętrze tej szafki promieniami gamma. Ale nie nadaje się do niczego.

Vanning podszedł i przesunął świetlówkę, żeby móc lepiej widzieć. Szafka nie była pusta, jak myślał w pierwszej chwili. Nie było w niej już wprawdzie fartucha, ale za to znajdowała się mała banieczka, czegoś... bladozielonego i z grubsza biorąc kulistego.

- Czy ona rozpuszcza różne rzeczy? - zapytał wytrzeszczając oczy.

- Aha. Wyciągnij to, to zobaczysz.

Vanning nie bardzo się kwapił z wsadzeniem ręki do środka. Znalazł długie uchwyty do próbek i wydłubał nimi kulkę. Była to... Szybko odwrócił głowę. Bolały go oczy. Zielona kulka zmieniała kolor, kształt i wielkość, aż przybrała postać nieforemnego pełzającego ruchu. Nagle uchwyty zrobiły się zadziwiająco ciężkie.

I nic dziwnego. Vanning trzymał w nich fartuch.

- O, takie właśnie płata figle - wyjaśnił obojętnie Gallegher:

- Musi być po temu jakiś powód. Te rzeczy, które wkładam do szafki, robią się małe. Ale jak je wyjmę, wracają do normalnych rozmiarów. Może mógłbym ją sprzedać jakiemuś magikowi powiedział z powątpiewaniem.

Vanning usiadł mnąc w palcach fartuch i przyglądając się metalowej szafce. Był to lśniący czarny prostopadłościan o wymiarach mniej więcej] 3 x 3 x 5 stóp, w środku wyłożony czymś, co przypominało szarawą farbę, płożoną na wtrysk.

- Jak tyś to zrobił?

- Co? Sam nie wiem. Tak mi jakoś samo wyszło. - Gallegher popijał swoją mieszankę piorunującą. - Może to sprawa rozciągłości wymiarów. Moja impregnacja mogła zmienić zależności czasoprzestrzenne wewnątrz szafki. Ciekawe, co to może znaczyć - mruknął na stronie. - Słowa mnie czasami przerażają. Vanning pomyślał o analogu sześcianu.

- To znaczy... chcesz powiedzieć, że ta szafka jest większa wewnątrz niż na zewnątrz.

- Paradoks, najrozkoszniejszy pod słońcem paradoks! Wyjaśnij mi to. Przypuszczam, że jej wnętrze w ogóle nie znajduje się; w tym kontinuum czasoprzestrzennym. No, spróbuj tam włożyć ten stół, to zobaczysz. - Gallegher nie zrobił najmniejszego wysiłku, by wstać, machnął tylko ręką w kierunku wyżej wzmiankowanego sprzętu.

- Masz racje. Ten stół jest większy od szafki.

- No jest. Spróbuj go wsunąć po kawałeczku. Najpierw tym rogiem. Śmiało.

Vanning przez chwilę zmagał się ze stołem. Mimo niskiego wzrostu był silny, jak zwykle ludzie krępi.

- Połóż szafkę, będzie ci łatwiej. Ja... uch... Okay, co dalej?

- No i wmanewruj do środka stół.

Vanning spojrział zezem na przyjaciela, wzruszył ramionami i spróbował wypełnić jego polecenie. Oczywiście stół nie chciał wejść do szafki. Wszedł tylko róg, a reszta naturalnie utknęła, kołysząc się niepewnie.

- No i?

- Poczekaj.

Stół poruszył się. I powoli osiadł na dnie. Vanningowi opadła szczeka, kiedy patrzył jak stopniowo wpełza do szafki łagodnym ruchem tonącego w wodzie, niezbyt ciężkiego przedmiotu. Nic go jednak nie wsysało, po prostu jak gdyby się roztopiał. Nie zmienione było tylko to, co wystawało na zewnątrz, ale po trochu zapadało się wszystko.

Vanning wychylił się. Smuga ruchu raziła go w oczy. Wewnątrz szafki było coś... co zmieniało kontury, kurczyło się, aż przybrało postać kolczastej nieregularnej piramidy w kolorze ciemnej czerwieni.

W najszerszym miejscu, po przekątnej, nie miała ona nawet czterech cali.

- Nie wierze w to - powiedział. Gallegher uśmiechnął się.

- Jak to książę Wellington powiedział do młodego oficera, była to bardzo mała butelka, sir.

- Zaraz, chwileczkę. Jak ja do diabła mogłem wpakować ośmiostopowy stół do pięciostopowej szafki?

- Dzięki Newtonowi - rzekł Gallegher. - Siła ciężkości. Napełnij próbkę wodą, to ci pokaże:

- Poczekaj... No, już. I co teraz?

- Do pełna nalaleś? Dobrze. W szufladzie z napisem "Bezpieczniki" znajdziesz kostki cukru. Połóż kostkę cukru na wierzchu próbki, tak, żeby jednym rogiem dotykała wody.

Vanning zastosował się do polecenia. - No i co?

- Co widzisz?

- Nic. Cukier nasiąka wodą i rozpuszcza się.

- No właśnie - powiedział Gallegher z naciskiem. Vanning spojrział na niego w zadumie i odwrócił się do próbki. Kostka cukru powoli rozpuszczała się i znikła. Po chwili już jej nie było.

- Powietrze i woda to zupełnie inne warunki fizyczne. W powietrzu kostka cukru może istnieć jako kostka cukru. W wodzie tylko jako roztwór. Ten jej róg, który sięga wody, podlega warunkom właściwym wodzie. Zmienia się więc w sensie fizycznym, choć nie w chemicznym. Reszta załatwia siła ciężkości.

- Mów jaśniej.

- Analogia jest wystarczająco jasna, ty głupku. Woda to jakby szczególne warunki panujące wewnątrz szafki. A cukier to stół. No i teraz: cukier wchłonął woda i stopniowo ją przeniknął; siła ciężkości wciągnęła rozpuszczającą się kostkę do próbki. Rozumiesz?

- Chyba tak. Stół wchłonął... wchłonął czynnik znajdujący się wewnątrz szafki, tak? Czynnik, który sprawił, że stół się skurczył...

- In partis, nie in toto. Po kawałeczku. Możesz przecież wpakować ludzkie ciało do niewielkiego pojemnika z kwasem siarkowym, też po kawałku.

- Och - powiedział Vanning spoglądając spode łba na szafkę. - A czy możesz ten stół wyciągnąć z powrotem?

- Sam to zrób. Po prostu wsadź tam rękę i wyjmij go.

- Wsadzić tam rękę? Nie mam najmniejszej ochoty narazić jej na to, że się rozpuści!

- Nie bój się. Ten proces nie jest natychmiastowy. Sam widziałeś. Zanim zmiana się zacznie, musi upłynąć kilka minut. Możesz sięgnąć ręką do szafki bez obawy o jakiegokolwiek przykre

skutki, pod warunkiem, że nie będziesz trzymał tam ręki dłużej, niż jakąś minuta. Zaraz ci pokaże. - Gallagher podniósł się leniwie, rozejrzał dokoła i wziął pustą butelka, a następnie włożył ją do szafki.

Zmiana rzeczywiście nie była natychmiastowa. Dokonywała się powoli - butla zmieniała kształt i wielkość po trochu, aż wreszcie przypominała zniekształcony sześcian wielkości mniej więcej kostki cukru. Gallagher wyjął go i położył na podłodze.

Sześcian zaczął rosnąć. Aż na przyjął postać butli. - A teraz stół. Uważaj.

Gallagher wyjął niewielką piramidka, która po chwili wróciła do swojej pierwotnej postaci.

- Widzisz? Założę się, że jakieś przedsiębiorstwo zajmujące się składowaniem wiele by za to dało. Można by tam pomieścić wszystkie meble z całego Brooklynu, ale byłyby kłopoty z wyjmowaniem poszczególnych rzeczy. Zmiany natury fizycznej, rozumiesz...

- Trzeba by mieć plan - rzucił Vanning w roztargnieniu. - Sporządzić rysunki znajdujących się wewnątrz przedmiotów i poznaczać je.

- Umysł prawniczy - zauważył Gallagher. - Napiłbym się czegoś. Wrócił na kanapa i zamknął syfon w śmiertelnym uścisku.

- Dam ci za tę szafka sześć kredytów - zaproponował Vanning. - Jest twoja. Zresztą i tak zajmuje mi za dużo miejsca. Szkoda, że jej samej nie mogę włożyć do środka. - Uczony zaśmiał się swobodnie. - To zabawne.

- Tak uważasz? - rzekł Vanning. - Proszę bardzo. - Wyjął z portfela kupony kredytowe. - Gdzie mam położyć forsz?

- Wsadź do Monstrum. Ono pełni rolę mojego banku... Dzięki. - No tak... Wiesz co, wyjaśnij mi trochę bliżej tę sztuczki z kostką cukru. Bo to przecież nie sama siła ciężkości wciąga kostka do próbówki, prawda? Czy to przypadkiem woda nie przenika cukru...

- Masz rację. Osmoza. Nie. Osmoza ma coś wspólnego z jajkami. Czy może to jest owulacja? Przewodnictwo, konwencja, absorpcja. Szkoda, że nie studiowałem fizyki, znałbym wtedy właściwe słowa. A tak - jestem kompletny osioł. = Gallagher pociągnął z syfonu.

- Absorpcja - Vanning spoglądał spode łba. - To nie tylko na tym polega, że cukier wchłania woda. To... to... w tym szczególnym przypadku... stół jak gdyby nasiąkł warunkami panującymi wewnątrz szafki.

- Jak gąbka albo bibuła. - Co, stół?

- Ja - odparł zwięźle Gallagher i pogrążył się w pełnej zadowolenia ciszy, przerywanej jedynie od czasu do czasu bulgotaniem, kiedy akurat wlewał sobie do przepitego gardła alkohol. Vanning westchnął i odwrócił się do szafki. Zanim ją uniósł w swoich muskularnych ramionach, starannie zamknął drzwiczki na klucz.

- Idziesz? No to dobranoc. Wszystkiego dobrego... wszystkiego dobrego...

- Dobranoc.

- Wszystkiego do-bre-go ! - zakończył Gallagher z melancholijną rytmicznością, układając się do snu.

Vanning westchnął ponownie i wyszedł w nocny chłód. Na niebie lśniły gwiazdy, tylko na południu przyćmiewała je luna Dolnego Manhattanu. Płonące białym światłem wieżowce tworzyły poszarpany wzór. Wielki neon podnosił zalety Vambuliny:

VAMBULINA CIF OŻYWI.

Śmigasz Vanninga stał przy krawężniku. Vanning załadował szafkę do środka i ruszył w stronę Hudson Floatway, najkrótszą drogą w kierunku śródmieścia. Przyszedł mu na myśl Poe. "Skradziony list" ukrywany w ten sposób, że leżał na wierzchu, tyle że wielokrotnie składany i przedadresowywany, zmienił swój wygląd zewnętrzny. Rany! Cóż za wspaniały sejf byłby z tej szafki. Żaden złodziej by się nie włamał z tej prostej przyczyny, że nie byłaby zamknięta. Żaden złodziej nie miałby powodu się włamywać. Vanning mógłby napęłnić sejf kuponami kredytowymi, które natychmiast stałyby się nierozpoznawalne. Idealna skrytka.

Ale na jakiej zasadzie ona do diabła działa?

Galleghera nie było nawet co pytać. Gallegher grał ze słuchu. Nie wiedział, że pierwiosnek rosnący nad brzegiem rzeki, zwykły pierwiosnek to *Primula vulgaris*. Pojęcie sylogizmu dla niego nie istniało. Dochodził do wniosków bez pomocy przesłanek ogólnych i szczegółowych.

Vanning zastanawiał się. Dwa przedmioty nie mogą przecież zajmować jednocześnie tej samej przestrzeni. A zatem w szafce istnieje jakaś inna przestrzeń...

Ale Vanning zgadywał. Przecież musiała być jakaś właściwie odpowiedź. Vanning jeszcze na nią nie wpadł.

Tymczasem jechał do śródmieścia, kierując swój śmigasz do biurowca, gdzie zajmował całe piętro. Wwiózł szafkę na górę windą towarową. Nie umieścił jej jednak w swoim prywatnym gabinecie. Byłaby to niepotrzebna ostentacja. Wstawił ją do magazynku, nasuwając na nią częściowo szafę biurową. Po co pracownicy mają używać właśnie tej szafki.

Vanning zrobił krok do tyłu i zaczął się zastanawiać. A może... Rozległ się cichy dzwonek. Zamyślony, nie usłyszał go w pierwszej chwili. Kiedy dzwonek przeniknął do jego świadomości, Vanning poszedł do gabinetu i wcisnął guzik wideofonu. Szara, surowa, brodata twarz mecenasa Hattona wypełniła ekran.

- Dzień dobry - powiedział Vanning. Hatton skinął głową.

- Usiłowałem pana złapać w domu. Ale nie zdołałem, więc dzwonię do biura...

- Nie sądziłem, że zadzwoni pan teraz. Sprawa jest jutro. Czy nie uważa pan, że trochę za późno na dyskusję?

- Ale Dugan i Synowie chcieli, żebym z panem porozmawiał. Odradzałem im to zresztą.

- Hm?

Hatton ściągnął gęste, ciemne brwi.

- Ja skarżę, jak pan wie. Jest bardzo dużo dowodów przeciwko MacIlsonowi.

- Tak pan mówi, ale sprzeniewierzenie jest niesłychanie trudne do udowodnienia.

- Czy ma pan jakieś zastrzeżenia przeciwko skopolaminie?

- Naturalnie - odparł Vanning. - Nie będzie pan stosował wobec mojego klienta wykrywacza kłamstw!

- To spowoduje uprzedzenie ze strony przysięgłych.

- Ależ nie. Ze względów natury medycznej. Skopolamina działa fatalnie na MacIlsona. Mam na to zaświadczenie.

- Fatalnie to właściwe słowo! - Ton Hattona zabrzmiał ostro. Pański klient zdefraudował te obligacje i mogę to udowodnić.

- Wartość dwudziestu pięciu tysięcy kredytów, tak? Duża strata dla Dugana i Synów. A co pan sądzi o hipotetycznej sprawie, którą przedstawiłem? Powiedzmy, że dwadzieścia tysięcy się znajdzie...

- Czy to prywatna linia? Nie jesteśmy nagrywani?

- Naturalnie. O, proszę, tu jest wyłącznik. - Vanning podniósł do góry sznur z metalową końcówką. - Ściśle sub rosa.

- To dobrze - odrzekł mecenas Hatton. - Wobec tego mogę panu swobodnie powiedzieć, że pan jest zwykły kanciarz...

- Phi!

- Stary kawał. Z taaaką brodą. MacIlson zwędził pięć kawałków w obligacjach wymienialnych na kredyty; rewidenci już to sprawdzają. A potem przychodzi do pana i pan go namawia, żeby wziął jeszcze dwadzieścia tysięcy i zaproponował, że je odda o ile Dugan i Synowie nie będą skarżyć. No i dzielcie się tymi pięcioma tysiącami. Co w nieruchomościach wcale nie jest tak mało.

- Do niczego takiego się nie przyznaję.

- Jasne, że nie. Nawet w rozmowie na linii prywatnej. Ale to się rozumie samo przez się. Tylko że numer jest stary i moi klienci nie zamierzają się z panem cackać, oddają sprawę do sądu.

- Zadzwoił pan tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

- Nie, chce po prostu wyjaśnić z panem sprawę przysięgłych. Czy zgadza się pan na użycie skopolaminy w stosunku do nich?

- W porządku - odparł Vanning. Nie interesowali go przysięgli. Będzie wygrywał subtelności prawne. Z przysięgłymi poddanymi próbie na skopolaminę szanse są równe. To oszczędzi wiele dni, a może nawet tygodni sporów i szarpaniny.

- Dobrze - mruknął Hatton. - Nie będzie co z pana zbierać. Vanning odpowiedział umiarkowanym przekleństwem i przerwał połączenie. Świadomość czekającej go pyskówki w sądzie wyparła z jego myśli szafka działająca na zasadzie czwartego wymiaru i Vanning wyszedł z biura. Później będzie miał dość czasu, żeby dokładniej zbadać możliwości, jakie krył w sobie osobliwy schowek. Nie chciał sobie teraz zaprzętać głowy sprawami nieistotnymi. Poszedł do domu, kazał służącej przyrządzić sobie mocnego drinka i padł na łóżko.

A nazajutrz wygrał sprawę. Stosując skomplikowane kruczki prawne i wykorzystując niejasne precedensy. Swój wywód oparł na tym, że obligacje nie zostały wymienione na kredyty rządowe. Zawile tabele ekonomiczne udowodniły to za Vanninga. Wymiana nawet picie tysięcy kredytów spowodowałaby falowanie krzywej wykresu, a nic takiego nie nastąpiło. Eksperti Vanninga wdali się w niesamowite wprost szczegóły. Aby udowodnić winę, trzeba było pokazać albo w sensie dosłownym, albo w drodze wnioskowania, że obligacje istniały od dwudziestego grudnia, a więc od daty ostatniej kontroli. Jako precedens posłużyła sprawa Donovan contra Jones.

Hatton zerwał się z miejsca.

- Wysoki Sądzie, Jones przyznał się później do defraudacji!

- Co nie ma żadnego wpływu na pierwotną decyzję - odparował gładko Vanning. - Prawo nie działa wstecz. Werdykt nie został udowodniony.

- Proszę obrona o kontynuowanie.

Obrona kontynuowała wznosząc wspaniale skomplikowany gmach kazuistycznej logiki.

Hatton szalał.

- Wysoki Sądzie, ja...

- Jeśli mój czcigodny przeciwnik przedstawi choćby jedną obligację - dosłownie jedną spośród wyżej wymienionych - poddam się.

Przewodniczący sądu miał ironiczną minę.

- Istotnie, jeśli taki dowód zostanie przedstawiony, oskarżony znajdzie się w więzieniu natychmiast po ogłoszeniu wyroku. Pan o tym dobrze wie, panie Vanning. Prosta kontynuować.

- Chętnie. A więc według mojej koncepcji owe obligacje nigdy nie istniały. Stanowiły one wynik błędu w liczeniu.

- Błąd w obliczeniach dokonywanych kalkulatorem Pedersona?

- Takie błędy się zdarzają, jak zaraz udowodnię. Chciałbym wezwać mojego następnego świadka...

Świadek, obliczeniowiec, nie prowokowany pytaniami, wyjaśnił, jak to kalkulator Pedersona może się mylić. Podawał przykłady. Hatton złapał go na jednym z nich.

- Protestuję, Wysoki Sądzie. W Rodezji, jak wszyscy wiedzą, zlokalizowano obiekty ważnej dziedziny przemysłu o charakterze eksperymentalnym. Świadek nie sprecyzował, o jaką produkcję chodzi w tej konkretnej fabryce. Czy przypadkiem nie dlatego, że Zjednoczone Zakłady Hendersona zajmują się głównie rudami radioaktywnymi?

- Świadek jest proszony o udzielenie odpowiedzi.

- Nie mogę. W moich dokumentach nie ma takiej informacji.  
- Dość znaczna luka - warknął Hatton. - Radioaktywność uszkadza delikatny mechanizm kalkulatora Pedersona. Ale w biurach firmy Dugan i Synowie nie ma ani radu, ani produktów jego rozkładu.

Wstał Vanning.

- Chciałbym zapytać, czy biura te były ostatnio wykadzane - Były. Jest to wymóg prawny.

- Użyto pewnego typu gazowego chloru? - Tak.

- Chciałbym wezwać mojego następnego świadka.

Następny świadek, fizyk, a zarazem pracownik Instytutu Ultraradowego, wyjaśnił, że promieniowanie gamma wpływa silnie na chlor powodując jonizację. Żywe organizmy mogą asymilować produkty rozkładu radu i dalej je przekazywać. Niektórzy klienci firmy Dugan i Synowie byli poddani działaniu radioaktywne mu...

- To śmieszne, Wysoki Sądzie! Czyste teoretyzowanie... Vanning robił wrażenie urażonego.

- Powołuję się na casus Dangerfield i Austro Products, Kalifornia, 1963. Przepis stanowi, że wątpliwości tłumaczy się na korzyść oskarżonego. Ja zmierzam po prostu do tego, że kalkulator Pedersona, którym liczone obligacje, mógł być wadliwy. Jeśli tak było rzeczywiście, to obligacje nie istniały, a zatem mój klient jest niewinny.

- Proszę kontynuować - powiedział sędzia, żalując, że nie jest Jeffriesem i nie może posłać całej tej cholernej bandy na szafot. Prawoznawstwo powinno się opierać na prawdzie, zamiast stanowić trójwymiarową grę w szachy. Ale jest to oczywiście naturalna konsekwencja zawiłości politycznych i ekonomicznych nowoczesnej cywilizacji. Już wtedy było wiadomo, że Vanning wygra sprawę.

No i wygrał. Przysięgli byli zmuszeni uznać racje obrony. W ostatnim desperackim zrywie Hatton zgłosił wniosek formalny i zażądał skopolaminy, ale jego wniosek został obalony.

Vanning mrugnął do swojego przeciwnika i zamknął teczkę.

Wrócił do swojego biura. O szesnastej trzydzieści zaczęły się kłopoty. Ledwie sekretarka zdążyła zapowiedzieć niejakiego pana MacIlsona, kiedy została odepchnięta przez szczupłego ciemnego mężczyznę w średnim wieku taszczącego zamszową walizkę gigantycznych rozmiarów.

- Vanning, musiałem się z tobą zobaczyć!...

Wzrok adwokata spochmurniał. Wstał zza biurka i skinieniem głowy odprawił sekretarkę.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, zapytał obcesowo:

- Co ty tu robisz? Powiedziałem ci, żebyś się trzymał ode mnie z daleka. Co masz w tej walizie?

- Obligacje - wyjaśnił MacIlson niepewnym głosem. - Coś nie wyszło...

- Szalony idioto! Żeby przynosić tutaj te obligacje... - Jednym skokiem Vanning znalazł się przy drzwiach i zamknął je starannie na klucz. - Czy nie rozumiesz, że jak tylko Hatton położy na nich łapy, natychmiast znajdziesz się z powrotem za kratkami? A mnie odbiorą prawo wykonywania zawodu?! Wynoś się z tym w tej chwili!

- Ale wysłuchaj mnie, dobrze? Poszedłem z tymi obligacjami do Zjednoczenia Finansowego, tak jak mi powiedziałeś, ale... ale tam już czekał na mnie policjant. Na szczęście w porę go zobaczyłem. Gdyby mnie złapał...

Vanning westchnął głęboko.

- Miałeś przecież zostawić te obligacje na dwa miesiące w skrytce na stacji kolei podziemnej...

MacIlson wyciągnął z kieszeni biuletyn.

- Ale rząd ogłosił zamrożenie akcji rodowych i obligacji. W ciągu tygodnia sprawa wejdzie w życie. Nie mogłem w tej sytuacji czekać, pieniądze byłyby zamrożone nie wiadomo na jak długo.

- Pokaż no ten biuletyn - Vanning przyjrzał mu się i zaklął cicho. - Skąd to wzięłeś?

- Kupiłem od chłopaka przed więzieniem. Chciałem sprawdzić bieżące notowania rudy.

- Mhm, rozumiem. A nie przyszło ci do głowy, że ten biuletyn może być sfalszowany? MacIlsonowi opadła szczęka. - Sfalszowany?

- Właśnie. Hatton się domyślił, że chcę cię wyciągnąć z pudła, i miał to w pogotowiu. A ty kupiłeś ten numer. Dostarczyłeś policji dowodów, a mnie postawiłeś w ładnej sytuacji.

- A... ale...

Vanning skrzywił się.

- A jak sądzisz, dlaczego widziałeś tego glinę w Zjednoczeniu Finansowym? Przecież mogli cię capnąć w każdej chwili. Ale oni woleli wystraszyć cię na tyle, żebyś przyszedł do mnie, bo wtedy pieką dwie pieczenie przy jednym ogniu! Dla ciebie paka, a ja się mogę pożegnać z prawem wykonywania zawodu. Cholera! MacIlson oblizwał usta.

- Czy nie mógłbym wyjść tylnymi drzwiami?

- Przez kordon policji, który tam niewątpliwie czeka? Bzdura! Nie bądź gorszym durniem, niż musisz !

- A czy... a czy ty nie możesz tego schować?

- Niby gdzie? Przecież prześwietlą moje biurko promieniami rentgena. Nie, ja po prostu... -

Vanning urwał. - Hmmm, ukryć je mówisz... U k r y ć . . .

Odwrócił się na pięcie do dyktografu.

- Panna Harton? Mam ważną konferencję. Proszę mi nie przeszkadzać pod żadnym pozorem. Gdyby pani ktokolwiek wręczył nakaz rewizji, proszę zażądać potwierdzenia przez centralę. Jasne? Okay.

W MacIlsona wstąpiła nadzieja.

- Czy... wszystko jest w porządku?

- Och, zamknij się! - warknął Vanning. - Zaczekaj tu na mnie, zaraz wracam. - Ruszył ku bocznym drzwiom i zniknął. - W zdumiewająco krótkim czasie wrócił taszcząc metalową szafkę. - Pomóż mi... uff... tu, w tym kącie. A teraz się wynoś.

- Ale...

- Spływaj - polecił Vanning. - Sam wiem, co mam robić. Nic nie mów. Aresztują cię, ale bez dowodów nie mogą cię trzymać. Przyjdź, jak tylko cię wypuszczą. - Pchnął MacIlsona w kierunku drzwi, otworzył je i wyrzucił gościa. - Wrócił do szafki i zajrzał do środka. Była pusta. Z całą pewnością.

Zamszowa walizka...

Dysząc ciężko Vanning wtaszczył ją do szafki. Zajął mu to trochę czasu, ponieważ waliza była od niej większa. W końcu jednak odetchnął widząc, jak kurczy się i zmienia kształt, aż wreszcie, mała i zdeformowana, zaczyna przypominać wydłużone jajko w kolorze miedzianej centówki.

- Fiu, fiu! - powiedział Vanning, a następnie przysunął się i przyjrzał bliżej. Wewnątrz szafki coś się poruszyło. Zobaczył groteskowe stworzenie, nie wyższe niż cztery cale. Było to coś zdumiewającego - składało się z samych sześciątów i kątów, było jaskrawozielone i najwyraźniej żywe.

Ktoś zapukał do drzwi.

Małe stworzenie męczyło się nad miedzianym jajkiem. Jak mrówka usiłowało je unieść i przemieścić. Vanninga zatkało; sięgnął do szafki. Stworzenie czwartego wymiaru zrobiło unik. Ale nie dość szybko. Vanning opuścił dłoń i poczuł w niej szamotaninę. Zaciśnął pięść. Ruch zamarł. Vanning wypuścił martwe stworzenie i pospiesznie wyjął rękę.

Drzwi drżały pod ciosami pięści. Zamknął szafkę i zawołał:

- Chwileczkę!

- Wyłamujcie - ktoś polecił.

Ale nie było takiej potrzeby. Vanning przybrał bolesny uśmiech i otworzył drzwi: Wszedł Hatton w towarzystwie tęgiego policjanta.

- Mamy MacIlsona - powiedział. - Och? Dlaczego?

Zamiast odpowiedzi Hatton dał znak ręką. Policjanci zaczęli przeszukiwać pokój. Vanning wzruszył ramionami.

- Chybaście się zanadto pospieszyli - powiedział. - Włamanie i wejście...

- Mamy nakaz!

- A pod jakim zarzutem?

- Chodzi oczywiście o obligacje - głos Hattona był znużony. - Nie wiem, gdzie pan ukrył tę walizkę, ale ją znajdziemy.

- Jaką walizkę? - chciał koniecznie wiedzieć Vanning.

- Tę, którą miał MacIlson, - kiedy tu wchodził. Tę samą, której nie miał wychodząc.

- Zabawa - rzekł smutno Vanning - skończona. Poddaję sili. - He?

- A jeśli wam powiem, co zrobiłem z walizką, to czy przemówicie za mną?

- No... jasne. A gdzie...

- Zjadłem ją - rzekł Vanning kładąc się na kanapie i szykując do drzemki. Hatton posłał mu przeciągłe, pełne nienawiści spojrzenie.

Policjanci przeszli obok szafki rzuciwszy okiem do środka. Promienie rentgena nie ujawniły nic w ścianach, podłodze, suficie ani w meblach. Pozostałe pomieszczenia biurowe zostały również przeszukane. Vanning przyklaskiwał zmuszającemu zajęciu. Wreszcie Hatton się poddał. Wyczerpał wszystkie możliwości.

- Jutro składam doniesienie - obiecał mu Vanning. - A co do MacIlsona, skorzystam z zasady h a b e a s c o r p u s .

- Idź do diabła - burknął Hatton. - A teraz do widzenia panom.

Vanning zaczekał, aż nieproszeni goście się wyniosą. A następnie chichocząc z cicha podszedł do szafki i otworzył drzwi.

Jajko miedzianego koloru zniknęło. Vanning macał w środku, ale bezskutecznie.

Doniosłość tego faktu początkowo do niego nie docierała. Obrócił szafkę frontem do okna i zajrzał ponownie, ale z tym samym skutkiem. Szafka była pusta.

Dwadzieścia pięć tysięcy kredytów w obligacjach rodowych przepadło.

Na Vanninga uderzyły siódme poty: Złapał metalowy sejf i zaczął nim potrząsać. Ale to nie pomogło. Przeniósł go w przeciwległy róg pokoju, a sam wrócił na poprzednie miejsce i ze zmuszoną drobiazgowością zaczął oglądać podłogę.

Co!... Czyżby Hatton?

To niemożliwe. Vanning nie spuścił szafki z oka ani na moment aż do chwili wyjścia policji. Jeden z policjantów otworzył drzwi, zajrzał do środka i zamknął je z powrotem. Od tamtej pory szafka była bez przerwy zamknięta.

Obligacje zniknęły.

Tak samo, jak i dziwne stworzenie, które Vanning zgniótł w ręce. A wszystko to razem znaczyło, że... że co?

Podszedł szybko do wideofonu i wywołał Galleghera.

- Co takiego, hm? Och. Co chcesz? - wychudzona twarz uczonego, jeszcze mizerniejsza z powodu zmęczenia, ukazała się na ekranie. - Mam kaca, a skończyła mi się tiamina. No, jak twoja sprawa?

- Posłuchaj - rzekł Vanning nagłaco. - Włożyłem coś do tej twojej cholernej szafki i straciłem.

- Szafkę? Zabawne.

- Nie. To, co do niej włożyłem... walizkę. Gallegher w zamyśleniu potrząsnął głową.

- Nigdy nie wiadomo, no nie? Pamiętam, jak kiedyś zrobiłem... - Do diabła z tym. Muszę odzyskać walizkę!

- Klejnot rodzinny? - zapytał Gallegher. - Nie. Tam były pieniądze.

- Czy nie uważasz, że to trochę lekkomyślne z twojej strony? Od roku 1949 żaden bank nie splajtował. Nigdy nie przypuszczałem, Vanning, że jesteś skąpiec. Chciałeś mieć stale forsy przy sobie, żebyś mógł ją pieścić swoimi chciwymi łapskami co?

- Jesteś pijany.

- Usiłuje być - sprostował Gallagher. - Ale z wiekiem nabawiłem się straszliwej odporności na alkohol. Okropnie dużo czasu mi to teraz zabiera. Przez twój telefon jestem dwa i pół drinka do tyłu. , Musze sobie sprawić przedłużacz do organów, żeby móc jednocześnie rozmawiać i pić.

Vanning cały czas bełkotał w słuchawkę.

- Moja walizka! Co się z nią stało? Musze ją odzyskać. - No cóż, ja jej nie mam.

- A czy nie możesz wykombinować, gdzie ona jest?

- Nie mam pojęcia. Podaj mi szczegóły. Zobaczę, co się da zrobić.

Vanning zastosował się do polecenia, korygując swoją relację na tyle, na ile kazała mu ostrożność.

- Okay - powiedział na koniec Gallagher, dość niechętnie. - Nienawidzę wysnuwania teorii, ale w drodze wyjątku... moja diagnoza będzie cię kosztowała pięćdziesiąt kredytów.

- Co takiego? Posłuchaj...

- Pięćdziesiąt kredytów - powtórzył Gallagher nieustępliwie. Albo nie będzie diagnozy.

- A skąd ja mogę wiedzieć, że dzięki niej odzyskam walizkę?

- Trzeba się liczyć z tym, że mi się nie uda. Ale jednocześnie jest szansa... Musze iść do Mechanistiry i skorzystać z ich maszyn. A oni sobie słono liczą. Ale potrzebne mi będą kalkulatory o mocy czterdziestu mózgów.

- Okay, okay - mruknął Vanning. - Idź do nich. Zależy mi na tej walizce jak diabli.

- Interesuje mnie ten chrabąszcz, którego rozduśliłeś. Mówiąc szczerze, to jedyny powód, dla którego w ogóle zajmuję się twoją sprawą. Życie w czwartym wymiarze... - ciągnął Gallagher mrużąc pod nosem. Jego twarz zniknęła z ekranu. Po chwili Vanning przerwał połączenie. Jeszcze raz przeszukał szafkę nie znajdując w niej nic. Zamszowa walizka musiała się jakoś ulotnić. Niech to diabli!

Dumając nad swymi kłopotami Vanning włożył płaszcz i poszedł do Manhattan Roof na zakrapianą winem kolację. Było mu siebie żal.

Nazajutrz jego rozczulenie nad sobą jeszcze wzrosło. Próbował się skontaktować z Gallagherem, ale nikt się tam nie zgłaszał, więc po prostu zabijał czas. Około południa wpadł MacIlson. Był roztrzęsiony.

- Nie spieszyło ci się specjalnie z wyciągnięciem mnie z pudła rzucił na wstępie. - No i co dalej? Masz coś do picia?

- Po co ci picie - mruknął Vanning. - Sądząc z tego, jak wyglądasz, już się napiłeś. Jedź na Florydę i czekaj, aż się to wszystko przewali.

- Mam dosyć czekania. Jadę do Ameryki Południowej. Potrzebuje forsy.

- Poczekaj, aż będzie można zrealizować obligacje. - Biorę obligacje. Polowe. Tak jak się umawialiśmy. Oczy Vanninga zwięzły się.

- I wleziesz prosto w łapy policji. Jak dwa a dwa cztery. MacIlson był wyraźnie nieswój.

- Przyznam, że popełniłem głupi błąd. Ale tym razem nie... tym razem będę mądrzejszy.

- To znaczy zaczekasz.

- W helikopterze na dachu czeka mój przyjaciel. Podrzuci mu obligacje, a potem spokojnie sobie wyjadę. Policja nic przy mnie nie znajdzie.

- Powiedziałem: nie - powtórzył Vanning. - Sprawa jest zbyt ryzykowna.

- Ryzykowna jest teraz. Jeżeli znajdą obligacje... - Nie znajdą.

- Gdzie je schowałeś? - To moja sprawa.

MacIlson rzucił nerwowe spojrzenie spode łba.

- Być może. Ale są w tym budynku. Wczoraj przed przyjściem glin nie mogłeś ich stąd nigdzie przeszwarować. Nie kuś losu. Czy szukali rentgenem?

- Aha.

- Słyszałem, że Hatton z całą bandą ekspertów bada plany budynku. Znajdzie twój sejf. Ja stąd w każdym razie znikam, zanim do tego dojdzie.

Vanning pomachał ręką.

- Jesteś histeryk. Przecież cię wyciągnąłem, prawda? Mimo, że o mały włos spieprzyłyś całą sprawę.

- To prawda - przyznał MacIlson pociągając się za wargę. - Ale ja... - zaczął obgryzać paznokcie. - Cholera, przecież ja siedzę na kraterze wulkanu i pod sobą mam jeszcze gniazdo termitów. Nie będę tu sterczał i czekał, aż znajdą obligacje! A od Ameryki Południowej, dokąd się teraz wybieram, nie mogą chyba zażądać ekstradycji.

- Musisz czekać - powtórzył stanowczo Vanning. - To jest twoja jedyna szansa.

Nagle w rękę MacIlsona błysnęła splota.

- Dawaj połowę obligacji. I to już. Nie wierze ci ani trochę. Myślisz, że będziesz mnie zwodził w nieskończoność? No, do cholery, dajesz forszę czy nie!?

- Nie - odparł Vanning. - Ja nie żartuję.

- Wiem, że nie żartujesz. Ale ja nie mam tych obligacji. - Jak to nie masz?

- Czy słyszałeś kiedy o możliwościach, jakie stwarza czwarty wymiar? - zapytał Vanning nie spuszczać z MacIlsona czujnego spojrzenia. - Schowałem walizkę do specjalnego tajnego sejfu. Ale nie mogę go otworzyć przed upływem określonej liczby godzin.

- Mhm... - zadumał się MacIlson. - A kiedy... - Jutro.

- W porządku. To znaczy, że wtedy będziesz miał dla mnie te obligacje, tak?

- O ile przy tym obstajesz. Ale radziłbym ci zmienić zdanie. Byłoby to dla ciebie bezpieczniejsze.

Zamiast odpowiedzi MacIlson uśmiechnął się tylko przez ramię wychodząc. Vanning dłuższy czas siedział bez ruchu. Był przestraszony nie na żarty.

Problem polegał na tym, że MacIlson był typem skłonny do stanów maniakalnie ekspresyjnych. Mógł rzeczywiście zabić. W tej chwili był w silnym stresie - jako człowiek ścigany i nie mający nic do stracenia. No cóż... Należałoby przedsięwziąć środki ostrożności. Vanning raz jeszcze zadzwonił do Galleghera, ale i tym razem nikt się nie odezwał. Nagrał dla niego wiadomość na taśmę i znów ostrożnie zajrzał do szafki. Była pusta.

Wieczorem Vanning odwiedził Galleghera w jego laboratorium. Uczony robił wrażenie i pijanego i zmęczonego.

Machnął niedbale ręką w kierunku stołu zasłanego skrawkami papieru.

- Ale mi zabiłeś klina! Gdybym znał zasady działania tego urządzenia, to bałbym się je dotknąć. Siadaj. I napij się. Masz te pięćdziesiąt kredytów?

Vanning w milczeniu wręczył Gallegherowi kupony. Gallegher wsunął je do Monstrum.

- Dobrze. A teraz... - usadowił się na kanapie. - Teraz zabieramy się do rozwiązywania zagadki za pięćdziesiąt kredytów.

- Czy ja mogę odzyskać walizkę?

- Nie - odparł stanowczo Gallegher. - A przynajmniej ja nie widzę takiej możliwości. Ona się znajduje w innym fragmencie czasoprzestrzeni.

- Ale co to znaczy?

- To znaczy, że ta szafka działa trochę jak teleskop, tyle że nie wyłącznie w sferze wizualnej. Stanowi coś w rodzaju okna. Możesz przez nie sięgnąć albo wyrzeć. Jest to wyjście do t e r a z plus X.

Vanning spojrział spode łba.

- Nic mi do tej pory nie mówiłeś.

- Wszystko, co do tej pory na ten temat wiem, to tylko teoria i obawiam się, że nic więcej nie będzie. Posłuchaj : na początku się myliłem. Przedmioty wkładane do szafki nie pojawiały się w innej przestrzeni, ponieważ musiałyby istnieć stała przestrzenna. To znaczy wcale by się nie zmniejszały. Rozmiar to rozmiar. Fakt przeniesienia sześcianu o boku jednego cala na Marsa nie zmniejszyłby go ani nie powiększył.

- A, co z gęstością środowiska? Czy przedmiot nie uległby zmiążdżeniu?

- Jasne, i pozostałby zmiążdżony. Po wyjęciu z szafki nie powróciłby do swojego poprzedniego rozmiaru ani kształtu.  $X$  plus  $Y$  nigdy nie równa się  $XY$ . Ale  $X$  razy  $Y$ ...

- Równa się co?

- I tu jest właśnie pies pogrzebany - Gallagher rozpoczął wykład. - Rzeczy, które wkładaliśmy do szafki, wędrowały w czasie. Ich szybkość czasowa nie ulegała zmianie, czego nie można powiedzieć o warunkach przestrzennych. Dwie rzeczy nie mogą znajdować się jednocześnie w tym samym miejscu. Ergo twoja walizka została wysłana w inny czas:  $t$  e r a z plus  $X$ . A co oznacza w tym wypadku  $X$ , nie mam zielonego pojęcia, chociaż podejrzewam, że kilka milionów lat.

Vanning był oszołomiony.

- To znaczy, że walizka jest w przyszłości odległej o milion lat? - Nie wiem, jak daleko, ale przypuszczam, że bardzo. Brak mi danych do rozwiązania tego równania. Wnioskowałem głównie przez indukcje, ale wyniki są zwariowane jak diabli. Einstein byłby tym zachwycony. Moja teoria pokazuje, że wszechświat jednocześnie kurczy się i rozciąga.

- Ale co to ma wspólnego...

- Ruch jest względny - ciągnął nieubłaganie Gallagher. - To zasada podstawowa. Oczywiście, że wszechświat się rozciąga, rozchodzi się jak gaz, ale jednocześnie jego części składowe się kurczą. To znaczy one nie rosną dosłownie rzecz biorąc, rozumiesz, w każdym razie nie słońca ani nie atomy. One po prostu się oddalają od punktu centralnego. Pędzą we wszystkich możliwych kierunkach... zaraz... o czym to ja mówiłem? Aha, po prostu kurczy się wszechświat jako jednostka.

- No to się kurczy. Ale gdzie jest moja walizka?

- Mówiłem ci już. W przyszłości. Doszedłem do tego w drodze rozumowania indukcyjnego. Jest to cudownie proste i logiczne. I zupełnie niemożliwe do udowodnienia. Sto, tysiąc, milion lat temu Ziemia - tak jak i wszechświat - była większa niż teraz. I dalej się kurczy. Kiedyś, w przyszłości, będzie o połowa mniejsza. Tyle że mytego nie zauważymy, ponieważ i wszechświat będzie proporcjonalnie mniejszy.

Gallagher sennie ciągnął dalej.

- Włożyliśmy do szafki stół, który wyłonił się gdzieś w przyszłości. Bo ta szafka, jak ci już mówiłem, to jest jak gdyby okno w inny czas. I na stół oddziaływały warunki typowe dla tego czasu. Stół skurczył się po tym, jak mu daliśmy kilka sekund na wchłonicie entropii, a może zresztą czegoś tam innego. Czy ja miałem na myśli entropię? Allach jeden wie. No, trudno.

- Zamienił się w piramidę.

- Bo pewnie temu procesowi również towarzyszy geometryczne zniekształcenie. A może to po prostu złudzenie optyczne. Może nie potrafimy odpowiednio nastawić wzroku. Wątpię, czy w przyszłości rzeczy będą tak naprawdę wyglądały inaczej - poza tym, że będą mniejsze - ale my korzystamy teraz z okna w czwarty wymiar. Fałda czasowa. To tak, jakbyśmy patrzyli przez pryzmat. Zmiana wielkości jest rzeczywista, ale kształt i kolor wydają się inne jedynie naszym oczom patrzącym przez pryzmat czwartego wymiaru.

- Czyli moja walizka znajduje się w przyszłości, tak? Ale dlaczego zniknęła z szafki?

- A co z tym małym stworzonkiem, które zgmiotłeś? Może miało kumpli? Mogli być niewidzialni, poza bardzo wąskim... jak je tam nazwać..., polem widzenia. Pomyśl : kiedyś w

przyszłości - za sto, tysiąc czy milion lat walizka zjawia się ni z tego ni z owego nie wiadomo skąd? Jeden z naszych potomków przeprowadza dochodzenie, a ty go nagle zabijasz.

Przychodzą jego kumple i zabierają walizkę, wynoszą ją poza obręb szafki. Jeśli chodzi o przestrzeń, walizka może być gdziekolwiek, natomiast element czasu jest wielkością nieznaną. T e r a z plus X. Na tym właśnie polega działanie tego sejfu. No i co ty na to?

- Do diabła! - wybuchnął Vanning. - I to jest wszystko, co masz mi do powiedzenia? Czy mam te walizkę spisać na straty?

- Aha. Chyba, że sam chcesz się tam po nią wgramolić. Ale Bóg jeden wie, gdzie byś się znalazł. W przeciągu kilku tysięcy lat proporcje składników powietrza prawdopodobnie by się zmieniły. A może byłyby i inne zmiany.

- Nie jestem taki głupi.

No i proszę. Obligacje zniknęły bez nadziei na to, że się odnajdą. Vanning byłby się nawet pogodził ze stratą, gdyby miał pewność, że ubezpieczenie nie wpadnie w ręce policji, ale pozostawał jeszcze problem MacIlsona, zwłaszcza po tym, jak kula drasnęła okno z glosoluxu w biurze Vanninga. Spotkanie z MacIlsonem nie przyniosło pomyślnego rezultatu, ponieważ defraudant był przekonany, że Vanning chce go nabrać. Kiedy Vanning wyrzucał go siłą, miotał przekleństwa i groźby: pójdzie na policje, przyzna się...

A niech idzie. Nie ma żadnego dowodu. Niech go wszyscy diabli. Dla pewności jednak Vanning postanowił wsadzić do pudła swojego byłego klienta.

Nic z tego jednak nie wyszło. MacIlson dał w zęby facetowi, który przyniósł wezwanie na policje i uciekł. A teraz, podejrzewał Vanning, czał się gdzieś po kątach, uzbrojony i gotów go stuknąć. Tak bywa z typami skłonnyymi do stanów maniakalno-depresyjnych.

Vanning zażądał dwóch tajniaków do ochrony, z czego czerpał złośliwą satysfakcję. Wobec zagrożenia życia miał do tego prawo. Do chwili kiedy MacIlsona unieszkodliwią, Vanning będzie korzystał z ochrony. A zadbał o to, żeby te ochrona stanowili dwaj najtężsi goryle z całej manhattańskiej policji. Przy okazji stwierdził, że polecono im węszyć w sprawie zamkowej walizki. Vanning zadzwonił do Hattona i uśmiechnął się do ekranu.

- No co, są jakieś sukcesy? - Co pan ma na myśli?

- Moich goryli. A pańskich kapusiów. Nie znajdują obligacji, Hatton. Lepiej niech ich pan odwoła. Czy dwa zadania na raz to nie za dużo dla tych biedaków?

- Wystarczy, że się wywiążą z jednego. Że znajdą dowód rzeczowy. A jeżeli MacIlson rozwali panu łeb, nie zmartwię się specjalnie.

- Zobaczymy się w sądzie - powiedział Vanning. - Pan oskarża Watsona, tak?

- Tak. A pan rezygnuje ze skopolaminy, tak?

- W stosunku do przysięgłych? Jasne. Mam sprawa wygraną.

- Tak się panu przynajmniej wydaje - rzekł Hatton i wyłączył się.

Vanning chichocząc włożył płaszcz, wziął swoich goryli i udał się do sądu. Nie było ani śladu MacIlsona...

Sprawę wygrał, tak jak się spodziewał. Wrócił do biura, wysłuchał kilku nieistotnych spraw, jakie miała mu do zakomunikowania dziewczyna obsługująca centralkę i poszedł do swojego prywatnego apartamentu. Kiedy otworzył drzwi, zobaczył w rogu pokoju na dywanie zamkową walizkę.

Zatrzymał się oniemiały z ręką na zasuwie. Za sobą słyszał ciężkie kroki facetów z obstawy. Powiedział przez ramię "chwileczkę" i dał nura do pomieszczeń służbowych zatraskując za sobą drzwi. Doleciał go jeszcze koniec zdumionego pytania.

Walizka. Miał ją przed sobą niewątpliwie. Tak jak niewątpliwie za sobą miał dwóch tajniaków, którzy po krótkiej naradzie zacieli walić w drzwi usiłując je wyłamać.

Vanning zzieleniał. Zrobił niepewny krok do przodu i zobaczył szafkę w rogu, w którym ją wtedy postawił. Idealna skrytka... Otóż to. Jeśli włoży tam walizka stanie się ona

nierozpoznawalna. Nawet gdyby znów miała zniknąć, to nieważne. Ważne, żeby się pozbyć, i to natychmiast, dowodu obciążającego.

Drzwi zatrzęsły się w zawiasach. Vanning podbiegł chyłkiem do walizki i uniósł ją z podłogi. Kątem oka zobaczył ruch. W powietrzu nad nim pojawiła się ręka. Była to ręka olbrzyma z nieskazitelnie białym mankietem, który rozpływał się gdzieś w powietrzu. Ogromne palce sięgały w dół...

Vanning wrzasnął i odskoczył. Ale był nie dość szybki. Ręka dosięgała go i Vanning zaczął się bezsilnie tłuc o dłoń, która następnie zamknęła się w pięść. Kiedy pięść się otworzyła wypadło z niej to, co pozostało z rozduszonego Vanninga, plamiąc dywan. Ręka cofnęła się w nicość. Wyważone drzwi wpadły do środka i dwaj tajniacy potykając się o nie wtargnęli do pokoju.

Wkrótce potem przyszedł Hatton ze swoimi ludźmi. Niewiele zresztą mogli zrobić poza posprzątaniami. Zamszowa walizka, zawierająca dwadzieścia pięć tysięcy kredytów w obligacjach została wyniesiona w bezpieczniejsze miejsce. Ciało Vanninga pobierano nie bez trudności i odstawiono do kostnicy. Fotografowie błyskali fleszami. Eksperci od daktyloskopii rozpylali proszek, ludzie od rentgena uwijali się ze swoim sprzętem. Wszystko zostało załatwione szybko i sprawnie - w ciągu godziny biuro było puste i zabezpieczone. Tak więc nie było świadków pojawienia się gigantycznej ręki, która wyłoniła się znikąd, pomacała dokoła, jakby czegoś szukała i po chwili znikła...

Jedyną osobą, która mogłaby rzucić na tę sprawą jakieś światło był Gallegher, ale jego uwagi, wypowiedziane w samotności laboratorium, były skierowane do Monstrum.

- Aha, to dlatego ten stół laboratoryjny zmaterializował się tu wczoraj na kilka minut.

Hmmm... T e r a z plus X równa się mniej więcej tydzień. Dlaczegożby nie? Wszystko jest względne. Nigdy nie przypuszczałem, że wszechświat kurczy się w tak szybkim tempie! Wyciągnął się wygodnie na kanapie i wstrzyknął sobie do ust podwójne martini.

- Tak, to jest to - mruknął po chwili. - Phi! Vanning to chyba jedyny facet na świecie, który znalazł się w połowie przyszłego tygodnia i... zginął! Chyba się zaleję.

I zalał się.

przekład : Zofia Uhrynowska-Hanasz

Henry Kuttner      Krzyż stuleci

Nazywali go Chrystusem, lecz nie był tym Człowiekiem, który z trudem wspinał się długą drogą na Golgotę pięć tysięcy lat wcześniej. Nazywali go Buddą i Mahometem, nazywali go Barankiem i Pomazańcem Bożym. Nazywali go Księciem Pokoju i Nieśmiertelnym.

Jego imię brzmiało Tyrell.

Tym razem wchodził inną drogą, stromą ścieżką, która prowadziła do klasztoru na górze i na chwilę przystanął, mrużąc oczy przed oślepiającym światłem słońca. Jego białą szatę plamiła rytualna czerń.

Stojąca obok dziewczyna dotknęła jego ramienia, łagodnie go ponagłając. Wszedł w cień rzucany przez wrota.

Ponownie zawahał się i spojrzął za siebie. Droga wychodziła na rozległą górską polanę, na której stał klasztor. Była wczesna wiosna i łąka oślepiła zielenią. W głębi serca czuł dławiący smutek na myśl o porzuceniu całej tej jaskrawości, lecz rozumiał, że wkrótce wszystko będzie znów dobrze. I jasność stała się jakby odległa, nierzeczywista. Dziewczyna znów dotknęła jego ramienia - posłusznie skinął głową i ruszył naprzód z niejasnym przecuciem nadchodzącej zguby, którego zmęczony umysł nie był w stanie pojąć.

„Jestem bardzo stary” - pomyślał.

Na dziedzińcu kapłani klękali przed nim. Mons, przełożony, stał na drugim końcu dużej sadzawki, w której odbijał się bezdenny błękit nieba. Od czasu do czasu woda marszczyła się pod łagodnym podmuchem chłodnego wietrzyku.

Stary, niemal zapomniany odruch uruchomił jego mięśnie. Tyrell uniósł ręce i pobłogosławił wszystkich.

Jego głos spokojnie wypowiadał zapamiętane zwroty.

- Niech będzie pokój. Na całej znękanej ziemi, na wszystkich światach i w niebiosach - niech będzie pokój. Moce... - jego ręka drgnęła, lecz zaraz przypomniał sobie - ... moce ciemności są bezsilne wobec Bożej miłości i zrozumienia. Przynoszę wam Słowo Boże. Oto ono: Miłość, zrozumienie, pokój.

Czekali aż skończy. Był to nieodpowiedni czas i niewłaściwy rytuał. Ale nie miało to znaczenia, ponieważ był Mesjaszem.

Stojący na przeciwległym brzegu sadzawki Mons dał znak. Dziewczyna delikatnie położyła dłonie na ramionach Tyrella.

Mons zawołał:

- Nieśmiertelny, czy zrzucisz swoje splamione szaty i wraz z nimi grzechy tego czasu?

Tyrell wpatrywał się nieprzytomnie w drugi brzeg.

- Czy pobłogosławisz świat kolejnym stuleciem swojej świętej obecności?

Tyrell przypomniał sobie kilka słów.

- Odchodzę w pokoju, wracam w pokoju - powiedział.

Dziewczyna delikatnie zdjęła z jego ramion białą szatę i uklękła, by rozpiąć mu sandały. Nagi stanął na brzegu sadzawki.

Wyglądał jak dwudziestoletni młodzieniec. Miał dwa tysiące lat.

Znów targnął nim gwałtowny niepokój. Mons uniósł ramię przyzywającym gestem, lecz

Tyrell rozglądał się niespokojnie dokoła. Napotkał spojrzenie szarych oczu dziewczyny.

- Nerina... - wymamrotał.

- Wejść do sadzawki - szepnęła. - Przepląć ją.

Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. Poczwała cudowny dreszcz łagodności, tej łagodności, która stanowiła jego nieposkromioną moc. Ucisnęła mocno jego rękę, próbując rozproszyć ciemności gromadzące się w jego umyśle, próbując przekazać mu, że wszystko będzie znowu dobrze, że będzie czekać - jak czekała na jego zmartwychwstanie już trzy razy w ciągu ostatnich trzystu lat.

Była o wiele młodsza od Tyrella, ale także nieśmiertelna.

Nagle mgła w jego błękitnych oczach rozwinęła się.

- Czekaj na mnie, Nerino - powiedział. Potem, w przypływie dawnej zręczności, wskoczył do sadzawki i czysto zanurkował.

Obserwowała jego pewne i mocne ruchy, gdy płynął. Jego ciało było sprawne - zawsze było sprawne, bez względu na wiek. Tylko umysł sztywniał, zapadał się coraz głębiej w żelazne

koleiny czasu, tracił kontakt z terażniejszością, a pamięć stawała się stopniowo coraz bardziej fragmentaryczna. Ale najstarsze wspomnienia zachowywane były najlepiej, a jeszcze trwalsze były wypracowane odruchy.

Dziewczyna była świadoma swego własnego ciała - jego młodości, siły i piękna. Tak miało być zawsze. Jej umysł... Było gdzieś rozwiązanie i tego problemu - czekała na nie.

„Jestem obdarzona łaską” myślała. „Spośród wszystkich kobiet wszystkich światów właśnie ja jestem Oblubienicą Tyrella i jedyną, poza nim, istotą nieśmiertelną od początku dziejów”. Z miłością i czcią patrzyła na płynącego mężczyznę. U jej stóp leżała porzucona przez niego szata skalana wspomnieniami stulecia.

Wydawało się, że to tak niedawno... Pamiętała bardzo dobrze, jak śledziła Tyrella płynącego przez sadzawkę ostatnim razem. I tę jeszcze wcześniejszą scenę - i tę, która była pierwsza. Oczywiście dla niej, nie dla Tyrella...

Wyszedł na brzeg ociekając wodą i zawahał się. Poczula ostry ból, widząc zmianę, jaka w nim zaszła: od siły i pewności siebie do oszołomienia i niepewności. Lecz Mons czuwał. Wyciągnął ręce i ujął dłoń Tyrella. Poprowadził Mesjasza ku drzwiom w wysokiej ścianie klasztoru. Wydawało jej się, że w drzwiach Tyrell odwrócił się i spojrzał na nią z czułością, która w nim zawsze była - w tym jego cudownym, wewnętrznym spokoju.

Jeden z kapłanów podniósł zbrukaną szatę leżącą u jej stóp. Miano ją oczyścić i złożyć na ołtarzu, kulistym przybytku o kształcie przypominającym matkę ziemię. Jej fałdy, znów olśniewająco białe, opaszą łagodnie całą ziemię.

Musiała zostać oczyszczona, tak jak oczyszczony musiał zostać umysł Tyrella - trzeba było wypłukać cały ten dławiący bagaż wspomnień, jaki przyniósł ostatni wiek.

Kapłani odchodzili. Spojrzała przez otwartą bramę za siebie, na jaskrawą zieleń górskiej łąki, łakomie wyciągającą się do słońca po zimowych śniegach. „Nieśmiertelność...” pomyślała, wznosząc w górę ramiona, czując, jak wieczna krew, prawdziwa krew bogów, tętni w jej żyłach. „Tyrell był tym, który cierpiał. Nie znajduję ceny, by zapłacić za ten... dar”.

Dwadzieścia stuleci.

Pierwsze stulecie musiało być pełnym koszmarem.

Jej myśl odwracała się od ukrytych mgieł historii, które teraz stanowiły legendę, spostrzegając tylko krótkie jak mgnienie chwile spokoju, którego źródłem był Biały Chrystus wędrujący poprzez ten chaos ryczącego zła, gdy ziemia poczerniała, gdy oblewał ją szkarłat nienawiści i bólu. Ragnarok, Armageddon, Godzina Antychrysta - dwa tysiące lat temu! Biczowany i niewzruszony, głoszą swoją nowinę o miłości i pokoju, szedł Biały Mesjasz - jak światło w piekielnych ciemnościach spowijających ziemię.

I przeżyła, a siły zła wyniszczyły się wzajemnie i światy odnalazły wreszcie pokój. Odnalazły go tak dawno temu, że Godzina Antychrysta została zapomniana - stała się legendą.

Zapomniana - nawet przez Tyrella. Nerina cieszyła się z tego, bo pamięć takich przejść musiała być okropna. Na samą myśl o męce, jaką musiał znieść, przeszedł ją dreszcz.

Spojrzała w dół na błękitną tafłę wody. Chłodny wiatr marszczył jej powierzchnię, obłok lekko przesunął się przez tarczę słońca, kładąc cień na jaskrawości dnia.

Upłynie siedemdziesiąt lat, zanim ona sama będzie musiała znowu przepłynąć sadzawkę. A gdy to zrobi, gdy się przebudzi, napotka błękitne oczy Tyrella wpatrzone w nią, jego dłoń będzie spoczywać lekko na jej dłoni i połączą się w młodości, która będzie dla nich wieczną wiosną.

jej szare oczy wpatrzone były w niego, jej ręka dotykała go, gdy leżał na pościeli. Ale on wciąż się nie budził.

Spojrzała z niepokojem na Monsa.

Skinął głową uspokajająco.

Poczuła pod palcami delikatny ruch.

Jego powieki drgnęły i powoli uniosły się. Spokój i głęboka pewność utrzymywały się ciągle w błękitnych oczach, które tak wiele widziały, w umyśle, który tak wiele zapomniał. Tyrell patrzył na nią przez chwilę. Potem uśmiechnął się.

Nerina powiedziała drżącym głosem:

- Za każdym razem boję się, że mnie zapomnisz.

- Zawsze wracamy mu pamięć o tobie, Błogosławiona - wtrącił Mons. - I zawsze będziemy to robić.

Pochylił się nad Tyrellem.

- Nieśmiertelny, czy naprawdę już się obudziłeś?

- Tak - odparł Tyrell. Wyprostował się na pościeli, przerzucił nogi nad jego krawędzią i wstał szybkim, pewnym ruchem. Rozejrzał się wokół, zobaczył przygotowaną nową, śnieżnobiałą szatę i włożył ją. Oboje - i Nerina i Mons - widzieli, że w jego zachowaniu nie było już wahania. Nad wiecznym ciałem panował już młody umysł - pewny i pozbawiony wątpliwości. Mons klęknął i Nerina uklękła także. Kapłan powiedział łagodnie:

- Składamy dzięki Bogu za łaskę nowej Inkarnacji. Oby pokój panował w tym cyklu, zarówno jak i we wszystkich cyklach w przyszłości.

Tyrell dźwignął Nerinę na nogi. Pochylił się i podniósł z klęczek także Monsa.

- Mons, Mons - powiedział niemal karcąco. - Z każdym stuleciem jestem traktowany coraz mniej jak człowiek, a coraz bardziej jak bóg. Kilkaset lat temu, na przykład - owszem, modlili się przez cały czas mego przebudzenia, ale nie klękali. Jestem człowiekiem, Mons. Nie zapominaj o tym.

Mons powiedział:

- Przyniosłeś pokój światom.

- Więc może dostanę w zamian coś do jedzenia?

Mons skłonił się i wyszedł. Tyrell obrócił się szybko ku Nerinie. Silne, lecz delikatne ramiona objęły ją w uścisku.

- Jeśli kiedyś się nie obudzę - powiedział - najciężej będzie mi stracić nadzieję zobaczenia właśnie ciebie. Nie wiedziałem, jak byłem samotny, dopóki nie odnalazłem podobnej do mnie istoty.

- Mamy przed sobą tydzień tu, w klasztorze - powiedziała. - Tydzień odosobnienia przed powrotem do domu. Najbardziej ze wszystkiego lubię być tu z tobą.

- Poczekaj trochę - powiedział. - Jeszcze kilka stuleci, a wyzbędziesz się tego czołobitnego uwielbienia. Pragnę tego. Miłość jest lepsza, a kogóż innego mógłbym tak kochać?

Pomyślała o wiekach, które spędził w samotności i poczuła przepelniające ją miłość i współczucie.

Po pocałunku cofnęła się i spojrzała na niego w zamyśleniu.

- Znowu się zmieniłeś - powiedziała. - To wciąż ty, ale...

- Ale co?

- Jesteś jakoś delikatniejszy.

Tyrell zaśmiał się.

- Za każdym razem wymazują mój umysł do czysta i dają mi nowy zestaw wspomnień.

Oczywiście, większość tych starych, ale całość jest nieco inna. Tak jest zawsze. Wszystko jest teraz spokojniejsze, niż przed wiekiem. Mój umysł jest więc skrojony tak, by pasował do

czasów. Inaczej stałbym się stopniowo chodzącym anachronizmem. Lekko zmarszczył brwi. - Kto to?

Spojrzała ku drzwiom.

- Mons? Nie, nie ma tu nikogo.

- Nikogo? Hm... no dobrze, przed nami tydzień izolacji od życia. Czas, by pomyśleć i zintegrować moją nowo przykrojoną osobowość. A przeszłość... - znowu się zawahał.

Powiedziała:

- Chciałabym urodzić się wcześniej. Mogłabym być z tobą...

- Nie - powiedział zduszonym głosem. - A przynajmniej... nie bardzo wcześniej.

- Czy było aż tak źle?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, na ile prawdziwe są moje wspomnienia. Cieszę się, że nie pamiętam więcej. I tak pamiętam dość. Legendy mówią prawdę. - Twarz ściągnął mu grymas smutku. - Wielkie wojny... rozszalałe piekło. Wszechmocne piekło! Antychryst pojawił się w biały dzień, a ludzie bali się potęgi... - Jego wzrok błędził po wyblakłym, niskim suficie, nie zatrzymując się na nim.

- Ludzie zmienili się w bestie, w diabły. Mówiłem im o pokoju, a oni próbowali mnie zabić. Zniosłem to. Byłem nieśmiertelny z łaski Boga. Mimo wszystko mogli mnie zabić. Jestem nieśmiertelny, ale nie niezniszczalny i bronią można mnie unicestwić - westchnął przeciągle. - Nieśmiertelność to jeszcze nie wszystko. Wola boska mnie ochroniła, abym mógł iść, głosząc pokój aż do chwili, gdy kalekie bestie przypominały sobie, że posiadają dusze i powoli, stopniowo wydobyły się z piekła...

Nigdy jeszcze nie słyszała go mówiącego w ten sposób.

Delikatnie dotknęła jego ręki.

Odwrócił się ku niej.

- To już skończone - powiedział. - Przeszłość umarła. Żyjemy teraźniejszością.

Z oddali dochodziły głosy kapłanów intonujących hymn wesela i wdzięczności.

Po południu następnego dnia ujrzała go w końcu korytarza pochylonego nad jakimś ciemnym kształtem. Podbiegła. Klęczał przy ciele kapłana i gdy Nerina zawołała go, drgnął gwałtownie i powstał. Na jego kredowobladej twarzy malował się wyraz przerażenia.

Spojrzała w dół i jej twarz także stała się biała.

Kapłan był martwy. Na jego gardle widoczne były sine plamy. Kark był złamany, głowa nienaturalnie skrzywiona, co sprawiało potworne wrażenie.

Tyrell postąpił krok do przodu, by zasłonić ciało przed jej wzrokiem.

- Przeprowadź Monsa... - powiedział niepewnie, jak gdyby kończył właśnie kolejną setkę lat.

- Szybko. To... **ZABIERZ GO.**

Mons przyszedł, spojrzał na ciało i zastygł w przerażeniu. Jego wzrok napotkał spojrzenie błękitnych oczu Tyrella.

- Ile wieków, Mesjaszu? - zapytał drżącym głosem. - Od ostatniego aktu przemocy? Osiem, może więcej. Mons, przecież nikt... nikt nie jest do tego zdolny.

Mons przytaknął:

- Tak. Nie ma już przemocy i gwałtu. Zostały wykorzenione ze świata. - Nagle rzucił się na kolana. - Mesjaszu, wróć nam pokój! Koszmar przeszłości znowu powraca!

Tyrell wyprostował się. W swojej białej szacie wyglądał jak posąg uosabiający siłę i pokorę jednocześnie.

Wzniósł oczy w górę i modlił się.

Nerina uklękała. Jej przerażenie powoli ustępowało pod wpływem żarliwej modlitwy Tyrella. Szepty niesły się po klasztorze i rozedrganym echem odbijały się od błękitnego, czystego nieba ponad nim. Nikt nie wiedział, czyje ręce zacisnęły śmiertelny uścisk na gardle kapłana.

Nikt, żaden człowiek nie był już zdolny do zabijania. Jak powiedział Mons: zdolność do nienawiści, do niszczenia została wykorzeniona z umysłów ludzi.

Szepty nie przeniosły się poza klasztor. Bitwa musiała zostać stoczona tu i w tajemnicy - żadna wzmianka o niej nie powinna wydostać się na zewnątrz i burzyć długiego pokoju światów.

Żaden człowiek.

Ale pojawiły się inne szepty: ANTYCHRYST ZNÓW SIĘ NARODZIŁ.

Szukając pociechy zwrócili się do Tyrella, do Mesjasza. - POKÓJ - powiedział

- POKÓJ! PRZYJMIJCIE ZŁO Z POKORĄ. POCHYLCIE GŁOWY W MODLITWIE I PAMIĘTAJCIE, ŻE TO MIŁOŚĆ ZBAWIŁA CZŁOWIEKA. GDY PIEKŁO SZALAŁO NA ŚWIECIE DWA TYSIĄCE LAT TEMU.

W nocy, leżąc obok Neriny, jęczał przez sen i rzucał się na posłaniu, zadając ciosy niewidzialnemu wrogowi.

- Diabeł! - krzyczał. Obudził się, drżąc na całym ciecie.

Objęła go - czując zarazem dumę i pokorę trzymała go w ramionach, póki znowu nie zasnęła.

Pewnego dnia udała się razem z Monsem do pokoju Tyrella, by powiedzieć mu o nowym koszmarze. Znalaziono ciało jednego z kapłanów. Było straszliwie zmasakrowane ciosami noża. Gdy otwarli drzwi, zobaczyli Tyrella siedzącego twarzą do nich przy niskim stole.

Modlił się zapamiętale, a jego oczy z wyrazem chorego zauroczenia wpatrzone były w okrwawiony nóż, leżący przed nim na stole.

- Tyrell... - zaczęła, lecz nagle Mons chrapliwie wciągając powietrze, szarpnął się do tyłu i wypchnął ją z powrotem za próg.

- Poczekaj! - powiedział z gwałtownym pośpiechem. - Poczekaj na mnie tutaj!

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zniknął za drzwiami i usłyszała zgrzyt przekręcanego w zamku klucza.

Stała tam długą chwilę, nie myśląc o niczym.

Wreszcie Mons pojawił się znów i cicho zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na nią.

- W porządku - powiedział. - Ale... musisz mnie teraz wysłuchać.

Zamilkł.

Spróbował znowu.

- Błogosławiona... - znowu zaczął oddychać z trudnością - ... Nerino. Ja... - skrzywił się w imitacji uśmiechu. - To dziwne. Nie potrafię z tobą rozmawiać, jeśli nie nazywam cię Neriną.

- Co to znaczy? Pozwól mi iść do Tyrella!

- Nie... nie. Nic mu się nie stanie. Nerino - on jest chory.

Zamknęła oczy, próbując się skoncentrować. Słyszała jego głos - niepewny, lecz z każdą chwilą zyskujący na sile.

- Te zabójstwa... To Tyrell ich dokonał.

- Kłamiesz - powiedziała. - To kłamstwo!

Głos Monsa stał się ostry:

- Otwórz oczy i posłuchaj mnie! Tyrell jest... człowiekiem. Wielkim człowiekiem, bardzo dobrym człowiekiem ale nie bogiem. Jest nieśmiertelny. O ile nie zostanie zabity, będzie żył wiecznie - jak i ty. Przeżył już z górą dwadzieścia stuleci.

- Po co mi to mówisz? Wiem o tym!

- Musisz mu pomóc, ale dlatego musisz zrozumieć. Nieśmiertelność jest ślepym trafem genetyki, mutacją. Raz na tysiąc, może raz na dziesięć tysięcy lat rodzi się nieśmiertelny człowiek. Nie starzeje się, bo jego ciało odnawia się samoistnie. Nie starzeje się także jego mózg. Ale jego umysł...

Przerwała mu z rozpaczą w głosie:

- Tyrell przepłynął staw odrodzenia trzy dni temu. Jego umysł powinien się znowu zestarzeć dopiero pod koniec następnego stulecia. Czy on... CZY ON NIE UMIERA?

- Ależ skąd! Nerino, staw odrodzenia jest tylko symbolem. Wiesz o tym.

- Tak. Prawdziwe odrodzenie następuje potem, gdy umieszczasz nas w tej maszynie, pamiętam.

- No właśnie, w maszynie. Gdybyśmy nie stosowali jej w każdym stuleciu, ty i Tyrell stalibyście się już dawno zniedołężniali i bezradni. Umysł nie jest nieśmiertelny, Nerino. Po pewnym czasie nie może już udźwignąć ciężaru wciąż rosnącej wiedzy. Traci elastyczność, gaśnie przygniataany starczą sztywnością. Maszyna kasuje umysł, Nerino, tak jak w pamięci komputera kasuje się informację. Potem przywracamy część wspomnień, nie wszystkie, wprowadzamy niezbędne wspomnienia w świeży, czysty umysł i dzięki temu może on rozwijać się i uczyć przez następne sto lat.

- Ależ ja znam te wszystkie...

- Te nowe wspomnienia tworzą nową osobowość, Nerino.

- Jak to nową? Przecież Tyrell jest ciągle ten sam.

- Niezupełnie. Z każdym stuleciem odrobinę się zmienia, ponieważ życie staje się coraz lepsze, a świat coraz bardziej szczęśliwy. W każdym stuleciu nowy umysł, odświeżona osobowość Tyrella jest inna - lepiej dostrojona do nowego wieku niż poprzednia. Twój umysł odradzał się trzy razy, Nerino. Nie jesteś już taka sama, jak za pierwszym razem. Nie możesz tego pamiętać. Nie masz już tych wszystkich wspomnień, co niegdyś.

- Ale... ale co takiego...

- Nie wiem. Rozmawiałem z Tyrellem. Oto co się stało, jak myślę: gdy w każdym stuleciu pamięć była czyszczona, wymazywana - pozostawała czysta, niczym nie wypełniona sieć połączeń nerwowych i na tym podłożu budowaliśmy nowego Tyrella. Niewiele zmienionego. Tylko odrobinę za każdym razem. Ale robiliśmy to już ponad dwadzieścia razy. Jego umysł musiał być zupełnie inny dwadzieścia wieków temu. Poza tym...

- Co to znaczy, inny? Jaki?

- Nie wiem. Zakładaliśmy, że po wymazaniu pamięci osobowość przestaje istnieć. Myślę teraz, że tak się nie działo, że za każdym razem osobowość nie przestawała istnieć, lecz zostawała jakby pogrzebana pod nowymi treściami umysłu. Była wytłumiana, spychana w tak głębokie rejony umysłu, że nie mogła się ujawnić. Stawała się nieświadoma. Tak działo się wiek po wieku. A teraz ponad dwadzieścia osobowości Tyrella pogrzebanych w jego umyśle tworzy tak złożony agregat, że nie może już dłużej pozostawać w równowadze. W głębinach umysłu jego dawne osobowości zmartwychwstają.

- Przecież Biały Chrystus nigdy nie był mordercą!

- Nie. W rzeczywistości nawet jego pierwsza osobowość, ponad dwadzieścia wieków temu musiała być wystarczająco wielkiego formatu, by przynieść światom pokój w tych czasach Antychrysta. Ale czasami, na tym, jeśli można to tak określić, cmentarzysku pamięci może nastąpić zmiana. Te pogrzebane osobowości, to znaczy niektóre z nich, mogły się zmienić... po prostu mogły się stać złe. A teraz doszły do głosu.

Nerina obróciła się w kierunku drzwi.

Mons ciągnął: - Musimy być zupełnie pewni. Możemy uratować Mesjasza. Możemy oczyścić jego mózg, sięgnąć sondą tak głęboko, by wykorzeńić złego ducha... Możemy go ocalić i uzdrowić, ale musimy zacząć zaraz. Nerino... módl się za niego.

Rzucił jej długie, zatroskane spojrzenie, odwrócił się i szybko odszedł korytarzem. Nerina stała, niezdolna do pozbierania myśli. Po chwili usłyszała cichy dźwięk. W końcu korytarza stali nieruchomo dwaj kapłani. Dwaj inni zamykali korytarz z drugiej strony. Otworzyła drzwi i weszła do Tyrella.

Pierwszą rzeczą, którą ujrzała, był leżący na stole nóż . z plamami krwi na ostrzu. Potem dopiero zauważyła ciemną sylwetkę w oknie na tle oślepiającego błękitu nieba.

- Tyrell... - powiedziała niepewnie.

Odwrócił się.

- Nerina? Och, Nerino!

Jego głos był ciągle łagodny, promieniujący spokojem. Wpadła w jego ramiona.

- Modliłem się - powiedział, pochylając głowę na jej ramię. - Mons powiedział mi...

Modliłem się. Cóż ja uczyniłem?

- Jesteś Mesjaszem - powiedziała z pewnością w głosie. - Ocaliłeś świat od zła, od Antychrysta. To właśnie uczyniłeś.

- Ale reszta! Ten diabeł w moim umyśle! To nasienie, które rosło tam ukryte przed jasnością Pana - w co teraz wyrosło? Oni mówią, że ZABIŁEM!

Po długiej pauzie wyszeptała:

- A... nie zrobiłeś tego?

- Nie! - powiedział z absolutną pewnością. - Jakże bym mógł? Ja, który żyłem miłością przez ponad dwa tysiące lat! Nie mógłbym skrzywdzić żadnej żywej istoty.

- Wiedziałam - rzekła. - Jesteś Białym Chrystusem.

- Białe Chrystus - powtórzył łagodnym tonem. Nie takiego imienia pragnąłem. Jestem tylko człowiekiem, Nerino. Nigdy nie byłem niczym więcej. Ale... ktoś mnie uratował, ktoś zachował mnie przy życiu w Godzinie Antychrysta. To był Bóg. Jego to ręka zadziałała w tej sprawie. Boże - POMÓŻ MI TERAZ.

Trzymała go mocno w objęciach i ponad jego ramieniem patrzyła w okno: jasne niebo, zielona łąka, wysokie góry z wierzchołkami w chmurach. Bóg był tu, tak jak i ponad błękitem, na wszystkich światach, jak i w otchłaniach pomiędzy nimi, a Bóg oznaczał pokój i miłość.

- Pomoże ci - powiedziała z pewnością w głosie. Towarzyszył ci dwa tysiące lat temu. Nie opuścił cię.

- Tak - wyszeptał Tyrell. - Mons musi się mylić. Ta droga była... Przypominam sobie. Ludzie jak bestie. Niebo płonęło żywym ogniem. Krew... mnóstwo krwi. Ponad sto lat ociekających krwią, którą ludzkie bestie rozlewały w swoich wojnach...

Poczuła nagłą sztywność w jego ciele, potem drżenie, które go ogarnęło, wreszcie nową falę napięcia.

Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

Myślała: lód i ogień, błękitny lód i błękitny ogień.

- Wielkie wojny - powiedział. Jego głos był twardy, ochryply. Zakrył oczy dłońmi.

- CHRYSSTE! - wydawało się, że to słowo rozrywa zaciśnięte gardło.

- BOŻE! BOŻE!

- Tyrell! - krzyknęła przeraźliwie.

- Precz! - wycharczał. Cofnęła się, lecz nie mówił do niej. - Precz, szatanie! - Darł paznokciami głowę, ścisnął ją pięściami, pochylał się coraz niżej, aż skulił się zupełnie u jej stóp.

- Tyrell! - krzyknęła. - Mesjaszu! Tyś jest Białe Chrystus...

Skulone ciało wyprostowało się gwałtownie. Spojrzała mu w twarz - inną, nową - i poczuła, jak ogarnia ją bezdenne zgroza i obrzydzenie.

Tyrell stał, patrząc na nią. Potem - i to napełniło ją szczególnym przerażeniem - złożył jej pełen rewerencji i zarazem ironii ukłon.

Poczuła za sobą krawędź stołu. Nie patrząc wyciągnęła rękę - jej palce natrafiły na lepka gęstość zastygającej na ostrzu noża krwi. Namacała rękojęść, porażona nagłą świadomością, że ów kawałek stali mógłby się stać przyczyną jej śmierci. Wyobraźnia podsunęła jej obraz połyskującej stali skierowanej w jej pierś.

W głosie, który usłyszała, drgał śmiech.

- Ostry? - spytał. - Czy jest jeszcze ostry, kochanie? Czy też stępiłem go na tym kapłanie? Może chcesz go wypróbować na mnie? No, proszę, spróbuj! Inne już spróbowały! - zaniósł się śmiechem.

- Mesjaszu... - wyszeptwała.

- Mesjasz! - sztychł. - Biały Chrystus! Książę Pokoju! Przynoszący słowa miłości, bez szwanku przechodzący przez najkrwawsze wojny, jakie kiedykolwiek pustoszyły świat... tak, ta legenda, kochanie, ma ponad dwadzieścia wieków, a poza tym jest kłamstwem.

Zapomnieli! Wszyscy zapomnieli, jak było naprawdę!

Kręcenie głową w bezradnym przeczuciu było jedynym gestem, na jaki mogła się zdobyć.

- Ależ tak! - wołał. - Nie było cię wtedy na świecie. Nikogo nie było. Oprócz mnie, Tyrella. Rzeźnia! Ocalałem. Ale nie dzięki kazaniom o pokoju. Czy wiesz, co stało się z ludźmi, którzy nauczali o miłości? Zginęli - ale ja nie zginąłem. Ocalałem, ale nie dzięki kazaniom. Stała tuż przed nią, śmiejąc się.

- Tyrell-Rzeźnik! - wykrzyknął. - Byłem najkrwawszy z nich wszystkich. Jedynym, co mogli pojąć, był strach. A niełatwo było ich wtedy zastraszyć - nie ich, tych ludzi podobnych bestiom. Lecz oni bali się MNIE! - Uniósł w górę ręce o palcach zagiętych jak szpony, całe ciało wyprężyło się ekstatycznie pod wpływem upiornych wspomnień.

- Czerwony Chrystus - powiedział. - Mogli mnie tak właśnie nazwać. Ale nie zrobili tego. Nie po tym, jak wykazałem, że jestem najlepszy. Dopiero wtedy nadali mi imię. Wszyscy je znali. A teraz... - wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu - skoro panuje pokój, jestem czczony jako Mesjasz. Co ma dziś do roboty Tyrell-Rzeźnik?

W jego dudniącym śmiechu brzmiało przerażające zadowolenie z siebie.

Zrobił trzy kroki i objął ją. Aż skurczyła się od tego uścisku zła.

A potem nagle, w niepojęty sposób poczuła, że zło opuściło go. Jego ramiona drgnęły, cofnęły się, a potem znowu objęły ją z zapamiętałą czułością. Pochylił głowę i nagle poczuła jego gorące łzy.

Przez chwilę nie mógł mówić i trzymała go, czując lodowaty chłód, wypełniający jej ciało.

Bezwiednie usiadła na posłaniu, a on klęknął przed nią, wtulając twarz w jej kolana.

Docierały do niej tylko strzępy zdań, z których niewiele mogła zrozumieć.

- Pamiętam... przypominam sobie... stare wspomnienia... nie mogę tego znieść... już nie mogę, przeszłość... i przyszłość... oni... nadali mi imię. Teraz sobie przypominam...

Dotknęła jego czoła. Było zimne i mokre.

- NAZYWALI MNIE ANTYCHRYSTEM! Uniósł twarz i spojrzał na nią.

- Pomóż mi! - krzyknął w udręce. - Pomóż mi! Pomóż!

Znowu opuścił głowę, przyciskając pięści do skroni i szeptał coś, w czym nie dało się odróżnić poszczególnych słów.

Pamiętała, co trzyma w prawej ręce. Uniosła nóż i opuściła go tak mocno, jak tylko potrafiła - dając mu pomoc, której tak bardzo potrzebował.

Stała przy oknie, zwrócona tyłem do pokoju i martwego nieśmiertelnego.

Czekała na Monsa. On będzie wiedział, co robić. Prawdopodobnie trzeba to będzie jakoś zachować w tajemnicy.

Nie skrzywdzą jej, wiedziała o tym. Cześć, jaką otoczony był Tyrell, obejmowała także ją.

Będzie żyła nadal - teraz już jedyna nieśmiertelna - urodzona w pokoju, wiecznie i samotnie żyjąca w pokoju. Któregoś dnia, kiedyś w przyszłości, mógł się narodzić inny nieśmiertelny, ale teraz nie chciała o tym myśleć. Teraz mogła myśleć tylko o Tyrellu i o swojej samotności.

Spojrzała przez okno na błękit i zielen, prawdziwy boży dzień, teraz jest oczyszczony z ostatniej krwawej plamy ludzkiej przeszłości. Wiedziała, że Tyrell byłby szczęśliwy, gdyby mógł ujrzeć ten blask, tę czystość, która teraz będzie mogła trwać wiecznie.

Ona to zobaczy. Należała do tego czystego świata tak samo, jak Tyrell do niego należał. I nawet w samotności, którą już odczuwała, było jakieś nieuchwytnie poczucie powrotu do równowagi. Była ofiarą, złożoną na ołtarzu stuleci, które miały nadejść.

Odwróciła myśli od uczuć: miłości i smutku. Z daleka dochodziły uroczyste zawodzenia kapłanów. To była część nowego porządku, który teraz wreszcie zapanował nad światem, po przejściu długiej i krwawej wspinaczki na Golgotę. Ale to była już ostateczna Golgota. Teraz będzie żyła dalej, skoro musi, pełna poświęcenia i pewności.

Nieśmiertelna. Uniosła głowę i wyzywająco spojrzała w błękit nieba. Powinna spoglądać w przyszłość. Przeszłość została zapomniana. Ale ta przeszłość nie wydawała jej się krwawym dziedzictwem, ani głębokim rozkładem postępującym w otchłaniach umysłu, aż potworne nasienie dojrzeje, by zniszczyć boży pokój i miłość.

Zupełnie nagle przypomniała sobie, że popełniła morderstwo. Jej ramię znów się napięło, jakby ponownie miało zadać gwałtowny cios. Poczowała mrowienie w dłoni, którą splamiła rozlana krew.

Pospiesznie zatrzęsnęła wrota swoich myśli przed natłokiem wspomnień. Spojrzała w górę, na niebo, kurczowo broniąc przeszłości dostępu do siebie, jakby kruche bariery chroniące jej umysł pękały już pod naporem.

przełożył: Robert Browicz

Henry Kuttner      Kuracja

Kiedy Dawson wrócił z wakacji na Florydzie, nie czuł się ani trochę lepiej. Nie spodziewał się rewelacyjnych rezultatów kuracji. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się niczego. Teraz siedział zasępiony za swoim biurkiem, wpatrując się w widniejącą za oknem wieżę Empire State i mając cichą nadzieję, że ujrzy jej upadek.

Carruthers, jego wspólnik z firmy prawniczej wszedł do pokoju i zapalił papierosa.

- Kiepsko wyglądasz, Fred - rzekł krytycznie. - Dlaczego nie wyskoczysz na jednego?

- Nie mam ochoty na drinka - odparł Dawson. Poza tym jest za wcześnie. Miałem dość pijaństwa na Florydzie.

- Może za dużo?

- Nie. To, co mi doskwiera, to... Sam nie wiem.

- Najgorsze psychozy wyrastają z małych pęków - mruknął Carruthers, starając się nadać swej nalanej, bladej twarzy, aż nazbyt obojętny wyraz.

- Myślisz, że mam bzika?

- Niewykluczone. Daj sobie więcej luzu. A powiedz mi, skąd u ciebie ten nienormalny strach przed psychiatrami? Ja sam poddawałem się psychoanalizie.

- I co?

- Mam zamiar wziąć ślub z wysoką, przystojną brunetką - rzekł Carruthers. - Wracając do rzeczy, psychiatria to nie to samo co astrologia. Może biłeś swoją babcię, kiedy byłeś dzieckiem? Spróbuj wygadać się przed kimś. Dopóki będziesz myślał w stylu: „Czemu masz takie wielkie zęby, babciu?”, dopóty będziesz tkwił w tym bagnie psychicznego odrętwienia.

- Nie siedzę w żadnym bagnie - powiedział Dawson. - To po prostu...

- Tak, wiem... Słuchaj, czy nie chodziłeś przypadkiem do szkoły z facetem o nazwisku Hendricks?

- Owszem.

- Spotkałem go w windzie w ubiegłym tygodniu. Przeniósł się tu z Chicago. Ma biuro na górze, na dwudziestym czwartym piętrze. Podobno jest jednym z najlepszych psychiatrów w tym kraju. Czemu nie miałbyś go odwiedzić?

- I co mu powiem? - spytał Dawson. - Nie prześladowaj mnie małe zielone ludziki.

- Szczęściarz - odparł Carruthers. - A mnie tak. Dniem i nocą. Nawet wypijają moje drinki. Powiedz Hendricksowi po prostu, że wszędzie czujesz zapach martwych much. Możliwe, iż jako berbecę obrywałś skrzydełka komarom. Czy nie uważasz, że rozwiązanie może być tak proste?

Podniósł się z krzesła, położył rękę na ramieniu Dawsona i dodał cicho:

- Zrób to, Fred. Proszę cię.

- No cóż... O key.

- Świetnie - rzekł rozpromieniony Carruthers, spoglądając na zegarek. - Masz się stawić w jego gabinecie za pięć minut. Zapisalem cię wczoraj.

Ruszył w kierunku wyjścia, ignorując całkowicie przekleństwo, jakim Dawson cisnął jego śladem.

- Pokój numer dwadzieścia pięć czterdzieści - wykrzyknął, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Dawson, skwaszony, naciągnął kapelusz, rzucił recepcjonistce dokąd wychodzi, po czym przywołał windę. Na górze natknął się na niskiego, grubego człowieka w marynarce z tweedu, wychodzącego z pokoju dwadzieścia pięć czterdzieści. Łagodne, błękitne oczy pokryte szklami kontaktowymi spoczęły na nim.

- Cześć, Fred - powiedział tamten. - Nie poznałeś mnie, co?

- Raul? - spytał Dawson głosem pełnym niedowierzania.

- Zgadza się. Raul Hendricks. Zdaje się, że trochę przytyłem przez tych dwadzieścia pięć lat. Ale ty wcale się nie zmieniłeś. Chciałem właśnie zejść na dół, do twego biura. Nie miałem dzisiaj nawet czasu zjeść śniadania. Co byś powiedział, żeby pojechać ze mną?

- Czy Carruthers nie mówił ci...

- Znacznie łatwiej będzie omówić wszystko w trakcie śniadania. - Hendricks pociągnął Dawsona z powrotem w stronę windy. - Mam do ciebie mnóstwo pytań. Wiesz coś o szkolnych kolegach? Masz jakiś kontakt? Większość z tych lat spędziłem w Europie.

- Mam kontakt - rzekł Dawson. - Pamiętasz Willarda? Jest najlepszym specjalistą od mieszanek paliwowych...

Rozmawiali cały czas zarówno podczas zupy cebulowej jak i w trakcie drugiego dania. Hendricks głównie słuchał. Czasami spoglądał na Dawsona, ale nie przerywał mu. Siedzieli przy odosobnionym stoliku. Kiedy podano kawę, Hendricks zapalił papierosa i wypuścił kółko dymu.

- Chcesz, żebym postawił doraźną diagnozę? - zapytał.

- Tak.

- Obawiasz się czegoś? Czy możesz to dokładnie sprecyzować?

- Tak, naturalnie - odparł Dawson. - To coś w rodzaju przywidzenia. Ale Carruthers opowiadał ci chyba o tym.

- Mówił, że wszędzie czujesz martwe muchy.

Dawson uśmiechnął się.

- Na ramie okiennej. Na zakurzonej ramie okiennej. Choć to nie jest dokładnie tak. Zwykle mam tylko wrażenie i nic poza tym. Naprawdę nie widzę nic. Traktuję to tak, jakby zawodził mnie zmysł węchu.

- A ten obraz nie pojawia się w twoich snach?

- Jeżeli tak, to nic nie pamiętam. To trwa krótką chwilę. A najgorsze jest to, iż przez cały czas zdaję sobie sprawę, że rama, którą czuję, jest prawdziwa. Najczęściej to się zdarza, gdy siedzę nad jakąś rutynową robotą. I nagle mam to złudzenie. Chwilową ułudę. Lecz - obojętne, czym się w danej chwili zajmuję - wiem, że to tylko mara. I właśnie wówczas czuję gdzieś smród martwych much na zakurzonej ramie okiennej.

- Coś w stylu Czerwonego Króla? Myślisz, że możesz być obiektem czyjegoś snu?

- Nie, to ja śnię. Właśnie to.

Dawson rozejrzał się po wnętrzu restauracji.

- Cóż, to bardzo możliwe - rzekł Hendricks, zgniatając papierosa w popielnicze. - W tym miejscu zahaczamy już o metafizykę i zaczynam się gubić. Nie ma znaczenia, czy to jest sen. Najważniejszym wydaje się być fakt, czy się wierzy w realność danego złudzenia w chwili jego trwania. Chyba, że jest to nocny koszmar.

- Na pewno nie jest - odparł Dawson. - Do tej pory moje życie układało się bez większych wstrząsów.

- A więc, co wiemy? Nie jesteś pewien, co cię niepokoi. Twoje przywidzenia są jedynie symbolami. Jeżeli uda ci się odkryć, co te symbole reprezentują, cała ich struktura załamie się i jakiegokolwiek podejrzenie o chorobę psychiczną stanie się bezpodstawne. Przynajmniej tak się dzieje w większości przypadków.

- Duchy nie pojawiają się w świetle dnia, czyż nie tak? - Tak, dokładnie. Ale nie zrozum mnie źle. Stany neurotyczne mogą się ewentualnie przekształcić w prawdziwą psychozę. Ciebie dręczy coś w rodzaju halucynacji węchowej. Ale nie towarzyszy jej żadna inna złuda. Wiesz dobrze, że rama okienna jest prawdziwa.

- Tak - powiedział Dawson. - Poza tym czuję jeszcze coś w mojej dłoni.

- Halucynacja dotykowa? Jak to odczuwasz?

- Mam w dłoni coś twardego i zimnego. Nie mam pojęcia, co to może być. Gdybym to poruszył, coś mogłoby się stać.

- A poruszyłeś tym?

Dawson milczał przez dłuższą chwilę.

- Nie - odparł bardzo powoli.

- A więc porusz - poradził Hendricks. Wyjął papier, ołówek i zdjął z pęki zegarek. - Proponuję ci poddanie się skróconemu testowi na kojarzenie wyrazów. Zgadzasz się?

- Cóż... Czemu nie?

- Chciałbym odkryć rodowód twojej ramy okiennej. Jeżeli istnieją jakieś zahamowania psychiczne lub jesteś uwarunkowany, to wszystko to powinno wyjść. Coś jak wiosenne porządki. Gdy regularnie robi się porządki w domu, oszczędza się później mnóstwo pracy. Nie dajesz żadnych szans pajęczynom. Jeśli natomiast pozwolisz, żeby się kurz nagromadził, potem naprawdę można dostać psychozy, kiedy się człowiek zabiera do sprzątnięcia. Jak już powiedziałem, najważniejsze to znaleźć przyczynę. Kiedy ją już poznasz i przekonasz się, że to tylko słomiana kukła, nic cię więcej nie będzie niepokoiło.

- A jeśli to nie jest słomiana kukła?

- W każdym bądź razie, znając przyczynę, będziesz mógł powziąć odpowiednie kroki, żeby uwolnić się od zmyłu.

- Rozumiem - rzekł powoli Dawson. - Gdybym był odpowiedzialny za śmierć jakiegoś człowieka przed wielu laty, mógłbym teraz uczynić wszystko, żeby dopomóc osieroconym dzieciom.

- Widzę, że czytujesz Dickensa - powiedział Hendricks. - Historia Scrooge'a jest wspaniałym przykładem takiej przypowieści. Halucynacje, mania prześladowcza, kompleks winy i wreszcie pokuta - spojrzał na zegarek. - Jesteś gotów?

- Tak.

Kiedy skończyli, Hendricks przyjrzał się rezultatom.

- Wszystko w normie - powiedział. - Nawet za bardzo. Jest kilka zwyczajnych kruczków, ale trzeba by przeprowadzić więcej niż jeden test, żeby otrzymać dokładniejszy wynik. Ale nie musimy czegoś takiego robić, chociaż czasami bywa to konieczne. Następnym razem, kiedy będziesz miał swoje złudzenie, przesuń ten przedmiot, który poczujesz w dłoni.

- Nie wiem, czy będę potrafił - rzekł Dawson.

Hendricks zaśmiał się tylko.

- Paraliż nerwowy wywołany przez ciało astralne stwierdził. - Ulżyło mi, Fred. Już sądziłem, że jesteś nieco pomyłony. Ale laik zawsze wyolbrzymia odchylenia psychiczne.

Prawdopodobnie Carruthers zastał cię w stanie wytrącenia z równowagi.

- Możliwe.

- Tak więc, prześladowają cię halucynacje. To nie jest nic nienormalnego. Jeśli tylko znajdziesz ich przyczynę, nie będziesz musiał się już o nic martwić. Wpadnij do mnie jutro, o której chcesz, tylko zadzwoń przedtem. Zrobimy ci stereotypowe badania lekarskie. Chcesz jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję - odparł Dawson.

Tym razem zostawił Hendricksa przed drzwiami windy. Czuł się dziwnie odprężony. Choć nie podzielał profesjonalnego optymizmu, jaki cechował większość psychiatrów, trafiły do niego zwykle ludzkie argumenty. Wszystko trzymało się kupy. Nielogiczne było jedynie to, że wpływ jego halucynacji na rzeczywistość wydawał się aż tak duży.

Wróciwszy do biura, Dawson stanął przy oknie i zapatrzył się na ząbkowaną linię horyzontu. Basowy, jednostajny pomruk ruchu ulicznego dobiegał z położonego w dole kanionu. Przez czterdzieści dwa lata swego życia przeszedł długą drogę - był współwłaścicielem firmy prawniczej, członkiem tuzina klubów, aktywnie interesował się wieloma sprawami.

Naprawdę długą, jeśli wziąć pod uwagę, iż jako chłopak zaczynał swą karierę w sierocińcu. Przez jakiś czas był żonaty, a po rozwodzie utrzymywał z byłą żoną przyjacielskie kontakty. Bez kłopotów wynajmował kawalerskie mieszkanie w pobliżu Central Park. Miał pieniądze, prestiż, siłę przebicia - ale to wszystko nie mogłoby mu pomóc, gdyby jego halucynacje rozwijały się nadal.

Pod wpływem nagłego impulsu wyszedł z biura i udał się do biblioteki medycznej. To, co wyczytał w książkach, jedynie potwierdziło spostrzeżenia Hendricksa. W szczególności przekonał go fakt, iż dopóki nie będzie wierzył w to, że zakurzona rama okienna istnieje w rzeczywistości, nie grozi mu choroba. Jeżeli uwierzy, przepaść zacznie się powiększać i wszystko poza subiektywnym, fałszywym doznaniem przestanie istnieć. Życiową potrzebą ludzi jest wiara w racjonalność działań - gdy podstawowe ich motywy są zbyt głęboko ukryte lub skomplikowane aż do niezrozumiałości, ludzie nadają znaczenie swoim zachowaniom w sposób arbitralny.

Ale dlaczego, u diabła, zakurzona rama okienna?...

- Tak - mruknął Dawson, przekopując się przez setki zapisanych stron. - Jeżeli uwierzę w moje złudzenia, wtedy... och... wywołam złudzenia drugiego rzędu. Muszę się poważnie zastanowić, co leży u podstaw tej ramy okiennej. Tylko, że nie ma żadnych podstaw, do cholery.

Kiedy wyszedł z biblioteki i stanął przed strumieniem aut, poczuł nagle, że halucynacja znów nadchodzi. Rama okienna znowu była blisko.

Wiedział, że leży tuż przy niej, nosem niemal dotykając szyby. Z każdym oddechem wciągał kurz oraz duszący, wstrętny, jakby brunatnawy odór martwych much. Uczucie duszenia się i

powolnego umierania było wręcz przerażające. Czuł także twarde przedmiot spoczywający pod jego dłonią i wiedział z zadziwiającą trzeźwością, że dopóki nie poruszy go, z pewnością będzie nadal dusił się z nosem przytkniętym do szyby, dusił się z powodu niemożności wykonania żadnego, choćby najmniejszego ruchu. Zdawał sobie też sprawę, że nie wolno mu wracać do snu, w którym był Dawsonem. To właśnie była rzeczywistość. Dawson, jego raj głupców i wyśnione miasto Nowy Jork nie miały w sobie nic kuszącego. Mógłby tak leżeć i umierać z nozdrzami pełnymi smrodu martwych much, a Dawson niczego by nie podejrzewał. Najwyżej zorientowałby się w tym krótkim momencie, pomiędzy jego przebudzeniem a śmiercią, kiedy za późno byłoby już na poruszenie tego... twardego przedmiotu wyczuwalnego w dłoni.

Odgłos ruchu ulicznego dotarł do niego niczym huk. Stał przy krawężniku, poblady i spocony. Nierzeczywistość sceny rozgrywającej się przed jego oczyma była wręcz szokująca. Stał bez ruchu, czekając, aż nieprawdziwy świat odzyska w pełni swą namacalność. Po chwili z zaciśniętymi mocno wargami przywołał taksówkę.

Dwie małe szklaneczki whisky postawiły go na nogi. Był teraz w stanie kontynuować pracę nad rozpoczętym streszczeniem ze sprawy, w której problem odpowiedzialności nie budził żadnych wątpliwości. Carruthers był zajęty w sądzie i nie widział go już więcej tego popołudnia. Także halucynacja nie powtórzyła się.

Po obiedzie zatelefonował do swej byłej żony i spędził z nią wieczór w ogródku, na dachu jej domku. Nie pił dużo. Próbował ożywić w sobie coś z witalnego poczucia rzeczywistości, które towarzyszyło mu w początkowym okresie małżeństwa. Niezbyt mu się to jednak udało. Następnego ranka Carruthers wszedł do jego pokoju, przysiadł na rogu biurka i wyciągnął papierosa.

- Jaka diagnoza? - spytał. - Czy słyszysz głosy?

- Często - odparł Dawson. - Na przykład teraz. Twój.

- Czy ten Hendricks jest naprawdę taki dobry? Dawson bez powodu zirytował się.

- A spodziewałeś się, że wyciągnie magiczną pałeczkę? Każda terapia wymaga czasu.

- Terapia? Czyżby postawił złą diagnozę?

- Nic takiego - Dawson nie miał ochoty rozmawiać na ten temat. Otworzył leżący przed nim podręcznik. Carruthers zapalił papierosa, wyrzucił zapałkę do kosza na śmieci i wzruszył ramionami.

- Przepraszam. Myślałem, że...

- Nie przepraszaj, wszystko w porządku. Hendricks jest rzeczywiście niezłym psychiatrą. Po prostu mam nieco zszargane nerwy.

Carruthers zadowolony mruknął coś i wyszedł z pokoju. Dawson odwrócił stronę, przeczytał kilka słów i poczuł, że przedmioty zacieśniają się wokół niego. Poranne słońce, przesączaając się przez szybę, nagle przygasło. W jego dłoni znajdował się zimny, twardego obiekt, w nozdrzach czuł duszący, wstrętny zapach śmierci. Tym razem wiedział, że wraca rzeczywistość.

Nie trwało to długo. Kiedy minęło, siedział nadal bez ruchu, gapiąc się na nieprawdziwe biurko i nieprawdziwą ścianę. Odgłos ruchu ulicznego był hałasem dochodzącym ze snu. Kłęby dymu wydobywające się z kosza na śmieci były dymem widzianym we śnie.

- Mam nadzieję, iż nie wierzysz w to, że jesteś realny - rzekł pogardliwie sobowtór.

Zauważył, że dym zamienił się w pomarańczowy płomień. Po chwili zajęła się zasłonka. Pewnie będzie musiał obudzić się za moment.

Ktoś krzyknął. Pani Anstruther, jego sekretarka, stała w drzwiach i wskazywała na coś palcem. Zaraz zrobiło się zamieszanie, krzyki, buchnęła piana z gaśnicy.

Płomienie zostały zduszone. Dym rozwiął się.

- O Boże - westchnęła pani Anstruther, wycierając ślady sadzy z nosa. - Całe szczęście, że weszłam w takim momencie, panie Dawson. Pan siedział z nosem zagłębionym w książce...

- Tak - rzekł Dawson. - Niczego nie zauważyłem. Będę musiał pogadać z Carruthersem na temat wyrzucania zapalek do kosza na śmieci.

Zamiast tego zatelefonował do Hendricksa. Psychiatra mógł go przyjąć za godzinę. Dawson zajął się krzyżówką, a o dziesiątej poszedł na górę. Kiedy się rozebrał, Hendricks zbadał go przy pomocy stetoskopu, zestawu do pomiaru ciśnienia krwi i innych pomysłowych urządzeń.

- No i co?

- Wszystko w porządku.

- Więc wychodzi na to, że mam bzika?

- Bzika? - spytał Hendricks. - Chodź tu bliżej. Przyznaj się, co się stało?

Dawson opowiedział o wszystkim.

- To jak epilepsja. Nie mam pojęcia, kiedy nadejdzie kolejny atak. Do tej pory nigdy nie trwały długo, lecz to może ulec zmianie. A ponadto pozostaje wrażenie nierealności.

Zdawałem sobie świetnie sprawę, że pali się w koszu na śmieci, lecz nie był to prawdziwy ogień.

- Halucynacje mają tendencję do rozwijania się, a reorientacja nie zawsze jest natychmiastowa.

Dawson przygryzł paznokcie.

- Oczywiście. Ale założmy, że Carruthers chciałby wyskoczyć przez okno. Nie próbowałbym nawet go powstrzymać. Do diabła, powinienem się przejść po krawędzi dachu, wtedy bym wiedział, czy może mi się stać krzywda. To wszystko jest snem!

- Czy teraz też masz wrażenie, że śnisz?

- Nie - odparł Dawson. - Oczywiście, że nie! To wrażenie trwa tylko w czasie ataku i zaraz po nim...

- Czy czułeś ten twardy przedmiot w dłoni?

- Tak. I ten sam smród. Poza tym było coś jeszcze.

- Co?

- Nie wiem.

- Porusz tym przedmiotem. Musisz to zrobić. I o wyniku z testu czterobitowych słów. I nie martw się o nic.

- Nawet o to, czy spadnę z dachu?

- Zapomnij o tym dachu na jakiś czas - powiedział Hendricks. - Jeśli uda ci się odkryć znaczenie symboliki, będziesz wykurowany.

- A jeśli nie, to grożą mi halucynacje drugiego rzędu. - Widzę, że wczytałeś się w zagadnienie. Posłuchaj. Jeżeli wydaje ci się, że jesteś najbogatszym człowiekiem na świecie, a nie masz nawet grosza w kieszeni, jak możesz to wytłumaczyć?

- Nie wiem - odparł Dawson. - Może jestem ekscentrykiem?

Hendricks energicznie pokręcił głową, aż podskoczyły jego obwisłe policzki.

- Nie. Wyciągniesz logiczny skądinąd wniosek, będący następnie złudą, że padłeś ofiarą przestępczej organizacji, która zamierzała cię obrabować. Rozumiesz? Nie próbuj dopasowywać fałszywego znaczenia do swojej zakurzonej ramy okiennej. Nie chodzi o to, żebyś znalazł jakiegoś człowieka o nazwisku Alicja, który wykrada z zakładów stolarskich ramę okienną i wynosi ją pod pachą, lub żebyś myślał, że związek dmuchaczy szkła ma zamiar cię prześladować. Musisz szukać autentycznego znaczenia symboli. Jeszcze raz ci powtarzam. Przesuń ten przedmiot, który czujesz w dłoni. Nie bój się tego.

- O.K. - rzekł Dawson. - Poruszę. Jeśli dam radę.

Przyśnił mu się tej nocy, lecz to był normalny sen. Zwykła halucynacja nie pojawiła się.

Natomiast śniło mu się, że stoi na szubienicy ze stryczkiem założonym na szyję. Nagle pojawił się Hendricks, wymachując rolką papieru przewiązaną błękitną wstążką.

- Jesteś ocalony - krzyknął psychiatra. - Oto akt łaski. Podpisany przez gubernatora.

Wcisnął papier w dłoń Dawsona.

- Otwórz to - rozkazał. - Odwiąż wstążkę.

Dawson nie miał na to ochoty, ale Hendricks nalegał. Kiedy pociągnął za koniec tasiemki, dojrzał, że łączy się ona z długim sznurem leżącym na platformie, którego koniec ukryty był przed jego oczyma. Szczęknął rygiel. Poczuł, że zapadnia usuwa się spod stóp. Ciągnąc za koniec wstążki, sam uruchomił mechanizm. Spadł.

Obudził się zlany potem. W pogrążonym w mroku pokoju panowała cisza. Klnąc pod nosem, Dawson zwłóknął się z łóżka i wziął zimny prysznic. Nocne zmory nie męczyły go już od lat.

Odbił jeszcze dwa spotkania z Hendricksem. Za każdym razem psychiatra wypytywał go coraz dokładniej. Lecz rozmowy kończyły się zawsze w ten sam sposób. Trzeba rozpoznać symbol. Poruszyć przedmiotem. Przypomnieć sobie.

Trzeciego dnia, gdy Dawson siedział w poczekalni gabinetu Hendricksa, przypomniał sobie. Otoczyła go dobrze znana, ciężka, przesiąknięta chorobą atmosfera. Zdesperowany próbował skupić wzrok na budynkach widocznych za oknem. Nie dał jednak rady przeciwstawić się atakowi. W ostatniej chwili przypomniał sobie radę Hendricksa i gdy tylko poczuł w dłoni zimny, twardy obiekt, zaczął czynić nadludzkie wysiłki, żeby ruszyć go z miejsca.

- Na lewo - coś mu podpowiadało. - Na lewo!

Nie było łatwo przezwyciężyć ospałość, uczucie duszności, dławiący natłok halucynacji. Nie był w stanie poruszyć tego przedmiotu. W końcu jednak impuls dotarł do jego dłoni, palce zacisnęły się i pchnął. Poczuł, że coś stuknęło i...

Pamiętał już.

Ostatnią rzecz przed...

Przed czym?

- Terapia życiem - powiedział głos. - Mamy po kilka przypadków rocznie, a musimy się zabezpieczyć przed tą plagą.

Karestly przeciągnął ośmiopalczystą dłonią po łysej, spotniałej czaszce.

- Testy wykazują, że potrzebujesz tego, Dawson.

- Ale ja nie...

- Oczywiście, że nie wiedziałeś. Tego się nie da wykryć bez odpowiednich przyrządów. Ale potrzebujesz leczenia, to pewne.

- Nie mam na to czasu - powiedział Dawson. Równania upraszczające zaczynają właśnie przybierać jaśniejszą postać. Jak długo musiałbym pozostać w kokonie?

- Około pół roku - odparł Karestly. - To zresztą nie ma znaczenia.

- Poza tym Pharr wszedł w to w zeszłym miesiącu.

- Potrzebował tego.

Dawson wpatrzył się w ścianę. Pod wpływem impulsu myślowego matowość ustąpiła miejsca przejrzystości, aż ściana stała się całkiem przezroczysta. Mógł objąć wzrokiem Miasto.

Karestly powiedział:

- Nigdy dotąd tego nie przechodziłeś. Jesteś jednym z najmłodszych. To nie jest złe - stymuluje, lecz, jest po prostu niezbędne.

- Ale ja się czuję normalnie!

- Przyrządy nie kłamią. Współczynnik emocji jest fatalny. Posłuchaj, Dawson: jestem o wiele starszy od ciebie i poddałem się temu dwanaście razy.

Dawson popatrzył na niego przeciągle.

- Dokąd?

- Za każdym razem w inną epokę, tę, która najlepiej pasowała do konkretnych zaburzeń. Raz była to Brazylia w roku 1980. Innym razem epoka Restauracji w Londynie. I w Drugim Cesarstwie Rzymskim. Miałem mnóstwo roboty. Spędziłem dziesięć lat w Brazylii, budując przemysł gumowy.

- Gumowy?

Karestly uśmiechnął się.

- Guma, to taka substancja, która była bardzo ważna w owej epoce. Cały czas byłem zajęty. To świetny sposób leczenia. Jedyna terapia, jaką znali ludzie w owym czasie, obejmowała malarstwo i inne techniki plastyczne - widzialne i namacalne. Nie była to terapia uczuciowa, terapia ducha, z jakiej dziś korzystamy. Ich umysły nie były jednak rozwinięte...

- Nienawidzę samej myśli, że będę uwięziony w ciele o pięciu zmysłach! - powiedział Dawson.

- Nie będziesz pamiętał, że kiedykolwiek było inaczej. Twoja pamięć zostanie sztucznie zablokowana. Twoja energia życiowa ulokowana zostanie w ciele stworzonym dla ciebie w epoce, którą wybierzemy, mając na uwadze cel terapeutyczny. Dostaniesz komplet fałszywych wspomnień, dobranych specjalnie do tego okresu. Naprawdopodobniej zaczniesz jako dziecko. Dzięki kompresji temporalnej będziesz mógł przeżyć trzydzieści czy czterdzieści lat, podczas gdy tu upłynie pół roku.

- Nadal nie podoba mi się to.

- Podróże w czasie są najlepszą terapią, jaką dziś znamy - powiedział Karestly. - Żyjesz w nowym środowisku, w zbiorze zupełnie nowych wartości. To jest właśnie najważniejszy czynnik leczniczy. Zostajesz odcięty od instynktu grupowego, który obecnie jest powodem wszystkich kłopotów.

- Ale... - krzyknął Dawson. - Jest nas tylko cztery tysiące. Osamotnionych, jedynych w świecie. Jeśli nie będziemy pracować szybciej ...

- Brak nam odporności. Cały problem polega na tym, że od setek pokoleń nasza rasa przyjmowała fałszywe wartości, które były w konflikcie z instynktami pierwotnymi. Nadmierna komplikacja i nadmierne upraszczanie, wszystko nie na miejscu. Nasza rasa dawno by wyginęła, gdyby nie rozwój mentalności. Kiedyś pewien człowiek, Clemens, skonstruował mechaniczną maszynę drukarską. Dzieło doprowadzone do perfekcji. Miało tylko jedną wadę, było zbyt skomplikowane. Dopóki pracowała, była ideałem. Ale kiedyś się musiała zepsuć.

- Znam problem starych urządzeń - podchwycił Dawson. - Są one tak potwornie skomplikowane, że człowiek nie daje sobie z nimi rady.

- Walczymy z tym - odparł Karestly. - Powoli lecz skutecznie. Jest nas tylko cztery tysiące. Ale znamy już właściwą terapię. Po spędzeniu w czasie sześciu miesięcy będziesz nowym człowiekiem. Przekonasz się sam, że terapia czasowa to drobnostka, lecz absolutnie niezbędna.

- Mam nadzieję. Chciałbym wrócić do mojej pracy. - Jeśli wrócisz do niej teraz, za pół roku postradasz zmysły - wyjaśnił Karestly. - Podróż w czasie jest jakby zastrzykiem szczepionki prewencyjnej. Musisz się zgodzić. Wyślemy cię w wiek dwudziesty.

- Tak daleko?

- Tamte czasy będą odpowiednie w twoim przypadku. Otrzymasz kompletny zbiór spreparowanych wspomnień i kiedy znajdziesz się w przeszłości, nie będziesz w żaden sposób zdawał sobie sprawy z rzeczywistości. Z naszej rzeczywistości, oczywiście.

- Cóż... - mruknął Dawson.

- Chodź - Karestly wstał i podpłynął w stronę dysku transmitera. - Twoja rzeczywistość jest już gotowa. Matryca przygotowana. Musisz tylko...

Dawson ułożył się w urządzeniu, które zamknęło się wokół niego. Popatrzył po raz ostatni na przyjazną twarz Karestly'ego, po czym zacisnął dłoń na dźwigni przyrządu. Po chwili przesunął ją w prawo.

Był Fredem Dawsonem, wyposażonym w komplet fałszywych wspomnień, w sierocińcu w Illinois.

Lecz teraz znów znajdował się w aparacie z nosem przyciśniętym do szklanego wizjera, który śmierdział martwymi muchami. Przy każdym oddechu zatechłe powietrze drapało go w gardle. Wszystko dokoła pogrążone było w szarym półmroku. Wysłał impuls myślowy. Na zewnątrz zapaliły się światła. Odległa ściana stała się przezroczysta. Znów mógł popatrzeć na miasto.

Bardzo się zmieniło, było o wiele starsze. Obudowa urządzenia, w którym spoczywał, pokryta była grubą warstwą kurzu.

Olbrzymie, czerwone słońce zatapiało miasto w krwistym zmroku. Nie widać było żadnych śladów zorganizowanej działalności. Tu i tam wśród ruin przesuwały się jakieś postacie. Z tego miejsca nie mógł dojrzeć, co robią ci ludzie.

Spojrzał na budynek administracji, ostatnie wielkie dzieło jego rasy. Czas także odcisnął na nim swe piętno. Wiele lat musiało upłynąć od momentu, kiedy dał się zamknąć w aparacie. Z ruin wyłaniały się jedynie co wyższe budowle, a blade postacie, widoczne gdzieś w tym chaosie, nie wyglądały na istoty inteligentne. Ostatni promyk nadziei wygasł. Mętne wody historii zamknęły się nad czterema tysiącami ludzi.

Przy pomocy swego zmysłu sprawdził, że na całym świecie nie było już dla niego ratunku. Instynkt grupowy zwyciężył.

Nie mógł dłużej oddychać. Teraz wiedział, że właśnie ta duszna potworność jest rzeczywistością. Jego organizm, w którym na nowo zachodziły wszystkie procesy życiowe, chciwie absorbował ostatnie mililitry tlenu, jakie pozostały w zamkniętym szczelnie pomieszczeniu. Mógł, oczywiście, otworzyć pokrywę aparatu...

Tylko po co?

Dawson przesunął dłonią. Dźwignia przyrządu znów znalazła się w prawym położeniu.

Siedział w poczekalni gabinetu psychiatry. Recepcjonistka siedząca za biurkiem i pisząca coś nie spojrzała nawet na niego. Białe promienie porannego słońca kładły jasne plamy na dywaniku.

Rzeczywistość.. .

- Może pan już wejść, panie Dawson...

Dawson wstał i wszedł do sanktuarium Hendricksa. Uścisnął mu dłoń, mruknął coś pod nosem i zapadł się w fotel.

Hendricks popatrzył na rozłożoną kartę choroby.

- O key, Fred - powiedział. - Czy jesteś gotów do następnego testu na kojarzenie słów? Wyglądasz dziś nieco lepiej.

- Naprawdę? - rzekł Dawson. - Może dlatego, że już wiem, co przedstawiają symbole.

Hendricks spojrział na niego uważnie.

- Wiesz?

- Może to nie jest żadna symbolika? Może to jest właśnie rzeczywistość...

W tej samej chwili rozpoczęły się znajome sensacje. Pylista, dusząca klaustrofobia, rama okienna, nie wiadomo skąd brunatny, odrażający smród i straszliwe uczucie bezsilności.

Teraz już wiedział, że nie jest w stanie nic na to poradzić, absolutnie nic. Czekał. Po chwili wszystko minęło. Znowu widział siedzącego za biurkiem Hendricksa, który mówił coś o niebezpieczeństwie halucynacji drugiego rzędu i o poczuciu rzeczywistości.

- To tylko sprawa znalezienia odpowiedniej terapii stwierdził nieprawdziwy człowiek.

przekład : Andrzej Leszczyński

Henry Kuttner      Łączność z przyszłością

- Potwierdzenie. Wstępne kroki zostały poczynione. Jestem już zadowolająco wpasowany w podstawową strukturę społeczną.

- Dobrze. Kontakt ustanowiony. Co jakiś czas będziesz otrzymywał polecenia i wskazówki, Korys...

Zadzwoił telefon. Fletcher nie otwierał oczu i udawał, że nie słyszy. Usiłował pochwycić stracony wątek dosyć przyjemnego snu, ale natarczywe terkotanie nie dawało za wygraną. Błogi półsen na tyle zmącił mu poczucie czasu, że odstępy między dzwonekami zdawały się rozciągać rozkosznie w nieskończenie długie minuty. Potem znowu dr-r-r-r-ryrcnn! Zwłókł się w końcu z łóżka, półprzytomny przeparadował przez pokój i po krótkiej utarczce z drzwiami znalazł telefon. Podniósł słuchawkę i wymruczał coś nieartykułowanego.

- Korys - powiedział czyjś głos. - To ty?

- Pomyłka - warknął Fletcher, ale zanim zdążył odłożyć słuchawkę, głos podjął.

- Dobrze. Przez chwilę nie mogłem uzyskać połączenia. Była jakaś burza temporalna - przynajmniej tak się nam wydaje - chociaż niewykluczone, że nastąpiło przesunięcie krybów. Sam wiesz, jak trudno podtrzymać taki obwód... czemu tak długo nie odpowiadałeś? Nastąpiła długa pauza wypełniona martwą ciszą. Fletcher, nieprzytomny z zaspania, słaniający się na nogach, był zbyt otumaniony, by oderwać słuchawkę od ucha. Głos znowu się odezwał: - Nie słyszysz mnie? Dziwne. Ale teraz słyszysz, co? No dobrze, lepiej zacznij już robić notatki do swojego referatu. Podaję instrukcję: kup teraz akcje Transsteelu i sprzedaj je za dwa dni. Będziesz miał z tego pieniądze na bieżące wydatki. Cisza. Potem...

- Tak. Ale pamiętaj, żeby nie rzucać się w oczy. I jeśli tylko możesz, wystrzegaj się felkowania sorkinów.

Cisza przedłużała się. Fletcher, pomrukując coś o idiotycznych kawałach, odłożył słuchawkę i wrócił do łóżka, gdzie udało mu się zapaść w sen o felkowanych sorkinach. Wyglądały jak kiszone ogórki poubierane w wesołe czerwone kurteczki, ale ślepka miały niebieskie. Kiedy już przesunęły się kryby - a były to pająkowate stworzenia baraszkujące niczym lemingi po plażach - Fletcher obudził się z bólem głowy i umiarkowanym kacem. Przeklinając w myślach swoją wyobraźnię poczłapał na chwiejących się nogach do łazienki i ocucił się pod chłodnym prysznicem. Ogolił się, przyrządził sobie prowizoryczne śniadanko i zabrał się do lektury porannej gazety. Wpadło mu w oko, że akcje Transsteelu stoją po 28,25.

Pojechał do agencji reklamowej, w której pracował, dokonał kilku daremnych podejść do czekających na opracowanie makiet i udało mu się wreszcie umówić na randkę z Cynthią Dale, która pisywała do działu mody i kosmetyków. Cynthia była rozkoszną rudowłosą dziewczyną o kosztownych upodobaniach i odporności na działanie napojów wysokowych, która zadziwiła nawet Fletchera. Spotkali się po pracy i zjedli razem obiad: Fletcher bawił się wspaniale. Lekki ból głowy ustąpił w trakcie wieczoru, a Cynthia otworzyła się bardziej niż zwykle. Obudził się następnego ranka z mglistym wspomnieniem głowy Cynthii na swym ramieniu i jej zachrypniętego głosu wyliczającego listę synonimów słowa „wony”.

- Aromatyczny - odpowiedział Fletcher.

- Zamknij się, Jerry. Miałam już odpowiednie słowo na końcu języka...

- Ja też - powiedział Fletcher podnosząc do ust szklanke. - Zdrówko.

Tym razem telefon zadzwonił dopiero o ósmej rano. Fletcher, wystrzegając się skwapliwie gwałtownych ruchów, zdążył już wyłopać kawę. Głowę miał wypchaną zapleśniałym sianem; nie dość, że czuł jego smak, to jeszcze telepało mu się po czaszce wywołując przykre sensacje. Przerażliwy terkot dzwonka przejechał mu błyskawicą po oczach.

- G-g-g... taaa - wykrztusił podnosząc słuchawkę.

- Dzień dobry, Korys - powiedział raźno głos. - Chociaż tutaj mamy, oczywiście noc. Kupiłeś akcje Transsteelu?

- Co to za durne kawały? - spytał Fletcher kipiąc ze złości. - Ja sobie...

- No to sprzedaj je jutro - polecił głos. - Po sto siedem. Co sądzisz o tych ludziach?

- Nienawidzę ludzi! - warknął Fletcher, ale tamta strona najwyraźniej go nie słyszała.

- Infekcja kataralna była wtedy dość rozpowszechnioną chorobą. Gdybyśmy potrafili transportować całe ciała, mógłbyś je uodpornić, a tak musisz się zadowolić ciałem, które dostałeś - chociaż z zasady wyszukujemy zdrowsze. Gdybyś specjalizował się w medycynie, moglibyśmy wybrać ci ciało schorowane, ale ponieważ twój kierunek to socjoekonomia...

Fletcher nacisnął na widełki aparatu, ale połączenie nie zostało przerwane. - ...pozbadź się tego - ciągnął pogodnie głos. - Podam ci przepis na lekarstwo na katar i parę innych lżejszych przypadłości. A więc tak: trzydzieści gramów chlorku sodu, szczyptę sody oczyszczonej... - wymienił jeszcze kilka składników. - Zazij to. Powinno pomóc. Do widzenia, no i powodzenia.

- Dwizz - burknął niezrozumiale Fletcher. Postanowił skontaktować się z towarzystwem telefonicznym, jeśli to się nie skończy. Wysłuchiwanie co rano dwóch wariatów wydzwanających do siebie, żeby prowadzić jednostronną rozmowę, stanowiło przygnębiającą perspektywę. Nawet bez kaca. Przypomniawszy sobie o apokalipsie, która dotąd nie wywietrzała mu z głowy, Fletcher powlókł się do kuchni, żeby poszukać soku pomidorowego. Nie znalazł ani kropelki. Gdy prostował się ze skłonu nad lodówką, przelała się w nim mdląca fala nudności. Wyraźnie wyczuwał przesuwanie się krybów. Tak mu się przynajmniej skojarzyło to uczucie.

Wziął do ręki solniczkę i obejrzał ją z namysłem. Chlorek sodu. Co to była, u diabła, za mikstura, którą zalecał głos? Katar - no cóż, nie był przeziębiony, ale bolała go głowa, łamała w kościach i przeżywał głęboką depresję. Nie zabije go przecież ten specyfik. Miał nadzieję. Fletcher miał lekkie skłonności do hipochondrii, stymulowane, być może, wzrastającą częstotliwością nawrotów bólu głowy. Powstrzymywanie się przed wypróbowywaniem nowych preparatów było więc ponad jego siły. Miał pod ręką wszystkie niezbędne składniki, ale nigdy nie słyszał, żeby ktoś mieszał ze sobą takie rzeczy. Było toto zielone, musowało i smakowało podle. Mimo to Fletcher wypił duszkiem roztwór, byle tylko zatrzymać kryby. Dziesięć sekund później odstawił szklankę i gapił się tępo przed siebie mrugając powiekami. Potrząsnął na próbę głową.

Żadnych krybów.

To nie może być. Odtrutka na kaca giganta o działaniu natychmiastowym była oczywistą niemożliwością. Ale Fletcherowi minął kac, ból głowy i wszystko inne. Czuł się jak nowo narodzony.

- Niech mnie diabli - mruknął cicho. Potem porwał papier i ołówek i spisał prędko składniki uniwersalnego remedium, na wypadek gdyby wyleciały mu z głowy. Potem wyciągnął przed siebie ręce i nie wierząc własnym oczom obserwował ich nieruchomość.

Ktoś bardzo mu pomógł.

Nikt z biura nie przyznał się tego ranka do telefonowania do Jerry'ego Fletchera. Pamiętała, że głos był męski, ale ochryple tony Cynthii mogły się okazać wystarczająco mylące. Spytał ją. Wyparła się wszystkiego i sprawiała wrażenie źle usposobionej. To jasne, że gdyby Cynthia знаła cudowny sposób leczenia kaca, nie miałaby go teraz.

Na jej biurku leżała jednak gazeta i Fletcher pożyczył ją sobie w drodze powrotnej do swojego pokoju. Interesowały go doniesienia finansowe. Ale notowania Transsteelu spadły o trzy i ćwierć punkta; stały teraz po 25. A w aktualnościach nie było żadnej wzmianki o jakimś niespodziewanym zwrocie w popycie i podaży, który przez jedną noc podbiłby kurs. Fletcher wzruszył ramionami i z postanowieniem przyjmowania darów zsyłanych mu przez bogów zabrał się do pracy nad makietą reklamy precelków.

Nazajutrz rano telefon znowu zadzwonił.

- Cześć, Korys - powiedział głos. - Nie zapomnij o Transsteelu. Kurs spadnie przed południem.

- Słyszysz mnie? - zapytał Fletcher.

- No dobrze, w twoim mieszkaniu... ale zatrzymaj to tylko dla siebie. Ten materiał jest niebezpieczny, jeśli dostanie się w niepowołane ręce. Ale należy ci się; nie ma powodu, dla którego miałbyś sobie odmawiać przyjemności. To przecież praktyka w terenie, nie inicjacja.

- Halo... ty! K o r y s!

- No więc równanie ma następującą postać. - Fletcher sięgnął po ołówek i zaczął szybko notować, co dyktował głos. Nie znał paru terminów technicznych, a więc zapisał je fonetycznie. Symbole matematyczne nie były jego mocną stroną.

- Zupełnie nieźle - powiedział pogodnie głos. - Po twoim powrocie oczekuję od ciebie dobrego referatu. Uważaj na te sorkiny, chłopcze. - Rozległ się śmiech i coś cicho pstryknęło. Fletcher odczekał jeszcze chwilę, odłożył słuchawkę i zaczął obgryzać paznokieć kciuka.

Potem połączył się z towarzystwem telefonicznym i zadał kilka pytań. Obiecali, że sprawdzą. Fletcher zaczynał podejrzewać, że nie znajdą żadnej usterki. Zasłyszane przed chwilą określenie „praktyka w terenie” przestawiło jego myśli na nowy tor. Przystudiował jeszcze raz równanie, ale nie znalazł w nim żadnej wskazówki. A może...

Pogrążony w myślach ubrał się, wypił kawę i wyszedł do biura. Umówił się w południe na lunch z doktorem Sawtelle, inżynierem zatrudnionym w wielkiej firmie komercyjnej współpracującej z jego agencją reklamową. Sawtelle był wychudzonym, siwowłosym mężczyzną o badawczych, błękitnych oczach.

- Skąd pan to ma? - chciał koniecznie wiedzieć.

- Na razie wolałbym tego nie zdradzać. Chciałbym się tylko dowiedzieć...

Sawtelle studiował równanie. - Ależ to absurdalne. Nie można... oczywiście, że nie można! - Zaczął mówić coś o czasie połowicznego rozpadu i własnościach stopów, posługując się przy tym żargonem, z którego Fletcher nic nie rozumiał.

- Czy ono ma jakiś sens?

- Żadnego - zawyrokował Sawtelle. - Co najwyżej... nie, żadnego. Niech pan posłucha.

Chciałbym to ze sobą zabrać. Muszę zajrzeć do paru podręczników. Może znajdę tam coś podobnego.

- Niech pan sobie przepisze - doradził mu Fletcher. Sawtelle skorzystał z jego sugestii. I na tym dyskusja się na razie zakończyła.

Gazeta podawała, że Transsteel stoi po 27,5. To też nie miało wielkiego sensu. Fletcher wzruszył ramionami, wyłudził u Cynthii zgodę na spotkanie i zapomniał o całej sprawie aż do pierwszego brzasku, kiedy to wrócił do swojego mieszkania. Był zalany w pestkę, ale zaradziła temu cudowna odtrutka na kaca. Rozbierając się włączył radio.

Spiker mówił akurat: - ...dom doktora Andrewa Sawtelle, chemika prowadzącego prace naukowo-badawcze. Wybuch całkowicie zniszczył budynek. Śmierć pod gruzami poniosła cała rodzina...

Fletcher wyciągnął rękę, wyłączył odbiornik i siedział zapatrzony w przestrzeń, dopóki nie zadzwonił telefon.

Głos był nieco strapiony. - Czasu jest niewiele. Daki ma kłopoty. Mogłem się tego spodziewać, kiedy oblał egzamin z przystosowania psychicznego... co? Aha, felkowanie sorkinów - naturalnie! No i mają go spalić na stosie, o ile - nie wybierze sobie jako temat pracy hiszpańskiej Inkwizycji. Moglibyśmy ściągnąć go po prostu z powrotem do teraźniejszości, ale przypląciłby to niską oceną. Postaram się znaleźć jakiś inny sposób ratowania go z opresji.

Cisza. Fletcher czekał czując wilgoć i chłód na plecach i pod pachami.

- Nie, to nieistotne. Czy Transsteel... co? No tak, piętnaście tysięcy, to była na tamte czasy spora sumka. Co? ...Zakłady wyborcze. Tak. Stanowiły wtedy zjawisko społeczne.

Momencik; mam tutaj materiały na ten temat... następnym prezydentem będzie Browning.

Bądź jednak ostrożny i nie wygrywaj każdego zakładu. Nie powinienesz wzbudzać zbytniego zainteresowania swoją osobą. Pamiętaj, że będziesz oceniany na podstawie bezkolizyjności, z jaką wpasujesz się w zastaną strukturę społeczną.

Pauza.

- Ekshibicjonizm nie jest w tej erze czymś niestosownym. Mógłbyś zaaranżować przegraną w zakładzie wyborczym, byle dla świętego spokoju... - Znowu cisza, potem śmiech. - Świetnie. Załóż się z nim. Interesująco będziesz wyglądał wjeżdżając na koniu do hotelu Waldorf-Astoria. Oby tak dalej; powinienesz się zapoznać z normalnymi w tym czasie ekscentrycznymi zachowaniami, a ten wybryk z pewnością nie należy do najbardziej wyrafinowanych - dobrze by było, gdybyś spędził kilka dni gdzieś w okolicach 1986 roku i przystudiował Szał Lemingowy - masowe samobójstwa, coś jak mania tańca w Wiekach Średnich. Nie zastanawiaj się, przyjmij zakład.

Fletcher oblizwał wargi. Znowu zaczynała go boleć głowa. Kiedy po następnej pauzie głos znowu się odezwał, temat najwyraźniej uległ zmianie.

- Świetnie. Embrion Korys rozwija się wspaniale. Za dwa miesiące będzie zdolny do życia. Musisz się kiedyś spotkać z jego matką. Zwykła co tydzień odwiedzać inkubator, dopóki nie oddelegowano jej do Biegunowej Stacji Klimatycznej. Ale naprawdę nie mam czasu, Korys. Muszę zająć się Dakim. Powodzenia, chłopcze.

Trzask.

Fletcher poszedł do kuchni, znalazł butelkę żytniówki i przypiął się do niej spragniony. Pochylił się potem nad zlewem i przesunął wolno dłonią po zimnym, zielonym kafelku. Był solidny i znajomy. Tym gorzej. Człowiek jest przygotowany na niezwykłość podczas trzęsienia ziemi, ale nie wtedy, gdy ma pewny grunt pod stopami.

Prezydent Browning... !

Piętnaście patyków zysku na Transsteelu... !

Gdzie jest ten Korys... i kiedy?

Fletcher przyszedł do biura trochę wstawiony, ale celowo nie zażył lekarstwa na kaca.

Alkohol spełniał rolę bufora. Podłubał trochę przy makietach, ale z mizernym skutkiem. Czas upływał niezauważalnie. W końcu zjawiła się Cynthia Dale w małym, idiotycznym kapelusiku na głowie i spojrzała na niego zdziwiona.

- Jesteś pies na robotę, Jerry - powiedziała. - Nie wybierasz się do domu?

- Nie mogę - jęknął Fletcher. - Felkowałem sorkiny.

- Trzeba było zmieszać je z sodą - poradziła Cynthia. Położył dłonie płasko na biurku i popatrzył na nią oczyma okrągłymi jak u sowy. - Nie mam sody, za to mam tu w szufladzie butelczynę... chcesz drinka?

- Bez dodatków nie chcę.

- No to wyjdź ze mnie. Moglibyśmy co niedzielę odwiedzać Embriona Fletchera.

- Czegoś ci brakuje - powiedziała Cynthia, stanowczo ściągając Fletchera z krzesła, wciskając mu kapelusz na głowę i wlokąc za sobą do windy. - Brakuje ci czegoś mocnego i gwałtownego. Możesz wybierać między drinkiem a turecką łaźnią. Wybierając to ostatnie zostaniesz pozbawiony mojego towarzystwa.

- Widzisz - powiedział ostrożnie Fletcher zimnymi i sztywnymi ustami - doktor Sawtelle wysadził się w powietrze. Razem z całą rodziną. Ciemna mogiła. Mam to równanie w kieszeni. Jestem więc mordercą.

Rozstrząsał ten temat nad pokazną porcją żytniówki. Barman, człowiek doświadczony, wymieszał drinka pałeczką lukrecji, dzięki czemu Fletcher zaczął mówić bardziej do rzeczy. Cynthia wyostrzyła zamglony wzrok i odzyskała swoją czarującą, chłodnooką powierzchowność.

- No i dzisiaj rano znowu zadzwoniłem do towarzystwa telefonicznego - wyjaśnił Fletcher. - Wszystko jest w porządku. W każdym razie nic nie udało im się wykryć.

- A więc to jakiś kawał .

- Doktor Sawtelle nie zgodziłby się z tym, gdyby można go poskładać do kupy. Zobacz. - Fletcher zapalił papierosa i za pomocą zapałki zniszczył skrawek papieru. - Zegnaj, równanie. Boję się go teraz zatrzymać przy sobie. Głos wspominał, że może być niebezpieczne w niepowołanych rękach, ale nie powiedział, na czym to niebezpieczeństwo polega.

- Ten z telefonu?

- Ten sam. Malutki człowieczek z głową jak arbuz. Żyje w przyszłości. Wszystko już sobie wydedukowałem. Jest profesorem uniwersytetu i wysyła swoich studentów w przeszłość na praktyki w terenie.

- Z telefonem polowym, jak zrozumiałam.

- Nie, ze zwyczajnym telefonem. Nie wolno im się afiszować. Mają sposób na podłączanie się do przewodów... To logiczne, nieprawdaż? Rozmowa telefoniczna prowadzona poprzez łącze

jednokierunkowe jest ściśle osobista. Ale przesunęły się kryby. Coś spowodowało skrzyżowanie się przewodów. Teraz mogę podsłuchiwać część rozmowy. To co mówi Głos. Ale nie słyszę Korysa.

- Jesteś pijany. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Ale w oczach Cynthii pojawiła się troska.

- Korys - ciągnął Fletcher - żyje w czasach, kiedy facet nazwiskiem Browning ubiega się o fotel prezydencki. No i zostanie wybrany. Dlatego nie sprawdził mi się ten interes z Transsteelem. Korys znajduje się w przyszłości. Nie wiem jak odległej. W 1960 roku, a może jeszcze później. Znasz jakiegoś polityka, który nazywa się Browning?

- Tylko poetę Browninga - powiedziała Cynthia - ale on jest z przeszłości.

- Tak. Malował księżniczki... Co ja mam robić?

- Każ sobie zmienić numer telefonu.

- To mogłoby... Posłuchaj, Cynthia, boję się robić cokolwiek i boję się nic nie robić. Mam bezpośrednią łączność z przyszłością. Coś takiego nigdy się dotąd nie zdarzyło. To okazja, jakich mało. Powinienem to wykorzystać i zgarnąć z milion dolców albo napisać książkę, sam nie wiem co.

- Opatentuj tę swoją odtrutkę na kaca.

- Ale ta łączność jest ograniczona. Nie mogę zadawać pytań. Mogę tylko słuchać, co mówi Głos. Nie mogę wytropić Korysa, bo on też żyje w przyszłości. Gdybym był trzeźwy, nie rozumowałbym tak logicznie; zbyt silny byłby mój sceptycyzm. Ale dlaczego nie mam wierzyć w Korysa i w Głos, kiedy widzę jak tam, po drugiej stronie sali, tapeta zsuwa się na sufit.

- To wrażenie subiektywne - stwierdziła Cynthia.

- Ale co ja mam robić?

Dziewczyna bawiła się szklanką. - Gdybym ci uwierzyła - czego riiie zrobię - powiedziałabym, że wektory logiki wskazują pewne możliwości. Jako dziennikarka znam zasady dramatycznej nieuchronności. Być może Głos dowie się, że podsłuchujesz, i ożywi telefon, tak że słuchawka wpełźnie ci do gardła i zadławisz się.

- Oj! - jęknął Fletcher.

- Albo może wysłać Korysa w przeszłość, żeby zabił ciebie... albo Embriona Korysa.

- Nic nie zrobiłem.

- No to - powiedziała Cynthia - istnieje jeszcze jedna możliwość. W roku 1960 Głos telefonuje do ciebie, a ty nazywasz się Korys.

- Nie cierpię paradoksów - oświadczył stanowczo Fletcher. - To nie bajka. Chciałbym, żeby tak było. Wiedziałbym wtedy, co robić. Ale w życiu człowiek porusza się po omacku, niczego nie jest pewien. Nie jestem przygotowany do podsłuchiwania rozmów telefonicznych z przyszłości.

Oczy Cynthii pałały. - A może ty sam jesteś Korysem dotkniętym amnezją! I głos naprawdę zwraca się do ciebie, tylko ty tego nie wiesz.

- Zamknij się. Przestań. Jutro rano znów będzie telefon...

- Nie odbieraj.

- Ha! - parsknął pogardliwie Fletcher i zapadła chwila milczenia.

- Widzisz - podjął po chwili - według mnie, wyobrażamy sobie przyszłość jako coś naturalnego, w sposób abstrakcyjny. Spodziewamy się że wszystko tam będzie super-naj, ale wiemy przecież, że to przychodzi stopniowo. Kiedy dochodzi do konkretów, nie chcemy jej .

- Boisz się?

- Jak cholera - przyznał Fletcher. - Pokusa jest zbyt wielka. Mógłbym zapisać jakieś równanie, wypróbować je i przemienić się w kropelkę protoplazmy. Zbyt dużo w tym niewiadomych czynników. A nie mam zamiaru nadstawiać karku. - No więc?

- Zamierzam trzymać się od tego z dala, i już. Skarb z bajki! - uśmiechnął się przewrotnie - Wiem, w co by się obrócił. Ale mam wyjście. Nie będę przyjmował niczego, co zaoferują. Nie będę kradł. Będę tylko podsłuchiwał. To mi niczym nie grozi.

- Mogą wspomnieć o twojej śmierci.

- Wiem, że kiedyś umrę. Jestem gotów. Śmierci, podobnie jak podatków, nie da się przewidzieć; istnienie jednego wyklucza istnienie drugiego - pro tem. Dopóki tylko podsłuchuję - dopóki nie próbuję podbić świata ani wynaleźć promieni śmierci - dopóty jestem w porządku.

- To mi przypomina tę starą dykteryjkę o facecie, co to w Zaduszki postanowił zrobić sobie skrót przez las, w którym straszy - powiedziała Cynthia. - Pomyślał sobie, że zawsze żył uczciwie i jeśli złe duchy dopadną go tylko dlatego, iż znalazł się w tym lesie, to nie ma na świecie sprawiedliwości.

- No i co?

- I wtedy głos za jego plecami powiedział: „no bo nie ma” - dokończyła wesoło Cynthia. - I to tyle.

- Niczego nie ryzykuję - oświadczył Fletcher.

- A ja nie uwierzyłam w ani jedno twoje słowo. Ale tak czy owak, to nowe podejście. Zapłać za drinki i chodźmy gdzieś coś zjeść.

Fletcher sięgnął po portfel.

Nic mu właściwie nie groziło. Nie zapisywał żadnych instrukcji ani równań, jakie Głos dyktował Korysowi. Gdzieś w mglistej otchłani przyszłości żył sobie w swoim niewyobrażalnym świecie Głos studiujący mapy temporalne, tak jak współcześni ludzie studiują mapy pogody. Były tam dzieci z próbowki, niewiarygodny uniwersytet i Polarna Stacja Klimatyczna. A Dakiego uratowano przed Inkwizycją za pomocą czegoś, co Głos określił zdawkowo terminem „joflik”. - Joflik, to kilfoj wspak - kombinował Fletcher. Zwierzę, roślina czy minerał? A co mnie to zresztą obchodzi !

Jego zainteresowanie przybrało formę czysto bezosobową; przestawił je siłą na te tory. Świadomość, że nie będzie go kusiło, by podkraść z przyszłości, jak tego próbował nieszczęsny doktor Sawtelle, przynosiła mu ogromną ulgę. Przeżywał chwile rozterki w związku z odtrutką na kaca; sprawiała wrażenie dosyć nieszkodliwej, ale Fletcher nie miał pewności, czy nie wywołuje czasem ubocznych skutków toksycznych u ludzi jego czasu. Mógł w końcu od niej skostnieć. Zniszczył przepis i wyrzucił z pamięci składniki.

Tymczasem śledził z zainteresowaniem karierę Korysa. Te zniekształcone okruchy przyszłości były fascynujące. Pamiętając ostrzeżenie Cynthii, podświadomie spodziewał się usłyszeć, jak Głos napomyka, że niejaki Jerry Fletcher przejechany został przez helikopter, ale nic takiego nigdy nie nastąpiło. Zasady nieuchronności nie sprawdzały się.

A czemu miałyby się sprawdzać? Nie wtrącał się. Nie wychylał. Rozumował z chłodną logiką; rzadko się zdarza, by widz w teatrze został zastrzelony przez jednego z aktorów. John Wilkes Booth...

To nie była sztuka teatralna. To był film. Aktorów dzieliły odległości temporalne. Mimo wszystko nigdy nie przerywał teraz Głosowi i starał się bardzo dyskretnie podnosić i odkładać słuchawkę.

- Trwało to miesiąc. Dowiedział się w końcu, że Korys przygotowuje się do powrotu do swojego macierzystego sektora czasowego. Praktyka w terenie dobiegała końca. Wybrano prezydenta Browninga; Dodgersi zdobyli proporzec; założono bazę rakietową na Księżycu. Fletcher zastanawiał się, który to rok. 1960? 1970? A może później?

Cynthia uparcie odrzucała propozycje odwiedzin w jego mieszkaniu i posłuchania Głosu. Utrzymywała, że to po prostu uszkodzenie na linii. - Lepsze to niż oglądanie znaczków pocztowych - przyznawała - ale zbyt outre, żeby mnie przekonać. - Fletcher podejrzewał jednak, że Cynthia była mniej sceptyczna, niż się do tego przyznawała.

Nie brał sobie tego do serca. I tak się to wkrótce skończy. Jego praca w biurze nie ucierpiała; w perspektywie rysowała się podwyżka i awans, a jego hipochondria wycofała się do stanu pasywności. Od czasu do czasu nabierał podejrzeń co do swojego dobrego samopoczucia i profilaktycznie zażywał witaminy, ale nie zdarzało się to często.

Nie notował nawet słów wypowiedzianych przez Głos. Było to swego rodzaju tabu - tak jak unikanie następowania na spojenia płyt chodnikowych, bo inaczej będzie padać.

- Jutro ma wyjechać - oznajmił Fletcher Cynthii pewnego wieczora, przy obiedzie.

- Kto?

- Korys, ma się rozumieć.

- No i dobrze. Może nareszcie przestaniesz o nim truć. Chyba że podłapiesz jakiegoś nowego fioła. Co to będzie tym razem? Oswojony krasnoludek?

Fletcher uśmiechnął się. - Nie stać mnie na to.

- Jedzą śmietankę, prawda? Chciałam powiedzieć, piją.

- Mój nie. Mój by złopał żytniówkę i przepadał za nią.

- Dobry ten kurczak - powiedziała Cynthia pracując szczękami. - Jeśli obiecasz, że zawsze będziesz mnie tak dobrze karmił, może rozpatrzę jeszcze raz moją odmowną odpowiedź w sprawie twoich oświadczeń.

Był to jak na razie najbardziej obiecujący znak z jej strony. Fletcher pograżył się w marzeniach. Później, w ogródku na dachu, zrobili sobie przerwę między tańcami i stanęli przy parapecie zapatrzeni w wielkie, roziskrzane miasto. Światła w dole pogłębiały jeszcze bezmiar nocy.

- Baza raketowa na Księżycu - wyszeptał Fletcher.

Chłodna bryza owiała mu policzek. Otoczył Cynthię ramieniem i przyciągnął ją bliżej. Poczul nagle wielkie zadowolenie z faktu, że nie następował na spojenia płyt chodnikowych.

Wystrzegął się wszelkiego ryzyka. Przyszłość - wielka niewiadoma - była niebezpieczna, bo niewiadoma.

A to zagrożenie mogło czaić się strasznie blisko. Nawet tutaj, teraz - wystarczyłyby zaledwie dwa kroki - jeden i stoi na szczycie parapetu, drugi i... Na szczęście ludzie wyposażeni byli w mechanizm nie pozwalający im na postawienie tych dwóch kroków.

- Zimno - powiedział. - Wejźmy do środka, Cynthia. Po co nam zapalenie płuc - zwłaszcza teraz.

Zadzwoił telefon. Fletcher obudził się tego ranka z kolejnym bólem głowy. Prawdopodobnie kac. Odłożył papierosa do popielniczki i dyskretnie podniósł słuchawkę. To mogła być ostatnia rozmowa.

- Wszystko gotowe, Korys? - zapytał Głos.

Pauza.

- No to za pół godziny. Ale skąd ta zwłoka? Kolejna, tym razem dłuższa pauza.

- Och, naprawdę? Muszę to sobie zapisać. Ale nerwice były rozpowszechnione w tamtych czasach. A wiesz, Embrion Korys też wykazywał pewne objawy, ale naprostowano to. Tak się składa, że jego matka jest na urlopie. Za parę godzin będziesz się mógł z nią zobaczyć... Ale wracając do tego mężczyzny. Skąd wiedział, kim jesteś?

Pauza.

- Nie mam pojęcia, skąd się mógł dowiedzieć. Ani jak cię odnalazł. Jeśli mówił od rzeczy, jak twierdzisz, nie powinni go wypuszczać z czubków. Jak się nazywał?

Pauza.

- Fletcher. Gerald Fletcher? Sprawdzę, ale jestem pewien, że nie ma go w rejestrze. To nikt z naszych. Szkoda. Zbiegł ze szpitala albo... Ach, rozumiem. No nic, przypuszczam, że jest już pod troskliwą opieką. Tak, nazywali to wtedy sanatorium dla psychicznie chorych. Twoje badania nie obejmowały organizacji ówczesnej służby zdrowia! Ciekawe, że cię znał. Nie rozumiem.

Pauza.

- Zwracał się do ciebie po nazwisku? Nie K o r y s? Rzeczywiście. Skąd mógłby je znać? To naprawdę bardzo interesujące. A kiedy pojawił się po raz pierwszy?

Pauza.

- Zbity tłum... tak, naturalnie. Nie co dzień ktoś wjeżdża na koniu do Waldorf-Astorii. Ale zaręczam ci, że nie było żadnych kłopotów; każdy wygrany osobliwy zakład wyborczy... No tak, jeśli rzeczywiście ściągnął cię z konia i wymienił twoje nazwisko,.. to zastanawiające. Najwyraźniej był obłąkany, ale skąd wiedział... Nie, to nie mogła być telepatia, prawda? Nie ma niezbitego dowodu, że obłąkani są bardziej wrażliwi od... Czego się o nim dowiedziałeś?

Pauza.

- Rozumiem. Oczywiście, początki manii prześladowczej. Coś go dręczyło - może strach przed przyszłością; to dosyć powszechne w takich przypadkach. Lekarze twierdzą... och! A więc zbiegł ze szpitala. Tego rodzaju rzeczy były interesujące - prawdopodobnie zaczęło się jakby nigdy nic od hipochondrii - przeszło w powtarzające się regularnie dolegliwości, bóle głowy albo... W każdym razie mogło się to z biegiem czasu rozwinąć w autentyczną nerwicę. Ile lat miał ten mężczyzna?

W szumiącej otchłani słyhać było tylko milczenie. I znowu

- Mhmm. Powiedziałbym, że to typowe w tym wieku. Ale teraz nic na to nie poradzimy - szkoda. Ten człowiek jest nieuleczalnie obłąkany. Dobrze byłoby poznać prawdziwą przyczynę, która doprowadziła go w końcu do wykołajenia. Ciekaw jestem, czym człowiek tamtego czasu i tego typu mógłby się tak przejąć, żeby aż postradać zmysły? Takie rzeczy zaczynają się dosyć często od przejawów hipochondrii, jak to opisałeś, ale skąd on miał tę pewność, że zwariuje? Naturalnie, jeśli jest się przeświadczonym, że popada się w obłąd, i rozmyśla o tym latami - no tak! Było nie było, możemy przedyskutować ten przypadek bardziej szczegółowo osobiście. A więc za pół godziny?

Pauza.

- Świetnie. Cieszę się, że nie felkowałeś sorkinów, chłopcze! - Głos zarechotał jowialnie. W słuchawce trzasnęło.

Fletcher obserwował swoją rękę, jak ta wyciąga się i odkłada słuchawkę na czarne widelki. Czuł najeżdżające na niego ściany.

przekład : Jacek Manicki

Henry Kuttner      Nasz Diabeł Stróż

Od kilku dni cichutkie, naglące wezwania rozbrzmiewały szeptem w mózgu Carnevana. Były nieme i natarczywe, a on porównywał swój umysł do igły kompasu, która w końcu obróci się niechybnie, by wskazać najbliższy biegun magnetyczny. Bez specjalnego trudu udawało mu się skupić uwagę na bieżących zajęciach, ale, jak stwierdził, trochę niebezpiecznie było się

odprężyć. Igła kołysała się i obracała niedostrzegalnie, a bezgłośny zew przybierał na sile szturmując cytadelę jego świadomości. Jednak treść przekazu pozostawała dlań nieznaną. Obłąd nie wchodził tu bynajmniej w rachubę. Gerald Carnevan dobrze wiedział, że nerwy ma zszarpane nie bardziej niż większość mu współczesnych. Miał kilka stopni naukowych i piastował stanowisko młodszego współpracownika w dobrze prosperującym nowojorskim koncernie reklamowym, wnosząc doń w udziale większość pomysłów. Grywał w golfa, pływał i nieźle radził sobie w brydżu. Miał trzydzieści siedem lat, szczupłą, surową twarz purytanina - z którym nie miał nic wspólnego - i był ostatnio w umiarkowanym stopniu szantażowany przez swoją kochankę. Specjalnie się tym nie przejmował, bo jego logiczny umysł podsumował już wszystkie ewentualności, doszedł do sprecyzowanego wniosku i potem zapomniał o całej sprawie.

Jednak nie tak do końca. Ta myśl kołatała się gdzieś w zakamarkach podświadomości i przyszła teraz Carnevanowi do głowy. To mogłoby, oczywiście, być wyjaśnieniem tego „głosu”. Tłumiona chęć całkowitego rozwiązania problemu. To by nawet nieźle pasowało, zważywszy niedawne zaręczyny Carnevana z Phyllis Mardrake. Phyllis, pochodząca z Bostonu, nie darowałaby swojemu narzeczonemu amatorów na boku, gdyby wywleczono je na światło dzienne. Diana, równie bezwstydną, co urodziwą, nie zawahałaby się przed podobnym krokiem, gdyby przyszło co do czego.

Igła kompasowa znowu zadygotała, obróciła się i zatrzymała jak wryta. Carnevan, który tego wieczora pracował do późna w swym biurze, odchrząknął gniewnie. Pod wpływem nagłego impulsu odchylił się na oparcie fotela, wyrzucił papierosa przez otwarte okno i czekał.

W myśl zaleceń psychologii tłumione żądze należało wydobyć na powierzchnię, gdzie można je unieszkodliwić. Mając to na uwadze Carnevan stał ze swej szczupłej, surowej twarzy wszelki wyraz i czekał. Zamknął oczy.

Przez okno dolatywał burzliwy pomruk nowojorskiej ulicy. Przycichł i odpłynął w dal niemal niezauważalnie. Carnevan pokusił się o analizę swoich uczuć. Miał wrażenie, że jego świadomość jest zamknięta w szczelnym pudełku i miota się w nim we wszystkie strony. Światłne plamy gasły z wolna na zamkniętych powiekach w miarę przystosowywania się siatkówki oka do ciemności.

Do jego mózgu docierał niemy przekaz. Nie rozumiał go.

Był zbyt obcy - zbyt niepojęty.

Ale w końcu uformowały się słowa. Imię. Imię, które majaczyło na skraju ciemności, mgliste, trudne do uchwycenia. Nefert. Nefert.

Rozpoznał je teraz. Przypomniał sobie seans, w którym uczestniczyli zeszłego tygodnia z Phyllis na jej prośbę. To było żałosne, zwyczajne zawracanie głowy - trąbki, światełka i szepczące głowy. Medium organizowało seanse trzy razy w tygodniu w starej kamienicy niedaleko Columbus Circle. Nazywała się Madame Nefert - a przynajmniej tak twierdziła, bo wyglądała bardziej na Irlandkę niż na Egipcjanę.

Carnevan już wiedział, co to za bezgłośne polecenie. Idź do Madame Nefert, brzmiał rozkaz.

Carnevan otworzył oczy. W pokoju zupełnie nic się nie zmieniło. Niczego innego się nie spodziewał. W jego umyśle powstała już pewna bliżej nie sprecyzowana teoria, wzniecając iskierkę gniewnego rozdrażnienia faktem, że ktoś majstruje przy jego najbardziej osobistej

własności - przy jego j a. To pewnie hipnoza, pomyślał. Podczas seansu Madame Nefert nie wiadomo jakim sposobem zdołała go zahipnotyzować i dziwne reakcje trapiące go ostatnio wynikały z pohipnotycznej sugestii. Było to przypuszczenie trochę naciągane, ale całkiem możliwe do przyjęcia.

Carnevan, z racji swojej pracy w reklamie, zdany był na myślenie pewnymi schematami. Madame Nefert hipnotyzuje klienta. Ten klient wraca do niej zaniepokojony i rozumiejący co się dzieje, a medium oznajmia mu prawdopodobnie, że to duchy maczają w tym swe palce. Gdy klient jest już odpowiednio nastawiony - to pierwszy krok w kampanii reklamowej Madame Nefert wyklada na stół to, co ma do sprzedania.

To podstawowa zasada gry. Wmówić klientowi, że coś jest mu niezbędnie do szczęścia. A potem mu to sprzedać.

A więc to tak. Carnevan wstał, zapalił papierosa i włożył płaszcz. Poprawiając przed lustrem krawat przyjrzał się uważnie swojej twarzy. Wyglądał na tryskającego zdrowiem, reakcje miał normalne i w zupełności panował nad ruchami gałek ocznych.

Przeraźliwie zadzwonił telefon. Carnevan podniósł słuchawkę .

- Halo... To ty, Diano? Jak się masz, kochanie? Pomimo pachnącej szantazem działalnościi Diany Carnevan wolał unikać zadrażnień i nie komplikować jeszcze bardziej sytuacji. W duchu zaś zastąpił „kochanie” innym dosadnym epitetem, który nasunął mu się w tym momencie na myśl.

- Nie mogę - powiedział w końcu. - Dziś wieczorem czeka mnie ważna wizyta. Chwileczkę, nie denerwuj się nie wystawiam cię wcale do wiatru! Czek wyślę jeszcze dzisiaj pocztą. To zobowiązanie odniosło chyba skutek i Carnevan odłożył słuchawkę. Diana nie wiedziała jeszcze o zbliżającym się terminie ślubu z Phyllis. Martwiło go trochę, jak przyjmie tę wiadomość. Phyllis, pomimo swego zachwycającego ciała, odznaczała się bezdenną głupotą. Atrybut ten relaksował z początku Carnevana, dając mu iluzoryczne poczucie wyższości w spędzanych razem chwilach. Teraz jednak głupota Phyllis mogła przysporzyć kłopotów. Później do tego wróci. Teraz liczyła się tylko Nefert. M a d a m e Nefert. Na jego ustach zakwitł pogardliwy uśmiezek. Tytuł za wszelką cenę. Szukać zawsze znaku towarowego. To robi wrażenie na kliencie.

Wyprowadził samochód z garażu biurowca i dojechawszy aleją do śródmieścia, skręcił w Columbus Circle. Madame Nefert miała salon reprezentacyjny od frontu i kilka zagraconych pokoików, których nikt nigdy nie oglądał, bo prawdopodobnie trzymała tam swój sprzęt. O profesji kobiety informował plakat naklejony na okiennej szybie.

Carnevan wszedł po schodkach i zadzwonił. Na dźwięk brzęczyka pchnął drzwi, wkroczył do środka, skręcił w prawo, przecisnął się przez drugie, uchylone do połowy drzwi i zamknął je za sobą. Okna zaciągnięte były kotarami. Pokój zalewała przytłumiona, czerwona poświata z narożnych lamp.

Usunięto z niego wszystkie meble. Zrolowany dywan leżał pod ścianą. Na podłodze widniały znaki nakreślone fosforyzującą kredą. Pośrodku pentagramu stał poczerniały garnek. To było wszystko i Carnevan potrząsnął głową zdegustowany. Taka scenografia mogła zrobić wrażenie tylko na prostaczkach. Postanowił jednak grać dalej, dopóki nie zgłębi do końca mechanizmu tego dziwnego popisu reklamowego.

Przez szparę w lekko uchylonej zasłonie widać było alkowę, w której na prostym, twardym krześle siedziała Madame Nefert. Carnevan zauważył, iż kobieta nie zadała sobie nawet trudu, żeby przebrać się w swoje służbowe maskaradowe szaty. Z tą mięsistą, czerwoną twarzą i zaniedbanymi włosami przypominała sprzątaczkę z jakiejś komedii George'a Bernarda Shaw'a. Miała na sobie kwiecisty szlafrok, a spod jego zwisających luźno poł wystawała brudnobiała halka opinająca jej wydatny biust.

Po twarzy tańczyły jej refleksy czerwonego światła. Popatrzyła na Carnevana szklistymi, pozbawionymi wyrazu oczyma. - Duchy są... - zaczęła i nagle zamilkła, a z głębi jej krtani dobył się zduszony charkot. Całym jej ciałem zaczęły wstrząsać konwulsyjne drgawki. - Madame Nefert - powiedział Carnevan tłumiąc cisnący mu się na usta uśmiech - chciałbym pani zadać kilka pytań.

Nie odpowiadała. Niezręczne milczenie przeciągało się. Odczekawszy jakiś czas Carnevan zwrócił się ostentacyjnie ku drzwiom, ale i to nie skłoniło kobiety do odezwania się. Szła na całość. Rozejrzawszy się dookoła zobaczył coś białego w poczerniałym garnku i postąpił krok bliżej, żeby zajrzeć do wnętrza. O mało nie zwymiotował. Wyszarpnął z kieszeni chusteczkę i przyciskając ją do ust odwrócił się na pięcie, żeby spojrzeć na Madame Nefert.

Ale nie potrafił znaleźć słów. Opanował się. Oddychając głęboko uświadomił sobie, że jego równowagę emocjonalną niemal zburzyła pomysłowa kartonowa wycinanka.

Madame Nefert nie zareagowała. Pochyliła się w przód łapiąc z trudem powietrze rzęzącymi, chrapliwymi spazmami. Do nozdrzy Carnevana wpłynął ledwie uchwytny, nieprzyjemny odór. - Teraz! - zakomenderował ktoś ostro.

Ręka kobiety poruszyła się w powolnym, niepewnym geście. W tym samym momencie Carnevan wyczuł w pokoju obecność kogoś trzeciego. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył małą, skuloną postać, która przycupnęła pośrodku pentagramu i wpatrywała się w Carnevana nieruchomym wzrokiem.

Czerwone światło było przyćmione. Carnevan dostrzegał tylko głowę i bezkształtne ciało siedzącego w kucki mężczyzny - a może chłopca - ukryte pod ciemną opończą. Jednak sam widok głowy wystarczył, by serce zabiło mu żywiej z podniecenia.

Bo to nie była całkowicie ludzka głowa. W pierwszej chwili Carnevanowi wydało się, że to czaszka. Twarz była ; chuda, powleczone bładą, przezroczystą skórą o barwie najprzedniejszej kości słoniowej i całkiem pozbawiona owłosienia. Miała trójkątny, trochę klinowaty zarys, bez wystających wgórków kości policzkowych, które często czynią ludzkie czaszki tak odrażającymi. Oczy były na pewno nieludzkie. Biegły skosem niemal do miejsca, gdzie znajdowałyby się linia włosów, gdyby ta istota posiadała włosy, i przypominały posępny, szarzielony kamień upstrzony opalizującymi, roztańczonymi iskierkami podbarwionymi teraz na czerwono przez światło.

Była to niezwykle piękna twarz o czystej, beznamietnej perfekcji wypolerowanej kości. Ciało Carnevan nie widział, bo kryło się pod opończą.

Czy ta dziwna twarz była maską? Carnevan wiedział, że nie. Subtelna, nieomylna odraza, jaką odczuwał całym swym fizycznym ja, mówiła mu, że ogląda strach.

Odruchowo wyciągnął papierosa i zapalił go. Istota nie ! poruszyła się tymczasem i Carnevan uświadomił sobie nagle, że igła kompasowa znikła z jego umysłu.

Z końca papierosa unosił się spiralami dym. On, Gerald Carnevan, stał w tym mrocznym, oświetlonym na czerwono pokoju z fałszywym medium przed sobą, narzuconym podstępnie transem za sobą i z - czymś - co siedziało w kucki nie dalej niż dwa metry od niego. Za oknem, o jeden blok dalej, kipiał życiem Columbus Circle ze swymi elektrycznymi neonami i ruchem ulicznym.

Światła elektryczne kojarzyły się z reklamą. W mózgu Carnevana zaskoczył jakieś trybik. „Zadziwić klienta”. W tym przypadku klientem był chyba on. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to posłać do wszystkich diabłów handlowców razem z ich wymyślnymi sztuczkami. Carnevan ruszył wprost na istotę.

Miękkie, różowe, dziecinne usta rozchyliły się. - Zaczekaj, Carnevan - polecił osobliwie łagodny głos. - Nie przekraczaj pentagramu. I tak by ci się to nie udało, ale mógłbyś wywołać pożar.

- No i klops - zauważył Carnevan omal nie wybuchając śmiechem. - Duchy nie posługują się potocznym angielskim. Co to za wygłupy?

- No cóż - powiedział tamten nie poruszając się przede wszystkim, mów mi Azazel. Wcale nie jestem duchem. Już prędzej demonem. Co do potocznego angielskiego, to kiedy znalazłem się w twoim świecie, przystosowałem się do niego w naturalny sposób - i jestem przystosowany. Mój własny język nie może tu być słyszalny. Mówię w nim, ale ty słyszysz jego ziemski równoważnik. Jest automatycznie przystosowywany do twoich możliwości percepcyjnych.

- Niech ci będzie - rzekł Carnevan. - I co teraz? Wydmuchnął dym nosem.

- Jesteś nastawiony sceptycznie - stwierdził Azazel nadal pozostając w bezruchu. - Mógłbym cię przekonać w jednej chwili opuszczając pentagram, ale nie mogę tego uczynić bez twojej pomocy. Obecnie przestrzeń, którą zajmuję, istnieje równocześnie w obu naszych światach. Jestem demonem, Carnevan, i chcę ubić z tobą interes.

- Spodziewam się za chwilę błysku flesza. Ale jeśli o to chodzi, to możesz sobie fotografować do woli. Nie dam się szantażować - oznajmił Carnevan myśląc o Dianie i czyniąc dla niej w duchu wyjątek.

- Już się dajesz - zapewnił go Azazel i zdał zwięzłą relację z historii pośladowania godnego związku Carnevana z Dianą Bellamy.

Carnevan poczuł, że się rumieni. - Wystarczy - uciął krótko. - A więc to szantaż, tak?

- Pozwól mi wyjaśnić - od początku. Po raz pierwszy wszedłem z tobą w kontakt na tym seansie w zeszłym tygodniu. Nawiązanie kontaktu z istotami ludzkimi jest nieprawdopodobnie trudne dla mieszkańców mojego... mojego wymiaru. Ale w tym przypadku udało mi się. Zaszczepiłem w twej podświadomości pewne myśli i z ich pomocą przytrzymałem cię.

- Co to za myśli?

- Zaspokojenie ambicji - powiedział Azazel. - Śmierć twojego starszego wspólnika. Pozbycie się Diany Bellamy. Zdrowie. Władza. Tryumf. Hołubiłeś potajemnie te myśli i w ten sposób więź między nami została ustanowiona. Nie była jednak wystarczająca, bo nie mogłem się właściwie z tobą komunikować, dopóki pracowałem nad Madame Nefert.

- Wal dalej - powiedział spokojnie Carnevan. - Ma się rozumieć, że to szarlatanka.

- Masz rację - uśmiechnął się Azazel. - Ale ona wywodzi się z Celtów. Skrzypce bez skrzypka są beużyteczne. Udało mi się jakoś opętać ją i nakłonić do poczynienia przygotowań niezbędnych do mojej materializacji. Potem ściągnąłem tutaj ciebie.

- I łudzisz się, że ci uwierzę?

Tamten wzruszył niecierpliwie ramionami. - W tym trudność. Jeśli mnie zaakceptujesz, mogę ci dobrze służyć - nawet bardzo dobrze. Ale nie zrobisz tego, dopóki nie uwierzysz.

- Nie jestem Faustem - zakpił Carnevan. - Nawet gdybym ci uwierzył, to skąd przychodzi ci do głowy, że byłbym skłonny... - urwał.

Przez sekundę panowała cisza. Carnevan rzucił gniewnie papierosa na podłogę i przydeptał go. - We wszystkich starych legendach - mruknął po nosie - w folklorze wszędzie tego pełno. Pakty z demonami. I zawsze o jedno. Ale ja jestem ateistą, a może agnostykiem. Sam nie jestem pewien, którym. Dusza - nie wierzę, że mam takie coś. Kiedy umieram, jest tylko nicość.

Azazel przyglądał mu się w zadumie. - Musi być, oczywiście, jakaś cena. - Dziwny wyraz przemknął przez twarz istoty. Była w nim kpina, ale i strach. Kiedy ponownie przemówił, w jego głosie pojawił się pośpiech.

- Mogę ci służyć, Carnevan. Mogę ci dać, co tylko zapragniesz - sędzę, że wszystko.

- Dlaczego wybrałeś akurat mnie?

- Przyciągnął mnie tamten seans. Ze wszystkich obecnych ty byłeś jedynym, z którym udało mi się skontaktować.

Carnevan nachmurzył się słysząc to wątpliwe pochlebstwo. Nie mógł w to uwierzyć. - Nie miałbym nic przeciw... - powiedział w końcu - gdybym był przekonany, że to nie jakaś sztuczka. Podaj mi więcej szczegółów. Co konkretnie mógłbyś dla mnie zrobić?

Azazel rozwinął temat. Kiedy skończył, Carnevanowi błyszcząły oczy.

- Nawet cząstka tego...

- To dosyć proste - naciskał Azazel. - Wszystko już gotowe. Ceremonia nie trwa długo, a ja będę cię przez nią prowadził krok po kroczku.

Carnevan mlasnął językiem uśmiechając się. - Coś takiego. Nie do wiary. Wmawiam sobie, że jesteś realny... ale gdzieś głęboko w duchu usiłuję znaleźć logiczne wyjaśnienie. No i za proste to wszystko. Gdybym był przekonany, że jesteś tym, za kogo się podajesz, i potrafisz...

- Czy wiesz coś o teratologii? - przerwał mu Azazel.

- O czym? A tak... coś mi się obilo o uszy.

Istota wstała powoli. Carnevan dostrzegł, że miała na sobie obszerną opończę z jakiegoś ciemnego, nieprzezroczystego, połyskliwego materiału.

- Jeśli nie ma innego sposobu, aby cię przekonać - powiedziała - i ponieważ nie mogę opuścić pentagramu, muszę uciec się do tego.

Carnevana, patrzącego, jak delikatne, smukłe dłonie manipulują przy zapinkach opończy, tknęło przyprawiające o mdłości przecucie. Azazel rozchylił poły.

Niemal natychmiast owinał się z powrotem swoim okryciem. Carnevan nie wykonał najmniejszego ruchu, ale po brodzie ciekła mu krew.

Na chwilę zaległa cisza, a kiedy już Carnevan zdecydował się odezwać, rozszedł się po pokoju chrapliwy, rżący bełkot. Odzyskał głos.

Niespodziewanie dla niego samego słowa wydobywały się zeń półwzraskiem. Nagle wykonał w tył zwrot, pognął do kąta i stanął tam, mocno przyciskając czoło do ściany. Kiedy się odwrócił, twarz miał już bardziej opanowaną, chociaż połyskiwał na niej pot.

- Tak - wymamrotał. - Tak?

- Tędy wiedzie droga... - zaczął Azazel.

Nazajutrz Carnevan siedział za swoim biurkiem i przyciszonym głosem rozmawiał z demonem, który rozwalał się w fotelu niewidzialny dla wszystkich z wyjątkiem jednego człowieka, przy czym jego głos był podobnie zamaskowany. Promienie słońca wpadały ukosem przez okna, a chłodny wietrzyk przynosił stłumiony zgiełk ulicy. Siedzący tak sobie Azazel wydawał się nieprawdopodobnie realny; jego ciało spowijała opończa, a przypominająca czaszkę piękna głowa białała w słońcu.

- Mów cicho - upomniał demon Carnevana. - Mnie nikt nie może usłyszeć, ale ciebie słyszą. Szepcz... albo po prostu myśl. Ja zrozumieję.

- Niech ci będzie. - Carnevan potarł świeżo wygolony policzek. - Lepiej przystąpmy do układania planu kampanii. Wiesz przecież, że będziesz musiał zapracować na moją duszę.

- Co? - przez sekundę demon sprawiał wrażenie zakłopotanego; potem zachichotał cicho. - Jestem na twoje usługi.

- Po pierwsze - nie wolno nam wzbudzać podejrzeń. Nikt by nie uwierzył, że to prawda, ale nie chcę, żeby brali mnie za pomyłonego - chociaż wcale nie wykluczone, że nim jestem - kontynuował swój logiczny wywód Carnevan. - Ale na razie nie będziemy roztrząsać bliżej tego tematu. Co z Madame Nefert? Ile ona wie?

- Zupełnie nic - zapewnił go Azazel. - Znajdowała się w transie i była pod moją kontrolą. Po przebudzeniu nic nie pamiętała. Ale jeśli chcesz, mogę ją zabić.

Carnevan podniósł rękę. - Tylko spokojnie! To tu właśnie popełniali błędy ludzie tacy jak Faust. Dostawali amoku, władza uderzała im do głowy i pakowali się w terapie, z których potem nie mogli się już wypłatać. Wszelkie morderstwa, jakie przyjdzie nam popełnić, muszą być podyktowane absolutną koniecznością. A właśnie! Jaką ja mam władzę nad tobą?

- Sporą - przyznał Azazel.

- Przypuścimy, że każę ci, żebyś się zabił - powiem ci, żebyś to zrobił?

W odpowiedzi demon wziął z biurka nóż do papieru i wbił go sobie głęboko w opończę. Pomny tego, co znajduje się pod wierzchnim okryciem Azazela, Carnevan pośpiesznie odwrócił wzrok.

Azazel z uśmiechem odłożył nóż. - Samobójstwo pod jakąkolwiek postacią jest w przypadku demona niemożliwe do popełnienia.

- A w ogóle można cię zabić?

Przez chwilę panowała cisza. - Ty byś nie mógł - odpowiedział w końcu Azazel.

Carnevan wzruszył ramionami. - Sprawdzam wszystkie ewentualności. Chcę po prostu wiedzieć, na czym stoję. Musisz być posłuszny moim myślom. Zgadza się?

Azazel pokiwał głową.

- No tak. Wyjaśnijmy więc sobie od razu, że nie chcę, aby ni z tego, ni z owego spadł mi z nieba milion dolarów w złocie. Posiadanie złota i tak jest nielegalne, i ludzie zaczęliby zadawać pytania. Wszelkie korzyści, jakie mi przypadną w udziale, muszą przychodzić naturalną drogą, bez wzbudzania najmniejszych podejrzeń. Gdyby Eli Dale zmarł, firma zostałaby bez starszego wspólnika. Jego miejsce zająłbym ja. Wiąże się z tym przyrost dochodów wystarczający, jak na moje potrzeby.

- Mogę ci dać największą fortunę na świecie - zasugerował demon.

Carnevan roześmiał się pobłaźliwie. - I co potem? Wszystko stałoby się dla mnie za proste. Pragnę odczuwać ten dreszczyk emocji zdobywając wszystko samodzielnie z niewielką twoją pomocą. Co innego raz oszukać w pasjansie, a co innego kantować przez całą grę. Mam wiele wiary w siebie i chcę się w niej utwierdzić - podbudować swoje ego. Ludzie, tacy jak Faust, szybko się wykańczali. Król Salomon musiał się śmiertelnie nudzić. On zresztą nigdy nie korzystał ze swojego mózgu i założył się, że mózg mu zanikł. A weź takiego Merlina! - Carnevan uśmiechnął się. - Tak się przyzwyczaił do wzywiania diabłów, żeby we wszystkim go wyręczały, że początkujący czarownik pokonał go bez żadnego trudu. Nie, Azazelu - chcę, żeby Eli Dale umarł, ale śmiercią naturalną.

Demon oglądał swoje smukłe białe dłonie.

Carnevan wzruszył ramionami. - Potrafisz zmieniać postać?

- Oczywiście. - W co chcesz?

W odpowiedzi, Azazel stał się kolejno wielkim, czarnym psem, jaszczurką, grzechotnikiem i samym Carnevanem, a wszystko to w oszałamiającym tempie. Na koniec powrócił do własnej postaci i znowu rozparł się wygodnie w fotelu.

- Żadne z tych wcieleń nie pomogłoby ci zabić Dale'a. Carnevan chrząknął. - Potrzebne nam coś, co nie będzie podejrzane. Wiesz, co to są zarazki, Azazelu?

Tamten skinął głową. - Wiem to z twojego umysłu.

- Potrafisz zmieniać się w toksyny?

- Czemu nie? Gdybym wiedział, o jaką ci chodzi, znalazłbym próbkę, powielił jej strukturę atomową i wypełnił ją swoją energią życiową.

- Zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych - mruknął w zadumie Carnevan. - To dosyć śmiertelne. Zwaliliby z nóg takiego zgrzybiałego starucha jak Dale. Ale nie pamiętam, czy jest na to jakiś zarazek albo wirus.

- To nie ma znaczenia - powiedział Azazel. - Znajdę preparat mikroskopowy albo próbkę tego czegoś - najprędzej w jakimś szpitalu - a potem zmaterializuję się w ciele Dale'a pod postacią choroby.

- Czy to na jedno wyjdzie?

- Tak.

- No to dobrze. Toksyna, jak przypuszczam, zacznie się rozprzestrzeniać po organizmie i to będzie koniec Dale'a. Jeśli nie, to spróbujemy czegoś innego.

Wrócił do swoich zajęć, a Azazel znikł. Poranne godziny wlokły się jak makaron. Carnevan, gubiąc się przez cały czas w domysłach co też porabia jego demon, posilił się w pobliskiej restauracyjce, raczej zaskoczony dopisującym mu wilczym apetytem. W porze południowej zatelefonowała Diana. Najwyraźniej dowiedziała się o zaręczynach Carnevana z Phyllis. Przeprowadziła już z Phyllis rozmowę telefoniczną.

Carnevan odłożył słuchawkę, mężnie powstrzymując wybuch wzbierającej w nim dzikiej wściekłości. W chwilę potem wykręcił numer Phyllis. Oznajmiono mu, że nie ma jej w domu.

- Proszę jej powtórzyć, że wpadnę do niej dziś wieczorem - warknął i cisnął słuchawkę na widelki. Ulżyło mu, kiedy podniósłszy wzrok ujrzał w fotelu okutaną w zwoje materiału postać Azazela.

- Zrobione - powiedział demon. - Dale ma zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych. Jeszcze o tym nie wie, ale toksyna rozprzestrzenia się bardzo gwałtownie. Ciekawy eksperyment. Ale udało się.

Carnevan podjął próbę zebrania myśli. Po głowie chodziła mu teraz Phyllis. Był w niej, oczywiście, zakochany... ale ona była tak cholernie sztywna, taka purytańska. Zdarzyło mu się popełnić jedno głupstwo w życiu. W jej oczach mogło to wystarczyć. Czy zerwie zaręczyny? Na pewno nie. W dzisiejszych czasach miłosne przygody przyjmowane są za rzecz mniej lub bardziej, ale jednak naturalną, nawet przez dziewczynę, która wychowywała się w Bostonie. Carnevan oddał się uważnym oględzinom swoich paznokci.

Jakiś czas potem, pod pretekstem zasięgnięcia porady w jakiejś mało ważnej sprawie służbowej, zajrzał do Eli Dale'a i badawczo przyjrzał się twarzy starego. Dale miał rumieńce i błyszczały mu oczy, ale poza tym wyglądał normalnie. A jednak, Carnevan to wiedział, dotknęło go już piętno śmierci. Umrze, a stanowisko starszego wspólnika obsadzone zostanie przez kogoś innego - i pierwszy krok w planie Carnevana został już postawiony.

Co do Phyllis i Diany - no cóż, mimo wszystko miał przecież własnego demona! Biorąc pod uwagę władzę, jaką tamten dysponował, potrafi rozwiązać i ten problem. Jak to konkretnie zrobi, tego Carnevan jeszcze nie wiedział; w każdych okolicznościach, rozumował, w pierwszym rzędzie trzeba się imać zwyczajnych sposobów. Nie mógł się zbyt uzależnić od magii.

Zwolnił na razie Azazela i pojechał tego wieczora do domu Phyllis. Ale po drodze zajrzał do mieszkania Diany. Scena, jaka się tam rozegrała, była krótka i burzliwa.

Ciemna, smukła, wściekła i śliczna Diana powiedziała, że nie pozwoli mu się ożenić.

- Czemu nie? - dociekał Carnevan. - Mimo wszystko, moja droga, jeśli chcesz pieniędzy, mogę to zorganizować.

Diana powiedziała coś nieprzyjemnego pod adresem Phyllis. Grzmotnęła o ziemię popielniczką i przydeptała ją. A więc ja nie jestem wystarczająco dobra na żonę! A ona jest!

- Usiądź i uspokój się - poradził jej Carnevan. Spróbuj przeanalizować swoje uczucia...

- Ty zimnokrwista rybo!

- ...i zobacz, na czym stoisz. Nie kochasz mnie. Wodzenie mnie na pasku daje ci poczucie władzy i posiadania. Nie chcesz, żeby dostała mnie jakakolwiek inna kobieta.

- Współczuję tej, która cię dostanie - wybierając następną popielniczkę skomentowała Diana. Wyglądała przeuroczo, ale Carnevan nie był w nastroju do podziwiania piękna.

- No już dobrze - powiedział. - Posłuchaj. Jeśli pójdziesz mi na rękę, nie zabraknie ci pieniędzy - ani niczego. Ale jeśli znowu będziesz próbowała podłożyć mi świnię, na pewno tego pożałujesz.

- Nie tak łatwo mnie nastraszyć - warknęła Diana. Dokąd się wybierasz? Pewnie na spotkanie z tą żółtówłosą lafiryndą?

Carnevan zaszczycił ją niewzruszonym uśmiechem, włożył płaszcz i znikł. Pojechał do domu żółtówłosej lafiryndy, gdzie natknął się na nie takie trudne do przewidzenia komplikacje. Ale w końcu przekonał pokojówkę i został dopuszczony przed oblicze sopla lodu siedzącego w milczeniu na kanapie. Była to pani Mardrake.

- Phyllis nie życzy sobie pana widzieć, Geraldzie - odezwała się odgryzając słowa zasznurowanymi ustami.

Carnevan zebrał się w sobie i zaczął przemowę. Mówił dobrze. Jego opowieść była tak przekonywająca, że sam niemal uwierzył, iż Diana, to mit - że cała ta afera została spreparowana przez jakiegoś osobistego wroga. W końcu, po trwających jakiś czas wewnętrznych zmaganiach, pani Mardrake skapitulowała.

- Nie może być żadnego skandalu - zaznaczyła na koniec. - Gdybym sądziła, że w tym, co ta kobieta powiedziała Phyllis, tkwi choćby ziarenko prawdy...

- Człowiek mojej pozycji ma wrogów - wpadł jej w słowo Carnevan przypominając tym samym swojej gospodyni, że jeśli chodzi o małżeństwo, jest rybką wartą zarzucenia wędki. Westchnęła.

- No dobrze, Geraldzie. Wstawię się za panem u Phyllis, żeby pana przyjęła. Niech pan tu zaczeka.

Wy płynęła z pokoju, a Carnevan stłumił uśmiech. Wiedział jednak, że z Phyllis nie pójdzie tak łatwo.

Nie pojawiła się od razu. Carnevan domyślał się, że pani Mardrake ma trudności z przekonaniem córki co do jego uczciwości. Przechadzając się po salonie wyciągnął papierosa z pudełka, ale zaraz, rozejrzawszy się po otoczeniu, schował go z powrotem. Co za wiktoriański dom!

Jego wzrok przyciągnęła opasła rodzinna Biblia spoczywająca na pulpicie. Z braku lepszego zajęcia podszedł do niej i otworzył na chybił trafił. W oczy rzucił mu się ustęp:

Jeśli człowiek jaki cześć oddaje bydłociu i wizerunkowi jego i piętno jego przyjmuje na swe czoło albo w ręce swoje, ten powinien spijać grona gniewu bożego.

Być może to instynktowny odruch kazał Carnevanowi podnieść rękę i dotknąć czoła.

Skwitował swoją reakcję uśmiechem. Zabobon! Tak - ale są nim też i demony.

W tej chwili do salonu weszła Phyllis. Z tą miną męczennicy, jakiej nie powstydziliby się zapewne bohaterka Longfellowa, Ewagelina z Akadii. Tłumiąc nieelegancką pokusę, żeby ją kopnąć, Carnevan sięgnął po jej dłonie, bez skutku jednak, podążył więc za dziewczyną na kanapę.

Purytanizm i wychowanie w duchu przykazań boskich mają swoje ujemne strony, pomyślał. Stało się to jeszcze bardziej oczywiste, kiedy po kilku minutach Phyllis wciąż pozostawała nie przekonana co do niewinności Carnevana.

- Nie powiedziałam matce wszystkiego - oświadczyła cicho. - Ta kobieta wygadywała takie rzeczy... No cóż, widzę, że nie kłamała.

- Ja cię kocham - wybąkał bez związku Carnevan.

- Nie, nie kochasz mnie. Gdyby tak było, nigdy nie związałybyś się z tą kobietą.

- Nawet jeśli doszło do tego, zanim poznałem ciebie?

- Wiele mogę wybaczyć, Geraldzie - powiedziała ale nie to.

- Ty - zauważył Carnevan - nie potrzebujesz męża. Tobie potrzebny posąg.

Przedarcie się przez jej chłodną obłudę było niemożliwością. Carnevan stracił panowanie nad sobą. Przekonywał i błagał, gardząc jednocześnie sobą. Z wszystkich kobiet na świecie musiał zakochać się akurat w tej najbardziej zacofanej i purytańskiej. Jej wyniosłe milczenie rozwścieczało go niemal do granic hysterii. Powstrzymywał się całą siłą woli, aby nie bluznąć wiązką ordynarnych przekleństw w tę dostojną, religijną atmosferę salonu. W jego przekonaniu Phyllis upokarzała go straszliwie i gdzieś głęboko w nim coś kuliło się rozpaczliwie pod masochistycznymi smagnięciami, których temu czemuś nie potrafił oszczędzić.

- Kocham cię, Geraldzie - wydusiła z siebie tylko. Ale ty mnie nie kochasz. Nie mogę ci tego wybaczyć. Odejdź, proszę, zanim jeszcze bardziej wszystko zepsujesz.

Wypadł z domu kipiąc furią, wściekły i chory na myśl, że nie potrafił nad sobą zapanować. Phyllis, Phyllis, Phyllis! Niewzruszona góra lodowa. Obce jej były ludzkie odruchy. W jej piersi nigdy nie zagościły żadne emocje, chyba że te dobrze wyuczone, wykwentne, jak koronkowa serwetka. Porcelanowa lala oczekująca, że cała reszta świata też będzie z porcelany. Carnevan stał przy samochodzie trzęsąc się ze złości, pragnąc najbardziej ze wszystkiego na świecie zranić Phyllis tak, jak został zraniony on sam.

W samochodzie coś się poruszyło. To był Azazel w ciemnej oponczy okrywającej szczelnie całe jego ciało i z kościanobiałą, pozbawioną wyrazu twarzą.

Carnevan z rozmachem wskazał za siebie ręką. - Ta dziewczyna - wycharczał. - Ona... ona...

- Nie musisz mówić - mruknął Azazel. - Czytam w twoich myślach. Zrobię... jak sobie życzysz.

Znikł. Carnevan wskoczył do samochodu, wsunął kluczyk do stacyjki i z wściekłością uruchomił silnik. Gdy wóz ruszał, usłyszał jeszcze piskliwy, przeraźliwy wrzask dobiegający z domu, który przed chwilą opuścił.

Zatrzymał samochód i pognał z powrotem przygryzając w biegu wargę.

Zdaniem pośpiesznie wezwanego lekarza, Phyllis Mardrake doznała poważnego szoku nerwowego. Przyczyna pozostawała nie znana, ale przypuszczalnie mogło to być następstwem wymiany poglądów z Carnevanem, który nie uczynił nic, aby zdementować te domysły. Phyllis leżała tylko i podrygiwała spazmatycznie, tocząc w koło szklistymi oczyma. Od czasu do czasu jej usta układały się w słowa.

- Opończa... Pod opończą...

A potem śmiała się i krzyczała na przemian, póki nie ośwładnęło ją wyczerpanie.

Wyjdzie z tego, ale to trochę potrwa. Na razie umieszczono Phyllis w prywatnym sanatorium, gdzie dostawała hysterii na widok doktora Jossa, który przypadkowo był łysy. Coraz rzadziej bredziła o jakichś opończach i Carnevanowi pozwolono odwiedzać ją od czasu do czasu.

Sama o to prosiła. Kwestie sporne zostały załagodzone i Phyllis skłonna była nawet przyznać, że nie miała racji.

Kiedy dojdzie już całkiem do siebie, poślubi Carnevana. Ale o żadnych skokach na bok nie może już być mowy. Potworność, którą widziała, zapadła na dno jej umysłu i wynurzała się stamtąd tylko podczas majaczeń albo w dręczących ją często nocnych koszmarach. Carnevan był rad, że nie zapamiętała Azazela. Sam często się ostatnimi czasy widywał z demonem - bo wprowadzał właśnie w życie swój podstępny i okrutny spisek.

Zaczęło się to wkrótce po załamaniu nerwowym Phyllis, kiedy Diana atakowała go telefonami do biura. Z początku Carnevan zbywał ją byle czym. Potem dotarło doń, że to przecież ona była odpowiedzialna za doprowadzenie Phyllis niemal do obłędu.

Sprawiedliwość nakazywała, aby i ona poniosła karę. Śmierć nie wchodziła w rachubę. Umrzeć może każdy. Taki, na przykład, Eli Dale był już śmiertelnie chory na zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych. Najodpowiedniejsza byłaby tu jakaś subtelniejsza forma kary - tortura taka, jaką przeszła Phyllis.

Wyraz twarzy Carnevana, gdy ten wzywał demona i wydawał mu instrukcje, nie był przyjemny dla oka.

- Powolutku, krok po kroczku, będzie doprowadzana do utraty zmysłów - mówił. - Będzie miała czas na zorientowanie się, co jest grane. Traktuj ją... migawkami, że tak powiem.

Zmasowaną serią niewyjaśnionych zdarzeń. Podam ci szczegółowe wskazówki, kiedy je opracuję. Powiedziała mi kiedyś, że niełatwo ją nastraszyć. - Carnevan skończył i wstał, żeby nalać sobie drinka. Zaproponował też drinka demonowi, ale ten podziękował.

Azazel siedział nieruchomo w ciemnym kącie pokoju, zerkając od czasu do czasu przez okno, tam, gdzie daleko w dole rozpościerał się Central Park.

Carnevanowi przyszła nagle do głowy pewna myśl. Co ty o tym wszystkich myślisz? Demony są z definicji złe. Czy sprawia ci przyjemność... zadawanie ludziom cierpień?

Piękna twarz-czaszka odwróciła się i spojrzała na niego. - A czy ty wiesz, co to jest zło, Carnevan?

Carnevan psiknął sobie wody sodowej do żytniówki. Rozumiem. Sprawa semantyki.

Oczywiście jest to pojęcie arbitralne. Ludzkość ustanowiła swoje normy...

Skośne, opalizujące oczy Azazela zabłyśły. - To moralny antropomorfizm. I egotyzm. Nie braliście pod uwagę środowiska. Fizyczne własności tego waszego świata spowodowały, że dobro i zło są takie, jakimi je znacie.

To był już szósty drink i w Carnevanie budziła się potrzeba prowadzenia dyskusji. - Nie bardzo rozumiem. Moralność to sprawa umysłu i emocji.

- Każda rzeka ma swoje źródło - zareplikował Azazel. - Ale istnieje różnica między Mississippi a Colorado. Gdyby istoty ludzkie rozwinęły się w... no, na przykład, w moim świecie, cała konstrukcja pojęć dobra i zła byłaby zupełnie inna. Mrówki też mają strukturę społeczną. Ale nie jest ona podobna do waszej. Inne jest środowisko.

- Ludzi też coś różni od insektów.

Demon wzruszył ramionami. - I my nie jesteśmy tacy sami. Jeszcze mniej podobni do siebie niż wy i mrówki. Bo was i mrówki cechują zasadniczo dwa wspólne instynkty. Instynkt samozachowawczy i instynkt podtrzymania gatunku. Demony nie podtrzymują gatunku.

- Zgodziłaby się co do tego większość autorytetów przyznał Carnevan. - Całkiem możliwe, że wyjaśnia to również przyczynę występowania odmieńców. Jak to jest, że istnieje tyle rodzajów demonów?

Azazel zrobił wielkie oczy.

- No, wiesz. Gnomy, koboldy, trolle, dziny, wilkołaki, wampiry...

- Istnieje więcej rodzajów demonów niż te znane ludzkości - wyjaśnił Azazel. - Przyczyna tego jest całkiem oczywista. Wasz świat dąży do uporządkowanego modelu do stanu stagnacji. Słyszałeś chyba o entropii. Ostatecznym celem waszego wszechświata jest jednorodność, niezmienna i wieczna. Odgałęzienia waszej ewolucji spotykają się w końcu i tak już pozostaną tworząc jeden ostateczny gatunek. Takie odrośla, jak ptak moa czy tur

wymrą, jak wymarły dinozaury i mamuty. Na koniec zapanuje stagnacja. Mój wszechświat dąży do fizycznej anarchii. Na początku istniał tylko jeden gatunek. U kresu będzie skrajny chaos.

- Twój wszechświat jest jak negatyw mojego - zadumał się Carnevan. - Ale czekaj !

Powiedziałeś, że demony nie mogą umierać. I że nie mogą podtrzymywać gatunku. Jak, w takiej sytuacji, może się dokonywać jakikolwiek postęp?

- Powiedziałem, że demony nie mogą popełnić samobójstwa - poprawił go Azazel. - Śmierć może je osiągnąć, ale ze źródła zewnętrznego. Odnosi się to również do prokreacji.

To było zbyt zagmatwane jak dla Carnevana. - Musicie odczuwać jakieś emocje. Instynkt samozachowawczy wywołuje strach przed śmiercią.

- Nasze emocje są inne od waszych. Potrafię przeanalizować i zrozumieć reakcje Phyllis od strony klinicznej. Odebrała bardzo surowe wychowanie i odczuwała podświadomy sprzeciw wobec narzucanych jej rygorów. Nigdy nie przyznała, nawet przed sobą, że pragnie się wyrwać na wolność. Ale ty byłeś dla niej symbolem. W głębi duszy podziwiała cię i zazdrościła, bo byłeś mężczyzną i w jej mniemaniu zdolnym do robienia tego, na co ma ochotę. Miłość jest fałszywym synonimem podtrzymywania gatunku, tak jak dusza to po prostu pragnienie dopełnienia dzieła stworzenia wyrastające z instynktu samozachowawczego. Ani jedno, ani drugie nie istnieje. Umysł Phyllis to labirynt zakazów, obaw i nadziei. Purytanizm jest dla niej gwarancją bezpieczeństwa. To dlatego nie mogła ci wybaczyć romansu z Dianą. To była wymówka, żeby wycofać się do bezpiecznej skorupy dotychczasowego trybu życia.

Carnevan słuchał z zainteresowaniem. - Mów dalej.

- Kiedy się jej ukazałem, przeżyła gwałtowny szok psychiczny. Na jakiś czas do głosu doszła jej podświadomość. I dzięki temu wyszła z szoku z przebaczeniem dla ciebie. Jest eskapistką; skoro jej dotychczasowa bezpieczna przystań okazała się wcale nie taka bezpieczna, to godząc się teraz na małżeństwo z tobą zaspokaja zarówno swoje pragnienie ucieczki, jak i potrzebę znalezienia się pod czyjąś opieką.

Carnevan mieszał sobie kolejnego drinka. Coś mu się przypomniało.

- Powiedziałeś przed chwilą, że dusza nie istnieje, co?

Ciało Azazela poruszyło się pod okrywającą je opończą. - Źle mnie zrozumiałeś.

- Nie sądzę - powiedział Carnevan zdjęty zimnym, śmiertelnym przerażeniem, które przebijało się poprzez ciepłe otępienie wywołane działaniem trunku. - Umówiliśmy się, że służysz mi w zamian za moją duszę. Jaki był twój prawdziwy motyw? \_

- Starasz się sam siebie nastraszyć - mruknął demon, a w jego niesamowitych oczach pojawiła się czujność. - Na przestrzeni dziejów religia opierała się na hipotezie istnienia dusz.

- A one istnieją?

- Czemu miałyby nie istnieć?

- To jak wygląda dusza? - spytał Carnevan.

- Nie potrafisz sobie tego wyobrazić - odparł Azazel. - Nie ma żadnych norm porównawczych. A nawiasem mówiąc, dwie minuty temu zmarł Eli Dale. Jesteś teraz starszym wspólnikiem firmy. Czy mogę ci pogratulować?

- Dziękuję - Carnevan skinął głową. - Zmieńmy temat, jeśli ci to nie przeszkadza. Ale zamierzam wcześniej czy później dojść prawdy. Jeśli nie mam duszy, to ty coś kręcisz. No, ale... wróćmy do Diany.

- Chcesz doprowadzić ją do obłądu.

- Chcę, żebyś ty doprowadził ją do obłądu. Jest typem schizofrenicznym - smukła o długich kościach. Cechuje ją idiotyczny rodzaj pewności siebie. Budowała swe życie na fundamencie rzeczy, które uznawała za realne. Trzeba usunąć te rzeczy.

- No więc?

- Boi się ciemności - ciągnął Carnevan z dosyć nieprzyjemnym uśmiechem. - Bądź subtelny, Azazelu. Usłyszysz jakieś głosy. Będzie widziała chodzących za nią ludzi. Mania prześladowcza. Jeden po drugim zaczną ją zawodzić zmysły. A może raczej zwodzić. Będzie wyczuwała zapachy, których nikt inny nie będzie czuł. Będzie słyszała głosy. Będzie wyczuwała truciznę w tym, co je. Zacznie czuć różne rzeczy nieprzyjemne rzeczy. Jeśli znajdzie taka potrzeba, na koniec może miewać... halucynacje.

- To chyba isticie szatański scenariusz - zauważył Azazel podnosząc się z fotela. - Moje zainteresowanie jest czysto kliniczne. Mogę zrozumieć, że takie sprawy mają dla ciebie znaczenie, ale tylko tyle.

Zadzwoił telefon. Carnevan dowiedział się, że nie żyje Eli Dale - zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych.

Uczcił okazję nalewając sobie jeszcze jednego drinka i wznosząc toast do Azazela, który tymczasem znikł, żeby złożyć wizytę Dianie. Szczupła, zdecydowana twarz Carnevana zarumieniła się tylko trochę pod wpływem trunku, który w siebie wlał. Stał pośrodku mieszkania i obracał się powoli, przesuwając wzrokiem po meblach, książkach, bibelotach. Dobrze by było poszukać sobie innego mieszkania jakiegoś większego i bardziej reprezentacyjnego. Mieszkania odpowiedniego dla pary małżeńskiej. Ciekawe, ile jeszcze potrwa rekonwalescencja Phyllis.

Azazel...Co ten demon kombinuje? zastanawiał się. Na pewno nie chodzi mu o jego duszę. A więc o co?

Pewnego wieczora, w dwa tygodnie później, zadzwonił do drzwi mieszkania Diany. Głos dziewczyny spytał najpierw, kto tam; potem uchyliła drzwi na kilka milimetrów i dopiero wtedy wpuściła Carnevana. Był wstrząśnięty zmianą, jaka w niej zaszła.

Trudno było to nazwać wyraźnym przeobrażeniem. Diana panowała nad sobą z żelazną konsekwencją, ale była przesadnie umalowana. To ją zdradzało. Stanowiło symbol duchowej tarczy, którą próbowała się osłonić przed psychiczną inwazją. - Dobry Boże, Dianko, czy coś się stało? - spytał troskliwie. - W słuchawce głos miałś taki roztrzęsiony. A radziłem ci wczoraj wieczór, żebyś poszła do lekarza.

Niezdarnymi palcami wygrzebała z paczki papierosa, który drżał lekko w jej dłoniach, gdy Carnevan go przypalał.

Byłam. Powiedział... niewiele mi pomógł, Jerry. Tak się cieszę, że już się na mnie nie gniewasz.

- Gniewam? Usiądź tutaj. O, tak. Zrobię ci drinka. Złość dawno mi już przeszła; będziemy teraz razem, a Phyllis... no cóż, nie skosztujemy już weselnego tortu. Jest teraz, widzisz, w sanatorium i nieprędko ją wypiszą. A i potem może być pomyłona... - Carnevan zawahał się. Diana odgarnęła do tyłu ciemne włosy i odwróciła się na kanapie twarzą do niego. - Jerry, czy nie uważasz, że ja tracę zmysły?

- Nie, nie uważam - zapewnił ją. - Myślę za to, że potrzeba ci trochę odpoczynku albo odmiany.

Nie słyszała. Głowę miała przechyloną na bok, jakby nasłuchiwała jakiegoś wyimaginowanego głosu. Zerknąwszy w bok, Carnevan ujrzał stojącego po drugiej stronie pokoju Azazela - niewidzialnego dla dziewczyny, ale najwyraźniej słyszalnego.

- Dianko! - upomniał ją ostro.

Jej usta rozchyliły się. Spojrzawszy na niego, powiedziała łamiącym się głosem: -  
Przepraszam. Coś mówiłeś?

- Co ci powiedział lekarz?

- Nic takiego. - Nie miała ochoty podtrzymywać tego tematu. Zamiast tego wzięła drinka, który przygotował Carnevan, przyjrzała się zawartości i umoczyła wargi. Odstawiła zaraz kieliszek.

- Coś nie tak? - spytał Carnevan.

- Nie. Jaki to ma dla ciebie smak? - Normalny.

Carnevan tył ciekaw, co konkretnie wyczuła Diana w swoim drinku. Może gorzkie migdały. Kolejna ze sztuczek Azazela. Przesunął palcami po włosach dziewczyny, odczuwając przy tym dreszczyk władzy. Paskudny rodzaj odwetu, pomyślał. Dziwne, że niedola Diany w najmniejszym stopniu go nie poruszyła. W swoim przekonaniu nie był jednak taki z gruntu zły. Ten odwieczny problem arbitralnych norm - dobra i zła.

- Długo już nie wytrzyma - powiedział Azazel, a jego głos słyszał tylko Carnevan. - Moim zdaniem, załamie się jutro. Psychoza maniakalno-depresyjna może popchnąć do samobójstwa, zadbam więc, żeby się do tego nie posunęła. Każda niebezpieczna broń, jakiej dotknie, będzie się jej wydawała rozżarzona do czerwoności.

I nagle, bez uprzedzenia, demon znikł. Carnevan odkaslnął i dopił drinka. Kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie. Odwrócił powoli głowę, ale nic tam nie zauważył. Co to było? Jakiś czarny cień. Bezkształtny, nieuchwytny. Bez żadnego powodu dłonie Carnevana zaczęły drżeć. Zaintrygowany, rozejrzał się bacznie po pokoju.

Obecność Azazela nigdy dotąd tak na niego nie działała. To była prawdopodobnie reakcja - bez wątpienia trzymał swe nerwy na wodzy nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Mimo wszystko demony należą do zjawisk nadprzyrodzonych.

Kącikiem oka znowu zauważył zwiewną czerń. Tym razem spróbował ją przeanalizować nie poruszając się. To coś unosiło się tuż na granicy jego pola widzenia. Jego oczy przesunęły się o włos w tamtym kierunku i zjawa znikła.

Bezkształtny, czarny obłok. Bezkształtny? Nie, to miało kształt, uświadomił sobie teraz, było wrzecionowate, nieruchome i stojące na sztorc wzdłuż swej osi. Dłonie drżały mu, jak jeszcze nigdy dotąd.

Diana przyglądała mu się uważnie. - Co się stało, Jerry? To przeze mnie tak się denerwujesz? - Tyle teraz pracy w biurze - odparł. - Wiesz, że zostałem starszym wspólnikiem. No, będę już leciał. A ty lepiej pójdz jutro jeszcze raz do lekarza.

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła za nim, jak wychodzi z mieszkania. W drodze do domu Carnevanowi znowu mignęło w przelocie czarne, mgliste wrzeciono. Ani razu nie udało mu się zobaczyć go wyraźnie. Unosiło się tuż na granicy jego pola widzenia. Chociaż go nie widział, wyczuwał jednak pewne właściwe mu, ledwie uchwytnie cechy charakterystyczne. Nie potrafił odgadnąć, co to za cechy, ale dłonie mu drżały.

Na zimno, z furją, jego intelekt walczył z bezsensownym przerażeniem ogarniającym układ psychiczny. Stał oko w oko z obcym. A raczej... Nie - nie stał z nim oko w oko. To coś wymykało się i znikało. Azazel?

Wezwał demona po imieniu, ale nie doczekał się odpowiedzi. Gnając w kierunku domu Carnevan ssał dolną wargę i myślał intensywnie. Jak... Dlaczego...

Co było tak bezsensownie, tak subtelnie przerażającego w tej... zjawie?

Nie miał pojęcia, chyba że działały tak na niego te nieuchwytnie cechy kryjące się w czerni, na którą nie był w stanie spojrzeć bezpośrednio. Wyczuwał, że tych cech nie da się opisać słowami, a jednak prześladowało go perwersyjne pragnienie ujżenia ich w całej okazałości. Schroniwszy się już w azylu swego mieszkania, znowu kątem oka, na samym skraju pola widzenia, zobaczył czarne wrzeciono unoszące się w pobliżu okna. Szybko odwrócił głowę, żeby na nie spojrzeć; znikło. Ale w tym momencie chwycił Carnevana za gardło szok

irracjonalnego strachu, nieludzkie, przyprawiające o mdłości uczucie, że może zobaczyć coś, przed czym wzdraga się cała jego istota fizyczna.

- Azazel - zawołał cicho.

Nic.

- Azazel!

Carnevan nalał sobie drinka, zapalił papierosa i znalazł jakieś czasopismo. Do chwili udania się na spoczynek i przez całą noc nic go już nie niepokoiło, ale rano, kiedy tylko otworzył oczy, coś czarnego i wrzecionowatego czmychnęło płochliwie, gdy tylko spojrzął w tamtą stronę.

Zatelefonował do Diany. Powiedziała, że czuje się dużo lepiej. Najwyraźniej Azazel zaniedbywał swoje obowiązki. Chyba że to czarne coś było Azazelem. Carnevan pojechał szybko do biura, kazał sobie przysłać na górę czarną kawę, a potem zamiast niej napił się mleka. Jego nerwy potrzebowały raczej uspokojenia niż pobudzenia.

Czarne wrzeciono pojawiło się tego ranka w biurze dwukrotnie. Za każdym razem Carnevana nachodziło przerażające przekonanie, że jeśli spojrzy na nie bezpośrednio, pozna wreszcie dokładnie jego cechy. I wbrew sobie samemu próbował spojrzeć. Nadaremnie, ma się rozumieć.

Niewiele tego dnia działał w pracy. Urwał się wcześniej i pojechał do sanatorium, do Phyllis. Czują się o wiele lepiej i rozprawiała o planowanym małżeństwie. Carnevanowi spocły się dłonie, kiedy przez słoneczny, przytulny pokój przemknęło pośpiesznie czarne wrzeciono. Najgorsza ze wszystkiego była chyba świadomość, że gdyby udało mu się spojrzeć wprost na zjawę, nie oszalałby. Chociaż by chciał. Z tego zupełnie jasno zdawał sobie sprawę. Tyle podpowiedziała mu własna instynktowna reakcja fizyczna. Nic, co należy do tego wszechświata, ani nic z nim choć daleko spokrewnionego, nie mogłoby wywołać w jego ciele tej pustej próżni, tego szokującego uczucia, że cała jego komórkowa konstrukcja usiłuje wzdrygnąć się ze wstrętu do - tego wrzeciona.

Pojechał z powrotem na Manhattan, o włos unikając wypadku na moście Jerzego Waszyngtona, kiedy na chwilę przymknął oczy, żeby nie oglądać tego, czego tam nie było, kiedy je znów otworzył. Było już po zachodzie słońca. Na tle purpurowego nieba wznosiły się roziskrzane światłami nowojorskie drapacze chmur. Ich geometryczna perfekcja wydawała się pozbawiona ciepła, nieprzytulna i obojętna. Carnevan zatrzymał się przy barze, wypił dwie whisky i wyszedł, kiedy czarne wrzeciono przemknęło przez lustro.

Znalazłszy się z powrotem w swoim mieszkaniu usiadł z twarzą ukrytą w dłoniach i pozostawał w tej pozycji chyba z pięć minut. Kiedy wstał, na jego twarzy malowało się zdecydowanie i wściekłość. Oczy lekko mu błyszczały; po chwili wziął się w garść.

- Azazel - powiedział, a potem głośniejszym głosem: - Azazel! Jestem twoim panem! Pokaż mi się! Jego umysł sondował otoczenie, potężny, twardy jak żelazo. Głębiej czał się nieokreślony jeszcze strach. Czy wrzecionem był Azazel? Czy pojawi się... w całości?

- Azazel! Jestem twoim panem! Masz mnie słuchać! Wzywam cię!

Demon zmaterializował się z powietrza i stanął przed Carnevanem. Jego piękne oblicze koloru jasnej kości nie wyrażało zupełnie nic; skośne, opalizujące, pozbawione źrenic oczy patrzyły obojętnie. Ciało Azazela wzdrygnęło się lekko pod ciemną oponczką i znieruchomiło.

Carnevan opadł na fotel z westchnieniem ulgi. - No, nareszcie - powiedział. - Mów zaraz, o co tu chodzi? Co to za kawały?

- Wróciłem do mego świata - wyjaśnił spokojnie Azazel. - Pozostałbym już tam, gdybyś mnie nie wezwał.

- Co to za... wrzecionowate coś?

- Nie jest z twojego świata - odparł demon. - Z mojego też nie. Prześladowuje mnie.

- Dlaczego?

- Krążą wśród was opowieści o nawiedzanych ludziach. Czasami przez demony. W moim świecie... ja byłem takim nawiedzanym.

Carnevan obliznął wargi. - Przez to coś?

- Tak.

- Co to jest?

Azazel zdał się skulić w sobie. - Nie wiem. Wiem tylko, że to straszne i że mnie prześladowuje. Carnevan podniósł ręce i przycisnął dłonie do oczu. Nie. Nie. To niedorzeczne. Coś opętało demona. Skąd to coś się wzięło?

- Znam tylko wszechświat swój i wasz. Na tym kończy się moja wiedza. To coś pochodzi, jak sądzę, spoza obu naszych sektorów czasowych.

- To dlatego zaoferowałeś mi swe usługi - powiedział Carnevan tknięty nagłym przecuciem. Wyraz twarzy Azazela nie uległ zmianie. - Tak. To coś coraz bardziej się do mnie zbliżało. Pomyślałem sobie, że zdołam przed tym uciec przechodząc do twojego wszechświata. Ale przyszło za mną.

- A nie mogłeś przejść do tego świata bez mojej pomocy. Cała ta gadka o mojej duszy to pic i fotomontaż.

- Tak. To coś przyszło za mną. Czmychnąłem z powrotem do mojego wszechświata i nie podążyło już w me ślady. Być może nie mogło. Niewykluczone, że potrafi się przemieszczać tylko w jednym kierunku - ze swojego świata do mojego, a potem do twojego, ale z powrotem już nie. Z tego, co wiem, pozostało tutaj.

- Pozostało - przytaknął Carnevan błady jak ściana żeby prześladować mnie.

- I odczuwasz przed tym czymś taki sam strach? Byłem ciekaw. Jesteśmy do siebie tak niepodobni psychicznie...

- Nigdy nie widziałem tego bezpośrednio. Czy to ma... jakieś kształty?

Azazel nie odpowiedział. W pokoju zawisła cisza.

W końcu Carnevan pochylił się naprzód w swoim fotelu. To coś prześladowuje cię... aż do twojego powrotu do własnego świata. Potem nawiedza mnie. Dlaczego?

- Nie wiem. Jest dla mnie obce, Carnevan.

- Ale jesteś przecież demonem! Dysponujesz nadprzyrodzoną mocą...

- Nadprzyrodzoną dla ciebie. Są też moce nadprzyrodzone z punktu widzenia demonów. Carnevan nalał sobie drinka. Oczy mu się zwężyły.

- Bardzo dobrze. Mam nad tobą wystarczająco dużą władzę, żeby zatrzymać cię w tym świecie, bo inaczej nie wróciłbyś na moje wezwanie. To impas. Dopóki tu pozostaniesz, to coś będzie prześladować ciebie. Nie pozwolę ci odejść do twego świata, bo wtedy zaczęłoby nawiedzać mnie - jak to aktualnie czyni. Chociaż teraz chyba znikło.

- Nie znikło - powiedział beznamiętnie Azazel.

Ciałem Carnevana wstrząsnął niekontrolowany spazm. Potrafię się tak nastawić psychicznie, żeby się nie bać. Ale fizycznie to coś jest... jest...

- Jest przerażające nawet dla mnie - wpadł mu w słowo Azazel. - Pamiętaj, że ja widziałem to bezpośrednio. Jeśli zatrzymasz mnie w swoim świecie, zniszczy mnie w końcu.

- Ludzie odpędzali demony egzorcyzmami - przypomniał sobie Carnevan. - Nie ma podobnego sposobu na to coś?

- Nie ma.

- A ofiara krwi? - zasugerował nerwowo Carnevan. Woda święcona? Dzwonek, Biblia i świeca? - Sam wyczuwał bzdurność swoich propozycji.

Ale Azazel wyglądał, jakby się zastanawiał. - Nic z tych rzeczy. Ale może... siła życiowa. - Ciemna opończa zadygotała. - Zgodnie z podaniami ludowymi, złe moce można odpędzić egzorcyzmami - powiedział Carnevan. - Ale najpierw trzeba je uczynić widzialnymi i namacalnymi, dając im ektoplazmę... krew... No, nie wiem.

Demon pokiwał wolno głową. - Innymi słowy, sprowadzając równanie do najmniejszego wspólnego mianownika. Ludzie nie są w stanie walczyć z odcieleśnionym duchem. Ale jeśli tego ducha ściągnąć do powłoki cielesnej, zaczyna on podlegać ziemskim prawom fizyki. Myślę, że tędy prowadzi droga, Carnevan.

- Chcesz powiedzieć...

- To coś, co mnie prześladowuje, jest tworem całkowicie obcym. Jeśli jednak potrafię zredukować to coś do najmniejszego wspólnego mianownika, będę mógł to zniszczyć. Tak jak mógłbym zniszczyć ciebie, gdybym nie przyrzekł, że będę ci służył. No i, oczywiście, gdyby zniszczenie ciebie pomogło mi w czymkolwiek. Przypuśćmy, że składam temu czemuś ofiarę. Ono musi na jakiś czas przyjąć naturę rzeczy, którą asymiluje. Ludzka siła życiowa powinna się do tego nadać.

Carnevan słuchał pilnie. - To podziiała?

- Sądzę, że tak. Złożę temu czemuś ofiarę z człowieka. Na krótko i tylko częściowo to coś stanie się ludzkie, a demon może bez trudu zniszczyć istotę ludzką.

- A ofiara...

- Diana. To będzie najprostsze, bo nadwerżyłem już fortecę jej świadomości. Muszę przełamać wszystkie bariery istniejące w jej mózgu - to psychiczny substytut noża ofiarnego używanego w wierzeniach pogańskich.

Carnevan wychylił jednym haustem resztę drinka. A więc potrafisz to coś zniszczyć?

Azazel skinął głową. - Tak sądzę. Ale to, co pozostanie z Diany, nie będzie już ani trochę ludzkie. Władze będą cię zasypywać pytaniami, Spróbuję jednak cię ochronić.

I powiedziawszy to znikł, zanim Carnevan zdążył się sprzeciwić. W mieszkaniu zapanował śmiertelny bezruch. Carnevan rozejrzał się dookoła, niemal pewien, że zobaczy, jak czarne wrzeciono pokazuje się na moment i znika, gdy tylko zerknie w jego kierunku. Ale nie spostrzegł ani śladu czegokolwiek nadprzyrodzonego.

Pół godziny później siedział jeszcze w fotelu, kiedy zadzwonił telefon. Carnevan odebrał go.

- Tak... Kto?... Co? Zamordowana?... Nie... Zaraz tam będę.

Odłożył słuchawkę i wyprostował się. Oczy mu płonęły. Diana... nie żyła. Została w straszny sposób zamordowana i pewne okoliczności tej zbrodni pozostawały dla policji niejasne. No cóż, jemu nic nie groziło. Poszlaki mogą wskazywać na niego, ale niczego mu nie udowodnią. Przez cały ten dzień był daleko od Diany.

- Moje gratulacje, Azazelu - mruknął pod nosem Carnevan. Zdusił niedopałek papierosa i odwrócił się, żeby wyjść z szafy płaszcz.

Za nim czekało czarne wrzeciono. Tym razem nie czmychnęło przed jego wzrokiem. Nie znikło. Carnevan zobaczył je. Zobaczył je wyraźnie. Ujrzał każdy rys tego, co wyobrażał sobie błędnie jak wrzeciono czarnej mgiełki.

A najgorsze ze wszystkiego było to, że Carnevan nie oszalał.

przekład : Jacek Manicki

Henry Kuttner      Obłądne podejrzenie

- Czy odnosi pan teraz wrażenie, że śni, panie Hooten? - spytał łagodnie doktor Scott. Timothy Hooten umknął wzrokiem przed baczny spojrzeniem psychiatry. Przesunął palcami po gładkiej skórze pokrywającej poręcz fotela i nie ukontentowany uczuciem, jakie mu to przyniosło, odwrócił głowę, żeby wyjrzeć przez okno na wyniosłą sylwetkę Empire State Building.

- To jest jak sen, prawda? - mruknął wykrętnie.

- Co jest jak sen?

- To. - Hooten wskazał ruchem głowy na strzelistą iglicę zdobiącą szczyt drapacza chmur. - A gdyby tak przycumować do tego sterowca. Nigdy tego nie robili, prawda? Tak właśnie jest we snach. Rozumie pan. Wielkie plany, a potem, nie wiadomo kiedy, wszyscy o nich zapominają i zaczynają coś nowego. A zresztą, sam nie wiem. Wszystko staje się jakieś nierealne.

Solipsyzm, pomyślał doktor Scott, ale wstrzymał się z ostateczną diagnozą.

- Co konkretnie? - spytał przyciszonym głosem.

- Dajmy na to, pan - odparł Hooten. - Coś mi nie gra z pańskimi kształtami.

- Mógłby pan to uściślić, panie Hooten?

- No, nie wiem, czy potrafię - powiedział Hooten zerkając trwożliwie na własne dłonie. - Widzi pan, moje kształty też są jakieś nie takie.

- A wie pan, jak wyglądają te prawidłowe?

Hooten przymknął oczy i wysilił umysł. Przez jego twarz przemknął wyraz zdumienia.

Nachmurzył się. Doktor Scott, przyglądając mu się uważnie, zanotował coś w kajeciku.

- Nie - powiedział w końcu Hooten otwierając bardzo szeroko oczy i przyjmując postawę negatywistyczną. - Nie mam zielonego pojęcia.

- Nie chce mi pan powiedzieć?

- Ja... no... Ja tego nie wiem. Po prostu nie wiem.

- Dlaczego pan do mnie przyszedł, panie Hooten?

- Mój lekarz tak mi doradził. Żona też.

- Czy w pana odczuciu mieli rację?

- Szczerze mówiąc - oznajmił Hooten promieniejąc cichym tryumfem - nie wydaje mi się, żeby warto było przywiązywać wagę do tego, co robię we śnie. Chodzić na dwóch nogach, też mi pomysł! - urwał przestraszony. - Może nie trzeba było tego mówić - dodał.

Doktor Scott uśmiechnął się blade.

- Zechciałby mi pan opowiedzieć trochę więcej o tym śnie?

- Znaczy się, o chwili obecnej? Chodzi o to, że wszystko jest nie tak. Nawet mówienie. To mielenie językiem. Hooten pomacał się w skupieniu po szczęce, a doktor Scott zrobił kolejną notatkę. - Śnię i tyle.

- Czy budzi się pan kiedykolwiek?

- Tylko we śnie - przyznał Hooten. - Jak to dziwnie brzmi. Sam się zastanawiam, co chcę przez to powiedzieć.

- Czy to jest świat ze snu? - spytał doktor Scott.

- Oczywiście.

- Czy może mi pan zdradzić, jaki problem sprowadza pana do mnie, panie Hooten?  
- Nie mam żadnych problemów - zaproponował Hooten zaskoczony. - Gdybym je miał, to i tak byłyby to problemy ze snu, no nie?  
- A czy ma pan problemy, kiedy pan... nie śpi?  
- O, na pewno - powiedział pacjent. Zastanowił się. Coś mi się wydaje, że do psychiatrii chodzę i w realnym świecie. W tamtym, gdzie funkcjonuje mój świadomy umysł. T u t a j do głosu dochodzi, oczywiście, moja podświadomość.  
- Może mi pan trochę więcej o tym opowiedzieć?  
Hooten znowu przymknął oczy.  
- Spróbuję - powiedział. - Widzi pan, kiedy śpię, kiedy śnię, świadomy umysł wyłącza się. Tak jest tutaj i teraz. No i wydaje mi się, że w świecie realnym, w świecie na jawie - w tym drugim świecie - mój psychiatra usiłuje wysondować moją podświadomość. To znaczy to, co dla pana jest moją świadomością.  
- Bardzo interesujące - powiedział doktor Scott. - No a ten drugi psychiatra? Potrafi go pan opisać? Co to za człowiek?  
- Człowiek? - zapytał Hooten otwierając znowu oczy. Zawahał się. Potem potrząsnął głową. - Dokładnie nie wiem. Nie przypominam sobie, jak jest w realnym świecie. W każdym razie inaczej. Tyle wiem. Zupełnie, zupełnie inaczej. Tyle wiem. Zupełnie, zupełnie inaczej. - Wyciągnął przed siebie rękę i przyjrzał się jej z namysłem. Odwrócił ją i spojrzął na linie dłoni. - No, no - mruknął. - Czego to jeszcze nie wymyślą.  
- Niech pan sobie spróbuje przypomnieć - nalegał doktor Scott.  
- Już próbowałem. Wy, ludzie ze snu, molestujecie mnie bez przerwy, żebym próbował. Ale to na nic. Pewnie mam blokadę umysłu - skończył triumfująco.  
- Musimy więc odkryć naturę tej blokady. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym przeprowadzić z panem taki mały teścik, panie Hooten. Pokażę panu obrazek i prosiłbym o opowiedzenie o nim króciutkiej historyjki.  
- Chodzi panu o ułożenie opowiadania?  
- W samej rzeczy - powiedział doktor Scott i wręczył Hootenowi wielką planszę, na której nabazgrane były nieartystycznie dwie zagadkowe i bezkształtne figury.  
- Coś takiego - zdziwił się Hooten. - Mają kości w środku.  
- Dalej. - To dwaj psychiatrzy - mruknął Hooten. - Każdy to widzi. Jeden czuwa, a drugi śpi. Jeden jest prawdziwy, a drugi nie. Obaj mnie leczą. Jeden nazywa się Scott, a drugi... a drugi...  
- No, no - ponaglił go Scott, - ... nazywa się...  
- Jak brzmi jego nazwisko?  
- Rasp - wybąkał niepewnie Hooten. - Doktor Rasp. Mam u niego zamówioną wizytę o drugiej nad ranem, kiedy się obudzę.

- Czy odnosi pan teraz wrażenie, że śni? - zapytał łagodnie, drogą telepatyczną, doktor Rasp. Timothy Hooten umknął wzrokiem przed spojrzeniem owadzych oczu psychiatrii. Obrócił się całym swym owalnym ciałem, żeby wyjrzeć przez szczelinę świetlikową na odległy wielościan Wunkerii Quatt. Potem pomachał delikatnie czułkami i kłapnął zuchwami.

- To jest jak sen, prawda? - mruknął wykrętnie, chociaż, naturalnie, bezgłośnie. - Budować Wunkerię tylko po to, żeby splatać Quatty. Oczywiście nigdy się nie pojawiły. Tak właśnie jest w snach. Och, nie przekona mnie pan. To sen. Chodzić na sześciu nogach, też mi pomysł. Doktor Rasp wykrobał jakąś notatkę na chitynowej powłoce lewego skrzydełka.

- A jak według pana powinno się chodzić? - zapytał.

- Właśnie się zastanawiam - powiedział Hooten. Cały czas to robię, kiedy nie śpię, ale to jeden z tych powracających snów, w których zachowuję się, jakbym cierpiał na amnezję. Próbowałem sobie przypomnieć, jak to jest, i próbowałem, ale wszystko na nic. To tak samo, jak splatać Quatty w Wunkerii. Och, co za idiotyzm.

- Jaki problem pana trapi, panie Hooten?

- No, po pierwsze, to absurdalne ciało, które noszę. Mam poprzesztawiane wszystkie kości. - Owadzie oczy Hootena zabłysły przestraszonym. - Już to mówiłem? Znaczący się, przed chwilą? To mi się z czymś kojarzy.

- Nie, nie mówił pan - powiedział doktor Rasp. Z czym to się panu kojarzy? Hooten podrapał się nerwowo zadnią stopą po brzuszku. Rozległ się suchy chrobot.

- Zapomniałem - bąknął.

- Chciałbym przeprowadzić mały test - powiedział doktor Rasp. - Wyemituję pewną myśl i prosiłbym pana, żeby powiedział mi, o czym pod jej wpływem pomyślał. Jest pan gotów?

- Chyba tak - powiedział Hooten.

Doktor Rasp wyemitował splątana, mglistą myśl. Hooten rozważył ją.

- To mój świadomy umysł - stwierdził teraz. - To mógłby być Gniewny Zwijacz - mam na myśli ten gatunek żyjący na antypodach - ale przypomina mi przede wszystkim mój świadomy umysł, bo pośrodku pływa sobie psychiatra.

- Psychiatra? - zapytał doktor Rasp zaskoczony.

- Wydaje mi się... że bada mój świadomy umysł - wyjaśnił niepewnie Hooten. - Żyje na jawie, w realnym świecie wraz z moją świadomością. Pan i ja, doktorze Rasp, zamieszkujemy tutaj i teraz moją podświadomość. Ten drugi doktor... leczy nas obu.

- Ten drugi doktor nie istnieje - przekazał telepatycznie doktor Rasp raczej w cierpkiej tonacji. Zaraz się zreflektował i ciągnął tonem bardziej już profesjonalnym. - Niech mi pan o nim opowie, panie Hooten. Jaki jest ten psychiatra?

- Brytyjczyk - powiedział Hooten ku zdumieniu doktora Raspa, który nigdy nie słyszał takiej nazwy. - Nie, Szkot. Nie, Scott. Tak, właśnie tak. Psychiatra o nazwisku Scott, który żyje w moim świadomym umyśle. Umówiłem się z nim na wizytę o drugiej po południu, kiedy się obudzę.

Timothy Hooten patrzył przez okno na Empire State Building. Przechodził test skojarzeniowy.

- Dom - powiedział doktor Scott.

- Estywacja - odparł Hooten.

- Seks.

- Jaja.

- Matka.

- Larwa.

- Psychiatra.

- Insekty - powiedział Hooten.  
Doktor Scott zrobił małą przerwę.  
- Larwa - powiedział.  
- Roje chwały - rzucił bez zastanowienia Hooten. - Odwłok.  
- Insekty - powiedział doktor Scott.  
- Jaja.  
- Chwała.  
- Lot godowy - powiedział Hooten raczej rozmarzonym tonem.  
Doktor Scott zrobił notatkę.  
- Insekty - powiedział.  
- Wizyta. Druga rano. Doktor Rasp.  
- A to słowo „człowiek” - powiedział doktor Rasp. Pojawia się ciągle w pańskich myślach. Co ono właściwie oznacza?  
- Nie mam zielonego pojęcia - odparł Hooten wyglądając przez szczelinę świetlikową na Wunkerię Quatt.  
- A z czym się panu kojarzy?  
- Z życiem na jawie - oznajmił Hooten.  
Doktor Rasp potarł prawą zuchwę.  
- Chciałbym przeprowadzić mały eksperyment - powiedział. - Przychodzi pan tutaj od blisko dwunastu przejaśnień i wciąż nie udaje nam się przedrzeć przez blokadę w pańskim umyśle. Pan świadomie mi się opiera.  
- Co ja na to poradzę, skoro śnię, prawda? - zapytał Hooten.  
- O to właśnie chodzi. Czy stara się pan uchylić od odpowiedzialności?  
- Na pewno nie - odparł z godnością Hooten. - Nie uchylam się przed nią, kiedy nie śpię. Ale teraz śpię. Pan nie jest realny. Ja nie jestem realny - a przynajmniej to moje śmieszne ciało. A co do Wunkerii Quatt...!  
- Eksperyment, który zamierzam przeprowadzić - powiedział doktor Rasp - polega na quasi-estymacji. Wie pan, co to takiego?  
- No jasne - powiedział bez namysłu Hooten. - Hip noza.  
- Chyba nie znam tego słowa - przyznał doktor Rasp. - Co ono oznacza?  
- Quasi-estymację. Moja świadomość zasypia, a budzi się podświadomość.  
Doktor Rasp nie uzewnętrznił swojej reakcji na to klarowne wyjaśnienie. - Bardzo dobrze - powiedział wysuwając czułki. - To może spróbujemy? Proszę się odprężyć. Niech pan opuści swobodnie skrzydełka. Otworzy nieco zuchwy. O, tak. - Skrzyżował swoje czułki z czułkami Hootena i utkwiał nieruchome spojrzenie swoich owadzich oczu w oczach Hootena. - Teraz zapada pan w stan estymacji. Znajduje się pan w norce. Jest ciepła i rozkosznie zatęchła. Pan jest skulony i odrętwiały. Jest pan odrętwiały?  
- Tak - przyznał sennie Hooten drogą telepatyczną.  
- Pański umysł jest zablokowany. Coś w pańskim umyśle opiera mi się. Coś uparcie twierdzi, że pan śni. Wkrótce każę się panu obudzić. Posłucha mnie pan?  
- Tak.  
- Czy będzie pan wtedy przekonany, że nie śpi?  
- Nie.  
- Dlaczego nie?  
- Bo pan jest snem - powiedział zaspanym głosem estymujący Hooten.  
- Kto tak twierdzi?  
- Doktor Scott.  
- Nie ma żadnego doktora Scotta - powiedział z wielką stanowczością doktor Rasp. Doktor Scott jest wytworem pańskiej wyobraźni. Doktora Scotta stworzyła pańska podświadomość, żeby się zabezpieczyć. Pan nie chce poznać prawdziwej natury swoich dolegliwości, a więc

stworzył pan sobie drugiego psychiatrę, który mnie zwalcza. Ale w rzeczywistości on nie istnieje. Nie ma takich stworzeń, jak ludzie. Ich świat jest zmyślony. Doktor Scott, to po prostu cenzor pańskich myśli. On nie jest realny. Rozumie pan to?

Czułki Hootena zadygotały.

- T...tak - wymamrotał niezdecydowanie.

- Czy doktor Scott jest postacią realną?

- Ma się rozumieć - powiedział Hooten. - Jestem z nim umówiony na drugą po południu. Ma ze mną przeprowadzić seans narkosyntetyczny. To taki rodzaj estywacji dodał uprzejmie. Nastąpiła chwila przerwy.

Potem doktor Rasp powiedział: - Wróci pan do tego gabinetu o drugiej po południu. Nie pójdzie pan na wizytę do doktora Scotta. Wprowadzę pana jeszcze raz w stan estywacji. Rozumie pan?

- Ale ja... tak.

- Kiedy doliczę do minus jeden, obudzi się pan. Minus dziesięć, minus dziewięć...

Na minus jeden Hooten obudził się. Popatrzył niepewnie na doktora Raspa.

- Co się stało? - zapytał.

- Robimy postępy - powiedział psychiatra. - Sądzę, że najrozsądniej będzie, jeśli możliwie najszybciej przeprowadzimy następny etap kuracji. Przyjdzie pan tutaj, powiedzmy o drugiej po południu.

- O drugiej po południu? - zdziwił się Hooten. - Co za zwariowana pora.

- Mam swoje powody - powiedział doktor Rasp.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Hooten wchodząc do gabinetu doktora Scotta. - Chyba śniłem na jawie, czy coś w tym rodzaju.

- Nic nie szkodzi - powiedział doktor Scott. - Czy jest pan gotowy do poddania się narkosyntezie?

- No, chyba tak - powiedział Hooten. - Ale mam dziwne uczucie.

- Co za uczucie?

- Że zaczynam się budzić.

Doktor Scott wyglądał na zadowolonego.

- No tak, to może zdejmie pan płaszcz i podwinie lewy rękaw. Połóż się pan na kozetce, o tak. Teraz zrobię panu zastrzyk i zacznie pan odczuwać senność. Proszę się po prostu odprężyć. Nic więcej nie musi pan robić.

- Ojoj - stęknął Hooten.

- No i po krzyku - powiedział doktor Scott wyciągając igłę. - Może popatrz pan na coś i powie mi, kiedy zacznie to widzieć jak przez mgłę.

- Dobrze - powiedział posłusznie Hooten i wyjrzał przez okno. - Budynek Empire State... wie pan co, on już teraz nie wygląda jak trzeba. Ma zły kształt. Ani trochę nie przypomina Wunkerii.

- Czego nie przypomina? - spytał doktor Scott.

- Wunkerii. Ze szczeliny świetlikowej doktora Raspa roztacza się piękny widok na...

- Wie pan przecież, że nie istnieje żadna Wunkeria, prawda? - przerwał mu doktor Scott z lekkimi oznakami zniecierpliwienia nie przystojącego lekarzowi. - Doktor Rasp jest wytworem pańskiej podświadomości. Kiedy kładzie się pan spać, ma pan sny, tak jak

wszyscy. Nie ma świata pełnego Wunkerii i Raspów. To wszystko jest tylko formą obrony przede mną, czyż nie?

- Nie - zaprzeczył sennie Hooten.

Doktor Scott westchnął. - Czy mgli się już panu w oczach?

- Nie, ale... zaczynam...

- Co pan zaczyna?

- Budzić się - wymamrotał niewyraźnie Hooten i zamknął oczy. - Witam, doktorze Rasp.

- Nie ma żadnego doktora Raspa - wycedził zniecierpliwionym głosem doktor Scott. - Doktor Rasp jest wytworem wyobraźni.

- A doktor Rasp mówi, że to pan nie istnieje - mruknął Hooten nie otwierając oczu. - Tak, doktorze Rasp. ..

Hooten otworzył owadzie oczy i popatrzył przez szczelinę świetlikową na Wunkerię Quatt. Potrząsnął energicznie głową.

- Co się stało? - spytał doktor Rasp.

- Doktor Scott zrobił mi przed chwilą zastrzyk z pentotalu sodowego - wyjaśnił Hooten.

Psychiatra zanotował coś szybko na chitynowej powłoce skrzydełka. Potem znowu skrzyżował czułki z czułkami Hootena i włączył przepływ energii.

- Doktor Scott to po prostu forma obrony - powiedział z naciskiem. - Nie ma żadnego doktora Scotta. Nie istnieje pentotal sodowy. Zapadnie pan teraz w stan estywacji, słyszy mnie pan? Zaśnie pan głęboko, tak głęboko, że doktor Scott nie potrafi pana dobudzić. Będzie pan słuchał mnie, nie doktora Scotta. Nakazuję panu estywować. Słyszy mnie pan?

- Tak... ale obawiam się, że niewiele to da. Widzi pan, kiedy zapadnę w estywację, obudzę się zaraz w świetle doktora...

- Nie ma żadnego doktora Scotta. Niech pan zapomni o doktorze Scotcie.

- Ale...

- Estywować. Estywować.

- No już dobrze. Teraz jestem... o, witam, doktorze Scott.

Doktor Scott sięgnął po następną strzykawkę i zrobił z niej użytek.

- Proszę się odprężyć - powiedział łagodnie.

- Zaczynam mieć tego dość - stwierdził z rozdrażnieniem Hooten. - Utknąłem dokładnie pośrodku. Coś musi w końcu przeważyć, jeśli będziemy to ciągnąć. Nie wiem co, ale... nie możemy odłożyć tego do jutra i dać doktorowi Raspowi czas na pozбиeranie się?

- Ja jestem pańskim lekarzem - oświadczył doktor Scott. - Nie doktor Rasp. Niech pan przyśle doktora Raspa do mnie, jeśli spróbuje...

- Oj, te czułki - wymamrotał Hooten. - Ja nie mogę... ja...

- Proszę się po prostu odprężyć - powiedział doktor Scott. - Nie ma żadnego doktora Raspa. Hooten opierał się niemrawo. - To nie może dalej trwać - zaprotestował sennym głosem. - Mówię panu, że coś musi przeważyć. Ja... o rany, doktor Rasp każe mi estywować.

- Cicho - warknął doktor Scott zerkając z namysłem na strzykawkę.

- Estywować - powiedział doktor Rasp.

- Uważaj pan! - jęknął dziko Hooten szamocząc się. On znowu chce mi zrobić zastrzyk. Doktor Rasp owinał swe czułki ciasno wokół czułek Hootena i wzmocnił przepływ energii.

- Estywować - powiedział i wiedziony nagłym przeblyskiem geniuszu dorzucił: - Pan też, doktorze Scott. Słyszysz mnie pan? Ma pan zapas w stan estywacji, doktorze Scott. Odprężyć się. Nie szamotać. Znajduje się pan w ciepłej, wygodnej, zapleśniałej norce. Zaczyna pan estywować, doktorze Scott...

- Teraz usiłuje wprowadzić p a n a w stan estywacji powiedział Hooten wijąc się na kozetce. Doktor Scott uśmiechnął się ponuro. Pochylił się i utkwiał w Hootenie nakazujący wzrok.

- Odprężyć się - powiedział. - Do pana mówię, doktorze Rasp. Odprężyć się i spać. Za chwilę zrobię panu następny zastrzyk z pentotalu i zaśnie pan po nim. Słyszysz mnie pan, doktorze Rasp?

- O Boże - stęknął Hooten trzepocząc dosyć gwałtownie powiekami. - Mam wrażenie, że przepływa przeze mnie prąd zmienny. Co się dzieje? Ostrzegam was... lepiej przestańmy, zanim...

Pisnął słabo, gdy doktor Scott przebił mu skórę igłą strzykawkę napełnionej nieszkodliwym i nie wywołującym żadnych efektów roztworem przeznaczonym do stosowania jedynie w celach psychosomatycznych. Hooten znajdował się już na skraju uodpornienia na działanie pentotalu sodowego i powinien już dawno spać snem sprawiedliwego.

- Idź pan spać, doktorze Rasp - zakomenderował doktor Scott stanowczym, poufałym tonem.

- Estywuj, doktorze Scott - rozkazał doktor Rasp.

- Śpij !

- Estywuj.

- Śpij !

- Estywuj !

- Ojoj! - krzyknął Hooten zrywając się na równe nogi z niejasnym przeświadczeniem, że coś w końcu, całkiem zdecydowanie, przeważyło.

Powietrze pośrodku gabinetu doktora Sotta wciąż jeszcze falowało wokół insektopodobnej postaci slaniającej się na sześciu nogach. Czułki doktora Raspa skupiającego swe owadzie, osłupiałe z niedowierzania oczy na rysującej się za oknem sylwetce Empire State Building i absurdalnej, dwunożnej postaci Timothy Hootena, wibrowały tak, że niemal nie było ich widać.

Doktor Scott spowity migotliwymi rozbłyskami zakłóconej czasoprzestrzeni gapił się ogarnięty obłądnym podejrzeniem na wyciągniętą przed nim postać o wszystkich sześciu nóżkach podwiniętych pod siebie w rozkosznym odprężeniu, która patrzyła nań owadzimi oczami. - Halucynacje, ma się rozumieć - mruknął do siebie oszołomiony. - Oczywiście, oczywiście, oczywiście...

Odwrocił głowę, żeby uspokoić się znajomym widokiem własnego gabinetu, i jego wzrok padł na szczelinę świetlikową i na roztaczającą się za nią panoramę. Zaczęły świtać pierwsze przebliski strasznej prawdy. Nigdy dotąd nie widział Wunkerii Quatt.

przekład : Jacek Manicki

Henry Kuttner      Parytet żelaza

Obce rasy nie muszą być nastawione ani przyjaźnie, ani nieprzyjaźnie: mogą pozostać uparcie obojętne - a skutki okażą się znaczące.

- A wypłaty nie będzie jeszcze przez rok... czasu wenusjańskiego - stwierdził Thirkell, z obrzydzeniem nabierając na łyżkę zimnej fasoli.

Rufus Munn, kapitan, zerknął na niego przelotnie znad talerza zupy, którą usiłował oczyścić z karaluchów. - Nie wiem, po co w ogóle musimy toto importować. Rok i cztery tygodnie, Steve. I miesiąc w kosmosie, zanim znowu trafimy na Ziemię.

Pulchna, okrągła twarz Thirkella spoważniała. -A do tego czasu co? Mamy się żywić zimną fasolą?

Munn westchnął i wyjrzał przez otwarty, osłonięty właz statku kosmicznego „Goodwill” na zewnątrz, gdzie we mgle poruszały się niewyraźne postacie. Ale nie odpowiedział. Barton Underhill, supercargo i chłopak na posyłki, który wkręcił się na ten lot dzięki pieniądzom swojego taty, uśmiechnął się skąpo i odparł:

- A czegoś się spodziewał? Nie odważy- Wmy się zużyć paliwa. Mamy akurat tyle! żeby starczyło na do domu. Więc zostaje zimna fasola albo nic.

- Niedługo nie zostanie nic - oświadczył Thirkell ponuro.

- Byliśmy rozrzutni. Marnowaliśmy zapasy na urządzenie bankietów.

- Bankiety! - warknął Munn.- Oddaliśmy całe żarcie Wenusjanom.

- No - mruknął Underhill - oni nas karmili... przez miesiąc.

- Ale przestali. Wprowadzili embargo.

Swoją drogą, co oni mają przeciwko nam?

Munn odepchnął stołek z nagłym postanowieniem. - Tego będziemy musieli się dowiedzieć. Tak nie może dalej być. Po prostu nie mamy dość żywności, żeby wystarczyć na rok. I nie możemy żyć z ziemi... - Przerwał, kiedy ktoś rozpiął zamek błyskawiczny kłapy w osłonie.

Do środka wszedł krępy mężczyzna o czerwonobrazowej twarzy, orlim nosie i wystających kościach policzkowych

- Znalazłeś coś, Czerwonoskóry? - zagadnął Underhill.

Mike Szybujący Orzeł cisnął na stół plastikową torbę. - Sześć grzybów. Wenusjanie na pewno stosują metody hydroponiczne. Muszą. Na takiej gąbczastej glebie rosną same grzyby, a większość z nich jest trująca. Nic z tego, kapitanie.

Munn zacisnął usta. - No tak. Gdzie jest Bronson?

- Poszedł na żebry. Ale nie dostanie ani fala - Nawajo kiwnął głową w stronę włazu. - O, już idzie.

Po chwili usłyszeli powolne kroki Bronsona. Inżynier wszedł do środka z twarzą równie czerwoną, jak jego włosy.

- Nie pytajcie o nic - burknął. - Niech nikt się do mnie nie odzywa. Żeby Irlandczyk musiał żebrać o parszywe kilka falów u jakiegoś zielonego stwora z żelaznym kółkiem w nosie, jak dzikus z Ubangi. Nigdy się nie otrząsnę ze wstydu.

- Serdecznie ci współczuję - powiedział Thirkell. - Ale przyniosłeś chociaż parę falów?

Bronson zmierzył go spojrzeniem.

- Miałem wziąć od niego te brudne pieniądze, nawet gdyby mi je dawał? - wrzasnął z oczami nabiegłymi krwią.

- Słowo daję, wolałbym je rzucić w tę oślizłą gębę. Ja miałbym brać ich śmierdzące pieniądze? Dajcie mi trochę fasoli. Chwycił talerz i z ponurą miną zaczął jeść.

Thirkell wymienił spojrzenia z Underhillem. - Nie dostał pieniędzy - stwierdził ten ostatni.

Bronson zachnął się i parsknął. - Zapytał mnie, czy należę do Gildii Żebraczej! Na tej planecie nawet włóczędzy muszą wstępować do związków zawodowych!

Kapitan Munn w zamyśleniu zmarszczył brwi. - Nie, to nie są związki, Bronson, nie przypominają nawet średniowiecznych gildii kupieckich. Tarkomary są o wiele potężniejsze i mają o wiele większą swobodę działania. Związki zawodowe wyrosły na określonej bazie społeczno-ekonomicznej i realizują określony cel - system kontroli i utrzymania równowagi, który wciąż się rozwija. Nie mówię o związkach; na Ziemi niektóre są w porządku - jak Transport Lotniczy - a niektóre skorumpowane, jak Podmorskie Połowy. Tarkomary są inne. Nie wypełniają żadnych konkretnych zadań. Po prostu utrzymują w zastoju wenusjański system gospodarczy.

- Tak - dorzucił Thirkell - i dopóki nie zostaniemy członkami, nie wolno nam pracować... w żadnym zawodzie. I nie możemy do nich wstąpić, dopóki nie zapłacimy wpisowego... tysiąc sofalów.

- Powoli z tą fasolą - ostrzegł Underhill. - Zostało tylko dziesięć puszek.

Zapadło milczenie. W końcu Munn puścił w obieg paczkę papierosów.

- Musimy coś zrobić, to oczywiste - powiedział. - Tylko od Wenusjan możemy dostać żywność, a oni nic nam nie dadzą. Jedną rzecz przemawia na naszą korzyść: ich prawa są tak arbitralne, że nie mogą nam odmówić sprzedaży żywności... odrzucenie legalnej oferty jest nielegalne.

Mike Szybujący Orzeł posępnie sortował swoje sześć grzybów.

- Owszem. Jeżeli będziemy mogli złożyć legalną ofertę. Jesteśmy bankrutami...

wenusjańskimi bankrutami... i niedługo zaczniemy przymierać głodem. Jeśli ktoś potrafi znaleźć na to odpowiedź...

Było to w 2044 roku, trzy lata po pierwszej zakończonej sukcesem wyprawie na Marsa, wiele lat od lądowania na Księżycu. Księżyc był oczywiście niezamieszkały z wyjątkiem pewnych żywych, lecz nie posiadających inteligencji alg. Żwawi, szerokopierśni Marsjanie ze swoim przyspieszonym metabolizmem i dziwacznymi, błyskotliwymi umysłami okazali się nastawieni przyjaźnie i pewne było, że pomiędzy cywilizacjami Marsa i Ziemi nie będzie żadnych tarć. Co do Wenus, wcześniej nie wylądował tu żaden statek.

„Goodwill” był ambasadorem. Był to eksperyment, podobnie jak wcześniejsza wyprawa na Marsa, ponieważ nikt nie wiedział, czy na Wenus istnieje inteligentne życie. Na pokładzie zmagazynowano zapasy wystarczające na ponad rok, koncentraty, plastikowe pojemniki, odwodnioną, witaminizowaną żywność, ale każdy członek załogi w głębi duszy był przekonany, że na Wenus znajdą mnóstwo jedzenia.

Żywność była, owszem. Wenusjanie hodowali ją w hydroponicznych zbiornikach pod miastami. Na powierzchni planety nie rosło nic nadającego się do jedzenia. Zwierząt i ptaków żyło tu niewiele, więc polowanie było niemożliwe, nawet gdyby Ziemianom pozwolono zatrzymać broń. A na początku przypominało to jedno wielkie święto po męczącej podróży w kosmosie - całoroczny festyn i karnawał w obcym, fascynującym świecie.

Obcy świat. bez wątplenia. Wenusjanie okazali się konserwatywni. Co było dobre dla ich odległych przodków, było dobre również dla nich. Wydawało się, że nie chcieli żadnych zmian. Obecny system działał dobrze od stuleci; po co go teraz zmieniać?

Ziemianie oznaczali zmiany - to było oczywiste.

Rezultat: bojkot Ziemian.

Zastosowano bierny opór. W pierwszym miesiącu Ziemianie nie napotkali żadnych trudności: kapitanowi Munnowi wręczono klucze do bram stolicy, Vyring, na której peryferiach stał obecnie „Goodwill”, a Wenusjanie hojnie zaopatrywali ich w żywność - dziwne, lecz w smakowite potrawy z hydroponicznych ogrodów. W zamian Ziemianie rozrzutnie obdarowywali ich własnym jedzeniem, niebezpiecznie uszczuplając własne zapasy.

A wenusjańska żywność szybko się psuta. Nie próbowano jej zabezpieczyć, ponieważ hydroponiczne zbiorniki stanowiły pewne, niewyczerpalne źródło dostaw. W końcu Ziemianom został tylko niewielki zapas własnej żywności, wystarczający zaledwie na kilka tygodni, oraz ogromny stos odpadków, w które po paru dniach zamieniły się soczyste, apetyczne potrawy.

Wówczas Wenusjanie przestali przynosić swoje łatwo się psujące owoce, jarzyny oraz mięsne grzyby i przykręcili śrubę. Przyjęcie się skończyło. Nie mieli zamiaru krzywdzić Ziemian; nadal troskliwie okazywali im życzliwość. Ale odtąd ich hasło brzmiało: Zapłata Przy Dostawie - i nie udzielano kredytu. Wielki mięsny grzyb, wystarczający dla czterech głodnych mężczyzn, kosztował dziesięć falów.

Ponieważ Ziemianie nie mieli falów, nie dostawali mięsnych grzybów - ani niczego innego. Na początku Ziemianie nie potraktowali tego poważnie. Dopóki nie poszli po rozum do głowy i nie zaczęli się zastanawiać, w jaki sposób właściwie mają zdobyć jedzenie. Nie było sposobu.

Siedzieli więc tak na statku jedząc zimną fasolę i wyglądając jak pięciu z Siedmiu Krasnoludków, piątka niskich, krępych, silnych mężczyzn, grubokościstych i muskularnych, dobranych specjalnie ze względu na budowę fizyczną, żeby mogli wytrzymać trudy kosmicznej podróży - a ich mózgi, również specjalnie dobierane, nie mogły im w niczym pomóc.

Problem był prosty - prosty i prymitywny. Oni - przedstawiciele potężnej cywilizacji Ziemi - byli głodni. Wkrótce głód jeszcze bardziej da im się we znaki.

I nie posiadali ani fala - nic prócz bezwartościowego złota, srebra i papierowych banknotów. Na statku był metal, ale brakowało potrzebnego im czystego metalu, mieli tylko stopy, których nie mogli niszczyć.

Podstawą systemu monetarnego Wenus było żelazo.

...Musi być jakieś rozwiązanie - mówił Munn z uporem. Jego surowa, pobrużdżona twarz spochmurniała. Gniewnym gestem odsunął talerz. - Idę jeszcze raz porozmawiać z Radą.

- Co to pomoże? - chciał wiedzieć Thirkell. - Jesteśmy w kropce, nie mamy wyjścia. Tylko pieniądze do nich przemawiają.

- Wszystko jedno. Idę pogadać z Jorust - warknął kapitan.

- Ona nie jest głupia.

- Właśnie - odparł Thirkell znacząco.

Munn popatrzył na niego, kiwnął na Mike'a Szybującego Orła i ruszył do wyjścia. Underhill zerwał się na nogi.

- Mogę iść z wami?

Bronson bez apetytu grzebał w swojej porcji fasoli. - Po co chcesz iść? Nie będziesz mógł nawet zagrać na automatach w jakiejś knajpie w Vyring... jeśli oni mają automaty. Może myślisz, że kiedy im powiesz, że twój stary jest królem Zjednoczonych Kopalni, złamią się i wydadzą nam bony na posiłki?

Ale mówił dość przyjaznym tonem, więc Underhill tylko się uśmiechnął. Kapitan Munn powiedział: - No to chodź, jak chcesz, ale się pospiesz. - Trzej mężczyźni zanurzyli się w gęstą mgłę i poczłapali przez grząskie, lepkie błoto.

Upał był do wytrzymania; silne wiatry Wenus powodowały szybkie parowanie - naturalna klimatyzacja, dzięki której nie czuło się wilgoci. Munn sprawdził kompas. Przedmieścia Vyring znajdowały się w odległości pół mili, ale mgła była jak zwykle gęsta jak grochówka. Na Wenus zawsze panuje pogoda uniemożliwiająca loty. Trójka mężczyzn w milczeniu brnęła przed siebie.

- Myślałem, że Indianie potrafią wyżyć z ziemi - zauważył w końcu Underhill pod adresem Nawaja. Mike Szybujący Orzeł popatrzył na niego kpiąco.

- Nie jestem wenusjańskim Indianinem - wyjaśnił. - Mógłbym zrobić łuk i strzały i upolować jakiegoś Wenusjanina... ale to nie pomoże, chyba że będzie miał dużo sofalów w portfelu.

- Moglibyśmy go zjeść - burknął Underhill. - Ciekawe, jak smakuje pieczony Wenusjanin?

- Spróbuj, to będziesz mógł napisać bestseller, kiedy wrócisz do domu - rzucił

Munn. - Jeżeli wrócisz do domu. W Vyring mają policję, kolego.

- Och, już dobrze - mruknął Underhill i na tym zakończył temat. - Przed nami śluza. Chryste, czuję zapach czyjegoś obiadu!

- Ja też - jęknął Nawajo - ale miałem nadzieję, że nikt o tym nie wspomni. Zamknij się i maszeruj dalej.

Mur otaczający Vyring spełniał rolę grobli, a nie umocnień obronnych. Wenus była nie tylko cywilizowana, ale również zjednoczona; najwyraźniej nie istniały tu ani wojny, ani bariery celne - co w naturalny sposób sprzyjało powstaniu światowego państwa. Samoloty transportowe hałasowały im nad głowami, kiedy przemykali się dołem, niewidoczni we mgle. Mgła okrywała ulice, tylko od czasu do czasu jakiś silniejszy podmuch rozdzierał ją na

strzępy. W osłoniętym od wiatru Vyring panowało nieprzyjemne gorąco z wyjątkiem zamkniętych pomieszczeń, gdzie można było włączyć klimatyzację.

Underhillowi przypomniawszy się Wenecja: ulice były kanałami. Lodzie najrozmaitszych kształtów i rozmiarów wyprzedzały ich, dryfowały lub przemykały obok. Nawet żebracy nie chodzili piechotą. Wzdłuż kanałów bieging nierówne, błotniste ścieżki, ale nie korzystał z nich nikt, kto miał choćby jednego fala przy duszy.

Ziemianie szli na piechotę, przeklinając z całego serca, kiedy stopy z chlupotem grzęzły im w mule. Większość mieszkańców nie zwracała na nich uwagi.

Do nabrzeża zbliżyła się wodna taksówka, a jej pilot, noszący błękitną odznakę swego tarkomaru, pomachał do nich.

- Może was podwieźć? - zapytał.

Underhill pokazał mu srebrnego dolara

-Jeśli to przyjmiesz, czemu nie. - Wszyscy Ziemianie szybko opanowali wenusjański język; byli znakomitymi lingwistami, co obok innych międzyplanetarnych umiejętności stanowiło jeden z powodów, dla których zostali wybrani. Fonetyczny język wenusjański bynajmniej nie był trudny. -Nie sprawiło im również najmniejszej trudności zrozumienie odmownego „nie” pilota taksówki.

- Zagrajmy w orła i reszkę - zaproponował Underhill bez większej nadziei.

- Podwójna stawka albo nic.

Ale Wenusjanie nie uprawiali hazardu.

- Podwójne co? - spytał pilot. - Ta moneta? Ona jest srebrna. - Pokazał im srebrny, rokokowy filigran na dziobie swojej łodzi. - Śmieć!

- To byłoby wspaniałe miejsce dla Benjamina Franklina - zauważył Mike Szybujący Orzeł. - On miał sztuczne zęby z żelaza, no nie?

- Jeśli to prawda, facet nosił w gębie wenusjańską fortunę - stwierdził Underhill.

- Nie całkiem.

- Jeśli mógł za nią kupić porządny obiad, to była fortuna - upierał się Underhill.

Pilot, popatrzawszy z pogardą na Ziemian, odplłynął szukać zamożniejszych pasażerów.

Munn, wytrwale brnący przez pokłady błota, otarł pot z czoła. Wspaniałe miejsce ten Vyring, pomyślał. Wspaniałe miejsce, żeby umrzeć z głodu.

Po pół godzinie ciężkiego marszu Munn poczuł, że zaczyna w nim narastać tępa złość. Jeśli Jorust odmówi zobaczenia się z nim, pomyślał, będzie draka, mimo że Wenusjanie odebrali im broń. Czuł, że mógłby rozedrzeć Vyring na strzępy samymi zębami. I pożreć wszystkie jadalne części.

Na szczęście Jorust okazała się przystępna. Ziemianie zostali wprowadzeni do jej gabinetu, dużego, luksusowego pokoju, położonego wysoko ponad miastem. Przez otwarte okna napływał chłodny powiew. Jorust krążyła po pokoju w wielkim fotelu, wyposażonym w koła i jakiś rodzaj silnika. Wzdłuż ścian biegła nachylona ukośnie półka, przypominająca blat biurka i prawdopodobnie służąca tym samym celom. Umieszczona była na wysokości ramion, ale fotel Jorust podnosił ją do odpowiedniego poziomu. Ona pewnie zaczyna rano od jednego kąta, pomyślał Munn, i przez cały dzień pracy stopniowo objeżdża pokój dookoła. Jorust była szczupłą, siwowłosą Wenusjanką o skórze przypominającej fakturę dobrze wyprawiony

szagryn i czujnym spojrzeniu czarnych oczu, które teraz wyrażało ostrożność. Zeszła z fotela, gestem zaprosiła mężczyzn do zajęcia miejsc i sama również usiadła. Zapaliła fajkę wyglądającą jak za duża cygarniczka, wepchnąwszy do niej wałeczek sprasowanego żółtego ziela. Z fajki wzbił się aromatyczny dym. Underhill pożądliwie pociągnął nosem.

- Obyście byli godni swych ojców - powiedziała uprzejmie Jorust, wyciągając w geście powitania sześciopalczystą dłoń. - Co was sprowadza? - Głód - przyznał otwarcie Munn. -

Myślę, że już czas zagrać w otwarte karty.

Jorust obserwowała go z nieprzeniknioną miną. - A więc?

- Nie lubimy, jak się nami pomiata.

- Czy wyrządziliśmy wam krzywdę? - zapytała przewodnicząca Rady.

Munn popatrzył na nią. - Wyłóżmy karty na stół. Wywieracie na nas nacisk. Jesteś tu grubą rybą, więc albo to twoja robota, albo o tym wiesz. Co ty na to?

- Nie - powiedziała Jorust po chwili milczenia. - Nie, nie mam aż takiej władzy, jak wydajecie się sądzić. Jestem jednym z administratorów. Ja nie ustanawiam praw, ja tylko pilnuję, żeby ich przestrzegano. Nie jesteśmy wrogami.

- Może dojdzie do tego - oświadczył Munn posepnie. - Jeśli z Ziemi przyleci następna ekspedycja i znajdzie nas martwych...

- Nie zabijemy was. To wbrew naszej tradycji.

- Ale możecie zagłodzić nas na śmierć.

Oczy Jorust zwięzły się. - Kupcie sobie żywność. Każdy ma do tego prawo, bez względu na pochodzenie.

- A czego użyjemy zamiast pieniędzy? - zapytał Munn. - Wy nie przyjmujecie naszej waluty, a my nie mamy waszej.

- Wasze pieniądze są bezwartościowe - wyjaśniła Jorust. - Mamy złoto i srebro z kopalni... u nas są powszechnie spotykane. Za jednego difala, czyli dwadzieścia falów, można kupić mnóstwo jedzenia. Za sofala można kupić nawet więcej.

Miała oczywiście rację i Munn o tym wiedział. Jeden sofal wart był tysiąc siedemset dwadzieścia osiem Palów.

Właśnie!

- A jak według ciebie mamy zdobyć trochę waszych żelaznych pieniędzy? - warknął.

- Zpracujcie na nie, tak jak my. Fakt, że pochodzicie z innej planety, nie zwalnia was z obowiązku tworzenia poprzez pracę.

- W porządku - zgodził się Munn - chcemy pracować. Daj nam jakieś zajęcie.

- Jakie?

- Poglębianie kanałów! Cokolwiek!

- Czy należycie do tarkomaru pogłębiaczy kanałów?

- Nie - przyznał Munn. - Jak mogłem zapomnieć, żeby się zapisać?

Jorust zignorowała jego sarkazm. - Musicie się zapisać. Tutaj wszystkie rzemiosła mają swoje tarkomary.

- Pożycz mi tysiąc sofalów, to się do któregoś zapiszę.

- Próbowałeś już tego wcześniej - zwróciła mu uwagę Jorust. - Nasi lichwiarze donieśli, że ofiarowany przez was zastaw był bezwartościowy.

- Bezwartościowy? Chcesz powiedzieć, że nie mamy na statku nic, co byłoby dla waszej rasy warte tysiąc sofalów? Przypieracie nas do muru i ty o tym wiesz. Sam nasz oczyszczacz wody jest dla was wart sześć razy więcej.

Jorust wydawała się urażona. - Od tysiąca lat oczyszczamy wodę filtrem z węgla drzewnego. Gdybyśmy teraz zmienili metodę, nazwalibyśmy naszych przodków głupcami. Oni nie byli głupcami: byli mądrzy i wielcy.

- No a postęp?

- Nie widzę potrzeby postępu - odparła Jorust. - Nasza cywilizacja jest doskonała w swojej obecnej postaci. Nawet żebracy nie cierpią głodu. Na Wenus nie ma nieszczęśliwych ludzi. Metody naszych przodków są sprawdzone i działają dobrze. Więc po co je zmieniać?

- Ale...

- Zmieniając status quo naruszylibyśmy tylko równowagę - oświadczyła stanowczo Jorust i wstała. - Obyście byli godni pamięci swych ojców.

- Posłuchaj... - zaczął Munn. Ale Jorust siedziała już w swoim fotelu i nie zwracała na niego uwagi.

Trzej Ziemianie wymienili spojrzenia, wzruszyli ramionami i wyszli. Odpowiedź była zdecydowanie odmowna.

- I to jest właśnie to - stwierdził Munn, kiedy zjeżdżali na dół windą, - Jorust planuje zagłodzić nas na śmierć. Słowo się rzekło.

Underhill nie chciał się z nim zgodzić. - Ona ma rację. Jak sama mówi, jest tylko administratorką. To tarkomary stanowią tutejszą grupę nacisku. Tworzą potężny blok.

- Wiem, one rządzą planetą - skrzywił się Munn. - Trudno zrozumieć psychikę tych ludzi. Wydają się przeciwni wszelkim zmianom. My reprezentujemy zmiany, więc postanowili zwyczajnie nas zignorować.

- Nie uda im się - oświadczył Underhill. - Nawet jeśli umrzemy z głodu, po nas przylecą inne statki z Ziemi.

- Zastosują do nich tę samą sztuczkę.

- Zagłodzą ich? Ale...

- Bierny opór. Nie ma prawa nakazującego Wenusjanom gościć Ziemian. Mogą po prostu przyjąć politykę zamkniętych drzwi, a my nic na to nie poradzimy. Na Wenus nie było transparentu z napisem: „Witamy”.

Mike Szybujący Orzeł przerwał długie milczenie, kiedy znaleźli się na nadbrzeżu kanału. - Ich psychologia to rodzaj kultu przodków. Może przeniesiony egoizm... jakiś rasowy kompleks niższości.

Munn potrząsnął głową. - Trochę za szybko wyciągasz wnioski.

- Dobra, może i tak. Ale to się sprowadza do kultu przeszłości. I strachu. Ich obecny system społeczny istnieje od wieków. Nie chcą go zakłócić. To logiczne. Jeśli masz maszynę, która funkcjonuje doskonale i wypełnia wszystkie wyznaczone zadania, czy chciałbyś ją ulepszyć?

- Czemu nie? - odparł Munn, - Jasne, że chciałbym.

- Po co?

- No... żeby zaoszczędzić czasu. Jeśli nowe urządzenie podwoi wydajność maszyny, chciałbym je mieć.

Nawajo zamyślił się. - Załóżmy, że to będą ... powiedzmy... lodówki. Usprawnienie wywoła określone następstwa. Będzie potrzeba mniej pracy, co naruszy strukturę ekonomiczną.

- Minimalnie.

- W tym przypadku. Ale zmiana nastąpi również z punktu widzenia konsumenta. Więcej ludzi będzie miało lodówki. Więcej ludzi będzie robiło domowe lody. Sprzedaż lodów się zmniejszy... sprzedaż detaliczna. Hurtownicy będą kupować mniej mleka. Farmerzy będą...

- Wiem - przerwał Munn. - Wystarczy przerwać jedno ogniwo i cały-łańcuch pęka. Mówisz o mikroskopijnych zmianach. Nawet jeśli masz rację, istnieją jeszcze naturalne mechanizmy regulujące.

- Eksperymentalna, rozwijająca się cywilizacja gotowa jest zaakceptować takie mechanizmy - powiedział Mike Szybujący Orzeł.

- Wenusjanie są ultrakonserwatywni. Uważają, że nie potrzebują się już rozwijać ani zmieniać. Ich system działa od stuleci. Jest idealnie zintegrowany. Każda interwencja może im pomieszać szyki. Tarkomary mają władzę i nie zamierzają jej nikomu oddać.

- Więc umrzemy z głodu - podsumował Underhill.

Indianin wyszczerzył do niego zęby.

- Na to wygląda. Chyba, że wymyślimy jakiś sposób, żeby zarobić trochę forsy.

- Powinniśmy coś wymyślić - oświadczył Munn. - Przecież wybrano nas między innymi ze względu na iloraz inteligencji.

- Nasze umiejętności nie na wiele się przydadzą - zauważył Mike Szybujący Orzeł, kopnięciem strącając kamyk do kanału. - Ty jesteś fizykiem. Ja jestem przyrodnikiem. Bronson jest inżynierem, a Steve Thirkell konowałem. Ty, mój młody, bezużyteczny przyjacielu, jesteś synem bogatego człowieka. Underhill uśmiechnął się z zakłopotaniem. - No, tata ciężko się napracował, żeby do czegoś dojść. Umiał robić pieniądze. Tego nam teraz trzeba, no nie?

- Jak on się wzbogacił?

- Na giełdzie.

- To zawsze pomaga - stwierdził Munn. - Uważam, że najlepszym rozwiązaniem będzie znaleźć coś, czego Wenusjanie naprawdę potrzebują, a potem im to sprzedać.

- Gdybyśmy mogli wysłać przez radio wiadomość na Ziemię... - zaczął Underhill.

- ... to nie musielibyśmy się o nic martwić - dokończył Nawajo. - Na nieszczęście Wenus ma warstwę Heaviside'a, więc nie możemy wysłać wiadomości przez radio. Lepiej rusz głową i spróbuj coś wymyślić, kapitanie. Ale czy Wenusjanie potem zechcą to kupić - nie mam pojęcia.

Munn zadumał się głęboko. - Status quo nie może się utrzymać bez końca. To nieracjonalne, jak zawsze mawiał mój dziadek, mając na myśli praktycznie wszystko. Wszędzie są wynalazcy. Nowe metody... struktura społeczna musi je zasymilować. Spróbuję wykonypować jakiś przyrządek. Powinno mi się udać.

Nawet dobry środek konserwujący żywność powinien załatwić sprawę.

- Nie przy tych hydroponicznych ogrodach, które tyle wytwarzają.

- Hmm. Ulepszona pułapka na myszy... coś bezużytecznego, ale za to intrygującego.

Jednoręki bandyta...

- Wydali prawo zakazujące hazardu.

- No to zaproponuj coś.

- Zdaje się, że Wenusjanie niewiele wiedzą o genetyce. Gdybym wyprodukował jakies niezwykle jedzenie drogą krzyżowania roślin... co?

- Może - odparł Munn. - Może.

Okrągła twarz Steve'a Thirkella zajrzała przez luk. Pozostali członkowie wyprawy siedzieli przy stole gryzmołując coś na blokach papieru i popijając słabą kawę.

- Mam pomysł - oznajmił Thirkell.

Munn jęknął. - Już ja znam te twoje pomysły. Co znowu wymyśliłeś?

- To bardzo-proste. Na Wenus wybuchnie epidemia, a ja wynajdę antywirusa, który ocali Wenusjan. Będą mi wdzięczni...

- ...i ożenisz się z Jorust, po czym będziesz rządził całą planetą - dokończył Munn. - Ha!

- Nie całkiem - ciągnął niewzruszony Thirkell. - Jeśli nie będą wdzięczni, wstrzymamy dostawę antytoksyny, dopóki nam nie zapłacą.

- Jedynym słabym punktem twojego genialnego rozwiązania jest to, że Wenusjanie nie chorują na żadną zarazę - zauważył Mike Szybujący Orzeł. - Poza tym pomysł jest doskonały. Thirkell westchnął. - Obawiałem się, że o tym wspomnisz. Może trochę odejdziemy od etyki... no wiesz, tylko troszeczkę... i wywołamy jakąś epidemię. Tyfus czy coś podobnego.

- Co za facet! - powiedział Nawajo z podziwem. - Byłby z ciebie pierwszorzędny morderca, Steve.

- Sam często tak myślałem. Ale nie zamierzałem posuwać się aż do morderstwa. Jakaś bolesna, niemożliwa do wyleczenia choroba...

- Na przykład co?

- Dyfteryt? - zaproponował z nadzieją zbrodniczy lekarz.

- Ładna perspektywa - mruknął Mike Szybujący Orzeł. - Gadasz jak jakiś Apacz.

- Dyfteryt, trąd, beri-beri, dżuma - rzucił gwałtownie Pat Bronson. - Głosuję na wszystkie. Dajmy tym paskudnym małym żabom posmakować naszej medycyny. Dajmy im w kość.

- Załóżmy, że pozwolimy ci wywołać małą epidemię... taką, która w żadnym przypadku nie okaże się śmiertelna... jak się do tego zabierzesz?

- Zatruję wodociągi albo... co?

- Czym?

Na twarzy Thirkella nagle odmalował się bolesny zawód. - Och! Och!

Munn przytaknął. - „Goodwill” nie ma na składzie takich rzeczy. Jesteśmy pozbawieni zarazków. Antyseptyczni z zewnątrz i od środka. Już zapomnieliś, jakie zabiegi nam robili przed odlotem?

Bronson zaklął. - Nigdy tego nie zapomnę. Co godzina zastrzyk! Antytoksyny, nakłócia, naświetlania ultrafioletem, aż mnie wszystkie kości bolały.

- Właśnie- potwierdził Munn. - Praktycznie jesteśmy pozbawieni zarazków. Musieli podjąć takie środki ostrożności, żeby nie dopuścić do wywołania epidemii na Wenus.

- Ale my chcemy wywołać epidemię - żałośnie zaprotestował Thirkell.

- Nie mógłbyś nawet zarazić Wenusjan katarem - poinformował go Munn.

- Więc po sprawie. A wenusjańskie środki znieczulające? Czy są tak dobre jak nasze?

- Lepsze - przyznał lekarz. - Co nie znaczy, że ich potrzebują, chyba że dla dzieci. Mają dziwne reakcje nerwowe. Po mistrzowsku opanowali autohipnozę, więc w razie potrzeby potrafią opanować doznanie bólu.

- Sulfamidy?

- Myślałem o tym. Też je mają.

- Co do mnie - wtrącił Bronson - myślałem o elektrowni wodnej. Za każdym razem, kiedy pada, mają tu powódź.

- Jest dobry system odwadniający - przypomniał Munn. - Kanały załatwiają sprawę.

- Daj mi skończyć! Te rybioskóre takie-owakie wykorzystują energię wodną, ale mało wydajnie. Mają tu tyle wartkich rzek, że pobudowali elektrownie w najlepszych miejscach... tysiące hydroelektrowni, a połowa z nich nie działa, kiedy opady skupiają się w innym regionie. Przez połowę czasu elektrownie są bezużyteczne. To kosztuje. Gdyby zbudowali tamy, mieliby stały dopływ wody przy mniejszych kosztach ogólnych.

- To jest myśl - zgodził się Munn.

Mike Szybujący Orzeł zabrał głos: -Ja zajmę się krzyżowaniem roślin w hydroponicznych ogrodach. Mogę ulepszyć smak mięsnych grzybów dodając na przykład smak sosu Worcestershire. Wiecie, apelując do podniebienia...

- Całkiem nieźle. Steve?

Thirkell zmierzył dłonią włosy. - Pomyślę nad tym. Nie poganiajcie mnie.

Munn spojrział na Underhilla. - Miałeś jakieś przebłyśki inteligencji, kolego?

Młodzieniec skrzywił się. -Jeszcze nie. Nie mogę nic wymyślić oprócz spekulowania na giełdzie.

- Bez pieniędzy?

- W tym problem.

Munn przytaknął. - No, a ja pomyślałem o reklamie. Jestem fizykiem, więc to moja działka.

- Jak to? - zaniepokoił się Bronson.- chcesz zademonstrować rozbijanie atomów? Odgrywać silnego człowieka?

- Lepiej siedź cicho. Na Wenus nie znają reklamy, chociaż mają handel. To dziwne. Sprzedaż detaliczna powinna natychmiast podskoczyć.

- Mają reklamówki radiowe.

- Stylizowane i zrutynizowane. Dzięki telewizji możemy ich zalać potopem reklamy.

Przyciągające wzrok... tak. Sprytnie urządzenia pokazywane w trakcie działania. Czemu nie?

- Chyba zbuduję Rentgen - oświadczył nagle Thirkell - jeśli mi pomożesz, kapitanie.

Munn powiedział, że oczywiście. -Mamy wyposażenie i plany. Jutro zaczynamy. Zrobiło się dość późno.

Rzeczywiście było, późno, chociaż na Wenus nie było zachodów słońca. Piątka mężczyzn poszła spać, aby śnić o obfitych obiadach - wszyscy oprócz Thirkella, któremu śniło się, że zajada pieczonego kurczaka. Nagle kurczak zmienił się w Wenusjanina i zaczął pożerać Thirkella poczynając od stóp. Lekarz obudził się zły potem, klnąc zażył tabletkę nembutalu i wreszcie zasnął ponownie.

Następnego ranka wszyscy rozeszli się do swoich spraw. Mike Szybujący Orzeł zabrał mikroskop i inne przyrządy, poszedł do najbliższego ośrodka hydroponicznego i wziął się do roboty. Nie pozwolono mu przenieść zarodków na „Goodwill”, ale nikt mu nie bronił przeprowadzania eksperymentów na miejscu w Vyring. Wyprodukował kultury, zastosował zestawy witamin przyspieszających wzrost i z nadzieją oczekiwał na rezultaty.

Pat Bronson spotkał się ze Skotterym, naczelnikiem Wydziału Energii Wodnej. Skottery był wysokim, małomównym Wenusjaninem, który świetnie znał się na zagadnieniach technicznych i nalegał, żeby Bronson obejrzał modele w jego biurze, zanim usiedli na rozmowę.

- Ile macie elektrowni? -zapytał Bronson.

- Dwanaście razy cztery tuziny do trzeciej potęgi. Czterdzieści dwa tuziny w tym okręgu.

Razem prawie milion, obliczył Bronson. - Ile obecnie działa? - pytał dalej.

- Jakież siedemnaście tuzinów.

- Czyli trzysta stoi... to znaczy dwadzieścia pięć tuzinów. Czy koszty eksploatacji się nie liczą?

- Jak najbardziej - przyznał Skottery.  
- Niezależnie od faktu, że niektóre z tych siłowni obecnie w ogóle nie dają się uruchomić. Rzeźba terenu szybko się zmienia. No wiesz, erozja. Budujemy elektrownię przy ujściu wąwozu, a w następnym roku rzeka zmienia koryto. Budujemy około tuzina dziennie. Ale oczywiście sporo odzyskujemy ze starych elektrowni.  
Bronson doznał olśnienia. - Nie ma działów wodnych?  
- Ze co?  
Ziemianin wyjaśnił. Skottery potrząsnął rękami w geście zaprzeczenia.  
- Mamy odmienny typ wegetacji. Wody jest tyle, że rośliny nie muszą głęboko zapuszczać korzeni.  
- Ale potrzebują gleby?  
- Nie. Składniki, których potrzebują, pobierają z wody.  
Bronson opisał zalety działów wodnych. - Założmy, że importujecie ziemskie drzewa i rośliny i zalesiacie góry. Budujecie też tamy, żeby spiętrzyć wodę. Będziecie mieli energię przez cały czas i będziecie potrzebować tylko kilku dużych elektrowni, które będą działać bez przerwy.  
Skottery przemyślał to. - Mamy tyle energii, ile potrzebujemy.  
- Ale popatrz na koszty!  
- Pokrywane są z podatków.  
- Mógłbyś zarobić więcej pieniędzy...więcej dyfaliów i sofaliów...  
- Od trzystu lat osiągamy dokładnie takie same zyski - wyjaśnił Skottery.  
- Dochód netto jest stały. Wszystko działa doskonale. Widzę, że nie rozumiesz naszego systemu ekonomicznego. Skoro mamy wszystko, czego potrzebujemy, nie ma sensu zarabiać więcej pieniędzy... ani fala.  
- Wasi konkurenci...  
- Mamy tylko trzech i też są zadowoleni ze swoich zysków.  
- Przypuśćmy, że zainteresuję ich moim planem?  
- Nie potrafiłbyś - tłumaczył cierpliwie Skottery. - Oni nie będą bardziej zainteresowanie ode mnie. Cieszę się, że wpadłeś. Obyś był godny pamięci swego ojca.  
- Ty bezmózga rybo! -wrzasnął Bronson tracąc panowanie nad sobą. - Czy nie masz w tym swoim zielonym cielsku ani kropli czerwonej krwi? Czy nikt na tej planecie nie wie, co znaczy walka? - Uderzył zaciśniętą pięścią w dłoń. - Nie będę godny pamięci starego Seumasa Bronsona, jeżeli cię zaraz nie walnę w tę paskudną gębę...  
Skottery nacisnął guzik. Pojawili się dwaj ogromni Wenusjanie. Naczelnik Wydziału Energii Wodnej wskazał im Bronsona.  
- Zabierzcie to - powiedział.

Kapitan Rufus Munn wraz z Bartem Underhillem odwiedzili jedno ze studiów telewizyjnych. Siedzieli obok Hakkapuya, właściciela Veetsy - co w wolnym przekładzie oznaczało Mokre Dzwoneczki: Oglądali telewizyjną reklamówkę jednego z produktów Hakkapuya. Na ekranie telewizora, umieszczonym wysoko na ścianie, pojawił się Wenusjanin. Stał na szeroko rozstawionych nogach i wziął się pod boki. Uniósł jedną dłoń, rozczapierzył sześć palców.

- Wszyscy piją wodę. Woda jest dobra. Woda jest potrzebna do życia. Veetsy też jest dobra. Za cztery fale kupisz gałkę Veetsy. To wszystko.

Zniknął. Przez ekran przemknęły kolory, rozbrzmiała muzyka utrzymana w oryginalnym rytmie. Munn odwrócił się do Hakkapuya.

- To żadna reklama. W ten sposób nie zdobędziecie klientów.

- No cóż, taka jest tradycja - odpar bez przekonania Hakkapuya.

Munn otworzył paczkę spoczywającą u jego stóp, wyjął wysoki szklany dzban i poprosił o gałkę Veetsy. Otrzymał ją i wlał zielony płyn do dzbana. Potem wrzucił do środka pół tuzina kolorowych kulek i dodał kostkę suchego lodu, która opadła na dno. Kulki szybko zawirowały w górę i w dół.

- Widzisz? - powiedział Munn. - Efekt wizualny. Marmurki są niewiele cięższe od Veetsy. To wizualny odpowiednik Mokrych Dzwoneczków. Pokaż to w telewizji z dobrym tekstem reklamowym a zobaczysz, jak od razu wzrośnie krzywa sprzedaży.

Hakkapuy wydawał się zainteresowany. - Nie jestem pewien...

Munn wyciągnął plik papierów i zabębnił w ścianę. Po chwili wszedł tłusty Wenusjanin mówiąc: - Obyście byli godni pamięci swych przodków. - Hakkapuy przedstawił go jako Lorisha.

- Pomyślałem, że Lorish powinien to zobaczyć. Mógłbyś to zrobić jeszcze raz?

- Jasne - zgodził się Munn. - No więc zasada działania okien wystawowych...

Kiedy skończył, Hakkapuy spojrział na Lorisha, który powoli potrząsnął rękami.

- Nie.

Hakkapuy wydał wargi. - Dzięki temu sprzedamy więcej Veetsy.

- I naruszymy równowagę ekonomiczną - oświadczył Lorish. - Nie.

Munn zmierzył go wzrokiem. - Dlaczego nie? Przecież Hakkapuy jest właścicielem Veetsy. A kim ty właściwie jesteś...cenzorem?

- Reprezentuję tarkomarkę reklamy - wyjaśnił Lorish. - Widzisz, na Wenus reklama jest silnie rytualizowana. Nigdy jej nie zmieniamy. Bo i po co? Gdybyśmy pozwolili Hakkapuyowi wykorzystać twoje pomysły, to byłoby niesprawiedliwe wobec innych producentów napojów chłodzących.

- Oni mogą zrobić to samo - bronił się Munn.

- Eskalacja konkurencji prowadzi do całkowitego krachu. Hakkapuy zarabia dość pieniędzy.

Prawda, Hakkapuy?

- Chyba tak.

- Czy kwestionujesz motywacje tarkomarów?

Hakkapuy przełknął ślinę. - Ależ nie - zaprzeczył pośpiesznie. - Nie, nie, nie! - Masz całkowitą rację.

Lorish popatrzył na niego. - Bardzo dobrze. A ty, Ziemianinie lepiej nie marnuj więcej czasu na próby forsowania tego... planu.

Munn poczerwieniał. - Grozisz mi?

- Bynajmniej. Po prostu ci tłumaczę, że żaden pracownik reklamy nie wykorzysta twojego pomysłu bez skonsultowania się z moim tarkomarem, a my założymy veto.

- Jasne - odparł Munn. - O.K. Chodź, Bart. Chodźmy stąd.

Wyszli i spacerując wzdłuż kanału nabrzeża odbyli naradę. Underhill był zamyślony.

- Wygląda na to, że tarkomary od dawna utrzymują się przy władzy. Nie chcą żadnych zmian, to oczywiste.

Munn jęknął.

Underhill mówił dalej: - Żeby w ogóle coś osiągnąć, musimy zniszczyć cały system. Ale jedna rzecz przemawia na naszą korzyść.

- Co?

- Prawo.
- Jak ty to rozumiesz? - zdziwił się Munn. - Wszystkie prawa są przeciwko nam.
- Na razie tak. Ale przepisy pozostają tradycyjnie sztywne i niezmiennie. Decyzja podjęta trzysta lat temu nie może zostać zmieniona, chyba że po długim procesie sądowym. Jeśli znajdziemy jakąś furtkę w przepisach, będziemy nietykalni.
- Świetnie, znajdź jakąś furtkę - powiedział ze złością Munn. - Ja wracam na statek i pomogę Steve'owi budować urządzenie rentgenowskie.
- Chyba przejdę się na giełdę i spróbuję trochę powęszyć - oznajmił Underhill.
- A nuż...

Po tygodniu rentgen był gotowy. Munn z Thirkellem przejrzał rejestr praw Vyringu i odkryli, że mogą sprzedawać zbudowane przez siebie urządzenia nie należąc do żadnego tarkomaru pod warunkiem, że będą przestrzegać pewnych niewielkich ograniczeń. Wydrukowano ulotki i rozrzucono po ulicach miasta. I Wenusjanie zjawili się, żeby popatrzeć, jak Munn i Thirkell demonstrują działanie promieni rentgena.

Mike Szybujący Orzeł skończył dzienną pracę i nierozważnie wypalił tuzin papierosów ze swych skąpych zapasów, zaciągając się z tępą wściekłością. Miał kłopoty z hydroponicznymi kulturami.

- To wariactwo! - poinformował Bronsona. - Nawet Luther Burbank na moim miejscu dostałby kota. Jak do diabła mam zapytać na wycucie te dziwaczne okazy wenusjańskiej flory?
  - Tak, to rzeczywiście trochę nie fair - pocieszył go Bronson. - Osiemnaście płci, co?
  - Na razie osiemnaście. I cztery odmiany, które jak widać, w ogóle nie mają płci. Jak mam krzyżować te zboczone grzyby? Rezultaty nadają się tylko do tego, żeby je pokazywać w antraktach jakiejś rewii.
  - Nie doszedłeś do niczego?
  - Och, osiągnąłem sporo - odparł z goryczą Mike Szybujący Orzeł. - Otrzymuję najrozmaitsze odmiany. Kłopot w tym, że żadna nie jest trwała. Jednego dnia otrzymuję grzyb o smaku rumowym, ale nie rozmnaża się jak należy i z jego zarodków wyrasta coś, co smakuje jak terpentyna. Więc sam rozumiesz. Bronson przybrał współczujący wyraz twarzy. - Nie możesz zwędzić trochę żarcia, kiedy nikt nie patrzy? Przynajmniej miałbyś jakąś korzyść z tej roboty.
  - Przeszukują mnie - wyjaśnił Nawajo.
  - A to śmiesz! - wrzasnął Bronson. - Co oni sobie o nas myślą, że jesteśmy złodziejaskami?
  - Uhm. Coś się dzieje na zewnątrz. Chodźmy popatrzeć.
- Wyszedłszy ze statku ujrzeli Munna w trakcie gwałtownej kłótni z Jorust, która osobiście przyszła obejrzyć urządzenie rentgenowskie. Tłum Wenusjan cisnął się do nich, żeby nic nie uronić z przedstawienia. Twarz Munna była karmazynowa.
- Zaglądałem, gdzie trzeba - mówił. - Tym razem, Jorust, nie możesz mnie powstrzymać. Skonstruowanie maszyny i sprzedaż jej poza granicami miasta jest całkowicie legalne.
  - Oczywiście - potwierdziła Jorust. - Nie o to cię oskarżam.
  - Więc o co? Nie złamaliśmy żadnych praw.
- Wenusjanka skinęła i tłusty mężczyzna wystąpił z tłumu, kołysząc się jak kaczką.

- Patent brutto trzy czternaście do kwadratu dwa tuziny, wydany Metzi Stangowi z Mylosh w roku dwunastym do czwartej potęgi, dotyczący światłoczułych płytek.

- Co to znaczy? - zapytał Munn.

- Patent - poinformowała go Jorust.

- Został wydany jakiś czas temu wenusjańskiemu wynalazcy nazwiskiem Metzi Stangowi z Mylosh w roku dwunastym urywał go w tajemnicy, ale pogwałcenie patentu nadal jest nielegalne.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś już wynalazł rentgen na Wenus?

- Nie. Tylko światłoczuły film. Ale taki film stanowi element twojego urządzenia, więc nie możesz go sprzedawać.

Thirkell przepchnął się do przodu. - Nie potrzebujemy filmu...

Tłusty Wenusjanin oznajmił: - Patent wibracyjny brutto trzy dwa tuziny siedem...

- A to co znowu? - przerwał Munn.

Jorust uśmiechnęła się. - Urządzenia wykorzystujące wibrację stanowią pogwałcenie patentu.

- To jest rentgen - warknął Thirkell.

- Światło jest wibracją - oświadczyła Jorust. - Nie możecie tego sprzedawać, jeśli nie kupicie zezwolenia od tarkomaru, który jest obecnie właścicielem patentu. Powinno to kosztować... zaraz... jakieś pięć tysięcy sofalów.

Thirkell odwrócił się gwałtownie i wszedł na statek, gdzie zmieszał sobie whisky z wodą sodową, tęsknie wspominając zarazki dyftterytu. Po jakimś czasie nadeszli pozostali.

Wyglądali ponuro.

- Czy ona może to zrobić? - zapytał Thirkell.

Munn przytaknął. - Może to zrobić, przyjacielu. Już to zrobiła.

- Nie naruszamy ich patentów.

- Nie jesteśmy na Ziemi. Prawa patentowe są tutaj tak rozciągliwe, że jeśli facet wynajdzie karabin, nikt inny nie może wytwarzać celowników teleskopowych. Znowu nas załatwili. Underhill zabrał głos: - To robota tarkomarów. Kiedy dowiadują się o nowej metodzie lub wynalazku, który może wywołać zmianę, kupują go i zamrażają. Widocznie nie możemy zbudować żadnego urządzenia, które nie naruszyłoby tego czy innego wenusjańskiego patentu.

- Oni działają w ramach prawa - zwrócił mu uwagę Munn.

- Ich prawa. Więc nie możemy nawet zaprotestować. Dopóki pozostaniemy na Wenus, podlegamy ich jurysdykcji.

- Fasola się kończy - oznajmił złowróźnie Thirkell.

- Wszystko się kończy - pocieszył go kapitan. - Czy ktoś ma jakieś pomysły?

Zapadło milczenie. Wreszcie Underhill wyjął gałkę Veetsy i położył ją na stole.

- Skąd to masz? - zainteresował się Bronson. - Kosztuje cztery fale.

- Jest pusta - odpari Underhill. - Znalazłem ją w koszu na śmieci. Zbadałem glasyt, ten materiał, którego oni używają.

- No i?

- Odkryłem, jak oni to robią. To kosztowny, skomplikowany proces. Tworzywo nie jest lepsze od naszego fleksiglasu, a o wiele trudniej je wyprodukować.

Gdybyśmy tu otworzyli fabrykę fleksiglasu...

- No?

- Zjednoczenie Glasytu straciłoby grunt pod nogami.

- Nie rozumiem - stwierdził Bronson.

- I co z tego?

- Słyszałeś kiedyś o szeptanej propagandzie? - zagadnął Underhill. - Mój ojciec, ten stary spryciarz, niejeden raz sfalszował tą metodą wybory. Założmy, że rozpuścimy plotkę, że mamy nową metodę wytwarzania tańszego, lepszego substytutu glasytu. Czy akcje Zjednoczenia nie spadną?

- Możliwe - przyznał Munn.

- Moglibyśmy się wzbogacić.

- Na czym?

- Och. - Underhill zamilkł. - Żeby zarobić pieniądze, trzeba mieć pieniądze.

- Zawsze.

- Nie jestem pewien. Mam następny pomysł. Na Wenus miernikiem wartości jest żelazo. Żelazo jest tanie na Ziemi. Założmy, że zamierzamy sprowadzić tu żelazo... ogłosimy to przez radio. Wybuchnie panika, prawda?

- Nie, chyba że zaczniemy rozrzucać żelazo po ulicach - oświadczył Munn.

- Telewizja zastosuje kontrpropagandę. Z nią nie możemy konkurować. Nasza szeptana propaganda zostanie zdławiona w zarodku. Rząd Wenus - tarkomary - po prostu zaprzeczą, że Ziemia posiada nieograniczone zasoby żelaza. Tak czy owak nie zarobimy nic.

- Musi być jakiś sposób. - Underhill spochmurniał. - Musi być sposób. Zastanówmy się. Co jest podstawą wenusjańskiego systemu gospodarczego?

- Brak konkurencji - odparł Mike Szybujący Orzeł. - Każdy ma wszystko, czego zapragnie.

- Może. Pozornie. Ale instynkt współzawodnictwa jest zbyt silny, żeby pozwolił się całkiem stłumić. Założę się, że mnóstwo Wenusjan chętnie zarobiłoby kilka farów więcej.

- Co nam to daje? - chciał wiedzieć Munn.

- Metodą mojego ojca... hmm. On manipulował ludźmi, pociągał za sznurki, kazał innym do siebie przychodzić. Jaki jest słaby punkt wenusjańskiej gospodarki?

Munn zawahał się. - Nic, w co możemy uderzyć... stoimy na znacznie gorszej pozycji.

Underhill przymknął oczy. - Podstawą systemów gospodarczych i społecznych jest... co?

- Pieniądz - odpowiedział Bronson.

- Nie. Na Ziemi podstawą systemu monetarnego jest rad. Przed laty było to złoto albo srebro. Na Wenus mamy żelazo. I jest również handel wymienny. Pieniądz się zmienia.

- Pieniądz reprezentuje bogactwa naturalne... - zaczął Thirkell.

- Roboczegodziny - wtrącił cicho Munn.

Underhill podskoczył. - Tak jest! Oczywiście, roboczegodziny! To jest stała. Wartość tego, co jeden człowiek może wyprodukować w ciągu godziny pracy, reprezentuje arbitralną stałą - dwa dolary, tuzin difalów czy cokolwiek innego. To jest podstawa systemu gospodarczego. I

w tę podstawę musimy uderzyć. Kult przodków i władza tarkomarów w gruncie rzeczy są tylko powierzchowne. Załamia się, kiedy podważymy system ekonomiczny.

- Nie rozumiem, dokąd to nas prowadzi - stwierdził Thirkell.

- Zmienimy wartość roboczogodzin - wyjaśnił Underhill. - Wtedy wszystko może się zdarzyć.

- Lepiej niech coś się stanie - burknął Bronson - i to szybko. Zostało mało żywności.

- Zamknij się - rzucił Munn. - Uważam, że dzieciak wpadł na właściwy pomysł. Zmienić wartość roboczogodzin, co? Jak możemy to zrobić? Specjalistyczne szkolenie? Wyszkolić Wenusjan, żeby wytwarzali dwa razy więcej w tym samym czasie? Wykwalifikowana praca?

- Oni już mają wykwalifikowanych robotników - odparł Underhill. - Gdybyśmy potrafili zmusić ich do szybszej pracy albo zwiększyć wytrzymałość...

- Wzbogacona benzedryna - przerwał Thirkell.—Z dodatkiem kofeiny, zestawu witamin i ryboflawiny... owszem, mógłbym wyprodukować stymulatory.

Munn powoli skinął głową. - Pigułki, nie zastrzyki. Jeśli poskutkuje, przez jakiś czas będziemy musieli trzymać to w sekrecie. .

- Co u diabła nam z tego przyjdzie, że zmusimy Wenusjan do szybszej pracy? - chciał wiedzieć Bronson.

Underhill strzelił palcami. - Nie rozumiesz? Wenusjanie są ultrakonserwatywni. System gospodarczy jest w zastoju. Nie jest przystosowany do zmian. Zrobi się cholerne zamieszanie!

Munn oznajmił: - Przede wszystkim będziemy potrzebować reklamy, żeby wzbudzić powszechne zainteresowanie. Trzeba to zademonstrować w praktyce. - Rozejrzał się dookoła i jego wzrok spoczął na Indianinie. - Wygląda na to, czerwonoskóry, że zostałeś wybrany jednogłośnie. Jesteś najbardziej z nas wytrzymały, sądząc po wynikach testów, które przeszliśmy na Ziemi.

- Dobra - powiedział Nawajo. - Co mam robić?

- Pracować! - wyjaśnił mu Underhill. - Pracować do upadłego!

Zaczęli następnego dnia wczesnym rankiem, na głównym placu Vyring. Munn starannie zbadał teren, zdecydowany dopilnować, żeby nie było żadnych przeszkód, i dowiedział się, że na miejscu na placu ma powstać budynek rekreacyjny.

- Prace nie rozpoczną się jeszcze przez kilka tygodni - poinformowała go Jorust.

- Dlaczego pytasz?

- Chcemy tam wykopać dziurę - odparł Munn - czy to jest legalne?

Wenusjanka uśmiechnęła się. - Ależ oczywiście. To własność publiczna, dopóki nie wkroczą przedsiębiorcy budowlani. Ale obawiam się, że demonstracja wspaniałych muskułów nic wam nie da.

- Hę?

- Nie jestem głupia. Próbuje się zdobyć pracę. Macie nadzieję, że do pniecie swego reklamując własne umiejętności. Ale dlaczego w ten sposób? Dziurę potrafi wykopać każdy. To nie wymaga żadnych kwalifikacji.

Munn chrząknął. Jeśli Jorust chciała wyciągać takie wnioski, tym lepiej. - Reklama się opłaca - stwierdził. - Na Ziemi wystarczy uruchomić koparkę, żeby zaraz zebrał się tłum gapiów. Nie mamy koparki, ale...

- No cóż, róbcie, co chcecie. W zasadzie nie przekraczacie żadnych praw. Tym niemniej nie możecie podjąć pracy, jeśli nie wstąpicie do jakiegoś tarkomaru.

- Czasami sobie myślę, że wasza planeta byłaby o wiele lepsza bez tych tarkomarów - wyznał szczerze Munn.

Jorust wzruszyła ramionami. - Mówiąc między nami, ja też często tak myślę. Ale jestem tylko administratorem. Nie mam prawdziwej władzy. Robię to, co mi każą. Gdybym dostała zezwolenie, z radością pożyczylabym wam pieniądze, których potrzebujecie...

- Co? - Munn wytrzeszczył na nią oczy. - Myślałem...

Wenusjanka zeszywniała. - Tego mi nie wolno. Tradycje nie zawsze są najmądrzejsze, ale nic nie mogę na to poradzić. Bunt przeciw władzy tarkomarów jest bezsensowny i nie do pomyślenia. Przykro mi.

Po tych słowach Munn poczuł się trochę lepiej. Jednak nie wszyscy Wenusjanie byli wrogami. Winę za ich kłopoty ponosiły wszechpotężne tarkomary, zazdrosne o swą władzę i fanatycznie dążące do zachowania status quo.

Kiedy wrócił na plac, pozostali już na niego czekali. Bronson ustawił tablicę wyników, oznaczoną w fonetycznym języku wenusjańskim, oraz przygotował kilof, oskard, łopatę, taczki i deski dla Indianina, który stał obnażony do pasa na silnym wietrze - muskularna, czerwonobrazowa postać. Kilka łodzi zatrzymało się na kanale, żeby popatrzeć.

Munn spojrział na zegarek. - O.K.,

Czerwonoskóry. Jedziemy. Steve może zaczynać...

Underhill zaczął bić w bęben. Bronson napisał na tablicy wyników: 4.03.00, Wenusjański czas Vyring. Thirkell podszedł do składanego stolika zastawionego buteleczkami i wyposażeniem medycznym, wytrząsnął z fiolki jedną z pigułek stymulujących, które sporządził wcześniej, i wręczył ją Indianinowi. Mike Szybujący Orzeł przełknął pigułkę, podniósł oskard i zabrał się do pracy.

To było wszystko.

Człowiek kopał dół. Nikt nie miał pojęcia, dlaczego właściwie ten widok był tak fascynujący. Zasada pozostawała ta sama, czy chodziło o koparkę nabierającą na raz pół tony ziemi, czy o krępego, spoconego Nawaja machającego kilofem i łopatą. Łódek przybywało.

Mike Szybujący Orzeł nie przerywał pracy. Minęła godzina. Druga. W regularnych odstępach czasu Mike robił krótkie przerwy na wypoczynek, a potem znów chwycił za narzędzia.

Rozbijał ziemię oskardem, ładował ją łopatą na taczki, przetaczał swój ładunek po deskach, i zwał na wciąż rosnącą stertę w pewnej odległości. Każdy miesiąc jego ciała był w ruchu.

Trzy godziny. Cztery. Mike spałaszował krótki lunch. Bronson dalej zapisywał czas na tablicy wyników.

Thirkell podał Nawajowi następną pigułkę. - Jak ci idzie?

- Świetnie. Wystarczy mi krzepy.

- Wiem, ale stymulatory też ci pomogą

Underhill siedział za maszyną do pisania. Wystukał już ogromną ilość kopii, ponieważ zaczął pracować w tym samym czasie, co Mike Szybujący Orzeł. Bronson odkrył w sobie dawno zapomniany talent do żonglowania kolorowymi piłeczkami oraz zaimprovizowanymi indiańskimi maczugami. On również robił to od dłuższego czasu.

Kapitan Rufus Munn obsługiwał maszynę do szycia. Nie przepadał za tym, ale robota była precyzyjna i dlatego pomagała w realizacji planu. Pracowali wszyscy uczestnicy wyprawy z wyjątkiem Thirkella, który zajęty był rozdzielaniem pigułek i dokładał wysiłków, żeby upodobnić się do alchemika.

Od czasu do czasu odwiedzał Munna i Underhilla, zbierał pliki papieru oraz starannie zszyte części odzieży i składał je w ustawionych wzdłuż kanatu pudłach, opatrzonych nalepkami:

„Proszę brać po jednym”. Napisy wykonane haftem maszynowym na ubraniu głośiły:

„Pamiętka z Ziemi”. Tłumy gęstniały.

Ziemiańscy pracowali dalej. Bronson wciąż żonglował z przerwami na odpoczynek. Od czasu do czasu przerywał się na sztuczki karciane i znajdowanie monet. Mike Szybujący Orzeł wciąż kopał. Munn szył. Underhill pisał na maszynie - a Wenusjanie czytali słowa wytryskujące spod jego palców.

„Za darmo! Za darmo! Za darmo!” - głośno ulotki. - „Pamiątkowe powłoczki na poduszki z Ziemi! Darmowy pokaz!

Popatrzcie, jak Ziemiańscy demonstrują wytrzymałość, zręczność i precyzję w czterech różnych rodzajach pracy. Jak długo mogą to robić? Z pomocą PIGUŁEK SIŁY - bez końca! PIGUŁKI SIŁY podwajają ich wydajność i zwiększają precyzję! PIGUŁKI SIŁY dodadzą ci wigoru! Dzięki osiągnięciom ziemskiej medycyny każdy wart jest dwa razy tyle sofalów, ile sam waży”.

Tak to trwało. Stary wojskowy trik - z pewnymi modyfikacjami. Wenusjanie nie potrafili się oprzeć. Wieść się rozeszła. Tłum zgęstniał. Jak długo Ziemiańscy wytrzymają takie tempo? Wytrzymali. Stymulujące pigułki Thirkella - jak również seria zastrzyków, które tego ranka zrobił swoim towarzyszom - wydawały się działać bez zarzutu. Mike Szybujący Orzeł kopał jak kret. Jego lśniący, czerwono-brązowy tors spływał potem. Mike bardzo dużo pił i jadł tabletki soli.

Munn wciąż szył, nie gubiąc ani jednego ściegu. Wiedział, że jego wyroby będą brane pod lupę w poszukiwaniu oznak niestarannego wykonania. Bronson żonglował i pokazywał sztuczki z monetami, nie popełniając ani jednego błędu. Underhill pisał na maszynie obolałymi palcami...

Pięć godzin. Sześć godzin. Nawet z przerwami na odpoczynek była to ciężka harówka. Zabrali prowiant z „Goodwill”, ale jedzenie nie było zbyt smaczne. Thirkell wybrał je jednak starannie z uwagi na wartość kaloryczną.

Siedem godzin. Osiem godzin. Tłumy całkowicie zatarasowały kanały. Nadszedł policjant i wszczął kłótnię z Thirkellem, który odesłał go do Jorust. Jorust musiała mu natrzeć uszu, ponieważ policjant wrócił i dalej obserwował, ale już się nie wtrącał.

Dziewięć godzin. Dziesięć godzin. Dziesięć godzin herkulesowych wysiłków. Ludzie byli wyczerpani - ale pracowali dalej.

Wtedy zdobyli pierwszy punkt. Wenusjanie podeszli do Thirkella i zaczęli go wypytywać o Pigułki Siły. Co to jest? Czy naprawdę powodują, że człowiek pracuje szybciej? Gdzie można je kupić?...

Zjawił się policjant i stanął za Thirkellem. - Dostałem wiadomość od lekarskiego tarkomaru - ogłosił. - Jeśli spróbujecie coś sprzedawać, pójdziecie do więzienia.

- Ani nam to w głowie - odparł Thirkell. - Rozdajemy bezpłatne próbki. Masz kolego. - Zanurzył ramię w worku i wręczył najbliższemu Wenusjaninowi Pigułkę Siły. - Z tym wykonasz dwudniową normę pracy w jeden dzień. Przyjdź jutro, to dostaniesz więcej. Hej, przyjacielu, chcesz jedną? Masz. Ty też. Trzymaj.

- Zaraz, zaraz...- zaczął policjant.

- Pokaż mi nakaz - przerwał mu Thirkell. - Nie ma takiego prawa, które zabrania dawania prezentów.

Pojawiła się Jorust w towarzystwie krzepkiego Wenusjanina o nieprzejednanym wyrazie twarzy. Jorust przedstawiła go jako naczelnika vyrińskich tarkomarów.

- Przyszedłem, żeby wam powiedzieć, że macie przestać - oznajmił Wenusjanin.

Thirkell znał na to odpowiedź. Jego towarzysze nie przerywali pracy, ale czuli, że patrzą i słuchają.

- Na jakie prawo się powołujesz?

- No... ustawę o handlu domokrażnym.

- Ja nic nie sprzedaję. To jest teren publiczny, a my dajemy bezpłatne przedstawienie.

- Te... ach... Pigułki Siły...

- Darmowe prezenty - oświadczył Thirkell. - Słuchaj, stary. Kiedy oddaliśmy wam, wenusjańskim oszustom, całą naszą żywność, czy któryś z was pyskował? Nie, przyjęliście wszystko. A potem przykręciliście śrubę. Kiedy prosiliśmy, żebyście nam oddali nasze jedzenie, powiedzieliście nam tylko, że nie mamy prawa żądać zwrotu; własność jest ściśle chroniona, a my mogliśmy najzupełniej legalnie rozdawać prezenty za darmo. Teraz właśnie to robimy... rozdajemy prezenty.

Więc o co chodzi?

Oczy Jurust rozbłyły, ale szybko nakryła je powiekami.

- Obawiam się, że on ma rację. Prawo go chroni. Wielkiej szkody nie narobią.

Thirkell przyjrzał - jej się z namysłem.

Czy Jorust odgadła prawdę? Czy była po ich stronie? Naczelnik tarkomarów oblał się ciemną zielenią, zawahał się, odwrócił na pięcie i odszedł. Jorust obdarzyła ziemian długim, enigmatycznym spojrzeniem, poruszyła ramionami i poszła za nim.

- Ciągłe jestem sztywny - oznajmił

Mike Szybujący Orzeł w tydzień później na pokładzie „Goodwill”. - I głodny. Kiedy dostaniemy żarcie?

Thirkell wręczył Wenusjaninowi przy władze Pigułkę Siły i wrócił uśmiechnięty, zacierając ręce. - Zaczekaj. Tylko zaczekaj. Co się dzieje, kapitanie?

Munn kiwnął głową w stronę Underhilla. - Zapytaj tego dzieciaka. Właśnie wrócił z Vyring. Underhill zachichotał. - Była rozróżba na całego. I wszystko w ciągu tygodnia. Nie ma co, naprawdę uderzyliśmy w podstawy gospodarki. Każdy Wenusjanin, który pracuje na akord, chce mieć nasze pigułki, żeby pracować szybciej i zarobić więcej falów. To instynkt współzawodnictwa... zjawisko uniwersalne.

- No i co? - zagadnął Bronson. - Jak to się podoba tym jaszczurkom z rządu?

- Wcale się nie podoba. Naruszyliśmy system gospodarczy, który działa od wieków. Dotąd pojedynczy Wenusjanin mógł zarobić, powiedzmy, jakieś dziesięć sofalów na tydzień wytwarzając pięć tysięcy kapsli do butelek. Dzięki pigułkom Steve'a wytwarza osiem albo dziesięć tysięcy kapsli i otrzymuje odpowiednio większą pensję. Facet przy sąsiednim stanowisku myśli sobie: Co do cholery, i przychodzi do nas po Pigułkę Siły dla siebie. Tak to idzie. A najpiękniejsze jest to, że nie każdą pracę można wykonywać w systemie akordowym. Na akord można z pewnymi innowacjami. Wenusjanie wytwarzać tylko konkretne przedmioty.

Obsługiwanie urządzeń do regulacji pogody musi być mierzone czasem pracy, a nie tym, ile kropel deszczu wyprodukujesz dziennie.

Munn przytaknął. - A więc zazdroszczą?

- Zastanów się - powiedział Underhill.

- Operator urządzeń meteorologicznych zarabiał dziesięć sofalów na tydzień, tyle samo, ile robotnik wytwarzający kapsle na butelki. Teraz robotnik zarabia dwadzieścia sofalów.

Operator urządzeń meteorologicznych nie rozumie przyczyny.

Też chciałby wziąć Pigułkę Siły, ale to nie zwiększy jego wydajności. Prosi o podwyżkę. Jeśli ją dostaje, równowaga ekonomiczna jest zakłócona jeszcze bardziej. Jeśli nie, przyłącza się do innych operatorów i razem dochodzą do wniosku, że to niesprawiedliwa dyskryminacja.

Są wściekli na tarkomary. Strajkują!

Mike Szybujący Orzeł wtrącił: -Tarkomary zabroniły pracować wszystkim Wenusjanom biorącym Pigułki Siły.

- A jednak Wenusjanie ciągle proszą nas o Pigułki Siły. I co? Jak udowodnić, że ktoś łyka pigułki? Jasne, wydajność takiego osobnika rośnie, ale tarkomary nie mogą ukarać każdego, kto ma dobre wyniki w pracy. Próbowały i rozwścieczyły kupę facetów, którzy nigdy nie brali Pigulek Siły, tylko po prostu szybko pracowali.

- Nasza demonstracja była dobrym pomysłem - stwierdził Thirkell. - Była przekonująca. Musiałem zmniejszyć skuteczność działania pigulek... kończą się składniki... ale pomaga nam siła sugestii.

Underhill wyszczerzył zęby. - Więc rozregulowaliśmy podstawową jednostkę systemu - roboczo godzinę. Jeden mały kamyczek wrzucony do w maszynie w najbardziej odpowiednim miejscu.

To się rozprzestrzenia. Nie tylko w Vyring. Nowiny rozchodzą się wszędzie i robotnicy z innych miast chcą wiedzieć, dlaczego połowa zatrudnionych w Vyring ma dostać lepsze pensje. A pomaga nam wyrównany kurs wymiany... jeden system monetarny na całej planecie. Parytet żelaza nie zmienił się tu od wieków.

A teraz...

- Teraz system runął - odezwał się Munn. - To naturalne w przypadku sztywnego, całkowicie zintegrowanego układu. Wystarczyło przerwać jedno ogniwo i pękła władza tarkomarów. Zapomniały, że trzeba się umieć przystosować.

- To się rozprzestrzenia - stwierdził Underhill z przekonaniem. - To się rozprzestrzenia. Steve, idzie następny klient.

Underhill pomylił się. Przyszła Jorust z Vyrinśkim naczelnikiem tarkomarów.

- Obyście byli godni pamięci swych przodków - powitał ich uprzejmie Munn. - Siadajcie i napijcie się. Zostało nam jeszcze kilka baniek piwa.

Jorust posłuchała, ale Wenusjanin obrócił się na pięcie i rzucił Munnowi groźne spojrzenie.

- Malsi jest zdenerwowany - wyjaśniła kobieta. - Te Pigułki Siły narobiły nam kłopotów.

- Nie rozumiem dlaczego - zdziwił się Munn. - Zwiększają wydajność, prawda?

Malsi skrzywił się. - To jest podstęp! Chytra sztuczka! Nadużywacie naszej gościnności!

- Jakiej gościnności? - chciał wiedzieć Bronson.

- Stanowicie zagrożenie dla systemu - ciągnął Malsi z uporem. - Na Wenus nic się nie zmienia. I nie może się zmienić.

- Dlaczego? - zapytał Underhill. - Jest tylko jeden prawdziwy powód i ty go znasz. Każda zmiana może zagrozić tarkomarom... zniszczyć władzę, którą posiadają. Wy, kanciarze, od wieków trzymacie wszystkich w garści. Ukrywacie wynalazki, nie pozwalacie planecie wyjść z zastoju, usiłujecie stłamsić w ludziach inicjatywę, żeby tylko utrzymać się u steru. To się nie da zrobić. Zawsze przychodzą jakieś zmiany. Gdybyśmy tu nie przylecieli, na Wenus wybuchłaby wojna domowa.

Malsi zmierzył go spojrzeniem. - Przestaniecie produkować te Pigułki Siły.

- To kwestia prawna - wtrącił Thirkell łagodnym głosem. - Pokaż nam precedens. Jorust zabrała głos. Prawo do dawania prezentów jest jednym z najstarszych praw na Wenus. Można je zmienić, Malsi, ale nie sądzę, - żeby ludziom się to spodobało.

Munn uśmiechnął się. - Nie. Nie spodoba się. To było ostrzeżenie. Wenusjanie dowiedzieli się, że można zarobić więcej pieniędzy. Zabierzcie im tę możliwość, a tarkomary natychmiast przestaną być dobroczyńcami.

Malsi zrobił się ciemnozielony. - Mamy władzę...

- Jorust, ty jesteś administratorką. Czy wasze prawo nas chroni? - zapytał Underhill.

Jorust poruszyła ramionami. - Tak, chroni. Prawo jest święte. Może dlatego zawsze chroniło interesy tarkomarów.

Malsi odwrócił się od niej gwałtownie. - Bierzesz stronę tych Ziemi?

- Ależ skąd, Malsi. Po prostu stoję na straży prawa, co jest moim zaprzysiężonym obowiązkiem. Prawo jest bezstronne - o to chodzi, prawda?

Munn powiedział: -Jeśli chcesz, przestaniemy robić Pigułki Siły, ale ostrzegam cię, że to tylko odwlecze sprawę. Nie możesz powstrzymać postępu.

Malsi wydawał się nie przekonany. - Przestaniecie?

- Jasne. Jeśli nam zapłacisz.

- Nie możemy wam zapłacić -oświadczył Malsi z uporem. - Nie należycie do żadnego tarkomaru. To byłoby nielegalne.

Jorust mruknęła: - Możesz im dać w prezencie, powiedzmy... dziesięć tysięcy sofalów.

- Dziesięć tysięcy! - zachłysnął się Malsi. - To śmieszne!

- Racja - przyznał Underhill. - Powiedz raczej pięćdziesiąt tysięcy. Możemy za to żyć wygodnie przez rok.

Jakiś Wenusjanin podszedł do wjazdu, zajrzał do środka i oznajmił: - Dzisiaj zarobiłem dwa razy więcej difalów. Mogę dostać jeszcze jedną Pigułkę Siły?

- Dostrzegł Malsiego i umknął z cichym piskiem przerażenia.

Munn wzruszył ramionami. - Rób, jak uważasz. Albo nam zapłacisz, albo dalej będziemy rozdawać Pigułki Siły, a ty będziesz musiał dostosować odpowiednio wasz system gospodarczy. Nie sądzę, żebyś potrafił.

Jorust dotknęła ramienia Malsiego. - Nie ma innego wyjścia.

- Ja... - Wenusjanin był już prawie czarny z bezsilnej furii. - Dobrze - skapitulował. - Nie zapomnę ci tego, Jorust - dodał wypluwając każde słowo przez zęby.

- Ależ ja muszę przestrzegać prawa -zaprotestowała Wenusjanka. - No, Malsi! Tarkomary zawsze były znane z niezachwianej uczciwości.

Malsi nie odpowiedział. Nabazgrał czek na pięćdziesiąt tysięcy sofalów, potwierdził go własnoręcznym podpisem i podał kartkę Munnowi. Potem obrzucił kabinę pożegnalnym spojrzeniem i wyszedł tupiąc nogami ze złości.

- No! - zawołał Bronson. - Pięćdziesiąt kawałków! Dziś wieczorem jemy!

- Obyście byli godni pamięci swych ojców - mruknęła Jorust. Przy włączaniu odwróciła się. - Obawiam się, że rozgniewaliście Malsiego.

- To fatalnie - stwierdził Munn tonem pełnym hipokryzji. Jorust lekko poruszyła ramionami. - Tak. Rozgniewaliście Malsiego, a Malsi reprezentuje tarkomary...

- Co on nam może zrobić? - zainteresował się Underhill.

- Nic. Prawo mu zabrania. Ale... przyjemnie jest wiedzieć, że tarkomary nie są nieomyłne. Myślę, że świat jakoś się z tym pogodzi.

Jorust mrugnęła uroczyście do Munna i wyszła. Wyglądała tak niewinnie jak kot i równie potencjalnie niebezpiecznie.

- Ho, ho! - zawołał Munn. - Co to ma znaczyć? Może koniec władzy tarkomarów?

- Może - przytaknął Bronson. - Ale mam to gdzieś. Jestem głodny i mam ochotę na befsztyk z mięsnego grzyba.

Gdzie tu można zrealizować czek na pięćdziesiąt kawałków?

przekład : Danuta Górską

Henry Kuttner      Pegaz

Chcę wam opowiedzieć o Jimie Harrym Worthcie i o szkapie ze skrzydłami. Mnóstwo ludzi uważa teraz mity za zwyczajne bajdy na resorach, za bajki rozdmuchane przez starych, którzy opowiadają je młodym. Każdy kraj ma swoje legendy; na przykład w Chinach słyszałem o smoczych... Ale to nie na temat, bo ja chcę wam opowiedzieć o Jimie Harrym i zaklętym koniu, którego sobie zdobył.

Był wysokim, chudym, ogorzałym jak orzech chłopakiem o pociągłej twarzy, niezgrabnym, jak to wyrostek, gdy stał nieruchomo, ale w ruchu pełnym gracji niczym źrebię. Wrohowie mieli farmę w Imperial i Jim Harry tam dorastał, tam uczył się chodzić w codziennym kieracie i tam, skończywszy swoje lata, poszedł do szkoły. Kochał konie.

Umiał na nich jeździć i skwapliwie z tego korzystał.

Kraj tu rozległy i wielki. Dzieciak może się położyć na plecach na żółtych zboczach i gapić w niebo, które jest większe całego świata. Może tam tak leżeć i patrzeć na dryfujące chmury, dopóki nie wyczuje pędu planety poprzez wszechświat, i ma czas na rozmyślanie. Jim Harry tak robił, wiem to. Chłopak miał rozmarzone oczy, a jego stopy dotknięte były żądzą włóczęgi. Z początku nie wiedział, co to takiego. Zwykle galopował na złamanie karku po całej okolicy i wędrował po niej, kiedy nie miał konia. Potem, w szkole, nauczył się czytać i Dolina stała się dla niego więzieniem, tym gorszym, że nie miała granic.

To marzenie w jego oczach i te niespokojne stopy - tak, tylko że są one dla człowieka przekleństwem i błogosławieństwem zarazem. Ja to wiem. Wędrujesz i co gorsza, czegoś po drodze szukasz, a nie wiesz czego i możesz tego nigdy nie znaleźć.

Starasz się odpowiedzieć na pytanie: nie wiesz, co to za pytanie: i w końcu pozostaje ono bez odpowiedzi. Kiedy się w końcu zmęczysz, jesteś gotów sięść na słońcu i rozmyślać, ale nie wtedy, kiedy jesteś młody. Tak więc młody Jim Harry dużo rozmyślał i wiele czytał, a w pewien zły dzień zapytał o nagą, bezwodną i starą górę Breadloaf wznoszącą się na południu.

- Nikt tam nie łązi - odparł Andy Worth, tata Jima Harry'ego.

- Ale czy nikt nigdy tam nie poszedł?

Andy nie sądził, aby tak było, ale musiał jechać do miasteczka, żeby kupić parę nowych siodeł, tak więc rozmowa właściwie na tym się urwała. Sarah, matka Jima Harry'ego nie wiedziała nic ponad to i poradziła chłopcu, żeby nie zawracał sobie głowy takimi głupstwami. A więc Jim Harry wyszedł z domu ze starszym bratem Tomem, który zastawiał sidła i który wyśmiał tylko jego rozterki.

Ale prawdy dowiedział się od Tante Rush, o której jedni mówili, że jest paisano, inni, że była kiedyś sławną kobietą i widziała Europę. Teraz mieszkała w walącej się chacie przy strumieniu, hodowała świnię i kury, była wiedźmą o twarzy przypominającej uschnięty

włoski orzech, i oczach błyszczących jak granaty. Ludzie mówili, że jadała szalej, i może tak było. Tak czy inaczej, była samotną staruchą, a ponieważ lubiła towarzystwo, nauczyła się słuchać i przytakiwać. Dzieciaki wpadały do niej na godzinkę pogawędzić, a ona usiłowała przekupić je skromnym poczęstunkiem, byle tylko zostały dłużej. Jim Harry odwiedzał Tante Rush często, bo pozwalała mu się wygadać i nie śmiała się z niego, a jak już, to życzliwie. Tante Rush twierdziła, że na szczycie góry Breadloaf może coś być.

- Po mojemu, nikt nigdy tam nie był - mówiła stara. ciężko się tam wdrapać, co, Jim? Nigdy się tam nie wdrapywałeś?

- Prawdopodobnie nic tam na szczycie nie ma. Tyle że to najwyższe miejsce w promieniu wielu mil. Widać stamtąd drogę przez Dolinę. - Chłopiec odpędził kwokę, która przydreptała dziobać jego znoszony but. - Może nawet widać Pacyfik.

- Tam po drodze są góry, młodzieńcze. Nigdy nie widziałeś oceanu?

- Byłem raz we Frisco z tatą. I dostałem lanie, bo uciekłem i pojechałem do Sausalito - wspinać się na Tamalais.

- Lubisz się wspinać, co?

- Taak - przyznał. - Lubię wysokie miejsca. Powiedz, słyszałaś kiedyś o Piegazie? - Żle wymówił to słowo, parząc w górę, na Breadloaf.

- Nie. A co to?

- Takie opowiadanie. O koniu ze skrzydłami. Podobno żyje na górze, a w każdym razie sfruwa tam co jakiś czas.

- O jednorożcach to słyszałam - powiedziała z powątpiewaniem Tante Rush poruszając w tę i z powrotem rozchwianym siekaczem. - Rogi to mogą koniowi wyrosnąć, ale skrzydła chyba nie bardzo. Po co by mu były?

- Nie wiem. - Jim Harry przekręcił się na plecy i leżał w zielsku obserwując chmury sunące w kierunku Góry Breadloaf. Nie odzywał się przez jakiś czas; potem mruknął sennie: -

Zastanawiam się, czy na szczycie Breadloaf nie ma czasem Pegaza.

- Nie byłabym zdziwiona - wymamrotała zgodnie Tante Rush. - I tak nie znajdzie się taki, co by powiedział, że nie ma.

- Wydaje mi się... a może... - Jim Harry usiadł. - Dzisiaj nie mam właściwie nic do roboty. Muszę tylko naprawić stodołę, a to może trochę poczekać. Chyba wdrapię się na Breadloaf.

- Jest za gorąco - zaoponowała starucha wzdychając. - Jak trochę poczekasz, to upiekę kukurydzianych placków.

- Nie. - Wstał, odszedł kawałek, ale zawrócił. - Masz trochę cukru?

Tante Rush znalazła parę bryłek, które Jim Harry wrzucił do kieszeni farmerek. Potem ruszył gościńcem. Kiedy zniknął już z oczu, stara wybuchnęła nagle piskliwym, rechotliwym, starczym śmiechem. - Ach te dzieciaki - wymruczała. - Te dzieciaki! - W rękę został jej kawałek cukru. Wcisnęła go sobie do ust i zaczęła wolno żuć. - Koń ze skrzydłami! Te dzieciaki!

Ale Jim Harry podchodził pod Górę Breadloaf i po chwili spotkał śmiesznego, powykręcanego, garbatego karła, który kuśtykał ścieżką podpierając się zakrzywionym kosturem. Człowieczek spojrzał na Jim Harry'ego przenikliwie i powiedział: - Słyszę, że idziesz po skrzydlatego konia, chłopcze.

Jim Harry poczuł się dziwnie nieswojo i miał ochotę zawrócić i uciec. Ale karzeł wyciągnął swoją zakrzywioną laskę i zagroził mu drogę.

- Nie bój się mnie, młodzieńcze - powiedział. - Jesteś przecież dwa razy większy ode mnie. A jeszcze nie przestałeś rosnać.

Jim Harry wypiął pierś, żeby mężniej wyglądać, chociaż wiedział, że jest chudy nawet jak na swój wiek. - Nie znam pana - powiedział.

- Ale ja już ciebie widziałem w miasteczku. A więc wybrałeś się szukać Pegaza.

- Czy tak się to imię wymawia? - Jim Harry zarumienił się, bo pomyślał, że karzeł naigrywa się z niego. - Wcale nie. Ja sobie tylko spaceruję. .

Głęboko osadzone oczy tamtego trochę posmutniały. - Szybko się uczysz chłopcze. Już obawiasz się śmieszności. Idź dalej, wejdź na Breadloaf; znajdziesz Pegaza. Ale jak, u diabła, zamierzasz go dosiąść? Nie da się osiodłać, ale będzie ci potrzebna uzda.

Jim Harry pomarkotniał i zaczął kreślić czubkiem buta wzory na piasku.

- No nic, wspinaj się dalej, a ja wcale bym się nie zdziwił, gdybyś znalazł jakąś uzdę gdzieś na skale. Ale nie zapominaj, że Pegaz należy do nieba. Stanie się twoimi stopami i zabierze cię hen, daleko; stanie się twoimi oczami i ujrzysz cudowne rzeczy. Ale nie pozwól mu długo pozostawać na ziemi.

Te ostatnie słowa ścichły w oddali niczym poszept wiatru. Kiedy Jim Harry podniósł wzrok, człowieczka nie było, chociaż gdzieś z dołu dolatywało postukiwanie jego laski.

Chłopca kusilo, żeby zejść w dół po jego śladach, bo był wrażliwy na kpiny. Ale potem spojrzał w górę i zobaczył wierzchołek Góry Breadloaf i już nie potrafił się powstrzymać. I dziwna rzecz, ale po przejściu około pół kilometra Jim Harry ujrzał paradną uzdę leżącą na skale, tuż obok ścieżki. Z początku trochę się przestraszył, ale zaraz ruszył dalej pod górę, zabierając ze sobą uzdę i zachodząc w głowę, kim był karzeł.

Droga na szczyt była trudna. Jim Harry krwawił w kilku miejscach, a jego farmerki znajdowały się w opłakanym stanie, kiedy wreszcie wdrapał się na grań i stoczył po trawiastym zboczu. Wstał i obejrzał się dookoła. Wierzchołek nie był zbyt rozległy; miał kształt spodka porośniętego bujną trawą, a w znajdującym się pośrodku zagłębieniu utworzyła się sadzawka deszczówki. Rosło tam trochę krzaków, ale nigdzie nie było śladu konia, ani skrzydlatego, ani żadnego innego.

Jim Harry podszedł więc do krawędzi i wyrzał na rozpościerający się pod nim świat. Dolina Imperial wydawała się mała i nierzeczywista na tle niebieskawego pasma górskiego rysującego się na zachodzie. Za nim piętrzyły się przykryte białymi czapami góry Sierra. A podmuchy wiatru, które czuł na sobie, na pewno nie zrodziły się w płucach ziemskiej istoty. Jima Harry'ego zaczynały świerzbić stopy i zapragnął ruszyć pieszo poprzez powietrze na zachód, za te widmowe, zamglone dale i w drugą stronę, nad Sierre. I na północ, tam gdzie śnieżne krainy, i na południe, gdzie Meksyk i Panama; cud, że Jim Harry w tym podnieceniu nie przekroczył krawędzi szczytu, nie spadł i nie zabił się. Ale coś kazało mu spojrzeć w górę, a tam, na niebie, pojawiła się plamka, która rosła w oczach.

Może to marzenie w oczach chłopca spowodowało, że rozpoznał Pegaza. W każdym razie zbiegł na dół do sadzawki i rozrzucił tam kilka bryłek cukru, a potem wysypał okruszkami ścieżynkę do najbliższych zarośli. Schował się w tych zaroślach i czekał. Nadleciał Pegaz. Och, ten koń wprawiłby w zachwyt samego Boga! Był to rumak o dumnie wygiętej szyi i wspaniałych chrapach, pokryty białą sierścią skrzącą się niczym same gwiazdy, z grzywą falującą jak jutrzienka i z oczyma, które potrafiły być czerwone jak szalejący płomień, to znowu łagodne i wilgotne jak u dziecka. Boże, człowiek mógł umrzeć ujrzawszy Pegaza i uważać się za bardzo szczęśliwego. I te skrzydła u ogiera! Rozpościerały się od barów białe jak pióra czapli, mocarne i połyskujące w słońcu.

Nadlatywał zataczając kręgi. Krążył to opadając, to podrywając się płochliwie w górę, biały na tle błękitu, aż w końcu wylądował obok sadzawki lekko niczym wróbel, składając wielkie skrzydła i bijąc kopytami w ziemię. Popił z umiarem deszczówki, poskubał trawy i zaczął brykać wierzgając zadnimi nogami jak żreback i rżąc radośnie, jak to konie, i sięgając za siebie pięknym łbem, żeby skubać pierzaste skrzydła, a Jim Harry obserwował to wszystko jak we śnie.

W końcu znowu zabrał się do skubania trawy i natrafił na cukier. Być może pomylił go z ambrozją. W każdym razie zasmakował w słodyczy i zbliżył się jej tropem do krzaka, za którym czaił się Jim Harry. Tam chciał zawrócić, ale było już za późno. Chłopiec zarzucił uzdę i kiedy Pegaz rozpostarł skrzydła do lotu, Jim Harry wskoczył mu na grzbiet i znalazł się w powietrzu!

I wielki ogier pomknął w górę jak rakietka, a chłopiec wyczuwał udami drżenie jego mięśni. Skrzydła były powietrze z grzmotem pioruna. Pegaz odrzucił w tył łeb i wydał z siebie krzyk: ogłaszał światu swoje zdumienie i gniew, a grzywa uderzyła Jima Harry'ego w twarz i rozkrwawiła mu nos. Ale on dzierżył mocno lejce owinięte wokół brązowych pięści. Napinał silne uda. I tylko archanioł Gabriel ze swym ognistym mieczem mógłby teraz wysadzić Jima Harry'ego z jego miejsca.

Wiatr przeszedł w wichurę. Pegaz koziółkował w powietrzu. Jim Harry objął ramionami końską szyję i przywarł do niej mocno. Nie dawał się zrzucić. Spoglądając w dół, sięgał wzrokiem aż za Sierę i widział Pacyfik.

I stała się rzecz dziwna. Pegaz, będąc koniem, przepadał za cukrem, a ponieważ był czymś więcej niż zwykły koń, wykazywał też ponadprzeciętną inteligencję. Tak więc ni mniej, ni więcej uspokoił się i szybując lotem ślizgowym z rozpostartymi szeroko skrzydłami trącił nosem kieszeń Jima Harry'ego, w której wyczuł cukier.

Z początku chłopiec nie rozumiał. Potem wyjął smakołyk i podsunął go rumakowi. Poklepał aksamitny pysk, pogładził dłonią wargę konia i pokochał go. A kiedy cukier się skończył, Pegaz wydawał się już dostatecznie okiełznany. Pozwalał Jimowi Harry'emu kierować sobą, jakby od urodzenia sposobiono go do chodzenia w uprzęży. A mnie brak i słów, i talentu, by opowiedzieć o tym locie poprzez błękit, a co myślał i co czuł Jim Harry nie muszę chyba mówić.

Ale w końcu słońce schyliło się ku zachodowi i Jim Harry postanowił wracać do domu. I tak był już spóźniony, a chciał pokazać Pegaza ojcu, matce i bratu. Tak więc zaczęli zniżać lot i oddalać się od Breadloaf, aż ujrzeni pod sobą zabudowania farmy.

Jednak w domu nie zastał nikogo. Cała rodzina wybrała się do miasteczka, bo był to sobotni wieczór. Zabrali ze sobą nawet parobka. Jim Harry nie bardzo wiedział, co począć z Pegazem, a nie chciał go zamykać w stajni; Pegaz nie zniósłby jej odoru. W końcu puścił skrzydlatego konia na pastwisko uwiązując go na długiej linie. Potem wszedł do domu.

Jeszcze tego samego wieczora odbył krótką przejażdżkę na Pegazie, z której wrócił około dziesiątej i od razu położył się do łóżka, bo był bardzo zmęczony i wyczerpany. Nie słyszał, jak rodzina wróciła, a oni nie zauważyli w ciemnościach Pegaza.

Jim Harry obudził się o świcie potrząsany przez bladego i zdenerwowanego ojca. Stary Andy Worth znalazł się na koniach i wiedział, że Pegaz nie ma prawa istnieć. A jednak na północnym

pastwisku znajdował się ogier ze skrzydłami i za każdym razem, kiedy Andy próbował podejść do niego bliżej, zwierzę wlatywało w powietrze jak ptak.

- On jest mój - powiedział Jim Harry. - Złapałem go wczoraj na Breadloaf.

- Boże Wszchemogący - jęknął Andy. - Taki cudak musi do kogoś należeć. Wciągaj spodnie i chodź ze mną. Poszli na pastwisko, a Pegaz, który w nocy zerwał się z liny, wzbił się w górę wlokąc ją za sobą jak ogon. Jim Harry poczuł się okropnie. Miał wrażenie, że traci prawą rękę.

- Zawołaj go - poradził Andy. - Może do ciebie przyjdzie.

Jim Harry posłuchał ojca. Pegaz osiadł na ziemi i przebijając nerwowo nogami nie spuszczał czujnego oka z Andy'ego.

- Złap za uzdę - powiedział stary. - O, tak. Teraz... ej, trzymaj go! - Bo w tym momencie Pegaz szarpnął się pociągając za sobą Jima Harry'ego. - Nie da mi do siebie podejść, co? No nic, nauczy się. - Andy oglądał konia fachowym okiem.

- Rzeczywiście, są prawdziwe. Nigdy o takim czymś nie słyszałem. Gadaj teraz, co się wczoraj wydarzyło, Jimie Harry, i nie wciskaj mi żadnej ciemnoty.

Jim Harry opowiedział ojcu wszystko. Andy wierzył, w co chciał. - Nie wypalę zwierzakowi żadnego piętka. Zaprowadź go do stajni. Pójdę po trochę cukru.

- Nie chcę go wprowadzać do stajni - zaczął Jim Harry, ale za pyskowanie dostał tylko w ucho. Nie bacząc na jego sprzeciwy umieścili Pegaza w stajni i zdrowo się napocili, zanim udało się im go uspokoić. Obtarł sobie skrzydła o ściany boksu, trzepocząc nimi przez chwilę jak kurczak w klatce. Andy kazał Jimowi Harry'emu spętać go bardzo starannie rzemieniami, a za protesty chłopiec zarobił parę szturchańców. Potem poszli do domu po Sarah, Toma i parobka Bucka.

Jim Harry powinien odczuwać podniecenie perspektywą pokazania im Pegaza, ale wcale go nie odczuwał. Koń wyglądał w stajni inaczej. Potrząsał łbem, marszczył nozdrza podrażnione panującym tam smrodem. Bały się go też inne konie.

- Jadę po doktora Westa - oznajmił Andy pocierając zarośniętą brodę. - On się pozna, czy to jakiś szwindel, czy nie. Chociaż po prawdzie, nie widzę tu żadnego szwindlu.

Doktor West, weterynarz, stwierdził, że Pegaz jest wybrykiem natury. On też nigdy o czymś takim nie słyszał, ale widział już dwugłowe cielę, a raz kobieta z sąsiedniego okręgu urodziła dziecko z głową kozła. Doktor West mrugnął na Andy'ego i tłumaczył mu coś półgłosem na stronie, zerkając co chwila na Sarah, która stała półprzytomna z boku gapiąc się na Pegaza.

Jim Harry nastawiał ucha, ale od niektórych rzeczy, jakie usłyszał, zrobiło mu się słabo. Jego brat Tom stał z rozdziawioną gębą, z trudem łapiąc powietrze. A smród panujący w stajni był wszechobecny. To było wstrętne.

Nie widać było, żeby ktoś zdawał sobie sprawę, że Pegaz należy do Jima Harry'ego ani że Jim Harry należy do Pegaza. Uszy jeszcze go piekły od ciężkiej ręki ojca. Od matki też nie mógł oczekiwać pomocy; mało nie zemdlął dowiedziawszy się, że Jim Harry szybował w powietrzu na skrzydlatym koniu.

Powiedziała, że to nie jest normalne.

- Ale takie stworzenia muszą mieć właściciela - upierał się Andy.

- Jeśli tak jest, usłyszysz o tym. Ta szkapa to kopalnia pieniędzy - powiedział doktor West obrzucając Pegaza pożądlivym spojrzeniem. - Nie chcesz go sprzedać, co?

- Nie, na Boga. Ja chcę... no nie wiem. Może wypożyczę go do Zoo, albo coś w tym rodzaju. Idę o zakład, że jest wart kupę forsy.

Jim Harry podbiegł do Pegaza i stanął przed boksem. On jest mój. Nie oddam go wam...

- Nie mów do mnie takim tonem - mruknął Andy. - Co byś z nim robił? Skręcisz ten swój dumny kark i cud, że jeszcze tego nie zrobiłeś. Zostawiać konia na całą noc na pastwisku z urwaną liną. Cud, że nie zwiął.

- O rany, to on umie latać? - dopytywał się Tom. Doktor West też popatrzył pytająco.

- Jasne, że umie. Sam widziałem. - Andy chciał podejść do boksu, ale dał spokój, kiedy Pegaz szarpnął się do tyłu i stanął dęba parszkając. - Doktorze, chciałbym, żebyś pan wysłał z miasta w moim imieniu parę telegramów.

- Na pewno nie chcesz go sprzedać...

Ale Andy nie nosił się z zamiarem sprzedaży i telegramy do rozmaitych ludzi zostały wysłane. Odpowiedzi nie nadeszło wiele. Nikt nie wierzył w skrzydlatego konia. Pachniało to jeszcze jednym szachrajstwem, jakich pełno w cyrku Baruma. Z Los Angeles przyjechał pewien mężczyzna zbadać sprawę na miejscu, ale nawet on nie wyrażał chęci zakupu albo wypożyczenia Pegaza do swojego cyrku.

- Tak, widzę, że jest prawdziwy - powiedział zaintrygowany - ale kto w to, u licha, uwierzy? Zaraz podniósłby się krzyk, że to kant. Gdybyśmy rozreklamowali skrzydlatego konia i pokazali ludziom szkapę z guzami na grzbiecie, nie mieliby pretensji. Ale to... on jest za prawdziwy. Publika nigdy by w to nie uwierzyła. Posądziłiby nas, że dokleiliśmy te skrzydła. To za oczywiste, żeby było prawdziwe.

- Moglibyście go puścić, żeby sobie polatał w kółko - Zasugerował Andy. - To by był dowód, że jest prawdziwy.

- A będzie latał uwiązany na linie?

Andy kazał już Jimowi Harry'emu przeprowadzić taką próbę, ale nic z tego nie wyszło. - No nie. Ale można go dosiadać - jest niezłe ujeżdżony.

- Za żadne skarby nie wsiadłbym na niego! Nie zrobiłby tego nawet akrobata od trapeza. Człowieku, toż to by było samobójstwo. Porozmawiam o tym z szefem, ale to niewiele da. Chyba żeby wyskubać wszystkie pióra ze skrzydeł. Może wtedy ludzie by to przelknęli. Jim Harry podsłuchiwał przez dziurę po sęku i cały drżał. Kiedy mężczyzna odjechał, zagadnął ojca.

- Nie zrobisz tego, prawda? Jeśli oskubać Pegaza z piór...

- Nie - odpowiedział z roztargnieniem Andy. - Posłuchaj, Jimie Harry, chciałbym, żebyś sprawdził, jak ten koń potrafi biegać. Nie latać - zwyczajnie biegać po ziemi. A pozwól mu tylko podfrunąć, to złożę cię na kwaśne jabłko.

Jim Harry był wniebowzięty, że nadarza się okazja odzyskania Pegaza. Koń był rączy. Gnał wokół północnego pastwiska jak błyskawica; skrzydła położył po sobie, a spod kopyt tryskała mu ziemia. Andy, który obserwował próbną jazdę siedząc na ogrodzeniu z drewnianych bali, zdjął z głowy słomkowy kapelusz i wachlował się nim. - Dobra jest - zawołał w końcu.

Wytrzyj go i zaprowadź do stajni.

Nazajutrz Andy wysłał następne telegramy i ściągnął na farmę człowieka, który miał zmierzyć Pegazowi czas na stoperze. Potem obaj naradzali się ze sobą jakiś czas.

Do uszu Jima Harry'ego docierały strzępy tej rozmowy. - W każdym razie jest więcej wart... cyrki przeżywają kryzys... szybciej niż Okręt Wojenny... ale nie możesz pan...

Spojrzeli obaj konspiracyjnie na Jima Harry'ego i odeszli dalej.

Wszystko to zaniepokoiło chłopca. Poszedł do stajni, gdzie Tom nadaremnie usiłował zbliżyć się do Pegaza. - Ale narowisty - powiedział Tom. - Trzeba go ujeździć. Ja też to potrafię.

Jimowi Harry'emu stanęły przed oczami ostrogi i baty, i pobladł. Wdał się z Tomem w sprzeczkę i starszy brat wyszedł w końcu ze stajni rozeźlony. Jim Harry nakarmił wtedy

Pegaza cukrem i wyszczotkował go pieczołowicie, a potem wymieszał mu papkę z otrębów i nalał świeżej deszczówki.

Skrzydlaty koń opadł z sił. Jego oko straciło swój błysk, a dumna szyja nie wyginała się już szlachetnym łukiem. Pegaz wepchnął Jimowi Harry'emu nos pod pachę i napierał nań, jakby zapraszając do przejażdżki.

- Wiem, też bym chciał. Ale nie mogę. Tata dałby mi w skórę. Żałuję, że cię tu przyprowadziłem, Pegazie. Wypuściłbym cię od razu, gdyby... - Ale to nic by nie dało. Andy kazałby Jimowi Harry'emu przywołać z powrotem skrzydlatego konia, a Pegaz by prawdopodobnie posłuchał swojego przybranego pana. Jimowi Harry'emu przypomniawszy się góra Breadloaf i lot z wiatrem w zawody, i usiadł w boksie, i poryczał się jak dziecko. Ale to też nic nie dało.

Upłynęło kilka tygodni i Andy zaczął sprawiać wrażenie coraz bardziej ponurego i rozdrażnionego. Tom molestował go bez ustanku, żeby pozwolił mu ujeździć Pegaza, aż w końcu oberwał ciężką ręką ojca tak, że rozciągnął się na ziemi jak długi. Sarah właściwie się nie wtrącała, ale wykorzystywała każdy pretekst, by nie dopuścić Jima Harry'ego do konia. Wiedziała, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Koń był wybrykiem natury, i to wybrykiem niebezpiecznym, i chłopcu leżały przez niego w głowie różne zwariowane pomysły. A i bez tego był dostatecznie zbzikowany.

No i pewnego dnia Andy wysłał Jima Harry'ego z Buckiem do miasteczka i z jakiegoś powodu wybrali polną drogę wijącą się przez góry. Stary Ford zgrzytał, sapał i popiskiwał zjechanymi oponami na zakrętach. Buck, barczysty, mrukowaty gbur, nie odzywał się wiele.

- Mamy mnóstwo siodła - powiedział Jim Harry nie mogąc znaleźć sobie miejsca na połamanych sprzężynach. Na co nam więcej? I po co ja mam z tobą jechać?

- Rób, co ci każe stary - burknął Buck mocując się z pedałem hamulca, który zaklinował się w otworze podłogi. Po prawej mieli pionowe urwisko opadające w bezdenną przepaść. Po lewej wznosiło się strome zbocze. Zagotowała się woda w chłodnicy i w tej samej chwili wyszli z zakrętu na prostą i ujrzeni pokręconego karła stojącego przy drodze i ściskającego w wielkich dłoniach zakrzywiony kostur.

Jim Harry poznał człowieczka. Kazał się Buckowi zatrzymać, ale parobek wymamrotał tylko przekleństwo pod adresem autostopowiczów i jechał dalej. Nie ujechał jednak daleko, bo silnik zgasł i zablokowały się na drodze hamulce. Karzeł zawołał do Jima Harry'ego.

- Robią coś niedobrego Pegazowi, chłopcze - powiedział. - Wysłali cię do miasteczka, żeby się ciebie pozbyć. Serce uciekło Jimowi Harry'emu w pięty. - Co oni robią? - spytał.

- Twój ojciec chce zrobić z Pegaza konia wyścigowego. Jest rączy, jak wiesz, i więcej z tego pieniędzy niż z cyrku. Ale nikt nie dopuściłby skrzydlatego konia do gonitwy, a więc do twojego ojca przyjechał doktor West i zamierzają przeprowadzić operację obcięcia skrzydeł. To dlatego wysłali cię do miasteczka. Pegaz umrze od tego, chłopcze...

- Stul pysk! - wrzasnął Buck i posłał karłowi wulgarnie przekleństwo. Wskoczył też zaraz z samochodu i rzucił się na tamtego z podniesioną pięścią. Jim Harry wiedział już, jak Buck nokautuje ludzi tą gromiącą ręką, krzyknął więc ostrzegawczo i usiłował wygramolić się z Forda. Ale farmerki zaczepiły mu się o popękane sprzężyny sterczące z siedzenia.

Jednak pomoc Jima Harry'ego nie była potrzebna. Karzeł podniósł tylko swój zakrzywiony kostur i dzielił nim Bucka. Nie wyglądało to na silny cios; mimo to pod Buckiem ugięły się nogi i padł jak rażony piorunem.

- Żyje - powiedział karzeł. - Jest tylko ogłuszony. A ty lepiej wracaj do domu, chłopcze.

Wydaje mi się, że saochód będzie teraz działał. Mówiłem ci, żebyś nie pozwałał Pegazowi długo pozostawać na ziemi. On należy do nieba.

Jim Harry wślizgnął się za kierownicę i próbował uruchomić silnik. Zaskoczył bez większych kłopotów. Hamulce też nie były już zablokowane. Jim Harry z pewną trudnością zawrócił wóz na wąskiej drodze i puścił się na złamanie karku w drogę powrotną do domu.

Cud, że się nie zabił. Dziwne w tym wszystkim było to, że przejechał bez szwanku przez góry i nic się nie wydarzyło, dopóki nie zbliżył się do domu. Nad rowem irygacyjnym biegnącym wzdłuż drogi przerzucony był mostek z surowych desek; w swych najlepszych czasach był rozchwiany. Jim Harry wszedł w zakręt ze zbyt dużą szybkością, lewa przednia opona uderzyła w coś i pękła. Ford wpadł w poślizg i spadł z mostka. Nie było tam zbyt wysoko, a woda ledwie ciurkała rowem, ale samochód przewrócił się i złożył jak akordeon. Jima Harry'ego zamoczyło na jakąś minutę. Ocucił go straszny ból. Leżał we wraku, a jego prawa stopa była jednym pulsującym splotem bólu. Wydawało mu się, że jest przygnieciona pod samochodem i rzeczywiście tkwiła zmiażdżona między metalem a gładem zarytym w bloku. Gdyby samochód nie osiadł i nie zsunął się troszkę, Jim Harry mógłby tam tak leżeć aż do nadejścia pomocy. A najwyraźniej nikt nie słyszał łomotu, bo w stajni przeraźliwie rżał koń.

Jim Harry poczuł swąd spalenizny. Stopę miał już wolną i usiłował wstać. Ale nie mógł. Poczołgał się więc przez błoto i wgramolił jakoś na pochyły brzeg rowu. Spojrzał nareszcie na stopę, którą włókł za sobą.

No tak, to już nie była stopa. Nie pomógłby tu żaden chirurg. Jim Harry mógłby się jednak w końcu nauczyć posługiwania szczudłem. Ale przypomnijcie sobie żądzę włóczęgi, jaka tkwiła w jego stopach, i nic w tym dziwnego, że Jim Harry chciał już zawrócić do rowu i rozwalić sobie głowę o kawał poszarpanej blachy, który wciąż tam sterczał.

Nie uczynił tego jednak, tylko krzyknął.

Wrzawa w stodole ucichła, jakby nożem uciął. Potem pod niebo wzbił się alarmujący, oszalały ryk. Czy słyszeliście kiedykolwiek koński kwik? Nie ma niczego podobnego na tym ziemskim padole. Kwiczał Pegaz i darli się ludzie zgromadzeni w stodole. Rozległ się trzask łamanego drewna i turkot chyżych kopyt. Wrota stajni rozwarły się z impetem; przez sekunde zamajaczyła w nich sylwetka uniesionego na tylnych nogach skrzydlatego konia, całego białego, stojącego dęba, wierzgającego w powietrzu kopytami; nozdrza miał czerwone, rozszerzone.

Jakiś człowiek wrzeszczał z bólu; inny klął szpetnie.

Pegaz, wlokąc za sobą porwane rzemienie i pęknięty łańcuch, puścił się jak burza przez łąkę. Rozpostarł w biegu skrzydła i krzyknął z bólu. Jedno potężne skrzydło zbryzgane było krwią. Wzbił się w powietrze, zatoczył koło i zniżył lot kierując się na Jima Harry'ego. Wylądował lekko jak piórko obok leżącego chłopca. Pochylił łeb i trącił Jima Harry'ego w twarz aksamitnym pyskiem. Młodzieniec wyciągnął ramiona i objął nimi silną szyję zwierzęcia. Nadbiegali ludzie. - Trzymaj go!... Co się stało?... Nie puszczaj go!

Jim Harry spojrzał Pegazowi w oczy i człowiek z koniem zrozumieli się bez słów. Chłopiec wstał podciągając się na długiej grzywie; zacisnął zęby, żeby nie krzyknąć z bólu. A Pegaz ukląkł, żeby Jim Harry mógł wdrapać się na jego szeroki grzbiet. Lejc nie było, ale nie były potrzebne.

Gdy biegnący ludzie byli już blisko, Pegaz odbił się od ziemi. Wzleciał w górę oszczędzając trochę jedno skrzydło, ale z chłopcem na grzbiecie, zdawało się, znalazł w sobie nowe siły. Jim Harry trzymał się grzywy. Spojrzał w dół i zobaczył malejącą coraz bardziej farmę. Zobaczył tę Górę Breadloaf na wschodzie, a jeszcze dalej na wschód Sierre.

- Wyżej - wyszeptał. - Wyżej, Pegazie.

Jego wzrok sięgał już za Sierę. Widział Pacyfik. Ostry wiatr łagodził palący ból w zmiążdżonej stopie. Po obu jego stronach wznosiły się miarowo i opadały wielkie skrzydła. Wyżej . .

Pegaz odrzucił w tył łeb i odpowiedział. Wznosili się szybując na wiatrach i nie było już widać farmy, a góra Brealoaf ledwie majaczyła w dole i Dolina nie wydawała się już tak ogromna.

I wtedy, o dziwo, przemówił pokręcony, staary karzeł, chociaż Jim Harry nigdzie go nie widział.

- Pamiętaj, co ci powiedziałem, chłopcze. Pegaz stanie się twoimi stopami i zabierze cię hen, daleko; stanie się twoimi oczami i ujrzysz cudowne rzeczy. Ale nie dopuść, by pozostawał długo na ziemi.

- Nie dopuszczę - obiecał Jim Harry.

- Nigdy już nie zniżaj lotu, Pegazie. Wzlatuj w górę...

Wiatr był przenikliwie zimny. Niebo pociemniało, przybierając barwę purpury.

Pojawiło się nieśmiało kilka gwiazd. Ziemia obracała się powolnym, majestatycznym ruchem, niewiarygodnie daleko pod kopytami Pegaza.

Palce Jima Harry'ego zaciskały się kurczowo na końskiej grzywie. Potem powoli, stopniowo, ich uścisk zaczął słabnąć.

przekład : Jacek Manicki

Henry Kuttner      Polisa ubezpieczeniowa na dożywocie

Kiedy Denny Holt zgłosił się telefonicznie do centrali, czekało na niego wezwanie. Denny nie przyjął go z entuzjazmem. W taki deszczowy wieczór jak dziś o kurs było łatwo, a teraz będzie musiał jechać. zatłoczonymi ulicami aż do Columbus Circle.

- Też coś - powiedział w słuchawkę. - Dlaczego ja? Poślijcie któregoś z chłopaków; facet się nie połapie. Jestem w Village, a ze śródmieścia to kawał drogi.

- On chce ciebie, Holt. Podał twoje nazwisko i numer. Pewnie jakiś twój przyjaciel. Będzie pod pomnikiem... w czarnym płaszczu i z laską.

- Kto to taki?

- Skąd mogę wiedzieć? Nie powiedział. Jedź już.

Holt niepocieszony odwiesił słuchawkę i wrócił do taksówki. Woda kapła mu z daszka czapki, deszcz zamazywał szybę. Poprzez zaciemnienie widział rząd słabo oświetlanych drzwi i słyszał szafy grające. W taki wieczór dobrze jest być pod dachem, więc rozważał, czy nie należałoby wpaść do Piwnicy i strzelić sobie żytniówki. Ech, co tam. Zmienił bieg i w ponurym nastroju ruszył wzdłuż Greenwich Avenue.

W tych czasach trudno było nie potrącić przechodnia; mieszkańcy Nowego Jorku nigdy zresztą nie zwracali uwagi na światła, a wskutek zaciemnienia ulice przekształciły się w

czarne, cieniste kaniony. Holt wyjeżdżał ze śródmieścia nie zważając na wołania:

„Taksówka”. Jezdnia była wilgotna i śliska. A opony też nie najlepsze.

Wilgotny chłód przenikał do kości. Stukot silnika nie działał pocieszająco. Pewno niebawem gruchot zupełnie się rozleci. Potem - no cóż, o posadę dziś łatwo, ale Holt odczuwał awersję do ciężkiej pracy. Fabryki zbrojeniowe - mhm.

W zadumie okrążył z wolna rondo Columbus wypatrując pasażera. Oto i on - jedyna sylwetka nieruchomo tkwiąca na deszczu. Inni przechodnie szybko przemykali przez jezdnię, wymijając trolejbusy i samochody.

Holt przystanął i otworzył drzwiczki. Tamten się zbliżył. Miał laskę, lecz był bez parasola i woda lśniła na jego ciemnym płaszczu. Bezkształtny kapelusz z opuszczonym rondem osłaniał mu głowę, a bystre ciemne oczy bacznie wpatrywały się w Holta.

Mężczyzna był stary - zdumiewająco stary. Rysy twarzy ginęły pod zmarszczkami i fałdami obwisłej ziemistej skóry.

- Dennis Holt? - spytał chrapliwie.

- To ja, brachu. Wskakuj i osusz się trochę. Starzec usłuchał.

- Dokąd? - zapytał Holt.

- Co? Jedźmy przez park.

- Do Harlemu?

- No... tak, tak.

Wzruszywszy ramionami Holt skręcił w stronę Central Parku. Wariat. I na oczy go przedtem nie widział. W lusterku obrzucił wzrokiem pasażera. Tamten pilnie wpatrywał się w fotografię taksówkarza i numer jego karty. Najwyraźniej zadowolony odchylił się do tyłu i wyciągnął „Timesa” z kieszeni.

- Zapalić światło? - odezwał się Holt.

- Światło? Tak, proszę bardzo. - Ale nie było mu potrzebne na długo. Wystarczyło, że spojrzął na gazetę, po czym usiadł głębiej, zgasił lampkę i popatrzył na zegarek.

- Która godzina? - zagadnął.

- Około siódmej.

- Siódma. I mamy dziś dziesiątego stycznia 1943.

Holt nie odpowiedział. Pasażer odwrócił się i spojrzął przez tylną szybę. Robił to raz po raz. Po pewnym czasie nachylił się do przodu i znów odezwał do Holta.

- Chciałbyś zarobić tysiąc dolarów?

- Wolne żarty.

- To nie żarty - powiedział mężczyzna i Holt nagle zdał sobie sprawę, że facet ma dziwny akcent, niewyraźnie wymawia spółgłoski, jak Hiszpan rodem z Kastylii. - Mam pieniądze... waszą obecną walutę. Grozi pewne niebezpieczeństwo, więc ci nie przepłacam.

Holt wpatrywał się prosto przed siebie.

- Taak?

- Potrzebna mi obstawa, to wszystko. Próbują mnie uprowadzić czy może nawet zabić.

- Na mnie niech pan nie liczy - odparł Holt. - Odwiozę pana na komisariat. To panu potrzebne.

Coś pacnęło na przednie siedzenie. Holt spojrzął i poczuł, że grzbiet mu sztywnieje. Jedną ręką podniósł zwitek banknotów i przeliczył je palcami. Tysiąc dolców... jeden kawałek.

Pachniały stęchlizną.

- Wierzaj, Denny - rzekł stary. - Potrzebna mi jest twoja pomoc. Nie mogę opowiedzieć ci wszystkiego, bo wzięłbyś mnie za wariata, lecz tyle ci zapłacę za dzisiejsze usługi.

- Nie wyłączając morderstwa? - zaryzykował Holt. - I co pan wyjeżdża z moim imieniem?

Pierwszy raz widzę pana na oczy.

- Śledziłem cię... wiem o tobie niejedno. I dlatego wybrałem cię. Nie chodzi o nic niezgodnego z prawem. Jeśli będziesz miał podstawy, by sądzić inaczej, w każdej chwili możesz się wycofać i zatrzymać pieniądze.

Holt się zastanowił. Brzmiało to podejrzanie, ale nęcąco. Tak czy siak, pozostawiało mu furtkę. A tysiąc dolców...

- No dobra, kawa na ławę. Co mam robić?

- Próbuję się wymknąć pewnym moim wrogom. Potrzebuję twojej pomocy. Jesteś młody i silny.

- Ktoś usiłuje pana sprzątnąć?

- Sprzątnąć... och. Pewno do tego nie dojdzie. Zabójstwo jest źle widziane, chyba że w ostateczności. Ale wciąż mi deptali po piętach. Maże teraz ich zgubiłem. Nie widzę z tyłu taksówek...

- Myli się pan - powiedział Holt.

Zapadło milczenie. Starzec znów spojrzał przez tylną szybę. Holt uśmiechnął się krzywo.

- Jeśli chce pan ich zmylić, to nie w Central Parku. Łatwiej będzie zgubić pańskich przyjaciół na ruchliwej jezdni. Zgoda, podejmuję się tej roboty. Ale jak poczuje smród, mam prawo się wycofać.

- Doskonale, Denny.

Holt skręcił w lewo na wysokości ulicy Siedemdziesiątej Drugiej.

- Pan mnie zna, ale ja nie znam pana. Co jest grane, że pan mnie sprawdza? Jest pan detektywem?

- Nie. Nazywam się Smith.

- Oczywiście.

- A ty... Denny... masz dwadzieścia lat i jesteś zwolniony ze służby wojskowej ze względu na wadę serca.

- I co z tego? - burknął Holt.

- Nie chcę, żeby cię szlag trafił.

- Nie trafi. Serce ma w porządku i prawie wszystko mogę robić. Tylko lekarz z komisji był innego zdania.

Smith przytaknął.

- Wiem o tym. A więc, Denny...

- Co?

- Musimy się upewnić, czy nikt za nami nie jedzie.

- Założmy, że się zatrzymam przy centrali FBI? - powiedział Holt wolno. - Oni nie lubią szpiegów.

- Jak chcesz. Mogę im udowodnić, że nie jestem wrogim agentem. Nie mieszam się do tej wojny, Denny. Po prostu pragnę zapobiec zbrodni. Jeśli to mi się nie uda, dziś w nocy spłonie donn i zniszczeniu ulegnie pewien cenny wzór.

- Tym się powinna zająć straż pożarna.

- Tylko my dwaj możemy wypełnić to zadanie. Nie wolno mi powiedzieć dlaczego. Tysiąc dolarów, pamiętaj.

Holt pamiętał. Tysiąc dolarów miało dla niego obecnie wielkie znaczenie. Nigdy w życiu nie rozporządzał taką sumą. To był majątek; kapitał na rozpoczęcie czegoś. Holt nie miał wykształcenia. Aż do tej pory wyobrażał sobie, że zawsze będzie wykonywał nudną i żmudną pracę. Ale z kapitałem - no cóż, pomysłów mu nie brakło. Koniunktura była sprzyjająca. Mógłby otworzyć interes; tak się robi forszę. Okrągły tysiączek. Taak. To może oznaczać przyszłość.

Wjechał z parku w ulicę Siedemdziesiątą Drugą i skręcił na południe w Central Park West.

Kątem oka dostrzegł skręcającą za nim drugą taksówkę. Próbowwała go wyprzedzić. Holt usłyszał, że pasażer dyszy ciężko i coś wykrzykuje. Nacisnął na hamulec, zobaczył, że tamta

taksówka ich mija, mocno skręcił kierownicę i dodał gazu. Szybko zawrócił i pomknął z powrotem na północ.

- Spokojnie - rzekł do Smitha.

W drugim wozie siedziało czterech mężczyzn; dojrzał ich w przelocie. Byli gładko ogoleni i w ciemnych ubraniach. Mogli trzymać broń, lecz Holt za to nie ręczył. Teraz i ani zawracali, wymijając inne pojazdy, nie zrażeni trudnościami.

Holt skręcił w lewo w pierwszą nadającą się do tego ulicę, przeciął Broadway i ze skrzyżowania dwupoziomowego wjechał w Henry Hudson Parkway, stamtąd zaś miast skierować się na południe, wrócił po zrobieniu pełnego koła aż na West End Avenue. Tą aleją pomknął na południe i niebawem dotarł do ósmej Alei. Tu jezdnia była bardziej zatłoczona. Pościg stracili z oczu.

- Co teraz? - spytał.

- Ja... nie wiem. Musimy się upewnić, żeśmy ich zgubili - odrzekł Smith.

- Dobra. Będą krążyli w kółko i rozglądali się za nami. Lepiej zmyć się z jezdni. Pokażę panu jak. - Wjechał na parking, kupił bilet i przynaglił Smitha do wyjścia.

- Teraz zaczekamy, aż będzie można bezpiecznie znów ruszyć.

- Gdzie?

- Może w jakimś zacisznym barze? Drink by mi nie zaszkodził. Paskudna noc.

Smith jakby całkowicie oddał się w ręce Holta. Skręcili w Czterdziestą Drugą ulicę, z jej słabo oświetlonymi spelunkami, teatrzykami wodewilowymi, ciemnymi markizami kin i tanimi lokalami rozrywkowymi. Holt przepychał się przez tłum, ciągnąc Smitha za sobą. Przez drzwi wahadłowe weszli do knajpki, bynajmniej nie zacisznej. W rogu ryczała szafa grająca nastawiona na cały regulator.

Holt zwrócił uwagę na pustą łóżę w głębi. Usiadł tam i skinąwszy na kelnera poprosił o żytniówkę. Smith po chwili wahania zamówił to samo.

- Znam ten lokal - rzekł Holt. - Jest tu tylne wyjście. Jeśli nas odnajdą, będziemy mogli szybko się wynieść.

Smith zadrzał.

- Niech pan o tym nie myśli - poradził Holt. By go pocieszyć, wyciągnął mosiężny kastet. -

Noszę go przy sobie na wszelki wypadek. Więc proszę się odprężyć. A oto i żytniówka. -

Wypił jednym haustem i poprosił o następną. Ponieważ Smith nie zdradzał zamiaru płacenia, rachunek uregulował Holt. Mógł sobie na to pozwolić z tysiącem w kieszeni.

Oślaniając ciałem banknoty wyciągnął je i poddał bliższym oględzinom. Na pozór nic im nie brakowało. Nie były sfalszowane; numery serii miały dobre. I wydzielaly ten sam dziwny zapach stęchlizny, który Holt zdążył poczuć już wcześniej.

- Musiał je pan długo gromadzić - zaryzykował.

- Były na wystawie przez sześćdziesiąt lat... - odparł Smith z roztargnieniem. Połapał się i

napił żytniówki. Holt obserwował go spode łba. To nie były te staroświeckie płachty

banknotów. Sześćdziesiąt lat, też coś! Oczywiście Smith wyglądał na tyle. Jego pomarszczona, bezpłciowa twarz mogła być z powodzeniem twarzą dziewięćdziesięciolatka.

Holt zastanawiał się, jak też, facet mógł się prezentować za młodu. I kiedy to było?

Najpewniej podczas wojny domowej!

Ponownie schował pieniądze, świadomy, że płonie zadowoleniem, nie dającym się złożyć wyłącznie na karb trunku. Denny Holt zrobił początek. Ten tysiąc Bolców w coś zainwestuje i na pewno mu się powiedzie. Koniec z taksówką, to niewątpliwe.

Na parkiecie wielkości znaczka pocztowego tancerze kołysali się i podrygiwali. Gwar nie milkł, głośne rozmowy przy barze szły o lepsze z muzyką płynącą z szafy. Holt bezmyślnie osuszał papierową serwetką piwo rozlane przed nim na stoliku.

- Nie zechciałby mi pan powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? - zagadnął wreszcie.

Niewiarygodnie stara twarz Smitha mogła mieć jakiś wyraz; trudno było odgadnąć.

- Nie mogę, Denny. Ty byś mi nie uwierzył. Która godzina?

- Dochodzi ósma.

- Czasu wschodniego, starej rachuby... i mamy dziś dziesiątego stycznia. Musimy dotrzeć do celu przed jedenastą.

- Gdzie to jest?

Smith wyciągnął i rozłożył plan miasta, go czym podał adres w Brooklynie. Holt go odnalazł.

- Blisko plaży. Miejsce dość odludne, prawda?

- Nie wiem. Nigdy tam nie byłem.

- Co ma się zdarzyć o jedenastej?

Smith pokręcił głową, lecz wprost nie odpowiedział. Rozprostował serwetkę.

- Masz stylograf?

Holt się zawahał, po czym podał mu paczkę papierosów.

- Nie... nie, ołówek. Dziękuję. Przyjrzyj się dobrze temu planowi, Denny. To parter domu w Brooklynie, do którego pojedziemy. W suterenie mieści się laboratorium Keatona.

- Keatona?

- Tak - potwierdził Smith po chwili. - To fizyk. Pracuje nad dość ważnym wynalazkiem. Ma on być tajemnicą.

- Dobra. No i co?

Smith szkicował pośpiesznie.

- Dom jest dwupiętrowy, powinien być otoczony dużym ogrodem. Tu się mieści biblioteka. Można się do niej dostać przez te okna, a sejf powinien być ukryty za kotarą gdzieś tutaj. - Przycisnęła czubek ołówka. Holt zmarszczył brwi.

- Czuję pismo nosem.

- Co? - Smith nerwowo zacisnął dłoń. - Pozwól mi skończyć. Sejf będzie otwarty. Znajdziesz w nim brązowy notatnik. Chcę, żebyś wyciągnął ten notatnik...

- ...i przesłał pocztą lotniczą Hitlerowi - dokończył Holt, szyderczo wykrzywiając wargi.

- ...i przekazał do departamentu wojny - rzekł Smith niewzruszony. - Czy to cię zadowala?

- No, to już brzmi lepiej. Ale dlaczego sam pan tego nie zrobi?

- Nie mogę - odparł Smith. - Nie pytaj dlaczego; po prostu nie mogę. Mam związane ręce. - Bystre oczy mu lśniły. - Ten notatnik zawiera nieopisanie ważną tajemnicę, Denny.

- Wojskową?

- Nie jest zaszyfrowana; łatwo ją odczytać. I zastosować rzecz w praktyce. Na tym polega całe piękno. Każdy by mógł...

- Mówił pan, że ten donn w Brooklynie należy do faceta nazwiskiem Keaton? Co się z nim stało?

- Nic... jak dotąd. - Smith pośpiesznie zmienił temat. - Wzór nie powinien zginąć i dlatego musimy się tam dostać tuż przed jedenastą.

- Jeśli to aż takie ważne, czemu nie pojedziemy zaraz i nie wydostaniemy notatnika?

- Wzór będzie gotów dopiero parę minut przed jedenastą. Teraz Keaton doprowadza pracę do stadium końcowego.

- To jakieś niedorzeczne - poskarżył się Holt. Wypił jeszcze jedną żytniówkę.

- Czy ten Keaton to nazista?

- Nie.

- A czy to raczej nie on potrzebuje obstawy?

Smith potrząsnął głową.

- To nie tak, Denny. Możesz mi wierzyć, wiem, co robię. Jest wprost niesłychanie ważne, żebyś zdobył ten wzór.

- Hm.

- Zachodzi pewne niebezpieczeństwo. Moi... wrogowie... mogą tam czekać. Ale ja ich odciągnę i umożliwię ci wejście do domu.

- Wspomniał pan, że mogą pana zabić.

- Mogą, lecz pewnie tego nie zrobią. Zabójstwo to ostatnia deska ratunku, choć zawsze możliwa jest eutanazja. Tyle że ja nie jestem odpowiednim kandydatem.

Holt nie próbował zrozumieć poglądu Smitha na eutanazję; uznał, że to jakaś nazwa i oznacza zażycie proszku.

- Za tysiąc dolców - powiedział - zaryzykuję.

- Jak długo jedzie się do Brooklynu?

- Podczas zaciemnienia, powiedzmy, godzinę: - Holt poderwał się szybko. - Chodźmy. Są pańscy przyjaciele.

W ciemnych oczach Smitha odmalowało się przerażenie. Jakby się skurczył wewnątrz obszernego płaszcza.

- Co zrobimy?

- Wyjdziemy tylnymi drzwiami. Jeszcze nas nie widzieli. W razie gdybyśmy się pogubili, proszę iść na parking, gdzie zostawiłem taksówkę. - T-tak, dobrze:

Przepchnęli się między tańczącymi, do kuchni i dalej na pusty korytarz. Smith otworzył drzwi i znalazł się w zaułku. Zamajaczyła przed nim wysoka postać, ledwie widoczna w ciemnościach. Smith przeraźliwie pisnął ze strachu.

- W nogi! - rozkazał Holt. Odepchnął starca. Ciemna postać wykonała jakiś ruch i Holt rąbnął szybko w niewyraźnie zarysowaną szczękę. Pięść wylądowała w próżni. Przeciwnik wykonał prędko unik.

Czmychający Smith już ginął w cieniu. Zamarł odgłos jego gośpiesznych kroków.

Holt z sercem walącym jak szalone postąpił krok do przodu.

- Zejdz mi z drogi - powiedział głosem tak gardłowym, że słowa przypominały warknięcie.

- Przepraszam - odezwał się jego przeciwnik. - Nie jedź dziś do Brooklynu.

- A to czemu? - Holt nasłuchiwał odgłosów, które mogły oznaczać, że nieprzyjaciół jest więcej. Jak dotąd panowała jednak głucha cisza, przerywana tylko odległymi klaksonami samochodów i stłumioną wrzawą dobiegającą z pobliskiego Times Square.

- Obawiam się, że gdybym ci powiedział, i tak byś nie uwierzył. Mężczyzna mówił z tym samym kastyljskim akcentem, tak samo zamazując spółgłoski jak Smith. Holt wyteżył wzrok, żeby się przyjrzeć jego twarzy, ale było za ciemno.

Ukradkiem wsunął rękę do kieszeni i poczuł krzepiący chłód mosiężnego kastetu.

- Jeśli wyciągniesz broń... - zaczął.

- My nie używamy broni. Posłuchaj, Dennisie Holt. Wzór Keatona musi zostać zniszczony z nim razem.

- Niby czemu... - Holt zaatakował bez ostrzeżenia. I już nie chybił. Poczuł, jak kastet uderza w coś twardego, po czym osuwa się po śliskim, skrwawionym ciecie. Ledwo widoczna sylwetka pochyliła się, ze zdławionym okrzykiem w krtani. Holt potoczył wzrokiem dokoła i nie dojrawszy nikogo zaczął sadzić wyciągniętymi susami przed siebie. Jak dotąd całkiem nieźle.

Pięć minut później był już na parkingu. Smith czekał na niego, wysuszony kruk w ogromnym płaszczu. Palce starego wybijały nerwowy rytm na lasce.

- Chodźmy - powiedział Holt. - Teraz musimy się pośpieszyć.

- Czy...

- Rozłożyłem go na obie łopatki. Nie miał broni... albo nie chciał jej użyć. Na moje szczęście. Smith się skrzywił. Holt odnalazł taksówkę i sprowadził ją na dół po rampie, kierując ostrożnie, cały czas w pogotowiu. Taksówkę piekielnie łatwo jest wysledzić. Zwłaszcza przy zaciemnieniu.

Jechał na południowy wschód, w stronę Bowery, ale na ulicy Essex, koło stacji kolei podziemnej, tamci ich dogonili. Holt skręcił w boczną uliczkę. Jego lewy łokieć, wsparty o okienko, zeszywniał i zmarł na sopel.

Prowadził prawą ręką, dopóki w lewej nie odzyskał czucia. Mostem Williamsburg wjechał do Kings, kluczył, na przemian to przyśpieszał, to zawracał, aż wreszcie znów pozbył się cieni. Trwało to czas jakiś. A mieli jeszcze kawał drogi przed sobą, bo wybrał okrężną trasę. Po skręcie w prawo ruszył na południe do Prospect Park, potem na wschód, ku odludnym plażom na odcinku między Brighton Beach i Canarsie. Skulony na tylnym siedzeniu Smith nie odzywał się ani słowem.

- Jak dotąd wszystko w porządku - zauważył Holt przez ramię. Tak czy owak, odzyskałem władzę w ręce.

- A co się stało?

- Uderzyłem się chyba w łokieć.

- Nie - wyjaśnił Smith. - To był porażacz. Taki jak ten. Pakował laskę.

Holt nie zrozumiał. Jechał dalej, aż w końcu znaleźli się prawie u celu. Zaparkował za rogiem, nie opodał sklepu alkoholowego.

- Skoczę po flaszkę - oznajmił. - Jest za zimno i za makro, muszę sobie strzelić coś dla rozgrzewki.

- Nie mamy czasu.

- Oczywiście, że mamy,

Smith zagryzł wargę, ale już się nie sprzeciwiał. Holt kupił pół litra żytniówki, a kiedy pasażer nie przyjął poczęstunku i w odpowiedzi przecząco pokręcił głową, pociągnął zdrowy łyk.

Trunek pomógł zdecydowanie. Noc była piekielnie zimna i przykra; deszcz niesiony wiatrem siekł ulicę, spływał po szybie. Zużyte wycieraczkę nie na wiele się przydawały. Wiatr wył jak potępiony.

- Jesteśmy dość blisko - zauważył Smith. - Lepiej się tu zatrzymać i ukryć gdzieś taksówkę.

- Gdzie? Dookoła są same domy prywatne.

- Na podjeździe... co?

- Dobra. - Holt znalazł podjazd osłonięty obwisłymi gałęziami drzew i bujnie rozrosłymi krzewami. zgasił światła, wyłączył silnik i wysiadł ze spuszczoną głową i nastawionym kołnierzem deszczowca. Przemókł natychmiast. Lało równo, rzęsiście, a krople wybijały głośne staccato w kałużach. Pod stopami Holt poczuł śliskie, zmieszane z piaskiem błoto.

- Chwileczkę - powiedział i wrócił do wozu po latarkę. - Gotowe. Co teraz?

- Do domu Keatona. - Smithem wstrząsały konwulsyjne dreszcze. - Jeszcze nie ma jedenastej. Będziemy musieli poczekać.

Czekali ukryci w zaroślach ogrodu Keatona. Dam jak cień majaczył na tle chwiejnej kurtyny nawilgłego mroku. Przez oświetlone okno parteru widać było część wnętrza jakby biblioteki.

Głuchy łoskot fal rozbijających się na brzegu dobiegał z lewej strony.

Woda kapała Holtowi za kołnierz. Zaklął z cicha. On zarabia tysiąc dolców, więc bardzo proszę. Ale Smith znosi te same niewygody i nie narzeka.

- Czy to nie...

- Cii! - ostrzegł Smith. Tamci... mogą być tutaj.

Holt posłusznie ściszył głos.

- Więc i oni przemokną. Czy im chodzi o notatnik? Czemu nie wejdą i nie wezmą go sobie?

Smith obgryzał paznokcie.

- Oni chcą go zniszczyć.

- Jasne, to właśnie powiedział tamten facet w zaułku - potaknął Holt zaskoczony. - Ale kim oni są?

- Mniejsza o to. Oni są nietutejsi. Pamiętasz, co ci mówiłem, Denny?

- O zdobyciu notatnika? A co ja zrobię, jeśli sejf nie będzie otwarty?

- Będzie - odrzekł Smith z przekonaniem. - Już niedługo. Keaton jest na dole w laboratorium. Kończy przeprowadzanie eksperymentu. W oświetlanym oknie mignął cień. Holt wychylił się w przód; poczuł, że stojący obok Smith napręża się jak struna. Z jego gardła wyrwał się krótki oddech.

W bibliotece pojawił się mężczyzna. Podeszedł do ściany, odsunął zasłonę i stał zwrócony do Holta plecami. Po chwili zrobił krok w tył, otwierając drzwiczki sejfu.

- Gotowe! - oznajmił Smith. - O to chodziło! Zapisuje ostatni człon wzoru. Wybuch nastąpi za minutę. A wtedy, Denny, muszę mieć chwilę czasu, żeby uciec i wywołać zamieszanie, jeśli tamci są tutaj. - Chyba ich nie ma.

Smith pokręcił głową.

- Zrób, jak mówię. Biegnij do domu i zdobądź notatnik.

- A co potem?

- Potem zwiewaj, jak najszybciej potrafisz. Rób, co chcesz, byleś się nie dał złapać.

- A pan?

W oczach Sznitha zapłonął stanowczy, władczy błysk. Zalśniły w wietrznej pomroce.

- Zapomnij o mnie, Denny. Ja będę bezpieczny.

- Wynajął mnie pan jako obstawę.

- Więc cię zwalniam. To sprawa zasadniczej wagi, ważniejsza niż moje życie. Ten notatnik musi się znaleźć w twoich rękach...

- Dla departamentu wojny?

- Dla... och, tak. Zrobisz to, co, Denny?

Holt się zawahał.

- Jeśli to aż takie ważne...

- Tak! Bardzo ważne.

- No więc zgoda.

Za oknem mężczyzna pisał coś przy biurku. Nagle szyba wyleciała z framugi. Detonacja była przytłumiona, jakby wybuch nastąpił pod ziemią, lecz Holt poczuł, że grunt chwieje mu się pod nogami. Widział, jak Keaton się zrywa, robi pół kroku w przód i wraca, chwyta notatnik. Fizyk podbiegł do sejfu ściennego, wrzucił notatnik do worka, zatrzasnął drzwiczki i przystanął na moment, zwrócony tyłem do Holta. Potem wybiegł z jego pola widzenia i zniknął.

Smith odezwał się głosem urywanym z podniecenia:

- Nie miał czasu go zamknąć. Czekaj, aż zawołam, Denny, a wtedy łap ten notatnik!

- Dobra - odrzekł Holt, lecz Smitha już nie było, pobiegł przez krzaki. Wrzask z głębi domu zwiastował ukazanie się czerwonych płomieni, które buchnęły z odległego okna na parterze. Coś zawałiło się z łoskotem. Cegły, pomyślał Holt.

Usłyszał krzyk Smitha. Nie mógł go widzieć w tym deszczu, lecz rozległy się odgłosy bójki. Holt zawahał się na ułamek sekundy. Niebieskie snopy światła śaczyły się przez ulewę, blade i niewyraźne z daleka.

Powinien pomóc Smithowi...

Ale obiecał, a chodziło przecież o notatnik. Ścigający ich chcieli go zniszczyć. Teraz zaś dom najwyraźniej płonie. Keaton przepadł bez śladu.

Pobiegł do oświetlonego okna. Z powodzeniem zdąży wy dostać notatnik, zanim pożar stanie się niebezpieczny.

Kątem oka dojrzał zmierzającą ku niemu ciemną postać. Wsunął na palce kastet. Jeśli facet ma broń, będzie miał pecha; w przeciwnym wypadku szanse są dość równe.

Mężczyzna, ten sam, z którym Holt zmierzył się w zaułku przy ulicy Czterdziestej Drugiej, podniósł i wycelował w niego laskę. Wypłynął z niej bladoniebieski snop światła. Holt poczuł, że nogi mu drętwieją, i ciężko runął na ziemię.

Tamten biegł dalej. Holt się poderwał i rzucił desperacko do przodu. Nic z tego.

Płomienie rozjaśniały teraz noc swym blaskiem. Wysoka, czarna sylwetka zamajaczyła na moment na tle okna biblioteki; potem mężczyzna przelazł przez parapet. Holt zdołał utrzymać równowagę i na zeszywniałych nogach chwiejnie ruszył przed siebie. Cierpiał męczarnie: jakby tysiącrotnie boleśniejsze uczucie cierpięcia.

Dotarł do okna i uczepiwszy się parapetu zajrzał do środka. Jego przeciwnik majstrował przy sejfie. Holt podciągnął się w górę na rękach i pukuśtykał w kierunku mężczyzny.

Pięść z kastetem ścisnął w pogotowiu.

Nieznajomy uskoczył lekko i zamachnął się laską. Na brodzie miał plamę zakrzepłej krwi.

- Zamknąłem sejf - powiedział. - Powinieneś stąd zmykać, Denny, nim zajmie się na tobie ubranie.

Holt zaklął siarczyście. Na próżno usiłował dosięgnąć tamtego. Zrobił najwyżej dwa niepewne kroki, gdy wysoka postać znikła, zwinnie przeskoczyła parapet i pognała przez deszcz.

Zawrócił do sejfu. Słyszał trzask płomieni. Dym wdzierał się przez drzwi po lewej stronie.

Holt sprawdził: sejf był zamknięty. Nie znał kombinacji, więc nie mógł go otworzyć.

Ale próbował. Przeszukał biurko w nadziei, że może Keaton zanotował kombinację na jakiejś kartce. Z trudem dotarł do schodów wiodących do laboratorium i stanął zapatrzony w piekielną czeluść piwnicy, gdzie w płomieniach leżało nieruchome ciało Keatona. Tak, Holt próbował. I nie dał rady.

Wreszcie żar wygnał go z domu. Z wyciem nadjeżdżały wory strażackie. Nigdzie ani śladu Smitha czy kogokolwiek innego.

Holt został, wmieszany w tłum, by ich szukać, lecz Smith i jego tropiciele przepadli, jakby się rozplynęli w powietrzu.

- Złapaliśmy go, zarządco - powiedział wysoki mężczyzna ze skrzepem krwi na brodzie. - Przyszedłem tu zaraz po naszym powrocie, żeby cię powiadomić.

Zarządca wydał głębokie westchnienie ulgi.

- Były jakieś kłopoty, Jorus?

- Nie ma o czym mówić.

- Więc go wprowadź - polecił zarządca. - Chyba lepiej raz z tym skończyć.

Do biura wszedł Smith. Jego gruby płaszcz wyglądał dziwacznie na tle celofleksowych ubiorów pozostałych mężczyzn.

Oczy miał spuszczone.

Zarządca wziął do ręki notatkę i odczytał:

- 21 sola, roku pańskiego 2016. Dotyczy ingerencji we współczynniki prawdopodobieństwa. Oskarżonego przyłapano na próbie manipulowania obecną terażniejszością poprzez zmianę przeszłości. Tym sposobem tworzył zmienną alternatywną terażniejszość. Posługiwanie się wehikułami czasu jest zabraniane wszystkim z wyjątkiem upoważnionych urzędników. Oskarżony zechce odpowiedzieć.

- Nie próbowałem niczego zmieniać, zarządco - wymamrotał Smith.

- Zgłaszam sprzeciw - rzekł Jorus podnosząc wzrok. - Pewne kluczowe okresy czasomiejsca są zakazane. Brooklyn, zwłaszcza okolice domu Keatana, około jedenastej wieczorem 10 stycznia 1943, jest objęty absolutnym zakazem dla podróżników w czasie. Więzienie zna powód.

- Nic o tym nie wiedziałem, panie Jorus. Musi mi pan wierzyć.

- Oto fakty, zarządco - nieubłaganie ciągnął Jorus. - Oskarżony wykradł wehikuł czasu, ręcznie nastawił mechanizmy sterujące na zakazany sektor czasoprzestrzeni. Takie sektory są, jak wiadomo, ograniczone, bo stanowią klucze do przyszłości; ingerencja w takich punktach kluczowych automatycznie zmieni przyszłość i stworzy odmienną linię prawdopodobieństwa. W roku 1943 Keaton zdołał w swoim laboratorium wyprowadzić wzór czegoś, co dziś znamy jako Siłę M. Pospieszył z piwnicy na górę, otworzył sejf i zapisał wzór w notatniku w takiej postaci, że bardzo łatwo mógł go odczytać i zastosować nawet laik. W tym czasie w laboratorium Keatona nastąpił wybuch, schował więc notatnik i zszedł na dół, lecz nie pofatygował się zamknąć sejfu. Keaton zginął; nie wiedział, że Siła M nie może się znajdować w pobliżu radu, i synteza atomowa wywołała eksplozję. Po niej wybuchł pożar; notatnik Keatona uległ zniszczeniu, choć był zamknięty w sejfie. Zwęglonych zapisków nie dało się odczytać, nikt zresztą nie podejrzewał ich wagi. Dopiero w pierwszym roku dwudziestego pierwszego stulecia Siłę M odkryto ponownie.

- Nie wiedziałem tego wszystkiego, panie Jorus - rzekł Smith.

- Łiesz. Nasza organizacja nie popełnia błędów. Znalazłeś kluczowy punkt w przeszłości i postanowiłeś ją zmienić, a tym samym zmienić naszą terażniejszość. Gdyby ci się powiodło, Dennis Holt z roku 1943 wyniosłby notatnik Keatana z płonącego domu i odczytał zapiski. Byłby go otworzył wiedziony ciekawością. Znalazłby klucz do Siły M. A zważywszy samą jej istotę, stałby się najpotężniejszym człowiekiem w swoim czasoswiecie. Zgodnie z odmienną linią prawdopodobieństwa, do której zmierzałeś, Dennis Holt, posiadłszy ten notatnik, zostałby dyktatorem obecnego świata. Ten świat w znanej nam postaci już by nie istniał, choć istniałby jego odpowiednik - brutalna, bezwzględna cywilizacja pod autokratycznymi rządami Dennisa Holta, jedyne go posiadacza Siły M. W dążeniu do tego celu więzień popełnił ciężkie przestępstwo.

Smith podniósł głowę.

- Żądam eutanaaji - powiedział. - Jeśli chcecie winić mnie o to, że starałem się wyrwać z tej przeklętej życiowej rutyny, proszę bardzo. Nigdy nie miałem szansy, to wszystko.

Zarządca uniósł brwi.

- Z twoich akt wynika, że miałeś mnóstwo szans. Nie potrafisz dojść do niczego dzięki własnym zdolnościom; wykonujesz jedyną pracę, do jakiej się nadajesz. Ale twoje przestępstwo, jak powiada Jorus, jest ciężkie. Próbowaleś stworzyć nową terażniejszość burząc tę obecną na skutek manipulowania kluczowym punktem w przeszłości. I gdyby ci się powiodło, Dennis Holt byłby teraz dyktatorem rasy niewolników. Nie przysługuje ci już przywilej eutanazji popełniłeś zbyt wielką zbrodnię. Musisz żyć dalej i wykonywać wyznaczone ci zadanie aż do dnia, kiedy zemrzesz śmiercią naturalną.

Smith się zachłysnął.

- To była jego wina... gdyby w porę chwycił notatnik...

Jorus patrzył z wyrazem kpiny.

- Jego? Dennisa Holta, liczącego lat dwadzieścia; w roku 1943... jego wina?

Nie, twoja wina. Uważam... za próbę zmiany twojej przeszłości i terażniejszości.

Wyrok zapadł - stwierdził zarządca. - Skończone.

A Dennis Holt, liczący lat dziewięćdziesiąt trzy, roku pańskiego 2016, odwrócił się posłusznie i powoli wziął się znów do pracy, tej pracy, którą będzie wykonywał aż do śmierci.

A Dennis Holt, liczący lat dwadzieścia, roku pańskiego 1943, wrócił z Brooklynu taksówką do domu i zastanawiał się, co to wszystko miało znaczyć. Deszcz jak welon ukośnie spływał po szybie. Denny pociągnął łyk z butelki i w całym ciele poczuł krzepiące działanie żytniówki.

Co to wszystko miało znaczyć?

Banknoty zaszeleściły mu w kieszeni. Denny się uśmiechnął. Tysiąc zielonych! Jego forsa. Jego kapitał. Z tym niejedno da się teraz zdziałać - i niewątpliwie on to zdziała. Facet potrzebuje tylko trochę gotówki, żeby się mógł zakręcić.

- A pewnie! - powiedział Dennic Halt z naciskiem. - Ani mi się śni zasuwac do tej samej nudnej roboty przez całe moje życie. Z tysiącem dolców - to się po mnie nie pokaże!

Przełożyta Zofia Zinserling

Henry Kuttner      Profesor opuszcza scenę

My, Hogbnowie, jesteśmy bardzo zamknięci w sobie. Ten , profesor z miasta mógłby o tym wiedzieć, ale skąd przylazł, choć go nikt nie prosił. Uważam, że przynajmniej nie powinien mieć potem pretensji. U nas w Kentucky wtykanie nosa w cudze sprawy nie należy do dobrego tonu. A, wszystko się zaczęło od tego, jakeśmy się pozbyli młodych Haleyów za pomocą tej strzelby, cośmy ją zmajstrowali własnym przemysłem. Tyle żeśmy tak na dobrą sprawę sami właściwie nie wiedzieli, jak ona działa - no więc poszło od tego, jak Rafe Holey zaczął przez okno szopy podglądać Małego Sama. A potem chodził i opowiadał że Mały Sam ma trzy głowy czy coś w tym rodzaju.

Nie można wierzyć w ani jedno słowo z tego, co opowiadały te chłopaki Holeyów. Trzy głowy! Przecież to wbrew naturze, no nie? Każdy wie, że Mały Sam ma tylko dwie głowy i nigdy nie miał więcej.

No więc skleciliśmy z mamą coś w rodzaju strzelby i takeśmy naszpikowali tych młodych Haleyów, że aż miło. Jak już mówiłem, samiśmy nie mogli z mamą skapować, jak to urządzenie działa. Poszczepialiśmy do kupy kilka baterijek, cewek, kawałków drutu i różnych różności i to wystarczyło, żeby z Rafe'a zrobić sitko.

Według orzeczenia koronera młodzi Haleyowie zginęli nagłą śmiercią, a szeryf Abernathy przyszedł, popił z nami samogonu i powiedział, że spierze mnie na kwaśne jabłko. Ale co mi tam, wcale się nie przejąłem. Tyle że jakiś cholerny reporter musiał coś wywęszyć, bo wkrótce potem zjawił się tłusty, bardzo poważny facet i zaczął zadawać pytania.

Wujek Les siedział na ganku, z kapeluszem no twarzy.

- Pan się lepiej wynosi z powrotem do tego swojego miasta - powiedział wujek i znknął .

Grubas oszołomiony zajrzał pod fotel , na którym siedział wujek .

- Ach, on tu gdzieś jest - wyjaśniłem. - Tylko że go nie widać. Powiada, że tak woli.

- Hmm - mruknqt Galbraith - To ile, powiadasz, masz lat?

- Ja tam nic na ten temat nie mówiłem

- A jak najdalej sięgasz pamięcią ?

W ogóle nie sięgam. To tylko zaśmieca głowę.

- Fantastyczna historia - powiedział Galbraith. - Nie przypuszczałem, że będę miał dla fundacji takie wiadomości.

- My nie lubimy, jak nam się ktoś wtrąca w nasze sprawy. Niech pan sobie idzie i zostawi nas w spokoju.

- Wielkie niebo! - spojrział przez poręcz ganku i zobaczył naszą strzelbę. - A to co znów takiego?

- A, takie coś - wyjaśniłem.

- A do czego to służy?

- Do różnych rzeczy.

- O, a mogą to obejrzyć?

- Proszę bardzo - odparłem. - Dam panu nawet to urządzenie, pod warunkiem, że pan się stąd wyniesie.

Podszedł i zaczął, się przyglądać. Tata, który siedział sobie koło mnie, podniósł się, powiedział mi, żebym się pozbył tego cholernego jankesa, i wszedł do domu. Profesor wrócił.

- Niezwykłe! - powiedział. - Mam pewne przygotowanie, jeśli chodzi o elektronikę, i wydaje mi się, że macie tu bardzo osobliwą rzecz. Jaka jest zasada jej działania?

- Jakie jest co? - spytałem. - Po prostu robi w różnych rzeczach dziury.

- Pociskami nie da się z tego strzelać. Tam, gdzie powinien być zamek, macie kilka soczewek... jak, powiadasz, działa to urządzenie?

- Nie wiem.

- A to ty je skonstruowałeś?

- Ja z mamą.

I zadał mi jeszcze bardzo dużo pytań.

- Nie wiem - powtórzyłem. - Ze strzelbą jest taka niewygoda że trzeba ją stale ładować, więc pomyśleliśmy, że jak te różne rzeczy poszczepiamy do kupy, to już jej nie trzeba będzie ładować. I rzeczywiście nie trzeba.

- Czy mówiłeś poważnie, że mógłbyś mi to dać?

- Jak pan się od nas odczepi.

- Wiesz co - powiedział - to chyba cud. że wy, Hogbenowie, tak długo się uchowaliście.

- Mamy swoje sposoby.

- Teoria dotycząca mutacji musi być słuszna. Powinniście stać się przedmiotem studiów. To jedno z najważniejszych odkryć od czasów... - i nawijał tak dalej w kółko. Zupełnie bez sensu.

W końcu doszedłem do wniosku, że są tylko dwa sposoby na opanowanie sytuacji, a po tym, co powiedział szeryf Abernathy, nie chciałem nikogo zabijać, dopóki mu się humor trochę nie poprawi. Po co robić szum.

- A gdybym tak się wybrał z panem do Nowego Jorku, jak pan sobie tego życzy? Zostawi pan resztę rodziny w spokoju?

Obiecał mi tak na pół, chociaż wcale nie miał na to ochoty. Ale ustąpił i przeżegnał się, kiedy powiedziałem, że obudzę Małego Sama. Bardzo chciał zobaczyć Małego Sama, ale mu wytłumaczyłem, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Mały Sam i tak nie pojedzie do Nowego Jorku.

Musi siedzieć w swoim pojemniku, bo inaczej by się bardzo rozchorował.

Tak czy siak, profesor był całkiem zadowolony i sobie poszedł, jak mu obiecałem, że nazajutrz rano spotkam się z nim w mieście. Na samą myśl o tym robiło mi się mdło, mówię wam. Nie rozstawałem się z rodziną na dłużej niż na jedną noc od czasów tej awantury, jaka wybuchła jeszcze w starym kraju, skąd musieliśmy się wynosić naprawdę w pośpiechu.

Pojechaliśmy wtedy do Holandii, o ile pamiętam. Mama na zawsze zachowała w sercu faceta, który nam pomógł opuścić Londyn. Na jego cześć nazwała Małego Sama.

Zapomniałem już, jak on się nazywał ...Gwynn czy Stuart, czy Pepys - wszystko mi się myli, jak usiłuję sięgnąć pamięcią dalej niż do wojny Północy z Południem.

Tego wieczoru wszyscy się kłócili. Tato był niewidzialny, więc mama myślała, że nadużył samogonu, ale szybko zmiękła i dała mu gąsiorek. Wszyscy mi mówili, żebym pilnował własnego nosa.

- Ten profesorek jest bardzo mądry - powiedziała mama. - Wszyscy profesorowie są tacy. I nie dokuczaj mu, bo oberwiesz ode mnie.

- Będę grzeczny, mamusiu - obiecałem. Tata zdzielił mnie przez łeb, bardzo zresztą nie fair, bo go przecież nie widziałem.

- A to, żebyś pamiętał, co się do ciebie mówi - dodał.

- My jesteśmy prości ludzie - burczał pod nosem wujek Les. - Jeszcze nigdy nic dobrego nie wynikło z tego, jak człowiek usiłuje przeskoczyć samego siebie.

- Ale słowo daję że ja nic takiego nie miałem na myśli - broniłem się. - Uważałem tylko...

- Już ty nie kuś licha - powiedziała mama i właśnie w tej chwili usłyszeliśmy, jak się dziadek poruszył na strychu. Czasami nie drgnie i przez miesiąc, ale dziś był jakoś dziwnie ożywiony. No więc naturalnie poszliśmy na górę zobaczyć, o co mu chodzi.

Mówił o profesorze.

- To jakiś cudzoziemiec, co? Niech to wszyscy diabli. Za dobry byłem i dlatego teraz mam koło siebie kupę idiotów! Jeden Saunk, co ma trochę oleju w głowie, ale niech mnie dunder świśnie, jeśli to nie najgorszy osioł z was wszystkich.

Przestępowałem z nogi na nogę i mruczałem coś pod nosem, a to dlatego, że nie lubiłem patrzeć wprost na dziadka. Ale on nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, tylko pieklił się dalej :

- To co, wybierasz się do Nowego Jorku, tak? Do stu piorunów, już zapomniałeś, jak unikaliśmy Londynu i Amsterdamu, i Nieuw Amsterdamu ze strachu, że nas będą pytać? Zaprawdę, czy chcesz, aby cię pokazywali na jarmarkach jak małpę w klatce? Zresztą to wcale nie jest największe niebezpieczeństwo.

Dziadek jest najstarszy z nas i czasem, jak zaczyna mówić, myślą mu się wszystkie możliwe języki. Język, którego się człowiek nauczy w dzieciństwie, zostaje mu już jakoś na całe życie. Jedno, co trzeba dziadkowi przyznać, to, że kłąć potrafi jak nikt.

- Bzdura - powiedziałem. Po prostu chciałem pomóc.

- Ty głupi smarkaczu - rzekł dziadek. - To wszystko twoja wina, żeby cię pokręciło. Po coś zbudował to piekielne urządzenie, które wybiło całe plemię Hateyów? Gdyby nie ono, nigdy by się ten uczonek tutaj nie pokazał.

- To jest profesor - wyjaśniłem. - Nazywa się Thomas Galbroith.

- Wiem. Podłączyłem się do jego myśli przez umysł Małego Sama. Niebezpieczny facet. Jak każdy uczonek. Może z wyjątkiem Rogeta Bacona, a i jego musiałem przekupić... ale Roger to był człowiek wyjątkowy. Posłuchaj! Żadne z was nie pojedzie do Nowego Jorku. Jak już raz opuścimy to schronienie i wezmą nas na spytki, jesteśmy zgubieni. Ta banda rozerwie nas na sztuki. Nawet twoje zwariowane loty cię nie uratują, słyszysz mnie, Lesterze?

- Ale co mamy robić - zapytała mama.

- Do diabła! - odezwał się tata. - Już ja załatwię tego profesorka. Wrzucę go do studni.

- Aha, żeby zepsul całą wodę? - zaskrzeczała mama. - Tylko spróbuj !

- Co za podłe nasienie wydałem na świat! - powiedział dziadek, wściekły jak wszyscy diabli. - Czyż nie obiecywaliście szeryfowi, że nie będzie więcej zabójstw... przynajmniej przez jakiś czas? Czy słowo Hogbena już nic nie znaczy? Dwie rzeczy były od wieków dla nas święte: nasza tajemnica przed światem i honor Hogbenów. Zabijcie tylko tego Galbraitha, a odpowiecie za to przede mną !

Wszyscy zrobiliśmy się biali jak ściana. Mały Sam obudził się i zaczął piszczeć.

- Ale co robić? - zaniepokoił się wujek Les.

- Nasza tajemnica to rzecz święta - powiedział dziadek. - Róbcie, co tam które może, byleby bez zabijania. Rozważę tę sprawę.

Wydawało się, że szykuje się do snu, ale z dziadkiem to nigdy nie wiadomo.

Nazajutrz rzeczywiście spotkałem się w mieście z Galbraithem, owszem, ale przedtem natknąłem się na ulicy na szeryfa Abernathy'ego, który spojrzał na mnie spode łba.

- Nie radzę ci szukać guza, Saunk - powiedział. - Słuchaj dobrze, co ci mówię. - Było to bardzo krępujące.

W każdym razie zobaczyłem się z Galbroithem i powiedziałem mu, że dziadek mi nie pozwala jechać do Nowego Jorku. Profesor nie był z tego specjalnie zadowolony, ale widział, że nic nie poradzi.

Jego pokój w hotelu wypełniały różne naukowe aparaty, trochę to w sumie było przerażające. Miał tę naszą strzelbę pod ręką, ale nie widziałem, żeby coś w niej zmienił. Zaczął mnie przekonywać.

- Szkoda słów - powiedziałem. - Nie opuszczamy wzgórz. Wczoraj gadałem głupstwa, i tyle.

- Posłuchaj, - Saunk. Rozpytywałem o was, Hogbenów, tu w okolicy, ale niewiele się dowiedziałem. Tutejsi ludzie trzymają język za zębami. Ale i tak to, co by ewentualnie powiedzieli, potwierdzałoby jedynie fakty. Wiem, że nasza teoria jest słuszna. Ty i twoja rodzino jesteście mutantami i powinniście zostać poddani badaniom.

- My nie jesteśmy żadnymi mutantami - odparłem. - Uczeni zawsze nam przyczepiają jakieś przezwisko. Rogar Bocon nazywał nas homunkulusami, te... tylko że...

- Co takiego! - wykrzyknął Galbraith. - Kto taki, powiedziałeś?

- Hm... to znaczy... to jest tuki dzierżawca z sąsiedniego okręgu - wyjaśniłem pospiesznie, ale widać było, że profesor tego nie kupił. Zaczął się przechadzać po pokoju:

- To nie ma najmniejszego sensu - rzekł wreszcie. - Jeżeli nie pojedziesz ze mną do Nowego Jorku, to spowodują, że fundacja przyśle tu komisję. Trzeba przeprowadzić nad wami studia dla chwały nauki i dobra ludzkości.

- Rany - jęknąłem. - Już ja wiem, co z tego wyniknie. Wystawicie nas na pośmiewisko. Mały Sam by tego nie przeżył. Musi pan nas zostawić w spokoju.

- Zostawić was w spokoju! Skoro wy potraficie zbudować aparat w tym rodzaju! - Wskazał na strzelbę. - A może mi powiesz, jak to działa - zainteresował się nagle.

- Już panu mówiłem, że nie wiem. Po prostu jakoś to sklecieliśmy. Niech pan posłucha, profesorze, jak ludzie zaczną przyłazić i nam się przyglądać, mogą być kłopoty. I to spore. Tak mówi dziadek.

Galbroith pociągnął się za nos.

- No może... a gdybyś mi tak wobec tego odpowiedział na kilka pytań, Saunk?

- A nie będzie komisji?

- Zobaczymy.

- Nie, proszę pana ja nie będę...

Galbraith zaczerpnął tchu.

- Jeżeli powiesz mi to, co chciałbym wiedzieć, nie zdradzę, gdzie jesteście.

- A ja, myślałem, że to pańsko... jak jej tom... fundacja wie gdzie pan przebywał

- Jasne, że wiedzą - odparł Galbroith. - Ale nie wiedzą o was.

To mi podsunęło pewną myśl. Oczywiście mogłem go bardzo łatwo zabić, ale wiem, że dziadek by mnie za to zniszczył całkowicie, a poza tym był jeszcze przecież szeryf.

Więc powiedziałem „A niech tom” i skinąłem głową.

O rany, ale co to były za pytania! W głowie mi się od nich kręciło. A profesor był coraz bardziej podniecony.

- W jakim wieku jest twój dziadek?

- A bo ja wiem.

- Homunkulusy... hmm... Wspominałeś, że był kiedyś górnikiem.

- Nie, górnikiem był tata dziadka. Wydobywali cynę, jeszcze w Anglii. Tylko że dziadek mówi, że to się wtedy nazywała Brytania. To było w czasie takiej wielkiej zarazy, która tam panowała. I ludzie musieli wzywać doktorów... Druidów? Drunów?

- Druidów?

- Aha. Druidzi byli wtedy doktorami, mówi dziadek. - W każdym razie górnicy w całej Kornwalii zaczęli wymierać, więc pozamykano kopalnie.

- A co to była za zaraza ?

Powiedziałem mu tyle, ile zapamiętałem z tego, co mówił dziadek. Profesor bardzo się podniecił i zaczął coś mówić chyba o promieniowaniu radioaktywnym, o ile mogłem się zorientować. Jakieś straszliwe bzdury.

- Sztuczne mutacje wywołane przez radioaktywność?! - wykrzyknął i zrobił się czerwony na twarzy. - Twój dziadek urodził się mutantem! Powstał nowy układ chromosomów i genów. O, Boże, przecież wy możecie być superludźmi!

- A skąd. Jesteśmy po prostu Hogbenami. Nic więcej.

- Mutacja dominująca, oczywiście, dominująca. Czy wszyscy w rodzinie byli... byli jacyś... no... dziwni ?

- No wie pan!

- To znaczy, czy wszyscy potrafili latać ?

- Ja to jeszcze nie potrafię. Ale owszem, myślę, że jesteśmy trochę dziwacznicy. Dziadek to jest jednak mądry. Zawsze nam mówił żebyśmy siedzieli cicho i nie rzucali się w oczy.

- Maskowanie ochronne - powiedział Galbraith. Wtopione w surową obyczajowość ludową odchylenia od normy łatwiej dają się maskować. W cywilizacji nowoczesnej byłoby was widać jak na dłoni. Tu, w tej zapadłej dziurze, jesteście praktycznie niewidoczni.

- Tylko tata - powiedziałem.

- O, Boże! - westchnął profesor. - Ukrywać takie niewiarygodne naturalne możliwości... Czy wy przynajmniej wiecie, do czego bylibyście zdolni? - nagle jego podniecenie wzrosło jeszcze bardziej i muszę powiedzieć, że wyraz oczu Galbraitha wcale mi się nie spodobał.

- Coś wspaniałego - powtórzył. - To tak, jakby się natknąć na lampę Aladyna.

- Chciałbym bardzo, żeby pan nas zostawił w spokoju - powiedziałem. - Razem ze swoją komisją.

- Zapomnij o komisji. Postanowiłem, że przez jakiś czas będę się tą sprawą zajmował sam. Pod warunkiem, że mogę liczyć na twoją współpracę. To znaczy na pomoc. Możesz mi to obiecać?

- Nie - odparłem.

- No to przyślę z Nowego Jorku komisję - oświadczył z tryumfem.

Przemyślałem sprawę.

- Dobrze - powiedziałem w końcu. - Co pan chce, żebym zrobił ?

- Jeszcze nie wiem - odpowiedział wolno. - Nie ogarnąłem jeszcze umysłem wszystkich możliwości.

Ale był gotów ogarnąć. Widziałem to. Po jego oczach. Stałem przy oknie i wyglądałem na ulicę. Nagle przysłała mi do głowy pewna myśl. Uświadomiłem sobie, że nie należy zbyt ufać profesorowi. Podsunąłem się nieznacznie do tej naszej strzelby i dokonałem w niej kilku niewielkich zmian.

Wiedziałem, co chcę zrobić, ale gdyby mnie profesor zapytał, dlaczego wygiąłem ten drut czy tamten wichajster, nie potrafiłbym odpowiedzieć. Nie mam żadnego wykształcenia.

Wiedziałem tylko, że teraz to urządzenie będzie robiło to, co ja chcę.

Profesor coś pisał w swoim małym notatniku. Podniósł wzrok i zobaczył mnie.

- Co ty tam robisz? - chciał wiedzieć.

- Coś tu jest chyba nie w porządku - powiedziałem. - Musiał pan majstrować przy baterijkach. Niech no pan teraz spróbuje.

- Tutaj? - zapytał wystraszony. - Nie będę potem płacił za szkody. To urządzenie musi zostać wypróbowane w specjalnych warunkach, z zachowaniem środków ostrożności.

- Widzi pan ten kurek na dachu? - wskazałem palcem. - Jak pan w niego wyceluje, nie będzie żadnej szkody. Może pan stanąć tu przy oknie i spróbować.

- A to... to nie jest niebezpieczne? - Widziałem, że jest strasznie napalony, żeby wypróbować urządzenie. Zaczepnął tchu, podszedł do okna i przytknął kolbę o policzka.

Cofnąłem się. Wolałem, żeby mnie szeryf nie zobaczył.

Siedział właśnie na ławce przed składem z paszą po drugiej stronie ulicy.

Stało się dokładnie tak, jak przewidziałem. Galbraith pociągnął za spust, celując w kurek na dachu, a z lufy zaczęły wylatywać świetliste koła. Rozległ się przeraźliwy hałas. Galbraith padł na wznak i zrobiło się straszliwe zamieszanie w całym mieście ludzie zaczęli wrzeszczeć.

Pomyślałem, że nie zawadzi, jak na chwilę stanę się niewidzialny. Więc się stałem.

Kiedy wpadł szeryf Abernothy, Galbraith właśnie oglądał strzelbę. Szeryf jest człowiek twardy, więc miał w pogotowiu pistolet i kajdanki i bardzo szybko zaczął wyklinać profesora.

- Widziałem pana! - wrzeszczał. - Wy, ludzie z miasta, myślicie, że tutaj możecie sobie, na wszystko pozwolić. No to wiedzcie, że jest inaczej!

- Saunk! - zawołał profesor rozglądając się dokoła, ale oczywiście nie mógł mnie zobaczyć.

Wybuchła kłótnia. Szeryf Abernathy widział, jak Galbraith strzela a przecież nie jest głupi.

Wylóklł profesora na ulicę i wtedy ja sobie grzecznie nadszedłem.

Ludzie latali dokoła jak szaleni. Większość trzymała się za twarze.

Profesor cały czas jęczał, że nic nie rozumie.

- Widziałem pana - mówił Abernathy. Wycelował pan z tego swojego interesu przez okno i od tej chwili wszystkich w mieście rozboleły zęby. Niech mi pan tylko nie mówi, że pan nic nie rozumie!

Szeryf jest bystry. Zna nas, Hogbenów, już wystarczająco długo, żeby się nie dziwić, kiedy dzieje się coś nie zwykłego. Wiedział też, że Galbroith jest uczonym. No więc wybuchło wielkie zamieszanie i jak ludzie usłyszeli, co się stało, chcieli normalnie Galbraitha zlinczować.

Ale Abernothy go zabrał. Przez jakiś czas włóczyłem się po mieście. Widziałem, jak pastor, zakłopotany, ogląda okna kościoła. Nie mógł zrozumieć, dlaczego witraże są gorące. Mógłbym mu to wytłumaczyć. W witrażach jest złoto, używają go do uzyskiwania pewnego rodzaju czerwieni.

Wreszcie udałem się do więzienia. A że byłem w dalszym ciągu niewidzialny więc zacząłem podsłuchiwać co Galbraith mówi do szeryfa.

- To sprawko Saunka Hogbena - upierał się profesor. - Mówię panu. że to on zmajstrował coś przy projektorze.

- Ale ja widziałem pana - nie ustępował Abernathy. - To pan to zrobił. Auu! - Złapał się za szczękę. - Ale radzę panu przestać, i to szybko! Ten tłum tam na zewnątrz nie żartuje. Polowa ludzi w mieście cierpi na ból zębów.

To znaczy że polowa ludzi w mieście miała złote plomby.

I wtedy Golbroith powiedział cos ca mnie specjalnie nie zdziwiło.

- Ja tu sprowadzę komisję z Nowego Jorku, zadzwonię dziś wieczór do fundacji, oni za mnie poręczą.

Chciał nas wszystkich wyprowadzić w pole czułem, że o to mu chodzi.

- Albo pan wyleczy z bólu zębów i mnie, i wszystkich innych, albo otworzę drzwi i wpuszczę ten cały tłum, żeby pana zlinczował! - pieklił się szeryf. A potem wyszedł, żeby sobie przyłożyć do policzka woreczek z lodem. Wymknąłem się i znów zrobiłem się widzialny.

Nadchodząc specjalnie hałasowałem, żeby mnie Galbraith usłyszał. Cały czas stałem z głupią miną czekając, aż mnie przestanie kląć.

- Chyba coś musiało mi się pomylić - powiedziałem. - Ale jak trochę pomajstruję...

- Dość tego ,twojego majstrowania! - przerwał. - Zaczekaj chwilę! Co ty takiego powiedziałeś? Że jak pomajstrujesz, to wyleczysz... z czego ty tych ludzi wyleczysz ?

- Ja miałem na myśli tę strzelbę - powiedziałem. - Wydaje mi się, że wiem, gdzie popełniłem błąd. Ona jest w tej chwili chyba nastawiona na złoto i całe złoto w mieście teraz promieniuje czy nagrzewa się, czy jeszcze coś tam innego.

- Indukowana selektywna promieniotwórczość - mruknął Golbraith, co właściwie nic nie znaczyło. - Posłuchaj, czy ten tłum tam na zewnątrz... czy oni tu często dokonują aktów linczu ?

- Nie częściej niż raz, dwa razy do roku - powiedziałem. - Ale w tym roku już dwa lincze mieliśmy, więc wyczerpaliśmy limit. Chyba byłoby dobrze, gdybym mimo to zabrał pana do nas. Bez trudu możemy pana ukryć.

- Rzeczywiście lepiej coś zróbcie - powiedział - bo jeśli nie, to sprowadzę tę komisję z Nowego Jorku. Nie byłibyście chyba tym zachwyceni, co ?

Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak łgał i nawet mu powieka nie drgnęła.

- Ma pan to jak w banku - zapewniłem go. - Mogę tak podregulować nasze urządzenie, że natychmiast odetnie promieniowanie. Tylko bym nie chciał, żeby ludzie kojarzyli to, co się dzieje z nami, Hogbenami. My jesteśmy skromni. My nie lubimy robić wokół siebie szumu. Niech pan posłucha: pójdę teraz do hotelu i podreguluję strzelbę, a pan będzie musiał tylko zebrać tych wszystkich ludzi, których bolą zęby, w jednym miejscu i pociągnąć za spust.

- Dobrze, ale ...

Bał się, że wynikną z tego jeszcze większe kłopoty. Musiałem go namawiać. A że zebrany na zewnątrz tłum darł się jak opętany, nie było to specjalnie trudne. Wreszcie poszedłem, ale wróciłem, tyle że niewidzialny i przysłuchiwałem się temu co Galbraith mówił do szeryfa. Ustalili że każdy, kogo bolą zęby, stawia się w ratuszu. A potem Abernathy miał przyprzewodzić profesora, z tą strzelbą naturalnie, i mieli ją wypróbować.

- Ale czy to urządzenie wyleczy wszystkich z bólu zębów? - chciał wiedzieć szeryf. - Na pewno?

- Ja,.. ja jestem pewien, że tak.

Abernathy pochwycił nutę wahania w jego głosie.

- Lepiej niech pan to najpierw na mnie wypróbuj. Po prostu, żeby się upewnić. Nie ufam panu.

Wyglądało na to, że nikt nikomu nie ufa.

Powędrowałem z powrotem do hotelu i przestawiłem strzelbę. I wtedy właśnie wpadłem w tarapaty. Moja niewidzialność zaczynało już prześwitywać. Takie są właśnie kłopoty wynikające z tego, że się nie jest całkiem dorosłym.

Jak będę o kilkaset lat starszy, będę mógł pozostawać niewidzialny tak długo jak zechcę. Ale jeszcze nie opanowałem tej sztuki na dobre. Chodziło o to, że potrzebna mi była pomoc, bo musiałem coś zrobić, a nie mogłem tego zrobić na oczach innych.

Wlazłem na dach i zawołałem Małego Sama. Jak tylko się podłączyłem do jego świadomości, spowodowałem, że nawiązał kontakt z tatą i wujkiem Lesem. Po chwili sfrunął z nieba wujek Les, ale ciężko mu to szło, bo dźwigał tatę. Tato kłął jak wszyscy diabli, bo po drodze ścigał ich jastrząb .

- Nikt nos nie widział - powiedział wujek Les. Tak mi się w każdym razie wydaje.

- Tu w mieście, ludzie mają głowy przygięte własnymi kłopotami - zapewniłem go. -

Potrzebna mi jest pomoc. Ten profesor wezwie tu swoją komisję i zaczną badania nad nami, niezależnie od jego obietnic.

- W tej sytuacji niewiele da się zrobić - powiedział tata. - Nie możemy zabić tego faceta.

Dziadek nie kazał

Wtedy wyłuszczyłem im swój pomysł. Tata będąc niewidzialny mógł się tego podjąć z łatwością. Zrobiliśmy sobie na dachu takie małe miejsce przez które wszystko było widać, i zajrzeliśmy do pokoju Galbraitha.

I w samą porę. Szeryf stał z wyciągniętym pistoletem i czekał, a profesor błąd jak ściana, mierzył ze strzelby w Abernathy'ego. Wypaliła bez kopnięcia. Galbraith pociągnął za spust, wyskoczyło czerwone kółko światła, i to wszystko. Tyle że szeryf otworzył usta i przełknął.

- A jednak pan nie oszukiwał! Przestało mnie boleć!

Galbraith, zlany potem, robił dobrą minę do złej gry.

- Mówiłem, że to urządzenie jest niezawodne - powiedział. - Naturalnie. Mówiłem.

- Idziemy do ratusza. Wszyscy czekają. Lepiej niech pan i tamtych wyleczy, bo może być z panem źle.

Wyszli. Tata wymknął się za nimi o wujek Les złapał mnie i pofrunęliśmy ich śladem, nisko nad dachami, tak żeby nas nikt nie zobaczył. Po chwili zatrzymaliśmy się przed jednym z okien ratusza, skąd mogliśmy widzieć, co się dzieje wewnątrz.

Od czasów tamtej wielkiej zarazy w Londynie nie widziałem tyle nieszczęścia naraz. Ratusz był pełen ludzi, a wszystkich bolały zęby - jeden-jęk i wrzask. W pewnej chwili wszedł Abernathy prowadząc ze sobą profesora ze strzelbą i na ich widok krzyki jeszcze się wzmożyły.

Galbraith oparł strzelbę na podium, celując w publiczność, a w tym czasie szeryf wyciągnął pistolet i założył mowę. Kazał się wszystkim zamknąć, to się pozbęda bólu zębów.

Taty naturalnie nie widziałem, ale wiedziałem, że stoi na podium. Coś dziwnego zaczęło się dziać ze strzelbą.

Nikt oprócz mnie tego nie zauważył, a ja nie spuszczałem jej z oka. Tata - oczywiście niewidzialny - dokonał kilku zmian. Powiedziałem mu, co ma robić, ale on sam wiedział nie gorzej ode mnie, więc już po chwili nasze urządzenie było ustawione tak, jak sobie tego życzyliśmy.

To, co się zaczęło dziać zaraz potem, było wstrząsające.

Galbraith wycelował w tłum i pociągnął za spust - wyleciały świetliste koła, tym razem żółte. Powiedziałem tacie, że ma tak ustawić zasięg rażenia strzelby, żeby nikt poza ratuszem nie został poszkodowany. Ale wewnątrz...

Co do bólu zębów, to sprawa rzeczywiście została załatwiona. Trudno, żeby kogoś bolała złota plomba, jak jej nie ma.

Nasze urządzenie było teraz ustawione w ten sposób, że działało na wszystko, co nieżywe.

Tata wyregulował zasięg akurat dobrze. Nagle poszły wszystkie krzesła i część żyrandola.

Publika, zbита w gromadę, też nieźle oberwała: Jaffe'owi Kulasowi wyleciało szklane oko.

Ci, co mieli sztuczne zęby, też je potracili. A zarazem wszystkich jakby trochę przystrzygło.

No i zostali bez ubrania. Buty przecież nie są żywe, tak samo spodnie, koszule czy sukienki.

W okamgnieniu wszyscy stali goli jak ich Pan Bóg stworzył!. Ale, do licha, przecież pozbyli się bólu zębów, no nie?

W godzinę później spotkaliśmy się w domu wszyscy, z wyjątkiem wujka Lesa, kiedy nagle otworzyły się drzwi i wpadł wujek, ciągnąc za sobą potykającego się profesora. Galbraith był wykończony - padł na krzesło zasapany, niespokojnie oglądając się na drzwi.

- Zabawna rzecz się stała - powiedział wujek Les. - Lecę sobie za miastem a tu patrzę:

profesor ucieka co sił w nogach przed wielkim tłumem. Niektórzy z tych ludzi byli pozawijani w prześcieradła, ale tylko niektórzy. No to go wzięłem i przyniosłem tutaj, tak, jak sobie tego życzył. - Wujek Les mrugnął do mnie.

- Oooh! - jęknął Galbroith. - Aaach. Czy są już blisko?

Mama podeszła do drzwi.

- Widzę dużo latarek, wspinają się pod górę - powiedziała. - Nie wygląda to dobrze.

Profesor spojrział na mnie spode łba.

- Powiedziałaś, że możesz mnie ukryć! Ukryj mnie szybko! To wszystko twoja wina.

- Bzdura - odparłem.  
- Ukryjesz mnie albo... - wrzasnął - ...albo sprowadzę tę komisję!  
- Zgoda. Ale jeżeli ukryjemy pana w bezpiecznym miejscu, to czy zapomni pan o tej swojej komisji i zostawi nas w spokoju?  
Profesor obiecał.  
- Chwileczkę. - Poszedłem na strych zobaczyć się z dziadkiem.  
Akurat nie spał.  
- No i co zrobimy z tym fantem, dziadku? - spytałem.  
Przez chwilę słuchał Małego Sama.  
- Ten łotr kłamie - powiedział mi bardzo szybko. - I tak nie bacząc na dane słowo zamierza tu sprowadzić tę swoją zakichaną komisję.  
- To co? Mamy go ukryć?  
- Tak - odpowiedział dziodek. - Hogbenowie dali słowo, więc nie będzie więcej zabijania. A ukrycie zbiega przed ścigającymi to chyba czyn godny, nie sądzisz?  
Niewykluczone, że mrugnął przy tych słowach. Z dziadkiem nigdy nie wiadomo. No to zszedłem na dół po drabinie. Galbraith stał przy drzwiach i obserwował zbliżające się latarki. Złapał mnie za rękę.  
- Saunk! Jeśli mnie nie ukryjesz...  
- Ukryjemy pana - zapewniłem go. - Proszę za mną.  
Wzięliśmy go do piwnicy...  
Kiedy wpadł do nas tłum z szeryfem Abernathym na czele, udaliśmy głupich. Pozwoliliśmy im przeszukać dom. Mały Sam i dziadek stali się na chwilę niewidzialni, więc nikt ich nie zauważył. No, a profesor znikł naturalnie jak kamfora. Ukryliśmy go dobrze, tak jakeśmy mu obiecali. To ,było kilka lat temu. Profesor ma się znakomicie. Tyle że to nie on prowadzi badania nad nami. Czasami wyjmujemy butelkę, w którą go nabiliśmy, i wtedy to my prowadzimy badania nad nim.  
A to cholernie mała butelka!

przekład : NN

Henry Kuttner      Przedświt

Na wschód od Hollywood, w górach Angeles Forest, żył sobie wyjątkowo odrażający pustelnik, który działał Haysowi Callisterowi na nerwy jak kłująca drzazga po ułamanym zębie. Callister dotykał raz po raz zęba językiem - by jeszcze raz użyć tej metafory - a mimo wszystko patrzył przez lornetkę na drugą stronę doliny, gdzie znajdowała się jaskinia zamieszkiwana przez pustelnika.  
Callister nierzadko miał ochotę zamordować tego człowieka.

Stał teraz w drzwiach swego domu i regulował ostrość, kierując lornetkę pod ostre poranne słońce. Tak, pustelnik tam był, jadł śniadanie. Chef d'oeuvre stanowił, zdaje się, gigantyczny gnat, który ten włochaty, odpychający osobnik łąpczywie obgryzał. Siedząc w kucki na słońcu, pracował zapamiętałe szczękami w atmosferze jakiegoś nieświadomego atawizmu, rozczochrany, obdarty i bezsprzecznie obrzydliwy.

Nagle pustelnik odwrócił się i popatrzył na dolinę, zainteresowany błyskiem światła w szklach lornetki. Patrycjuszowska, przystojna twarz Callistera wykrzywiła się w grymasie. Czmychnął do środka i racząc się kawą skierował swe myśli na przyjemniejsze sprawy. Ale zezwierzęcona gęba pustelnika wciąż stała mu przed oczami.

To była kakofoniczna nuta w ustabilizowanym życiu biologa. Hays Callister otaczał się niczym Epikur refleksami swej kultury i estetycznych doznań. Jego fetyszem był fakt, że jest człowiekiem cywilizowanym. Jego dom, osobiście zaprojektowany i wybudowany w odległości piętnastu kilometrów od najbliższego osiedla, stanowił ciepło jarzący się klejnot. Laboratorium nie zgrzytało żadną kakofoniczną nutą, ponieważ było funkcjonalne. Callister był jak Des Essientes nie, obciążony dekadentyzmem, jak człowiek perfekcyjnie dostosowany do środowiska, które sam sobie urządził. Nie było tu miejsca na fałszywe nuty.

Cywilizacja i egotyzm... Ale Callister nie miał żadnych wad. Wysportowany, fizycznie bez skazy, przeciągnął się jak kot w fotelu i pałac cygaretkę rozkoszował się subtelnym smakiem brandy. Jak natrętny cień pojawił się Tommy, służący Filipińczyk, i napełnił ponownie filiżankę swego pana. Niemoralny i oddany bez reszty był ten Tommy. To pomoże.

Z technicznego punktu widzenia eksperyment nie będzie morderstwem. Ale nasuwały się pewne skojarzenia z wiwisekcją. Callister z niesmakiem odrzucił to melodramatyczne porównanie; czynił po prostu użytek z narzędzia, jakie nawinęło mu się pod rękę.

Jego współnik, Sam Prendergast, stał mu na drodze. Wylewny, krzykliwy Prendergast, z tym swoim prowokującym rubasznym rechetem. Hmmm. Bez wątpienia Sam dobrze się nadawał do tego eksperymentu.

Niewiele wchodziła tu w grę osobista antypatia. Prendergast finansował Callistera, a więc wyobrażał sobie, że pieniądze upoważniają go do „pilnowania interesu”. Nie można było powiedzieć temu facetowi, żeby poszedł sobie do wszystkich diabłów, bo wciąż wyłaniały się nowe pilne potrzeby i niezbędny był ciągły dopływ gotówki.

Taki na przykład wieloryb i syrena. Pierwszy eksperyment ze względu na trudności obiektywne omal nie zakończył się fiaskiem, ale krowa morska uległa zadziwiającej przemianie.

Problem był następujący: Prendergast był w posiadaniu kontrolnego pakietu akcji tego przedsięwzięcia i będzie fatalnie przeszkadzał, wtykając we wszystko nos. Chciał zakładać spółkę, powoływać fundację, zrobić Bóg wie ile różnych rzeczy. Tryskał pomysłami. Ponieważ Callister wolał pracować po swojemu, trzeba było się pozbyć Sama Prendergasta. Dokonawszy tego Callister, działając sprytnie, mógłby załatwić się w podobny sposób ze spadkobiercami. Plan był dosyć praktyczny, bo umowę współpracy zredagował z myślą o przyszłości. Była wiążąca, ale w bliżej nie sprecyzowany sposób. Tylko Prendergast mógłby dowieść, że wspomniany proces jest...

No nic, Callister nie nadał temu nazwy. Nie istniała nazwa, która nie brzmiałaby zbyt fantastycznie.

Wszedł Sam Prendergast. Było to potężne chłopisko około czterdziestki o tubalnym głosie, reprezentujące sobą śliczny okaz ekstrawertyka. Kochały go psy i małe dzieci. Sinclair Lewis daremnie demaskował ten typ człowieka. Najdziwniejsze było to, że Sam naprawdę był równym gościem.

Ubierał się - a jakże by inaczej - w tweed. Włosy miał niezwykle długie. Badawcze oko Callistera dostrzegło lekkie wysunięcie szczęki i niemal niezauważalne cofnięcie kości czołowej. No i - czyżby Sam garbił się lekko dzisiejszego ranka?

- Cześć - powiedział Prendergast. - Kawy. - Jestem skonany. Boli mnie głowa. - Zwalił się na fotel i wrzasnął na Filipińczyka.

- No cóż, sam mnie molestowałeś, żebym cię tu zaprosił...

- Lubię to. Te ostatnie pociągnięcia, wieńczące dzieło eksperymenty. To taki trochę małpi zachwyty. No i ten pingwin - skrzydła!

- To fantastyczne - przyznał Callister. - Ale naprawdę obawiam się ogłaszania wyników już teraz. Wyśmieliby nas.

- Nie wyśmieliby widząc dowód, który możemy przedstawić - powiedział zdecydowanie Prendergast.

- Mimo wszystko mogliby co najwyżej przełknąć teorię, że dysponujemy metodą odtwarzania cech recesywnych, co nie jest prawdą. Ale gdybyśmy oświadczyli, że potrafimy odwrócić ewolucję...

- Dokonałiśmy tego...

- Ale nie możemy jeszcze tego rozgłaszać. Najpierw trzeba przygotować grunt. O - zaciąłeś się?

Prendergast obmacał palcami policzek. Skinął głową.

- Zarost zrobił mi się twardy, jak szczecina. Nigdy dotąd tak szybko nie rosła mi broda.

- Aha - mruknął z zaskaniem Callister i zamilkł, zerkając na uszy gościa. Płatki z dnia na dzień malały.

- Wracam dzisiaj do domu - powiedział Prendergast z nagłym zdecydowaniem. - Rozumiesz, w biurze czekają na mnie stopy korespondencji. Tydzień to wystarczająco długo.

- Może jeszcze kawy? - zaproponował Callister. Wydał głośno polecenie wchodzącemu Filipińczykowi i wykonał dyskretny znak ręką.

- Jak chcesz, Sam. Ostatnie eksperymenty przyniosły zachęcające rezultaty. Ale naprawdę nie chcę, żebyś to już podawał do wiadomości publicznej.

- Mimo wszystko to jeden z powodów, dla których wracam do miasta. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy ściągnę tu reporterów.

Callister spłonął rumieńcem.

- Wystawią nas na pośmiewisko. Nie będą nawet czekali, aż przedstawimy im dowód. O wiele lepiej będzie działać stopniowo...

- Ale mamy dowód. Wykształciliśmy pingwinom skrzydła i nogi morskim krowom!

- Powiedzą, że to wybryk natury. Cały proces trwa długo. Musi nabrać rozpędu. Wiesz sam, że w pierwszym tygodniu zmiany są nikłe.

- Za to w drugim! Galareta!

- Podstawowy organizm jednokomórkowy. Zgoda. Analogia cyklu życiowego w zarodku w miniaturze, a my go tylko odwracamy.

Prendergast zamyślił się.

- Żywność kosztuje fortunę - powiedział.

- Metabolizm jest kolosalny. Pomimo naszej instalacji chłodzącej osobniki mają przez cały czas wysoką temperaturę. Jak się chyba orientujesz, Sam, to wzrost, tyle że odwrócony.

Matryce już się ustaliły, ale my zmieniamy ładunek z dodatniego na ujemny. Ładunek dodatni

- ewolucja. Ładunek ujemny - retrogresja. W końcu znajdę jakiś sposób przyspieszenia wzrostu ładunku dodatniego. Być może tworzenia superistot.

- Jeszcze nie teraz - mruknął Prendergast wzdygając się lekko i Callister powtórzył jego słowa.
- Nie - jeszcze nie teraz. Zajmujemy się w tej chwili stroną praktyczną. Sondujemy te wszystkie nie dokończone odrośla natury, które wymarły albo uległy przemianie.
- Ten wieloryb...

Callister pamiętał. W San Pedro, w krytym basenie, poddano wpływowi procesu młodego walenia. Zmienił się; jego cielsko stawało się coraz mniej opływowe, zanikały fiszby, pojawiały się zęby. Ogon jak u kijanki zmalął i znikł. A co najdziwniejsze, na koniec pojawiły się nogi, przednie i zadnie.

Nie mogły utrzymać ogromnego ciężaru cielska i basen trzeba było do połowy opróżnić. Pewnego dnia stwór wygramolił się z basenu i wyrwał na wolność. Do tej pory albo zdechł, albo wiódł w wodach Pacyfiku dziwny żywot niby skamieliny, która zatrzymała się w przechodzeniu do swego prehistorycznego statusu mieszkańca lądu.

Przeprowadzono też wiele innych eksperymentów. Pojawiały się najdziwniejsze zatracone cechy, organy przystosowane do dawno minionych warunków środowiskowych...

Tommy doniósł kawy. Prendergast siorbał hałaśliwie z napełnionej na nowo filiżanki.

Małpa! pomyślał Callister, a zaraz potem: No tak.

Była to po prostu kwestia majstrowania w chromosomach, w szyszynce, albo w układzie nerwowym. Pracowało się często w ciemno. Matryca istniała, gotowa do użytku. Zaczęło się od jednokomórkowego żyjątko morskiego, które wykształciło miejsca wrażliwe na światło - właściwie rakowate, teoretyzował Callister.

Światło drażniło tę amebę, a więc w samoobronie wykształciła sobie oczy, co spożytkowało tamto początkowe zwyrodnienie i dało stworzeniu wzrok. I tak dalej. Ostateczny destylat w postaci rodzaju ludzkiego składał się z kilku cieczy dolewanych stopniowo z biegiem stuleci. Odwrócił ten proces.

Pierwotny torbacznik miał torbę, ale nie posiadał ogona. Gdy stał się zwierzęciem nadrzewnym, wyrósł mu ogon. Potem rozwinął się jego mózg i ogon odpadł.

Weźmy stałą matrycę, formę biologiczną, w której odlewane są wszystkie stworzenia.

Nasyćmy ją prądem nie dodatnim, a ujemnym, zwiększmy znacznie natężenie tego prądu, a ogon odrośnie.

Wielorybowi i krowie morskiej odrosły utracone w zamierzchłej przeszłości nogi. Pingwin miał teraz skrzydła. Kopyta kucyka były trójpalczaste - ehippus. Leniwiec, żrąc jak najęty, wyrósł i chodził na czterech łapach, zamiast bujać się na gałęzi. Niektóre ptaki pokrywała łuska.

Tak, myślał Callister, niektóre z prehistorycznych cech mogą okazać się cenną, najpraktyczniejszą stroną magicznej zdolności modelowania ludzkich organizmów. Proces nie był jeszcze do końca dopracowany. Na wyrafinowane zastosowania przyjdzie jeszcze czas: krzyżowanie gatunków, rozwijanie siły i inteligencji i wyspecjalizowanych zdolności. Żywe roboty przystosowane do wszelkich celów.

Prendergast był już gotów. Nafaszerowana narkotykiem kawa podziałała i współnik spał teraz jak zabity. Callister zawołał Filipińczyka. Z pomocą tego niskiego, milczącego człowieczka przeniósł Prendergasta do małego, przypominającego więzienną celę pomieszczenia przylegającego do laboratorium. Nie było tam mebli, a tylko siennik i urządzenia sanitarne; w

drzwiach znajdowało się okienko obserwacyjne z nietłukącego się szkła, z małymi otworkami.

Pomieszczenie miało klimatyzację i instalację chłodniczą. Sufit był z tworzywa sztucznego nie stanowiącego przeszkody dla promieni wykorzystywanych w procesie.

Callister rozebrał Prendergasta do naga i dokładnie obejrzał jego ciało. Wspólnik był teraz bezsprzecznie bardziej owłosiony. Od kilku dni poddawano go każdej nocy procesowi i pojawiały się pierwsze rezultaty. Callister zrobił mu zdjęcie rentgenowskie, pobrał krew i próbki skóry, po czym zbadał je.

Skóra była twardsza. Zwiększyła się zawartość czerwonych ciałek we krwi. Wzrosła oczywiście temperatura ciała. Promienie rentgenowskie bardziej sugerowały zmiany, niż je odsłaniały. Kość jest twarda nawet w tyglu ewolucyjnym.

Ponieważ Prendergast był poddawany kuracji już od tygodnia, można było bez obawy zwiększyć natężenie prądu. Zmiany potoczą się teraz gwałtownie. Ten człowiek zdegeneruje się, idąc pod prąd naturalnej drogi ewolucji, aż w końcu rozpuści się w kropelkę galarety. I jakież osobliwe byłoby to corpus delicti przedkładany sądowi jako Ekspонат A.

Gdyby Prendergast był choć trochę bardziej cywilizowany, nie byłoby to konieczne. Ale dała tu o sobie znać animozja osobista. Callister, jak kot, wzdragał się przed jowialnym spoufalaniem się wspólnika. W jego oczach Prendergast stał na drabinie rozwoju tylko o jeden szczebel wyżej od degenerata-pustelnika z drugiej strony doliny.

Callister był człowiekiem c y w i l i z o w a n y m. Oceniał się na cały poziom powyżej średniej. Traktował większą część ludzkości z dobrotliwym lekceważeniem, ale starał się trzymać od niej z dala.

Zjadł lunch, zapalił, odbył spacer w dolinę i z powrotem, po czym wysłuchał kilku nagrań Mozarta. Następnie zajrzał przez judasz do Prendergasta. Wspólnik był wciąż nieprzytomny, ale nie ulegało wątpliwości, że przemiana postępuje.

Prendergast był jeszcze bardziej owłosiony.

Callister dotknął swego gładko wygolonego policzka i udał się do laboratorium. Kilka godzin później zjawił się tam Tommy.

- Tak?

- Obucił sssię - wyseplenił Filipińczyk.

- W porządku. Już tam idę.

Prendergast rzeczywiście był przytomny i stał przy drzwiach celi z twarzą przyciśniętą do szklanej szybki. Nie w ciemną bity, od razu zdał sobie sprawę z sytuacji.

- Ile chcesz, Callister? - Jego głos był wyraźnie słyszalny przez dziurki w szybcie.

- Za to, żeby cię wypuścić? Przykro mi. To za wielkie ryzyko. Poza tym chcę prześledzić ten eksperyment do końca.

Prendergast oblizwał nerwowo usta. - Przekażę ci cały proces.

Callister zaczął się bawić obrotowym stolikiem zamontowanym w otworze w ścianie.

- Masz tu jedzenie. Od tej chwili będziesz go dużo potrzebował. I lusterko dla rozrywki.

- Callister!

- Klamka już zapadła. Nie mogę cię teraz wypuścić. Podrzuciłbym ci parę książek dla zabicia czasu, ale wiem, że nie będziesz miał teraz głowy do czytania. Jeśli jednak chcesz, będę ci dawał proszki na sen; po kilka na raz.

Przez chwilę panowała cisza.

- Dobrze.

- Ale będę musiał widzieć, jak je połykasz. Mógłbyś przecież je gromadzić, a potem zażyć od razu śmiertelną dawkę.

- Ty łobuzie z piekła rodem! - wyrzucił z siebie Prendergast głosem zbyt roztrzęsionym, by można go uznać za wściekły.

- Chcesz proszka?

- Nie. Callister, czy nie możemy... jakoś...

- Nie możemy - uciął Callister i przekręcił obrotowy stolik. Wyszedł pozostawiając Prendergasta z jego posiłkiem.

Po tej konfrontacji atmosfera się zagęściła, bo Callister nie był ani sadystą, ani maszyną. Zatrzasnął po prostu swój umysł przed przykrymi aspektami eksperymentu. Proces trwał, przyspieszając gwałtownie swój bieg. Prendergastowi wróciły utracone cechy.

Pod koniec dnia był już przygarbiony, niezdarly i nie potrafił przyłożyć kciuka do dłoni.

Duże palce u nóg miał ruchome. Skóra poróżowiała; pomimo ochładzania przejawiał nienasycony apetyt. Pił litrami wodę i bulion, połykał w wielkich ilościach dostarczane mu kapsułki z witaminami. O zachodzie słońca już nie bardzo można go było rozpoznać. Coś w rodzaju kromaniończyka. Zaraz potem człowiek z Piltown. Pitekanthrop...

Dwie noce później Prendergast uciekł przez otwór w ścianie, w którym zainstalowany był obrotowy stolik. Dysponował zadziwiającą siłą. Wygiął metal, prawdopodobnie gołymi rękami. Wróciwszy z przechadzki Callister zbładł jak papier, natykając się w holu na sponiewierane ciało Filipińczyka. Wbiegł do laboratorium, porwał pistolet i rozpoczął śledztwo.

Tommy nie był martwy, tylko ogłuszony. Ślady płaskich stóp przed domem wskazały kierunek, w którym zbiegł Prendergast. Callister załadował jeszcze jeden pistolet pociskami usypiającymi i wyruszył na łowy. Jeżeli człekozwierz potrafi nadal porozumiewać się z ludźmi, będzie wpadka.

Ale Prendergast nie umiał już mówić, a ręce miał zbyt niezgrabne, by utrzymać w nich pióro albo ołówek. Mimo to...

Callister doszedł po śladach zbiega do prywatnej drogi, a potem, tą drogą, do asfaltowego, biegnącego zakosami szlaku przez góry. Z przeciwka nadbiegała rozhisteryzowana dziewczyna. Na widok jego niewyraźnej w zapadającym zmierzchu sylwetki od razu zemdląca.

Callister przystąpił do udzielania pierwszej pomocy. Widział już raz czy dwa tę dziewczynę, wiedział, że mieszka kilka kilometrów stąd, i domyślił się, co się wydarzyło. Ocknęła się i opowiedziała wszystko, siląc się na nadanie swoim słowom jakiego takiego sensu.

- Straszny goryl... - zaczęła.

- Niech się pani nie boi. Nic już pani nie grozi. - Callister pokazał jej pistolet i uspokoiła się.

- Jechałam drogą na rowerze, a on wyskoczył na mnie z krzaków. Ja... wpadłam wprost na niego. Podniósł mnie w górę i zaczął szczyrzyć zębami i warczeć.

Oczy Callistera rozszerzyły się.

- No i co? - nalegał.

- Myślałam... nie wiem, co myślałam. Wyrwałam mu się w końcu i uciekłam. Gonił mnie kawałek, a potem wrócił do roweru i wsiadł na niego. Wskoczyłam w krzaki, a ten stwór przejechał tuż obok mnie, kierując się w dół wzgórza. No to ja pobiegłam w przeciwną stronę.

- Aha. On jest nieszkodliwy. To tresowany goryl. Kupiłem go jakiś czas temu... Wróćmy teraz do mojej posiadłości, to odwiezę panią do domu.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą. Callister skubał w zamyśleniu dolną wargę. Prendergast kierował się w stronę najbliższego miasteczka, Altadeny, leżącej u stóp wzgórz nad Pasadeną. Żeby tylko udało mu się doścignąć zbiega...

Wziął samochód, podrzucił dziewczynę do jej domu i pomknął drogą niczym ósme wcielenie Wisznu. Sosny rzucały przed nim geometryczne cienie. Reflektory przeczesywały pobocza snopami białego światła. Nigdzie nie było widać Prendergasta.

Nie, nie było ani widu, ani słyhu po tym człekoźwierzu. Okrężną drogą przez góry było do miasteczka piętnaście kilometrów. Człekoźwierz poruszał się na skróty, dźwigając rower na plecach. Z widniejących tu i ówdzie śladów wynikało, że spuszczał się szybko po zboczach i zbiegał w dół leśnymi przecinkami. Zwinność i siła zrównywały go w szansach z samochodem, częściowo ze względu na drogę wymagającą ograniczania szybkości i ostre zakręty.

Callister przypomniał sobie o odciskach palców. Czy u Prendergasta były jeszcze rozpoznawalne?

Na drodze przed sobą dostrzegł pocięty wrak roweru. Wehikuł nie wytrzymał brutalnego traktowania. Ale w dole rozpościerały się już światła Altadeny, a o wiele bliżej jarzyły się pojedyncze kwadraty okien wolno stojących zabudowań. Do motelu pozostał jeszcze kilometr. Słyszac wyraźne trzaski dobiegające z zarośli Callister wgniół hamulce.

Nie - to tylko spłoszony jeleń. Dodał gazu. Do motelu?

Prendergast był w motelu. Dowodziła tego historyczna wrzawa. Callister przekroczył próg i jego oczom ukazał się istny sądny dzień. W przyćmionym świetle kłębowisko mężczyzn i kobiet czmychało we wszystkie strony na podobieństwo rozszerzającego się Kosmosu, byle dalej od gorylopodobnego stwora zajmującego środek parkietu. Kierownik orkiestry tkwił dzielnie na podium zasłaniając się saksofonem, a za jego plecami chowała się striptiserka. Prendergast stał przez chwilę, nieludzki i groteskowy, rozglądając się dookoła. Nastąpił moment osobliwego uspokojenia. Klientela zawahała się, znieruchomiła i czekała, przypuszczając być może, że to jakiś numer w programie występów.

Callister zwątpił przez chwilę, czy poradzi sobie z tym bydlakiem po drugiej stronie sali. W zestawieniu z tą masą cielska pistolety wydały mu się bronią całkowicie bezużyteczną.

Prendergast dostrzegł go. Cienkie wargi wykrzywiły się. Małpiasta istota pochylila się w przód, żeby lepiej widzieć w zalegającym półmroku; w jej ślepiach odbijało się światło.

Nie pojawiał się w nich blask rozpoznania. Wzrok Prendergasta błądził po sali i zatrzymał się na pobliskim talerzu z kanapkami. Poczłapał w tamtym kierunku, przykucnął i zabrał się do jedzenia.

Callister zauważył, że proces wpłynął nie tylko na jego ciało, ale i na mózg. Na przedmieścia Altadeny sprowadził Prendergasta jakiś ślepy instynkt. Nie był już... inteligentny.

Callister odetchnął głęboko i uniośł pistolet. Wpakował w byczy kark Prendergasta cały magazynek pocisków z silnym środkiem usypiającym. Efekt był niemal natychmiastowy.

Po włochatej skórze pokrywającej zwaliste cielsko Prendergasta przeszedł dreszcz. Rozejrzał się dookoła nie przerywając napychania sobie ust kanapkami. Potem osunął się na podłogę, nieszkodliwy i straszny.

Rzeczywiście straszny, pomyślał Callister nadzorując załadunek leżącego się przez ręce, nieprzytomnego stwora na tylne siedzenie samochodu. Trzeba było wymyślić jakieś wykrętne wyjaśnienie, ale telefon do władz Altadeny załagodził sprawę.

Nieszkodliwy, tresowany goryl uciekł z jego prywatnej menażerii wysoko w górach. Tak - zupełnie nieszkodliwy. O żadnym zagrożeniu nie mogło być mowy. Formalności dopełniło kilka zielonych papierków wsuniętych ukradkiem w rękę kierownikowi orkiestry i wodzirejowi.

W drodze powrotnej do domu eskortował Callistera oficer policji i Callister nie miał nic przeciwko jego towarzystwu. Nie bał się Prendergasta, ale obecność tego... tego stwora działała mu na nerwy.

Nie obeszło się bez rozmowy i udzielania dalszych wyjaśnień, tak że dopiero o północy Callister, zmęczony, ale uspokojony, znalazł się w łóżku. Prendergast siedział z powrotem w

swojej celi. Tommy, który odzyskał przytomność zaraz po wyjeździe Callistera, zaspawał otwór na obrotowy stół mocnymi, żelaznymi prętami. Oficer policji odjechał, onieśmielony widokiem laboratorium. Nie stwierdził niczego podejrzanego.

Prendergast znajdował się znowu pod działaniem procesu. Od tej chwili regresja będzie postępować gwałtownie, niewiarygodnie gwałtownie. I zaniknie straszliwa siła pitekantropa. Następnym krokiem wstecz wiódł nie do siły, a do zwinności.

Prendergastowi rósł ogon.

Minęło kilka dni. Prendergast przeistoczył się w torbacza. Był teraz o wiele mniejszy i ze swoimi wielkimi oczami i ogromnymi uszami wyglądał jak lemur.

Callister czekał. Nie bał się już śledztwa. Biuro Prendergasta działało sprawnie, chociaż raz telefonował kierownik. Nie wynikło z tego nic niefortunnego.

Prendergast zmieniał się w oczach. Nadzwyczajne przyspieszenie procesu sprawiło, że metamorfoza przypominała puszczonego do tyłu film. Prendergast spędzał cały czas na jedzeniu. Aby nadążyć za zwiększonym metabolizmem, trzeba było się uciec do koncentratów spożywczych.

Potem Prendergast stracił owłosienie. Przez jakąś godzinę pozostawał bezwłosy. Potem porósł łuskami.

Gnał pod prąd ewolucyjnej drogi jak rakietę. Dawno już dotarł do głównego pnia, nie pojawiały się więc już zbędne akcesoria, jak skrzydła. Dewoluował, funkcjonalny i proteuszowy.

Niedługo potem Callister umieścił go we wniesionym do celi akwarium. Prendergast trzepotał się w nim niemrawo i parsknął wodą opryskując Callistera.

Dochodziła już ósma wieczorem i Callister był bardzo zmęczony. Za godzinę, a może mniej, Prendergast zostanie zredukowany do pierwotnego organizmu jednokomórkowego.

Prawdopodobnie nie potrwa to nawet godziny, bo proces bez przerwy przyspieszał swój bieg. Pokonywanie eonów to kwestia paru chwil.

Nie było sensu czekać dłużej. Praca dobiegła praktycznie końca. Callister spojrzał na akwarium i w kącikach jego ust pojawił się nikły uśmiech rozbawienia. Wiedział, że rankiem zniknie nawet to, co pozostało jeszcze z Prendergasta.

W drzwiach Callister zatrzymał się, niezupełnie zdając sobie sprawę dlaczego. Zaniepokoiło go jakieś nieuchwytnie, nieokreślone przecucie. Odpędził je wzruszeniem ramion i wyszedł po wieczorną szklaneczkę brandy z wodą sodową. Wzniósł toast bez słów za Prendergasta - a raczej za jego pamięć.

- To doskonale logiczne - mruknął pod nosem. Wyższy organizm zawsze musi zatryumfować. No i prawidłowo, ma się rozumieć. No i dobrze...

Zdusił w popielniczce niedopałek papierosa i poszedł do łóżka. Sny miał przyjemne. Byłyby mniej przyjemne, gdyby Callister wiedział, co się dzieje w więzieniu Prendergasta.

Przez chwilę nie zaszła tam żadna zmiana. W celi panowała idealna cisza. Niewidzialne promienie spływały wartką strugą w dół poprzez plastikowy sufit, omywając i przenikając stworzenie, które było kiedyś Samem Prendergastem. Leżało nieruchomo na dnie akwarium niemal pozbawione kształtu, ze szczątkowymi płetwami i ogonem, a jego skrzydła podrygiwały spazmatycznie w rytm oddechu.

Potem zaczęło ulegać przemianie.

Płetwy cofnęły się i zanikły. Obecnie stworzenie było całkowicie bezkształtne; bezokie, bo nie widziało; bez płuc, bo nie potrzebowało oddychać. Kurczyło się wyrodniejąc, a jego aktywność nagle wzrosła. Ameba szukała pożywienia.

Etap ten nie trwał długo. Kiedy organizm stał się niewidoczny gołym okiem, przestał się odżywiać. Był teraz przesączalnym wirusem, podstawowym zarodnikiem życia niewiele większym od atomowej matrycy pierwotniaka.

To było dno ewolucyjnej głębi. Sam Prendergast cofnął się do otchłani, z której tak mozolnie wydostawała się rasa ludzka. Znalazł się z powrotem w mglistym, nieziemskim początku.

Cela wydawała się pusta. W jej gołych ścianach, w tej ciszy, tej sterylności, nie rozlegał się żaden dźwięk, nic się nie poruszało. Wiązka promieni nieprzerwanie spływała w dół.

I nagle coś się wydarzyło.

Było to zdarzenie niepozorne, ale o ogromnym znaczeniu. Było to zjawisko, które mogło się wydawać całkowicie pozbawione logiki. Prendergast w r a c a ł. Wracał, bo promienie, które początkowo spowodowały jego ewolucyjną recesję, nadal dostarczały energii do więzienia.

Oto, co się po prostu stało; w akwarium pojawiła się ameba.

Pozostawała bezkształtna tylko przez kilka minut. Na jej powierzchni pojawiły się jasne plamki, a pod silnym mikroskopem można już było dostrzec maleńki przewód pokarmowy.

Wykiełkowały i już się nie cofnęły pseudoodnóża.

Stworzenie posiadało już płetwy i ogon, jak również skrzela. Rosło i rozwijało się w oczach.

Ono - wracało! Po godzinie było już rybą kostołoską. Po następnej maleńkim, łuskowatym gadem. W ewolucyjnym tyglu jego ciało zmieniało się i przekształcało niemal zauważalnie.

Łuski ustąpiły miejsca wytworowi procesu adaptacji - włosom.

I teraz był to torbaczk.

Noc wlokła się ospale minuta za minutą, noc istnych cudów, podczas której istota będąca niegdyś Samem Prendergastem wspinała się po raz drugi po drabinie czasu. Obecnie przypominała wyglądem lemura.

Faza ta trwała jedno mgnienie oka. Na krótką chwilę stał się pitekantropem, potem jego miejsce zajął *Pithecanthropus erectus*. Podobna do małpy istota, zaciskając powieki, siedziała w kucki po środku celi, a jej ciało rozdzierała i skręcała straszliwa szybkość przemiany.

Neandertalczyk - Kromaniończyk - *Homo sapiens*...

Struga promieni spływała w dół. Stopniowo, niemal niezauważalnie, postępowała dalsza zmiana. Istota, stawszy się człowiekiem, nie zatrzymała się w tym punkcie. Przeistaczała się dalej.

Przeistaczała się dalej, a zmiany psychiczne były o wiele większe od fizycznych, chociaż i te ostatnie miały dosyć osobliwy charakter. Ciało wydłużało się, milimetr po milimetrze, aż osiągnęło ponad dwa metry wzrostu. Stawy kolanowe i łokciowe rozwinęły się tak, że pracowały teraz na zasadzie przegubu kulowego.

Pośrodku czoła tego człowieka, nieco ponad brwiami, pojawiło się trzecie oko, tworząc z pozostałymi dwoma układ irysowy. Jego oś wzdluzna przebiegała w pionie; stanowiło ono odmianę szyszynki, jej rozwiniętą wersję.

Pojawiły się też inne ciekawe cechy. Po pierwsze, człowiek ten był telepatą. A jego mózg stanowił największą myślącą maszynę, jaka istniała na Ziemi od niezliczonych milionów lat.

Superman wstał. Jego umysł zaczął pracować.

Podszedł do drzwi i gdy zbliżał się do przeszkody, jego ciało automatycznie dostosowało się do niej swoją strukturę atomową. Ledwie zdawał sobie sprawę z tej tak naturalnej dla siebie regulacji fizycznej. Jego matryca elektroniczna materia tworząca jego ciało - uległa zmianie. Przeszedł p r z e z drzwi nie otwierając ich. W korytarzu na którym teraz stał, srebrzyła się zimna poświata księżycy. W jego mózgu sprzęgały się nowe schematy myślenia. Zaczynał powoli pojmować. Ale nie było to łatwe. Nie miał żadnych wspomnień - dysponował tylko inteligencją.

Inteligencją supermana.

Za sprawą zwykłego przypadku odnalazł drogę do laboratorium i przez dłuższą chwilę stał patrząc w ciemność, która nie mogła niczego ukryć przed jego nyktaloptycznym wzrokiem. Potem ruszył zdecydowanie przed siebie.

O świcie Callister obudził się, ale niezupełnie. Owładnęło nim dziwne, senne uczucie, że coś sięga w jego umysł, sonduje, szuka, a potem pozbawia go woli jakby jakimś fantastycznym, psychicznym środkiem nasennym.

Leżał przez nie dającą się odmierzyć wieczność w zamglonym półświecie pomiędzy snem a jawą, niemal świadomy faktu, że jego mózg jest przeszukiwany, a on sam podtrzymywany w hipnotycznym transie.

Uczucie to minęło nagle. Callister oprzytomniał w jednej chwili. Otworzył oczy i usiadł na łóżku gapiąc się na południowy przypyływ słonecznego blasku wlewający się ciepłem przez okno. Dziwne! Od lat nie zdażyło mu się zaspać. Nigdy nie dręczyły go też senne koszmary. Zły sam na siebie, zadzwonił na Tommy'ego. Żadnej odpowiedzi. Znalazł szlafrok i pantofle, przemył twarz zimną wodą i wyruszył na poszukiwanie Filipińczyka. Ale zatrzymał się przy drzwiach swego laboratorium słysząc dobiegające stamtąd zastanawiające szmery. Co, u diabła! Tommy buszuje po zakazanym terenie?

Callister jednym gniewnym szarpnięciem otworzył na oścież drzwi i wpadł do środka. Zdażył zrobić dwa kroki, zanim dotarło doń to, co ujrzały jego oczy. Zatrzymał się jak wryty, a serce ścisnęła mu stalowa obręcz. W laboratorium... zaszły zmiany!

Po pierwsze stał tam nowy aparat - urządzenie zupełnie Callisterowi nieznane. Ta jarząca się w kącie skrzynia, to chyba jakiś tygiel. Koło niej piętrzył się stos zwalonych na kupę przyrządów laboratoryjnych - mikroskopy, oscylatory i tym podobne. Znajdująca się w trakcie montażu maszyna zajmująca środek pomieszczenia stanowiła kompletną zagadkę; była paradoksalna w swej prostocie i stwarzanym wrażeniu złożoności.

Ale tym, co osadziło Callistera w miejscu, był widok nagiego, trójjokiego mężczyzny majstrującego przy maszynie.

Callister wyczuł niebezpieczeństwo i odskoczywszy natychmiast w bok wyszarpnął szufladę biurka. Jego dłoń zamknęła się na chłodnej kolbie automatycznego pistoletu. Dotyk karbowanego metalu podziałał uspokajająco. Odwróciwszy się na pięcie Callister doznał niemal szoku stwierdzając, że trójjoki mężczyzna nawet się nie obejrzał, żeby na niego spojrzeć.

- Kim pan jest, u diabła? - warknął Callister unosząc pistolet. - Rozumie pan po angielsku? Olbrzym był zwrócony plecami do Callistera, ale temu ostatniemu nasunęło się nagle na myśl skojarzenie z niewytłumaczalnym snem z dzisiejszego ranka. Pierwsze wrażenie

przypominało błyskawicę w ciemności. Potem mózg Callistera uspokoił się pod uściskiem czegoś kojarzącego się z... dłonią.

- Odłóż broń - padło polecenie.

Walcząc całą swą wolą Callister obserwował siebie odkładającego automatyczny pistolet z powrotem do szuflady. Rozbrojony, gapił się na olbrzyma, który nie odrywał się od swojego tajemniczego zajęcia, jakby Callister w ogóle nie istniał. Ale ta istota była przez cały czas świadoma jego obecności, bo do mózgu Callistera napływał nieprzerwanym strumieniem telepatyczny przekaz. W jakiś niewyjaśniony sposób myśli te przekładane były na słowa.

- Dzisiaj rano przejrzałem układy twojej pamięci; muszę ci podziękować za pomoc. Kiedy obudziła się moja świadomość, nie miałem żadnych wspomnień. Byłem maszyną, która jeszcze nigdy nie działała. Stałem w obliczu konieczności poszukania odpowiedzi na zagadkę swojego istnienia.

Callister wstrzymał oddech. Kim była ta... istota? Gdzie... Zanim zdążył sformułować w myślach to pytanie, błysnęła oślepiająca odpowiedź. Olbrzym obudził się do inteligentnego życia w celi zajmowanej przez Prendergasta.

- Znalazłem tę odpowiedź, Callister. - Nie odrywał się od pracy poświęcając tylko część swej uwagi na tę telepatyczną konwersację. - Na szczęście mój mózg jest dostatecznie wysoko rozwinięty. Musiałem uciec się do logiki. Przebywałem daleko stąd, odcieleśniony w czasoprzestrzeni. Tutaj tkwi odpowiedź.

Powoli, stopniowo, Callister zaczynał pojmować tę niewiarygodną prawdę.

Zacząło się to w niezmierzonej przeszłości, przed powstaniem życia na Ziemi. Zacząło się to, kiedy pewien statek opuścił inną galaktykę. Na jego pokładzie znajdowali się trójcy ludzie. Podróż kosmiczna trwała długo. Nie setki, nie tysiące lat, ale o wiele dłużej. Statek wleciał w strefę Kosmosu, w której proces ewolucyjny przebiegał w odwrotnym kierunku. Callister odkrył tę samą zasadę, izolując ją.

Ale trójcy ludzie ulegli degeneracji. Zmiana była dla nich zbyt gwałtowna, by zdążyli się uratować. Przyrządy w rękach które utraciły swoją sprawność, stały się bezużyteczne. Cofali się w rozwoju.

Podobnie jak Prendergast, spadali z drabiny ewolucji, aż osiągnęli stan ameby. Potem statek sterowany przez roboty dotarł do Ziemi, wylądował i otworzył swe śluzy. W jego wnętrzu znajdowały się jednokomórkowe organizmy, które niegdyś były reprezentantami rasy panującej.

Na zewnątrz panowały odpowiednie warunki środowiskowe. Ale nie było tam życia.

Powierzchnię tej młodej planety omywały gorące morza.

Wewnątrz statku znajdowały się pierwotniaki, zarodki życia, które niegdyś były istotami pokrewnymi ludziom. Przeniknęły na zewnątrz statku.

Na Ziemi ewolucja rozpoczęła się od nowa. Pod wpływem środowiska niektóre z tych zarodków stały się przodkami roślin, inne mikrobami, które przetrwały w niezmiennych postaci. Jeszcze inne wzrastały w prehistorycznych wodach i pokrywały się plamkami podrażnień, które stopniowo przekształciły się w oczy.

Rozwinęły się z czasem do poziomu kręgowców, a ostatecznym ogniwem był człowiek. Pięły się mozolnie z powrotem drogą ewolucji, po której tak katastrofalnie się zsunęły. Za kilkaset tysięcy lat, licząc od dnia dzisiejszego, odzyskałyby utracony teren.

Ale Prendergast poddany został procesowi, odrzucony wstecz do stadium ameby i zarodka, i wspinał się po przeciwległym zboczach doliny. Przyspieszenie procesu doprowadziło do wykonania tego zadania w ciągu jednej nocy. Prendergast stał się reprezentantem pierwotnej, trójkowej rasy, jaka istniała na ich własnej planecie. Nastąpiły oczywiście pewne różnice spowodowane specyfiką środowiska i marginesem błędów... - Callister nie rozumiał dalszej części tego wywodu.

Tak czy inaczej, Prendergast został zepchnięty z drabiny ewolucji w pierwotny dół. Callister nie wiedział, że po drugiej stronie tego dołu znajduje się jeszcze jedna drabina.

- Nastąpią zmiany. Kiedy będziesz gotowy do poddania się przeistoczeniu na moje podobieństwo, do odzyskania swego utraconego dziedzictwa, przyjdź do mnie i będziemy pracowali razem.

- Nie uda ci się! Policja będzie... - zaczął chaotycznie Callister.

- Musimy przedsięwziąć środki ostrożności. Najlepiej będzie się odizolować. Rozwiemy nad okolicą pole siłowe. Ingerencja z zewnątrz przysporzyłoby nam tylko kłopotów.

Widok tych nieokrytych pleców przekraczał wytrzymałość Callistera. Poczul, jak żołądek opada mu w bezdenną otchłań. Najgorsza ze wszystkiego była świadomość własnej bezsilności. Olbrzym był tak zupełnie niehumanoidalny!

- Nie możesz się przyzwyczaić do mojego wyglądu. Za jakiś czas upodobisz się do mnie i będziesz z tego niezmiernie rad.

Nawet myśli nie były przed tamtym sekretem! Z nagłym uczuciem chwytającego za gardło przerażenia Callister wypadł na korytarz. Uciekał poganiany ostrogą strachu. Ale trójki mężczyzna nie rzucił się za nim w pościg.

Z myślami splątanymi w chaotyczny węzeł Callister dopadł samochodu, wyprowadził go z garażu i skręcił w drogę dojazdową. Kątem oka dostrzegł stojącego niedaleko Tommy'ego. Nacisnął hamulec.

- Wsiadaj! Jedziemy po policję...

- Nic tu nie poradzą - odpowiedział mu drogą telepatyczną Tommy. - Przechodzę proces. Pan zrobi to samo, kiedy będzie pan gotów.

- Dobry Boże!

Tommy uśmiechnął się.

- Istnieje metoda przekroczenia ewolucyjnej luki bez cofania się do stadium pierwotniaka.

Taki skrót poprzez czasoprzestrzeń...

Callister zwolnił sprzęgło i poprowadził ciężki samochód na złamanie karku po zboczach.

Trasa jego ucieczki z gór prowadziła obok budynku, który rozpoznał - obok domu dziewczyny, której kilka dni temu Prendergast zabrał rower. Na podjeździe stał zaparkowany samochód straży leśnej z wymalowanym na drzwiczkach symbolem w kształcie sosny. Po chwili zawahania Callister zatrzymał się i popędził w stronę domku.

Zastał tam leśnika, dziewczynę i całą jej rodzinę. Ich reakcji Callister mógł się z góry spodziewać. Pomyśleli sobie, że jest pijany.

- Niech cię cholera, człowieku, żądam, żebyś wszczął pan śledztwo! Bo jak nie, to...

- Chwileczkę, panie Callister. Może by tak po kolei.

- Czy pojedzie pan ze mną do mojej posiadłości i... i...

Nie doszedłszy z nimi do porozumienia, Callister wybiegł z domku i wgramolił się do samochodu, by kontynuować karkołomny zjazd z góry. Przejechał jeszcze może z kilometr, kiedy silnik zgasł; Bariera siłowa już istniała.

Później przekonał się, że była to jakby przewrócona do góry dnem przezroczysta miednica przykrywająca okolicę, z jego własnym domem pośrodku. Problemem podstawowym była ucieczka. Callister próbował wszystkich nielicznych dróg i większości szlaków, póki nie uznał, że znalazł się w pułapce.

Słońce już zachodziło, kiedy wrócił pod swój dom. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości zauważywszy, że na podjeździe stoi zaparkowany samochód leśnika.

W tle, tu i tam krzątało się wokół niezupełnie zrozumiałych zajęć sześć postaci. Był tam Tommy, trójki olbrzym, jak również leśnik. W pozostałych rozpoznał dziewczynę i jej rodziców.

Nawet z tej odległości Callister widział, że Tommy zaczyna się zmieniać.

Do jego mózgu dotarł telepatyczny przekaz.

- Jesteś już gotów przyłączyć się do nas? Powitamy cię z otwartymi ramionami...

Callister zaklął; zawrócił samochód i zwiął z twarzą białą jak prześcieradło.

Potem naszło go coś w rodzaju szaleństwa. Nie mógł uciec spod kopuły pola siłowego. Nie mógł znaleźć ani wezwać pomocy, bo celowo wznosił swój dom w rzadko uczęszczanej części Angeles Forest, a nie był to sezon kempingowy.

Minął tydzień. Dwa tygodnie. Callister stracił rachubę czasu. Był straszliwie samotny i rad, że ma chociaż dach nad głową w postaci opuszczonego domu dziewczyny i jej rodziców.

Podobnie jak Tommy'ego i leśnika, ich też nie można już było rozpoznać. Stali się trójkami olbrzymami. Odzyskali utracone dziedzictwo ludzkości.

Pewnego wieczoru, siedząc w kucki przed płonącym kominkiem, Callister podniósł wzrok akurat na czas, by ujrzeć materializującą się obok niego z powietrza postać. Zerwał się instynktownie na równe nogi, ale trójki mężczyzna, teraz już całkowicie z krwi i kości, uśmiechał się uspokajająco.

- Nic ci nie zrobię, Callister. Jesteśmy zmuszeni cię poprosić o opuszczenie tego budynku.

Trzeba go zniszczyć. Przemodelujemy i porządkujemy krajobraz, a ta budowla ani nie jest funkcjonalna, ani tu nie pasuje.

Callister oblizał usta.

- Czy ty jesteś... Prendergast?

Pomimo wysiłków nie potrafił zapanować nad ogarniającym go mimo woli uczuciem podziwu dla stojącej przed nim superistoty, wyglądającej jak perfekcyjna forma, z której nieudolnie odlany został rodzaj ludzki.

- Prendergast? - dotarła do niego myśl. - Ach rozumiem. Nie, byłem pustelnikiem, który zamieszkiwał jaskinię po drugiej stronie doliny, naprzeciw twojego domu. Teraz zmieniłem się, oczywiście. Muszę bezzwłocznie zrównać tę budowlę z ziemią. Będziesz łaskaw się wyprowadzić?

Ale Callister nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Musiał się, naturalnie, wynieść. I potem nie miał już ani gdzie się schronić, ani co jeść.

Próbował polować. Ubranie miał całe w strzępach. Po tygodniu był już brudny, zarośnięty,

zaniedbany i żaloszny. Najgorsza ze wszystkiego była świadomość, że w końcu będzie zmuszony przyłączyć się do tych trójkornych olbrzymów.

A gdy to już zrobi, odzyska spokój ducha.

Powstrzymywał go egotyzm. Grał na zwłokę. Przez całe życie stawiał siebie szczebel powyżej średniej, uważał się za człowieka całkowicie cywilizowanego. Niezagrożony na swej pozycji, pewny swego statusu, spoglądał w dół z pobłażaniem i może odrobiną samouwielbienia. Był nec plus ultra...

Dołączając do trójkornych awansowałby. Stałby się o wiele bardziej cywilizowany. A tym samym przyznałby automatycznie, iż jego dotychczasowa egzystencja porównywalna była do barbarzyństwa. W jednej chwili zakwestionowałby odwieczny dorobek kulturalny swojego gatunku.

To egotyzm, bunt przeciwko roztrzaskaniu w drobny mak swego fetysza, nawet za obiecywaną nagrodę, powstrzymywał go przez pewien czas. Nie strach nim powodował, bo nie było się czego bać. Zostalby powitany z otwartymi ramionami...

No tak...

Był głodny; niewiele już zostało z jelenia, którego zabił w zeszłym tygodniu. Siedząc w kucki u wylotu jaskini pustelnika, sięgnął po ociekający tłuszczem gnac, do którego przywarło jeszcze parę skrawków mięsa. Słońce przygrzewało mu prześwitującą poprzez łachmany skórę.

Tam, po drugiej stronie doliny, stał przebudowany dom; był dziwny i zarazem uroczy w swej obcości. Nagle Callister odwrócił się, żeby spojrzeć w tamtym kierunku, zainteresowany błyskiem światła w szklach lornetki.

Ktoś go obserwował. Z przyprawiającym o mdłości przerażeniem pomyślał, czy to czasem nie trójkorni mężczyzna, który kiedyś był pustelnikiem.

przekład : Jacek Manicki

Henry Kuttner      Stos kłopotów

Nazywaliśmy Lemuela Kulasem, bo miał trzy nogi. Kiedy dorósł, co przypadło mniej więcej w okresie wojny Północy z Południem, wolał raczej tę trzecią nogę trzymać za sobą w spodniach, tak żeby jej nie było widać i żeby ludzie nie gadali.

Oczywiście w ten sposób przypominał trochę wielbłąda jednogarnbego, ale ostatecznie Lemuel nigdy nie był próżny. Całe szczęście, że miał w tej nodze dwa kolana, boby dostał kurczu.

Nie widzieliśmy Lemuela jakieś sześćdziesiąt lat. Żył w południowej części gór a my, reszta na północy Kentucky. I myślę, że nigdy nie wpadlibyśmy w te wielkie tarapaty, gdyby Lemuel nie był taki piekielnie niezdarly.

A przez jakiś czas wyglądało, że będą to kłopoty nie lada. Bo my, Hogbenowie, zanim się przenieśliśmy do Piperville, i tak mieliśmy tego dość: ludzie bez przerwy do nas zaglądali i wsadzali swoje trzy grosze usiłując się dowiedzieć, dlaczego w promieniu wielu mil tak szczekają psy. Doszło nawet do tego, że w ogóle nie mogliśmy latać. Wreszcie dziadek powiedział, żebyśmy zaryzykowali i przenieśli się do Lemuela na południe. Nienawidzę przeprowadzek. Od tej podróży do Plymouth Rock zbierała mi się na wymioty. Wołałem latać

No, ale ostatecznie dziadek był szefem, nie ja. Kazał nam wynająć ciężarówkę i załadować na nią cały dobytek. Największy kłopot mieliśmy z Bobasem, nie waży wprawdzie więcej jak trzysta funtów ale pojemnik, w którym go trzymamy, jest dość pękaty. Bo z dziadkiem nie było żadnych problemów: wsadziliśmy go po prostu w stary jutowy worek i wepchnęliśmy pod siedzenie. Cała robota spadła na mnie. Tata dobrał się do samogonu i był zalany w trupa. Skakał no czubku głowy i podśpiewywał piosenkę „Świat stanął dęba”.

A wujek nie chciał wyjść. Zagrzebał się w szopie na kukurydzy i powiedział, że na jakieś dziesięć lat zapada w sen zimowy. No więc go zostawiliśmy.

- Bez przerwy tylko podróżujecie - narzekał. - Nie możecie usiedzieć na miejscu. Nie minie pięćset lat, a wy już w drogę i lato w lato byście się tylko włóczyli. Wynocha !

No, tośmy się wynieśli.

A znów Lemuel, ten, którego nazywaliśmy Kulasem, to był facet jedyny w całej rodzinie. Z tego, co słyszałem, wybuchła wielka draka, jak tylko przyjechaliśmy do Kentucky, jako że wszyscy mieli obowiązek zakasać rękawy i pomagać przy budowie domu - wszyscy, z wyjątkiem jednego Lemuela. O nie, co to, to nie on. Lemuel był kompletnie bezradny. Odleciał na południe. Co roku czy co dwa lata budził się na trochę i wtedy słyszeliśmy, jak myśli, ale przeważnie to po prostu siedział.

Postanowiliśmy przez jakiś czas pobyć z nim. No i pobyliśmy. Lemuel mieszkał w starym młynie wodnym w górach nad miasteczkiem zwanym Piperville. Ten młyn to była już właściwie rudera. Zastaliśmy wujka na ganku. Siedział w fotelu, ale ten fotel już się dawno rozleciał, tyle że Lemuel nie zadał sobie nawet trudu, żeby się obudzić i go zreperować. No więc siedział tak sobie wtulony we własną brodę i troszkę nawet oddychał. Miał miły sen. Więc go nie budziliśmy. Wtaszczyliśmy tylko Bobasa do środka, a dziadek z tatą zaczęli wnosić butelki samogonu.

I tak się właśnie osiedliliśmy. Początkowo nie czuliśmy się tam dobrze. Lemuel nie był nawet na tyle zaradny, żeby mieć w domu jakieś zapasy. Budził się po prostu od czasu do czasu, żeby zahipnotyzować gdzieś w lesie szopa i ten szop przyłaził na żądanie, zupełnie ogłupiały, gotów do zjedzenia. Lemuel musiał się odżywiać głównie szopami, bo one mają bardzo zręczne łapy, zupełnie jak ręce. I niech no skisnę, jeśli ten niezaradny wujek Lemuel nie potrafił tak zahipnotyzować szopa, żeby sam rozpałił ogień i sam się ugotował. Jednego tylko nie wiem do dziś, jak on je obdzierał ze skóry. Może po prostu wypluwał futro. Są ludzie za leniwi na wszystko.

A jak mu się zechciało pić, to zwyczajnie puszczał sobie nad głową mały deszczyk i otwierał usta. Wstyd.

Ale i tak nikt nie zwracał uwagi na Lemuela. Mama była bardzo zajęta. Tata naturalnie wymknął się gdzieś z butelką samogonu, no a cała robota spadła na mnie.

Nie było tego zresztą wiele. Najgorszy kłopot polegał na tym, że potrzebna nam była jakaś energia. Bobas w tym swoim pojemniku zre prąd jak lichy, a tata ciągnie energię elektryczną dosłownie jak smok. Gdyby Lemuel utrzymał wodę w strumieniu, nie byłoby problemu, ale właśnie, to był cały Lemuel! Pozwolił, żeby strumień wysechł. Została z niego dosłownie maleńka strużka, nic więcej.

Z pomocą mamy zbudowałem więc w kurniku takie specjalne urządzenie i od tej pory mieliśmy już prądu w bród.

Kłopoty zaczęły się pewnego dnia, kiedy drogą nadszedł jakiś chudy kurdupel i nie mógł się nadziwić, że mama robi pranie na podwórku. Ja się snułem w pobliżu, ciekaw, co z tego wyniknie.

- Ładny dzień - zagadnęła mama. - Może pan się czegoś napije ?

Powiedział, że owszem, może, więc mu podałem cały czerpak samogonu. Wypił, zatkało go na chwilę, a potem powiedział, że nie, dziękuję, nie chce więcej ani teraz, ani już nigdy.

Powiedział, że poderznąć sobie gardło jest taniej, a skutek ten sam.

- Przyjechaliście dopiero co - zagadnął.

Mamo powiedziała, że tak i że Lemuel jest naszym krewnym. Facet spojrzał na Lemuela, który siedział na ganku z zamkniętymi oczami, i zapytał:

- A to on żyje?

- Jasne, że żyje - odparła- mamó. - Żyje i dobrze się ma, jak to mówią.

- A myśmy myśleli, że on już dawno umarł - rzekł mężczyzna. - Dlatego nigdy nie ściągaliśmy od niego podatku. Ale właśnie, wyście też powinni zapłacić podatek, skoro się wprowadziliście. Ile was jest?

- Będzie ze sześcioro - powiedziała mama.

- Wszyscy dorośli ?

- Jest tata i Saunk, i Bobas...

- Ile on ma?

- Bobas będzie miał teraz ze czterysta lat, prawda, mamó - zapytałem, ale mama dała mi tylko w łeb i powiedziała, żebym siedział cicho. Mężczyzna pokazał na mnie i wyjaśnił, że on pytał, ile ja mam lat. Piekło i sztuczna noga! A skąd ja mam wiedzieć. Straciłem rachubę mniej więcej w czasach Gomwella. W końcu facet orzekł, że mamy płacić pogłównie wszyscy, z wyjątkiem Bobasa.

- To zresztą i tak nie ma znaczenia - powiedział zapisując coś w małej książeczce. - I tak w tym mieście trzeba głosować, jak się należy. Piperville ma tylko jednego szefa, nazywa się Eli Gondy. Razem dwadzieścia dolarów.

Mama kazała mi przynieść, jakieś pieniądze, więc poszedłem szukać. Dziadek nie miał nic pozo czymś, co powiedział, że się nazywa denar i że jest jego maskotką twierdził, że rąbnął go jednemu facetowi imieniem Juliusz z Galii. Tata był zalany w trupa. Bobas miał trzy dolary. Przeszukałem kieszenie Lemuelowi, ale nie znalazłem w nich nic, poza starym gniazdem wilgi z dwoma jajeczkami w środku.

Kiedy powiedziałem o tym mamie, podrapała się w głowę, więc ją uspokoiłem:

- Jutro coś się zrobi. Przyjmie , pan złoto, prawda ?

Mamó dała mi kuksańca. Mężczyzna popatrzył na nas dziwnie i powiedział, że oczywiście weźmie złoto. A potem odszedł przez las. Po drodze minął szopa, który niósł wiązkę chrustu na rozpałkę, z czego wywnioskowałem, że Lemuel zgłodniał. Mężczyzna przyspieszył kroku. Rozejrzałem się za jakimś starym żelastwem, które mógłbym zamienić w złoto.

Następnego dnia odstawiono nas do więzienia.

Naturalnie wiedzieliśmy o tym wcześniej, ale niewiele mogliśmy w tej sprawie zrobić.

Zawsze uważaliśmy, że nie należy się wychylać, żeby nie zwracać no siebie zbytniej uwagi. I tym razem dziadek też nam to przykazał.

Poszliśmy więc na strych, wszyscy pozo Bobasem i Lemuelem, który, się w ogóle nie ruszał, i ja cały czas gapiłem się no wiszącą w rogu pajęczynę, żeby nie musieć potrzeć na dziadka - zawsze mnie bolały od tego oczy.

- A to śmierdzące pachółki - powiedział dziadek. - Najlepiej będzie, jak pójdziemy do tego ich pudła. Czasy Inkwizycji się skończyły. Będziemy tam. zupełnie bezpieczni.

- A czy nie moglibyśmy jakoś schować tego naszego urzędzenia ? - spytałem. ‘

Mamó dała mi w łeb za to, że się odzywam przy starszych.

- To się na nic nie zda - powiedziała. - Już tu byli rano z Piperville na przeszpiegi i je widzieli.

Na to odezwał się dziadek:

- A czy wykopaliście pod domem dół ? To dobrze. Schowajcie tam mnie i Bobasa. A wy, reszta... - I tu przeszedł na starodawny język. - Szkoda, żebyśmy po tylu lotach zostali odkryci przez tych ciemnych tępaków. Byłoby lepiej poderżnąć im gardła. Nie, Saunk, ja tak tylko żartowałem. Nie możemy zwracać na siebie uwagi. Znajdziemy jakieś wyjście.

No i tak właśnie było. Wszystkich nas wynieśli, z wyjątkiem dziadka i Bobasa, których do tego czasu zdążyliśmy już schować w jamie pod domem. Wywieźli nas do Piperville i wsadzili do paki. Lemuel nawet się nie obudził. Zawlekli go za pięty.

Co do taty, to był cały czas zalany. Bo tata zna taką jedną sztuczkę. Może pić samogon, a potem, tak jak ja to rozumiem, alkohol dostaje mu się do krwi i zamienia w cukier czy coś w tym rodzaju. Nic, tylko czary. Próbował mi to kiedyś wytłumaczyć, ale nie ma w tym sensu za grosz. Wódka idzie przecież do żołądka - jak może iść do głowy i zamieniać się w cukier ? Kompletna bzdura. Albo czary, tak czy siak. Ale co ja chciałem powiedzieć... Chciałem powiedzieć, że tata przyuczył takich swoich przyjaciół, Enzymy - to chyba cudzoziemcy, przynajmniej sądząc z imienia - i oni mu zamieniają cukier z powrotem na alkohol i dzięki temu tata może być pijany jak długo zechce. Ale i tak woli świeży samogon, jak ma pod ręką. Jeśli chodzi o mnie, to nie przepadam za tymi czarodziejskimi sztuczkami - robię się nerwowy.

Zaprowadzili mnie do pokoju, w którym już byli jacyś ludzie, i kazali usiąść na krześle. Zaczęli mi zadawać pytania. Udawałem głupiego. Mówiłem, że nic nie, wiem.

- To niemożliwe! - powiedział jeden z nich. Takie wiejskie ciemniaki nie mogły tego zbudować same. W każdym razie bez wątplenia moją u siebie w kurniku stos atomowy! Też coś!

W dalszym ciągu udawałem głupiego. Po chwili zabrali mnie z powrotem do mojej celi. Były tam pluskwy. Ale wypuściłem z oka coś w rodzaju promienia i wytłukłem je ku wielkiemu zdziwieniu małego obdartusa o różowych bokobrodach, który sypiał no górnej pryczy, a który akurat nie spał, co zauważyłem, niestety, jak już było za późno.

- Tułałem się swego czasu po różnych dziwnych więzieniach - powiedział mały obdartus gwałtownie mrugając - i miewałem różnych niezwykłych towarzyszy niedoli, ale jeszcze nigdy nie spotkałem takiego, którego bym podejrzewał o to, że jest diabłem. Nazywam się Armbruster, Śmierdziel Armbruster, i siedzę za włóczęgostwo. A o cóż ciebie oskarżają, przyjacielu? Kupowałeś dusze po zbyt wygórowanych cenach?

Powiedziałem, że miło mi go poznać i że podziwiam jego język. Musiał być wysoko kształcony.

- Panie Armbruster, ja naprawdę nie mam pojęcia, za co tu siedzę. Po prostu mnie wywieźli - z tatą, z mamą i z Lemuelem. Ale Lemuel śpi, a tata jest pijany.

- Chciałbym być pijany - zwierzył mi się pan Armbruster. - Nie dziwiłbym się wtedy tak bardzo widząc, jak się unosisz na wysokości dwóch stóp nad ziemią.

Zmieszałem się trochę. Nikt nie lubi, żeby go no czymś takim złapano. Ale to wszystko przez to, że jestem taki roztrzepany. Poczulem się naprawdę głupio i przeprosiłem go.

- Nic nie szkodzi - powiedział pan Armbruster, przewracając się na bok i drapiąc po bokach. - Spodziewałem się tego od lat. Biorąc jedno z drugim, miałem w sumie przyjemne życie. A zwariować w taki sposób jest po prostu cudownie. Dlaczego, mówiłeś, was aresztowali ?

- Powiedzieli, że mam stos atomowy - wyjaśniłem - A ja daję głowę, że nie mamy. Mamy za to stos drzewa. Wiem, bo sam je rąbałem. A atomów nie rąbałem nigdy.

- Pamiętałybyś, gdybyś rąbał, no nie ? - powiedział pan Armbruster. - To pewnie jakoś polityczna sztuczka. Do wyborów został już tylko tydzień. Tworzy się partia reform i Gandy chce ją zniszczyć, zanim powstanie.

- Powinniśmy się zbierać do domu - wtrąciłem.

- A gdzie ty mieszkasz?

Kiedy mu powiedziałem, przemyślał sprawę.

- Tak się zastanawiam. Mieszkacie nad rzeką, prawda, to znaczy nad strumieniem Wielkiego Niedźwiedzia?

- To nie jest nawet strumień - odparłem.

Pan Armbruster roześmiał się.

- To Gandy nazwał go Rzeką Wielkiego Niedźwiedzia. Jeszcze zanim została zbudowana Tama Gandy'ego, tam poniżej tego miejsca, gdzie wy mieszkacie. W tym strumieniu przez pięćdziesiąt lat nie było wody, ale stary Gandy dostał na to wielkie kredyty - sam już nawet nie wiem ile - chyba z dziesięć lat temu. I przez to, że strumyk nazwał rzeką, doprowadził do zbudowania tamy.

- Ale po co mu to było? - spytałem.

- Czy ty sobie zdajesz sprawę, ile lewych pieniędzy można mieć ze zbudowania tamy? - odparł pan Armbruster. - Ale Gandy i tak wygra wybory. Jak do faceta należy prasa to stać go na własny program wyborczy. Oho, ktoś idzie.

Przyszedł jakiś mężczyzna z kluczami i zabrał pana Armbrustera. Po dłuższej chwili przyszedł ktoś inny i zabrał mnie. Zaprowadzili mnie do jakiegoś pokoju, pełnego światła. Był tam już pan Armbruster, mama, tata i Lemuel, i kilku potężnych facetów ze spluwami. I był też mały, chudy, pomarszczony człeczyna, łysy i z oczkami węża, i wszyscy robili to, co im kazał. Nazywali go panem Gandym.

- Ten chłopak to jest zwykły wiejski ciemniak - powiedział pan Armbruster, kiedy wszedłem.

- Jeżeli on wpadł w tarapaty, to tylko przez przypadek.

Powiedzieli mu, żeby siedział cicho, i dali raz w łeb. Więc siedział cicho. Wtedy pan Gandy usiadł w rogu pokoju i skinął głową, a wygląd miał wredny. I złe spojrzenie.

- Posłuchaj, chłopcze - odezwał się do mnie. - Kogo ty kryjesz? Kto zbudował ten stos atomowy w waszym kurniku? Radzę ci powiedzieć prawdę, bo może cię spotkać przykreść. Ale ja się po prostu no niego gapiłem, więc ktoś dał mi w łeb. Śmieszne. Jeszcze nikt nie zrobił w ten sposób krzywdy Hogbenowi. Pamiętam, jak tacy jedni Adamsowie, co to się z nami wadzili, złapali mnie kiedyś i natłukli po głowie, byli tak wykończeni, że nie mieli siły nawet pisnąć, jak ich wrzuciłem do cysterny.

Pan Armbruster zaczął wydawać różne odgłosy.

- Panie Gandy - powiedział wreszcie - ja wiem, że gdyby pan odkrył, kto zbudował ten stos atomowy, to byłaby wielka sprawa, ale przecież pan i tak wygra te wybory. A zresztą może to wcale nie jest stos atomowy?

- Ja wiem, kto go zbudował - powiedział pan Gandy. - To uczeni zaprzańcy. Albo zbiegli hitlerowscy zbrodniarze wojenni. I mam zamiar ich ująć!

- Aha - rzekł pan Armbruster. - Już rozumiem. Taka historia odbiłaby się echem w całym kraju, prawda? - Mógłby pan kandydować na stanowisko gubernatora albo do senatu, albo... przedstawić nawet własny program wyborczy,

- Co ten chłopak panu powiedział? - spytał pan Gandy. Ale pan Armbruster odparł, że nic. Wtedy zaczęli okładać Lemuela.

To było dość męczące. Nikt nie jest w stanie obudzić Lemuela, jak ma ochotę się zdrzemnąć, a jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś miał na to większą ochotę niż on wtedy. No jakiś czas doli mu więc spokój, bo go uznali za zmarłego. I trudno się dziwić: Bo Lemuel jest tak piekielnie leniwy, że jak mocno zaśnie, to mu się nawet nie chce oddychać.

Tata robił jakieś kombinacje z tymi swoimi przyjaciółmi Enzymami i osiągnął znaczny stopień upojenia alkoholowego. Co oberwał - to jakby go połaskotali. Za każdym razem, jak mu przyleli- gumowym szlauchem, zaczynał głupio chichotać. Aż mi było wstyd.

W każdym razie nikt nie próbował łać mamy. Ktokolwiek zbliżył się do niej na tyle, żeby ją uderzyć, robił się zaraz biały jak gęsie jajo. oblewał się potem i trząsał.

Znaliśmy kiedyś takiego jednego profesora, co twierdził, że mama potrafi wysyłać wąską wiązkę poddźwiękową. To był łgarz. Po prostu wydawała dźwięki, których nikt nie słyszał, i kierowała je tam, gdzie chciała. Po co zaraz takie wielkie słowa! Sprawa jest prosta jak w mordę strzelił. Sam to potrafię.

Pan Gandy zarządził, żeby nas zabrali z powrotem tam, gdzie byliśmy, to on jeszcze potem się z nami zobaczy. No więc wywlekli Lemuela, a my wszyscy wróciliśmy do swoich cel. Pan Armbruster miał na głowie śliwę wielkości kaczego jaja. Leżał na pryczy i jęczał, a ja siadłem sobie w kącie, patrzyłem na jego głowę i strzelałem z oczu takim specjalnym światłem, tylko że nikt tego światła nie mógł zobaczyć. I ono działało jak... zresztą, ja tam nie jestem kształcony. No, po prostu działało jak kataplazma. Po chwili guz się schował i pan Armbruster przestał jęczeć. -

- Grozi ci poważne niebezpieczeństwo, Saunk - powiedział. Zdążyłem już zdradzić mu swoje imię. -. Gandy ma wielkie ambicje. I zupełnie otumanił ludzi z Piperville. A chciałby otumanić cały stan czy nawet cały naród. Dąży do tego, żeby odegrać ważną rolę polityczną. I dobra historia w prasie by mu to załatwiła. A poza tym zapewniłaby mu zwycięstwo w przyszlotygodniowych wyborach. On zresztą nie potrzebuje żadnych gwarancji. I tak ma to w kieszeni. Czy wy rzeczywiście macie stos atomowy ?

Spojrzałem na niego tylko.

- Gandy właściwie nie ma co do tego wstąpiłości - podjął. - Posłał tam fizyków, którzy mu powiedzieli, że wygląda im to na uran dwieście trzydzieści pięć z grafitowym tłumieniem. Saunk, słyszałem, jak to mówili. Dla własnego dobra nikogo nie osłaniaj. Dadzą ci wykrywacza prawdy - pentatol sodowy albo skopolaminę.

- Niech pan się lepiej prześpi - poradziłem mu, ponieważ w środku, w głowie, słyszałem, jak mnie wola dziadek. Zamknąłem oczy i zacząłem nasłuchiwać. Nie była to łatwa sprawa, bo cały czas włączał się tata. O rany, ale był zapruty !

- Może się napijesz ? - powiedział bardzo wesolutki tyle że bez mówienia, jeśli rozumiecie, co mam na myśli

- Bądź przeklęty, wszawy stworze - skarcił go dziadek, znacznie mniej wesoly. - Zabieraj stąd swój tępy umysł. Saunk!

- Tak jest, dziadku - odezwałem się bezgłośnie.

- Musimy ułożyć plan...

- Saunk, może byś się napił - wtrącił tata.

- Tata, zamknij się proszę cię bardzo - podregulowałem tętę. - Miej trochę szacunku dla starszych. To znaczy dla dziadka. A poza tym, jak mogę się napić, skoro jesteś daleko, w innej celi.

- Ale mam rurkę - wyjaśnił tata. - Mogę ci zrobić...jak to się nazywa... transfuzję. O, właśnie, teleportację. Zrobię zwarcie pomiędzy moim a twoim krwiobiegiem i przepompuję alkohol z moich żył do twoich. O, patrz, tak się to robi! - I wyświetlił mi jak gdyby taki obrazek w głowie. Sprawa była dość prosta. To znaczy dla Hogbena.

Wpadłem we wściekłość.

- Tata - powiedziałem. - Nie zmuszaj swego kochającego syna, żeby cię znieważał bardziej, niż to jest normalne, ty stara zapijaczona mordo. Wiem, że nie masz żadnej szkoły. Po prostu wydziobujesz te wszystkie trudne słowa komuś prosto z głowy.

- Chłapnij sobie - powiedział tata, a następnie wrzasnął. Słyszałem, jak dziadek chichocze.

- Kradniesz mądrości z umysłów innych ludzi, - rzekł. - Ja też to potrafię. Właśnie wyhodowałem błyskawicznie we własnej krwi wirusa migreny i w drodze teleportacji przeniosłem go do twojej głowy, ty łachmyto przeklęty: Niech cię morowe powietrze, hultaju jeden! Daj mi posłuch, Saunk. Twój szubrawy rodzic nie będzie nas chwilowo niepokoił.

- Dobrze, dziadku - odparłem. - Jesteś gotów ?

- Tak .

- A Bobas ?

- Też. Ale działać musisz ty. To twoje zadanie, Saunk. Kłopot polega na tym, jak mu tam, stosie atomowym.

- A więc, to jest właśnie to.

- Jak mogłem się spodziewać. że ktokolwiek się na tym pozna? Mój własny dziad mnie wtajemniczył, jak się to robi, te stosy istniały w jego czasach. Prawdę powiedziawszy, to właśnie przez takie rzeczy my, Hogbenowie, zostaliśmy mutantami. Zaraz, sam muszę się podłączyć do jakiegoś mózgu, żeby to wyjaśnić. W tym mieście, w którym ty jesteś, Saunk, są tacy ludzie, co znają potrzebne mi słowa. Zaraz, chwileczkę, zobaczymy. Dziadek przeleciał kilka mózgów, po czym podjął:

- W czasach mojego dziada ludzie zaczęli rozszczepiać atom. Powstało... hm... promieniowanie wtórne. Wywarło ono wpływ na geny i chromosomy niektórych ludzi - stąd mutacja dominująca u nas Hogbenów . Tak więc jesteśmy mutantami

- To właśnie o tym mówił Roger Bacon, tak - spytałem.

- Tak. Ale on był życzliwy i siedział cicho. Gdyby ludzie w tamtych czasach poznali się na naszych zdolnościach, to by nas niechybnie spalili. Nawet dzisiaj byłoby niebezpiecznie się ujawniać. Ostatecznie... wiesz, co planujemy ostatecznie, Saunk ?

- Tak, dziadku - odparłem, ponieważ wiedziałem ?

- Tu jest pies pogrzebany. Wygląda no to, że ludzie znów rozszczepili atom. Dlatego poznali ten stos. Musimy go zniszczyć. Zwracanie na siebie uwagi nie leży w naszym interesie. Tyle że potrzebna jest nam energia. Niewiele, ale jednak. Stos atomowy był najprostszym sposobem na jej uzyskanie, ale nie możemy go teraz używać. A oto, Saunk, co musisz zrobić, żeby zapewnić Bobasowi i mnie dostateczną ilość energii.

I powiedział mi co zrobić.

No to ja poszedłem i spełniłem jego polecenie.

Kiedy trochę poruszę oczami, widzę nieraz naprawdę ładne rzeczy. Na przykład takie pręty w oknie. Rozpadają się na tycie kawałeczki, które zasuwiają wkoło jak zwariowane. Podobno te kawałeczki nazywają się atomy. Rany, ale one zabawnie wyglądają : pchają się jeden przez drugiego, jakby się spieszyły na niedzielne nabożeństwo. Oczywiście można je łatwo przedstawiać jak klocki.

Skupisz na przykład wzrok, bardzo mocno, aż ci coś wyłazi : jeszcze więcej tych malutkich facecików wyłazi ci z oczu i wszystkie razem się mieszają, i to jest bardzo zabawne. Za pierwszym razem się pomyliłem i te pręty w oknach zamieniłem w złoto. Musiałem zgubić jeden atom. Ale później się poprawiłem i zamieniłem je w nic.

Wylazłem i z powrotem zamieniłem je w żelazo. Ale najpierw musiałem się upewnić, że pan Ambruster śpi. Nic prostszego.

Była noc, więc nikt mnie nie widział ja wysunąłem się z okna na siedmiu pięter ponad ulicą, w wielkim budynku, który służył częściowo za ratusz, a częściowo za więzienie . Odleciałem. Raz śmignęła koło mnie sowa . Pewnie myślała że nie widzę po ciemku , więc na nią naplułem i jeszcze jej przyłożyłem .

Najpierw odnalazłem ten stos atomowy. Był obstawiony strażnikami , a każdy trzymał światło . Ale ja zawisłem w powietrzu , tak żeby mnie nie widzieli i wziąłem się do roboty . Najpierw rozgrzałem całe urządzenie , aż to co pan Ambruster nazywał grafitem , rozwiał się w pył i znikło . Załatwienie reszty było już całkiem proste - dwieście trzydzieści pięć - powiadacie , tak ? - zamieniłem więc wszystko w ołów. Bardzo kruchy . Tak strasznie kruchy , że się rozsypał i zniknął . Jeszcze chwila i po stosie nie został nawet ślad .

Poleciałem potem w górę strumienia . Woda prawie wyschła i dziadek powiedział że to mu nie wystarczy . Poleciałem więc wysoko w góry , ale nie miałem szczęścia . Dziadek zaczął

coś do mnie mówić . Bobas płacze - powiada . Nie powinienem był niszczyć tego stosu dopóki nie upewnię się że znajdę inne źródło zasilania .

Nie pozostawało mi nic innego , jak tylko zrobić deszcz .

Jest na to kilka sposobów , ale ja zamroziłem chmurę . Musiałem się i szybko zbudować specjalne urządzenie , a następnie wzlecieć wysoko ponad chmury , zabrało mi to sporo czasu , ale wkrótce nadeszła burza i zaraz potem lunęło . Woda nie chciała jednak płynąć korytem strumienia . Szukałem więc przez chwilę , aż wreszcie znalazłem miejsce , w którym całe dno strumienia się zapadło . Musiały być pod spodem jakieś grotty . Zacząłem te dziury zatykać . Nic dziwnego że tak długo nie było w strumieniu wody . Ale poradziłem sobie i z tym . Dziadek domagał się jednak stałego zasilania , więc zacząłem węszyć dookoła ,aż znalazłem duże źródło . Otworzyłem je . Przez ten czas zrobiła się nieziemska ulewa . Wróciłem żeby zobaczyć się z dziadkiem .

Ci ludzie , co pilnowali stosu atomowego , poszli już sobie chyba do domu . Dziadek powiedział że strasznie się zdenerwowali jak Bobas zaczął płakać . Powsadzali palce w uszy i - w noki z krzykiem . Obejrzałem dokładnie koło młyńskie , jak mi dziadek kazał i dokonałem kilku napraw . Niewiele było trzeba. Sto lat temu zupełnie nieźle to robili, no i drewno się świetnie wysuszyło. Podziwiałem to koło, jak się obracało i obracało w miarę spiętrzania się wody w strumieniu. W strumieniu - w jakim tam strumieniu! To już była rzeka. Ale dziadek powiedział, że powinienem zobaczyć, jak była budowana Via Appia.

Urządziłem jego i Bobasa wygodnie i poleciałem do Piperville. Zaczynało już świtać, a nie chciałem, żeby mnie kto zobaczył, jak latam. Tym razem naplułem na gołębia.

A w ratuszu wybuchła cała awantura. Wyglądało na to, że mama, tata i Lemuel znikli jak kamfora. Ludzie biegali bardzo zdenerwowani i panował ogólny bałagan.

Ale ja wiedziałem, co się stało. Mama przemówiła do mnie, naturalnie w mojej głowie, i powiedziała mi, żebym przyszedł do celi na samym końcu budynku, bo ta cela jest bardzo przestronna. Byli tam wszyscy. Niewidzialni oczywiście.

Zapomniałem powiedzieć, że i ja się stałem niewidzialny zaraz potem, jak się wśliznąłem do środka, zobaczyłem, że pan Armbruster śpi i że jest takie zamieszanie.

- Dziadek mi powiedział, co się dzieje - wyjaśniła mama. - Pomyślałam sobie, że będzie lepiej, jak się na jakiś czas usuniemy. Leje porządnie, co ?

- Jasne. Ale dlaczego wszyscy są tacy podnieceni ?

- Nie wiedzą, co się z nami stało - odparła mama. - Jak się tylko uspokoi, pójdziemy do domu. Mam nadzieję, że wszystko załatwiłeś.

- Zrobiłem, co mi kazał dziadek - powiedziałem i zaraz na korytarzu rozległy się straszne wrzaski. Okazało się, że do budynku wparował stary, tłusty szop z wiązką dREW. Szedł sobie spokojnie, aż się zatrzymał przed kratami naszej celi. Usiadł przed drzwiami i zaczął układać patyki na ognisko. Po jego nieprzytomnym spojrzeniu od razu poznałem, że Lemuel musiał go zahipnotyzować.

Na zewnątrz zbierali się tłumnie ludzie. Nas oczywiście nie mogli widzieć - obserwowali tego starego szopo. I ja też o obserwowałem, bo byłem ciekaw, jak Lemuel te bydlaki obdziera ze skóry. Owszem, widywałem już, jak rozpalają ogień - do tego Lemuel potrafił je zmusić - ale jakoś nigdy do tej pory nie byłem. świadkiem, jak się obdzierają ze skóry. A to właśnie chciałem zobaczyć.

Ale zanim szop zaczął swój program na dobre, przyszedł policjant, wsadził go do worka i zabrał. I znów się nie dowiedziałem. Tymczasem zrobiło się już widno.

Cały czas dochodziły skądś wrzaski, a raz usłyszałem, jak ktoś głośno zawołał znajomym głosem.

- Mamo - powiedziałem - to mi wygląda no pana Armbrustero. Chyba pójde zobaczyć, co wyrabiają z tym biednym starowiną.

- Czas na nas, trzeba wracać . do domu - odparła mama. - Musimy od kopać dziadka i Bobasa. Mówisz, że koło się obraca ?

- Tak, mamy teraz prądu elektrycznego pod dostatkiem.

Mama sięgnęła ręką, namacała tatę i porządnie go palnęła.

- Wstawaj - powiedziała.

- Może byś sobie chlapnęła - odparł tata.

Ale mama go dobudziła i powiedziała, że idziemy do domu. Nie było jednak takiego, co by dobudził Lemuela.

W końcu mama i tata wzięli go na spółkę i wyrzucili przez okno; oczywiście przedtem zrobiłem porządek z prętami, tak żebyśmy się mogli wydostać: Pozostaliśmy niewidzialni, a to z powodu tłumy, jaki się kłębił na dole.

Padało w dalszym ciągu, ale mama powiedziała, że nie są z cukru ani z soli i że bym szedł z nimi, bo mi wygarbuje skórę.

- Dobrze, mamusiu - powiedziałem, ale nie miałem zamiaru z nimi iść. Zostałem z tyłu.

Chciałem się przekonać, co robią panu Armbrusterowi.

Trzymali go w tym dużym pokoju, gdzie wszystkie światła były zapalone. Pan Gandy stał koło okna i miał bardzo podłą minę. Podwinęli panu Armbrusterowi rękaw i zamierzali mu właśnie wpakować w skórę coś w rodzaju szklanej igły. Tego już było za wiele! W jednej chwili stałem się z powrotem widzialny.

- Nie radzę wam tego robić - powiedziałem.

- To chłopak Hogbenów! - ktoś wrzasnął. - Łapać go !

Złapali mnie. Pozwoliłem im. Już po chwili siedziałem na krześle z podwiniętym rękawem, a pan Goridy spoglądał na mnie z wilczym uśmiechem.

- Dajcie mu wykrywacza prawdy - zarządził. - Nie ma sensu zadawać teraz temu obwiesiowi pytań.

Zamroczonego pan Armbruster powtarzał w kółko:

- Nie wiem, co się stało z Saunkiem! Ale nawet gdybym wiedział, to i tak bym wam nie powiedział...

Dali mu w łeb.

Pan Gandy przysunął twarz do mojej twarzy.

- Teraz dowiemy się prawdy o tym stosie atomowym - rzekł. - Jeden mały zastrzyk i odpowiesz na nasze pytania. Zrozumiano?

No więc wbili mi igłę w rękę i wstrzyknęli, co mieli wstrzyknąć. Poczułem łaskotanie.

A potem zaczęli pytać. Powiedziałem, że nic nie wiem.

Pan Gandy kazał mi dać drugi zastrzyk.

Jeszcze nigdy nic mnie tak nie łaskotało.

W tym momencie ktoś wpadł do pokoju z krzykiem:

- Tama zerwano! Tama Gandy'ego! Zalało połowę farm w południowej części doliny!

Pan Gandy zerwał się i wrzasnął:

- Zwariowałaś! - zwrócił się przy tym do wszystkich. - To niemożliwe. Od stu lat w Rzece Wielkiego Niedźwiedzia nie było wody!

A potem zebrani się skupili i zaczęli szeptać. Coś o wyborach. I o wielkim tłumie na dole.

- Musi ich pan uspokoić - powiedział ktoś do pana Gandy'ego. - Tom jest straszne wrzenie.

Wszystkie plony poszły na marne...

- Ja ich uspokoję - rzekł pan Gandy. - Nie ma żadnych dowodów. I zaledwie tydzień do wyborów!

Wypadł z pokoju, a reszta wybiegła za nim. Wstałem z krzesła i zacząłem się drapać. To, co we mnie wpompowali, piekielnie mnie mrowiło. Byłem wściekły na pana Gandy'ego.

- Szybko! - ocknął się pan Armbruster. - Teraz się wymkniemy. Najlepsza okazja.

Wymknęliśmy się tylnym wejściem. Było to bardzo proste. Okrążyliśmy budynek i przed frontem zobaczyliśmy stojący na deszczu olbrzymi tłum. No stopniach budynku stał pan Gandy, złośliwy jak zawsze, twarzą w twarz z wielkim, krzepkim facetem, który się zamierzał kamieniem. .

- Każda tama ma swoją wytrzymałość - mówił pan Gandy ale wielki facet wrzeszczał i wymachiwał mu nad głową kamieniem.

- Już ja potrafię odróżnić dobry beton od złego! - pieklił się. - A to jest sam piasek. Te tama nie wytrzymałaby i galona wody, gdyby ją spiętrzyć!

Pan Gandy potrząsnął głową.

- Oburzające! Jestem tak samo wstrząśnięty jak i wy. Zawieraliśmy kontrakty w dobrej wierze. Jeżeli Przedsiębiorstwo Budowlane Ajax użyło złych materiałów, to ich podamy do sądu.

W tym momencie śwędzenie tak mi już dopiekło, że postanowiłem coś z tym zrobić. No i zrobiłem.

Krzepki facet cofnął się o krok i wymierzył palec w pana Gandy'ego.

- Wie pan, co mówią? Mówią, że to pan jest ,właścicielem Przedsiębiorstwa Budowlanego Ajax. Prawda to?

Pan Gandy otworzył usta i zaraz potem je zamknął. Wzdrygnął się lekko.

- Prawda - odparł. - Owszem, jestem.

Trzeba było słyszeć ten ryk, jaki się wydobył z tłumy .Dużego faceta zatkało.

- Sam pan to przyznaje? To może pan też przyzna, że pan wiedział, że tama jest nic niewarta, co? Ile pan na tym zoroził ?.

- Jedenaście tysięcy dolarów - rzekł Gandy. - Netto, już po opłaceniu szeryfa, burmistrza i... Ale w tym momencie tłum wtargnął wyżej na stopnie i już więcej nie było słyhać pana Gandy'ego.

- No, no -, powiedział pan Armbruster. - Teraz to już widziałem wszystko. Rozumiesz, co to znaczy, Saunk? Gandy zwariował. Nie może być inaczej. Partia reform wygra wybory, wyrzucą wszystkich oszustów i ja znów będę miał słodkie życie w Piperville. To znaczy dopóki nie wyruszę na południe. Bo na zimę zawsze przenoszę się na południe. Jakimś dziwnym trafem znalazłem w kieszeni parę groszy. Napijiesz się ze mną, Saunk?

- Nie, dziękuję - odparłem. - Mama się będzie o mnie niepokoiła. Nic już panu nie grozi, panie Armbruster?

- Później tak. Ale na razie jeszcze przez jakiś czas nie. O, prowadzą pana Gandy'ego do więzienia, widzisz ?Prawdopodobnie ze względu na jego bezpieczeństwo: Muszę to uczcić, Saunk. A ty na pewno nie... Saunk! Gdzie jesteś ?

Ale ja już byłem niewidzialny.

No i tak się to skończyło. Przestało mnie już swędzić, więc poleciałem do domu pomóc im jeszcze przy tym prądzie elektrycznym z koła wodnego. Po jakimś czasie powódź się uspokoiła, ale myśmy od tej pory już mieli stały poziom wody w strumieniu dzięki temu, co zrobiłem w górnym biegu.-I zaczęliśmy spokojne, osiadłe życie, takie, jakie my, Hogbenowie, najbardziej lubimy. I jakie jest zresztą najbezpieczniejsze dla nas.

Dziadek powiedział, że była to powódź nie lada. Przypominała mu ono coś takiego, o czym mu opowiadał jego dziadek.. Wygląda na to, że kiedy żył dziadek dziadka,

Mieli nie tylko stopy atomowe, ale jeszcze wiele innych rzeczy i że bardzo szybko wymknęło im się to wszystko z rąk i zrobiła się prawdziwa powódź. Dziadek dziadka musiał się pośpiesznie wynosić z kraju, o którym zresztą od tamtej pory wszelki słuch zaginął - jeśli się nie mylę, to chyba wszyscy na Atlantydzie potopili się na śmierć. Ale to byli sami cudzoziemcy.

Pana Gandy'ego zamknęli w więzieniu. Nikt się nigdy nie dowiedział, co go skłoniło do takiego wyznania, może wyrzuty sumienia? Nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego ze mną. To mało prawdopodobne. Chociaż...

Pamiętacie numer taty z tym zwarem na odległość i przepompowaniem samogonu z jego żył do moich? No więc muszę przyznać, że mnie dość zmęczyło to swędzenie, zwłaszcza tam gdzie nie mogłem się podrapać, i sam zastosowałem tę sztuczkę. Świństwo, które mi wstrzyknęli, tak paskudnie mnie swędziało, że wziąłem i ciut ciut skręciłem przestrzeń dokoła siebie, i przepompowałem to wszystko prosto do krwi pana Gandy'ego, tak jak tam stał na tych stopniach. Zaraz potem przestało mnie swędzieć, a za to musiało nieźle zacząć swędzieć jego. Dobrze mu tak.

Ciekawe, czy mogło go za swędzieć do tego stopnia, żeby aż powiedział prawdę ?

przekład : NN

Henry Kuttner      Świat należy do MNIE

- Wpuście mnie! - piszczało królikowate stworzonko za oknem. - Wpuście mnie! Świat należy do mnie!

Gallegher automatycznie stoczył się z tapczanu, chwiejąc się pod ciężarem potężnego kaca, i rozejrzał się dookoła zamglonymi oczami. Znajome laboratorium, ponure w szarym świetle poranka, przybrało w jego oczach realne kształty. Dwa generatory, ozdobione cynfolią, jakby patrzyły nań z oburzeniem wywołanym owym świątecznym wystrojem. Skąd ta cynfolia? Na pewno z powodu wczorajszej popijawy.

Gallegher z trudem zbierał myśli. Pewnie wczoraj zdecydował, że to już Wigilia. Gdy się nad tym zastanawiał, do rzeczywistości przywołał go taki sam piskliwy okrzyk, jak ten, który go obudził. Gallegher obrócił się ostrożnie, trzymając głowę między stabilizującymi ją dłońmi. Poprzez pleksiglas najbliższego okna wlepiła weń wzrok twarz: mała, porośnięta sierścią i niesamowita.

Po pijaństwie lepiej nie oglądać takiej twarzy. Uszy miała ogromne, okrągłe i porośnięte sierścią, oczy olbrzymie, a pod nimi w miejscu nosa różowy guziczek, który nieustannie drżał i marszczył się.

- Wpuść mnie! - krzyknęło ponownie stworzenie. - Muszę podbić świat!

- I co teraz będzie? - mruknął Gallegher idąc do drzwi, które następnie otworzył. Podwórko było puste, jeśli nie liczyć trzech osobliwych zwierzątek, które stały teraz przed nim w rzędzie. Ich ciała, pokryte białym futrem, były grube i wypchane jak poduszki. Trzy różowe nosy zmarszczyły się. Trzy pary złotych oczu przyglądały się uporczywie Gallegherowi. Trzy pary pękatych nóg oruszyły się jednocześnie, stworzenia przeskoczyły przez próg i mijając Galleghera omal go nie przewróciły.

To wystarczyło. Gallegher pośpiesznie skoczył do dystrybutora trunków, zmiksował sobie szybko drinka i wlał go w siebie.

Poczuł się trochę lepiej, ale niewiele.

Trójka gości siedziała czy stała, jak zwykle w rzędzie, patrząc na niego bez zmrużenia oczu.

Gallegher usiadł na tapczanie.

- Kim jesteście? - zażądał wyjaśnień.

- Jesteśmy Liblami - powiedział najbliższy.

- Aha. - Gallegher zastanowił się chwilę. - A co to są Lible?

- My - powiedziały Lible.

Był to wyraźny impas, który został przełamany, gdy bezkształtny stos koców w jednym z kątów poruszył się, obnażając pomarszczoną twarz o barwie orzecha, na której zmarszczek było o wiele za dużo. Pojawił się mężczyzna, chudy, stary i bystrooki.

- Ty durny - powiedział - wpuściłeś je, co?

Gallegher spróbował przypomnieć sobie wszystko. Starszy gość był oczywiście jego dziadkiem, który przybył z wizytą na Manhattan ze swojej farmy w Maine. Wczoraj wieczorem...Hmmm. Co było wczoraj wieczorem? Jak przez mgłę przypominał sobie przechwałki dziadka, ileż to on może wypić, oraz naturalny tego rezultat - zawody. Dziadek wygrał. Ale co było jeszcze?

Zapytał o to.

- A co, nie wiesz? - powiedział dziadek.

- Nigdy nie wiem - odrzekł Gallegher znużonym głosem. - Tak właśnie dokonuję wynalazków. Schleję się i wynajduję. Nigdy nie wiem dokładnie, jak. Na węc.

- Wiem - kiwnął głową dziadek. - Właśnie to zrobiłeś. Widzisz to? - wskazał ręką kąt laboratorium, gdzie stała wysoka, tajemnicza maszyna, której Gallegher nie potrafił zidentyfikować. Maszyna cicho sobie szumiała.

- O? Co to jest?

- Ty to zrobiłeś. Ty sam. Wczoraj wieczorem.

- Ja to zrobiłem? Po co?

- A ja skąd mam wiedzieć? - dziadek spojrzał na niego ze złością. - Zacząłeś majstrować przyrządami i w końcu to zbudowałeś. Potem powiedziałaś, że to machina czasu. Następnie włączyłeś ją. Skierowałeś ją dla bezpieczeństwa na podwórko. Wyszliśmy, aby popatrzeć, i nagle, nie wiadomo skąd, wyskoczyło tych trzech maluchów. Wróciliśmy do domu, w pośpiechu, jak pamiętam. Co dasz do picia?

Lible zaczęły podskakiwać niecierpliwie. - Na dworze wczoraj było zimno - powiedział jeden z nich z wyrzutem. - Powinieneś być nas wpuścić. Świat należy do nas.

Długa końska twarz Galleghera wydłużyła się jeszcze bardziej.

- Więc tak. Skoro zbudowałem maszynę czasu, choć wcale tego nie pamiętam, zapewne pojawiliście się tu z jakiegoś innego czasu. Mam rację?

- Oczywiście - przytaknął jeden z Libli. - Pięćset lat czy coś koło tego.

- Ale wy nie...jesteście ludźmi? To znaczy, my się w was nie przekształcimy?

- Nie - powiedział najgrubszy Libl z zadowoleniem. - Wam trzeba by było tysięcy lat, abyście mogli stać się gatunkiem dominującym. My jesteśmy z Marsa.

- Mars...przyszłość. O! Mówicie...po angielsku?

- W naszych czasach na Marsie są Ziemianie. Czemu nie? Czytamy po angielsku, mówimy, wszystko wiemy.
- Gallegher mruknął coś pod nosem.
- I jesteście rasą dominującą na Marsie?
- No, niezupełnie - jeden z Libli zawahał się. - Nie na całym Marsie.
- Nawet nie na połowie - dodał inny.
- Tylko w Dolinie Koordy - obwieścił trzeci. - Ale Dolina Koordy jest ośrodkiem Wszechświata. Bardzo wysoka cywilizacja. Mamy książki. O Ziemi i tak dalej. Nawiasem mówiąc, chcemy podbić Ziemię.
- Naprawdę? - zapytał Gallegher machinalnie.
- Tak. Nie mogliśmy tego zrobić w naszych czasach, rozumiesz, bo Ziemianie nie chcieli nam pozwolić, ale teraz pójdzie łatwo. Wszyscy będziecie naszymi niewolnikami - powiedział Libl błogim tonem. Miał około trzydziestu centymetrów wzrostu.
- Macie jakąś broń? - zapytał dziadek.
- Nie potrzebujemy jej. Jesteśmy mądrzy. Wiemy wszystko. Nasza pamięć jest bardzo pojemna. Możemy zbudować dezintegratory, miotacze termiczne, statki kosmiczne...
- Nie możemy - odrzekł inny Libl. - Nie mamy palców. - To była prawda. Lible miały tylko kosmate łapki, dość nieprzydatne, pomyślał Gallegher.
- No to - powiedział pierwszy Libl - zmusimy Ziemian, żeby zbudowali nam broń. Dziadek gołnął sobie whisky i zadygotał.
- Czy zawsze zdarzają ci się takie rzeczy? - zapytał. - Wiedziałem, że z ciebie ważny uczonec, ale myślałem, że uczeni robią trzepaczki do atomów i inne takie. Na co komu machina czasu?
- Ona nas przyniosła - powiedział Libl. - Ach, cóż to za szczęśliwy dzień dla Ziemi.
- To zależy - powiedział Gallegher - od punktu widzenia. Zanim wyślecie ultimatum do Waszyngtonu, może mógłbym was czymś poczęstować? Może spodeczek mleka, czy co?
- Nie jesteśmy zwierzętami! - oburzył się najgrubszy Libl. - Pijemy z filiżanek, słowo!
- Gallegher przyniósł trzy filiżanki, podgrzał trochę mleka i rozlał. Po chwili wahania postawił filiżanki na podłodze. Dla tych niewielkich stworzonek stoły były o wiele za wysokie. Piszcząc uprzejmie „dziękujemy” Lible ujęły filiżanki w tylne łapki i zaczęły chleptać mleko długimi, różowymi jęczyczkami.
- Dobrze - powiedział jeden.
- Nie gadaj z pełnymi ustami - skarcił go najgrubszy, który wyglądał na szefa.

Gallegher wyciągnął się na tapczanie i spojrzał na dziadka.

- Ta machina czasu...- zaczął. - Nic z tego nie pamiętam. Trzeba będzie odesłać Lible do domu. Opracowanie odpowiedniej metody zajmie mi trochę czasu. Niekiedy wydaje mi się, że za dużo piję.
- Precz z takimi myślami - powiedział dziadek. - Kiedy byłem w twoim wieku, nie musiałem mieć maszyny czasu, żeby zobaczyć trzydziestocentymetrowe zwierzęta. Starczyła mi żywność - dodał, oblizując pomarszczone wargi. - Za ciężko pracujesz, ot co.
- No...- rzekł bezradnie Gallegher - nic na to nie poradzę. A po co w ogóle toto budowałem?
- Nie wiem. Gadałeś o mordowaniu własnego dziadka, czy coś. Albo o przepowiadaniu przyszłości. Ni cholery nie mogłem z tego skapować.

- Chwileczkę. Coś sobie słabo przypominam. Znany paradoks podróży w czasie. Zamordowanie własnego dziadka...

- Kiedy zacząłeś o tym gadać, złapałem trzonek od siekiery - powiedział dziadek. - Nie mam na razie zamiaru kojfnąć. - Zachichotał. - Pamiętam jeszcze erę benzyny...ale nadal czuję się rześko. - I co się potem stało?

- Z maszyny czy skądś tam wyskoczyły te maluchy. Powiedziałeś, że maszyna jest źle ustawiona i poprawiłeś to.

- Ciekawe, co mi przyszło do głowy - zamyślił się Gallegher. Lible skończyły mleko.

- Już - powiedział gruby. - Teraz podbijemy świat. Od czego mamy zacząć?Gallegher wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że nie mogę służyć panom radą. Mnie nigdy do tego nie ciągnęło. Zupełnie nie wiem, jak się do sprawy zabrać.

- Najpierw zniszczymy wielkie miasta - powiedział najmniejszy Libl z ożywieniem - a potem schwytemy piękne dziewczęta i będziemy je trzymać dla okupu albo co. Wszyscy się przestraszą i my wygramy.

- Jak to wymyśliłeś? - zapytał Gallegher.

- To wszystko jest w książkach. Tak się zawsze robi. My wiemy. Będziemy tyranami i będziemy wszystkich bić. Poproszę jeszcze mleka.

- Ja też - rozległy się dwa inne głosiki. Gallegher nalał im, uśmiechając się. - Zdaje się, że nie dziwi was specjalnie, że się tu znaleźliście.

- To też jest w książkach. - Chlip - chlip.

- To znaczy...to, co się tu dzieje?

- O, nie. Ale wszystko o podróżach w czasie. Wszystkie powieści z naszych czasów są o nauce i podobnych rzeczach. Dużo czytamy. W Dolinie jest niewiele więcej do roboty - zakończył Libl, trochę smutno.

- Czy tylko o tym czytacie?

- Nie, czytamy wszystko. Książki naukowe oraz powieści. Jak się robi dezintegratory i tak dalej. Powiemy ci, jak masz zrobić dla nas broń.

- Dziękuję. Takie książki są dostępne dla wszystkich?

- Pewnie. Czemu nie?

- Moim zdaniem to może być niebezpieczne.

- Moim też - powiedział gruby Libl z namysłem - ale z jakiegoś powodu nie jest. Gallegher zamyślił się.

- Czy możecie mi powiedzieć, jak się robi miotacz termiczny?

- Tak - brzmiała podniecona odpowiedź - a potem zniszczymy wielkie miasta i schwytemy...

- Wiem. Piękne dziewczęta i będziecie je trzymać dla okupu. Po co?

- My wiemy, jak się zachować - powiedział bystrze jeden z Libii. - Czytamy książki, słowo daję. - Mleko wylało mu się z filiżanki; Libl spojrzał na kałużę i ze strapienia uszy mu opadły. Dwa pozostałe Lible pośpiesznie poklepały go po plecach. - Nie płacz - nalegał największy.

- Muszę - powiedział Libl. - Tak napisali.

- Wszystko pokręciłeś. Nie płacze się nad rozlanym mlekiem.

- Płacze się. Ja będę - upierał się krnąbrny Libl i zaczął szlochać. Gallegher przyniósł mu jeszcze mleka.

- A co do tego miotacza termicznego...

- To proste - powiedział gruby Libl i wyjaśnił.

Było to proste. Dziadek oczywiście nic nie zrozumiał, ale z zaciekawieniem przyglądał się, jak Gallegher pracuje. W ciągu pół godziny dzieło było skończone. I faktycznie był to miotacz termiczny. Wypalił dziurę w drzwiach szafy.

- Fiu! - gwizdnął Gallegher patrząc, jak nad zwęglonym drewnem unosi się dym. - To jest coś! - Przyjrzał się metalowemu cylindrowi, który trzymał w dłoni.

- Człowieka też tym można zabić - mruknął gruby Libl. - Tak jak tego na podwórku.
  - Tak, mo...co? Kogo na...?
  - Na podwórku. Przez jakiś czas siedzieliśmy na nim, ale potem ostygł. Ma dziurę wypaloną w piersi.
  - To wasza robota - rzekł Gallegher oskarżycielskim tonem, przełykając ślinę.
  - Nie. On też chyba przybył tu z innego czasu. Miotacz termiczny wypalił w nim dziurę.
  - Kto...Kto to był?
  - Nigdy go nie widziałem - powiedział gruby Libl tracąc zainteresowanie tą sprawą. - Chcę jeszcze mleka. - Wskoczył na stół warsztatowy i wyjrzał przez okno na wieżowce Manhattanu. - Juhuuuu! Świat należy do nas!
- Rozległ się dzwonek u drzwi.
- Dziadku, zobacz, kto to - powiedział Gallegher, lekko blady. Zapewne inkasent. Oni są przyzwyczajeni do odprawiania z kwitkiem. O, Boże! Nigdy jeszcze nikogo nie zabiłem...
  - Ja już - mruknął dziadek na odchodnym. Nie wyjaśnił, co miał na myśli.

Gallegher wyszedł na podwórko w towarzystwie drepczących małych figurek Libli. Stało się najgorsze. Pośrodku różanego ogrodu leżały zwłoki mężczyzny, starego i brodatego, zupełnie łysego, ubranego w dziwaczny strój wykonany z czegoś podobnego do elastycznego, barwionego celofanu. W jego bluzie i piersi ziała wyraźna dziura wypalona przez miotacz termiczny.

- On mi kogoś przypomina - stwierdził Gallegher. - Nie wiem, czemu. Czy wypadł z czasu już martwy?

- Martwy, ale jeszcze ciepły - powiedział Libl. - To było miłe. Gallegher powstrzymał dreszcz zgrozy. Wstrętne małe potworki. Jednak były zapewne nieszkodliwe, inaczej w ich czasach nie zostałyby dopuszczone do niebezpiecznych informacji. Obecność Libli niepokoiła Galleghera daleko mniej niż obecność zwłok. Do jego uszu doleciały protesty dziadka. Lible skryły się pod najbliższymi krzaczkami i były już niewidoczne, gdy na podwórku pojawili się trzej mężczyźni towarzyszący dziadkowi. Na widok niebieskich mundurów i mosiężnych guzików Gallegher cisnął miotacz termiczny na grządkę i ukradkiem narzucił nań nogą trochę ziemi. Na twarzy wywołał to, co jego zdaniem było przymilnym uśmiechem.

- Cześć, chłopcy. Miałem właśnie zadzwonić do komendy. Ktoś mi podrzucił na podwórko trupa.

Jak Gallegher zauważył, dwaj spośród mowo przybyłych byli policjantami: dobrze zbudowani, nieufni i bystroocy. Trzecim był mały, elegancki człowieczek z jasnymi włosami przylepionymi do wąskiej czaszki oraz cienkimi wąsikami pod nosem. Nieco przypominał lisa.

Na piersi miał przypiętą Honorową Odznakę Policyjną, co znaczyło dużo albo niewiele, w zależności od tego, kto ją nosił.

- Nie mogłem ich zatrzymać - powiedział dziadek. - No to już po tobie, młody człowieku.

- On żartuje - powiedział Gallegher do policjantów. - Słowo honoru, właśnie miałem...

- Wystarczy. Jak się pan nazywa?

Gallegher powiedział, że Gallegher.

- Mhm. - Policjant ukląkł, aby obejrzeć ciało. Gwizdnął. - Fiu! Co mu pan zrobił?

- Nic. Gdy wyszedłem rano, już tu leżał. Może wypadł z któregoś okna. - Gallegher nieokreślonym gestem wskazał na otaczające ich wieżowce.

- Nie wypadł. Ani jedna kość nie jest złamana. Wygląda, jakby pan go przewiercił rozpalonym do czerwoności pogrzebaczem - zauważył policjant. - Kto to jest?

- Nie wiem. Nigdy go nie widziałem. Kto wam powiedział...

- Niech pan nigdy nie zostawia trupów na widoku, panie Gallegher. Ktoś na górze - na przykład tam - może go zobaczyć i zadzwonić na policję.

- Aha. A, rozumiem.

- Dowiemy się, kto go zabił - powiedział ironicznie policjant. - Niech się pan o to nie boi. I dowiemy się, kto to był. Chyba że będzie pan mówił i zaoszczędzi sobie kłopotu.

- Poszlaki...

- Wystarczy. - Olbrzymia dłoń klasnęła w powietrzu. - Zadzwonię do chłopców, żeby ściągnęli koronera. Gdzie wideofon?

- Dziadku, pokaż mu - powiedział Gallegher zmęczonym głosem. Elegancki człowieczek o jasnych włosach postąpił krok naprzód. Jego głos aż dudnił autorytetem.

- Groarty, rozejrzyjcie się po domu, kiedy Bannister rozmawia przez wideo. Ja tu zostanę z panem Gallegherem.

- Tak jest, panie Cantrell - policjanci oddalili się za dziadkiem.

- Przepraszam - powiedział Cantrell i szybko ruszył naprzód. Zanurzył wąskie palce w ziemię u stóp Galleghera i wyciągnął miotacz termiczny. Lekko się uśmiechając, przyjrzał się mu. Gallegherowi zamarło serce.

- Ciekawe, skąd to się tam wzięło - wyjąkał, na gwałt szukając wykretów.

- Pan to tam schował - odrzekł Cantrell. - Widziałem. Na szczęście policjanci nie widzieli. Myślę, że to zatrzymam. - Wsunął cylinder miotacza do kieszeni. - Dowód rzeczowy A. Ta rana w pańskich zwłokach jest bardzo osobliwa...

- To nie moje zwłoki!

- Leżą na pańskim podwórku. Bardzo mnie interesuje wszelka broń, panie Gallegher. Co to za przyrząd?

- To...tylko latarka.

Cantrell wydobył cylinder i wymierzył w Galleghera. - Rozumiem. Jeśli nacisnę ten guzik...

- To miotacz termiczny - powiedział szybko Gallegher, robiąc unik. - Rany boskie, niech pan uważa!

- Hmm. Pan to zrobił? - Ja... tak.

- I zabił pan tym człowieka?

- Nie!

- Radzę - rzekł Cantrell wkładając z powrotem cylinder do kieszeni - żeby pan na ten temat trzymał język za zębami. Kiedy tylko policja położy łapy na broni, będzie po panu. W chwili obecnej żadna znana broń nie robi takich ran. Trudno im będzie dowieść, że to pan. Z jakiegoś powodu wierzę, że pan nie zabił tego człowieka, panie Gallegher. Nie wiem czemu. Może ze względu na pańską reputację. Wiadomo, że jest pan dość ekscentryczny, ale wiadomo również, że jest pan niezłym wynalazcą.

- Dziękuję - powiedział Gallegher. - Ale...to mój miotacz.

- Czy mam go zgłosić jako dowód rzeczowy A?

- Należy do pana.

- W porządku - powiedział Cantrell z uśmiechem. - Zobaczę, co będę mógł dla pana zrobić.

Jak się okazało, mógł niewiele. Prawie każdy mógł wystarać się o Honorową Odznakę Policyjną, ale koneksje polityczne niekoniecznie równały się chodom w policji. Gdy machina prawa została raz puszczona w ruch, niełatwo było ją zatrzymać. Na szczęście w owych czasach prawa jednostki były święte, ale głównie w wyniku rozwoju telekomunikacji. Po prostu żaden przestępca nie mógł uciec.

Gallegherowi polecono nie opuszczać Manhattanu i policja miała pewność, że gdyby tylko spróbował, system wideotelefoniczny wkrótce będzie deptał mu po piętach. Nawet nie trzeba było zostawiać strażników. Trójwymiarowe zdjęcie Galleghera znajdowało się już w kartotekach ośrodków komunikacji Manhattanu, tak że jeśli spróbowałby wykupić bilet na stratoplan lub poduszkowiec, natychmiast by go rozpoznano, zbesztano i odesłano do domu. Zbity z tropu koroner nadzorował przewiezienie zwłok do kostnicy. Policjanci i Cantrell oddalili się. Dziadek, trójka Libli i Gallegher siedzieli w laboratorium i patrzyli na siebie w oszołomieniu.

- Machina czasu - powiedział Gallegher naciskając guziki dystrybutora trunków. - Ba! Po co ja to wszystko robię?

- Nie mogą ci nic udowodnić - zwrócił uwagę dziadek.

- Procesy kosztują. Jeśli nie znajdę dobrego adwokata, to leżę.

- Czy sąd nie może dać ci adwokata?

- Pewnie, ale w ten sposób nic z tego nie będzie. Prawoznawstwo w naszych czasach stało się podobne do gry w szachy. Trzeba współpracy wielu specjalistów, aby poznać wszystkie podejścia. Mogą mnie skazać, gdy przeoczę jeden tylko kruczek. Prawnicy kontrolują władzę polityczną, dziadku. Mają też swoje grupy nacisku. Wina i niewinność niewiele znaczą wobec faktu posiadania najlepszych adwokatów. A na to trzeba pieniędzy.

- Pieniądze ci niepotrzebne - powiedział najgrubszy Libl. - Kiedy podbijemy świat, wprowadzimy własny system monetarny.

Gallegher nie zwrócił na niego uwagi.

- Dziadku, masz jakąś forszę?

- Nie. W Maine nigdy mi wiele nie było trzeba.

Gallegher potoczył zdesperowanym wzrokiem po laboratorium.

- Może coś sprzedam. Ten miotacz termiczny...ale nie. Byłoby po mnie, gdyby ktoś się dowiedział, że to mam. Mam nadzieję, że Cantrell nie pokaże tego nikomu. Machina czasu...- Podszedł do zagadkowego przyrządu i przyjrzał się mu.

- Szkoda, że nie pamiętam, jak to działa. I po co.

- Przecież ty ją zrobiłeś, nie?

- Moja podświadomość ją zrobiła. Moja podświadomość robi najdziwaczniejsze rzeczy.

Ciekawe, do czego ta dźwignia. - Gallegher sprawdził. Nic się nie stało. - To strasznie skomplikowane. Skoro nie wiem, jak to działa, nie mogę na tym zarobić.

- Wczoraj wieczorem - powiedział dziadek z namysłem - wykrzykiwałeś coś o jakimś Hellwigu, który coś u ciebie zamówił.

W oczach Galleghera pojawił się błysk, ale szybko zgasł. - Pamiętam. Nadęty waźniak, który jest kompletnym zerem. Ma potworny kompleks próżności. Chce być sławny. Powiedział, że da mi kupę forsy, jeśli mu to załatwię.

- To czemu tego nie zrobisz?

- Jak? - zapytał Gallegher. - Mógłbym coś wynaleźć i dać mu, żeby podał się za wynalazcę, ale nikt nigdy nie uwierzy, że taki bałwan jak Rufus Hellwig umie coś więcej, niż ile jest dwa razy dwa. O ile w ogóle tyle umie. Ale...

Gallegher siadł do wideotelefonu. Wkrótce na ekranie pojawiła się wielka, tłusta, blada twarz. Rufus Hellwig był ogromnie grubym, łysym mężczyzną z perkatym nosem, który ogólnie sprawiał wrażenie idioty w ostatnim stadium mongolizmu. Pieniędzmi zapewnił sobie władzę, ale ku jego najwyższej rozpaczycy nie udało mu się zyskać powszechnego uznania. Nikt go nie podziwiał. Po prostu śmiano się z niego, ponieważ nie miał nic poza pieniędzmi. Niektórzy potentaci dobrze to znoszą. Hellwig nie potrafił. Spojrzał wilkiem na Galleghera.

- Dobry. Jest coś?

- Pracuję nad jedną rzeczą. Ale to kosztuje. Potrzebna mi zaliczka.

- Aha - powiedział Hellwig niemiłym tonem - potrzebuje pan, co? Dostał pan jedną z zeszłym tygodniu.

- Może i tak - rzekł Gallegher. - Nie pamiętam.

- Był pan pijany.

- O, naprawdę?

- Cytował pan Omara.

- Którą część?

- Coś o wiosnie przemijającej z różami.

- To byłem pijany - powiedział Gallegher ze smutkiem. - Na ile pana zahaczyłem? Hellwig mu powiedział. Konstruktor pokręcił głową.

- Forsa przecieka mi przez palce jak woda. No, dobrze. Niech pan mi da jeszcze trochę.

- Chyba pan zwariował - warknął Hellwig. - Najpierw niech pan pokaże rezultaty. Potem może pan zaśpiewać, ile pan chce.

- W komorze gazowej mogę faktycznie dużo śpiewać - rzekł Gallegher, ale potentat przerwał już połączenie. Dziadek łyknął sobie i westchnął.

- A co z tym Cantrellem? Może on będzie mógł pomóc?

- Wątpię. Miał mnie na muszce. Zresztą nadał ma. Ja o nim nie wiem nic.

- No to wracam do Maine - powiedział dziadek. Gallegher westchnął.

- Tak mnie zostawiasz?

- No, chyba że masz jeszcze trochę wody...

- I tak nie możesz wyjechać. Wspólnik przestępstwa czy coś w tym rodzaju. Na pewno nie znajdziesz żadnej forsy?

Dziadek był tego pewien. Gallegher spojrział jeszcze raz na maszynę czasu i westchnął żałośnie. Zresztą niech diabli porwą jego podświadomość! Oto co wychodzi ze znajomości nauki ze słyszenia, a nie tak jak trzeba. To, że Gallegher był geniuszem, nie przeszkadzało, by wciąż wpadał w nieprawdopodobne tarapaty. Przypomniawszy sobie, że kiedyś już wynalazł jakąś maszynę czasu, ale tamta nie działała tak jak ta. Ta przycupnęła sobie posępnie w kąci: niewiarygodnie skomplikowane urządzenie z błyszczącego metalu, którego ognisko materializacji wymierzone było gdzieś w podwórko.

- Ciekawe, po co Cantrellowi był ten miotacz termiczny - zadumał się Gallegher. Lible, które ciekawskimi złotymi oczkami i marszczącymi się różowymi nosami, badały wnętrze laboratorium, usiadły teraz szeregiem przed Gallegherem.

- Kiedy podbijemy świat, nie będziesz musiał się martwić - powiedziały mu.

- Dziękuję - odrzekł Gallegher. - To mi bardzo pomogło. Jednak w tej chwili najbardziej potrzebuję forsy i to dużo. Muszę wziąć adwokata.

- Po co?

- Żeby mnie nie skazali za morderstwo. To trudno wytłumaczyć. Nie znacie tego przedziału czasowego...- Gallegher otworzył usta. Och, och, mam pomysł.

- Jaki?

- Powiedzieliście mi, jak zrobić ten miotacz termiczny. No więc gdybyście mogli mi dać jakieś namiary czegoś innego...czegoś, co przyniosłoby szybkie pieniądze.

- Oczywiście. Zrobimy to z przyjemnością. Ale lepsze byłoby sprzężenie mózgowe.

- Nieważne. No to zaczynajcie. Albo lepiej ja będę pytał. Jakie urzędnicy macie w swoim świecie?

Rozległ się dzwonek u drzwi. Gość był detektywem policyjnym nazwiskiem Mahoney; był to wysoki facet o ironicznym spojrzeniu i wypięłgnowanych kruczoczarnych włosach. Lible, które nie chciały się ujawniać, zanim nie opracują do końca planów podboju świata, umknęły z pola widzenia. Mahoney powitał obu mężczyzn zdawkowym skinieniem głowy.

- Dobry. Mamy mały zgryz na komendzie. Nieduży bałagan, nic poważnego.

- To nieprzyjemne - powiedział Gallegher. - Napije się pan?

- Nie, dziękuję. Chciałbym zdjąć pańskie odciski palców. Również rysunek siatkówki, jeśli można.

- Dobrze, proszę bardzo.

Mahoney przywołał technika, który z nim przyszedł. Palce Galleghera zostały odcisnięte na specjalnej błonie, a aparat fotograficzny ze specjalnym obiektywem zrobił zdjęcie pręcików, stożków i naczyń krwionośnych w jego oku. Mahoney patrzył nachmurzony. Wkrótce technik pokazał detektywowi wyniki swoich trudów.

- No i klops - powiedział Mahoney.

- Z czym? - chciał wiedzieć Gallegher.

- Nic takiego. Te zwłoki z pańskiego podwórka...

- Tak?

- Mają takie same odciski palców jak pan. Podobnie rysunek siatkówki. Nawet chirurgią plastyczną nie da się tego wytłumaczyć. Kim był ten sztywniak, panie Gallegher?

Konstruktor zamrugał oczami. - Do wszystkich diabłów! Moje odciski? To wariactwo!

- Zupełne wariactwo - zgodził się Mahoney. - Na pewno nie zna pan odpowiedzi?

Technik stojący przy oknie gwizdnął przeciągle. - Hej, Mahoney zawołał. - Chodź tu na chwilę. Chcę ci coś pokazać.

- Może poczekać.

- Przy tej pogodzie niezbyt długo - odrzekł technik. - Mamy jeszcze jedno zwłoki w ogrodzie. Gallegher wymienił z dziadkiem przerażone spojrzenie. Siedział nieruchomo nawet wtedy, kiedy detektyw i jego towarzysz z hałasem wybiegli z laboratorium. Z podwórka dobiegły go ich okrzyki.

- Jeszcze jeden? - zapytał dziadek.

Gallegher skinął głową. - Faktycznie na to wygląda. Lepiej...

- Lepiej przyskajmy!

- Mowij nie ma. Lepiej chodźmy zobaczyć, co to takiego tym razem.

Były to, jak już Gallagher wiedział, zwłoki. Również w tym przypadku śmierć zadano przez wypalenie wąskiego otworu w kamizelce z plastikordu i znajdującej się pod nią klatce piersiowej. Bez wątplenia strzał z miotacza termicznego. Wygląd zabitego spowodował w Gallagherze silny szok - nie bez powodu. Konstruktor spoglądał na swe własne zwłoki. Niezwykle. Zabity wyglądał na starszego o dziesięć lat od Gallaghery, jego twarz była szczuplejsza, a czarne włosy przetykane były siwizną. Jego ubiór zaś miał osobliwy krój, nieznany i dziwaczny. Ale podobieństwo było niewątpliwe.

- Taaak...- powiedział Mahoney przyglądając się Galleaherowi. Pański brat - bliźniak zapewne?

- Jestem tak samo zdziwiony jak i pan - powiedział konstruktor słabym głosem.

Mahoney szczęknął zębami. Wyjął cygaro i zapalił je drżącymi palcami.

- Słuchaj pan - powiedział. - Nie wiem, co to za żarty, ale wcale mi się to nie podoba. Ciarki mnie przechodzą. Jeśli i tego sztywniaka odciski palców i wzór siatkówki będą takie jak pańskie, to mi się to cholernie nie spodoba. Cholernie.

Nie mam zamiaru dojść do wniosku, że tracę zmysły. Jasne?

- To niemożliwe - rzekł technik.

Mahoney zapędził wszystkich do domu i zadzwonił do komendy. - Inspektor? Ja w sprawie tego ciała, które przywieziono godzinę temu...sprawa Gallaghery, wie pan...

- Znalazł je pan? - zapytał inspektor.

Mahoney zamrugał oczami. - Słucham? Chodzi o to ciało ze zwariowanymi odciskami palców.

- Wiem, o które chodzi. Znalazł je pan, czy nie?

- Ale ono jest w kostnicy!

- Było - powiedział inspektor - jeszcze dziesięć minut temu. Potem zostało skradzione. Prosto z kostnicy.

Mahoney, zwilżając wargi, powoli przetrawił wiadomość.

- Inspektorze - powiedział po chwili - mam dla pana jeszcze jedno ciało. Tym razem inne.

Właśnie je znalazłem na podwórku Gallaghery. W takich samych okolicznościach.

- Co?!

- Właśnie. Wypalany otwór w piersi. Męczyzna podobny jest do Gallaghery.

- Podobny do niego...A co z tymi odciskami, które poleciłem panu sprawdzić?

- Sprawdziłem. Odpowiedź jest twierdząca.

- To niemożliwe!

- Zaczekajmy, aż zobaczy pan nowe zwłoki - warknął Mahoney. - Niech pan podeśle chłopców, dobrze?

- Natychmiast. Cóż to za wariactwo...

Połączenie zostało przerwane. Gallagher rozdał drinki i padł na tapczan, majstrując przy dystrybutorze. Czuł zawroty głowy.

- Jest jedna sprawa - powiedział dziadek. - Nie można cię oddać pod sąd za zabójstwo dokonane na tym pierwszym ciebie. Jeśli je skradziono, nie ma corpus delicti.

- Niech mnie...no jasne! - Gallagher nagle usiadł. - Czy to prawda, Mahoney? Detektyw zmrużył oczy.

- Tak. Praktycznie. Tylko niech pan nie zapomina, co przed chwilą znalazłem na dworze. Gdy zostanie pan skazany, to pójdzie pan do komory gazowej za niego.

- Och - Gallagher ponownie opadł na tapczan. - Jasne. Ale ja go nie zabiłem.

- To pan tak twierdzi.

- Oczywiście. I nadal będę tak twierdzić. Obudźcie mnie, gdy awantura się skończy. Muszę pomyśleć. - Gallagher włożył ustnik dystrybutora między wargi, wyregulował go na wolny ciek i odprężył się, przełykając koniak. Zamknął oczy i zadumał się, ale na odpowiedź nie mógł trafić.

Gallegher bezwiednie zdawał sobie sprawę, że pokój znowu wypełnił się ludźmi, że ponownie rozpoczęły się rutynowe działania policji. Na pytania odpowiadał używając tylko części mózgu. W końcu policja odjechała zabierając ze sobą drugie ciało. Wzmocniony przez alkohol umysł Galleghera wyostrzył się. Jego podświadomość zaczynała przejmować kontrolę.

- Kapuję - powiedział do dziadka. - Chyba tak. Zobaczmy. Podeszedł do maszyny czasu i pomajstrował w dźwigniach. - Ech. Nie mogę jej wyłączyć. Pewnie jest ustawiona na określony model cyklu. Zaczynam sobie przypominać, o czym mówiliśmy wczoraj wieczorem.

- O przepowiadaniu przyszłości? - zapytał dziadek.

- Mhm. A nie zaczęliśmy się spierać, czy człowiek potrafi przewidzieć własną śmierć?

- Owszem.

- I oto jest odpowiedź. Ustawiłem maszynę tak, aby przepowiedziała moją własną śmierć. Maszyna posuwa się wzdłuż linii temporalnej, dogania moją przyszłość in articulo mortis i przerzuca moje ciało do naszego przedziału czasowego. To znaczy, moje przyszłe ciało.

- Chyba zwariowałeś - stwierdził dziadek.

- Nie, to jest właśnie to, zgadza się - utrzymywał Gallagher. To pierwsze ciało to byłem ja. W wieku siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu lat. Wtedy umrę. Zostanę najwidoczniej zabity z miotacza. Za czterdzieści lat czy coś koło tego - zakończył w zamyśleniu. Hmmm. Cantrell ma ten miotacz...

Dziadek wykrzywił się z niesmakiem.

- A co w takim razie z tym drugim ciałem? Na pewno nie wiesz, co z tym fantem zrobić.

- Oczywiście że wiem. Równoległe tory czasowe. Zmienna przyszłość. Linie prawdopodobieństwa. Słyszałeś o tej teorii?

- Nie.

- Hmmm. No więc chodzi w niej o to, że istnieje nieskończenie wiele możliwych wariantów przyszłości. Jeśli zmieniamy czas teraźniejszy, automatycznie wchodzimy w inny wariant przyszłości. Coś jak przerzucanie zworki kolejowej. Gdybyś się nie ożenił z babcią, mnie by tu teraz nie było. Rozumiesz?

- Nie - powiedział dziadek biorąc następnego drinka, ale Gallagher i tak mówił dalej.

- Zgodnie z wariantem A zostanę zabity przez strzał z miotacza termicznego w wieku około siedemdziesięciu lat. To jeden wariant. No i sprowadziłem moje zwłoki po linii temporalnej do teraźniejszości. I naturalnie zmieniały one teraźniejszość. Uprzednio w wariantcie A nie było miejsca na osiemdziesięcioletnie zwłoki Galleghera. Zwłoki się pojawiły i zmieniły przyszłość. Automatycznie przenieśliśmy się na inny tor czasu.

- To zupełnie głupie, co? - wymamrotał dziadek.

- Cicho, dziadku. Myślę. W chwili obecnej działa drugi tor, wariant B. A na tym torze zostanę zabity z miotacza w wieku około czterdziestu pięciu lat. Ponieważ maszyna jest tak ustawiona, że przynosi moje ciało, jak tylko jest już martwe, postąpiła właśnie w ten sposób -

zmaterializowała moje czterdziestopięcioletnie zwłoki. Jednocześnie zwłoki osiemdziesięcioletnie zniknęły.

- Ha!

- Musiały. Po prostu nie istniały w wariancie B. Kiedy wariant B utrwalił się, wariant A po prostu przestał istnieć. Podobnie jak pierwsze zwłoki. Oczy dziadka rozjaśniły się nagle. - Już wszystko rozumiem powiedział mlaskając wargami. - To bardzo mądre. Będziesz robił wariata w sądzie, co?

- Ba! - parsknął Gallegher i podszedł do maszyny czasu. Bezskutecznie próbował ją wyłączyć. Nie poddawała się. Zdawało się, że nieodwołalnie poświęciła się sprawie materializacji możliwych przyszłych zwłok Galleghera. Co się teraz stanie? Rządzi teraz wariant czasowy B. Ale zwłoki B nie miały istnieć w tej konkretnej terażniejszości. Był to czynnik X.  $AB + X = C$ . Nowa zmienna i nowy trup. Gallegher pośpiesznie wyrzął na podwórko.

Było puste, przynajmniej na razie. Bogu dzięki i za to.

Tak czy inaczej, myślał Gallegher, nie mogą go skazać za zamordowanie siebie samego. A może mogą? Czy ma tu zastosowanie prawo zabraniające samobójstw? Bzdura. Nie popełnił samobójstwa, wciąż jeszcze był żywy. Ale skoro był żywy, nie mógł być martwy. Gallegher zupełnie skołowany skoczył w stronę tapczanu, gołnął mocnego drinka i zatęsknił za śmiercią. Oczywiście duszy widział już sąd i walkę nieprawdopodobnych sprzeczności i paradoksów - proces wieku. Jeśli nie będzie miał najlepszego adwokata na tej planecie, to już po nim.

Pojawiła się nowa myśl; Gallegher zaśmiał się ironicznie. Powiedzmy, że zostanie skazany za morderstwo i stracony? Jeśli umrze w terażniejszości, naturalnie jego przyszłe zwłoki zaraz znikną. Nie będzie corpus delicti. Nieuchronnie, oczywiście, zostanie zrehabilitowany po śmierci. Jakoś go to nie ucieszyło.

Przypomniawszy sobie o potrzebie działania, Gallegher rykiem wezwał Lible. Stworzonka dobrały się do pudełka z ciastkami, ale na jego wezwanie stawily się z poczuciem winy, strzepując kosmatymi łapkami okruchy z wąsików.

- Chcemy mleka - powiedział najgrubszy. - Świat należy do nas.

- Tak - odezwał się drugi - zniszczymy wszystkie miasta, a potem schwytemy piękne dziewczęta dla...

- Dajcie spokój - powiedział Gallegher zmęczonym głosem. Świat może poczekać. Ja nie mogę. Muszę szybko coś wynaleźć, żeby trochę zarobić i wziąć adwokata. Nie mogę sobie pozwolić na spędzenie reszty życia w roli oskarżonego o mordowanie moich przyszłych zwłok.

- Już gadasz jak wariat - odezwał się dziadek, zawsze skory do pomocy.

- Idź sobie. Daleko stąd. Jestem zajęty.

Dziadek wzruszył ramionami, włożył kapelusz i wyszedł. Gallegher powrócił do przesłuchiwania trójki Libii.

Wkrótce stwierdził, że będzie z nich wyjątkowo mały pożytek. Nie chodziło o to, że Lible były odporne, wręcz przeciwnie, bardzo chciały pomóc. Ale nie potrafiły pojąć, czego chciał Gallegher. Poza tym małe główki wypełnione były bez reszty ich ulubioną obsesją, tak że na nic innego miejsca nie starczało. Świat należał do nich. Trudno im było uświadomić sobie, że są jeszcze jakieś inne problemy.

Mimo to Gallegher nie ustawał w wysiłkach. W końcu chwycił trop tego, czego mu było trzeba, gdy Lible ponownie wspomniały o sprzężeniu mózgowym. Te urządzenia, jak się dowiedział, są dość powszechnie spotykane w przyszłym świecie. Dawno temu wynalazł je jakiś człowiek nazwiskiem Gallegher, powiedział bezmyślnie gruby Libl nie chwytając oczywistego skojarzenia.

Gallegher zakrzuszył się. Najwyraźniej musiał zbudować maszynę do sprzężenia mózgowego teraz, skoro tak ma być zapisane. Z drugiej jednak strony, co się stanie, jeśli tego nie zrobi? Przyszłość znowu ulegnie zmianie. Jak to się stało, zastanawiał się, że Lible nie zniknęły wraz z pierwszymi zwłokami, kiedy wariant A zmienił się w model B?

Pytanie to nie było bez odpowiedzi. Czy Gallegher miał dożyć sędziwych lat, czy też nie, Libiom w ich marsjańskiej dolinie nie robiło to różnicy. Kiedy muzyk zagra fałszywy ton, odejście może od pierwotnej tonacji na kilka taktów, ale wróci do niej, jak będzie mógł najprędzej. Wyglądało na to, że czas dąży do normy. Dalejże więc!

- Na czym polega to sprzężenie mózgowie? - zapytał.

Lible powiedziały mu. Gallegher zebrał dane z ich bezładnych informacji i stwierdził, że urządzenie jest dziwaczne, ale praktyczne. Powiedział coś pod nosem o zwirowanych talentach. Do tego się wszystko sprowadzało. Mając do dyspozycji sprzężenie mózgowie, każdy tępak mógł w kilka chwil zostać matematykiem. Stosowanie tej wiedzy wymagało oczywiście praktyki - należało wpięrować w sobie sprawność umysłową. Murarz o zeszywniałych palcach mógł zostać pierwszorzędnym pianistą, co jednak wymagało czasu, zanim jego ręce staną się elastyczne i dostatecznie czułe. Jednak najważniejszy był fakt, że talent można było przekazywać z jednego mózgu do drugiego. Polegało to na indukcji, drogą wykresów, impulsów elektrycznych emitowanych przez mózg. Krzywa zmienia się. Kiedy człowiek śpi, krzywa się prostuje. Kiedy na przykład tańczy, jego podświadomość automatycznie steruje jego stopami - jeśli jest dobrym tancerzem. Taką krzywą można wyróżnić. Jeśli się go już zapisze i rozpozna, można go potem utrwalić; czynniki tworzące umiejętność tańca, można przenieść, jak pantografem, na inny mózg.

Fiu, fiu!

Było tam jeszcze wiele rzeczy, jak ośrodki pamięci i inne, ale Gallegher złapał już najważniejsze. Z niecierpliwością chciał natychmiast rozpocząć pracę. To pasowało do pewnego planu...

- W końcu nauczysz się momentalnie rozpoznawać linie wykresów - powiedział jeden z Libli.

- To... to urządzenie jest często używane w naszych czasach. Ludziom, którzy nie chcą się uczyć, pompuje się do głów wiedzę z mózgow uznanych mędrców. Był raz w naszej Dolinie Ziemianin, który chciał być słynnym pieśniarzem, ale nie miał za grosz słuchu. Ani jednej nuty nie umiał powtórzyć. Użył sprzężenia mózgowego i po sześciu miesiącach mógł wszystko zaśpiewać.

- Dlaczego aż po sześciu miesiącach?

- Miał niewyszkolony głos. Na to trzeba było czasu. Ale kiedy już wpadł w rytm, to...

- Zrób nam sprzężenie mózgow - zaproponował gruby Libl. Może przyda się nam do podboju Ziemi.

- To właśnie - powiedział Gallegher - mam zamiar zrobić. Przy paru zastrzeżeniach.

Gallegher zadzwonił do Rufusa Hellwiga mając nadzieję, że uda mu się skłonić potentata, aby rozstał się z częścią swej fortuny, ale nic mu to nie dało. Hellwig był oporny. - Niech mi pan pokaże - powiedział. - Wtedy dostanie pan czek in blanco.

- Ale ja potrzebuję pieniędzy teraz - nalegał Gallegher. - Nie będę mógł dać panu tego, co pan chce, jeśli zastanę stracony za morderstwo.

- Morderstwo? Kogo pan zabił? - chciał wiedzieć Hellwig.

- Nie zabiłem nikogo. Wrabiają mnie...

- Mnie też. Ale tym razem nie dam się nabrać. Proszę o gotowy wynik. Nie dostanie pan żadnych nowych zaliczek, Gallegher.

- Niech pan posłucha. Czy chce pan śpiewać jak Caruso? Tańczyć jak Niżynski? Pływać jak Weissmuller? Przemawiać jak sekretarz stanu Parkinson? Robić sztuczki jak Houdini?

- Ale pan umie ładnie gadać - powiedział Hellwig w zamyśleniu i przerwał połączenie.

Gallegher obrzucił ekran nienawistnym spojrzeniem. Wyglądało na to, że mimo wszystko trzeba się będzie wziąć do roboty.

Tak też zrobił. Jego wytrenowane, umiejętność palce śmigały dotrzymując tempa lotnemu mózgowi. Wspomagał go alkohol, wyzwalając piekielną podświadomość. Gdy Gallegher miał wątpliwości, pytał Libli. Jednak i tak zadanie wymagało czasu.

Nie miał w domu całego potrzebnego sprzętu, więc zadzwonił do firmy zaopatrzeniowej, zdolawszy wyłudzić z niej tyle kredytu, by otrzymać zamówione towary bez płacenia. Nie zaprzestawał pracy. Raz przerwał mu łagodny mały człowieczek w meloniku, który przyniósł wezwanie sądowe, a raz zjawił się dziadek, aby pożyczyć pięć kredytek. W mieście był cyrk i dziadek, jako stary i gorący entuzjasta, nie mógł sobie pozwolić na przegapienie takiej okazji.

- Ty też pójdziesz? - zapytał. - Może zagram w kości z kilkoma chłopcami. Zawsze byłem w dobrych stosunkach z cyrkowcami. Raz wygrałem pięćset kredytek od kobiety z brodą. Nie pójdziesz? No to powodzenia.

Dziadek wyszedł, a Gallegher zajął się przyrządem do sprzężenia mózgowego. Lible z upodobaniem kradła ciastka i dobrodusznie spierały się o podział świata, kiedy go już podbijają. Maszyna nabierała kształtów powoli, lecz nieuchronnie.

Co do maszyny czasu, podejmowane co jakiś czas próby jej wyłączenia dowiodły tylko jednego: maszynę ogarnęła staza. Wyglądało na to, że zamarła w pewnym określonym układzie czynności, z którego nie sposób było ją odwołać. Maszyna została nastawiona na sprowadzanie różnych zwłok Galleghera. Dopóki nie wykonała tego zadania całkowicie, uparcie odmawiała wykonywania innych poleceń.

- Raz pewna modelka z Bostonu... - mamrotał Gallegher w roztargnieniu. - No, popatrzmy. Muszę tu mieć wąski snop... Tak. Lecz kłopot był wielki, bo dla tej modelki... Jeśli zmienię czułość receptorów na toku elektromagnetycznym... Hmmm... Ten pan miał za dużo bon tonu.

Tak, wystarczy. Była już noc. Gallegher nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu. Lible, opchane kradzionymi ciastkami, nie odzywały się, jeśli nie liczyć powtarzanych co jakiś czas żądań dalszych spodeczków mleka. Gallegher pił przez cały czas, trzymając podświadomość na chodzie. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, że jest głodny. Westchnąwszy, popatrzył na ukończony przyrząd do sprzężenia mózgowego, potrząsnął głową i otworzył drzwi. Przed nim znajdowało się puste podwórko.

Chociaż...

Nie, było jednak puste. Zmienna czasowa B funkcjonowała w dalszym ciągu.

Gallegher wyszedł i chłodził rozgrzaną twarz zimnym nocnym, powiewem. Jarzące się wieżowce Manhattanu odgradzały go od ciemności nocy. Latające pojazdy śmigały nad głową jak zwariowane świetliki.

W pobliżu rozległ się stłumiony łoskot. Zaskoczony Gallegher odwrócił się. Nie wiadomo skąd pojawiło się następne ciało i oto leżało pośrodku ogrodu różanego patrząc ślepo w górę. Czując chłód w żołądku, Gallegher podszedł bliżej, aby się przyjrzeć. Były to zwłoki

mężczyzny w średnim wieku, pomiędzy pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, z jedwabistym, czarnym wąsem i w okularach. Mimo to nie było wątpliwości: był to znowu Gallegher. Postarzały i zmieniony przez zmienną czasową C - już C, a nie B - i w dalszym ciągu z dziurą wypaloną w piersi przez miotacz termiczny.

Gallegher uświadomił sobie, że właśnie w tym momencie zwłoki B musiały zniknąć z kostnicy policyjnej, podobnie jak poprzednie.

Mhm. W takim razie w modelu czasowym C Gallegher miał umrzeć dopiero powyżej pięćdziesiątki, ale nawet w tym przypadku śmierć miał spowodować strzał z miotacza.

Przygnębiony Gallegher pomyślał o Cantrellu, który zabrał miotacz, i lekko zadrzał.

Wszystko płatało się coraz bardziej.

Na pewno wkrótce policja zjawi się. Gallegher poczuł głód. Rzuciwszy ostatnie, dalekie spojrzenie na swą własną, martwą starą twarz, konstruktor wrócił do laboratorium, po drodze zabrał Lible i zagonił je do kuchni, gdzie przygotował szybką kolację. Na szczęście w lodówce były befsztyki i Lible łączywie pożarły swe porcje, szybko trajkocząc o swoich fantastycznych planach. Postanowiły już, że Gallegher zostanie ich wielkim wezyrem.

- Czy on jest okrutny? - zapytał gruby.

- Nie wiem. A jest?

- Powinien być okrutny. W książkach wielki wezyr zawsze jest okrutny. Juhuuu! - gruby Libl zakrzuszył się kawałkiem befsztyka. Ug - ugle - ulp! Świat należy do nas!

Cóż za obsesja! zadumał się Gallegher. Niepoprawni romantycy. Ich optymizm jest, łagodnie mówiąc, wyjątkowy.

Ponownie opadły go jego własne problemy, gdy wrzucił talerze do zmywarki i wzmocnił się piwem. Przyrząd do sprzężenia mózgowego powinien działać. Nie widział powodu, żeby nie działał. Jego genialna podświadomość rzeczywiście go zbudowała.

Psiakrew, musi działać. Inaczej Lible nie wspominałyby, że tę sztuczkę wynalazł Gallegher w ich odległej przeszłości. Ale nie mógł zrobić z Hellwiga królika doświadczalnego.

Łomot do drzwi sprawił, że Gallegher pstryknął triumfująco palcami. Dziadek, oczywiście. To było rozwiązanie.

Pojawił się dziadek cały rozpromieniony.

- Fajnie było. W cyrku zawsze jest fajnie. Masz tu dwieście, ciapciaku. Pograłem w pokera z wytatuowanym człowiekiem i drugim facetem, który skacze z drabiny do wanny z wadą.

Fajne chłopcy. Idę jutro do nich.

- Dzięki - powiedział Gallegher. Dwie setki to było nic, ale nie chciał teraz robić przykrości staruszkowi. Udało mu się zwabić dziadka do laboratorium i wyjaśnić mu, że chce przeprowadzić eksperyment.

- A rób sobie co chcesz - powiedział dziadek, który dobrał się do dystrybutora.

- Wykonałem kilka wykresów moich własnych krzywych mózgowych i udało mi się ustalić położenie moich zdolności matematycznych. Na to wychodzi. Struktura atomowa czystej nauki, może... To trochę zawikłane. Ale potrafię przekazać zawartość mojego mózgu do twojego i to wybiórczo. Mogę ci dać mój talent matematyczny.

- Dziękuję - powiedział dziadek. - Tobie już niepotrzebny?

- U mnie i tak zostanie. To tylko matryca.

- Materac?

- Matryca. Wzór. Po prostu odtworzę ten model w twoim mózgu. Rozumiesz?

- Jasne - powiedział dziadek i dał się zaprowadzić do fotela, gdzie Gallagher nałożył mu opleciony przewodami hełm. Konstruktor włożył inny hełm i zaczął majstrować przy aparacie. Urządzenie zabuczało i błysnęło lampkami. Po chwili wysokość dźwięku zaczęła rosnać aż do crescendo pisku, który następnie ucichł. To było wszystko.

Gallegher zdjął oba hełmy. - Jak się czujesz? - zapytał. - Znakomicie.

- Nic się nie zmieniło?

- Chcę się napić.

- Nie dawałem ci mojej odporności na alkohol, bo masz już własną. Chyba że ją podwoilem...- Gallagher pobladł. - Jeśli jeszcze dałem ci moje pragnienie, nie wytrzymasz tego. Będzie po tobie.

Mrucząc coś o cholernej głupocie dziadek zwilżył wyschnięte gardło. Gallagher poszedł w jego ślady i stropiony popatrzył na staruszka.

- Nie mogłem się pomylić. Wykresy...Ile wynosi pierwiastek z minus jeden? - rzucił nagle.

- Mam jedną krowę pierwiastkę - powiedział dziadek - ale dlaczego minus? Gallagher zaklął. Maszyna na pewno zrobiła swoje. Musiała, z wielu powodów, z których głównym była logika. Może...

- Spróbujmy jeszcze raz. Tym razem ja będę przedmiotem doświadczenia.

- Może być - powiedział dziadek z zadowoleniem.

- Tylko...hmmm. Ty nie masz żadnych talentów. Nic niezwykłego. Nie będę wiedział, czy coś z tego wyszło czy nie. Gdybyś był pianistą albo śpiewakiem - jęknął Gallagher.

- Ba!

- Jedną chwileczkę. Mam pomysł. Mam dobre układy w telewizji...może coś mi się uda załatwić. - Gallagher usiadł do wideofonu. Zajęło tu trochę czasu, ale wkrótce udało mu się nakłonić argentyńskiego tenora Ramona Fireza, aby wziął aerotaksówkę i szybko zjawił się w laboratorium.

- Firez! - Gallagher napawał się tą myślą. - To będzie dowód albo w jedną, albo w drugą stronę. Jeden z największych tenorów na tej półkuli! Jeśli nagle okaże się, że śpiewam jak skowronek, będę wiedział, że mogę tego użyć na Hellwigu.

Firez zapewne wizytował nocne kluby, ale na prośbę telewizji odłożył na pewien czas swoje nocne zajęcia i pojawił się w ciągu dziesięciu minut. Był to potężny, przystojny mężczyzna z szerokimi, ruchliwymi ustami. Uśmiechnął się do Gallaghera.

- Mówił pan, że jest źle, że moim wielkim głosem mogę coś pomóc, a więc jestem do usług. Nagranie, prawda?

- Coś w tym rodzaju.

- Jakiś zakład?

- Można to i tak nazwać - odrzekł Gallagher sadzając Fireza w fotelu. - Chcę zapisać wzór cerebralny pańskiego głosu.

- Ach, to coś nowego! Proszę o bliższe wyjaśnienia.

Konstruktor posłusznie zagłębił się w całkowicie pozbawiony sensu wywód, który spełnił swój cel, czyli zaspokoił ciekawość señora Fareza w czasie sporządzania wykresów. Nie zajęło to wiele czasu. Łatwo było wyróżnić znaczące krzywe i przebiegi. Był to wykres umiejętności wokalnych Fireza, jego wielkiego talentu. Dziadek sceptycznie przyglądał się,

jak Gallegher dostraja urządzenie, umieszcza na głowach hełmy i włącza maszynę. Ponownie zaświeciły lampki i zabręczały przewody. I przestały.

- Czy się udało? Czy mogę zobaczyć?...

- Trzeba jakiś czas wywoływać rysunki - skłamał Gallegher bez skrpułów. Nie chciał w obecności Fireza buchnąć śpiewem. - Gdy będę miał gotowe wyniki, przyniosę je do pana.

- Ach, to dobrze. Muy bueno. - Zabłyły białe zęby. - Zawsze jestem do usług, amigo!

Firez wyszedł. Gallegher usiadł i wbił wzrok w ścianę, czekając. Nic się nie stało. Trochę go bolała głowa, i tyle.

- Już po wszystkim? - zapytał dziadek.

- Tak. Do - re - mi - fa - so...

- Co?

- Cicho bądź. Che bella cosa...

- Jesteś głupi jak but.

- Wdziej strój pajaca - zawył dziko Gallegher łamiącym się głosem. -...za rumieniec weź szminkę. A, cholera!

- Glory, glory Halleiujah! - włączył się uprzejmie dziadek. - Glory, glory Halleiujah!

- Kto za to płaci, ten prawo śmiać się ma

Choćby ci więc porwali ukochaną...

- Glory, glory Hallebujah!...

- Śmiej się, pajacu, a tłum oklaski da!

- Jego duch żyje pośród nas! - zabeczał dziadek, dusza każdego przyjęcia. - Gdy byłem młody, całkiem nieźle sobie podśpiewywałem. Dawaj, zaśpiewamy w duecie. Znasz „Frankie i Johnny”?

Gallegher ledwie opanował się, aby nie buchnąć płaczem. Rzuciwszy lodowate spojrzenie dziadkowi, wszedł do kuchni i otworzył pojemnik z piwem. Chłodny miętowy posmak odświeżył go, ale nie podniósł na duchu. Nie potrafił śpiewać. W każdym razie nie tak jak Firez. Na pytanie czy sześć miesięcy ćwiczenia krtani przyniesie jakieś istotne zmiany, znał już odpowiedź. Maszyna po prostu nie działała. Sprzężenie mózgowe, guzik prawda. Rozległ się piskliwy okrzyk dziadka. - Hej! Znalazłem coś na podwórku!

- Na pewno zgadnę, co - powiedział ponuro Gallegher i zajął się piwem.

Policja przyjechała trzy godziny później, o dziesiątej. Powód tego opóźnienia był prosty: ciało zniknęło z kostnicy, ale przez pewien czas aktu tego nie wykryto. Potem nastąpiły dokładne poszukiwania, które oczywiście nie przyniosły żadnych rezultatów. Zjawił się Mahoney ze swoją kohortą; Gallegher wskazał im gestem podwórko.

- Tam leży - westchnął.

Mahoney obrzucił go wściekłym spojrzeniem. - Znowu jakieś sztuczki, co? - warknął.

- To nie moja robota.

Towarzystwo wyroiło się z laboratorium pozostawiając szczupłego, jasnowłosego człowieczka, który w zamyśleniu przyglądał się Gallegherowi.

- Jak leci? - zapytał Cantrell.

- A... dobrze.

- Schował pan tu gdzieś jeszcze parę tych...zabawek? Miotaczy termicznych? Nie.

- No to jak pan zabija tych ludzi? - zapytał Cantrell płaczkliwym - Nic z tego nie rozumiem.

- On mi to wyjaśnił - powiedział dziadek - ale wtedy nie rozumiałem, co gada. Wtedy nie. Teraz oczywiście rozumiem. To po prostu kwestia zmiennych linii temporalnych. Wchodzi w to zasada nieokreśloności Plancka i zapewne również Heisenberga. Prawa termodynamiki jasno wskazują, że wszechświat dąży do powrotu do normy, którą jest nasze znane tempo entropii, a odchylenia od tej normy muszą z konieczności zostać skompensowane odpowiednimi zakrzywieniami w czasoprzestrzennej strukturze powszechnej równowagi kosmicznej. Nastąpiła cisza.

Gallegher podszedł do ściany, nalał szklanek wody, którą powoli wylał sobie na głowę. - Rozumiesz to, co powiedziałeś, prawda? zapytał.

- Jasne - rzekł dziadek. - Czemu nie? Sprzężenie mózgowe dało twój talent matematyczny, łącznie z odpowiednią terminologią, jak sądzę.

- Ukrywałeś to przede mną?

- Nie, psia krew. Mózg musi mieć trochę czasu, aby przystosować się do nowych wartości. Sądzę, że to taki zawór bezpieczeństwa. Nagły przyływ zupełnie nowego zespołu wzorów myślowych mógłby całkowicie umysł zniszczyć. To zapada w głąb; proces trwa trzy godziny czy coś koło tego. Tyle mniej więcej trwało, prawda?

- Tak - powiedział Gallegher. - Tak. - Dostrzegł spojrzenie Cantrella i udało mu się uśmiechnąć. - To taki żart między dziadkiem a mną. Nic wielkiego.

- Hmm - powiedział Cantrell przymykając oczy. - Tylko tyle? Tak. No jasne. Tylko tyle. Z podwórka wniesiono zwłoki i przeniesiono je przez laboratorium. Cantrell przymrużył oko, poklepał się znacząco po kieszeni i zaciągnął Galleghera w kąt.

- Gdybym ten pański miotacz komuś pokazał, byłoby już po panu, Gallegher. Niech pan o tym nie zapomina.

- Nie zapominam. Czego pan w ogóle chce, do cholery?

- Och...nie wiem. Taka broń może się bardzo przydać. Nigdy nic nie wiadomo. Tyle teraz napadów. Czuję się pewniej, gdy mam to w kieszeni.

Odsunął się, kiedy wszedł Mahoney przygryzając wargi. Detektyw był wyraźnie zaniepokojony.

- Ten facet z podwórka...

- Tak?

- On jest trochę do pana podobny. Tylko starszy.

- A co z odciskami palców, Mahoney? - zapytał Cantrell.

Detektyw burknął coś pod nosem. - Odpowiedź jest z góry znana. Jak zwykle niemożliwa sprawa. Wzory siatkówek też się zgadzają. Niech pan posłucha, Gallegher; chcę zadać panu kilka pytań i proszę o jasne odpowiedzi. Niech pan nie zapomina, że jest pan podejrzany o morderstwo.

- A kogo zamordowałem? - zapytał Gallegher. - Tamtych dwóch którzy zniknęli z kostnicy? Nie ma corpus delicti. Zgodnie z nowym kodeksem, naoczni świadkowie i fotografie nie wystarczą do udowodnienia morderstwa.

- Pan dobrze wie, dlaczego to wprowadzono - odrzekł Mahoney. Trójwymiarowe obrazy, które uważano za prawdziwe zwłoki...była o to cała rozróżba pięć lat temu. Ale te trupy na pańskim podwórku to nie obrazki. Są prawdziwe.

- Są?

- Dwa były. Jeden jest. W dalszym ciągu wisi to na panu. I co?

- Nie...- zaczął Gallegher, ale przerwał. Jego gardło zaczęło się poruszać. Nagle wstał z zamkniętymi oczami. - Twoim jest serce me i cały świat niech o tym wie - śpiewał Gallegher grzmiącym tenorem, który, choć nieszkolony, brzmiał czysto i dźwięcznie. - Jak nieodłączny cień na drodze swej odnajdziesz mnie...

- Hej! - krzyknął Mahoney, zrywając się na nogi. - Uspokój się! Słyszysz mnie!

- W tobie jest życia treść i blask, i mrok, i milczenie, i pieśń...

- Przestań! - krzyczał detektyw. - Nie jesteśmy tu po to, by słuchać twych śpiewów. A jednak słuchał, podobnie jak pozostali. Gallagher schwytyany uścisk obłądnego talentu señora Fireza, śpiewał i śpiewał, a jego nienawykłe gardło rozkurczało się coraz bardziej i wydawało już takie tony, jak dziób słowika. Gallagher... śpiewał!

Nie mogli go powstrzymać. Uciekli więc, miotając groźby. Mieli niebawem powrócić - z kaftanem bezpieczeństwa.

Dziadek zresztą również wyraźnie znajdował się w kleszczach jakiegoś niezwykle ataku. Wypadały z niego słowa, dziwne terminy semantyczne, matematyka przełożona na słowa - symbole, od Euklidesa do Einsteina i jeszcze dalej. Wyglądało na to, że dziadek naprawdę przejął ogromny talent matematyczny Gallaghera. Nadszedł wreszcie koniec, tak jak w przypadku wszystkich rzeczy, dobrych i złych. Gallagher skrzypiał i skrzeczał zaschłym gardłem i po kilku ostatnich wdechach zamilkł. Opadł bez sił na tapczan patrząc na dziadka, który leżał skulony w fotelu, z szeroko otwartymi oczami. Z ukrycia wyszły trzy Lible i stanęły w szeregu. Każdy trzymał ciastko w kosmatych łapkach.

- Świat należy do mnie - obwieścił najgrubszy.

Następowały kolejne wydarzenia. Zadzwoił Mahoney informując, że załatwia specjalny nakaz aresztowania i że Gallaghera wsadzą do paki natychmiast, gdy tylko uda się ruszyć całą maszyną prawniczą. To znaczy jutro. Gallagher zadzwonił do adwokata, najlepszego na wschodnim wybrzeżu. Tak. Persson mógł unieważnić nakaz i bez wątpienia również wygrać sprawę, albo...w każdym razie Gallagher nie musi się niczego obawiać, jeśli weźmie tego właśnie obrońcę. Oplatę należy częściowo uiścić z góry.

- Ile?... O!

- Niech pan do mnie zadzwoni - powiedział Persson - kiedy pan zechce, żebym się zajął pańską sprawą. Czek może pan wysłać już dziś.

- Dobrze - powiedział Gallagher i pośpiesznie zadzwonił do Rufusa Hellwiga.

Potentat na szczęście był w domu. Gallagher wyjaśnił, w czym rzecz. Hellwig nie chciał wierzyć. Zgodził się jednak przyjść tło laboratorium z samego rana na próbę. Wcześniej nie mógł. Nie chciał też dać więcej pieniędzy, póki nie otrzyma niewątpliwych dowodów.

- Niech pan mnie zrobi pierwszorzędnym pianistą - powiedział a zostaną przekonany.

Gallagher następnie znów zadzwonił do telewizji i udało mu się skontaktować z Joey Mackenzie, piękną, jasnowłosą pianistką, która ostatnio błyskawicznie podbiła serca nowojorczyków i natychmiast została zaangażowana do telewizji. Joey powiedziała, że przyjdzie rano. Gallagher musiał ją długo namawiać, ale wspomniał o tylu rzeczach, że zainteresowanie dziewczyny osiągnęło stadium gorączki. Wyglądało na to, że kojarzyła naukę z czarną magią, a obie sprawy ją interesowały.

Powiedziała, że przyjdzie.

Na podwórku pojawiły się kolejne zwłoki, co oznaczało, że działała linia prawdopodobieństwa D. Bez wątpienia jednocześnie trzecie ciało zniknęło z kostnicy.

Gallagher nieomal współczuł Mahoneyowi.

Szalone talenty uspokoiły się. Najwyraźniej niepohamowany wybuch następował tylko na początku, około trzech godzin po wstępnym zabiegu. Potem daną umiejętność można było do woli włączać i wyłączać. Gallagher nie czuł już przemożnej ochoty wybuchania śpiewem, ale stwierdził, że umie śpiewać, i to dobrze, kiedy zechce. Dziadek zaś zdradzał doskonałe umiejętności matematyczne, kiedy tylko chciał ich używać.

W końcu o piątej nad ranem przybyły Mahoney z dwoma policjantami aresztował Gallaghera i odprowadził go do więzienia.

Gallagher przebywał w zamknięciu przez trzy dni.

Wieczorem trzeciego dnia przybył adwokat Persson z nakazem zwolnienia i mnóstwem obelg na ustach. Jakoś mu się jednak udało wydostać Galleghera, zapewne dzięki reputacji. Później, w aerotaksówce, załamał ręce i jęknął ze skargą w głosie!

- Cóż to za cholerna sprawa! Naciski polityczne, kruczki prawne, obłęd! Zwłoki pojawiające się na pańskim podwórku, już siedem, i znikające z kostnicy. Co się za tym kryje, Gallegher?

- Nie wiem. Pan...hm...pan występuje jako mój obrońca?

- Oczywiście. - Taksówka ryzykownie śmignęła obok wieżowca. - Czek...- zaryzykował Gallegher.

- Pański dziadek mi go dał. Aha, kazał mi również coś przekazać. Powiedział, że poddał zabiegowi Rufusa Hellwiga zgodnie z pańskim projektem i odebrał wynagrodzenie. Ja wszakże nie uważam, żebym już zasłużył choć na część swego wynagrodzenia. Pozwolić panu siedzieć w ciupie przez trzy dni! Ale ścierałem się z silnym naciskiem politycznym. Sam musiałem ruszyć parę chodów.

A więc to tak. Dziadek oczywiście przejął talent matematyczny Galleghera i wiedział wszystko o sprzężeniu mózgowym i jak ono działało. Poddał Hellwiga zabiegowi - z powodzeniem, jak się zdawało. Przynajmniej byli teraz przy forsie. Ale czy to wystarczy? Gallegher wyjaśnił tyle, na ile starczyło mu odwagi. Persson pokiwał głową.

- Mówi pan, że to wszystko przez maszynę czasu? No to musi ją pan jakoś wyłączyć. Sprawić, żeby te zwłoki się nie pojawiały.

- Nawet nie mogę jej roztrzaskać - przyznał się Gallegher. Próbowalem, ale zapadła w stazę. Znajduje się całkowicie poza naszym sektorem czasoprzestrzennym. Nie wiem, jak długo to potrwa. Została ustawiona na przynoszenie moich zwłok i przy tym pozostanie.

- Więc tak. Dobrze. Zrobię, co będę mógł. W każdym razie jest pan teraz wolny. Ale nie mogę niczego gwarantować, dopóki pan nie wyeliminuje tego nieprzerwanego strumienia pańskich zwłok, panie Gallegher. Ja tu wysiadam. Do zobaczenia jutro. Może u mnie w biurze, w południe? Dobrze.

Gallegher uściśnął mu dłoń i podał pilotowi swój adres. Czekala tam na niego nieprzyjemna niespodzianka. Drzwi otworzył mu Cantrell.

Jego wąska, blada twarz skrzywiła się w grymasie uśmiechu. Dobry wieczór - powiedział promiennie, odsuwając się. - Niech pan wchodzi, Gallegher.

- Już wszedłem. Co pan tu robi?

- Przyszedłem z wizytą. Do pańskiego dziadka.

Gallegher rozejrzał się po laboratorium. - Gdzie on jest?

- Nie wiem. Niech pan sam poszuka.

Przeczuwając jakieś niebezpieczeństwo, konstruktor ruszył na poszukiwania. Znalazł dziadka w kuchni jedzącego precelki i karmiącego Lible. Staruszek unikał jego wzroku.

- No dobra - powiedział Gallegher - gadaj.

- To nie była moja wina. Cantrell powiedział, że odda miotacz na policję, jeśli nie zrobię, czego chce. Wiedziałem, że wtedy będzie już po tobie.

- Co tu się działo?!!!

- Spokojnie. Już wszystko sobie obmyśliłem. To nikomu nie zaszkodzi...

- Co? Co?!!!!

- Cantrell zmusił mnie do użycia twojego przyrządu na nim - przyznał się dziadek. - Zajrzał przez okno, kiedy poddawałem zabiegowi Hellwiga, i wszystko sobie wykoncypował.

Zagroził, że doprowadzi do skazania ciebie, jeśli nie dam mu innych talentów.

- Czyich?

- Och...Gullivera, Morleysona, Kottmana, Denysa, St. Mallory'ego...- To wystarczy - powiedział Gallegher słabym głosem. - Najwięksi inżynierowie naszych czasów, ot co! I wiedza ich wszystkich w mózgu Cantrella! Jak ich do tego namówił?

- Szybka gadką. Nie powiedział, o co mu chodzi. Wymyślił jakąś sprytną historyjkę...Ma również twój talent matematyczny. Ode mnie.

- To znakomicie - powiedział Gallegher z ponurą miną. - O co mu chodzi, do diabła?

- On chce podbić świat - odrzekł ze smutkiem najgrubszy Libl. Och, nie pozwól mu na to. My chcemy podbić świat.

- Niezupełnie tak - powiedział dziadek - ale i tak za dobrze nie jest. On ma teraz tę samą wiedzę, którą my mamy; dość, aby zbudować następny aparat do sprzężenia mózgowego. A za godzinę leci stratoplanem do Europy.

- Znaczy, że będą kłopoty - powiedział Gallegher.

- Tak, wiem. Zaczynam myśleć, że Cantrell jest cokolwiek pozbawiony skrupułów. To on jest odpowiedzialny za przetrzymywanie ciebie w pace przez ostatnie dni.

Drzwi się otworzyły i zajął Cantrell.

- W ogródku są nowe zwłoki. Właśnie się pojawiły. Ale nie będziemy sobie nimi teraz zawracać głowy. Czy są jakieś wieści od van Deckera?

- Van Decker! - zakrzuszył się Gallegher. - Jego nie...Człowiek, z najwyższym ilorazem inteligencji na świecie!

- Jeszcze nie - uśmiechnął się Cantrell. - Przez wiele dni próbowałem się z nim skontaktować, ale dopiero dziś rano dzwonił do mnie. Bałem się, że nie zdążę się z nim zobaczyć. Ale powiedział, że przyjdzie dziś wieczorem - Cantrell popatrzył na zegarek. - Mam nadzieję, że przyjdzie na czas. Stratoplan nie poczeka.

- Jedną chwileczkę - powiedział Gallegher postępując naprzód. Chciałbym znać pańskie zamiary, Cantrell.

- On chce podbić świat - zapisał jeden z Libli.

Cantrell popatrzył w dół, rozbawiony. - Jak się okazuje, to nie takie fantastyczne - przyznał. - Na szczęście jestem całkowicie amoralny, więc mogę w pełni wykorzystać tę okazję. Talenty największych umysłów ludzkości bardzo się przydadzą, będę najlepszy prawie we wszystkim. To znaczy, we wszystkim - dodał, przymrużając oko.

- Kompleks dyktatorski - skrzywił się dziadek.

- Jeszcze nie - odrzekł Cantrell. - Może kiedyś. Dajcie mi trochę czasu. Już jestem w znacznym stopniu nadczłowiekiem, jak wiecie.

- Nie może pan...- zaczął Gallegher.

- Nie? Niech pan nie zapomina, że mam ten pański miotacz.

- Owszem - odrzekł konstruktor - a te wszystkie ciała z podwórka - moje ciała - wszystkie zostały zabite wystrzałem z miotacza. Jak dotąd, jest pan jedyny, który go ma. Najwidoczniej sądzono mi jest, że w końcu mnie pan z niego zabije.

- „W końcu” to chyba brzmi lepiej niż „teraz”? - zapytał cicho Cantrell. Gallegher nie odpowiedział. Cantrell mówił dalej.

- Zebrałem śmietankę najlepszych umysłów wschodniego wybrzeża, a teraz zrobię to samo w Europie. Wszystko się może zdarzyć.

Jeden z Libli, widząc w strzępach swój plan podboju świata, zaczął gorzko płakać. Rozległ się dzwonek u drzwi. Na skinienie Cantrella dziadek wyszedł i powrócił z krępy męczyzną z zakrzywionym nosem i krzaczastą rudą brodą.

- Ha! - ryknął przybysz. - Przyszedłem! Chyba się nie spóźniłem? Dobrze.

- Dr van Decker?

- A któż by inny? - krzyknął rudobrody. A teraz szybko, szybko, szybko. Jestem bardzo zapracowany. Ten pański eksperyment; sądząc z pańskiego opisu nic z niego nie wyniknie,

ale zgadzam się na próbę. Projekcja czyjejs duszy to głupota. Dziadek szturchnął Galleghera.

- To Cantrell wymyślił to wytłumaczenie - mruknął.

- Tak? Słuchaj, nie można...

- Uspokój się - powiedział dziadek przymykając znacząco oko. Mam teraz twój talent, synku. Pomyślałem o rozwiązaniu. Spróbuj, czy ty też potrafisz. Ja wykorzystałem twoją matematykę. Ćśśś...

Nie było czasu na dłuższą rozmowę. Cantrell wszystkich zapędził do laboratorium. Gallegher, zmarszczony i zagryzający wargi, rozważył cały problem. Nie mógł pozwolić, żeby Cantrellowi uszło to na sucho. Ale z drugiej strony dziadek powiedział, że wszystko jest w porządku, że trzyma rękę na pulsie. Libe oczywiście zniknęły, zapewne w poszukiwaniu ciastek. Spojrzawszy na zegarek, Cantrell usadził van Deckera w fotelu. Znacząco trzymał rękę na kieszeni i co jakiś czas spoglądał w stronę Galleghera. W kieszeni miał miotacz termiczny; jego kształt wyraźnie odznaczał się przez ubranie.

- Pokażę panu, jakie to łatwe - zachichotał dziadek, kuśtykając na pokracznych nogach ku urządzeniu do sprzężania mózgowego, w którym przesunął kilka wyłączników.

- Ostrożnie, dziadku - ostrzegł Cantrell napiętym głosem. Van Decker wytrzeszczył oczy.

- Coś nie tak?

- Nie, nie - powiedział dziadek. - Pan Cantrell obawia się, że robię jakiś błąd. Ale nie. Ten hełm...

Włożył go na głowę van Deckera. Rysik maszyny wykreślił faliste linie na diagramach.

Dziadek sprawnie zebrał je razem, potknął się o własne nogi i przewrócił, rozrzucając arkusze dookoła. Zanim Cantrell zdołał się poruszyć, staruszek był już na nogach i mamrocząc przekleństwa zbierał wykresy. Położył je na stole. Gallegher przesunął się do przodu i zajrzał Cantrellowi przez ramię. Fiu, fiu! To było rzeczywiście coś! Współczynnik inteligencji van Deckera był ogromny. Jego fantastyczne zdolności były...hm, fantastycznie wyjątkowe.

Cantrell, który również znał szczegóły sprzężenia mózgowego, skoro przejął poprzez dziadka umiejętności matematyczne Galleghera, kiwnął z uznaniem. Włożył hełm sobie na głowę i ruszył w stronę urządzenia. Rzuciwszy przelotne spojrzenie na van Deckera, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, przesunął wyłączniki. Zaświeciły światła; szum mógł się aż do wycia. I umilkł.

Cantrell zdjął hełm. Gdy sięgnął ręką do kieszeni, dziadek jakby niechcienia uniósł rękę i zaprezentował mały, błyszczący pistolecik.

- Nie rób tego - powiedział.

Oczy Cantrella zwęziły się.

- Rzuć tę spluwę.

- Mowy nie ma. Domyśliłem się, że zechcesz nas zabić i zniszczyć maszynę, aby pozostać jedynym w swoim rodzaju. To ci nie przejdzie. Ten pistolet ma bardzo czuły spust. Możesz wypalić we mnie dziurę, Cantrell, ale zanim skończysz, będziesz martwy.

Cantrell zastanowił się.

- No więc co?

- Wynoś się. Ja nie chcę mieć dziury wypalanej w brzuchu, tak jak ty nie chcesz mieć tam kulki. Żyj i daj żyć innym. Spływaj.

Cantrell zaśmiał się cicho.

- Dobra jest, dziadku. Zasłużyłeś na to. Nie zapominaj, że nadal wiem, jak zbudować taką maszynę. I...że zebrałem śmietankę. Możecie zrobić to samo, ale nie lepiej niż ja.

- A więc stoi - powiedział dziadek.

- Tak, stoi. Spotkamy się jeszcze. Nie zapominaj, Gallegher, od czego zginęły te ciała z twojego podwórka - powiedział Cantrell i wycofał się przez drzwi uśmiechając się z przymusem.

Gallegher oprzytomniał i zerwał się na równe nogi.

- Trzeba zawiadomić policję! - krzyknął. - Cantrell jest teraz zbyt niebezpieczny, aby pozostawać na wolności.

- Spokojnie - przykazał mu dziadek wymachując pistoletem. Powiedziałem ci, że wszystko jest załatwione. Chyba nie chcesz, żeby skazali cię za morderstwo, co? Jeśli aresztują Cantrella, policja znajdzie przy nim miotacz. Mój sposób jest lepszy.

- Jaki sposób? - Gallegher zażądał wyjaśnienia.

- Już, Mickey - powiedział dziadek uśmiechając się do doktora Simona van Deckera, który zdjął rudą brodę i perukę i zaczął się triumfalnie śmiać.

Gallegher otworzył usta ze zdumienia. - Podpucha!

- Jasne. Zadzwoń mi skrycie do Mickeya i powiedz mu, czego mi trzeba. On się przebrał, zadzwonił do Cantrella i udał van Deckera. Umówił się na dziś wieczór.

- Ale wykresy. Wykazywały współczynnik inteligencji geniusza. - Kiedy upuściłem wykresy na ziemię, zamieniłem je - przyznał się dziadek. - Zawsze przygotowałem kilka lipnych. Gallegher skrzywił się.

- Ale to nie zmienia sytuacji. Cantrell nadal jest na wolności i wie o wiele za dużo.

- Powstrzymaj swe konie, młody człowieku - powiedział dziadek. - Zaczekaj, aż ci wyjaśnię. I wyjaśnił.

Około trzech godzin później telewizja podała wiadomość, że człowiek nazwiskiem Roland Cantrell poniósł śmierć wyskakując z transatlantyckiego stratoplanu.

Gallegher znał jednak dokładnie moment śmierci Cantrella. Dokładnie bowiem w tym samym czasie zwłoki zniknęły z podwórka.

Stało się tak dlatego, że skoro miotacz termiczny już nie istniał, przyszłość Galleghera nie zawierała śmierci spowodowanej strzałem z miotacza. Chyba że zbudowałby inny, czego zamierzał się wystrzeżać.

Machina czasu wyszła ze swej stazy i powróciła do stanu normalnego. Gallegher odgadł, dlaczego. Maszyna została ustawiona na wykonanie określonego zadania, zawierającego śmierć Galleghera w ustalonym zespole zmiennych. W ramach tych zmiennych machina działała niezmiennie. Nie mogła zaprzestać działania, zanim nie wyczerpała wszystkich możliwości. Dopóki którykolwiek z możliwych wariantów przyszłości Galleghera zawierał śmierć zadaną miotaczem, zwłoki nie przestawały się pojawiać.

Obecnie przyszłość została radykalnie zmieniona. Już nie obejmowała wariantów A, B, C i tak dalej. Miotacz termiczny, czynnik pierwszorzędny owego parametru, został zniszczony w terażniejszości. Wobec tego możliwe warianty przyszłości Galleghera zawierały teraz A1, B1, C1 i tak dalej.

A machina nie została nastawiona na tak drastyczne odchylenia. Wypełniła zadanie, które jej postawiono. Teraz czekała na nowe polecenia.

Lecz Gallegher przestudiował ją dokładnie przed ponownym użyciem. Miał mnóstwo czasu. Bez choćby jednego corpus delicti Persson bez trudu uzyskał unieważnienie procesu, choć nieszczęśliwy Mahoney omal zmysłów nie postradał, usiłując dojść, co właściwie zaszło. Co do Libli zaś...

Gallegher machinalnie rozdał ciastka, zastanawiając się, jak tu się pozbyć tych małych, głupiutkich stworzonek nie raniąc ich uczuć.

- Chyba nie chcecie tu zostać przez całe życie? - zapytał.

- No, nie - odrzekł jeden z nich, strzepując kosmatą łapką okruchy z wąsików. - Ale musimy podbić Ziemię - podkreślił żalosnym tonem.
- Hmmm - mruknął Gallegher i wyszedł, aby dokonać pewnych zakupów. Powrócił z jakimiś urządzeniami, które ukradkiem podłączył do telewizora.

Wkrótce potem normalny program telewizyjny został przerwany przez coś, co zapowiedziano jako wiadomość z ostatniej chwili. Dziwnym zbiegiem okoliczności trzy Lible właśnie wtedy oglądały telewizję. Na ekranie pojawiło się zbliżenie twarzy spikera, którą prawie całkowicie zasłaniał trzymany plik papierów. Jedyna widoczna część - od brwi w górę - bardzo przypominała czoło Galleghera, ale Lible były zbyt zaintrygowane, by to zauważyć.

- Wiadomość z ostatniej chwili! - powiedział spiker podnieconym głosem. - Ważna informacja! Od pewnego czasu świat wie już o przybyciu na Ziemię trzech dostojnych gości z Marsa. Istoty te...

Lible wymieniły zdumione spojrzenia. Jeden z nich zaczął jakieś pytanie piskliwym głosikiem, ale szybko został uciszony. Lible słuchały dalej.

- Istoty te, jak się dowiadujemy, chcą podbić Ziemię. Z przyjemnością informujemy, że cała ludność Ziemi przeszła na stronę Libli. Nastąpiła bezkrwawa rewolucja. Lible zostały jednocześnie uznane za naszych jedynych władców...- Juhuuuu! - zakrzyknął cienki głosik.

-...i trwa organizacja nowych form władzy. Zostanie wprowadzony nowy system monetarny i mennice już produkują monety z głowami Libli na rewersie. Oczekuje się, że trzej władcy powrócą na Marsa, aby swoim przyjaciółom na tej planecie wyjaśnić zaistniałą sytuację.

Częściowo zakryta twarz spikera znikła z ekranu i normalny program został przywrócony. Po chwili ukazał się Gallegher uśmiechając się tajemniczo. Powitały go wysokie piski Libli.

- Musimy teraz wracać do domu. Nastąpiła bezkrwawa...- Rewolucja! Świat należy do nas! Ich optymizm mógł się równać tylko ich łatwowierności. Gallegher dał się przekonać, że Lible muszą wracać na Marsa.

- No dobrze - zgodził się. - Machina jest gotowa. Jeszcze po jednym ciastku na drogę i jazda. Uścisnął wszystkie kosmate łapki, uprzejmie się skłonił i trzy Lible z podrygującymi uszami, żywo popiskując między sobą, zostały odesłane na Marsa, pięćset lat w przyszłość. Śpieszyły się, aby wrócić do przyjaciół i opowiedzieć im swe przygody. Opowiedziały, ale nikt im nie uwierzył. Śmierć Cantrella nie spowodowała żadnych reperkusji, choć Gallegher, dziadek i Mickey w pewnym napięciu przeczekali następne kilka dni, zanim odetchnęli z ulgą. Wkrótce potem dziadek i Gallegher udali się na straszliwy ochłaj i zaraz poczuli się znacznie lepiej. Mickey nie mógł z nimi pójść. Z żalem musiał wrócić do cyrku, gdzie dwa razy dziennie wykorzystywał swe szczególne zdolności wykonując skok z dziesięciometrowej drabiny do wanny z wodą...

przekład : Wiktor Bukato

Henry Kuttner      Świnka

Diamenty Ballarda kradziono w tym samym tempie, w jakim był on w stanie je produkować. Towarzystwa ubezpieczeniowe już dawno zrezygnowały z tak kiepskiego klienta. Agencje detektywistyczne za słońną opłatą chętnie oferowały swoje usługi, ale ponieważ diamenty mimo to dalej ginęły bez śladu, było to tylko wyrzucanie pieniędzy w błoto. To nie mogło tak trwać. Fortuna Ballarda oparta była na diamentach, a wartość klejnotów wzrasta w odwrotnym stosunku do ich ilości i dostępności. Przy obecnym tempie kradzieży, za jakieś dziesięć lat nieskazitelnie czyste, najwyższej jakości diamenty mogą się stać zupełnie bezwartościowe.

- Potrzeba mi sejfu doskonałego - rzekł Ballard, pociągając likier z kieliszka. Spojrzał ponad stołem na Joe Gunthera, który tylko się uśmiechnął.

- Pewnie - odrzekł Gunther. - Więc...?

- Jesteś technikiem. Wymyśl coś. Za co ci płacę?

- Płacisz mi za robienie diamentów i trzymanie języka za zębami.

- Nie znoszę leniwych ludzi - rzucił Ballard. Ukończyłeś Instytut jako najlepszy student w 1990. Co robiłeś od tamtego czasu?

- Praktykowałem hedonizm - powiedział Gunther. W imię czego mam się zaharowywać, jeśli wszystko, czego pragnę, mogę zdobyć, robiąc dla ciebie diamenty? Czego pragnie każdy człowiek? Bezpieczeństwa, wolności, okazji do zaspokojenia swoich zachcianek. Zdobyłem to wszystko jedynie dzięki znalezieniu recepty na kamień filozoficzny. To pech, że Cain nigdy nie uświadomił sobie możliwości swojego patentu. Jego pech, ale moje szczęście.

- Zamknij się - z tłumioną pasją rzekł Ballard. Gunther wyszczerzył zęby i rozejrzał się po gigantycznej sali jadalnej. - Nikt nas nie usłyszy. - Był lekko pijany. Kosmyk ciemnych, gładkich włosów opadł mu na czoło; jego szczupła twarz przybrała drwiący, złośliwy wyraz. Poza tym, ja lubię mówić. To mi pomaga uprzytomnić sobie, że jestem taką samą grubą rybą jak ty i świetnie wpływa na moje samopoczucie.

- Więc mów. A jak skończysz, to ja ci coś powiem. Gunther napił się brandy.

- Jestem hedonistą i mam wysoki iloraz inteligencji. Po ukończeniu studiów zacząłem się rozglądać za najlepszym sposobem utrzymania Joe Gunthera, bez potrzeby uciekania się do pracy. Budowanie czegoś od zera to strata czasu. Najlepsza metoda to znaleźć już zbudowaną strukturę i coś do niej dodać. Ergo, Biuro Patentowe. Spędziłem dwa lata, przeglądając archiwa w poszukiwaniu czegoś, co opłacałoby się wykorzystać. Znalazłem to, czego chciałem, w procedurze Caina. On nie uświadomił sobie w pełni swojego odkrycia. Traktował to jedynie jako teorię z dziedziny termodynamiki. Nie zdawał sobie sprawy, że gdyby ją trochę rozwinąć, mógłby dzięki niej produkować diamenty. Tak więc - dokończył Gunther - przez dwadzieścia lat ta procedura leżała w zapomnieniu w Biurze Patentowym, a ja ją znalazłem i odsprzedałem tobie, pod warunkiem, że będę trzymał buzię na kłódkę i pozwolę światu uważać twoje diamenty za prawdziwe.

- Skończyłeś? - spytał Ballard. - Jasne.

- Dlaczego średnio raz na miesiąc powtarzasz te wszystkie oczywistości?

- Żeby ci przypomnieć - powiedział Gunther. - Zabiłbyś mnie, gdybyś tylko śmiał. Wtedy twoja tajemnica byłaby całkiem bezpieczna. Mam wrażenie, że cały czas knujesz, jak by się mnie pozbyć i to ma ci umysł. Byłbyś w stanie postąpić zbyt pochopnie i zabić mnie, a

potem zdać sobie sprawę ze swojego błędu. Jeśli zginę, procedura zostanie ogłoszona i każdy będzie mógł produkować diamenty. Co wtedy stałoby się z tobą?

Ballard poprawił się w fotelu i zmrużywszy oczy, zaplótł swoje dwie kształtne dłonie na szyi. Chłodno przyjrzał się Guntherowi.

- Symbioza - rzekł. - Będziesz trzymał język za zębami, bo od tego zależy także twój dobrobyt. Kredyty, waluta, obligacje - to wszystko przy obecnej sytuacji gospodarczej wkrótce stanie się bezwartościowe. Ale diamenty są rzadkie. Chcę, żeby tak pozostało. Muszę powstrzymać te kradzieże.

- Jeśli ktoś zrobi sejf, zawsze ktoś inny będzie w stanie go rozpruć. Przecież wiesz, jak to było w przeszłości. Dawno temu ktoś wymyślił zamek szyfrowy. Z miejsca ktoś inny znalazł odpowiedź - trzeba słuchać dźwięku zastawek. Skonstruowano bezgłośnie zastawki, wtedy złodziej posłużył się stetoskopem. Odpowiedzią był zamek czasowy. Nitrogliceryna pozbyła się i tej przeszkody. Użyto bardziej wytrzymałych metali oraz precyzyjnych złącz. W porządku - przyszedł termit. Pewien facet miał zwyczaj podkładać pod tarczę kawałek kalki - przyszedł następnego dnia, kiedy kombinacja szyfrowa została już wydrapana. Dzisiaj są promienie rentgena i tak to się ciągnie.

- Zbudowanie sejfu doskonałego jest możliwe - powiedział Ballard.

- W jaki sposób?

- Są dwa sposoby. Pierwszy - zamknąć diamenty w sejfie odpornym na wszelkie włamanie.

- Nie ma czegoś takiego.

- Drugi - zostawić je nie zamknięte, pod ochroną ludzi, którzy mają je wciąż na widoku.

- Tego także próbowałeś i na nic się to zdało. Raz zostali zagazowani. Za drugim razem podstawiono faceta przebranego za jednego z detektywów.

Ballard zjadł oliwkę.

- Kiedy byłem chłopcem, miałem skarbonkę - szklaną świnkę. Widziałem monety, ale nie mogłem ich wyciągnąć bez rozbicia świnki. Oto czego mi potrzeba. Tylko że ta świnka musi mieć zdolność poruszania się.

Gunther podniósł wzrok w nagłym zainteresowaniu. - Co?

- Świnka umiejąca uciekać, posiadająca instynkt samozachowawczy. Taka, która specjalizuje się w sztuce uciekania. Tak postępują zwierzęta - przeważnie roślinożerne. Osobniki z pewnego gatunku afrykańskich jeleni reagują na ruch, zanim zostanie on wykonany. Tu mówienie o reakcji w ułamku sekundy wydaje się już niestosowne. Innym przykładem jest lis. Czy człowiek jest w stanie złapać lisa?

- Może użyć psów i koni.

- Właśnie. Więc lisy przebiegają przez stada owiec albo przez wodę, żeby zmylić ślad. Moja świnka też musi to umieć.

- Masz na myśli robota - powiedział Gunther.

- Ludzie z Metalman konstruują nam robota na zamówienie z radioaktywnym typem mózgu. Dwumetrowego robota nabijanego diamentami, zaprogramowanego na uciekanie.

Inteligentnego robota.

Gunther potarł szczękę.

- Świetnie. Jest tylko jedno zastrzeżenie. Jego inteligencja musi być ograniczona. Metalman robi roboty o inteligencji dorównującej ludzkiej, ale każdy z nich jest wielkości kamienicy. Wzrost inteligencji nieuchronnie powoduje spadek ruchliwości. Nie znaleźli jeszcze niczego, co mogłoby zastąpić mózg koloidowy. Tym niemniej... - zlustrował swoje paznokcie. - Taak. To jest do zrobienia. Robot musiałby być uwarunkowany tylko w jednej dziedzinie - samoobrony. Musi być zdolny do logicznego działania na podstawie tej motywacji, to wszystko.

- Czy to wystarczy?

- Tak, ponieważ robot posługuje się logiką. Fokę albo jelenia można zapędzić w pułapkę. Albo tygrysa. Tygrys słyszy za sobą naganiaczy i ucieka od nich. W danej chwili jest to jedyne znane mu niebezpieczeństwo, dopóki nie wpadnie do specjalnie w tym celu wykopanego dołu. Lis może być świadomy zarówno zagrożenia za sobą, jak i możliwego niebezpieczeństwa przed sobą. Natomiast robot nigdy nie uciekałby na ślepo. Gdyby natrafił na ślepią uliczkę, zadałby sobie logiczne pytanie: co go tam czeka?

- I uciekłby?

- Posiadałby zdolność momentalnej, prawie natychmiastowej reakcji. Mózgi radioatomowe pracują szybko. Postawiłeś przede mną piękny problem, Bruce, ale myślę, że można go rozwiązać. Robot nabijany diamentami, paradykujący po okolicy - z psychologicznego punktu widzenia to bardzo do ciebie podobne.

Ballard wzruszył ramionami.

- Lubię ostentację. Jako chłopiec miałem cholerny kompleks niższości. Teraz to sobie kompensuję. Jak myślisz, w jakim celu wybudowałem ten zamek? Na pokaz. Potrzebuję całego zastępu służących, żeby go utrzymać w porządku. Najgorsza rzecz, jaką mogę sobie wyobrazić, to być zerem.

- Co u ciebie jest równoznaczne z nędzą - mruknął Gunther. - Jesteś w istocie naśladowcą, Bruce. Zbudowałeś swoje imperium gospodarcze dzięki naśladownictwu. Wydaje mi się, że w całym swoim życiu nie wymyśliłeś nic oryginalnego.

- A ten robot?

- Indukcja - zwykle dodawanie. Postawiłeś pewne wymagania i po prostu je dodałeś. Rozwiązaniem okazał się robot nabijany diamentami i przystosowany do uciekania.

- Gunther zawahał się. - Ale ucieczka nie wystarczy. Instynkt samozachowawczy dysponuje jeszcze innymi środkami. Czasami najlepszą formą obrony jest atak. Robot powinien uciekać tak długo, jak długo jest to możliwe i logiczne, a potem próbować wywinąć się innymi sposobami. - Chodzi ci o uzbrojenie go?

- Raczej nie. Gdybyśmy raz zaczęli, nie potrafilibyśmy skończyć. Potrzebujemy ruchliwego mechanizmu, a nie czołgu. Inteligencja robota oparta na logice ucieczki powinna mu umożliwić posługiwanie się wszystkim, co tylko ma pod ręką. Trzeba jedynie nasycić jego mózg podstawowymi wzorami, resztę zrobi sam. Wezmę się do tego natychmiast. Ballard wytarł usta serwetką.

- Świetnie. Gunther wstał.

- Wiesz, tylko pozornie wydaję na siebie wyrok śmierci - powiedział spokojnie. - Gdy będziesz już miał ten swój idealny sejf w postaci robota, nie będziesz mnie już potrzebował do produkcji diamentów. Te, które będą na robocie, wystarczą ci aż do śmierci. Jeżeli mnie więc zabijesz, twój diamentowy monopol będzie bezpieczny, bo nikt nie potrafi ich wyrabiać, oprócz mnie. Jednak nigdy bym nie zaczął pracy nad tym robotem bez przedsięwzięcia paru środków ostrożności. Ta procedura z Biura Patentowego nie jest skatalogowana pod nazwiskiem Cain, nie ma też wiele wspólnego z termodynamiką.

- Oczywiście - odparł Ballard. - Kazałem to sprawdzić, nie mówiąc swoim informatorom dokładnie, o co mi chodzi. Numer patentu jest twoją tajemnicą.

- I jestem bezpieczny, dopóki nią pozostanie, to znaczy do momentu mojej śmierci. Wtedy zostanie rozgłoszony i podejrzenia wielu ludzi potwierdzą się. Istnieje dość rozpowszechniona pogłoska, że twoje diamenty są sztuczne, ale nikt nie potrafi tego udowodnić. A znam pewnego faceta, który bardzo by chciał.

- Ffoulkes?

- Barney Ffoulkes z Mercantile Alloys. Nie znosi cię w takim samym stopniu, jak ty jego. Ale na razie jesteś od niego silniejszy. Taak, Ffoulkes z rozkoszą starłby cię na proch, Bruce.

- Zajmij się tym robotem - odparł Ballard wstając. Postaraj się skończyć przed następną kradzieżą.

Gunther uśmiechnął się sardonicznie. Ballard miał poważną twarz, ale skóra w kącikach oczu zmarszczyła mu się. Obaj mężczyźni znali się na wylot - i to był prawdopodobnie powód, dla którego jeszcze chodzili po tej ziemi.

- Metalman, co? - powiedział Barney Ffoulkes do szefa swojego personelu, Dangerfielda. - Robią dla Ballarda robota nabijanego diamentami, co? Cholerny pozer! Dangerfield milczał.

- Jakiej wielkości?

- Około dwóch metrów.

- I nabijany - ciekawe jak grubo? Ballard umieści masę diamentów na tej swojej chodzącej reklamie. Ciekawe, czy każe je ułożyć w napis „Niech żyje Bruce Ballard”? Ffoulkes wstał zza biurka i zaczął krążyć po pokoju jak moskit - rudy, łysiejący człowieczek o pomarszczonej, zgorzkniałej twarzy. - Przygotuj ofensywę. Codziennie ją koryguj. Sporządź szczegółowy plan nowego frontu ekonomicznego tak, byśmy mogli natychmiast osaczyć Ballarda z chwilą otrzymania cynku.

Dangerfield wciąż milczał, ale brwi w jego bladej, obojętnej twarzy uniosły się pytająco.

Ffoulkes podbiegł do niego nerwowo.

- Czy mam ci tłumaczyć jak dziecku? Zawsze, gdy stawialiśmy Ballarda w kłopotliwym położeniu, potrafił się jakoś wywinąć - towarzystwa ubezpieczeniowe, pożyczki, diamenty. Teraz żadne towarzystwo ubezpieczeniowe nie zechce go obsłużyć. Jego źródło diamentów nie może być niewyczerpane, chyba że są sztuczne. Ale jeśli tak, to będzie mu coraz trudniej zaciągnąć pożyczkę. Rozumiesz?

Dangerfield przytaknął z powątpiewaniem.

- Hm... Wpakuje kupę kamieni w tego robota. Oczywiście zostanie on skradziony. I wtedy uderzymy. Dangerfield zacisnął wargi.

- No dobra - powiedział Ffoulkes. - Może nic z tego nie będzie. Przedtem też nie skutkowało. Ale w tej grze cała sztuka polega na wywieraniu ciągłego nacisku w nadziei na dokonanie wyłomu w szafkach przeciwnika. Może tym razem będziemy mieli szczęście. Gdybyśmy choć raz zdołali uczynić go niewypłacalnym, byłibyśmy w stanie go pogrzyźć. Tak czy owak musimy spróbować. Przygotuj ofensywę. Akcje, obligacje, zakłady użyteczności publicznej, rolnictwo, surowce - wszystko, czym dysponujemy. Chodzi o to, żeby zmusić Ballarda do kupowania na kredyt bez pokrycia. A na razie upewnij się, by opłacono naszą ochronę.

Wypląć chłopcom premię.

Dangerfield wykonał gest „robi się” i wyszedł, podczas gdy Ffoulkes chichotał nieprzyjemnie.

Był to czas wzlotów i upadków rozchwianej gospodarki podatnej na najdziksze i zupełnie nieprzewidziane zmiany. Jak zwykle podstawę stanowiły roboczogodziny. Ale co w teorii wydawało się skuteczne, w praktyce wyglądało inaczej. Roboczogodziny przerobione przez młyn kultury społecznej przybierały dziwaczne formy. Było to zasługą nauki - nauki zniewolonej.

Rabunkowa gospodarka magnatów przemysłowych nasilała się. Wszyscy chcieli zdobyć monopol, ale ponieważ każdy walczył z każdym, więc wynikiem tego wszystkiego był wszechogarniający chaos. Każdy za wszelką cenę chciał się utrzymać na powierzchni, jednocześnie próbując pogrzyźć przeciwników. Nauka oraz rząd traciły kontrolę na rzecz Mocarstw, które w rzeczywistości były imperiami przemysłowymi, całkowicie

samodzielnymi i praktycznie samowystarczalnymi. Ich semantycy i propagandyści mieli pełne ręce roboty, mydląc ludziom oczy. Wszystko miało się poprawić w przyszłości - gdy Ballard albo Ffoulkes, All-Steel albo Unlimited Power zdobędą palmę pierwszeństwa. A tymczasem...

Tymczasem specjaliści pracujący dla magnatów-rabusiów, hojnie subwencjonowani, sabotowali gospodarkę. Było to na progu Rewolucji Naukowej charakteryzującej się, podobnie jak Rewolucja Przemysłowa, gwałtowną zmianą parametrów ekonomicznych. Kredyty All-Steel opierały się głównie na Procedurze Hallwella. Naukowcy z Unlimited Power wynaleźli lepszą, efektywniejszą metodę, która wyeliminowała Procedurę Hallwella. W rezultacie w All-Steel zapanowała panika, nastąpił krótki okres gorączkowych zmian, w trakcie których All-Steel ujawniło kilka tajnych patentów, dobierając się tym samym do skóry Ffoulkesowi, którego Emisja Obligacji Gatun oparta była na prawie podaży i popytu, automatycznie skorygowana przez nowe patenty All-Steel. Tymczasem każda ze spółek starała się przechytrzyć przeciwników. Każdy chciał zdobyć władzę nad pozostałymi. Gdyby taki dzień kiedyś nadszedł, miano nadzieję, że sytuacja ekonomiczna ustabilizowałaby się pod zwierzchnim nadzorem i nastalaby Utopia.

Struktura rozrastała się jak wieża Babel i oczywiście było to nieuniknione. Przestępczość dotrzymywała jej kroku.

Bo przestępczość była wygodnym narzędziem. Odżyły stare historie z „ochroną”. All-Steel płaciło gangowi Donnera niezłe sumy za „chronienie” ich interesów. Jeśli przypadkiem jeszcze chłopcy Donnera dokonywali rabunków osłabiających Ffoulkesa, Ballarda lub Unlimited Power to świetnie! Wystarczająca ilość spektakularnych kradzieży prowadziła do paniki, podczas której akcje przeciwników spadały na łeb na szyję, gwałtownie tracąc na wartości.

A jeśli ktoś się pogrążył, był zgubiony. Rekiny finansjery rozszarpały jego akcje, a on sam był potencjalnie zbyt niebezpieczny, by kiedykolwiek można mu było pozwolić ponownie dojść do władzy. Vae victis!

Ale diamenty były coraz rzadsze i jak na razie imperium Bruce’a Ballarda trzymało się mocno.

Robot był bezpłciowy, ale wyglądał na mężczyznę. Ballard i Gunther mówiąc o nim nigdy nie używali rodzaju nijakiego. Metalman Products jak zwykle spisali się dobrze, a Gunther wprowadził swoje ulepszenia.

Tak więc Argus przybył na zamek w celu poddania go estetycznemu warunkowaniu.

Niespodziewanie okazało się, że robot nie jest w aż tak złym guście, jak by można sobie wyobrazić. Był funkcjonalną, wyniosłą, symetryczną postacią ze złota nabijaną diamentami. Był wzorowany na uzbrojonym rycerzu o wzroście ponad dwóch metrów, z pancerzem z jasnego złota, złotymi nagolennikami i złotymi rękawicami, które wyglądały niezdarnie, lecz były wyposażone w niezwykle czułe zakończenia nerwowe. Jego oczy składały się z diamentowych soczewek, specjalnie wybranych ze względu na swoje własności refrakcyjne, więc Ballard nazwał go Argus.

Był olśniewająco piękny-postać z mitu. W jasnym świetle bardziej przypominał Apolla niż Argusa. Był bogiem, który zszedł na ziemię; złotym deszczem, który ujrziała Danae.

Gunther biedził się nad procedurą warunkowania. Poruszał się w gąszczu psychologicznych wykresów opracowanych w wyniku badań nad zwierzętami, których sposobem obrony była ucieczka. Automatyczne reakcje musiały być pod stałą, świadomą kontrolą logiki, by umożliwić działanie zdolnościom rozumowania, rozumowania opartego na instynkcie ucieczki. Wszystko oparte było na instynkcie samozachowawczym, a w mózgu robota był on wystarczająco mocno ugruntowany.

- A więc nie można go złapać - powiedział Ballard oglądając Argusa.

Gunther mruknął: - W jaki sposób? Automatycznie przyjmuje najlogiczniejsze rozwiązanie i momentalnie reaguje na każdą zmianę. Logika i superszybkie reakcje czynią z niego idealną uciekającą maszynę.

- Wprowadziłeś program standardowy?

- Oczywiście. Dwa razy dziennie wykonuje swoją turę po zamku. Nie opuści go pod żadnym pozorem - to zabezpieczenie. Gdyby komuś udało się wywabić Argusa na zewnątrz, mogłoby mu się udać złapać go w jakąś wymyślną pułapkę. Ale nawet gdyby zdobyto zamek, nigdy nie udałoby się nikomu utrzymać go na tyle długo, by unieruchomić Argusa. Od czego mamy systemy alarmowe?

- Jesteś pewien, że ten obchód to dobry pomysł?

- To ty tego chciałeś. Raz po południu, a raz w nocy, żeby wszyscy goście mogli go sobie obejrzeć. Jeśli natrafi podczas obchodu na jakieś niebezpieczeństwo, będzie umiał sobie z nim poradzić.

Ballard dotknął diamentów na pancerzu robota.

- Ciągle jeszcze chodzi mi po głowie możliwość sabotażu.

- Diamenty są dość wytrzymałe. Wytrzymują wysokie temperatury. A pod tą złotą blachą jest osłona, która wytrzyma działanie ognia i środków chemicznych, nie przez czas nieograniczony, ale wystarczająco długo, by Argus zdążył z tego skorzystać. Chodzi po prostu o to, że nie sposób jest unieruchomić Argusa na czas, który potrzebny byłby na jego zniszczenie. Jasne - można by go było poddać działaniu miotacza ognia, ale na jak długo? Po sekundzie byłby już daleko.

- Gdyby mógł. A gdy zostanie zapędzony w zaułek bez wyjścia?

- Jeśli tylko jest to możliwe, nie wchodzi w podejrzaną zakamarki. Jego radioaktywny mózg jest sprawny. Jest myślącą maszyną poświęconą tylko jednemu celowi - samoobronie.

- Hm...

- I jest silny - dorzucił Gunther. - Nie zapominajmy o tym. To ważne. Potrafi ciąć metal, jeśli tylko znajdzie punkt podparcia. Nie jest doskonały, oczywiście - gdyby był, musiałby być nieruchomy. Podlega zwyczajnym prawom fizyki. Ale doskonale się przystosowuje; jest niezwykle silny, ma zdolność bardzo szybkiego reagowania, jest w miarę wytrzymały. A w dodatku jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy są w stanie go unicestwić.

- To dobrze - powiedział Ballard. Gunther wzruszył ramionami.

- Możemy chyba zaczynać. Robot jest gotowy. - Dołączył jakiś drucik w złocistym korpusie. - Potrzeba około dwóch minut na to, żeby mechanizmy sterowe przejęły kontrolę. Teraz...

Potężna postać drgnęła. W jednej chwili robot oddalił się tak szybko, że jego nogi zaopatrzone w jasne, gumopodobne podeszwy prawie zamazywały się w ruchu. Znalazłszy się w bezpiecznej odległości, pozornie znieruchomiał.

- Staliśmy zbyt blisko - powiedział Gunther, oblizując wargi. - On reaguje na wibracje wysyłane przez nasze mózgi. Oto twoja świnka, Bruce!

Niewielki uśmiezek wypełził Ballardowi na usta.

- No tak... Sprawdźmy. - Podeszedł do robota. Argus cicho oddalił się.

- Spróbuj szyfru - zaproponował Gunther. Ballard powiedział cicho, prawie szepcząc:

- Nie wszystko złoto, co się świeci. - Ponownie zbliżył się do robota, ale reakcją była bezgłośna ucieczka w odległy kąt.

Zanim Ballard zdążył coś powiedzieć, Gunther mruknął: - Powiedz to głośniej.

- A jeśli ktoś podsłucha? To...

- No to co? Zmienisz hasło, a robiąc to, będziesz mógł na tyle zbliżyć się do Argusa, by uczynić to szeptem.

- Nie wszystko złoto, co się świeci - głos Ballarda nabrał siły. Tym razem, gdy podszedł do robota, rosła postać nie poruszyła się.

Ballard przycisnął zamaskowany guzik w złotym hełmie i wymruczał: - Perły ma, gdzie były oczy. - Ponownie użył guzika i robot umknął w przeciwny róg. - Tak, rzeczywiście, chyba wszystko gra.

- Nie stosuj takich prostych haseł - podsunął Gunther. - Co będzie, jeśli ktoś z twoich gości zacznie cytować Szekspira? Połącz kilka cytatów.

Ballard ponowił próbę:

- Co za blask strzelił tam z okna, przychodzę tu tylko oddać Cezarowi ostatnią pośmiertną przysługę - oto nadszedł czas wszystkich dobrych ludzi.

- Nikt nie powie czegoś takiego przez przypadek zauważył Gunther. - No dobra, wystarczy. Teraz idę się trochę zabawić. Potrzeba mi wycoczynku. Wypisz mi czek.

- Ile?

- Kilka tysięcy. Dam ci znać, jeśli będę potrzebował więcej.

- A co z wypróbowaniem robota?

- Jeśli chcesz, zajmij się tym sam. Wszystko jest w porządku.

- Dobra, weź ze sobą ochronę.

Gunther uśmiechnął się serdecznie i skierował się w stronę drzwi.

Godzinę później taksówka powietrzna wylądowała na dachu jednego z nowojorskich wieżowców. Wyłonił się z niej Gunther, mając po bokach dwóch roślących opiekunów. Ballard nie ryzykował utraty swojego współpracownika na rzecz któregoś z rywali. Podczas gdy Gunther płacił taksówkarzowi, detektywi skontrolowali swoje ręczne lokalizatory, wciskając czerwone guziki wystające z obudowy. W ten sposób co pięć minut meldowali, że wszystko w porządku. Jeden z nowojorskich ośrodków kontrolnych Ballarda odbierał meldunki, będąc przygotowanym na wysłanie w razie potrzeby natychmiastowego oddziału ratunkowego. Było to skomplikowane, ale skuteczne. Nikt inny nie mógł użyć lokalizatorów, gdyż codziennie zmieniano szyfr. W tej chwili instrukcja brzmiała: w ciągu godziny meldować co pięć minut, w ciągu drugiej - co osiem minut, w ciągu trzeciej - co sześć minut. A przy najmniejszej oznace niebezpieczeństwa można było natychmiast zaalarmować centralę.

Ale tym razem nie wszystko poszło jak należy. Gdy trzej mężczyźni weszli do windy, Gunther powiedział: - Sala Źródłana - oblizując się z lubością. Drzwi zamknęły się i gdy winda rozpoczęła swoją podróż w dół, gaz obezwładniający zaczął wypełniać małą kabinę. Jeden z detektywów zdołał wcisnąć guzik alarmowy na swoim lokalizatorze, ale był już nieprzytomny, gdy winda zwalniała w suterenie. Gunther stracił przytomność, nie zdając sobie nawet sprawy, że zostali zagazowani.

Obudził się przykuty do metalowego fotela. Pokój nie miał okien, a na jego twarz skierowano światło reflektora. Poruszył niechętnymi powiekami, zastanawiając się, ile czasu był nieprzytomny. Ściągając brwi, wykręcił ramię i usiłował spojrzeć na swój zegarek.

Cienie dwóch mężczyzn zarysowały się poza światłem lampy. Jeden z nich miał na sobie fartuch lekarski. Drugi był drobnym człowieczkiem o rudych włosach i zaciętej, pomarszczonej twarzy.

- Cześć, Ffoulkes - powiedział Gunther. - Oszczędziłeś mi kaca.

Człowieczek zachichotał. - No, nareszcie nam się udało, Bóg jeden wie, jak długo próbowałem wyrwać cię z rąk ludzi Ballarda.

- Jaki dzisiaj dzień?

- Środa. Byłeś nieprzytomny przez około dwadzieścia godzin.

Gunther zmarszczył brwi.

- No więc mów, o co chodzi?

- W porządku, zacznę, jeśli chcesz. Czy diamenty Ballarda są sztuczne?

- Chciałbyś wiedzieć, co?

- Dostaniesz wszystko, czego zapragniesz, jeśli tylko zdradzisz Ballarda.

- Nie śmiałybym - powiedział Gunther otwarcie. Nie musiałbyś wcale dotrzymywać słowa.

Gdybym coś powiedział, byłoby bardziej logicznie potem mnie usunąć.

- A więc będziemy musieli użyć skopolaminy. - To nie poskutkuje. Jestem uodporniony.

- Lester, spróbuj mimo wszystko!

Człowiek w białym fartuchu podszedł do Gunthera i zręcznie wbił igłę w jego ramię. Po chwili wzruszył ramionami.

- Całkowita odporność. To na nic, panie Ffoulkes. Gunther uśmiechnął się. - No i co?

- A gdybym spróbował tortur?

- Myślę, że nie odważysz się. Tortury i morderstwo to najcięższe zbrodnie.

Człowieczek szamotał się nerwowo po pokoju.

- Czy sam Ballard umie wytwarzać te diamenty, czy tylko ty?

- Błękitna Wróżka je robi - odparł Gunther. - Ma magiczną różdżkę.

- W porządku. Na razie zrezygnujemy z tortur, wypróbujemy tylko twoją odporność. Będziesz otrzymywał jedzenie i picie, ale zostaniesz tu do czasu, aż zdecydujesz się mówić. Po miesiącu stanie się to nudne.

Gunther nie odpowiedział i dwaj mężczyźni wyszli. Minęła godzina, potem następna.

Lekarz w białym fartuchu wniósł tacę i sprawnie nakarmił więźnia. Gdy wyszedł, Gunther ponownie spojrzał na zegarek. Wyraz z troskaniem pojawił się na jego twarzy.

Stawał się coraz bardziej niespokojny.

Zegarek wskazywał 9.15, gdy podano następny posiłek. Tym razem Gunther odczekał, aż lekarz wyjdzie, a następnie wydobył widelec, który udało mu się ukryć w rękawie. Miał nadzieję, że jego brak nie zostanie od razu zauważony. Potrzebował tylko kilka minut, bo znał budowę tych elektromagnetycznych foteli więziennych. Gdyby tylko zdołał spowodować krótkie spięcie...

Nie było to zbyt trudne, mimo iż ramiona Gunthera spętane były metalowymi klamrami. Znał położenie przewodów. Po chwili rozległ się cichy trzask, a Gunther zaklął od bólu w osmalonych palcach. Ale klamry zsunęły się z jego ramion i nóg.

Wstał, ponownie spoglądając na zegarek. Z nachmurzoną miną zaczął przeszukiwać pokój, aż znalazł to, czego chciał - klawisze okienne. W miarę jak je naciskał, w pustych ścianach zaczęły rozsuwać się osłony, ukazując światła nowojorskich wieżowców.

Gunther obejrzał się na drzwi. Następnie otworzył okno i spojrzał w dół. Wysokość była oszałamiająca, ale występ w ścianie dawał możliwość ucieczki. Gunther przeszedł przez parapet i skierował się na prawo, posuwając się aż do momentu napotkania następnego okna. Było zamknięte. Niezdecydowany spojrzał w dół. Poniżej był kolejny występ, ale nie był pewien, czy mu się uda. Zamiast tego skierował się do następnego okna.

Zamknięte. Ale następne było już otwarte. Gunther zbadął wzrokiem ciemności. Dostrzegł duże biurko i odbłask teleekranu. Westchnąwszy z ulgą wgramolił się do gabinetu, ponownie zerkając na zegarek.

Podszedł od razu do ekranu i wystukał numer. Gdy na ekranie pojawiła się twarz mężczyzny, Gunther powiedział tylko: - Melduję się. Wszystko w porządku - i rozłączył się. Jego świadomość zanotowała delikatny trzask.

Następnie połączył się z Ballardem, ale zgłosił się sekretarz zamku.

- Gdzie jest Ballard?

- Tu go nie ma. Czy mogę...

Gunther zbladł, przypomniał sobie trzask, który poprzednio usłyszał. Na próbę przerwał połączenie i sytuacja powtórzyła się. Ballard...

- Do diabła! - szepnął Gunther. Wrócił do okna i wyszedł na zewnątrz. Następnie zawisnął na rękach i rozluźnił uchwyt. O mały włos byłby nie trafił na występ piętro niżej. Zdarł sobie skórę z palców, przez dłuższą chwilę walcząc o uchwyt.

Ale w końcu udało się. Kopnięciem utorował sobie drogę przez okno, nurkując w ciemność w brzęku szkła. Tu nie było teleekranu. Ale w przeciwległej ścianie majaczył zarys drzwi.

Gunther uchylił je i dojrzał to, czego szukał. Włączył lampę i przetrząsnął szuflady, upewniając się, że tym razem pomieszczenie wolne jest od podsłuchu. Następnie podszedł do monitora i wystukał ten sam numer co poprzednio. Nikt się nie zgłosił.

Gunther zaklął w duchu i przeprowadził następną rozmowę.

W momencie, gdy przerywał połączenie, wszedł człowiek w fartuchu chirurga i przestrzelił mu głowę.

Człowiek przypominający Ffoulkesa usuwał z twarzy resztki charakteryzacji. Podniósł wzrok na dźwięk powrotu lekarza.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Idziemy.

- Czy zlokalizowali do kogo dzwonił Gunther?

- To już nie nasza sprawa. Chodźmy.

Siwy mężczyzna starannie przywiązany do krzesła zaklął, gdy igła strzykawki przekłuła mu skórę. Ballard odczekał minutę, następnie ruchem głowy odprawił dwóch stojących za nim strażników:

- Wynoście się.

Gdy wyszli, Ballard zwrócił się do więźnia.

- Gunther miał się z tobą kontaktować codziennie. W razie, gdyby kiedyś tego nie uczynił, miałeś ogłosić pewną wiadomość, którą ci przekazał. Gdzie ona jest?

- Gdzie jest Gunther? - spytał siwowłosey mężczyzna. Jego głos był niecierpliwy, przechodząc w bełkot w miarę, jak skopolamina zaczynała działać.

- Gunther nie żyje. Zaażonałem to wszystko w ten sposób, by wywołał cię przez aparat na podsłuchu. Następnie sprawdziłem z kim się łączył. No a teraz, gdzie jest ta wiadomość?

Trwało to jeszcze kilka minut, ale w końcu Ballard odkręcił wydrążoną nogę stołową i wyjął starannie zaplombowaną rolkę taśmy magnetofonowej.

- Czy wiesz, co w tym jest?

- Nie, nie nie...

Ballard podszedł do drzwi.

- Zlikwidować go - rozkazał strażnikom. Czekał, aż rozległ się stłumiony strzał, wtedy odetchnął z głęboką ulgą.  
Nareszcie był bezpieczny.

Barney Ffoulkes wezwał szefa personelu.

- Dowiedziałem się, że robot Ballarda jest już gotowy. Przyciśnij go do muru. Zmusz go do upłynnienia kapitałów. Zawiadom chłopców Donnera o robocie.

Twarz Dangerfielda nie wyrażała niczego, gdy gestem dał do zrozumienia, że zrozumiał polecenie.

To, co Gunther nazwał termodynamicznym patentem Caina, było w rzeczywistości czymś innym, jak wykazał zapis na taśmie. Brzmiał on: „McNamara. Proces Skręcania. Patent nr R-735-V-22”. Ballard zanotował to w swojej pojemnej pamięci i sam odszukał patent. Uważał, że ma wystarczające kwalifikacje naukowe, by samemu rozpracować szczegóły. Poza tym maszyny Gunthera do wyrobu diamentów były już zainstalowane w laboratorium na zamku. Ballard natychmiast natrafił na irytującą, choć niezbyt poważną przeszkodę. Pierwotny proces McNamary nie był przeznaczony do wytwarzania sztucznych diamentów. Była to metoda wywoływania pewnych fizycznych zmian w strukturze materii poprzez wykorzystanie procesu skręcania. Gunther zastosował metodę McNamary dla węgla i otrzymał diamenty. Ballard był pewien, że po pewnym czasie dojdzie do tego samego. W istocie zabrakło mu to dokładnie dwa tygodnie. Z chwilą, gdy rozgryzł zasadę nowego zastosowania, cała reszta poszła jak z płatka. Ballard zaczął wyrabiać diamenty.

Była jeszcze jedna trudność. Proces wyżarzania trwał niecały miesiąc. Gdyby węgiel usunięto z pieca przed upływem tego czasu, pozostałby zwykłym węglem. Dawniej Gunther zawsze trzymał pod ręką partię diamentów na wypadek nagłej potrzeby, ale teraz ten zapas został uszczuplony - większość kamieni poszła na pokrycie robota. Ale Ballard nie przejmował się. Za miesiąc...

Ffoulkes uderzył o wiele wcześniej. Zaangażował wszystkie swoje siły. Propaganda, kampania oszczerstw, ogłaszanie nowych patentów, które czyniły patenty Ballarda bezwartościowymi - wszystkie środki rozpętanej wojny ekonomicznej zostały skierowane przeciwko diamentowemu królowi. Akcje traciły na wartości. W niektórych kopalniach i fabrykach Ballarda wybuchały strajki. Nieoczekiwana wojna domowa zablokowała pewne afrykańskie akcje, którymi dysponował. Rozeszła się wieść, że imperium Ballarda załamuje się.

Rozwiązaniem były kredyty poparte gwarancjami. Diamenty stanowiły znakomitą rękojmię. Ballard nie oszczędzał swoich niewielkich zapasów, usiłując wzmocnić chwiejącą się budowlę, kupując na kredyt i stosując taktykę, która jak dotąd zawsze była skuteczna. Jego rzucająca się w oczy pewność siebie powstrzymała na jakiś czas nawałnicę. Ale nie na długo. Ffoulkes wymierzał następne ciosy - silne i nieubłagane.

Ballard wiedział, że przed upływem miesiąca będzie miał tyle diamentów, ile będzie potrzebował i wtedy odnowi swój kapitał.

A tymczasem...

Gang Donnera próbował ukraść Argusa. Nie znali możliwości robota. Argus uciekał z sali do sali, wyjąc na alarm, ignorując kule, dopóki Donnerowie nie uznali tego wszystkiego za

kiepski interes, próbując się wycofać. Ale do tego czasu zdążyła już przybyć policja i zostali ujęci.

Ballard był zbyt zajęty interesami, by móc się nacieszyć swoją zabawką. Historia z Donnerami nasunęła mu nowy pomysł. Szkoda będzie okaleczyć robota, ale diamenty można przecież zwrócić na miejsce później. A do czego służy bank, jeśli nie na wypadek nagłej potrzeby?

Ballard wyszukał gdzieś płócienną torbę i wszedł do pokoju robota, zamykając za sobą drzwi. Argus stał nieruchomo w kącie, jego nieodgadnione diamentowe oczy błyszczały. Ballard wyjął małe dłuto, pokręcił w zasmuceniu głową i powiedział zdecydowanym głosem: - Co za blask strzelił tam z okna...

Dokończył hasło i podszedł do robota. Argus bezszelestnie odsunął się.

Ballard wzruszył ramionami w zniecierpliwieniu. Powtórzył zdanie głośniej. Ile decybeli było koniecznych? Dość dużo...

Argus ciągle uciekał. Tym razem Ballard krzyczał najgłośniej, jak umiał.

A robot nadal wykonywał bez zarzutu program ucieczki. Zaczął działać automatyczny alarm. Ogłuszający ryk syreny wypełnił pomieszczenie.

Ballard zauważył, że ze szpary w pancerzu Argusa wystaje mała koperta. Machinalnie wyciągnął po nią rękę... i robot umknął.

Ballard wpadł w złość i zaczął podążać za Argusem po całym pokoju. Robot trzymał się w bezpiecznej odległości. Ostatecznie Argus, któremu obce było zmęczenie, wygrał wyścig.

Dysząc, Ballard otworzył drzwi i wezwał posiłki. Syrena alarmowa ucichła.

Gdy nadeszła służba, Ballard polecił otoczyć robota. Krąg ludzi stopniowo zaczął się zacieśniać, aż Argus, nie mogąc wycofać się w głąb samego siebie, wybrał najlogiczniejsze rozwiązanie i przeszedł przez żywy mur, niedbale odtrącając służących. Skierował się w stronę drzwi i przeszedł przez nie w trzasku pękającego mahoni. Ballard w milczeniu obserwował oddalającą się postać.

Przy zetknięciu z drzwiami koperta wysunęła się ze swojej skrytki i teraz Ballard podniósł ją. W środku znalazł krótki list:

Drogi Bruce!

Nie pozostawiam nic przypadkowi. O ile codziennie nie poddam Argusa pewnym regulacjom, będzie on reagował na inne hasło niż to, które ty mu podałeś. Ponieważ jestem jedynym facetem, który zna to hasło, będziesz miał dobrą zabawkę, łapiąc Argusa w wypadku, gdybyś poderznął mi gardło. Uczciwość popłaca.

Pozdrowienia - Joe Gunther

Ballard podarł kartkę na drobne kawałki. Odprawił służbę i ponownie ruszył za robotem, który znieruchomiał w przyległym pokoju.

Po chwili wyszedł i połączył się w Chicago ze swoją byłą żoną. - Jessie?

- Cześć - powiedziała Jessie. - O co chodzi?

- Słyszałaś o moim złotym robocie?

- Pewnie. Konstruuj ich sobie ile zechcesz, bylebyś tylko dalej płacił alimenty. Coś mi się obilo o uszy, że zostałeś na lodzie?

- To robota Ffoulkesa - powiedział ponuro Ballard. - Jeśli chcesz dalej dostawać swoje alimenty, wyświadczy mi przysługę. Chcę zarejestrować swojego robota na twoje nazwisko.

Za dolara podpiszę dokument stwierdzający, że stanowi on twoją własność. W ten sposób nie utracę robota, nawet jeśli zostanie ogłoszone bankructwo.

- Jest aż tak źle?

- Nie jest najlepiej, ale tak długo, jak mam robota, jestem bezpieczny. On jest wart kilka fortun. Oczywiście chcę, żebyś odsprzedała mi tego robota za dolara, ale ten dokument zachowamy w tajemnicy.

- To znaczy, że mi nie ufasz, Bruce?

- Nie, jeżeli w grę wchodzi robot nabijany diamentami - powiedział Ballard.

- W takim razie chcę dwóch dolarów. Muszę zarobić na tej transakcji. W porządku, zajmę się tym. Prześlij mi dokumenty, podpiszę je.

Ballard rozłączył się. Jedno przynajmniej załatwił. Robot był nieodwołalnie jego własnością i nawet Ffoulkes nie był w stanie mu go odebrać.

Nawet gdyby zbankrutował przed upływem miesiąca i przed otrzymaniem nowej partii diamentów, robot bardzo szybko postawiłby go znów na nogi. Najpierw trzeba było schwytać Argusa...

Tego dnia wielu ludzi chciało się z nim skontaktować. Chcieli gwarancji. Pośrednicy żądali wypłaty odszkodowań. Ballard gorączkowo manipulował swoimi akcjami, sprzedając, próbując rozpisywać pożyczki, samemu je zaciągając. Odwiedziło go dwóch otyłych mężczyzn zajmujących się udzielaniem kredytów na wysoki procent.

Słyszeli o robocie. Ale chcieli go zobaczyć.

Wyraz ich twarzy sprawił Ballardowi satysfakcję. - Na co ci jest potrzebny kredyt, Bruce?

Masz tutaj niezły majątek na tym stworze.

- Pewnie. Ale nie chcę go demontować. Więc wesprzecie mnie do pierwszego...

- Dlaczego do pierwszego?

- Dostanę wtedy nową przesyłkę diamentów. Wyższy z mężczyzn odchrząknął:

- Ten robot ucieka, nieprawdaż?

- Dlatego właśnie jest strażnikiem doskonałym. Dwaj pośrednicy wymienili spojrzenia.

- Czy moglibyśmy dokonać bliższych oględzin? - Podeszli bliżej, ale Argus uciekł.

Ballard pośpiesznie wyjaśnił: - Unieruchomienie go jest dosyć skomplikowane. Ponowne uruchomienie też jest uciążliwe. Te kamienie są bez zarzutu.

- Skąd możemy być pewni? Wyłącz zasilanie, cokolwiek go tam napędza. Chyba nie masz nic przeciwko temu, byśmy sobie go dokładnie obejrzeliby?

- Oczywiście, że nie. Ale to zabierze trochę czasu... - Coś mi to źle pachnie - mruknął jeden z pośredników. - Dostaniesz kredyt dowolnej wysokości, ale stanowczo żądam, byśmy mogli zbadać te diamenty. Daj mi znać, gdy będziesz gotowy.

Obaj wyszli, a Ballard zaklął w duchu. Teleekran w kącie, zamigotał. Ballard nie kwapił się z odpowiedzią - doskonale wiedział, jaki będzie cel rozmowy. Gwarancje...

Ffoulkes szykował się do decydującego uderzenia. Ballard zacisnął szczęki. Popatrzył z furią na robota, obrócił się na pięcie i wezwał swojego sekretarza. Szybko wydał kilka poleceń.

Sekretarz, elegancki młody człowiek o jasnych włosach i wiecznie zatroskanym wyrazie twarzy, ruszył do akcji. Teraz on z kolei wydał polecenia. Do zamku zaczęli schodzić się ludzie - robotnicy i technicy.

Ballard zasięgnął rady fachowców. Żaden z nich nie był w stanie zaprogramować niezawodnego sposobu unieruchomienia robota. Ale byli nastawieni niezwykle optymistycznie. Żądanie schwymania robota nie wydawało im się trudne. - Miotacze ognia? Ballard rozważył to.

- Pod złotym pancerzem jest osłona stopowa.

- A gdybyśmy zdołali utrzymać go w rogu przez pewien czas i zniszczyć płomieniami jego mózg? To powinno poskutkować.

- Spróbujcie. Mogę sobie pozwolić na stratę kilku diamentów, jeśli będę miał pewność, że odzyskam resztę. Ballard przyglądał się, jak sześciu mężczyzn uzbrojonych w miotacze ognia zapędza Argusa do rogu. W końcu ostrzegł ich: - Jesteście już wystarczająco blisko. Nie podchodźcie bliżej, bo przedrze się przez wasze szyki.

- Tak jest, szefe. Gotowi? Trzy... Cztery...

Z wszystkich dysz jednocześnie wytrysnął ogień. Płomienie potrzebowały pewnego czasu, by dotrzeć do głowy robota - może ułamek sekundy. Zanim to się stało, Argus schylił się i znalazłszy się poza zasięgiem ognia, zaczął uciekać ze swojego rogu. Kuląc się, z wyjąca

syreną przedarł się przez ludzi. Umknął do przyległego pokoju i ponownie zastygł w ukontentowanym bezruchu.

- Spróbujcie jeszcze raz - powiedział Ballard ponuro, ale wiedział już, że nic z tego nie będzie. I rzeczywiście. Reakcje robota były natychmiastowe. Nikt nie był w stanie wystarczająco szybko wycelować, by trafić Argusa. Zniszczono za to pokaźne ilości cennych mebli.

Sekretarz dotknął ramienia Ballarda: - Jest już prawie druga.

- Co? Ach, tak. Zwolnij ludzi, Johnson. Czy zapadnia jest już gotowa?

- Tak jest, szefie.

Robot nagle odwrócił się i skierował do drzwi. Nadszedł czas na pierwszy z jego codziennych obchodów zamku. Ponieważ trasa była ustalona i ani na krok nie zbaczał z wyznaczonego kursu, łatwo było zastawić pułapkę. Ballard i tak nie spodziewał się, że miotacze ognia poskutkują.

Razem z Johnsonem szedł za Argusem, który powoli mijał zabytkowe komnaty zamkowe.

- Jego ciężar uruchomi zapadnię i robot wpadnie do pokoju poniżej. Czy może się stamtąd wydostać?

- Nie, szefie. Ściany są specjalnie zbrojone. Nie wyśliznie się.

- To powinno wystarczyć.

- Ale... hm... czy nie będzie stosować uników w samym pokoju?

- Może próbować - odpowiedział Ballard ponuro dopóki nie zaleję go szybko wiążącym betonem. To unieruchomi skurczybyka. Później z łatwością przewiercimy się przez beton i odzyskamy diamenty.

Johnson uśmiechnął się niepewnie. Trochę obawiał się potężnego, błyszczącego robota.

- Jaką szerokość ma pułapka? - spytał nagle Ballard. - Trzy metry.

- Dobra. Wezwij ludzi z miotaczami ognia. Powiedz im, żeby szli tuż za nami. Jeśli Argus sam nie wpadnie w pułapkę, postaramy się go tam wpędzić.

Johnson zawahał się.

- A czy nie przedrze się on po prostu przez naszych ludzi?

- Zobaczymy. Ustaw ludzi po obu stronach zapadni, tak, żeby Argus był otoczony. Szybko!

Sekretarz popędził wykonać polecenia. Ballard nadal podążał za robotem od pokoju do pokoju. W końcu zjawił się Johnson z trójką mężczyzn z miotaczami ognia. Pozostali rozstawili się w celu oskrzydlenia robota.

Skręcili w korytarz. Był wąski ale długi. W połowie korytarza znajdowała się zapadnia zamaskowana kosztownym bucharskim dywanem. W pewnej odległości Ballard zobaczył trzech mężczyzn z przygotowanymi miotaczami, czekających na zbliżającego się robota. Już za kilka minut pułapka zostanie uruchomiona.

- Zaczynajcie, chłopcy - rozkazał w nagłym porywie. Zespół trzech kroczących przed nim ludzi spełnił rozkaz. W dyszach ich miotaczy pojawiły się płomienie.

Robot przyspieszył kroku. Ballard przypomniał sobie, że posiada on oczy z tyłu głowy. No, ale teraz na nic mu się nie przydadzą. Ten dywan...

Złota stopa zaczęła opadać. Robot zaczął przerzucać na nią swój ciężar i nagle zastygł w bezruchu, gdy jego wyczulone zmysły ostrzegły go o różnicy sprężystości powierzchni pomiędzy podłogą a zapadnią. Zanim zapadnia zdążyła opaść, Argus wycofał nogę i stanął nieruchomo na skraju dywanu. Płomienie wystrzeliły w kierunku jego pleców. Ballard krzyżąc wydał jakiś rozkaz.

Trzej mężczyźni po drugiej stronie zapadni ruszyli biegiem do przodu, uruchamiając miotacze. Robot ugiął nogi, przesunął swój środek ciężkości i skoczył. Jak na skok z miejsca, było to niezłe osiągnięcie. Ponieważ Argus doskonale panował nad każdym swoim ruchem, a ponadto jego metalowe ciało było zdolne do wysiłków nieosiągalnych dla człowieka o tej

samej wadze, pokonał trzymetrowy otwór z kilkunastocentymetrowym zapasem. Powitały go płomienie.

Argus poruszał się szybko, bardzo szybko. Jego nogi zamazywały się w tym ruchu. Nie zwracając uwagi na płomienie liżące mu ciało, podbiegł do trzech mężczyzn, a następnie minął ich. Potem zwolnił do swojego normalnego tempa i powoli ruszył dalej. Ballard uświadomił sobie ryk syreny dopiero wtedy, gdy ucichła.

Dla Argusa niebezpieczeństwo minęło. Tu i ówdzie na jego metalowym ciele złoto nadtopiło się, tworząc nieregularne zgrubienia. To wszystko.

Johnson przełknął ciężko.

- Musiał zobaczyć tę pułapkę.

- Wyczuł ją - wykrztusił z wściekłością Ballard. Do diabła! Gdybyśmy tylko zdołali unieruchomić go na chwilę i w tym czasie zalać betonem...

Wypróbowali to godzinę później. Strop pokryty metalem zawalił się na robota, strop z metalowej siatki, przez którą można by wylać masę betonową. Ballard rozkazał wypełnić pomieszczenie położone wyżej płynnym betonem, tak by strop zawalił się pod rosnącym ciężarem. Robot był poniżej ...

Był poniżej. Różnica w ciśnieniu powietrza ostrzegła Argusa i wiedział jak zareagować.

Rzucił się do drzwi i uciekł, pozostawiając za sobą straszliwy nieład.

Ballard zaklął. - Nie możemy go zalać betonem, jeśli jest uczulony na zmiany w ciśnieniu powietrza. Do diabła, już nie wiem, co robić. Musi przecież być jakiś sposób. Johnson! Połącz mnie z Plastic Products, szybko!

Po chwili Ballard konferował już na osobności i z przedstawicielem Plastic Products.

- Nie całkiem rozumiem. Szybkoschnący cement...

- Który można wytryskiwać na odległość i który by gęstniał po zetknięciu się z robotem. O to mi chodzi.

- Jeśli będzie sechł tak szybko, to wystarczy samo zetknięcie z powietrzem. Myślę, że mamy prawie to, o co panu chodzi. Niezwykle wytrzymała po wyschnięciu cementopodobna ciecz, twardniejąca pół minuty po zetknięciu z powietrzem.

- To powinno odnieść skutek. Tak... Kiedy... - Jutro rano.

Następnego ranka Argusa zapędzono do jednego z obszernych, parterowych hallów. Krąg trzydziestu ludzi otoczył robota. Każdy z nich wyposażony był w pojemnik wypełniony szybkoschnącą cementopodobną cieczą. Ballard i Johnson przypatrywali się z boku.

- Robot jest dość silny, szefie - ośmielił się powiedzieć Johnson.

- Ta ciecz też. Jej ilość dokona reszty. Będą go tym świństwem oblewać tak długo, aż znajdzie się w czymś w rodzaju kokonu. Bez punktu podparcia nie będzie się mógł wydostać. Jak mamut uwięziony w oblodzonej jamie. Johnson wciągnął powietrze.

- To jest pomysł. Jeśli to nie poskutkuje, może mógłbym...

- Nie trudź się - powiedział Ballard. Obejrzał się dookoła. Przy każdej parze drzwi również stała grupa ludzi uzbrojonych w pojemniki.

W środku sali stał niewzruszony Argus czekając, Ballard dał znak i z trzydziestu pozycji dookoła robota wytrysnęły strumienie cieczy, zbiegając się na jego złotym korpusie.

Syrena zawyła ogłuszająco. Argus zaczął się obracać. To wszystko. Jedynie obracał się. Ale szybko!

Był maszyną i posiadał niesamowitą siłę. Wirował wokół swojej podłużnej osi - błyszcząca, gorejąca, lśniująca plama światła, na której trudno było utrzymać wzrok. Był jak miniaturowa Ziemia wirująca w przestrzeni - ale Ziemia posiada grawitację. Siła grawitacji Argusa była znikoma. Istniała jednakże siła odśrodkowa.

To było jak rzucanie jajkiem w wentylator. Strumienie cieczy uderzały w Argusa i rozpryskiwały się na boki, odrzucone siłą odśrodkową.

Ballard dostał kawałkiem stwardniałego materiału w brzuch. Był już na tyle stwardniały, by sprawić ból. Argus dalej wirował. Tym razem nie próbował uciekać. Ryk syreny nadal rozdzierał powietrze. Mężczyźni, oblepieni twardniejącą cieczą, jeszcze przez chwilę nie ustawali w swoich wysiłkach.

Ale materiał przylepiał się do nich po odbiciu się od robota. Twardniał coraz bardziej. Po chwili wszystko to zaczęło raczej przypominać scenę obrzucania się kremówkami z komedii Macka Sennetta.

Ballard zaczął wydawać polecenia, ale w piekielnym hałasie nikt go nie usłyszał. Zresztą powoli wszyscy zaczęli sami odczuwać beznadziejność sytuacji. To oni, a nie Argus, zostali unieruchomieni.

Syrena zaczęła ucichać. Argus zwolnił tempo obrotów, aż w końcu zatrzymał się. Zagrożenie ustało.

Cicho wyszedł z pomieszczenia. Nikt nie próbował mu przeszkadzać

Jeden z mężczyzn o mało co nie udusił się, zanim usunięto z jego ust i nosa kawałki stwardniałego materiału. Oprócz tego nikt poważnie nie ucierpiał - poza nerwami Ballarda. Następny eksperyment zaproponował Johnson. Lotne piaski unieszkodliwią wszystko. Trudno było przenieść lotne piaski na zamek, ale użyto substytutu - lepkiej, smolistej brei, którą wlane do zmontowanego na poczekaniu pojemnika o szerokości ośmiu metrów. Pozostało tylko zapędzić tam Argusa.

- Pułapki są bezcelowe - powiedział posępnie Ballard. - Może przeciągniemy drut, żeby wytrącić go z równowagi...

- Myślę, że zareagowałyby na to natychmiast, szefie sprzeciwił się Johnson. - Jeśli mogę coś zaproponować nie powinno być trudności z zapędzeniem Argusa do zbiornika, jeśli tylko znajdzie się w korytarzu, który do niego prowadzi.

- Ale jak to zrobić? Znowu stosując miotacze ognia? Automatycznie unika większego niebezpieczeństwa. Jeśli natrafi na zbiornik, odwróci się i pójdzie w przeciwnym kierunku. Przedrze się przez ludzi.

- Jego siła jest ograniczona, nieprawdaż? - spytał Johnson. - Nie mógłby ominąć czołgu.

Ballard nie od razu zrozumiał w czym rzecz. - Miniaturowy traktor? Ale nie za mały - niektóre z korytarzy na zamku są dość szerokie. Gdybyśmy mieli czołg, który byłby na tyle szeroki, żeby wypełnić hall - moglibyśmy przy jego pomocy zapędzić Argusa w lotne piaski... Dokonano pomiarów i dostarczono na zamek potężny traktor. Wypełniał korytarz, nie zostawiając po bokach żadnej szpary - w każdym razie, mogącej pomieścić robota. Z chwilą znalezienia się w tym konkretnym korytarzu, Argus będzie mógł poruszać się tylko w jednym kierunku.

Johnson podsunął myśl, by zamaskować traktor tak, aby wrażliwy mózg robota nie uznał go za coś godnego szczególnej uwagi, jako potencjalne zagrożenie. Maszyna była jednak w każdej chwili gotowa do natychmiastowego zablokowania korytarza.

Sztuczka prawdopodobnie by się udała, gdyby nie jedna trudność. Konsystencja sztucznych lotnych piasków została starannie wyliczona. Substancja musiała być na tyle rzadka, by pogrążyć robota i na tyle gęsta, by stał się on bezsilny. Argus potrafił swobodnie poruszać się pod wodą, jak przekonano się kilka dni temu w jednej z wcześniejszych, nieudanych prób.

Tak więc mieszanina posiadała napięcie powierzchniowe, ale zbyt małe, by utrzymać Argusa na powierzchni. Wpędzenie robota do korytarza odbyło się bez kłopotów, a traktor ruszył za nim, blokując odwrót. Toczył się ociężałe tuż za Argusem. Robot wydawał się nieporuszony. Gdy doszedł do krawędzi zbiornika, schylił się i złotą ręką sprawdził konsystencję substancji. Następnie położył się na brzuchu, z nogami zgiętymi jak u żaby i stopami mocno opartymi o jedną ze ścian, wychylając się nad lotnym piaskiem, odepchnął się mocno.

Gdyby Argus wkroczył do mazi na nogach, pogrążyłby się w niej. Ale teraz jego ciężar rozłożony był na znacznie większej powierzchni. Nie wystarczyło to, by mógł się utrzymać

przez dłuższy czas, ale jego cel został osiągnięty - po prostu nie miał czasu na to, by zatonać. Argus ślizgał się po powierzchni jak skif albo wóz żaglowy. Jego początkowe, potężne odepchnięcie się nadało mu wystarczający rozpęd. Żaden człowiek nie byłby w stanie tego dokonać, ale Argus, ważąc więcej od człowieka, był nieproporcjonalnie silniejszy.

Wystrzelił więc, przecinając zbiornik, podtrzymywany napięciem powierzchniowym i niesiony siłą rozpędu. W końcu lotny piasek powstrzymał jego ruch i Argus zaczął grzęznąć, ale teraz mocarne ręce dosięgnęły już swojego celu - drugiej krawędzi zbiornika. W tym miejscu w murze znajdowały się drugie drzwi, a Ballard i Johnson stali na progu, obserwując przebieg sytuacji.

Uskoczyli, zanim Argus zdążył ich stratować w swojej odruchowej ucieczce przed niebezpieczeństwem.

Zanim wysechł, robot pobrudził kleistą mazią ponad tuzin kosztownych dywanów. Jego blask został nieco przygłuszony. Ale zdolności pozostały niezmiennione.

Ballard spróbował jeszcze raz tej sztuczki, z większym zbiornikiem i gładkimi ścianami, o które robot nie mógłby się oprzeć. Ale Argus uczył się na błędach. Zanim zdecydował się wejść w jakiś korytarz, sprawdzał, czy w okolicy nie ma jakichś traktorów. Ballard umieścił traktor w przyległym pomieszczeniu, by Argus nie mógł go zobaczyć. Nakłaniano go do wejścia na korytarz, ale wybiegał natychmiast, gdy tylko usłyszał ruszający traktor. Argus miał doskonały słuch.

- No więc... - powiedział z powątpiewaniem Johnson. Ballard poruszał bezgłośnie wargami.  
- Cóż? Każ zmyć to świństwo z Argusa. To ma być przecież główna atrakcja dla naszych gości!

Johnson spojrział za oddalającym się Ballardem. Jego brwi uniosły się pytająco.

Ballard miał ciężką przeprawę przy teleekranie. Jego wrogowie zaciskali śmiertelny krąg. Gdyby tylko nadszedł koniec miesiąca i nowa partia diamentów! Jego akcje były praktycznie bezwartościowe. A ten przeklęty robot posiadał klucz do wszystkiego!

Wydał kilka poleceń i powędrował na górę, do pomieszczenia Argusa. Robot, niedawno wyczyszczony, stał przy oknie w blasku słońca - postać niewiarygodnej piękności. Ballard zauważył swoje własne odbicie w pobliskim lustrze. Odruchowo wyprostował się. .

Był to wyjątkowo daremny gest. Milcząca obecność Argusa działała jak wyrzut. Ballard spojrział na robota.

- Niech cię diabli wezmą! - powiedział.

Spod przyłbicy kamienna twarz Argusa spoglądała na niego lekceważąco. Kaprys kazał Ballardowi wymodelować robota na kształt rycerza. Teraz jakoś ten pomysł nie wydawał mu się dobry.

Długo tłumiony kompleks niższości Ballarda zaczął dawać znać o sobie.

Złocisty rycerz stał przed nim - wyniosły, piękny, potężny. W jego milczeniu było dostojeństwo. Jest maszyną, powtarzał sobie Ballard, jedynie maszyną stworzoną przez człowieka. Z pewnością przewyższam maszynę.

Ale nie przewyższał.

W pewnych wyznaczonych granicach robot był inteligentniejszy od niego. Był bezpieczny, gdyż nie można go było zniszczyć. Posiadał bogactwo - był bogactwem. Midas uwolniony od swojej klątwy. I był piękny. Spokojny, olbrzymi, całkowicie ufny w swoje siły Argus stał i ignorował Ballarda.

Gdyby tylko było to możliwe, Ballard prawdopodobnie zniszczyłby teraz robota. Byleby tylko ta przeklęta kreatura go nie ignorowała! Niszczył jego życie, jego potęgę, jego imperium i czynił to nieświadomie. Złośliwości i nienawiści Ballard potrafiłby stawić czoła; jak długo człowiek jest wystarczająco ważny, by go nienawidzić, nie jest jeszcze przegrany. Ale dla Argusa Ballard po prostu nie istniał.

Światło słoneczne raziło w oczy, odbijając się w złotym pancerzu. Nieruchome powietrze pokoju rozjarzyło się tęczowym, diamentowym blaskiem. Ballard nie zdawał sobie sprawy, że usta wykrzywił mu ohydny grymas.

Potem wypadki potoczyły się już błyskawicznie. Najbardziej godnym uwagi była konfiskata zamku - wynik postępującego w zastraszającym tempie ekonomicznego upadku Ballarda. Musiał się wynieść. Przedtem zaryzykował jeszcze otwarcie pieca do wyżarzania nowych diamentów, na tydzień przed terminem. Ale znalazł tam tylko bezużyteczny węgiel. Nie miało to już większego znaczenia, bo po tygodniu i tak cały zamek wraz z zawartością nie należałby już do niego.

Oprócz robota. Był nadal jego własnością, lub ściślej, formalnie należał do jego byłej żony. Dokumenty podpisane przez niego oraz Jessicę były legalne i nie do podważenia. Ballard uzyskał orzeczenie sądowe uprawniające go do wstępu na zamek w dowolnym momencie, gdyby chciał zabrać swojego robota. Gdyby tylko znalazł jakiś sposób, by unieruchomić Argusa i odzyskać diamenty.

Z czasem być może wpadnie na jakiś pomysł. Może, może...

Ffoulkes wezwał Ballarda na naradę, pod pozorem zaproszenia na obiad. Przez jakiś czas rozmawiali o neutralnych sprawach, ale oczy Ffoulkesa błyszczały ironicznie. W końcu powiedział:

- Jak sobie dajesz radę z tym swoim robotem, Bruce?

- Nieźle. - Ballard był ostrożny.

- Dlaczego?

- Zamek skonfiskowano, prawda?

- Zgadza się. Ale mogę zabrać robota w każdej chwili. Sąd orzekł na moją korzyść - wyjątkowe okoliczności.

- Myślisz, że zdołasz złapać tę maszynkę, Bruce? Gunther to był niezwykle bystry facet. Jeśli zrobił tego robota nieuchwytnym, to założę się, że nie będziesz w stanie go złapać. Chyba, że znasz hasło.

- Ja... - Ballard urwał. Jego oczy zmieniły się. A skąd ty wiesz...

- Że potrzebne jest hasło? Gunther połączył się ze mną tuż przed swoim... hm... niefortunnym wypadkiem. Podejrzewał, że chcesz go zabić. Nie znam wszystkich szczegółów tej sprawy, ale w każdym razie rozmawialiśmy tamtego wieczoru. Powiedział tylko, że mam ci przekazać hasło, ale dopiero, gdy nadejdzie odpowiednia chwila. Gunther był dość dalekowzroczny.

- Znasz hasło? - bezbarwnym tonem zapytał Ballard.

Ffoulkes pokręcił głową: - Nie.

- O co tu właściwie chodzi?

- Gunther powiedział tak: „Przekaż Ballardowi, że hasłem będzie to, co znajdzie na taśmie - nazwisko i numer patentu dotyczącego wyrobu sztucznych diamentów”.

Ballard zlustrował swoje paznokcie. Taśmy. Ta, którą zdobył dopiero po oszukaniu i zabiciu Gunthera. Ta informacja istniała teraz już tylko w jego pamięci - „McNamara. Proces Skręcania. Patent nr R-735-V-22”.

Gunther musiał zaprogramować przed śmiercią robota, by reagował na ten ciąg słów..

- Skończyłeś? - spytał Ffoulkes.

- Tak - Ballard wstał i zgniótł swoją serwetkę.

- Ja płacę... Jeszcze jedna sprawa, Bruce. Byłoby dla mnie niezwykle korzystnie, gdyby diamenty stały się bezwartościowe. Sprzedałem wszystkie swoje akcje diamentowe, ale wielu moich rywali posiada udziały w afrykańskich kopalniach. Gdyby teraz na rynku zapanowało zamieszanie, byłoby mi to bardzo na rękę.

- No i co?

- Czy nie podałbyś mi numeru tego patentu?

- Nie.

- Tak myślałem - westchnął Ffoulkes. - No, to do widzenia. Ballard zarekwirował opancerzony wóz i wynajął tuzin strażników. Pojechał na zamek. Funkcjonariusz na bramie przepuścił go bez zbędnych formalności.

- Chce pan wjechać?

- Mam zezwolenie...

- Tak, wiem o tym. Proszę przejeżdżać. Przyjechał pan zabrać robota?

Ballard nie odpowiedział. Zamek wydał mu się teraz obcy. Zaszły w nim znaczne zmiany - usunięto dywany i obrazy, wyniesiono meble. Nie należał już do niego.

Spojrzał na zegarek. Pięć po drugiej. Argus rozpoczął swój obchód. Wielki hall...

Ballard skierował się w tamtym kierunku. Kątem oka dostrzegł, jak złota postać wchodzi do hallu, by rozpocząć swoją codzienną wędrówkę. Z tyłu szło dwóch mężczyzn, w bezpiecznej odległości. Byli to strażnicy policyjni.

Ballard skierował się w ich stronę.

- Jestem Bruce Ballard.

- Tak jest.

- Co... co, do diabła! Ty jesteś przecież Dangerfield, szef personelu Ffoulkesa! Co...

Twarz Dangerfielda nie zmieniła wyrazu.

- Zostałem tu przysłany jako specjalny wysłannik. Władze doszły do wniosku, że twój robot jest zbyt cenny, by zostawić go niestrzeżonego. Mamy instrukcje, by go mieć bez przerwy na oku.

Ballard na chwilę znieruchomiał. Wreszcie powiedział:

- No dobrze, zadanie wykonaliście. Zabieram robota.

- Tak jest.

- Możecie odejść.

- Przykro mi, ale dostałem rozkaz, aby ani przez chwilę nie pozostawić robota niestrzeżonego.

- To Ffoulkes wydał ci takie polecenie - powiedział Ballard, nie całkiem panując nad swoim głosem.

- Słucham?

Ballard spojrzał na drugiego strażnika. - Też jest człowiekiem Ffoulkesa?

- Słucham? Dangerfield powiedział:

- Ma pan pełne prawo w każdej chwili zabrać stąd robota, ale dopóki pozostaje on na terenie zamku, nie wolno nam spuszczać z oka tych diamentów.

Podczas tej wymiany zdań nadal szli za Argusem. Teraz robot przeszedł do następnej sali, kontynuując swój powolny obchód. Ballard wyprzedził go i zasłaniając dłonią usta, szepnął:

- McNamara. Proces Skręcania. Patent nr R-735-V-22. Robot nie zatrzymał się.

Dangerfield powiedział: - Będzie pan to chyba musiał powtórzyć głośniej, co?

W ręku trzymał mały notes i pióro.

Ballard rzucił mu krótkie spojrzenie, a następnie podbiegł do Argusa, próbując ponownie wyszeptać hasło. Ale robot błyskawicznie umknął, zatrzymując się dopiero w bezpiecznej odległości od Ballarda.

Nie był w stanie dojść na taką odległość, by móc wyszeptać hasło. A gdyby wymówił je tak głośno, by Argus go usłyszał, czyhający tuż obok Dangerfield natychmiast przekazałby je Ffoulkesowi. A Ffoulkes wiedziałby już, co robić - ogłosiłby patent, powodując załamanie się diamentowego rynku.

Trzy postacie poszły dalej, zostawiając Ballarda z tyłu. Czy było jakieś wyjście? Czy możliwe było zatrzymanie robota?

Mężczyzna wiedział, że nie; nie w miejscu, które już nie należało do niego. Mając władzę i majątek mógłby przypuszczać wymyślić w końcu jakiś sposób. Ale czas odgrywał dużą rolę.

Jeszcze teraz byłby w stanie się podźwignąć. Za miesiąc już nie. Przez ten czas wpływy w jego imperium przeszłyby na dobre w obce ręce. Jego rozgorączkowany umysł bezładnie szukał jakiejś szansy.

A gdyby stosując patent jeszcze raz spróbował wyprodukować trochę diamentów?

Mógłby spróbować. Ale nie był już Bruce Ballardem, magnatem przemysłowym. Nie posiadał już osłony, jaką zawsze tworzy wielkie bogactwo. Ffoulkes mógłby kazać go śledzić, znałby jego najmniejszy ruch. Niemożliwe byłoby zachować cokolwiek w tajemnicy i gdyby zaczął znowu wyrabiać diamenty, ludzie Ffoulkesa natychmiast by to wywęszyli. Ta droga ratunku była dla niego zamknięta.

Ratunek. Dla robota było to takie proste. On sam stał się bezbronny, podczas gdy robot pozostał nieuchwytny. Stracił majątek - to Argus był Midasem. Inteligencja nie była w stanie pomóc mu właśnie teraz, gdy miał miejsce największy kryzys w jego życiu. Przez jedną, szaloną chwilę zaczął się zastanawiać, co Argus zrobiłby na jego miejscu - Argus, którego nieomylny mózg okazał się o tyle doskonalszy od mózgu, który go stworzył.

Ale Argus nigdy nie znalazłby się w takiej sytuacji. Argusowi obojętne było wszystko, oprócz jego własnej złotej skóry otoczonej jaśniejącą aureolą. W tej właśnie chwili przemierzał komnaty tego zamku obojętny i nieczuły na wszystko, co go otaczało.

Ballard przez chwilę wstrzymał niespokojny oddech, a następnie zszedł do piwnic, gdzie wyszukał ciężki młot kowalski. Potem wrócił na górę, by poszukać Argusa.

Znalazł go w jadalni, kroczącego dostojnie, podczas gdy światło miękko ześlizgiwało się po jego złotej kolczudze i rozpryskiwało na małe tęczę przy spotkaniu z klejnotami.

Ballard pocił się, choć nie z wysiłku. Stał na wprost Argusa i powiedział: - Zatrzymaj się dokładnie w tym miejscu, ty... - Obrzucił robota niecenzuralnym słowem.

Argus skrzywił, by go ominąć. Ballard czystym, donośnym głosem powiedział: - McNamara. Proces Skręcania. Patent nr R-735-V-22.

Pióro Dangerfielda ożyło. Robot zatrzymał się. Było to jak zatrzymanie jakiejś nieubłaganej siły przyrody, jakby lawina zatrzymała się w połowie drogi na górskim zboczu. W naglej ciszy Ballard usłyszał, jak drugi strażnik pyta:

- Masz?

- Tak - odpowiedział Dangerfield. - Chodźmy.

Wyszli. Ballard podniósł młot. Na palcach podszedł do Argusa. Argus górował nad nim, spokojny i ślepy.

Pierwsze uderzenie pozostawiło głęboki ślad w masywnej piersi robota, wyrywając tkwiące w niej diamenty, które rozsypały się na boki. W swoim milczącym dostojenstwie Argus zachwiał się pod tym ciosem. Echo jego upadku grzmotem przewaliło się po opustoszałej sali.

Ballard podniósł młot i uderzył ponownie. Oczywiście nie był w stanie naruszyć prawie nieprzeniknionej osłony pod złotym pancerzem, ani rozbić klejnotów, ale jego dzikie uderzenia wyrywały je z pancerza i kaleczyły złotą powłokę.

- Ty... przekłeta... maszyno! - krzyczał Ballard w ślepej furii, czyniąc z trzymanego młota narzędzie bezmyślnej destrukcji.

- Ty... przekłeta... maszyno!

przekład : Jacek Majewski

Oto jak skończyła się ta historia:

James Kevin skupił swoje myśli na chemiku o rudych włosach, który obiecał mu milion dolarów. Polegało to po prostu na dostrojeniu się do fal mózgowych tego człowieka, złapaniu kontaktu. Robił to już przedtem. Teraz było to ważniejsze niż kiedykolwiek, miał to być już ostatni raz. Wcisnął guzik przyrządu, który dał mu robot i skoncentrował się.

Daleko, w nieskończenie wielkiej odległości, znalazł to połączenie.

Dostroił się całkowicie do strumienia myśli. Zaczął posuwać się wzdłuż niego...

Człowiek o czerwonych włosach podniósł głowę, otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Wreszcie jesteś! - powiedział. - Nie słyszałem jak wszedłeś. Do licha, od dwóch tygodni usiłuję cię znaleźć.

- Powiedz mi prędko jak się nazywasz - poprosił Kevin. - George Bailey. A propos, jak ty się nazywasz?

Ale Kevin nie odpowiedział. Przypomniawszy sobie nagle co jeszcze powiedział mu robot o przyrządzie, który łączył myśli za naciśnięciem guzika. Wcisnął go teraz i nic się nie stało. Przyrząd przestał działać. Jego zadanie było spełnione, co musiało oczywiście znaczyć, że Kevin w końcu zdobył sławę, zdrowie i majątek. Robot ostrzegł go, naturalnie. Przedmiot był przeznaczony do wykonania jednego, określonego zadania.

Tak więc Kevin dostał milion dolarów. I od tej pory żył sobie szczęśliwie...

Oto środek całej historii:

Kiedy odsunął kotarę coś - jakaś źle zaczepiona linia spadła mu na twarz, strącając okulary w rogowej oprawce. Równocześnie jasne niebieskawe światło oślepiło jego nie osłonięte oczy.

Nagle ogarnęło go dziwne wrażenie zdezorientowania, mgnienie czegoś co prawie natychmiast minęło.

Świat przestał tańczyć mu przed oczyma. Kotara opadła i znów stał się widoczny namalowany na niej napis:

**HOROSKOPY- POZNAJ SWOJĄ PRZYSZŁOŚĆ**

- a on stał patrząc na znakomitego wróżbitę.

To było - ech, niesamowite!

Głos robota zabrzmiał monotonnie i stanowczo:

- Jesteś James Kevin. Jesteś reporterem. Masz trzydzieści lat, nie jesteś żonaty i przyjechałeś dzisiaj z Chicago do Los Angeles, tak jak poradził ci twój lekarz. Zgadza się?

Kevin aż się przeżegnał z wrażenia: Potem włożył okulary i starał się przypomnieć sobie przeczytany niegdyś artykuł o metodach używanych przez szarlatanów: Mieli jakieś proste sposoby, niezależnie od tego jak niezwykle mogło się to wydawać.

Robot niewzruszenie patrzył na niego szklanym okiem.

- Na podstawie wiadomości zawartych w twoim mózgu - kontynuował swoim pedantycznym tonem - stwierdzam, że jest to rok tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty. Będę musiał skorygować moje plany. Miałem zamiar pojawić się w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym. Poproszę cię o pomoc.

Kevin wsadził ręce do kieszeni i uśmiechnął się.

- Finansową, oczywiście - powiedział. - Przed chwilą gotów byłem. ci uwierzyć. A swoją drogą, jak ty to robisz. Co to za cyrkowa sztuczka?

- Nie jestem ani maszyną, w której siedzi karzełek, ani złudzeniem optycznym - zapewnił go robot. - Jestem sztucznie skonstruowanym żywym organizmem, pochodzącym z dalekiej przyszłości.

- A ja nie jestem naiwniakiem za jakiego mnie uważasz - uprzejmie zwrócił mu uwagę Kevin. -Przyszedłem tu, żeby...

- Zgubiłeś kwit na bagaż - przerwał mu robot. - Zastanawiając się co zrobić, wypiliśmy kilka kieliszków, a potem wsiadłem do autobusu Wilshire o dokładnie - dokładnie dwadzieścia pięć po dwunastej. - Skończ już z tym czytaniem myśli - powiedział Kevin. - I nie staraj się wmówić mi; że prowadzisz ten interes od dawna. Gliny już zdążyłyby się tobą zaopiekować. Jeśli jesteś prawdziwym robotem, ha, ha.

- Zacząłem dopiero pięć minut temu - poinformował go robot. Mój poprzednik leży nieprzytomny za tą szafką w rogu. Twoje przybycie tutaj akurat teraz to czysty przypadek. - Przerwał i Kevin miał dziwne wrażenie, że robot obserwuje jak zostało przyjęte jego opowiadanie.

To uczucie było dziwne, dlatego że Kevin wcale nie miał wrażenia, iż w tej stojącej przed nim wielkiej i kanciastej rzeczy siedzi człowiek. Gdyby istnienie takiego robota było możliwe, uwierzyłby, że ma do czynienia z niezwykłym okazem. Ale ponieważ było to niemożliwe, po prostu czekał aż wyjaśni się jaka to sztuczka.

- Moje pojawienie się tutaj też było kwestią przypadku - opowiadał dalej robot. - I dlatego będę musiał zmienić troszeczkę swoje wyposażenie. Potrzebne mi będą mechanizmy zastępcze. W tym celu, jak wynika z analizy twojego umysłu, muszę przystosować się do szczególnych zasad wymiany stosowanych w waszym systemie ekonomicznym. Jednym słowem, potrzebne będą monety lub złoto albo srebro. A więc - na pewien czas - zająłem się przepowiadaniem przyszłości.

- No jasne - powiedział Kevin. - Tylko czemu się nie weźmiesz za zwykłą kradzież? Jeśli jesteś robotem to dla ciebie byłaby to prosta sprawa.

- To by zwróciło uwagę. A tego najmniej bym sobie życzył. Prawdę mówiąc, jestem - przerwał, by poszukać w umyśle Kevina właściwego zwrotu - jestem tu nielegalnie. W czasach, z których pochodzę, podróże w czasie są zabronione, nawet przypadkowe, chyba że odbywają się na zlecenie rządu.

„Coś tu się nie zgadza” - myślał Kevin, ale nie wiedział co. Spojrzał badawczo na robota. Nie wyglądał przekonywająco.

- Jakiego chcesz dowodu? - zapytała maszyna. - Odczytałem wszystkie myśli zawarte w twoim umyśle w chwili, w której tutaj wszedłeś, nieprawdaż? Czuliś pustkę, kiedy wyciągnąłem tę wiedzę i czuliś kiedy z powrotem ją tam ulokowałem.

- Więc to było to - powiedział Kevin. Ostrożnie cofnął się o krok. Cóż, chyba już pójdę.

- Czekaj - zatrzymał go robot. - Widzę, że mi nie ufasz. I wyraźnie żałujesz, że podsunąłeś mi pomysł rabunku. Boisz się, że mogę wykorzystać ten pomysł. Pozwól, że coś ci wytłumaczę. To prawda, że mógłbym zabrać ci pieniądze i zamordować cię, tak żeby to się nie wydało. Ale nie wolno mi zabijać ludzi. O wiele lepszym wyjściem z sytuacji jest wymiana usług. Mogę zaproponować ci coś cennego w zamian za niewielką ilość złota. Muszę się zastanowić.

Szklane oko omiotło spojrzeniem pokój i na chwilę utkwiło przenikliwy wzrok w Kevinie. -

Horoskop - powiedział robot. - Ma pomóc ci w zdobyciu zdrowia, sławy i fortuny. Ale

astrologia nie jest moją specjalnością. Mogę zaoferować ci jedynie logiczną naukową metodę osiągnięcia tego samego:

- Oho, ho - rzucił sceptycznie Kevin. - Ile? I dlaczego sam nie posłużyłeś się tą metodą?

- Ja mam inne plany - odparł tajemniczo robot. - Weź to. - Coś brzęknęło. Pulpit metalowej skrzynki rozsunął się. Robot wyciągnął małe, płaskie pudełko i wręczył je Kevinowi, który automatycznie zacisnął palce na chłodnym metalu.

- Ostrożnie. Nie wciskaj tego guzika, dopóki... Ale Kevin już go wcisnął...

Jechał pojazdem, którego nie potrafił opanować. Ktoś był w jego głowie. Gnała schizofreniczna, dwutorowa kolej, a jego ręka na przepustnicy nie była w stanie jej zatrzymać. Pękło koło kierujące jego umysłem.

Ktoś inny myślał za niego!

Nie człowiek. Niezupełnie normalny, jak się wydawało Kevinowi. Ale zupełnie normalny ze swojego punktu widzenia. Normalny na tyle, żeby opanować najbardziej zawile zasady nieeuklidesowej geometrii już w przedszkolu.

Wszystkie odczucia zmysłowe połączyły się w mózgu w jeden wspólny język. Niektóre rzeczy słyszał, niektóre widział. Odczuwał także zapachy, smaki, wrażenie dotyku - niektóre znane, niektóre obce. I wszystko to było chaotyczne.

- W tym sezonie wielkie jaszczurki bardzo się rozmnożyły - oswojone trewary mają takie same oczy, ale nie na Calisto - wkrótce wakacje - najlepiej w galaktyce - układ słoneczny powoduje klaustrofobię - jutro koniec, jeśli rutnica i ślizg...

To tylko symbole słowne. Było to jeszcze bardziej skomplikowane i przerażające. Na szczęście Kevin odruchowo zdjął palec z guzika i stał teraz bez ruchu, lekko drżąc.

Bał się.

Odezwał się robot: - Nie powinienes być nawiązywać kontaktu zanim nie wysłuchałeś moich instrukcji. Będziesz w niebezpieczeństwie. Zaczekaj. - Jego oko zmieniło kolor. - Tak... Jest... Tharn. Uważaj na Tharna.

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego - wtrącił szybko Kevin. Masz, zabierz to.

- Jeśli to wezmę, nic nie uchroni cię przed Tharnem. Zatrzymaj to urządzenie. Jak obiecałem, pozwoli ci ono zdobyć zdrowie, sławę i fortunę, o wiele skuteczniej niż horoskop.

- O nie, dzięki. Nie wiem jak udała ci się ta sztuczka - może jakaś metoda poddźwiękowa, ale ja nie...

- Czekaj - powiedział robot. - Kiedy wcisnąłeś guzik, ktoś z dalekiej przyszłości myślał właśnie o tobie. To spowodowało chwilowy kontakt. Możesz wywołać takie połączenie za każdym razem, kiedy wcisniesz guzik.

- Niech ręka boska broni - powiedział Kevin, nadal oblewając się zimnym potem.

- Pomyśl jakie to daje możliwości. Przypuśćmy, że jakiś troglodyta z dalekiej przeszłości miałby dostęp do twojego mózgu. Mógłby osiągnąć wszystko, czego by zechciał.

Musiał znaleźć jakąś logiczną odpowiedź na argumenty robota. Jak święty Antoni, a może Luter spierający się z szatanem - myślał oszołomiony Kevin. Głowa rozbolała go jeszcze bardziej i sądził, że wypił więcej niż powinien. Ale powiedział tylko: - Jak mógłby troglodyta zrozumieć to co mam w mózgu? Nie mógłby zastosować tej wiedzy nie mając mojego przygotowania.

- Czy nigdy nie przychodziły ci do głowy nagłe i zupełnie nielogiczne pomysły? Jakby coś zmuszało cię do myślenia o pewnych sprawach, liczenia, rozwiązywania jakiegoś problemu? Więc; ten człowiek z przyszłości, na którego nastawiony jest mój aparat, nie wie, że ty się z nim kontaktujesz. Ale ulega przymusowi. Jedyne co masz zrobić to skoncentrować się na jakimś problemie i wcisnąć guzik. Twój odbiorca będzie zmuszony - chociaż wyda mu się to dziwne i bezsensowne - do rozwiązania tego problemu. A ty będziesz czytał jego myśli. Przekonasz się jak to działa. Istnieją pewne ograniczenia, o tym także się przekonasz. I przyrząd ten zapewni ci zdrowie, sławę i fortunę.

- Gdyby naprawdę działało w ten sposób, mogłoby mi dać wszystko. Wszystko mógłbym zrobić. Dlatego odrzucam twoją propozycję!

- Powiedziałem, że są pewne ograniczenia. Z chwilą, kiedy już osiągniesz zdrowie, sławę i pieniądze, przyrząd stanie się bezużyteczny. Postaram się o to. Ale do tego czasu możesz go zastosować w celu rozwiązania wszystkich swoich problemów wykorzystując mózg rozumniejszej istoty w przyszłości. Najważniejsze jest skoncentrowanie się na problemie przed wciśnięciem guzika. Inaczej możesz napatoczyć się na coś jeszcze gorszego niż Tharn.  
- Tharn? Co...

- Android - powiedział robot, nie patrząc na niego. - Sztuczny człowiek... Ale, przejdźmy do mojego problemu. Potrzebuję niewielkiej ilości złota.

- A więc o to chodzi - powiedział Kevin z dziwnym uczuciem ulgi. - Nie mam złota.

- Twój zegarek.

Kevin odsunął rękaw i spojrział na zegarek. - O nie. Taki zegarek dużo kosztuje.

- Potrzebna mi jest tylko pokrywająca go warstewka złota - powiedział robot, a jego oko wystrzeliło czerwoną wiązkę promieni. Dziękuję. - Zegarek był teraz z matowego szarego metalu.

- Hej ! - krzyknął Kevin.

- Za pomocą mojego przyrządu zdobędziesz zdrowie, sławę i pieniądze - szybko powiedział robot. - Będziesz najszcześniejszym człowiekiem tej epoki. Rozwiążesz wszystkie swoje problemy - te z Tharnem też. Zaczekaj chwilę. - Istota cofnęła się o krok i zniknęła za wiszącym perskim dywanem. .

Cisza. Kevin spojrział na swój odmieniony zegarek, a potem na płaski, tajemniczy przedmiot, który trzymał w ręku. Był to kwadrat o boku 5 centymetrów i nie był grubszy niż damska puderniczka. Z jednej strony miał wgłębienie z guzikiem.

Wsadził go do kieszeni i podszedł do pseudoperskiego dywanu. Zajrzał za niego i nie zobaczył nic prócz podłużnej dziury wyciętej w ścianie kabiny. Wyglądało na to, że robot się ulotnił. Kevin wyjrzał przez dziurę. Tylko światła i odgłosy terenów rekreacyjnych Ocean Park. I srebrzysta, falująca czerń Pacyfiku ciągnąca się aż do świateł Malibu, daleko za ledwie widocznym zakrętem nadbrzeżnych skał.

Cofnął się więc z powrotem do pokoju i się rozejrzał. Tłusty mężczyzna w kostiumie wróżbity leżał nieprzytomny za rzeźbioną szafką, tak jak mówił robot. Z jego oddechu wynikało, że gość musiał sporo wypić.

Nie wiedząc co ze sobą zrobić, Kevin znów się przeżegnał wzywając na pomoc Boga. Nagle zdał sobie sprawę, że myśli o kimś lub o czymś co nazywało się Tharn i co było androidem. Przepowiadanie przyszłości... czas... kontakt z osobą z przyszłości... nie! Instykt samoobrony obudził w nim nieufność i niedowierzenie. Nie można było zrobić takiego robota. Wiedział o tym. Słyszałby o tym - był przecież -dziennikarzem.

Spragniony towarzystwa i gwaru poszedł do strzelnicy i strącił kilka kaczorków. Płaskie pudełeczko paliło mu kieszeń. Matowy metal zegarka cały czas tkwił w jego pamięci.

Wspomnienie pustki w głowie i powrotu świadomości paliło jego umysł. A wypita whisky paliła mu wnętrzności.

Wyjechał z Chicago z powodu powtarzającego się, nieznosnego zapalenia zatok. Zwykłego zapalenia zatok. Nie schizofrenii, halucynacji czy głosów dzwiczących w jego głowie. Nie dlatego, że widział wszędzie nietoperze czy roboty. Ta rzecz nie była naprawdę robotem.

Można to było zupełnie zwyczajnie wyjaśnić. Na pewno.

Zdrowie, sława i pieniądze. I jeśli...

Ta myśl przeszła mu głowę jak piorun. , I następna myśl: wariuje!

Cichy głos zaczął powtarzać uporczywie : - Tharn - Tharn - Tharn - Tharn...

I inny głos, głos bezpieczny i normalny, odpowiedział i zagłuszył to mruczenie. Półgłosem, Kevin mówił do siebie: - Jestem James Noel Kevin. Jestem dziennikarzem - wiadomości

specjalne, reportaże, redagowanie. Mam trzydzieści lat, jestem kawalerem, przyjechałem dzisiaj do Los Angeles i zgubiłem kwity na bagaż - i wypije jeszcze szklaneczkę i poszukam hotelu. W każdym razie tutejszy klimat dobrze robi na moje zatoki.

- Tharn - głos jakby stłumionego wróbla odezwał się prawie przekraczając próg świadomości.  
- Tharn, Tharn.

- Tharn.

Zamówił jeszcze jedną kolejkę i sięgnął do kieszeni po pieniądze. Jego dłoń dotknęła metalowego pudełka. I równocześnie poczuł, że coś lekko dotyka jego ramienia. Instynktownie spojrzął za siebie. Zaciśnięte siedem palców pająkowatej dłoni - bez włosów, bez paznokci - białych i gładkich jak kość słoniowa.

Ogarnęło Kevina jedno, nieodparte pragnienie, by jak największa odległość oddzieliła go od właściciela tej budzącej odrazę ręki. Było to gorące i szczere życzenie, ale trudne do spełnienia, problem, przy którym wszystkie inne przestały być ważne. Niejasno zdał sobie sprawę, że ściska to płaskie pudełeczko w kieszeni, tak jakby mogło go ocalić, ale jedyna myśl na jaką było go stać to: - Muszę stąd uciec.

Potwornie obce myśli kogoś z przyszłości zawirowały w jego głowie. To musiało trwać zaledwie chwile, kiedy wprawny, wyszkolony umysł, wyposażony w wiedzę z przyszłości, rozwiązał problem, który nie wiadomo dlaczego przyszedł mu do głowy i który koniecznie musiał być rozwiązany.

Trzy sposoby przeniesienia się w inne miejsce stały się równocześnie jasne dla Kevina. Dwa odrzucił: motokreśli były wynalazkami które jeszcze nie istniały, a zastosowanie wirlerów - biorąc pod uwagę, że potrzebny byłby sensorowy hoim zwojnikowy - nie leżało w granicach jego możliwości. Ale trzeci sposób...

Już zaczął zapominać jak to było. A ta ręka nadal trzymała jego ramię. Chwycił ulotną myśl i rozpaczliwie pchnął swój umysł i mięśnie w nieprawdopodobnym kierunku, który objawił mu człowiek przyszłości. .

I już był gdzieś na powietrzu, smagany zimnym wieczornym wiatrem, nadal w pozycji siedzącej, choć zamiast krzesła miał tylko powietrze.

Usiadł gwałtownie.

Przechodnie na rogu Hollywood Boulevard i Cahuenga nie byli zbyt zdziwieni na widok ciemnego, chudego mężczyzny siedzącego na chodniku. Tylko jedna kobieta zauważyła nagle pojawienie się Kevina, ale udała, że tego nie widzi i szybko odeszła.

Kevin wybuchł histerycznym śmiechem. - Telekomunikacja - powiedział do siebie. - Jak to było? Już nie pamiętam... Trudno sobie potem przypomnieć, no niej Muszę znowu zacząć nosić ze sobą notatnik.

I potem: - Ale co z Tharnem?

Rozejrzał się przerażony. Poczuł się pewniej dopiero kiedy minęło pół godziny bez dalszych cudów. Szedł ulicą bacznie wszystko obserwując. Ale nigdzie nie było Tharna.

Od czasu do czasu wkładał rękę do kieszeni i dotykał chłodnego metalowego pudełka. Zdrowie, sława i pieniądze. No cóż, mógł... Ale nie wcisnął guzika. Zbyt dobrze pamiętał szokujące, obce uczucie dezorientacji. Umysł, doświadczenia, sposób zachowania w dalekiej przyszłości były nieprzyjemnie silne.

Użyje jeszcze tego przyrządu - o, na pewno. Ale nie ma po co się spieszyć. Najpierw musiał pewne rzeczy przemyśleć.

Jego nieufność już zniknęła.

Tharn pojawił się następnego wieczoru, znowu rozpraszając optymizm Kevina. Zanim to się stało, dziennikarz bezskutecznie próbował odnaleźć kwity na bagaż i musiał się pocieszyć jedynie dwustoma dolarami, które miał w portfelu. Wziął pokój - zapłaciwszy z góry - w średniej klasy hotelu i zaczął zastanawiać się co ze sobą zrobić. Całkiem rozsądnie postanowił żyć jak do tej pory dopóki coś się nie wyjaśni. W każdym razie musiał nawiązać pewne

kontakty. Spróbował w redakcji „Times” „„Examiner” „„Netys” i paru innych. Ale to nie idzie tak łatwo jak w filmie. Wieczorem, kiedy był w hotelu, pojawił się niemiły gość. Był to oczywiście Tharn.

Miał ogromny biały turban, prawie dwa razy większy od jego głowy. Końce wytwornych czarnych wąsów opadały jak wąsy mandaryna albo suma. Z lustra w łazience patrzył natarczywie na Kevina.

Kevin właśnie zastanawiał się, czy powinien się ogolić przed pójściem na kolację. Pocierał w zamyśleniu brodę, kiedy ukazał się Tharn. W pierwszej chwili wydało się Kevinowi, że to jemu w jakus niezwykle sposób wyrosły długie wąsy. Dotknął górnej wargi. Była gładka. Ale w lustrze czarne wąsy poruszały się, kiedy Tharn poruszył głowę.

Było to tak zaskakujące, że Kevin nie był w stanie myśleć. Cofnął się szybko o krok. Potknął się o krawędź wanny, co na szczęście dla jego zdrowia psychicznego na chwilę odwróciło jego uwagę. Kiedy znów podniósł głowę, tylko jego przerażona twarz odbijała się w tafli nad umywalką. Ale po jednej czy dwóch sekundach nad twarzą zaczęła wyrastać biała chmura turbanu i znów pojawiły się mandaryńskie wąsy. Kevin zasłonił dłonią oczy i odwrócił się. Po kilku sekundach rozchylił palce, by zerknąć w lustro. Jedną dłonią cały czas przyciskał górną wargę w szalonej nadziei, że zapobiegnie to wyrośnięciu wąsów. Z lustra zerkało na niego coś co wyglądało jak on sam. A przynajmniej nie miało turbanu tylko okulary w rogowych oprawkach.

Nadał zakrywając twarz, niepewnym krokiem powlókł się do sypialni i wyciągnął płaskie pudełko z kieszeni palta. Ale nie wcisnął guzika, który połączyłby umysły z dwóch odrębnych epok. Zdał sobie sprawę, że nie chce tego znowu robić. Straszniejsza od tego co się działo, była myśl o ponownym wejściu do obcego umysłu: Stał koło biurka i z lustra jedno oko spozjrzało na niego poprzez rozchylone palce. Błyszczało dziko zza szkła jego okularów, ale chyba było to jego oko. Odjął rękę od twarzy, żeby zobaczyć co się stanie...

Lustro znowu ukazało Tharna. Kevin dałby wiele, żeby tak nie było. Tharn miał na nogach długie buty z jakiegoś błyszczącego plastyku. Oprócz turbanu i tych butów miał na sobie tylko przepaskę na biodrach, również zrobioną z błyszczącego plastyku. Był bardzo chudy, ale wyglądał na żywotną osobę. Żywotną na tyle, że mógł wskoczyć do pokoju. Jego skóra była jeszcze bielsza niż turban, a dłonie miały po siedem palców.

Kevin odwrócił się raptownie, ale Tharn był zaradny. Ciemna szyba okna wspaniale odbijała szczupłą postać w przepasce na biodrach. Na wypolerowanej mosiężnej lampie pojawił się mały zniekształcony obraz twarzy, która bynajmniej nie należała do Kevina.

Zasłaniając twarz dłońmi, Kevin wcisnął się do kąta, w którym nie było rzeczy; które mogłyby odbijać ten obraz. Ciągłe ścisnął płaskie pudełko.

„No, pięknie” - pomyślał z goryczą. „Każdy kij ma dwa końce. Na co mi się przyda ta zabawka, jeśli Tharn będzie mnie odwiedzał codziennie? Może tylko jestem stuknięty? Mam nadzieję, że tak”. Coś trzeba było zrobić, jeśli nie miał zamiaru przejść przez życie z twarzą ukrytą w dłoniach. Najgorsze było to, że Tharn wydawał mu się dziwnie znajomy. Kevin odrzucił kilka możliwości: reinkarnacji, złudzenia, że już coś kiedyś widział, ale...

Zerknął przez palce, w samą porę, by zobaczyć jak Tharn podnosi jakiś cylindryczny przedmiot i mierzy w niego jak z pistoletu. Ten gest zmusił Kevina do podjęcia natychmiastowej decyzji. Skoncentrował się na problemie. - Chcę się stąd wydostać!- wcisnął guzik płaskiego pudełeczka.

I natychmiast sposób telekomunikacji, którego przedtem nie mógł sobie przypomnieć, stał się dla niego jasny. Wszystko poza tym było dziwne. Zapachy - ktoś myślał - ktoś liczył do... nie można tego wyrazić słowami, to tylko słuchowo-wizualne wrażenie, które powodowało zawrót głowy. Ktoś o nazwisku Trzy Miliony Dziewięćdziesiąt napisał nowy bohomaz. Miał

też fizyczne wrażenie lizania znaczka za dwadzieścia cztery dolary i przyklejania go na pocztówkę.

Ale przede wszystkim, ten człowiek z przyszłości nie mógł przestać myśleć o metodzie telekomunikacji i kiedy ta myśl dotarła do czoła i miejsca, w którym był Kevin, natychmiast ją zastosował...

Spadał.

Lodowata woda uderzyła w niego. Cudem nie wypuścił z ręki płaskiego pudełka. Przed oczyma wirowały mu gwiazdy na granatowym niebie i fosforyzujący połysk srebrzystej poświaty na ciemnym morzu. A potem słona woda zaczęła szczypać jego nozdrza. Kevin nie umiał pływać.

Opadając w dół po raz ostatni ze stłumionym przez wodę okrzykiem, złapał dosłownie ostatnią deskę ratunku. Znow wciągnął palcem guzik. Nawet nie musiał się specjalnie koncentrować na problemie, nie był w stanie myśleć o niczym innym.

Chaos .myśli, fantastyczne wizje - i wreszcie odpowiedź.

Musiał się skoncentrować, a nie miał wiele czasu. Bąbelki powietrza łaskotały go w twarz unosząc się do góry. Ze wszystkich stron chciwie ogarniał go przeraźliwy chłód słonej wody...

Ale teraz już znał sposób i wiedział jak go zastosować. Myśli jego podążyły w kierunku wskazanym przez umysł przyszłości. Coś się stało. Promienie - to najbardziej zbliżone znane mu określenie wysłane przez jego mózg zrobiły coś dziwnego z jego placami. Komórki krwi przystosowały się...

Oddychał wodą i już się nie dusił.

Ale wiedział również, że ta nagła adaptacja nie potrwa długo. Jedynym rozwiązaniem była telekomunikacja. I tym razem pamiętał co ma zrobić. Załedwie kilka minut temu zrobił to przecież, żeby uciec przed Tharnem.

A jednak nie mógł sobie przypomnieć. Wszystko dokładnie wyleciało mu z pamięci. No i znow jedyne co mógł zrobić to wcisnąć guzik.

Ociekając wody stał na nieznaney ulicy. Był na tej ulicy po raz pierwszy, ale z pewnością była to jego epoka i jego planeta. Na szczęście telekomunikacja działała w ograniczony sposób.

Wiał zimny wiatr. Kevin stał w kałuży, która szybko powiększała się. Rozejrzał się dokoła.

Zauważył szyld proponujący Łaźnię Turecką i skierował się w tę stronę. Myśli miał niemalże bluźniercze...

Trudno uwierzyć, był w Nowym Orleanie. Teraz był pijany w Nowym Orleanie. Myśli wirowały mu w głowie, ale szkocka to świetny środek na kłopoty, idealny hamulec dla nerwów. Musiał znowu wziąć się w garść. Miał niemalże cudowną moc i chciał wykorzystać ją we właściwy sposób zanim jeszcze raz zdarzy się coś nieoczekiwanego. Tharn...

Siedział w hotelowym pokoju sącząc whisky. Trzeba logicznie pomyśleć!

Kichnął. Trudność polegała na tym, że było tak niewiele punktów zbieżnych między jego umysłem i umysłem tego człowieka z przyszłości. Ponadto, kontaktował się z nim tylko w momentach krytycznych. To tak jakby miał dostęp do Biblioteki Aleksandryjskiej przez pięć sekund dziennie. W ciągu pięciu sekund nie można nawet zacząć tłumaczyć...

Zdrowie, sława i pieniądze. Znowu-kichnął. Robot skłamał. Zdrowie zdawało się opuszczać go w szybkim tempie. A jak to było z robotem? Skąd się w ogóle wziął? Powiedział, że spadł do tej epoki z przyszłości, ale roboty to notoryczni kłamcy. Trzeba myśleć logicznie.

Najwidoczniej przyszłość zaludniona była stworzeniami nie różniącymi się wiele od Frankensteina. Androidy, roboty, ludzie o tak szokująco innej mentalności... Kichnięcie.

Jeszcze jedną szklaneczkę.

Robot powiedział, że przyrząd przestanie działać kiedy Kevin będzie już miał zdrowie, sławę i pieniądze. Ta myśl trochę go niepokoiła. Przypuśćmy, że osiągnie te godne

pozazdroszczenia rzeczy, przekona się, że guzik stracił swe właściwości i wtedy pojawi się Tharn? O, nie. Musiał wychylić jeszcze jedną szklaneczkę.

Na trzeźwo nie należało się zajmować problemem, który był tak dziki jak delirium tremens, chociaż Kevin wiedział, że osiągnięcia nauki, na które się natknął były teoretycznie możliwe. Ale nie teraz i nie w tym wieku. Kichnięcie.

Cała sztuka polegała na postawieniu odpowiedniego pytania i użyciu przyrządu w chwili, kiedy nie będzie tonął i nie będzie mu groził wąsisty android o siedmiopalczastej dłoni i ze złowieszczą bronią przypominającą pałkę. Znaleźć właściwy problem.

Ale ten umysł przyszłości był ohydny.

I nagle, jasno jak to bywa po wypiciu większej ilości alkoholu, Kevin zdał sobie sprawę, że coś ciągnęło go do tego niewyraźnego, mglistego świata przyszłości.

Nie widział go dokładnie, ale w jakiś sposób czuł. Wiedział, że był to dobry, o wiele lepszy niż jego własny świat i czas. Gdyby on mógł być tym nieznanym człowiekiem, wszystko byłoby dobrze. Człowiek musi dążyć do doskonałości: No dobra. Potrząsnął butelką. Ile już wypił? Czuł się świetnie.

Trzeba pomyśleć logicznie.

Za oknem migotały światła ulicy. Neony przemawiały w ciemnościach fantastycznym językiem. To było obce i dziwne, ale tak samo obce i dziwne wydawało się Kevinowi jego własne ciało. Zaczął się śmiać, ale kichnięcie zdusiło ten śmiech.

„Wszystko czego chcę - myślał - to zdrowie, sława i pieniądze. Potem się ustatkuję i będę żył szczęśliwie, bez zmartwień i problemów. Nie będzie mi potrzebne to czarodziejskie pudełko. Szczęśliwe zakończenie”.

Odruchowo wyciągnął pudełko i przyjrzał mu się uważnie. Spróbował je otworzyć, ale mu się to nie udało. Trzymał palec nad guzikiem.

„W jaki sposób...” - pomyślał i palec przesunął się o pół centymetra... , Teraz kiedy był pijany nie wydawało mu się to takie obce. Człowiek z przyszłości nazywał się Quarra Vee. Dziwne, że dowiedział się o tym dopiero teraz, ale w końcu czy człowiek myśli o tym jak się nazywa? Quarra Vee grał w jakąś grę trochę przypominającą szachy, ale jego przeciwnik był na odległej planecie Syriusz, wszystkie figury były nieznane Kevinowi. Skomplikowane, niepojęte gambity przelatywały w umyśle Quarra Vee. Potem problem Kevina przebił się przez nie i Quarra Vee musiał...

To wszystko było takie poplątane. Właściwie to nie jeden, a dwa problemy. Jak leczyć przeziębienie i katar. I jak zdobyć zdrowie, sławę i pieniądze w niemalże prehistorycznej - dla Quarra Vee erze.

Ale dla Quarra Vee nie był to trudny problem. Rozwiązał go i wrócił do swojej gry.

Kevin natomiast wrócił do pokoju w Nowym Orleanie.

Musiał być porządnie pijany, żeby podjąć to ryzyko. Metoda polegała na dostrojeniu swojego mózgu do innego mózgu z tego samego dwudziestego wieku. Ten mózg musiał mieć dokładnie taką długość fali, jaka mu była potrzebna. Różne czynniki decydowały o długości tej fali - doświadczenie, możliwości, pozycja, wiedza, wyobraźnia, uczciwość - ale wreszcie odnalazł to czego chciał, wybrawszy z trzech prawie idealnych propozycji. Ciągłe pijany, Kevin dostroił się do strumienia myśli i za pomocą telekomunikacji ruszył wzdłuż niego przez Amerykę do wspaniale wyposażonego laboratorium, w którym siedział czytając jakiś mężczyzna.

Mężczyzna ten był łysy i miał sterczące rude wąsy. Nagle podniósł głowę.

- Hej ! - powiedział. - Skąd się tu wzięłeś?

- Zapytaj Quarra Vee - odparł Kevin.

- Kogo? Co takiego? - mężczyzna odłożył książkę:

Kevin znów musiał odwołać się do swojej pamięci, która trochę szwankowała. Połączył się jeszcze na chwilę. Tym razem nie było to przykre. Zaczynał już trochę rozumieć świat Quarra

Vee. Spodobało mu się to. Chociaż przypuszczał, że o tym również zapomni. - Ulepszenie syntetycznego białka Woodwarda - powiedział mężczyźnie o rudych włosach. - Prosty proces syntezy to załatwi.

- Kim, u diabła, jesteś?

- Mów do mnie Jim - powiedział po prostu Kevin. - Siedź cicho i słuchaj. - Zaczął wyjaśniać mu jak małemu, niemądrymu dziecku. (Rozmawiał z jednym z najwybitniejszych chemików Ameryki). Proteiny zbudowane są z aminokwasów. Istnieje około trzydziestu trzech aminokwasów.

- Nie ma tyle.

- Jest. Cicho bądź. Ich cząsteczki mogą być ułożone w różny sposób. Otrzymujemy więc nieskończoną różnorodność protein. A wszystkie żywe istoty są zbudowane z białka. Najważniejszym problemem jest otrzymanie właściwej cząsteczki białka.

Mężczyzna o rudych włosach wyglądał na zainteresowanego.

- Fischerowi udało się zbudować łańcuch z osiemnastu aminokwasów - powiedział. - Abderhalden doszedł do dziewiętnastu, a Woodward zbudował łańcuchy o długości dziesięciu tysięcy jednostek. Ale jeśli chodzi o zbadanie...

- Kompletna molekula białka składa się z całych zestawów sekwencji. Ale jeśli zbada się tylko jeden czy dwa odcinki syntetyku, nie można mieć pewności co do pozostałych.

Zaczekaj chwilę. Kevin znowu posłużył się przyrządem. - Już wiem. No cóż, z syntetycznego białka można zrobić prawie wszystko. Ale najważniejsze jest - powiedział kichając - lekarstwo na katar.

- Posłuchaj - przerwał mu rudowłosy mężczyzna.

- Niektóre wirusy są łańcuchami aminokwasów, nieprawdaż? Możesz zmodyfikować ich strukturę. Unieszkodliwić je. To samo z bakteriami. I zrób syntezę odpowiednich antybiotyków.

- Chciałbym móc to zrobić, panie... - Mów mi Jim.

- Dobrze. Ale to nie jest nic nowego.

- Weź ołówek - powiedział Kevin. - Teraz będzie najważniejsza część. Sposób przeprowadzenia syntezy i próby jest następujący... Wyjaśnił wszystko szczegółowo i dokładnie. Tylko dwa razy musiał użyć przyrządu kontaktowego. A kiedy skończył, mężczyzna z rudymi włosami odłożył ołówek i wlepił wzrok w zapisaną kartkę.

- To niewiarygodne - powiedział. - Jeśli się uda...

- Chcę mieć zdrowie, sławę i pieniądze - uparcie powtarzał Kevin. - Uda się.

- Tak, ale... przyjacielu...

Kevin nalegał. Na szczęście dla niego, przeprowadzona wcześniej analiza umysłu rudowłosego dotyczyła również jego uczciwości i możliwości, więc wszystko skończyło się wyrażeniem przez chemika zgody na podpisanie umowy z Kevinem. Wynikające z tego możliwości finansowe były nieograniczone. Niejedna znana firma chętnie kupiłaby pomysł.

- Chcę mieć z tego mnóstwo pieniędzy. Całą fortunę.

- Zarobisz milion dolarów - powiedział spokojnie mężczyzna o rudych włosach.

- W takim razie chcę dostać pokwitowanie. Czarno na białym. Chyba, że wolisz dać mi ten milion teraz.

Marszcząc brwi chemik pokręcił głową. - Nie mogę tego zrobić. Muszę przeprowadzić próby, porozmawiać z odpowiednimi osobami - ale nie przejmuj się tym. Twoje odkrycie z pewnością warte jest milion dolarów. I sławę także zdobędziesz.

- A zdrowie?

- Po pewnym czasie będzie można uleczyć każdą chorobę - powiedział cicho chemik. - To prawdziwy cud.

- Napisz to - zażądał Kevin.

- W porządku. Jutro możemy podpisać oficjalną umowę. Na razie to wystarczy. Zrozum, to właściwie tylko twoja zasługa.

- Trzeba to zapisać długopisem. Ołówek nie wystarczy.

- W takim razie zaczekaj - powiedział mężczyzna o rudych wąsach i poszedł po długopis. Kevin rozejrzał się po laboratorium, promieniejąc ze szczęścia.

Tharn zmaterializował się trzy metry od niego. Trzymał w ręku swoją pałkowaną broń.

Podniósł ją.

Kevin natychmiast posłużył się przyrządem kontaktowym. Pokazał Tharnowi figę i przeniósł się daleko.

Znalazł się na polu żyta, ale żyto nie w płynie nie interesowało go.. Spróbował jeszcze raz.

Tym razem dotarł do Seattle.

Taki oto był początek pamiętnych dwóch tygodni picia i uciekania.

Nie był w najlepszym nastroju.

Miał potwornego kaca, dziesięć centów w kieszeni i nie zapłacony rachunek hotelowy.

Czternaście dni telekomunikacyjnego uskakiwania przed Tharnem zszargało jego nerwy tak, że tylko alkohol pozwalał mu to wytrzymać. Ale teraz zawiódł nawet ten bodziec. Alkohol przestał działać i Kevin czuł się jak zdechły pies.

Jęczał i mrugał oczami. Zdjął okulary i przetarł je, ale to nie pomogło.

Co za idiota. Nie znał nawet nazwiska tego chemika!

Zdrowie, sława i pieniądze czekały na niego tuż za rogiem, ale za którym rogiem? Któregoś dnia prawdopodobnie dowie się, kiedy wieść o nowej metodzie syntezy białka zostanie opublikowana. Ale kiedy to będzie? I co zrobi w międzyczasie z Tharnem?

A ponadto, chemik również nie będzie mógł go odnaleźć. Wie o Kevinie tylko tyle, że ma na imię Jim. Wtedy wydawało się to zupełnie właściwe, ale teraz już nie.

Wyciągnął aparat i popatrzył na niego zaczerwienionymi oczami. Quarra Vee? Polubił Quarra Vee. Cały problem polegał na tym, że pół godziny po kontakcie nie pamiętał już żadnych szczegółów.

Tym razem wcisnął guzik niemalże w tej samej chwili w której Tharn wyskoczył z powietrza zaledwie kilka metrów dalej. Znowu kaprysy telekomunikacji. Kevin siedział pośrodku pustyni. Wokół tylko kaktusy i juka. W oddali purpurowy łańcuch gór. Ale Tharna nie było.

Kevinowi chciało się pić. A jeśli ten aparat przestanie teraz działać? O, tak już dłużej nie może być. Decyzja od tygodnia wisząca w powietrzu nagle stała się dla niego oczywista.

Całkiem oczywista! Dlaczego od razu o tym nie pomyślał?

Skoncentrował swoje myśli na problemie: Jak pozbyć się Tharna? Wcisnął guzik...

W chwilę później już znał odpowiedź. To naprawdę było proste. Niepokój i zdenerwowanie minęło. Wszystko stało się jasne. Czekał na Tharna.

Nie musiał czekać długo. Zadrzało gorące powietrze i pojawiła się blada postać w turbanie. Broń była wymierzona w Kevina.

Nie zwlekając ani chwili, Kevin znów skoncentrował się na problemie, wcisnął guzik i upewnił się co ma zrobić. Po prostu musiał skupić się na jednej szczególnej myśli w sposób wskazany przez Quarra Vee.

Tharna rzuciło kilka metrów do tyłu.

- Nie rób tego! - krzyknął andrójid. - Próbowałem...

Kevin skoncentrował się jeszcze bardziej. Czuł jak energia jego umysłu płynie w stronę androida.

Tharn wyszeptał zachrypłym głosem: - Próbowałem - nie dałeś mi szansy...

I potem Teżał już bez ruchu na gorącym piasku, twarzą do nieba. Siedmiopalczaste ręce zadrzały raz jeszcze i znieruchomiały. Sztuczne życie uleciało z niego.

Kevin odwrócił się i odetchnął głęboko. Był bezpieczny. Jak odnaleźć mężczyznę o rudych wąsach?

Wcisnął guzik.

Oto jak zaczęła się ta historia.

Quarra Vee siedział w maszynie czasu ze swoim androidem Tharnem. Sprawdził czy wszystko było w porządku.

- Jak ja wyglądam? - zapytał.

- Dobrze - odpowiedział Tharn. - Nie wzbudzi pan podejrzeń w erze, do której się pan udaje. Zsyntetyzowanie sprzętu nie zajęło wiele czasu.

- Niewiele. Materiał wygląda jak prawdziwa wełna i płótno, tak mi się wydaje. Zegarek, pieniądze - wszystko takie jak trzeba. Zegarek - to dziwne, prawda? Trudno sobie wyobrazić ludzi, którzy potrzebują przyrządu, żeby wiedzieć, która godzina!

- Nie zapomnij o okularach - powiedział Tharn. Quarra Vee włożył je. - Uff. Ale sądzę...

- Tak będzie bezpieczniej. Optyczne własności tych szkieł zabezpieczają przed działaniem psychopromieniowania. Może to ci być potrzebne. Nie zdejmuj ich, bo ten robot zdolny jest do robienia różnych sztuczek.

- Lepiej niech nie próbuje tego robić - odpart Quarra Vee. - Cholerny robot! Ciekawe co planuje? Zawsze był malkontentem, ale przynajmniej znał swoje miejsce. Szkoda że w ogóle kazałem go zrobić. Może porządnie narozrabiać w tym na wpół barbarzyńskim świecie, jeśli go nie złapiemy i nie sprowadzimy do domu.

- Jest w namiocie wróżbity - powiedział Tharn, spoglądając w ekran czasu. - Dopiero co tam dotarł. Musisz go wziąć przez zaskoczenie. Masz niełatwe zadanie przed sobą. Spróbuj nie odgrażać się w tych dziwnych myślach, które cię ostatnio nawiedzają. Mogą być niebezpieczne. Robot wykorzysta swoje sztuczki, kiedy tylko będzie miał szansę. Nie wiem czego zdołał się nauczyć, ale wiem na pewno, że jest ekspertem w hipnozie i zacieraniu pamięci. Jeśli nie będziesz ostrożny, anuluje twoją pamięć i podstawia fałszywy zapis. Nie zdejmuj okularów. Jak będą jakieś kłopoty, zaaplikuję ci promienie rehabilitacyjne. - Podniósł mały projektor przypominający pikę.

Quarra Vee kiwnął głową. - Nie martw się. Zaraz wrócę. Umówiłem się z tym z Syriusza.

Mamy dziś wieczorem skończyć naszą grę:

Było to spotkanie, na które nigdy nie przybył.

Quarra Vee wyszedł z maszyny czasu i skierował się ku kabinie wróżbity. Ubranie, które miał na sobie, było ciasne, szorstkie i niewygodne. Stał przed napisem namalowanym na wejściu do kabiny.

Odsunął kotarę i coś - jakaś źle zaczepiona linia - spadła mu na twarz, strącając okulary w rogowej oprawce. Równocześnie jasne niebieskie światło oślepiło jego nie osłonięte oczy. Nagle ogarnęło go dziwne wrażenie zdezorientowania, mgnienie czegoś co natychmiast minęło.

Robot powiedział: - Jesteś James Kevin.

przekład : Anna Miklińska

Henry Kuttner      Tryumf Łowcy

Poza mną nie ma nikogo, z kim mógłbym porozmawiać. Stoję tutaj, na szczycie wielkiej kaskady marmurowych stopni, spadającej w dół, do holu gościnnego, a wszystkie moje żony przyozdobione wszystkimi swoimi klejnotami czekają, bo jest to Tryumf Łowcy - mój Tryumf, Zaczego Rogera Bellamy'ego, Łowcy. Światło połyskuje tam w dole na szklanych skrzyniach z setkami zasuszonych głów, które zdobyłem w uczciwej walce i jestem jednym z najpotężniejszych ludzi w Nowym Jorku. To te głowy czynią mnie potężnym.

Ale nie ma nikogo, z kim mógłbym porozmawiać. Poza mną? Czy siedzi we mnie, słuchając, drugi Zaczny Roger Bellamy? Nie wiem. Może on jest jedyną rzeczywistą częścią mnie. Staram się, jak mogę i nie prowadzi to do niczego dobrego. Być może Bellamy'emu, który siedzi we mnie, nie podoba się to, co robię. Ale ja muszę to robić. Nie mogę przestać. Urodziłem się Łowcą Głównym. Urodzić się nim, to wielki zaszczyt. Któż mi nie zazdrości? Któż nie zamieniłby się ze mną, gdyby tylko mógł?

Ale nie prowadzi to wcale do niczego dobrego. Nie jestem dobry.

Słuchaj mnie, Bellamy, słuchaj mnie, jeśli to ogóle tam jesteś, ukryty głęboko w mojej głowie. Musisz słuchać - musisz zrozumieć. Ty tam, w mojej czaszce. Teraz i ty, każdego dnia, dosłownie każdego dnia możesz się znaleźć w szklanej skrzyni stojącej w holu gościnnym innego Łowcy Głównym, a stłoczony przed domem motłoch cisnąć się będzie do okien, przybywać będą goście, żeby popatrzeć i zazdrościć, i wszystkie żony stać będą przystrojone w atłasy i klejnoty.

Może ty tego nie rozumiesz, Bellamy. Powinieneś czuć się teraz wspaniale. Niepodobna, byś znał ten realny świat, po którym ja muszę chodzić i w którym przyszło mi żyć. Sto albo tysiąc lat temu mógł inaczej wyglądać. Ale to Dwudziesty Pierwszy Wiek. To dzisiaj, to teraz, i nie ma już odwrotu.

Nie wydaje mi się, byś rozumiał.

Widzisz, nie ma wyboru. Albo razem ze swą kolekcją kończysz w szklanej skrzyni innego Łowcy Głównym, a twoje żony i dzieci zostają wydane motłochowi, albo umierasz śmiercią naturalną, do której jedną z dróg jest samobójstwo, twój najstarszy syn dziedziczy twą kolekcję, a ty, wtopiony w plastikowy monument, stajesz się nieśmiertelnym. Stajesz na zawsze w przezroczyściej plastikowej powłoce na cokole na skraju Central Parku, jak Renway, jak stary Falconer, jak Brennan i cała reszta. Wszyscy cię wspominają, podziwiają i zazdroszczą ci.

Czy wtedy, w tym plastyku, dalej będziesz myślał, mój Bellamy? Czy ja będę tam myślał? Falconer był wielkim Łowcą. Nie spoczął ani na chwilę i dożył pięćdziesięciu dwóch lat.

Piękny to wiek dla Łowcy Głównym. Krążą pogłoski, że sam zadał sobie śmierć. Trudno powiedzieć. To cud, że przez pięćdziesiąt dwa lata zachował głowę na karku.

Współzawodnictwo staje się coraz trudniejsze, a ostatnimi' czasy pojawia się coraz to więcej i więcej młodszych mężczyzn.

Słuchaj mnie, Bellamy, Bellamy tam we mnie. Czy ty kiedykolwiek naprawdę coś rozumiałeś? Nadal uważasz, że to jeszcze cudowny czas dzieciństwa, szczenięce lata, kiedy życie wydaje się proste? Czy kiedykolwiek byłeś przy mnie przez te długie, bezlitosne lata,

kiedy moje ciało i umysł przysposabiała się do profesji Łowcy Głów? Wciąż jeszcze jestem młody i silny. Nigdy nie zaprzestałem treningu. Ale najcięższymi były te pierwsze lata. Przedtem życie było cudowne. Trwało to tylko sześć lat, sześć lat szczęścia, ciepła i miłości w haremie u boku matki, wśród mamek i innych dzieci. Mój ojciec był wtedy bardzo dobry. Ale idylla skończyła się, kiedy minęło mi sześć lat. Nie powinni w ogóle uczyć nas miłości, skoro musiało to tak krótko trwać. Czy to właśnie pamiętasz, mój Bellamy, tam we mnie? Jeśli tak, to ja ci mówię, że te czasy nie mogą już wrócić. Zresztą ty to wiesz. Na pewno wiesz. U podstaw treningu leżało ślepe posłuszeństwo i żelazna dyscyplina. Mój ojciec nie był już taki dobry. Nie widywałem się często z matką, a kiedy już ją spotykałem, ona też była dla mnie inna. Niemniej jednak miałem swoje zadośćuczynienie. Od czasu do czasu odbywały się parady, na których motłoch wiwatował na cześć moją i ojca. Kiedy wykazywałem się szczególnie postępowymi w walce sam na sam albo w strzelaniu, albo w dzudo, chwalili mnie też i ojciec, i instruktorzy.

Było to surowo zabronione, ale moi bracia i ja próbowaliśmy czasami zabić jeden drugiego. Instruktorzy obserwowali nas bacznie. Wtedy nie byłem jeszcze dziedzicem. Ale stałem się nim, kiedy podczas walki dzudo mój starszy brat upadając skręcił sobie kark. Wyglądało to na wypadek, ale oczywiście nim nie było i od tego czasu musiałem być ostrożniejszy niż do tej pory. Musiałem nauczyć się przebiegłości.

Przez cały ten czas, cały ten trudny czas, trwała nauka zabijania. Było to naturalne. Bez przerwy wbijali nam w głowę, jakie to naturalne. Musieliśmy się uczyć. A dziedzic mógł być tylko jeden...

Już wtedy żyliśmy pod chmurą strachu. Gdyby mój ojciec stracił głowę, wypędzono by nas wszystkich z posiadłości. Och nie, nie pozostalibyśmy głodni i bez dachu nad głową. To nie do pomyślenia w tym wieku nauki. Ale nie być Łowcą Głów! Nie stanąć jako nieśmiertelny w plastikowym monumencie wzniesionym przy Central Parku!

Czasami śnię, że jestem jednym z motłochu. Wydaje się to dziwne, ale w tym śnie odczuwam głód. A to przecież niemożliwe. Wielkie elektrownie zaspokajają wszystkie potrzeby świata. Maszyny syntetyzują żywność, budują domy i dają nam wszystko, co niezbędne do życia. Nigdy nie mógłbym należeć do motłochu, ale jeśli już byłbym kimś takim, wszedłbym do pierwszej lepszej restauracji i wziął sobie do jedzenia z małych szafeczek ze szklanymi drzwiczkami, co tylko dusza zapragnie. Odżywiałbym się dobrze - o wiele lepiej, niż żywię się teraz. A jednak w tym moim śnie jestem głodny.

Być może to co jem nie zadowala ciebie, Bellamy, tam we mnie. Mnie nie zadowala, ale nie po to jest. Moje posiłki są pożywne. Mają nieprzyjemny smak, ale zawierają wszystkie proteiny i minerały i witaminy niezbędne do ustawicznego podtrzymywania najwyższej sprawności mózgu i ciała. I nie powinny być przyjemne dla podniebienia. To nie pławienie się w rozkoszach prowadzi człowieka do nieśmiertelności w plastyku. Przyjemność jest odczuciem osłabiającym i zdradliwym.

Bellamy tam we mnie - czy ty mnie nienawidzisz?

Moje życie nie było łatwe. Nie jest łatwym i teraz. Uparte ciało opiera się nieśmiertelnej przyszłości, nakłania człowieka do słabości. A jak długo można mieć nadzieję na zachowanie głowy na karku, jeśli jest się słabym?

Motłoch sypia ze swoimi żonami. Ja nigdy nawet nie pocałowałem żadnej z moich. (Czy to ty zsyłasz mi te sny?) Moje dzieci? Tak, są moje; odpowiedzią jest sztuczne zapłodnienie.

Sypiam na twardym łożu. Czasami wdziwam włosienicę. Pijam wyłącznie wodę. Moje posiłki są bez smaku. Ćwiczę co dnia z moimi instruktorami, aż do skrajnego wyczerpania. To ciężkie życie - ale w końcu staniemy, ty i ja, na zawsze w plastikowym monumencie, a świat będzie nam zazdrościł i podziwiał nas. Umrę jako Łowca Głów i będę nieśmiertelny. Dowód znajduje się w tych szklanych skrzyniach tam na dole, w moim holu gościnnym.

Głowy, głowy - spójrz tylko, Bellamy, ile głów. Stratton, mój pierwszy. Zabiłem go maczetą

w Central Parku. Noszę na skroni bliznę po ranie, jaką zadał mi tamtej nocy. Nauczyłem się już działać sprawniej. Musiałem.

Za każdym razem, kiedy wchodziłem do Central Parku, pomagały mi strach i nienawiść. Czasami w Parku jest strasznie. Chodzimy tam tylko po zapadnięciu zmierzchu i czatujemy nierzadko przez wiele nocy, zanim zdobędziemy jakąś głowę. Wejście do Parku jest, jak wiesz, zakazane wszystkim prócz Łowców Głów. To nasz teren łowiecki.

Jestem przebiegły, zwinny i szybki. Wykazałem się wielką odwagą. Tam, w mrokach Parku, nasłuchując, czekając, podchodząc, niepewny, czy zaraz nie poczuję ostrej stali przeszywającej mi gardło, tłumilem swoje lęki i pielęgnowałem nienawiść. W Parku nie obowiązują żadne reguły. Broń palna, maczugi, czy noże - raz wpadłem w sidła na ludzi, sama stal, liny i ostre kły. Ale na czas i dostatecznie szybko zrobiłem unik, dzięki czemu zachowałem wolną prawą rękę i strzeliłem Millerowi między oczy, kiedy po mnie przyszedł. Głowa Millera jest teraz tam, na dole. Nigdy byś nie powiedział, że przez jego czoło przeszedł pocisk. Tanatolodzy potrafią czynić cuda. Ale zwykle staramy się nie uszkadzać głów.

Czym się tak zadręczasz, Bellamy, tam we mnie? Jestem jednym z największych Łowców w Nowym Jorku. Ale taki ktoś musi być przebiegły. Musi zastawiać sidła i pułapki z dużym wyprzedzeniem i to nie tylko w Central Parku. Musi bez ustanku przydzielać zadania swoim szpiegom i trzymać napięte nici kontaktów biegnące z każdej posiadłości w mieście. Musi wiedzieć, kto jest potężny, a kto nie wart zachodu. Co by dało zwycięstwo nad Łowcą, który w swym holu ma tylko kilkanaście głów?

Ja mam ich setki. Do wczoraj wyprzedzałem każdego mężczyznę z mojej grupy wiekowej. Do wczoraj byłem obiektem zazdrości dla wszystkich, których znam, idolem motłochu, niekwestionowanym mistrzem połowy Nowego Jorku. Połowy Nowego Jorku! Czy wiesz, ile to dla mnie znaczyło? Co dawała mi świadomość, że moi rywale nienawidzą mnie, a jednak uznają moją wyższość? Ty to wiesz, Bellamy. Fakt, że Wierny Jonathan Hull i Dobry Ben Griswold na samą myśl o mnie zgrzytają zębami i że Czarny Bill Lindman z Gwizdaczem Cowlesem policzyli swoje trofea, a potem połączyli się ze mną przez wideofon i błagali ze łzami nienawiści i furii w oczach, żebym raczył spotkać się z nimi w Parku i dać im szansę, której pragną - ów fakt był dla mnie ożywym tchnieniem.

Wyśmiałem ich. Swoim śmiechem doprowadziłem Czarnego Billa Lindmana do dzikiego szału, a potem prawie mu zazdrościłem, bo już od dawna nie udawało mi się wpaść w taką furję. Lubię to żywiołowe popuszczenie cugli wszystkim swoim instynktom prócz jednego - instynktu zabijania, na ślepo i bez powodu. Mógłbym wtedy zapomnieć nawet o tobie, Bellamy, tam we mnie.

Ale to było wczoraj.

A wczorajszej nocy Dobry Ben Griswold zdobył głowę. Pamiętasz, jak się czuliśmy, ty i ja, kiedy dotarła do nas ta wiadomość? W pierwszej chwili chciałem umrzeć, Bellamy. Potem znenawidziłem Bena, tak jak nigdy jeszcze nikogo nie nienawidziłem, a dobrze znałem uczucie nienawiści. Nie mogłem uwierzyć, że tego dokonał. Nie mogłem uwierzyć, że z y j ą głowę zdobył.

Powiedziałem, że to pomyłka, że na pewno zdobył głowę kogoś z motłochu. Ale wiedziałem, że okłamuję sam siebie. Nikt nie łaszczy się na nikczemną głowę. One nie mają żadnej wartości. Potem wmawiałem sobie, że to nie może być głowa Wiernego Jonathana Hulla. Nie może być. Na pewno nie jest. Bo Hull był potężny. W jego holu znajdowało się prawie tyle samo głów co w moim. Gdyby Griswold miał zagarnąć je wszystkie, stałby się potężniejszy ode mnie. Ta myśl napawała mnie czymś, czego nie potrafiłem znieść.

Przywdziałem czapkę mego stanu z tyłoma dzwoneczkami, ile głów zdobyłem, i wyszedłem zobaczyć. To była prawda, Bellamy.

Opróżniano posiadłość Jonathana Hulla. Tłum wlewał się do środka i wylewał stamtąd, żony i dzieci Hulla wychodziły małymi, cichymi grupkami. Żony nie sprawiały wrażenia nieszczęśliwych, ale chłopcy tak. (Dziewczynki oddaje się motłochowi zaraz po urodzeniu; są bezwartościowe.) Obserwowałem przez chwilę tych chłopców. Wszyscy byli zrozpaczeni i rozdrażnieni. Jeden miał blisko szesnaście lat, był dużym, zwinnym wyrostkiem kończącym już chyba trening. Pewnego dnia mogę go spotkać w Parku.

Wszyscy pozostali chłopcy byli za młodzi. Teraz kiedy ich trening uległ przerwaniu, nigdy nie ważą się wejść do Parku. To dlatego oczywiście nikt z motłochu nigdy nie zostaje Łowcą. Przeistoczenie dziecka z królika w tygrysa wymaga długich lat morderczego treningu. W Central Parku szanse na przeżycie mają tylko tygrysy.

Zajrzałem przez okno domu Wiernego Jonathana. Ujrzałem puste szklane skrzynie w holu gościnnym. A więc nie jest to senny koszmar ani łgarstwo, że zagarnął je Griswold, powiedziałem sobie, zagarnął je, a razem z nimi głowę Wiernego Jonathana. Wszedłem w bramę i zaciskając pięści biłem głową w mur i jęczałem z pogardy dla samego siebie. Wcale nie byłem dobry. Nienawidziłem siebie i nienawidziłem też Griswolda. Wkrótce pozostała tylko ta druga nienawiść. Wiedziałem już, co muszę uczynić. Dzisiaj, pomyślałem, on stoi tam, gdzie ja stałem wczoraj. Zdesperowani ludzie będą go przekonywać, będą błagać, będą rzucać mu wyzwania próbując wszystkich znanych sobie sposobów, by ściągnąć go dzisiejszej nocy do Parku.

Ale ja jestem chytry. Planuję daleko naprzód. Mam sieci; zarzucone na posiadłość każdego Łowcy w mieście, krzyżujące się z ich własnymi sieciami.

Główną rolę odgrywała tutaj jedna z moich żon, Nelda. Dawno już zauważyłem, że zaczyna odnosić się do mnie z niechęcią. Nigdy się nie dowiedziałem, co było tego powodem. Podsycalem tę niechęć, dopóki nie przerodziła się w nienawiść. Zadbalem też, żeby Griswold się o tym dowiedział. To właśnie dzięki takim fortelom stałem się tak potężny, jakim wówczas byłem - i jeszcze będę, na pewno jeszcze będę.

Naciągnąłem na dłoń specjalną rękawicę (nie poznałbyś, że to rękawica), podszedłem do mojego wideofonu i zatelefonowałem do Dobrego Bena Griswolda. Pojawił się uśmiechnięty na ekranie.

- Wyzywam cię, Ben - powiedziałem. - Dziś wieczór o dziewiątej w Parku, przy karuzeli. Wyśmiał mnie. Był wysokim, potężnie umięśnionym mężczyzną o byczym karku. Spojrzałem na jego kark.

- Czekałem na twój telefon, Roger - powiedział. - Dziś wieczór o dziewiątej - powtórzyłem. Znowu wybuchnął śmiechem. - Ani myślę, Roger - odparł. - Po jakie lichy miałbym ryzykować głowę?

- Jesteś tchórzem.

- Pewnie, że jestem tchórzem - przyznał wciąż się uśmiechając - kiedy nie ma nic do zyskania, a wszystko do stracenia. Czy byłem tchórzem zeszłej nocy, kiedy zdobywałem głowę Hulla? Od dawna miałem go na oku, Roger. Przyznaję, obawiałem się, że dopadniesz go pierwszy. A tak nawiasem mówiąc, dlaczego tego nie zrobiłeś?

- To o twoją głowę mi chodzi, Ben.

- Dziś wieczorem nic z tego - powiedział. - I jeszcze nieprędko. Teraz długo nie będę zaglądał do Parku. Będę zbyt zajęty. Tak czy inaczej, daleko ci teraz do mnie, Roger. Ile masz głów? Wiedział, niech go piekło pochłonie, o ile mnie teraz wyprzedza. Pozwoliłem nienawiści wykrzywić mą twarz.

- Dziś wieczorem o dziewiątej w Parku - powiedziałem. - Przy karuzeli. Bo inaczej utwierdzisz mnie w przekonaniu, że się boisz.

- Pocałuj mnie gdzieś, Roger - zadrwił ze mnie. Dziś wieczorem prowadzę paradę. Popatrz sobie na mnie, jeśli chcesz... ale myśleć o mnie będziesz. Nic na to nie poradzisz.

- Ty świnię, ty parszywa, tchórzliwa świnię.

Roześmiał się; szydził ze mnie, prowokował, tak jak ja wielokrotnie czyniłem to wobec innych. Nie musiałem udawać gniewu. Miałem nieodpartą ochotę sięgnąć w ekran i zacisnąć palce na jego gardle. Dobrze było poczuć niepohamowaną wściekłość. Bardzo dobrze. Pozwalałem jej narastać do punktu, w którym wydała mi się wystarczająco wielka. Pozwalałem mu się śmiać i czerpałem z tego przyjemność.

I wtedy uczyniłem wreszcie to, co sobie zaplanowałem. We właściwym momencie, kiedy mogło to już wyglądać przekonywająco, świadomie dałem upust furii i rąbnąłem pięścią w ekran monitora. Roztrzaskał się. Twarz Griswolda rozleciała się na kawałki; ten widok przypadł mi nawet do gustu.

Połączenie zostało oczywiście przerwane. Ale wiedziałem, że wkrótce Griswold zgłosi się ponownie. Zsunąłem z dłoni rękawicę ochronną i wezwałem sługę, co do którego byłem pewien, że mogę mu zaufać. (Jest kryminalistą; ochrania go. Jeśli umrę, on też umrze i dobrze o tym wie.) Zabandażował mi nieuszkodzoną prawą dłoń i pouczyłem go, co ma powiedzieć reszcie służby. Wiedziałem, że wieść ta dotrze szybko do Neldy przebywającej w haremie i że nie minie godzina, jak usłyszy ją Griswold.

Karmiłem gniew. Przez cały dzień, ćwicząc pod kierunkiem moich instruktorów w sali gimnastycznej, trzymałem maczetę i pistolet tylko w lewej ręce. Demonstracyjnie dawałem po sobie poznać, że dochodzę do stadium dzikiej furii, szału zabijania, który ogarnia nas, kiedy czujemy, że doznaliśmy zbyt wielkiej porażki.

Porażka tego rodzaju może mieć tylko jedną z dwóch konsekwencji. Tą drugą jest samobójstwo. Nie ryzykujesz wtedy niczego i masz pewność, że twe ciało stanie na obrzeżach Parku zalane w plastikowy monument. Ale czasami do głosu dochodzi nienawiść i wypiera wszelki strach. Łowca staje się wtedy szalonym berserkerem, i pomimo że czyni go to bardziej niebezpiecznym, stanowi wówczas łatwą zdobycz - zapomina o ostrożności.

To niebezpieczeństwo dotyczyło również mnie, bo łatwo oddać się tego rodzaju zapomnieniu. A to najlepsza droga do skazania się na zapomnieniu.

Tak więc rzuciłem Griswoldowi przynętę. Ale trzeba było czegoś więcej niż sama przynęta, żeby go sprowokować, skoro uważał, że podjęcie takiego ryzyka nie przyniesie mu żadnego zysku. Rozpuściłem więc pewne pogłoski. Były to bardzo wiarygodne pogłoski. Z mojego poduszczenia rozniosło się pocztą pantoflową, że Czarny Bill Lindman i Gwizdacz Cowles, tak samo jak ja zdesperowani tryumfem, jaki odniósł nad nami Griswold, wyzwali jeden drugiego na spotkanie tej nocy w Parku. Tylko jeden mógł wyjść z tego żywy, ale ten jeden zostałby mistrzem Nowego Jorku w kategorii obejmującej naszą grupę wiekową. (Był jeszcze, ma się rozumieć, Stary Murdoch ze swą słynną, gromadzoną przez całe życie kolekcją. Rywalizacja na tak wysokim poziomie prowadzona była jednak tylko między nami.) Spodziewałem się, że zasłyszawszy te pogłoski Griswold zacznie działać. Takich wiadomości nie sposób sprawdzić. Człowiek rzadko rozgłasza otwarcie, że udaje się do Parku. Z tego, co wiedziałem, mogła to być nawet prawda. A z tego, co wiedział Griswold, jego przewaga znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, zanim zdąży się nacieszyć swoim Tryumfem. Oczywiście niebezpieczeństwo groziłoby mu również i wtedy, gdyby wyszedł bronić swego zwycięstwa. Lindman i Cowles są obaj dobrymi Łowcami. Ale Griswold, jeśli nie zwierzyłby mojego podstępu, miał szansę odnieść jedno pewne zwycięstwo - nade mną, Zaczynym Rogerem Bellamym, czekającym w ślepej furii na umówionym miejscu spotkania z nie nadającą się do użycia w walce prawą ręką. Czyż nie było to aż nadto oczywiste? Tak, ale ty nie znasz Griswolda.

Kiedy zapadł zmrok, przywdziałem strój myśliwski. Jest kuloodporny, czarny, ściśle dopasowany, ale nie krępujący żadnych ruchów. Uczerniłem sobie twarz i dłonie. Zabrałem pistolet, nóż i maczetę, której metalowe ostrze poddane specjalnym zabiegom nie miało prawa zabłysnąć w świetle ani go odbić. Lubiłem posługiwać się zwłaszcza maczetą. Mam silne ramiona. Uważałem, by nie używać zabandażowanej dłoni nawet wtedy, kiedy

odnosiłem wrażenie, że nikt mnie nie obserwuje. I pamiętałem, że muszę wyglądać na bliskiego wybuchu dzikim szałem, bo zdawałem sobie sprawę, że szpiedzy Griswolda będą mu donosić o każdym moim ruchu.

Ruszyłem w stronę Central Parku, zmierzając do wejścia, „ od którego było najbliżej do placynu z karuzelą. Do tego miejsca ludzie Griswolda mogli mnie sobie śledzić. Ale ani kroku dalej.

Ociągałem się przez chwilę przy bramie - pamiętasz to, Bellamy, tam we mnie? Pamiętasz plastikowe monumenty, które mijaliśmy idąc skrajem Parku? Falconer i Brennan, i inni, na zawsze nieśmiertelni, wyprężeni dumnie niczym bogowie w przeźroczystych, wiecznych blokach. Przeżyte wszystkie namiętności, stoczone wszystkie walki, zapewniona nieprzemijająca chwała. Czy ty też im zazdrościłeś, Bellamy?

Pamiętam, jak oczy starego Falconera zdawały się przewiercać mnie (pogardliwie). Liczba głów, które zdobył, jest wyryta na cokole jego monumentu, a był bardzo wielkim człowiekiem. Zaczekaj, pomyślałem. Ja też stanę w plastyku. Zdobędę więcej głów, niż udało się to tobie, Falconer, a dzień w którym tego dokonam, będzie zarazem dniem, w którym będę mógł złożyć to brzemie...

Ledwie skrył mnie głęboki mrok panujący w bramie, zsunąłem szybko bandaż z prawej dłoni. Wydobyłem swój czarny nóż i trzymając się tuż przy murze zacząłem przesuwać się szybko w kierunku małej furtki, do której jest najbliżej z posiadłości Griswolda: Nie miałem oczywiście najmniejszego zamiaru zbliżyć się do okolic placynu z karuzelą. Griswold będzie się śpieszył, żeby mnie dopaść i szybko się stąd ulotnić, a przez ten pośpiech przestanie być może myśleć. Griswold nigdy nie był dobry w myśleniu. Stawiałem wszystko na jedną kartę zakładając, że wybierze najkrótszą trasę.

Czekałem z uczuciem wielkiego osamotnienia rozkoszując się tą samotnością. Trudno było podsycać w sobie złość. W ciemnościach szeptały drzewa. Za Long Island, znad Atlantyku wschodził księżyc. Wyobraziłem sobie, jak zalewa swym blaskiem Cieśninę i miasto. Będzie dalej tak wschodził, kiedy ja dawno już nie będę żył. Będzie połyskiwał na moim monumencie i oblewał mą twarz zimnym blaskiem, kiedy ja i ty, Bellamy, będziemy już dawno spoczywać w pokoju, kiedy nasza długa wojna między sobą dawno już dobiegnie końca.

I wtedy usłyszałem nadchodzącego Griswolda. Spróbowałem opróżnić swój umysł ze wszystkiego prócz żądy zabijania. Do tego właśnie, od chwili kiedy ukończyłem sześć lat, przysposobiane były w takim znoju moje ciało i umysł. Odetchnąłem kilka razy głęboko. Jak zawsze usiłował narosnąć we mnie paniczny, paraliżujący strach. Strach i coś jeszcze. Coś czającego się we mnie - to ty, Bellamy? - co podpowiada, że tak naprawdę, to ja wcale nie chcę zabijać.

W tym momencie Griswold znalazł się w zasięgu mego wzroku i znajoma, nienazarta nienawiść doprowadziła wszystko z powrotem do normy.

Nie pamiętam wiele z samej walki. Wszystko, zdawało się, zaszło w pojedynczym epizodzie, w którym czas stanął w miejscu, chociaż przypuszczam, że w rzeczywistości trwało dość długo. Był nieufny już wtedy, gdy skręcał w furtkę. Wydawało mi się, że nie zdradza mnie najmniejszy szmer, ale on słuch miał wyostrzony i uskoczył w samą porę, by uniknąć mego pierwszego strzału, który powinien z miejsca rozstrzygnąć sprawę.

Tym razem nie były to podchody, lecz twarda, szybka i fachowa walka. Obaj mieliśmy na sobie kuloodporną odzież, ale obaj byliśmy już ranni, zanim udało nam się zbliżyć do siebie na tyle, by próbować sięgnąć nawzajem swych głów stałą. Griswold wolał szablę, a była ona dłuższa od mojej maczety. Mimo to walka była wyrównana. Musieliśmy walczyć szybko, bo hałas mógł tu ściągnąć innych Łowców, jeśli tacy wałęsali się tej nocy po Parku.

Ale w końcu zabiłem go.

Odciałem mu głowę. Księżyc nie wyłonił się jeszcze całkiem zza wysokich budynków po drugiej stronie Parku i noc była młoda. Wychodząc z głową Griswolda podniosłem wzrok na spokojne, dumne twarze nieśmiertelnych stojących wzdłuż obrzeża Parku.

Wezwałem samochód. W ciągu kilku minut byłem już z moim trofeum z powrotem w swojej posiadłości. Zanim dopuściłem do siebie chirurgów, dopilnowałem, by głowę zabrano do laboratorium do przyspieszonej obróbki, bardzo szybkiego spreparowania. I rozesłałem zaproszenia na uroczystość święcenia Tryumfu, która miała się odbyć o północy. Gdy leżałem na stole, a chirurdzy przemywali i opatrywali moje rany, wieść rozchodziła się już po mieście lotem błyskawicy. Moja służba była w posiadłości Griswolda i przenosiła jego zbiory do mego holu gościnnego, ustawiała dodatkowe skrzynie, które miały pomieścić wszystkie moje trofea, wszystkie trofea Wiernego Jonathana Hulla, jak również wszystkie Griswolda. Będę najpotężniejszym człowiekiem w Nowym Jorku, zaraz po takich mistrzach, jak stary Murdoch i jeden czy dwóch innych. Cała moja grupa wiekowa i ta o szczebel starsza, będą szalały z zazdrości i nienawiści. Pomyślałem o Lindmanie i Cowlesie, i roześmiałem się tryumfalnie. Wtedy myślałem, że to tryumf... wtedy.

Stoję teraz u szczytu schodów patrząc w dół na światła i jasność, na rząd po rzędzie trofeów, na moje żony całe w klejnotach. Służący podbiegają do wielkich podwoi z brązu i odmykają je z wysiłkiem. Co ukaże się za nimi? Tłum gości, wielkich Łowców przybywających złożyć hołd Łowcy większemu niż oni? Albo... przypuścmy, że na mój Tryumf nie przyszedł dosłownie nikt?

Brązowe wierzeje zaczynają się rozchyłać. Ale tam, za nimi nie będzie nikogo. Nie mogę być jeszcze tego pewien, ale wiem to, jestem pewien. Ten strach, który nie opuszcza Łowcy nigdy, z wyjątkiem jego ostatniego i największego tryumfu, jest teraz ze mną. Przypuścmy, że kiedy ja tej nocy podchodziłem Griswolda, jakiś inny Łowca zasadził się na grubszego zwierza? Przypuścmy, że ktoś zdobył głowę starego Murdocha? Przypuścmy, że tej nocy w Nowym Jorku jeszcze ktoś inny świętuje swój Tryumf, większy od mojego?

Strach dusi mnie za gardło. Przegrałem. Zakasował mnie jakiś inny Łowca. Nie jestem dobry...

Nie. Nie! Słuchaj. Słuchaj, jak wyrzaskują moje imię! Popatrz, popatrz na nich, jak wlewają się do środka przez otwarte wierzeje, są wszyscy wielcy Łowcy ze swymi skrzącymi się od klejnotów kobietami, wałą zbitą ciżbą, by zapelnąć roztaczający się pode mną, jasno oświetlony hol gościnny. Mój strach był przedwczesny. Mimo wszystko byłem tej nocy jedynym Łowcą w Parku. A więc zwyciężyłem i to mój Tryumf. Stoją tam, pośród połyskujących szklanych skrzyń z twarzami zwróconymi w górę, na mnie, z twarzami wyrażającymi podziw, zazdrość. Jest tam i Lindman. Jest Cowles. Potrafię bez trudu czytać z ich twarzy. Nie mogą się już doczekać, kiedy dopadną mnie samego dzisiejszej nocy i wyzwą na pojedynek w Parku.

Wszyscy wyciągają do mnie ramiona w geście pozdrowienia. Skandują moje imię.

Bellamy tam we mnie - słuchaj! - To nasz Tryumf. Nigdy nam go nie odbiorą.

Przywołuję skinieniem służę. Wręcza mi przygotowaną zawczasu, napełnioną już szklanicę. Teraz spoglądam z góry na Łowców z Nowego Jorku - spoglądam na nich z wyżyn swojego Tryumfu - i wznoszę ku nim mój puchar.

Piję. Łowcy - teraz nie możecie mnie już ograbić.

Stanę w plastyku dumny, boski w wiecznym bloku, który mnie oblewa, za mną wszystkie namiętności, za mną wszystkie walki, moja chwała zapewniona na wieki.

Truczna działa szybko.

To tryumf.

przekład : Jacek Manicki

Henry Kuttner      Tubylczykon spełły fajle

Nie ma sensu opisywać tu Unthahorstena, czy też miejsca, w którym się znajdował, a to dlatego, że po pierwsze, minęło od tamtej pory dobrych parę milionów lat, po wtóre zaś - Unthahorsten, technicznie rzecz biorąc, nie znajdował się na Ziemi. Zajmował - nazwijmy to umownie - pozycję stojącą w - nazwijmy to umownie - laboratorium. Szykował się właśnie do sprawdzenia maszyny czasu.

Już po jej włączeniu Unthahorsten uświadomił sobie nagle, że Skrzynka jest pusta. Czyli wszystko do kitu. Urządzenie wymagało elementu kontrolnego w postaci dowolnego ciała stałego o trzech wymiarach, które w czasie eksperymentu uległoby działaniu warunków innego czasu. Bez tego Unthahorsten nie byłby w stanie stwierdzić po powrocie maszyny, gdzie i kiedy lądowała. Natomiast ciało stałe podróżujące w Skrzynce musiałoby automatycznie ulec entropii i bombardowaniu promieni kosmicznych obcej epoki, co pozwoliłoby następnie Unthahorstenowi zmierzyć przemiany ilościowe i jakościowe, które w nim nastąpiły. Kalkulatory w mig poinformowały Unthahorstena, że Skrzynka zapędziła się, dajmy na to, w rok 1 000 000, czy też 1000, bądź 1 - to zależy.

Nie żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie, chyba że dla samego Unthahorstena. On miał jednak w sobie wiele z dziecka.

Nie było czasu do stracenia. Skrzynka zaczynała już chwiać się i podrygiwać. Unthahorsten w panice rozejrzał się dookoła, po czym pobiegł do sąsiedniej zakamary i zagłębił ręce po łokcie w skrzyni na rupiecie. Wydobył naręczę dziwacznych przedmiotów. Ufff. Była to skromna część nie używanych już zabawek jego syna, Snowena, które chłopiec przeniósł z Ziemi, gdy zdołał już opanować niezbędną technikę przechodzenia. Na nic mu się już te rupiecie nie przydadzą: Snowen był w pełni uwarunkowany i nie zajmował się już więcej zabawkami. Żona Unthahorstena przechowywała je, co prawda, ze względów sentymentalnych, cóż jednak znaczą sentymenty wobec eksperymentu naukowego.

Unthahorsten wybiegł z zakamary i wrzucił wszystko, jak popadło, do skrzynki. Zdążył zatrzaskać wieko tuż przed zapaleniem się sygnału ostrzegawczego. Skrzynka ruszyła w podróż, i to tak efektownie, że Unthahorsten doznał chwilowego porażenia wzroku.

Czekał.  
I czekał.

Wreszcie poddał się i skonstruował drugą maszynę czasu - z identycznym rezultatem. Ponieważ ani Snowen, ani jego matka nie przeżyli się utratą starych zabawek, Unthahorsten opróżnił graciarnię, wrzucając wszystkie pozostałe pamiątki z dzieciństwa syna w drugą Skrzynkę maszyny czasu.

Jeśli nie zrobił błędu w obliczeniach, druga Skrzynka powinna była trafić na Ziemię pod koniec dziewiętnastego wieku. Jeśli nawet do tego doszło, Skrzynka na zawsze pozostała w dziewiętnastym ziemskim stuleciu.

Unthahorsten zraził się do budowania maszyn czasu. Ale co się miało stać, to się już stało. Dwie Skrzynki ruszyły w podróż, a pierwsza z nich...

Scott Paradine, uczeń szkoły powszechnej w Glendale, natknął się na nią podczas odbywania wagarów. Tego akurat dnia wypadła klasówka z geografii, a Scott nie widział najmniejszego sensu we wkuwaniu na pamięć nazw miejscowości, co w latach czterdziestych dwudziestego wieku uchodziło za całkiem dorzeczną metodę nauczania. Dzień był ponadto wiosenny, ciepły, z lekko chłodnym wietrzykiem - słowem, wymarzony do tego, aby mali chłopcy wylegiwali się brzuchem do góry na pastwiskach, śledząc wzrokiem przepływające od czasu do czasu obłoki, póki nie zmorzy ich sen. Co tam głupia geografia! Scott zdrzemnął się. Około południa poczuł głód. Solidnie zbudowane nogi zawiodły go wprost do pobliskiego sklepu, gdzie zainwestował swój skromny kapitał ze skrupulatnością nędzarza i absolutną nonszalancją wobec własnych soków trawiennych. Poszedł nad strumień, żeby w spokoju coś przekąsić.

Uporawszy się z serem, czekoladą, ciastkami, a także butelką oranżady, którą osuszył aż do dna, Scott zajął się łowieniem kijanek, które następnie studiował z pewną dozą naukowego zainteresowania. Ale bez przesady. Coś sturlało się po zboczach i z głuchym tąpnięciem utknęło w nadbrzeżnym błocie. Scott rozejrzał się czujnie i pobiegł sprawdzić, co to takiego.

Była to skrzynka. Ściślej mówiąc, była to Skrzynka. Scott nie przejął się zbyt wiele wmontowaną w nią aparaturą, chociaż zauważył, że jest miejscami nadtopiona i osmalona. Zastanowił się chwilę i zaczął dłużyć przy znalezisku szczyty, wysuwając przy tym język z kącika ust. W pobliżu nie było nikogo. Skąd się ta skrzynka mogła wziąć? Na pewno ktoś zostawił ją na zboczach, a potem ziemia się osunęła i skrzynka razem z nią.

- To musi być ślimacznica - zdecydował Scott, oczywiście błędnie. Rzecz miała, co prawda, kształt helisy, nie była jednak ślimacznicą, z powodu wypaczenia wymiarów. Z modelem samolotu, nawet najbardziej skomplikowanym, Scott nie miałby żadnych trudności. Tu jednak stanął wobec poważnego problemu. Coś w środku szeptało Scottowi, że urządzenie, z którym właśnie ma do czynienia, jest znacznie bardziej skomplikowane niż silnik sprężynowy, który bez większych kłopotów udało mu się rozmontować w ubiegły piątek.

Nie ma jednak na świecie chłopca, który dobrowolnie zrezygnowałby z poznania tajemnicy zamkniętej skrzynki. Scott dłużył dalej. Kształt przedmiotu był jakiś dziwny. Pewnie krótkie spięcie. I dlatego - psia kość! Ostrze szczyty osunęło się. Scott zaczął gwałtownie ssać palec, w przerwach rzucając wiązanki misternych przekleństw.

A może to pozytywka.

Irytacja Scotta była bezpodstawna. Aparatura, z którą się zmagał, z powodzeniem przyprawiłaby o ból głowy Einsteina, a Steinmetza wyprawiłaby do domu wariatów. Rzecz w tym, że skrzynka nie weszła jeszcze całkiem w kontinuum czasoprzestrzenne, w którym

istniał Scott, i dlatego właśnie nie dawała się otworzyć, chyba, że Scott znalazłby odpowiedni kamień i wbił helisę, która wcale nie była helisą, w bardziej odpowiednią pozycję. Scott walnął kilka razy dokładnie w kierunku punktu stycznego helisy z czwartym wymiarem, niwelując utrzymujący się tam dotychczas skręt czasoprzestrzenny. Coś trzasnęło. Skrzynka podskoczyła i zaraz zastygła w bezruchu. Teraz istniała już na równi ze Scottem. Chłopiec otworzył ją bez trudu.

Najpierw zauważył miękki pleciony hełm, który nie wzbudził w nim większego zainteresowania. Czapka jak czapka. Następnie wziął do ręki sześcian, przezroczysty kryształowy klocek swobodnie mieszczący się w dłoni o wiele za mały, by mógł w sobie zawrzeć labirynt jakiegokolwiek aparatury. Scott w mgnieniu oka odgadł sekret kostki: był to rodzaj szkła powiększającego, przy czym powiększeniu, bardzo znacznemu, ulegały przedmioty wewnątrz klocka. Przedmioty, dodajmy, bardzo niezwykle. Na przykład - miniaturowi ludzie.

Ludziki poruszały się. Trochę tak jak automaty, chociaż ze znacznie większą płynnością. Scott poczuł się jak w teatrze: z dużym zaciekawieniem przyglądał się strojom ludzików, ale znacznie bardziej pasjonowało go to, co robiły. Ludziki zręcznie wznosiły dom. Scott pomyślał, że fajnie by było, gdyby dom się zapalił i gdyby ludziki zaczęły gasić pożar. Na w pół ukończona budowla stanęła w płomieniach. Roboty ugasiły ogień, używając przy tym ogromnej ilości dziwacznych urządzeń.

Scott natychmiast pojął, w czym rzecz. I trochę go to zaniepokoiło. Ludziki były najwyraźniej posłuszne jego myślom. Skoro to sobie uświadomił, z przerażeniem odrzucił sześcian. .

W połowie skarpy zmienił zdanie i zawrócił. Kostka częściowo zanurzona w wodzie, połyskiwała w słońcu. Nieomylny instynkt dziecka podpowiedział Scottowi, że to zabawka. Scott jednak nie podniósł klocka od razu. Najpierw powrócił do skrzynki, by dalej zbadać jej zawartość.

Było tam kilka naprawdę niesamowicie chytrych urządzeń. Popołudnie minęło jak z bicza strzelił. Scott zapakował wreszcie zabawki z powrotem do skrzynki, którą, posapując i stękając, zataszczył do domu. Kiedy stanął w drzwiach kuchennych, był zziąpany i czerwony jak burak.

Znalezisko ukrył za szafką w swoim pokoju na górze. Kryształową kostkę wsunął do kieszeni, i tak już wypchanej z powodu sznurka, drucianej spirali, dwóch monet jednocentowych, kulki z folii aluminiowej, zatłuszczonego znaczka na list i bryłki skalenia. Emma, dwuletnia siostrzyczka Scotta, wytoczyła się niepewnie z hallu, żeby powiedzieć cześć.

- Cześć, Baryła - rzucił jej Scott łaskawie z wyżyn całych swych siedmiu lat i kilku miesięcy. Traktował Emmę z przeraźliwą wyższością, ale jej to nie przeszkadzało. Jak pulchna wielkooka pacynka klapnęła na dywan, żałośnie wpatrzona we własne buciki.

- Zawiąże? Scotty?

- Co za oferma - mruknął dobrodusznie Scotty, ale zawiązał. - Jest obiad?

Emma kiwnęła główką.

- Pokaż łapy.

Łapy były, o dziwo, względnie czyste, chociaż może nie sterylnie. Scott przyjrzał się następnie własnym i skrzywiony ruszył do łazienki, gdzie poddał ręce oględnej toalecie.

Kijanki jednak zostawiają ślady.

Dennis Paradine i jego żona Jane popijali w salonie na dole przedobiedni koktajl. Dennis był mężczyzną w średnim wieku, jeszcze dość młodym, o miękkich szpakowatych włosach i szczupłej twarzy z wąską linią ust. Wykładał filozofię na uniwersytecie. Jane była niska, drobna, smągła i bardzo ładna. Sącząc Martini, odezwała się:

- Nowe buty? Podobają ci się?

- Za zbrodnię! - mruknął Paradine, zajęty własnymi myślami. - Co mówiłaś? Buty? Za chwilę. Muszę najpierw z tym skończyć. Miałem koszmarny dzień.

- Egzaminy?

- Właśnie. Płomienna młódź z ambicjami do wielkiej dorosłości. Życzę im wszystkiego najgorszego. Z nawiązką. Insz' Allah!

- Oliwka dla mnie! - upomniała się Jane.

- Wiem - odparł z rzygnacją Paradine. - Od lat nie tknąłem oliwki. W Martini, oczywiście. Można ci wrzucić sześć, a i tak nie będziesz miała dość.

- Bo chcę twoją. Braterstwo krwi. Symbolika. Właśnie dlatego.

Paradine zmierzył żonę druzgocącym spojrzeniem i założył jedną długą nogę na drugą.

- Jakbym słyszał pewną studentkę.

- Może Betty Dawson? Ta dziewczucha wstydu nie ma! - Jane wystawiła paznokcie. - Nadal tak bezwstydnie się do ciebie mizdrzy?

- Nadal. To dziecko kwalifikuje się do psychologa. Całe szczęście, że nie jest moją córką.

Gdyby była... - Paradine znacząco pokręcił głową. Świadomość seksualna, plus ciągle przesiadywanie w kinach. Zdaje się, że wciąż ma nadzieję zaliczyć przez uporczywe pokazywanie mi kolan. Dostyc kościstych, mówiąc między nami.

Jane z triumfującą miną obciągnęła spódnice. Paradine rozprostował nogi i przyrządził sobie kolejne Martini.

- Jak słowo honoru, nauczanie tych małych filozofii nie ma najmniejszego sensu. To najgorszy wiek. Mają już ukształtowane nawyki postępowania i myślenia. Są przeraźliwie konserwatywni, chociaż nie przyznają się do tego za skarby świata. Aby rozumieć filozofię, trzeba być albo dojrzałym człowiekiem, albo dzieciakiem jak Emma i Scotty.

- Bądź łaskaw nie wpisywać Scotty'ego na listę swoich studentów poprosiła Jane. - Jeszcze ma czas na doktorat. Nie szaleję na punkcie genialnych dzieci, zwłaszcza jeśli chodzi o mojego syna.

- Na pewno poradziłby sobie lepiej niż Betty Dawson - burknął Paradine.

- Zmarł w wieku lat pięciu jako zramolały staruszek - wyrecytowała z rozrzewnieniem Jane. - Oliwka dla mnie.

- Proszę. A propos, masz ładne buty.

- Dziękuję. O, jest Rosalie. Obiad?

- Obiad na stole, proszpani - zakręciła się na pięcie Rosalie. - Zawołam panienkę Emmę i panicza.

- Sam ich zawołam. - Paradine wsadził głowę w drzwi i wrzasnął:

- Dzieciaki! Micha!

Na schodach rozległ się tupot małych nóg. Zaraz potem ukazał się Scotty, wypucowany do połysku, z wojowniczo zaczesanym czubem. W ślad za nim Emma opuszczała się pracowicie ze schodka na schodek. W połowie drogi zrezygnowała z prób zejścia w pozycji pionowej, wykonała w tył zwrot i resztę trasy pokonała po małpiemu, a jej mała pupka spisywała się jak wzór pracowitości. Spektakl ten bez reszty pochłonął uwagę Paradine'a, póki syn nie władował się na niego z całym impetem.

- Cześć, tato! - wrzasnął piskliwie Scotty.

Paradine, ochłonawszy po zderzeniu, zmierzył Scotta dystygowanym spojrzeniem.

- Cześć. Czy byłbyś uprzejmy doprowadzić mnie do stołu? Dzięki tobie mam zwichnięty co najmniej jeden staw biodrowy.

Scott jednak zdążył już wpaść do następnego pokoju, gdzie w ferworze uczuć podeptał nowe buty Jane, wybelkotał coś na przeprosiny i dopadł swojego miejsca przy stole. Paradine wszedł za nim ze sceptyczną miną i z Emmą, która pulchną łapką kurczowo ścisnęła jego palec wskazujący.

- Ciekawe, co on znowu zmalował.

- Pewnie nic dobrego - westchnęła Jane. - Jak się masz złotko. Pokaż no uszy.

- Czyste. Miki je wylizwała.

- Śmiesz twierdzić, że język airedale'a jest o wiele czystszy niż twoje uszy - zauważyła Jane dokonawszy pobieżnej inspekcji. - Póki jednak cokolwiek jeszcze słyszysz, możemy uznać brud za powierzchowny.

- Powieszony?

- Niezbyt wielki - wyjaśniła Jane holując córeczkę do stołu, gdzie umieściła jej nóżki pod przegrodą wysokiego stołka. Emma dopiero niedawno dostąpiła zaszczytu zasiadania do stołu z resztą rodziny i - zdaniem Paradine'a - była z tego powodu dumna jak paw. Ponieważ powiedziano jej, że tylko małe dzidziesie paprzą przy jedzeniu, Emma przenosiła łyżkę do buzi z tak nabożną pieczołowitością, że Paradine patrząc na jej wysiłki co chwila dostawał konwulsji.

- Emmie przydałby się pas transmisyjny - stwierdził podsuwając krzesło żonie. - Tak, żeby małe porcje szpinaku wjeżdżały jej do buzi w regularnych odstępach czasu. - Obiad przebiegał bez większych wrażeń, póki Paradine nie spojrzał przypadkiem na talerz syna.

- Hej tam! Chory jesteś, czy obzarałeś się na dużej przerwie?

Scott z uwagą zlustrował zawartość pełnego jeszcze talerza.

- Już się najadłem - wyjaśnił.

- Zwykle zjadasz, ile wlezie i jeszcze trochę - powiedział Paradine.

Każdy wie, że dorastający chłopcy przerabiają dziennie po kilka ton jedzenia, a ty dziś wyraźnie nie wykonujesz normy. Na pewno nic ci nie jest?

- Mhm. Najadłem się, jak słowo honoru.

- Nie chcesz więcej?

- Nie chcę. Ja teraz jem inaczej.

- Nauczyłeś się w szkole? - zapytała Jane.

Scott z powagą pokręcił głową.

- Nikt mnie nie uczył. Sam to odkryłem. Nauczyłem się używać pluja.

- Wróć - przerwał mu Paradine. - To nie jest właściwe słowo.

- No, tej... śliny - dobrze?

- Mhm. Więcej pepsyny? Jane, czy ślina zawiera pepsynę? Nie pamiętam.

- Moja zawiera truciznę - odparła Jane. - Rosalie znowu niedokładnie utłukła kartofle. Ale Paradine był naprawdę zaintrygowany.

- Czy chodzi ci o to, Scott, że wydobywasz z pożywienia wszelkie możliwe wartości - żadnych odpadów - dzięki czemu możesz jeść mniej?

Scott zastanowił się chwilę.

- Chyba tak. To nie tylko pl... ślina. Ja jakby odmierzam sobie, ile na raz włożyć do ust i co z czym wymieszać. Tak naprawdę to nie wiem. Robię i już.

- Hmm - Paradine postanowił, że sprawdzi to później. - Pomysł, rzekłbym, rewolucyjny. - Dzieci często mają pomysły nie z tej ziemi, ale metoda Scotta wyglądała na wcale dorzeczną. Paradine z namysłem wyjął wargi. - Przypuszczam, że ludzie będą się w przyszłości odżywiać całkiem inaczej, tak w sensie sposobu jedzenia, jak i składu pożywienia. Jane, nasz syn ma wyraźne zadatki na geniusza.

- Nie?!

- Wygłosił właśnie cenną uwagę z zakresu dietetyki. Sam do tego doszedłeś, Scott?

- Pewnie - rzucił chłopiec, wierząc, że to prawda.

- Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

- No... - Scott wiercił się niespokojnie. - Sam nie wiem. To w końcu nic takiego.

Paradine był bezpodstawnie zawiedzony.

- Przecież... - Pll-luj - pisnęła Emma w nagłym przypiływie niegrzeczności. Pluj! - Spróbowała zademonstrować pluja, ale skończyło się na tym, że strumyczek śliny wylądował w śliniaku.

Jane z rezygnacją naprawiła szkodę i obsztorcowała córkę, gdy tymczasem Paradine ze świeżym zainteresowaniem obserwował Scotta. Dalszy ciąg miał jednak miejsce dopiero po obiedzie, w salonie.

- Masz coś do odrobienia?

- Nnie... - zaczerwienił się Scott. Aby pokryć zmieszanie, wydobyl z kieszeni znaleziony w skrzynce przedmiot i zaczął go rozkładać. Po rozłożeniu przedmiot przypominał mozaikową siatkę z nanizanymi koralikami. Paradine z początku nie zwrócił na zabawkę uwagi, za to Emma dostrzegła ją natychmiast. Też chciała się pobawić.

- Łapy przy sobie, Baryła - nakazał Scott. - Możesz najwyżej patrzeć. - Z cichym, pełnym przejęcia posapywaniem zaczął przesuwac koraliki. Emma wyciągnęła tłusty paluszek i pisnęła z bólu.

- Scotty! - mruknął ostrzegawczo Paradine.

- Ja jej nic nie zrobiłem.

- Ugryzł. Ten - pozaliła się Emma. Paradine podniósł wzrok. Spojrzał w kierunku dzieci i uniósł brwi. Co to u diabła...

- Liczydło? - zapytał. - Pokaż.

Z wyraźnym ociąganiem Scott przyniósł urządzenie siedzącemu w fotelu ojcu. Paradine gwałtownie zamrugał oczami. Rozłożone „liczydło” musiało mieć powyżej stopy kwadratowej powierzchni, zbudowane zaś było z przecinających się tu i ówdzie cienkich sztywnych drucików. Na druciki nanizane były kolorowe korale, które dawały się przesuwac w przód i w tył, a także w pionie, nawet w punktach przecięcia drutów. A przecież - koralik nanizany na drut nie ma prawa przejść przez punkt przecięcia.

Wniosek stąd, że koraliki nie były nanizane. Paradine poddał przedmiot bliższym oględzinom. Każdy koralik miał na obwodzie wydrażony rowek, dzięki czemu można go było zarazem obracać i przesuwac wzdłuż drutu. Paradine próbował oderwać jedną kulkę.

Trzymała się, jakby za sprawą siły magnetycznej. Żelazo? Wyglądało to raczej na plastyk.

A ta ramka - Paradine nie był matematykiem, ale kąty między drucikami szokowały zdumiewającym brakiem logiki euklidesowej. Tworzyły labirynt. Może całe urządzenie było właśnie łamigłówką...

- Skąd to masz?

- Od wujka Harry'ego - odparował Scott pod wpływem nagłego olśnienia. - Dał mi to w tamtą niedzielę, jak u nas był.

Wujek Harry wyjechał na jakiś czas z miasta, o czym Scott doskonale wiedział. Kiedy ma się siedem lat, wie się już dobrze, że dziwactwa dorosłych mają swoją logikę i że jednym z koronnych dziwactw jest przesadne zainteresowanie źródłami prezentów, które się otrzymuje. Co więcej, wujek Harry miał być nieobecny przez kilka tygodni: Scott nie był w stanie wyobrazić sobie wygaśnięcia tak odległego terminu, a zresztą nawet gdyby kłamstwo miało się w końcu wyjaśnić, ważniejsze na razie było utrzymanie zabawki.

Im dłużej Paradine manipulował koralikami, tym bardziej czuł się zbity tropu. Kąty były zdecydowanie nielogiczne, choć trudno było wskazać błąd. Coś jak łamigłówka. Ten na przykład czerwony koralik powinien po przesunięciu wzdłuż t e j osi trafić t a m - a jednak nie trafiał. Jakiś labirynt - dziwaczny, ale niewątpliwie pouczający. Paradine doznał w pełni

uzasadnionego uczucia, że nigdy w życiu nie starczyłoby mu cierpliwości do piekielnej zabawki.

Za to Scott miał cierpliwości pod dostatkiem. Przycupnąwszy w kącie, pracowicie przesuwiał koraliki, sapiąc przy tym i postępując. Koraliki istotnie kasały jak prąd, ilekroć Scott wybrał nie ten, który należało, lub zdecydował się na błędny kierunek ruchu. Wreszcie chłopiec zapał z przejęcia.

- Udało się! Tata!

- Co? Co się udało? Pokaż.

Paradine nie dostrzegł w urządzeniu żadnej zmiany, ale rozpromieniony Scott z dumą wskazywał na jego miejsce.

- Sprawilem, że zniknął.

- Przecież jest.

- Niebieski koralik. Nie ma go.

Paradine fuknął z niedowierzaniem. Scott ponownie skupił się nad ramką. Eksperymentował. Tym razem obeszło się bez wstrząsów elektrycznych, choćby najsłabszych. Abakus wskazał chłopcu właściwą metodę. Od tej chwili Scott mógł działać sam. Niesamowite kąty przecięcia drucików jakoś znormalniały.

Pouczająca zabawka, nie ma co...

Scott pomyślał sobie, że liczydło działa na podobnej zasadzie jak kryształowa kostka. Skoro już sobie o niej przypomniał, wydobyl kostkę z kieszeni, a liczydło scedował na Emmę, która aż oniemiała z radości. Natychmiast zabrała się do przesuwania koralików, tym razem nie skarżąc się na elektrowstrząsy - prawdę mówiąc minimalne - a dzięki niezwykłym zdolnościom naśladowczym udało jej się „zniknąć” koralik niemal tak szybko jak Scottowi. Scott nawet nie zauważył zniknięcia błękitnego koralika: wciśnięty w kąt między pluszową kanapą a wyściełanym fotelem dał się bez reszty pochłonąć sześcianowi.

Ludziki były w środku, tak jak przedtem, a kryształ, dzięki swym niezwykłym właściwościom, znacznie powiększał ich postacie. Poruszały się, a jakże. Budowały dom. Budowla stanęła nagle w niezwykle realistycznych płomieniach, a ludziki bezradnie sterczały z boku i czekały. „Gasić ogień!”, ponaglił je w duchu przejęty Scott.

I nic. Gdzie się podział ten śmieszny wóz strażacki, który wtedy przyjechał do pożaru? O, jest. Wjechał w pole widzenia i zatrzymał się. Scott ponaglił go do akcji.

Zabawa była kapitalna. Ludziki naprawdę słuchały tego, co Scott nakazywał im w myślach. Ilekroć popełnił błąd, czekały nieruchomo, póki nie trafił na właściwe rozwiązanie. Stawiały mu nawet zupełnie nowe zadania.

Kostka była również wielce pouczającą zabawką. Uczyla Scotta z niepokojącą szybkością - a przy tym nauka była wielką frajdą. Na razie jednak kostka nie przekazywała Scottowi żadnej nowej wiedzy. Jeszcze nie był gotów. Jeszcze czas... jeszcze czas...

Emma znudziła się w końcu liczydłem i ruszyła na poszukiwanie Scotta. Nigdzie nie mogła go znaleźć, nawet w jego własnym pokoju - skoro jednak już tam dotarła, zainteresowała się zawartością szafki. Odkryła skrzynkę, a w skrzynce niesamowity łup: lalkę, którą Scott pogardliwie zignorował. Popiskując z przejęcia, Emma zeszła z lalką na dół, kucnęła na samym środku pokoju i zabrała się do demontażu znaleziska.

- Córeńko! A to co takiego?

- Pan Misio.

Nie był to w żadnym razie Pan Misio, ślepy i bezuchy, lecz bardzo kochany dla swej miękkości i puchatego futerka. Dla Emmy jednak każda lalka była Panem Misiem.

Jane Paradine zawahała się.

- Zabrałaś jakiejs dziewczynce?

- Nie. Moje.

Scott wychynął z kryjówki upychając kostkę w kieszeni.

- A, to... to od wujka Harry'ego.

- Emmo, wujcio Harry dał ci lalę?

- Dał ją mnie, żebym dał Emmie - wtrącił pośpiesznie Scott, dokładając kolejny kamyczek do piramidy kłamstw. - W tamtą niedzielę.

- Popsujesz ją, córeczko.

Emma podeszła z lalką do matki.

- Rozbiera. Widzi?

- Naprawdę? Jak... fff! - Jane gwałtownie wessała powietrze przez zęby. Paradine spojrział w jej stronę.

- Co jest?

Wzięła lalkę i zbliżyła się do niego, ale po krótkim wahaniu przeszła do jadalni, rzucając mężowi znaczące spojrzenie. Podążył za nią i zamknął drzwi. Lalka leżała już na uprzątniętym stole.

- Jak ci się podoba, Denny? Niezbyt piękne, co?

- Hmm...

Istotnie, lalka była na pierwszy rzut oka dość obrzydliwa. Model anatomiczny nie dziwiłby w akademii medycznej, ale żeby lalka dla dzieci... Rozkładała się warstwami: skóra, mięśnie, poszczególne organy - wszystko miniaturowe, ale, jak stwierdził Paradine, doskonale precyzyjne. Paradine był szczerze zaciekawiony.

- Bo ja wiem... Dziecko inaczej odbiera te rzeczy...

- Patrz wątroba. To na pewno wątroba?

- Jasne. Wiesz co? Ja... a to ci dopiero!

- Co takiego?

- Ona jednak nie jest anatomicznie doskonała - Paradine przysunął sobie krzesło. - Przewód pokarmowy powinien być dłuższy; brak jelita grubego. Ślepej кишки też nie ma.

- Uważasz, że Emma może się tym bawić?

- Sam bym się pobawił - odparł Paradine. - Skąd ten Harry wytrzasnął taką lalkę? Nie, nie widzę w niej nic zdrożnego. Dorośli przywykli reagować na widok wnętrzości obrzydzeniem, ale dziecko nie zna tego uczucia. Wydaje mu się, że jest jednolicie wypchane w środku, coś jak kartofel. Ta lalka może nauczyć Emmę solidnych podstaw fizjologii.

- A to co jest? System nerwowy?

- Nie, system nerwowy biegnie tak. A to krwionośny: tętnice, żyły jaka śmieszna aorta... -

Paradine był wyraźnie zakłopotany. - Ta... jak jest siatka po łacinie? Rita? Rata?

- Rales - zaryzykowała Jane.

- To rodzaj oddychania - obciął ją z wyższością Paradine. - Nie mam pojęcia, czemu miałyby służyć ta świetlista siatka. Przenika całe ciało, tak jak nerwy.

- Krew.

- Nie. To nie jest układ krążenia, ani system nerwowy. Coś podobnego! Wygląda na to, że łączy się z płucami!

Zagadka dziwacznej lalki całkiem ich pochłonęła. Zdumiewająca perfekcja wykonania kłóciła się w niewytłumaczalny sposób z odstępstwami od normy fizjologicznej, jakie prezentował model.

- Zaczekaj, sięgnę po Goulda - powiedział Paradine i już po chwili porównywał lalkę z planszami anatomicznymi. Wyjaśniło mu to niewiele, raczej spotęgowało dezorientację. Ale frajda była jeszcze większa niż przy abakusie.

Tymczasem w pokoju obok Emma przesuwała w tę i z powrotem koraliki liczydła. Ruchy nie były już tak nieodgadnione, nawet jeśli koralik zniknął. Emma już prawie, prawie znalazła nowy kierunek - prawie...

Scott dysząc wpatrywał się w kryształowy sześcian i w myślach popełniając wiele falstartów, dyrygował wznoszeniem budowli nieco bardziej skomplikowanej niż ta, którą strawił ogień, On także się uczył - podlegał procesowi uwarunkowania...

Z czysto antropomorficznego punktu widzenia Paradine popełnił gruby błąd nie pozbywając się zabawek natychmiast. Nie uświadamiał sobie ich prawdziwego znaczenia, a gdy ta świadomość wreszcie do niego dotarła, sprawy zabrnęły już za daleko. Wujek Harry był nadal poza miastem, odcinając tym samym najoczywistsze źródło konsultacji. Poza tym trwały właśnie egzaminy śródsesemestralne, co oznaczało piekielny wysiłek umysłowy i kompletne wyczerpanie wieczorami. Jane na dodatek przez cały tydzień kiepsko się czuła. Tak więc Emma i Scott mogli korzystać z zabawek do woli.

- Tato - zapytał Scott któregoś wieczora - co to jest gargazon?

- Garnizon? Scott zawahał się.

- Nie, chyba jednak gargazon. Nie ma takiego słowa?

- Garnizon to jest miejsce, gdzie stacjonuje wojsko. Zgadza się?

- Nie pasuje - bąknął Scott i z chmurną miną wrócił do zabawy liczydłem. Szło mu już bardzo sprawnie, mimo to właściwy dzieciom instynkt unikania kłopotliwych sytuacji skłaniał go, tak samo jak Emmę, do bawienia się tajemniczymi przedmiotami z dala od dorosłych. Nie kryli się zbyt ostentacyjnie, ale bardziej skomplikowane eksperymenty przeprowadzali poza polem obserwacji rodziców.

Scott uczył się szybko. Sytuacje, które teraz widywał w kryształowej kostce, niewiele miały wspólnego z początkowymi prościutkimi problemami. Były to jednak fascynujące zadania techniczne. Gdyby Scott wiedział, że ktoś steruje jego edukacją i nadzoruje jego wyniki - choć w sposób czysto mechaniczny - z pewnością zaraz straciłby zainteresowanie zabawą. Ponieważ tego nie wiedział, nic nie tłamsiło jego inicjatywy.

Licydło, kostka, lalka i cała reszta przedmiotów, które dzieci znalazły w skrzynce...

Paradine'owi i Jane nie śniło się nawet, jak wielki wpływ na ich dzieci ma zawartość maszyny czasu. Bo i skądże mieliby to wiedzieć? Instynkt samozachowawczy dziecka czyni je naturalnym dramaturgiem. Dziecko nie ulega jeszcze częściowo dla siebie niewytłumaczalnym wymogom świata dorosłych, a różnice ludzkich charakterów dodatkowo komplikują mu życie. Ktoś na przykład mówi dziecku, że owszem, zabawa w błocie jest dopuszczalna, pod warunkiem, że podczas kopania dołów nie wrywa się z korzeniami kwiatów i drzewek. Ktoś inny natomiast kwestionuje błoto jako takie. Dziesięciorga przykazań nie wyryto na kamieniu - te przykazania ciągle się zmieniają, a dziecko jest beznadziejnie uzależnione od kaprysów tych, którzy je spłodzili, a zatem karmią i ubierają. No i tyranizują. Młode zwierzę nie odrzuca tyranii „dla twojego dobra”, gdyż jest ona zasadniczą częścią natury. Jednak jako indywidualista, zachowuje swą odrębność dzięki subtelnemu stosowaniu biernego oporu.

W obecności dorosłych zmienia się do poznania. Jak aktor, który pamięta o tym, że jest na scenie, robi wszystko, aby przypodobać się publiczności i ściągnąć na siebie jej uwagę. Wiek dojrzały nie oznacza końca takich starań. Tylko że dorośli nie traktują się nawzajem z taką oczywistością, z jaką traktują dzieci.

Stwierdzenie, że dzieci są mało subtelne, byłoby wielce ryzykowne. Dzieci różnią się od osobników dorosłych, ponieważ inaczej myślą. Możemy bez trudu przejrzeć ich gierki, ale one też potrafią przejrzeć nasze. Dziecko potrafi bezlitośnie zdemaskować dorosłego. Obrazoburstwo to przywilej dziecka.

Wyfiokowana damulka, lansady i uprzejmości konwersacji, często bliskie absurdu, gładki dandys...

Ach, ten savoir-faire! Cóż za wykwintne maniery!

Majątna wdowa i blond podfruwajka będą zachwycone. Mężczyźni wygłoszą kilka uszczypliwych uwag. A dziecko walnie prosto z mostu:

- Głupi jesteś!

Czy niedojrzała istota ludzka jest w stanie pojąć zawiły system stosunków społecznych? Nie. Dla takiej istoty przesadna kurtuazja to głupota. To rokoko wobec funkcjonalnej struktury wzorców życiowych dziecka. Egoistyczne zwierzątko, jakim jest dziecko, nie potrafi postawić się w sytuacji kogoś innego - a już z pewnością nie dorosłego. Jako samowystarczalny, niemal doskonały twór natury, którego potrzeby zaspokajane są przez innych, dziecko przypomina jednokomórkowca w systemie krwionośnym, któremu strumień krwi dostarcza pożywienia, unosząc z sobą produkty wydalania.

Logicznie rzecz ujmując, dziecko jest przerażająco doskonałe. Jeszcze doskonalsze musi być niemowlę, jest ono jednak tak obce dorosłemu, że podlega tylko najbardziej powierzchownym kryteriom porównawczym. Proces myślowy niemowlęcia jest dla nas czymś absolutnie niepojętym. A jednak małe dzieci myślą; myślą jeszcze przed narodzinami. Kiedy poruszają się i śpią w łonie matki, dzieje się to nie tylko za sprawą instynktu. Przywykliśmy z niechęcią reagować na myśl, że ledwie zdolny do życia embrion może rozumować. Myśl ta budzi nasze zdumienie, szokuje do granic chichotu, rodzi wstręt. Nic, co ludzkie, nie jest nam obce.

Tyle, że niemowlę nie jest ludzkie. A co dopiero embrion.

Prawdopodobnie dlatego zabawki nauczyły Emmę więcej niż Scotta. Scott potrafił, naturalnie, komunikować swoje myśli, a Emma nie, chyba że w zagadkowych wrywkach.

Weźmy sprawę bohomasów.

Jeśli damy małemu dziecku kartkę i ołówek, narysuje coś, co w jego oczach wygląda inaczej niż w oczach dorosłego. Bezsensowne esy-floresy mogą w niczym nie przypominać wozu strażackiego, a jednak j e s t to wóz strażacki - w oczach dziecka. Może nawet trójwymiarowy. Dzieci inaczej myślą i inaczej widzą.

O tych właśnie sprawach rozmyślał Paradine, któregoś wieczoru, przerzucając gazetę, a jednocześnie podpatrując sposób porozumiewania się Emmy i Scotta. Scott zadawał siostrze pytania. Czasem po angielsku, częściej jednak uciekał się do niezrozumiałych dźwięków i migów. Emma starała się odpowiadać, lecz szło jej to z największym trudem.

W końcu Scott podał jej kartkę i ołówek. Małej bardzo się to spodobało. Z językiem na wierzchu, pracowicie nagryzmoliła jakąś wiadomość. Scott przestudiował kartkę i zmarszczył brwi.

- Nie zgadza się - orzekł.

Emma z zapalem pokiwała główką. Złapała ołówek i domalowała jeszcze kilka bohomazów. Scott przez chwilę głowił się nad kartką, wreszcie wstał i z niepewnym uśmiechem zniknął w hallu. Emma z powrotem zajęła się liczydłem.

Paradine podniósł się, by rzucić okiem na kartkę, tknięty szaleńczą myślą, że być może Emma ni stąd ni zowąd opanowała sztukę kaligrafii. A jednak nie. Kartkę pokrywały pozbawione sensu esy-tloresy, doskonale znane wszystkim rodzicom. Paradine wydał wargi.

Mógł to być obraz przemian psychicznych karalucha ogarniętego depresją maniacką, ale chyba nie o to chodziło. A jednak bohomazy bez wątpienia miały swoje znaczenie dla Emmy. Może przedstawiały Pana Misia?

Scott wrócił do pokoju wyraźnie zadowolony. Napotkawszy wzrok Emmy, kiwnął głową.

Paradine poczuł ostrogę nieposkromionej ciekawości.

- Sekreciki?

- Nie, tylko że... Emma chciała, żeby zrobił dla niej jedną rzecz.

- Aha.

Pomny historii o dzieciach, które swobodnie paplały w niepojętych językach zapędzając uczonych lingwistów w kozi róg, Paradine postanowił zaanektować kartkę, kiedy Emma i Scott zakończą zabawę. Następnego dnia na uniwersytecie pokazał bohomazy Elkinsowi. Elkins, renomowany znawca wielu nieprawdopodobnych języków, aż się zachłysnął na widok prób literackich Emmy.

- Uważaj, Dennis, podaję ci wolny przekład. Cytuję: Sama nie wiem, co to znaczy, ale zabiłam ojcu solidnego ćwieka. Koniec cytatu.

Roześmiali się obaj i poszli prowadzić zajęcia. A jednak Paradine miał sobie jeszcze przypomnieć incydent z kartką. Zwłaszcza po spotkaniu z Hollowayem. Zanim jednak do tego doszło, minęły miesiące, a rozwój wypadków dalej dążył do punktu kulminacyjnego. Być może Paradine i Jane okazali nadmierne zainteresowanie zabawkami: Emma i Scott przywykli trzymać je w ukryciu i bawić się nimi z dala od rodziców. Nie demonstrowali swojej ostrożności, ale konsekwentnie jej przestrzegali. Mimo to rodziców, a zwłaszcza Jane, nie opuszczał niepokój.

- Wiesz, ta lalka, którą Emma dostała od Harry'ego... - zaczęła któregoś wieczoru Jane.

- Co z nią?

- Byłam dzisiaj w mieście i próbowałam się dowiedzieć, gdzie Harry ją kupił. Nie trafiłam na żaden ślad.

- Może ją kupił w Nowym Jorku? Nie przekonało to Jane.

- Pytałam i o te inne zabawki. Dali mi przejrzeć cały asortyment a Johnson's to jednak spora firma. Nie ma tam rzeczy, która by choć trochę przypominała liczydło Emmy.

- Mhm - Paradine nie przejął się specjalnie rewelacjami żony. Mieli bilety na wieczór, a robiło się późno, więc temat zabawek został chwilowo zawieszony.

Powrócił niebawem, w związku z telefonem sąsiadki, który odebrała Jane.

- Denny, ze Scottem coś się dzieje. Pani Burns twierdzi, że omal nie wystraszył jej Francisca na śmierć.

- Francis, Francis? Aaa, ten gruby zasmarkaniec. Wykapany ojciec. Staremu Burnsowi złamałem kiedyś nos, jeszcze na drugim roku.

- Przestań się chwalić i słuchaj, co ci mówię - przerwała mu Jane mieszając drinka. - Scott podobno pokazał Francisowi coś przerażającego. Może byś tak... .

- Chyba masz rację - Paradine nastawił ucha. Po odgłosach z sąsiedniego pokoju rozpoznał miejsce pobytu syna. - Scotty?

- Bababababach! - wrzasnął Scott i uśmiechnięty stanął w drzwiach. - Same trupy. Piraci z kosmosu. Wołałeś mnie, tato?

- Tak. Jeśli możesz odłożyć na chwilę pogrzeb kosmicznych piratów. Coś zrobił Francisowi Burnsowi?

W błękitnych oczach Scotta odmalowało się szczere zdumienie.

- Francisowi? Ja?

- Przypomnij sobie. Na pewno wiesz o co chodzi.

- Francisowi... Aaa! Nic, nawet go nie tknełem.

- Tknąłem - poprawiła machinalnie Jane.

- Tknąłem. Jak Boga Kocham. Dałem mu tylko popatrzeć w telewizorek, a on... się przestraszył.

- Telewizorek?

Scott wyjął kryształową kostkę.

- To nie jest prawdziwy telewizor, widzisz?

Paradine dokładnie obejrzał zabawkę, zdumiony mocą szkła powiększającego. Wewnątrz widniał bezsensowny barwny deseń. Nic poza tym.

- Wujek Harry...

Paradine ujął słuchawkę telefonu. Scotta zatkało.

- Czy wu... wujek Harry już wrócił?

- Tak.

- To ja lecę się wykapać - Scott był już w drzwiach. Paradine i Jane wymienili znaczące spojrzenia i oboje kiwnęli głowami.

Harry był w domu, wyparł się jednak jakichkolwiek powiązań z dziwnymi zabawkami.

Paradine dość groźnie zażądał od Scotta zniesienia na dół wszystkich inkryminujących przedmiotów. Rozłożyli je rzędem na stole: kostka, liczydło, lalka, czepek przypominający hełm i jeszcze parę zagadkowych urządzeń. Scott został szczegółowo przesłuchany. Jeszcze przez chwilę łął z desperackim samozaparciem, w końcu jednak poddał się i wśród szlochów wyrzeczył całą prawdę.

- Przynieś skrzynkę, w której to wszystko było - nakazał Paradine. I marsz do łóżka.

- Czy teraz - szloch - spotka mnie kara?

- Naturalnie, za wagary i za kłamstwo. Znasz reguły. Na dwa tygodnie koniec z kinem. To samo dotyczy oranżady.

Scott głośno pociągnął nosem.

- Nie oddasz mi tych rzeczy?

- Jeszcze nie wiem.

- No to... dobranoc, tatusiu. Dobranoc, mamusiu.

Kiedy mała figurka zniknęła na piętrze, Paradine przysunął się z krzesłem do stołu i starannie obejrzał skrzynkę. Długo i z namysłem dłużył przy zespole napędowym. Jane patrzyła z boku.

- Jak myślisz, Denny, co to może być?

- Nie mam zielonego pojęcia. Po diabła ktoś miałby zostawiać kufer zabawek nad strumieniem?

- Skrzynka mogła wypaść z samochodu.

- Nie w tym miejscu. Szosa nie zbliża się do strumienia na północ od nasypu kolejowego. Cała okolica pusta... - Paradine zapalił papierosa. Napijesz się?  
- Zaraz naleję - Jane wzięła się do dzieła. Tylko oczy zdradzały jej wielki niepokój. Podała mężowi szklankę i stanęła za jego plecami. - Martwisz się? - zapytała mierzwiąc mu włosy.  
- Skądże! Tylko skąd się wzięły te zabawki?  
- U Johnsona nikt o nich nie wiedział, a Johnson zaopatruje się w Nowym Jorku.  
- Ja też sprawdzałem - przyznał się Paradine. - Ta lalka - dźgnął lalkę palcem - nie przestawała chodzić mi po głowie. Robota na zamówienie, bardzo możliwe - tylko kto ją wykonał?  
- Może jakiś psycholog? To liczydło na przykład - to może być aparat do testów psychologicznych...  
- Jasne! - Paradine strzelił palcami. - Wiesz co? W przyszłym tygodniu wyklada u nas gościnnie facet, który nazywa się Holloway, psycholog dziecięcy. Podobno wielka sława. Może będzie coś wiedział na ten temat.  
- Holloway? Nie przypominam sobie...  
- Rex Holloway. On nawet... hmm, no tak... nawet niedaleko stąd mieszka. Myślisz, że mógłby się zajmować produkcją takich zabawek?  
Jane oglądała liczydło. Odsunęła je z niesmakiem.  
- Jeśli tak, to ja już go nie cierpię. Ale spróbuj, Denny, może się czegoś dowiesz.  
- Spróbuję.  
Z chmurną miną opróżnił szklankę. Opanował go trudny do zdefiniowania niepokój. Ale jeszcze nie lęk - jeszcze nie.

Rex Holloway był lśniącym grubaskiem o kompletnie tysej czaszce i masywnych okularach, nad którymi jak puszyste gąsienice spoczywały kosmate, czarne brwi. W tydzień po rozmowie z Jane Paradine przyprowadził go do domu na kolację. Holloway z pozoru nie zwracał większej uwagi na dzieci, a jednak rejestrował każde ich słowo i gest. Jego bystre, życzliwe, szare oczy nie przegapiły niczego. Był zafascynowany zabawkami. Trójka dorosłych zebrała się w salonie przy stole, na którym leżały wszystkie tajemnicze przedmioty. Holloway oglądał je z uwagą, sztuka po sztuce, słuchając komentarzy Jane i Paradine'a. Wreszcie i on się odezwał.  
- Cieszę się, że mnie państwo zaprosili. Chociaż właściwie nie bardzo jest się z czego cieszyć. To mocno niepokojące.  
- Jak? - Paradine wytrzeszczył oczy. Twarz Jane również wyrażała konsternację. Dalszy ciąg monologu Hollowaya bynajmniej ich nie uspokoił.  
- Mamy do czynienia z szaleństwem.  
Uśmiechnął się widząc ich oniemiałe miny.  
- Z punktu widzenia dorosłych każde dziecko jest szalone. Czytali państwo Orkan na Jamajce Hughesa?  
- Mam to tutaj - Paradine zdjął książkę z półki. Holloway wyciągnął rękę, wziął od niego książkę i zaczął ją kartkować, póki nie natrafił na miejsce, o które mu chodziło. Przeczytał na głos:  
,,... a niemowlęta - jak wiadomo - nie są ludźmi, są zwierzątkami i mają bardzo starą i wielostronną kulturę jak koty czy ryby, czy nawet węże: kulturę tego samego rodzaju, lecz

bardziej skomplikowaną i żywszą, ponieważ niemowlęta, ostatecznie, to jeden z najwyżej rozwiniętych gatunków wśród niższych kręgowców.

Krótko mówiąc, umysły niemowląt pracują według własnych prawideł, których nie da się przełożyć na prawidła umysłu ludzkiego”.

Jane starała się zachować spokój, ale zupełnie jej to nie wyszło.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że Emma...

- Potrafi pani myśleć tak jak pani córka? - odpowiedział pytaniem Holloway. - Nie jesteśmy w stanie myśleć jak małe dzieci, zupełnie tak samo jak nie jesteśmy w stanie myśleć jak, dajmy na to, pszczoła.

Paradine szykował alkohol.

- Mówi pan czysto teoretycznie, prawda? - rzucił przez ramię. Chodzi panu, jeśli dobrze zrozumiałem, o to, że niemowlęta mają własną, odrębną kulturę, i to o wysokim standardzie inteligencji.

- Niezupełnie. W tej dziedzinie, widzi pan, nie ma miar. Chciałem jedynie powiedzieć, że małe dzieci rozumują w sposób odmienny od naszego. Co nie znaczy, że 1 e p s z y - tu już wchodzimy w zakres wartości względnych. Myśl dziecka rozwija się w innej płaszczyźnie... - Holloway z bolesnym grymasem na twarzy szukał właściwych słów.

- To czysta fantazja - wtrącił niemal niegrzecznie Paradine, zirytowany aluzjami do Emmy. - Zmysły niemowlęcia nie różnią się przecież od naszych.

- A kto mówi, że się różnią? - zdziwił się Holloway. - Dziecko w odmienny sposób wykorzystuje swój umysł i tylko tyle. Z tym, że to „tylko” najzupełniej wystarczy!

- Usiłuję zrozumieć... - odezwała się z namysłem Jane. - Jedyne, z czym mi się to kojarzy, to mikser kuchenny: trzepie ciasto na naleśniki i tłucze kartofle, ale potrafi również wyciskać sok z pomarańczy.

- Ciepło, ciepło. Mózg jest koloidem, to bardzo skomplikowana maszyna. Niewiele wiemy o jego możliwościach. Nie znamy nawet jego chłonności. Jedno wiemy na pewno: że w miarę dojrzewania zwierzęcia z gatunku Homo, mózg stopniowo się uwarunkowuje. Przyjmuje zespół potocznych pewników i odtąd wszelka myśl opiera się na niekwestionowanych wzorcach. Weźmy ten przedmiot - Holloway dotknął palcem liczydła. - Przymierzał się pan do niego?

- Tak, trochę - odparł Paradine.

- Ale niespecjalnie, co?

- Prawdę mówiąc...

- A czemu nie?

- Bo to kompletnie nie ma sensu - wyznał z goryczą Paradine. Nawet w łamigłówce powinna być jakaś logika. A te zwariowane kąty...

- Pański umysł został uwarunkowany na Euklidesa - stwierdził Holloway. - Dlatego ten... przedmiot... nuży nas i wydaje się pozbawiony sensu. Dziecko jednak nic nie wie o geometrii euklidesowej. Żaden system geometryczny nie zadziwi go więc brakiem logiki. Dziecko wierzy w to, co widzi.

- Uważa pan, że to urządzenie jest tworem czterowymiarowym? - zapytał wyzywająco Paradine.

- Nie, przynajmniej nie widać tego - zaprzeczył Holloway. - Twierdzą jedynie, że nasze umysły, nawykłe do Euklidesa, widzą tu jedynie bezsensowną gmatwaninę drutów. Dziecko natomiast, zwłaszcza małe, widzi, być może, coś więcej. Też nie od razu. Z początku i dla dziecka będzie to łamigłówka. Tylko, że dziecko nie ma hamulców w postaci licznych schematów myślowych.

- Skleroza arterii rozumowania - wtrąciła Jane.

Paradine wciąż nie dawał się przekonać.

- W takim razie niemowlę powinno sobie radzić z rachunkiem różniczkowym lepiej niż Einstein. Nie, nie to chciałem powiedzieć. Rozumiem mniej więcej, o co panu chodzi. Tylko że...

- Cierpliwości. Załóżmy, że istnieją dwa systemy geometryczne - upraszczam dla potrzeb rozumowania. Jest geometria nasza, euklidesowa, i ta druga - nazwijmy ją geometrią x. X ma niewiele wspólnego z Euklidesem. Opiera się na innych przesłankach. Dwa plus dwa nie musi się tam równać cztery, lecz, dajmy na to - y2; albo w ogóle może się nie sumować. Umysł małego dziecka nie jest jeszcze uwarunkowany, jeśli nie brać pod uwagę wątpliwych czynników dziedziczności i wpływu środowiska. Wystarczy raz wpoić dziecku teorię Euklidesa...

- Biedne dziecko - westchnęła Jane.

Holloway skarcił ją przelotnym spojrzeniem.

- Podstawy geometrii euklidesowej. Alfabet matematyki. Rachunki, geometria, algebra - to przychodzi znacznie później. Ten etap rozwoju znamy bardzo dobrze. A teraz - wyłożmy dziecku podstawowe zasady logiki x...

- Zasady? Jakie na przykład? Holloway spojrzał na liczydło.

- Dla nas pewnie bezsensowne. No, ale my mamy nawyk myślenia po euklidesowemu.

Paradine nalał sobie whisky bez rozcieńczania.

- To przerażające, co pan mówi. Pan nie ogranicza zjawiska do matematyki.

- Racja. W ogóle go nie ograniczam. Nie byłbym w stanie. Nie jestem przecież uwarunkowany logiką x.

- Oto mamy odpowiedź - odetchnęła z ulgą Jane. - Kto w takim razie posługuje się logiką x? Bo właśnie tylko ktoś taki mógł wykonać zabawki, których rzekome działanie przed chwilą nam pan opisał.

Holloway pokiwał głową gwałtownie mrugając oczami spoza grubych szkielec.

- Niewykluczone, że tacy ludzie istnieją.

- Gdzie?

- Może wolą się nie ujawniać.

- Nadludzie?

- Sam chciałbym wiedzieć. Widzi pan, panie Paradine, znowu potykamy się o brak miarki. Wedle naszych standardów, tacy ludzie mogą być dla nas w pewnych sprawach absolutnie niedościgli. Różnica nie leży w ilości, lecz w jakości. Oni inaczej myślę. I z pewnością są rzeczy, które my potrafimy robić, a oni nie.

- Może dlatego, że im się nie chce - wtręciła Jane.

Paradine puknął w nadtopiony mechanizm skrzynki.

- A co pan powie na to? Widać tu wyraźnie...

- Celowość działania, jasne, że tak.

- A cel - przenoszenie obiektu z miejsca na miejsce?

- To z pewnością pierwsza myśl, jaka się nasuwa. Jeśli tak, skrzynka mogła przybyć skądkolwiek.

- Skądś, gdzie jest... i n a c z e j ? - wycedził wolno Paradine.

- Właśnie. W przestrzeni - a może i w czasie. Ja tego nie wiem, ja jestem psychologiem. I też, na nieszczęście, podlegam Euklidesowi.

- To musi być jakieś zwariowane miejsce - oceniła Jane. - Denny, wyrzuć te zabawki.

- Taki właśnie mam zamiar.

Holloway ujął kryształową kostkę.

- Wypytywali państwo dzieci? - Och, tak - odparł Paradine. - Scott mówił mi, że kiedy po raz pierwszy zajrzał w ten sześcian, zobaczył ludzi. Zapytałem go, co widzi teraz.

- I co odpowiedział? - oczy psychologa zaokrągliły się z ciekawości.

- Że budują dom. Dokładnie tak się wyraził. Zapytałem wtedy, co to za ludzie. Nie umiał odpowiedzieć.

- Spodziewam się - mruknął Holloway. - To musi mieć charakter postępujący. Od jak dawna dzieci mają te zabawki?

- Od jakichś trzech miesięcy.

- Starczy. Widzicie państwo, idealna zabawka jednocześnie uczy i bawi. Powinna zaciekawić dziecko mechanizmem działania, a zarazem powinna czegoś uczyć, możliwie nienachalnie. Z początku są to rzeczy proste. Później natomiast...

- Logika x! - Jane pobladła.

Paradine zaklął pod nosem.

- Emma i Scott są stuprocentowo normalni!

- A skąd pan wie, jak działają ich umysły - teraz?

Holloway nie pociągnął tematu. Od niechcienia bawił się lalką.

- Dobrze byłoby znać warunki, w jakich powstały te przedmioty. Indukcja, niestety, niewiele tu pomoże. Brakuje nazbyt wielu czynników. Nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie świata zorganizowanego na zasadzie x środowiska przystosowanego do umysłu rozumującego według wzorców x. Na przykład ta świetlista siateczka wewnątrz ciała lalki. To może być cokolwiek. Może 'i nasze ciała zawierają coś podobnego, chociaż jeszcze tego nie odkryliśmy. Gdybyśmy wpadli na właściwy trop... - wzruszył ramionami. - A co pan myśli o tym?

„To” było karminową gałką o średnicy dwóch cali, z wystającą w jednym miejscu naroślą.

- Co w ogóle można o tym myśleć?

- A Scott? Emma?

- Zobaczyłem to u nich dopiero jakieś trzy tygodnie temu. Kiedy Emma zaczęła się tym bawić. - Paradine skubał wargę. - Później Scott też się zainteresował.

- Co oni z tym robią?

- Przesuwają tam i z powrotem na wysokości oczu. Ruchy nie układają się w żaden wzór.

- Dodajmy: wzór euklidesowy - uściślił Holloway. - Dzieci z początku nie rozumiały celu działania zabawki. Musiały zostać do niej doksztalcone.

- To potworne - szepnęła Jane.

- Nie dla nich. Emma zapewne pojmuje x szybciej niż Scott, ponieważ otoczenie nie zdołało jeszcze uwarunkować jej umysłu.

Paradine zaprotestował.

- Pamiętam przecież masę rzeczy z własnego dzieciństwa. Nawet bardzo wczesnego.

- No i...?

- Czy byłem wówczas... nienormalny?

- Kryterium szaleństwa wyznaczają te rzeczy, których pan nie pamięta - odparł Holloway. - Słowa „nienormalny” używamy, proszę zauważyć, jedynie jako wygodnego określenia na odstępstwa od akceptowanej normy. Od standardowego pojęcia zdrowia psychicznego.

Jane odstawiła szklanę.

- Mówił pan, panie Holloway, że metoda indukcyjna w tym przypadku zawodzi. A jednak wydaje mi się, że wyciąga pan daleko idące wnioski z cieniutkich przesłanek. Te zabawki to w końcu...

- Jestem psychologiem, proszę pani, i specjalizuję się w dzieciach. Znam się na tym. Te zabawki mają dla mnie ogromne znaczenie i to właśnie przez swój brak sensu.

- Może się pan mylić.

- Mam szczerą nadzieję, że tak. Chciałbym teraz przebadać dzieci.

- W jaki sposób? - zjeżyła się Jane.

Holloway przedstawił jej swoją metodę i Jane przystała na badanie, jakkolwiek nie bez wahania.

- Niech będzie. Ale uprzedzam: moje dzieci to nie króliki doświadczalne.

Psycholog zamachał w powietrzu pulchną dłonią.

- Moje drogie dziecko, ja naprawdę nie jestem Frankensteinem. Jedyne, co mnie obchodzi, to indywidualny człowiek - chyba oczywiste, skoro pracuję w ludzkich umysłach. Jeśli z dziećmi dzieje się coś złego, chcę je wyleczyć.

Paradine odłożył papierosa i zapatrzył się w siwą spiralę dymu, drżącą lekko w niewyczuwalnym przeciągu.

- Można wiedzieć, czego się pan spodziewa?

- Moja hipoteza jest następująca: jeśli niewykształcone umysły zostały wprowadzone w kanał x, należy je stamtąd zawrócić. Nie twierdzę, że to najmądrzejsze, co możemy zrobić, ale z naszego punktu widzenia będzie to z pewnością zabieg roztropny. Emma i Scott będą przecież kiedyś musieli funkcjonować w naszym świecie.

- Tak, tak, oczywiście. Nie wydaje mi się jednak, aby coś z nimi było nie tak. Rozwijają się typowo, są na wskroś normalni.

- Z pozoru może to tak wyglądać. Żadne z nich nie ma powodu, by zachowywać się nienormalnie, prawda? Ale skąd może pan wiedzieć, czy... nie myślą inaczej?

- Zawołam ich - oświadczył Paradine.

- Proszę to zrobić w miarę niezobowiązująco. Nie chciałbym obudzić ich czujności. Jane ruchem głowy wskazała zabawki.

- Niech zostaną, dobrze? - zaproponował Holloway.

Psycholog nie śpieszył się z bezpośrednim przesłuchaniem Emmy i Scotta. Udało mu się sprytnie wciągnąć Scotta w rozmowę, w której od czasu do czasu padały słowa-klucze. Nic z brutalnych testów skojarzeniowych - do tego trzeba współpracy pytanego.

Najciekawsze wydarzyło się, gdy Holloway wziął w rękę liczydło.

- Mógłbyś mi pokazać, jak to działa?

Scott zawahał się.

- Tak, proszę pana. O - właśnie w ten sposób.

Zręcznie przeprowadził koralik krętą trasą przez labirynt, a zrobił to tak szybko, że w końcu nikt nie był pewien, czy koralik zniknął na finiszu, czy też nie. Wyglądało to na jakąś hochsztaplerkę. I drugi raz...

Holloway też spróbował. Scott obserwował jego wysiłki ze zmarszczonym nosem.

- Dobrze?

- Hmm... Teraz musi iść t a m.

- Tutaj? Dlaczego?

- Bo inaczej nie wyjdzie.

Holloway jednak myślał Euklidesem. Nie potrafił dostrzec logicznego uzasadnienia dla przesunięcia koralika z jednego konkretnego drucika na drugi konkretny drucik. Wybór drogi wydawał mu się czysto przypadkowy. Holloway zauważył też, że Scott podczas swej demonstracji prowadził koralik całkiem inną drogą. Przynajmniej tak mu się zdawało.

- Pokażesz mi jeszcze raz?

Scott spełnił życzenie, a następnie powtórzył operację jeszcze dwukrotnie. Holloway mrugał gwałtownie spoza szkieł. Czysty przypadek, to pewne. I ogromna skala wariacji. Scott za każdym razem prowadził koralik inną trasą.

Dziwne, ale nikt z dorosłych nie był na sto procent pewien, czy koralik zniknął, czy nie.

Gdyby oczekiwali jego zniknięcia, być może zareagowaliby inaczej.

Demonstracja Scotta nie rozwiązała niczego. Przy pożegnaniu Holloway zdradzał pewien niepokój.

- Czy mógłbym znowu państwa odwiedzić?

- Bardzo prosimy - zapewniła Jane. - Kiedy tylko pan zechce. Czy nadal pan sądzi...

Kiwnął głową.

- Dzieci nie rozumują typowo. Nie jest to, broń Boże, tępota; odniosłem tylko przedziwne wrażenie, że wyciągają wnioski w sposób dla nas niepojęty. Tak jakby posługiwali się algebrą, podczas gdy my używamy geometrii. Wnioski okazują się w końcu te same, ale różne są sposoby dochodzenia do nich.
- A zabawki? - zapytał zniecierpliwiony Paradine.
- Proszę je trzymać z dala od dzieci. Jeśli państwo pozwolą, chciałbym je wypożyczyć.

Paradine źle spał tej nocy. Ta nieszczęsna metafora Hollowaya prowadziła do niepokojących hipotez. Czynniki x... Dzieci posługują się odpowiednikiem myślenia algebraicznego, a dorośli geometrycznego...

Wszystko dobrze, tylko...

Algebra może dać odpowiedź na pytania, wobec których geometria jest bezradna: pewnych symboli i terminów nie sposób wyrazić geometrycznie. A jeśli logika x prowadzi do wniosków niepojętych dla dojrzałego umysłu?

- Psiakrew! - szepnął Paradine. Jane poruszyła się obok niego.
- Kochanie? Ty też nie możesz spać?
- Nie.

Paradine wstał i przeszedł do drugiego pokoju. Emma spała jak aniołek, przygarniając pulchnymi ramionkami Pana Misia. Przez otwarte drzwi widać było ciemną głowę Scotta spoczywającą na poduszce.

Jane stanęła obok męża. Objął ją ramieniem.

- Biedne małe ludziki - rzekła półgłosem. - A ten Holloway zrobił z nich szaleńców. Myślę, Dennis, że to my jesteśmy obłąkani.
- Masz rację. Całkiem nam odbiło.

Scott poruszył się i przez sen zawołał coś, co mogło być tylko pytaniem, choć nie przypominało żadnego języka. Emma wydała z siebie jękliwy pisk, w połowie gwałtownie zmieniając ton.

Nie obudziła się. Nawet nie drgnęła.

Paradine poczuł mdlący ucisk w dołku: wyglądało to dokładnie tak, jakby Scott zadał Emmie jakieś pytanie, a ona odpowiedziała.

Czyżby ich umysły odmieniły się na tyle, że nawet... śpią inaczej?

Pośpiesznie odrzucił tę myśl.

- Przeziębisz się. Wracajmy do łóżka. Chcesz się napić?

- Chyba tak - odparła Jane przyglądając się Emmie. Jej ręka machinalnie powędrowała w stronę dziecka; Jane cofnęła ją w ostatniej chwili. Lepiej chodźmy stąd. Pobudzimy dzieci. Wypili po koniaku, ale żadne nie odezwało się ani słowem. Tej nocy Jane płakała przez sen.

Scott nie obudził się, ale jego umysł wolno, precyzyjnie budował myśli. A więc - Zabiorą zabawki. Ten grubas - chyba listawa niebezpieczny. Ale nie wpadnie na kierunek goryjski - ewankurus dun tego nie ma. Intransdekacja - jasny świetlisty. Emma. Jest już bardziej kopranciczna niż... Wciąż nie wiem jak... tawarar liksery dist... Myśli Scotta były nadal po części zrozumiałe. Emma znacznie szybciej podlegała uwarunkowaniu x.

Ona także myślała przez sen.

Nie jak dorosły i nie jak dziecko. W ogóle nie jako istota ludzka - chyba że istniałby człowiek szokująco odmienny od gatunku Homo.

Nawet Scott chwilami śledził jej myśli z wielkim trudem.

Gdyby nie Holloway, życie Paradine'ów mogłoby wrócić do jakiejś takiej normy. Aktywnie stymulujące zabawki zniknęły z pola widzenia. Emma z całkiem zrozumiałym zachwytem powróciła do lalek i piaskownicy. Scott zajął się grą w baseball i „Małym chemikiem”. Robili wszystko to, co inne dzieci w ich wieku, nie zdradzając właściwie żadnych odchyłeń od normy. Holloway był chyba jednak panikarzem.

Przetestował wszystkie zabawki, otrzymując w rezultacie idiotyczne oceny. Sporządzał dziesiątki tabel i wykresów, wdał się w korespondencję z matematykami, inżynierami, a także z kolegami po fachu i stopniowo odchodził od zmysłów usiłując dociec w tajemniczych urządzeniach jakiegokolwiek logiki i sensu. Sama skrzynka i jej enigmatyczny mechanizm nie wyjaśniały niczego. Zbyt wielkie partie maszynierii stopiły się w litą bryłę. Ale zabawki...

Intrygujący był zwłaszcza element przypadkowości. I tu problem tkwił w semantyce.

Holloway był bowiem święcie przekonany, że to, co wygląda na przypadkowe, wcale takie nie jest. Rzecz w nadmiernej ilości niewiadomych. Żaden dorosły człowiek nie potrafił, dla przykładu, opanować liczydła. A dzieciom Holloway rozmyślnie nie dawał go do zabawy. Równie tajemnicza była kryształowa kostka. W jej wnętrzu tkwił szalony wielobarwny deseń, który czasem się poruszał. Pod tym względem kostka przypominała kalejdoskop. Tylko że nie ożywiały jej zmiany położenia ani ciężenia. Znowu ten element przypadkowości.

Albo raczej niewiadoma. Wzorzec x. Paradine i Jane odzyskali wreszcie spokój ducha, przekonani, że wraz z usunięciem przyczyny dzieci pozbyły się raz na zawsze skrzywienia umysłowego. Zachowanie Emmy i Scotta na każdym kroku przekonywało ich, że nie ma podstaw do niepokoju.

Dzieci uwielbiały pływanie, wycieczki, kino, gry i funkcjonalne zabawki przeznaczone dla ich grup wiekowych. To fakt, że nie potrafiły opanować pewnych mechanicznych łąmigłówek opartych na kalkulacji matematycznej - na przykład trójwymiarowego globusa do składania, który kupił im Paradine. Ale i on sam miał trudności ze złożeniem zabawki.

A jednak od czasu do czasu szydło wylaziło z worka. Któregoś sobotniego popołudnia Scott był z ojcem na wycieczce. Przystanęli na szczycie wzgórza. Pod nimi rozciągała się przepiękna dolina.

- Ładnie tu, co? - zauważył Paradine.

Scott z chmurną miną lustrował pejzaż.

- Wszystko pokręcone - oświadczył.

- Jak to?

- Nie wiem.

- Co jest pokręcone?

- Ojejku... - Scott umilkł zakłopotany. - No, nie wiem.

Dzieci odczuły brak zabawek, ale nie trwało to długo. Emma pierwsza pogodziła się z sytuacją, chociaż Scott nadal chodził naburmuszony. Prowadził z siostrą niezrozumiałe dialogi i uważnie studiował bohomy kreślone przez nią na kartkach, które jej podsuwał. Zupełnie jakby zasięgał fachowej rady w sprawach, które jego samego przerastały. Jeśli nawet Emma więcej rozumiała, Scott przewyższał ją inteligencją i zdolnościami manualnymi. Posługując się „Małym mechanikiem”, zbudował pewne urządzenie, ale nie był z niego zadowolony. Jego niezadowolenie wynikało z tej samej dokładnie przyczyny, która natchnęła Paradine’a radosną ulgą, gdy obejrzał konstrukcję syna. Była to konstrukcja typowa dla chłopców w wieku Scotta - przypominała kubistyczną wersję statku. Dla Scotta była jednak trochę za normalna. Dalej wypytywał Emmę, ale tylko gdy byli sami. Po namyśle Emma dorysowała kilka bohoma?ów charakterystycznie zaciśniętym w garści ołówkiem.

- Potrafisz to odczytać? - zapytała Jane syna któregoś ranka.

- Odczytać - nie. Wiem, o co jej chodzi. Nie zawsze, ale przeważnie tak.

- Czy to jest jakieś pismo?

- Nnie... To znaczy co innego, niż wygląda.

- Symbolizm - rzucił znad kawy Paradine. Jane spojrzała na niego wielkimi oczami.

- Denny...

Mrugał do niej i pokręcił głową. Nieco później, kiedy zostali sami, powiedział:

- Nie daj się zwariować temu Hollowayowi. Nie twierdzę, że dzieci porozumiewają się w nieznanym języku. Starczy, że Emma narysuje zawijasa i autoratywnie nazwie go kwiatkiem, a Scott to zapamięta. Kiedy po raz drugi narysuje takiego samego lub podobnego zawijasa... Rozumiesz?

- Tak - przyznała z wahaniem Jane. - Zauważyłeś, jak Scott ostatnio dużo czyta?

- Zauważyłem. Ale nie rusza niczego niezwykłego - na przykład Kanta czy Spinozy.

- Przerzuca i odkłada.

- Ja w jego wieku robiłem dokładnie to samo - zakończył rozmowę Paradine i wyszedł na poranne zajęcia. Lunch zjadł w towarzystwie Hollowaya, co przeszło już w codzienny obyczaj, a przy okazji opowiedział psychologowi o zapędach literackich Emmy.

- Powiedz mi, Rex, czy miałem rację mówiąc o symbolizmie?

Psycholog kiwnął głową.

- Absolutną. Nasz język też jest na obecnym etapie zbiorem arbitralnie ustalonych symboli. Przynajmniej tak go stosujemy. Popatrz. - Nakreślił na serwetce kształt wydłużonej elipsy. - Co to jest?

- Pytasz, co to przedstawia?

- Tak. Z czym ci się to kojarzy? Jest to uproszczony obraz... no, czego?

- Mnóstwa rzeczy - odparł Paradine. - Brzegu szklanki. Sadzonego jajka. Bułki paryskiej. Cygara.

Holloway dorysował trójkącik, który wierzchołkiem stykał się z jednym końcem elipsy. Podniósł wzrok na Paradine’a.

- Ryba - rzucił bez namysłu Paradine.

- Dobrze nam znany symbol ryby. Czytelny nawet bez płetw, oczu i pyszczka, gdyż przywykliśmy identyfikować ten konkretny kształt z naszym wyobrażeniem o rybie. Podstawa rebusu. Symbol ma dla nas o wiele szersze znaczenie niż to, co widzimy na papierze. Co przychodzi ci na myśl, gdy patrzysz na ten rysunek?

- No... ryba.

- Dalej, dalej. Co sobie wyobrażasz? Mów wszystko.

- Łuski - powiedział wolno Paradine z wzrokiem utkwionym w przestrzeń. - Woda. Piana. Oczy rybie. Płetwy. Kolory.

- A zatem symbol pokrywa znacznie więcej niż proste abstrakcyjne pojęcie r y b y ? Zwróć też uwagę, że desygnatem jest rzeczownik, nie czasownik. Akcję znacznie trudniej wyrazić symbolem. A teraz odwróćmy proces. Powiedzmy, że chcesz stworzyć symbol konkretnego rzeczownika - weźmy rzeczownik p t a k. Narysuj symbol.

Paradine narysował dwa połączone łuki.

- Najniższy wspólny mianownik - pokiwał głową Holloway. - Mamy naturalną skłonność do upraszczania. Zwłaszcza dziecko, jeśli widzi coś po raz pierwszy i dysponuje skromną skalą porównawczą. Usiłuje wówczas naciągnąć nowe zjawisko do tego, co już zna. Zauważyłeś może, jak dzieci rysują ocean? - Nie czekając na odpowiedź, Holloway wygłosił ją sam:

- Rysują takie falbanki. Jak linie faliste na sejsmografie. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem Pacyfik, miałem ze trzy lata. Świetnie to pamiętam. Wydawał mi się... przechylony. Gładka płaszczyzna ustawiona na bakier. Fale były regularnymi trójkątami z czubkiem do góry. Nie widziałem ich, oczywiście, w tak stylizowanej formie, tylko potem, myśląc o tamtym obrazie, musiałem przyrównywać fale do czegoś znajomego. Jedynie w ten sposób można pojmować nowe rzeczy. Przeciętnie rozwinięte dziecko usiłuje odtworzyć na rysunku regularne trójkąty fal, ale że brak mu koordynacji, wychodzi z tego wykres sejsmograficzny.

- Z czego wniosek...?

- Dziecko widzi morze. Stylizuje je. Rysuje konkretny wzór, w jego pojęciu symbolizujący morze. Zawijasy Emmy też mogą być symbolami. Nie twierdzą, że Emma inaczej widzi świat - może trochę jaśniej, ostrzej, bardziej kontrastowo, z ograniczoną percepcją powyżej poziomu wzroku. Twierdzą natomiast, że inne są jej procesy myślowe: że to, co widzi, przekłada na nienormalne symbole.

- Nadal wierzysz...

- Tak jest. Umysł Emmy został w najwyższym stopniu uwarunkowany. Być może wszystko, co dostrzeżę, rozbija na najprostsze, najoczywistsze obrazy i w nich z kolei dopatruje się znaczeń dla nas niepojętych. Tak jak w liczydło. Odkryła w nim system, choć dla nas liczydło funkcjonuje na zasadzie czystego przypadku.

Paradine zdecydował nagle, że czas przerwać tradycję obiadków z Hollowayem. Facet był panikarzem. Wygłaszał coraz bardziej bałamutne teorie i podciągał pod nie dosłownie wszystko, czy się nadawało, czy nie.

- Uważasz, że Emma i Scott porozumiewają się w jakimś tajemniczym języku? - zapytał uszczypliwie.

- Tak, symbolami, dla których ona nie zna słów. Założę się, że Scott rozumie większość tych... bohomasów. Trójął równoramienny może dla niego oznaczać cokolwiek - najpewniej jednak jakiś konkretny rzeczownik. Czy ktoś, kto nie ma zielonego pojęcia o chemii, rozumiałby, co znaczy H<sub>2</sub>O? Czy przyszłoby mu do głowy, że symbol ten może się kojarzyć z oceanem?

Paradine nie odpowiedział. Napomknął za to o dziwacznej uwadze Scotta na temat widoku ze wzgórza: że wszystko jest pokręcone. Już po chwili żałował, że nie ugryzł się w język, bo psycholog natychmiast z powrotem wskoczył na swego konika.

- Nawyki myślowe Scotta składają się w sumę, która nie odpowiada temu światu. Scott może podświadomie oczekiwać spotkania ze światem, z którego przybyły zabawki.

Paradine przestał go słuchać. Co za dużo to niezdrowo. Dzieciaki są w porządku, tylko Holloway wciąż siebie niepokój. Tego samego wieczoru Scott okazał nagle zainteresowanie węgorzami, które później okazało się brzemiennie w skutki.

Biologia to w końcu nic zdrożnego. Paradine dał się wciągnąć w dyskurs o węgorzach.

- Ale gdzie one składają jaja? Może w ogóle nie składają?

- To nie jest jeszcze wyjaśnione. Nie wiadomo, gdzie mają swoje tarłowiska. Może na Morzu Sargassowym, a może w głębinach, gdzie wysokie ciśnienie pomaga im rodzić.

- Dziwne - zamyślił się Scott.

- Łososie robią mniej więcej tak samo. W okresie tarła wędrują w górę rzeki. - Paradine wdał się w szczegóły. Scott był zafascynowany.

- No, to wszystko się zgadza. Rodzą się w rzece, a kiedy już umieją pływać, wędrują do morza. A potem wracają na składanie jaj, tak?

- Tak jest.

- Tylko, że pewnie nie wracają - uściślił z namysłem Scott. - Odsyłają po prostu jaja...

- Musiałyby mieć wyjątkowo długie pokładełka - zauważył Paradine i wdał się w starannie wyważony opis jajorodnych.

Scott nie był w pełni usatysfakcjonowany wywoдем. Przecież kwiaty, zauważył, wysyłają nasiona na wielkie odległości.

- Ale nimi nie sterują. Tylko nieliczne nasiona padają w żyzną glebę.

- No tak, kwiaty nie mają mózgu. Tato, dlaczego ludzie mieszkają właśnie t u t a j ?

- W Glendale?

- Nie, w ogóle - t u t a j. Na całej ziemi. Założę się, że muszą być inne miejsca.

- Myślisz o innych planetach? Scott zawahał się.

- To jest tylko... kawałek czegoś wielkiego. Jak rzeka, do której łososie płyną składać ikrę. Dlaczego ludzie, gdy dorosną, nie przenoszą się do oceanu?

Paradine uświadomił sobie, że Scott mówi metaforycznie. Ciarki przeszły mu po plecach. Do... oceanu?

Młode tego gatunku nie są przystosowane do życia w doskonalszym świecie rodziców. Przenoszą się do niego dopiero po osiągnięciu pewnego szczebla dojrzałości. Potem odbywa się tarło. Zapłodnione jaja zagrzebywane są w piasku, w górze rzeki, gdzie po pewnym czasie wykluwają się z nich młode.

Młode uczą się. Sam instynkt działa przeraźliwie wolno, zwłaszcza w przypadku gatunków wyspecjalizowanych, niezdolnych do radzenia sobie nawet z własnym światem, tak w sensie odżywiania, jak i przetrwania, póki ktoś nie zadba o ich potrzeby.

Młode mogą przeżyć, pod warunkiem, że ktoś je nakarmi i otoczy opieką. Rolę tę mogłyby spełniać inkubatory i roboty. Wówczas młode przetrwałyby, nie wiedziałyby jednak, jak płynąć w dół rzeki, w szeroki świat oceanu.

Ktoś musi je tego nauczyć. Muszą przejść trening i serię uwarunkowań.

Bezboleśnie, subtelnie, dyskretnie. Dzieci uwielbiają zabawki, które coś robią - a jeśli te zabawki w dodatku uczą...

W drugiej połowie dziewiętnastego wieku pewien Anglik siedział na porośniętym trawą brzegu strumienia. Tuż przy nim leżała malutka dziewczynka, zapatrzona w niebo. Dziewczynka odłożyła przed chwilą dziwną zabawkę, którą zajmowała się przez jakiś czas. Leżała nucąc niezrozumiałą mrużankę. Mężczyzna słuchał jej jednym uchem.

- Co to była za piosenka, moja mała? - zapytał w końcu.

- Sama ją ułożyłam, wujku Charlesie.

- Zaśpiewaj jeszcze raz. Wydobył notes.

Dziewczynka zaśpiewała.

- Czy to coś znaczy?

Kiwnęła głową.

- O, tak. Tak samo, jak historie, które ci opowiadam.

- To śliczne historie, kochanie.

- Naprawdę napiszesz je kiedyś w książce?

- Naprawdę. Tylko muszę sporo pozmienić - inaczej nikt by ich nie zrozumiał. Tej ostatniej pioseneczki chyba jednak nie zmienię.

- Nie wolno. Przestałaby znaczyć.

- Nie zmienię przynajmniej tej zwrotki - obiecał. Powiedz, mi, co ona znaczy.

- Myślę, że to jest wyjście - odparła z wahaniem dziewczynka. - Ale jeszcze nie wiem na pewno. Tyle powiedziały mi zabawki.

- Chciałbym wiedzieć, który to sklep w Londynie sprzedaje takie cudenka.

- Mamusia mi je kupiła. Ona umarła. Tatusia nie obchodzi moje zabawki.

Dziewczynka kłamała. Zabawki znalazła w skrzynce nad Tamizą, kiedy przypadkiem poszła się tam bawić. Były naprawdę cudowne.

A jej piosenka - wujek Charles nie doszukał się w niej żadnego znaczenia. (Właściwie nie był nawet jej wujkiem, tak tylko na niego mówiła. Ale był sympatyczny.) Piosenka znaczyła bardzo wiele. To był sposób. Wystarczyło się tylko zastosować do jej słów, a wtedy...

Ale dziewczynka była już za duża. Nie znalazła wyjścia.

Paradine zerwał znajomość z Hollowayem. Jane od początku instynktownie go nie lubiła, co nietrudno zrozumieć, skoro najbardziej w świecie pragnęła, by ktoś rozwiał jej niepokój. Ponieważ Scott i Emma zachowywali się ostatnio całkiem naturalnie, Jane była najzupełniej zadowolona. Jej spokój wspierał się w znacznej mierze na pobożnych życzeniach i Paradine jakoś nie był w stanie się nim zarazić.

Scott przynosił Emmie wciąż nowe urządzenia do inspekcji. Na ogół przecząco kręciła głową. Czasami jakby się wahała. Niezwykle rzadko wyrażała pełną aprobatę. Potem przez godzinę odchodziła pilna, gorączkowa bazgranina na ścinkach papieru, którą Scott z namaszczeniem analizował, po czym zmieniał układ kamieni, części maszynarii, ogarków świecy i innych szpargałów. Gospościa codziennie sprzątała kompozycję i codziennie Scott tworzył nową. Zgodził się łaskawie wyjaśnić co nieco zdumionemu ojcu, który uważał, że zabawa absolutnie nie trzyma się kupy.

- Dlaczego wsadzasz ten kamyk akurat tutaj?

- Bo jest twardy i okrągły. Pasuje tutaj.

- Ten też jest twardy i okrągły.

- Ale jest posmarowany wazeliną. Na tym etapie nie wystarczy wiedzieć, że coś jest twarde i okrągłe.

- A teraz co? Ta świeczka?

Scott rzucił mu druzgocące spojrzenie.

- Świeczka idzie na końcu. Teraz żelazny pierścień.

Coś jak podchody w lesie, pomyślał Paradine, strzałki w labiryncie. Ale znów o wszystkim decydował przypadek. Logika - przynajmniej logika znana Paradine'owi - nie miała przystępu do motywacji, jaką posługiwał się Scott przy komponowaniu swojej kupy śmieci.

Paradine wyszedł z pokoju. Przez ramię dostrzegł, że Scott wyciąga z kieszeni pomiętą kartkę i ołówek, by pośpieszyć z nimi do Emmy, która przycupnąwszy w kącie rozważała jakieś istotne sprawy.

Tak...

Co można robić w takie upalne niedzielne popołudnie, zwłaszcza, że Jane umówiła się na obiad z wujkiem Harrym. Paradine usadowił się w najchłodniejszym kącie domu ze szklanką whisky i dał się pochłonać komiksom.

W godzinę później tupot stóp na górze gwałtownie wyrwał go z drzemki.

- Mam! Baryła! Mam! - wrzeszczał Scott jak opętany - chodź tutaj!

Paradine zerwał się zaniepokojony. Gdy mijał hall, rozdzwonił się telefon. Jane obiecywała, że zadzwoni...

Z dłonią na słuchawce usłyszał stłumiony, entuzjastyczny pisk Emmy. Skrzywił się i potrząsnął głową. Co tam się dzieje, do diaska?

- Uważaj! Tędy! - zapiał Scott.

Paradine zapomniał o telefonie i rzucił się na górę. Usta mu dygotały, a napięcie nerwowe sięgało ostatnich granic. Drzwi do pokoju Scotta były otwarte.

Dzieci właśnie zniknęły.

Rozpadały się na cząstki, jak gęsta mgła na wietrze albo jak odbicie ruchu w krzywym zwierciadle. Odechodziły, trzymając się za ręce, w kierunku, którego Paradine nie potrafił pojąć. Mrugnął - i już ich nie było.

- Emma! - wykrztusił przez wyschniętą krtań. - S c o t t y !

Na dywanie dostrzegł deseń utworzony ze ścinków papieru, kamieni, żelaznego pierścienia - śmieci, które już znał. Deseń bez jakiegokolwiek metody. Przeciąg pchnął ku niemu zmiętą kartkę papieru.

Paradine podniósł ją machinalnie.

- Dzieci! Gdzie jesteście? Przestańcie się chować, Emma, SCOTTY! Telefon w hallu przestał emitować przenikliwe, monotonne brzęczenie.

Paradine spojrział na kartkę, którą trzymał w dłoni.

Była wyrwana z książki. Na marginesie i między wierszami widniały bezsensowne esy-floresy Emmy. Jedna linijka wiersza była prawie nieczytelna z racji licznych podkreśleń i dopisków. Paradine jednak doskonale znał drugą część Alicji w Krainie Czarów - Po drugiej stronie lustra. Pamięć bezbłędnie podsunęła mu słowa:

Bzdreżyło. Szłapy maślizgajne

Bujowierciły w gargazonach

Tubylarczykom spełły fajle,

Humpel wyhycnął ponad.

Tylko Humpty Dumpty wiedział, co to znaczy, pomyślał Paradine, jak idiota. Gargazon to wianuszek trawy otaczający zegar słoneczny. Zegar słoneczny. Czas. A więc ma to związek z czasem. Kiedyś, dawno, Scott pytał mnie, co znaczy gargazon. Symbolizm. /Bzdreżyło.

Doskonały wzór matematyczny zawierający wszystkie warunki, ujęty w postać symboliczną, którą dzieci w końcu rozumiały. Rupiecie na podłodze. Szlapy musiały być maślizgajne - wazeliną? - musiały też uzyskać taki wzajemny układ, który pozwoliłby im bujowiercić.

To absurd!

Ale nie dla Emmy i Scotta. Oni rozumowali inaczej. Posługiwali się logiką x. Notatki Emmy na kartce książki - Emma przełożyła słowa Carrolla na symbole zrozumiałe dla siebie i dla Scotta.

Element przypadkowości miał dla dzieci swoją logikę. Spełniły warunki równania przeskoku czasowego. Numpel wyhycnął ponad.

Paradine jęknął upiornie z głębi krtani. Wpartywał się w obłądny wzór na dywanie. Gdyby udało mu się pójść za nim, jak to zrobiły dzieci... Niemożliwe. Układ nie miał sensu. Element przypadkowości był nie do pokonania. Paradine myślał Euklidesem.

Nawet gdyby popadł w obłąd, nie zdołałby przekroczyć granicy. Nie o ten rodzaj szaleństwa tu chodziło.

Mózg Paradine'a chwilowo nie pracował. Paraliż strachu i niedowierzania wkrótce jednak minął - Paradine zmiął kartkę w garści.

- Emma! Scotty! - zawołał martwym głosem, bez cienia nadziei na odpowiedź.

Słońce wpadło ukosem przez otwarte okno, rozłaczając futerko Pana Misia. Na dole znów rozdzwonił się telefon.

przekład : Jolanta Kozak

Henry Kuttner      Twonk

W Mideastern Radio panowała taka fluktuacja kadr, że Mickey Lloyd sam już nie bardzo wiedział, kto u niego pracuje. Ludzie rzucali posady i odchodzili tam, gdzie lepiej płacono. Dlatego, kiedy z magazynu wyłonił się niepewnie mikry człowieczek z dużą głową, ubrany w przepisowy kombinezon, Lloyd jedynie rzucił okiem na spodnie typu ogrodniczki, w jakie firma zaopatrywała swoich pracowników i zagadnął dobrotliwie:

- Gwizdali już pół godziny temu. Piorunem - do roboty

- Robotty-ty? - człowiek miał wyraźny kłopot z wymówieniem słowa.

Pijany? Lloyd, jako mistrz zmianowy, nie mógł do tego dopuścić. Zdusił papierosa, zbliżył się do faceta i pociągnął nosem. Nie, nie czuć było alkoholu. Zerknął na emblemat przy kombinezonie robotnika.

- Dwieście cztery... mmm. Nowy?

- Nowy. Ee? - Facet potarł guz sterczący na czole. W ogóle wyglądał dziwnie: twarz bez cienia zarostu, blada, wymizerowana, oczka maleńkie, a w nich wyraz nieustającego zdziwienia.

- No, co z tobą, szefie? Pobudka! - zniecierpliwiał się Lloyd. - Pracujesz tutaj - czy nie?

- Szeffie - powtórzył facet z namaszczeniem. - Pracujesz. Tak. Robię.

Jakoś dziwnie kleił słowa, jakby miał rozszczerzone podniebienie. Raz jeszcze zerknąwszy na emblemat, Lloyd chwycił gościa za ramię i przemaszerował z nim przez halę montażową.

- To twoje stanowisko. Zabieraj się do roboty. Wiesz, co masz robić? Zagadnięty w odpowiedzi dumnie wyprężył cheralawy tors.

- Ja - ekspert - oświadczył. - Moje lepsze niż Ponthwanka.

- Okej - powiedział Lloyd. - To rób dalej takie dobre.

I poszedł sobie.

Człowiek zwany Szeffem przez chwilę się wahał, głaszcząc ślad kontuzji na głowie. Uwagę jego przyciągnął kombinezon, obejrzał go w nabożnym skupieniu i zdziwieniu. Skąd? - ano tak! Wisiał w pokoju, do którego najpierw trafił. Jego własna garderoba ulotniła się, naturalnie, w czasie podróży - jakiej podróży?

Amnezja, pomyślał. Spadł z... tego czegoś, kiedy to coś zwolniło i zatrzymało się. Jak tu dziwnie, w tej ogromnej, pełnej maszyn stodole! Z niczym mu się to miejsce nie kojarzyło. Amnezja, nic innego. Był robotnikiem. Wytwarzał przedmioty. Nieznajomość otoczenia nie miała tu nic do rzeczy. Nadal był oszołomiony. Za chwilę mózg mu się rozjaśni. Już się przeciera.

Praca. Szeff zlustrował halę, usiłując ~ jakoś wspomóc osłabioną pamięć. Ludzie w kombinezonach wytwarzali przedmioty. Proste, oczywiste przedmioty. Jakież dziecinne, jakie elementarne! Może to przedszkole?

Po chwili Szeff udał się do magazynu i obejrzał sobie kilka gotowych modeli radia połączonego z fonografem. Więc o to chodziło. Dziwaczne i niezgrabne, ale nie jego rzeczą było oceniać. Nie. Jego zadaniem było robić twonki.

Szeff wrócił do warsztatu i znalazł wolny stół. Zaczął budować twonka. Co jakiś czas wymykał się i podkradał niezbędne materiały. W jednym przypadku, nie mogąc znaleźć tungstenu, pośpiesznie zbudował mały aparacik sam go wytworzył.

Jego stół mieścił się w samym kącie hali, do tego słabo oświetlonym chociaż dla oczu Szefa było tam całkiem jasno. Nikt nie zwracał uwagi na jego radioadapter, który był już prawie skończony. Szeff pracował bardzo szybko. Zignorował gwizdek południowy i do fajrantu ukończył dzieło. Może przydałaby się jeszcze jedna warstwa farby - produktowi brak było migotliwego połysku standardowych twonków ale tutaj żaden egzemplarz nie błyszczał. Szeff westchnął, wczuł się pod stół, bezskutecznie rozejrzał się za relakso-pakiem i zapadł w sen na gołej podłodze.

Zbudził się po paru godzinach. W fabryce było pusto. Dziwne. Może zmienili godziny pracy? Może... w myślach Szefa panował dziwny zamęt. Sen rozwiął opary amnezji, jeżeli ogóle miała ona miejsce, ale Szeff nadal nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje.

Pomrukując pod nosem, wstawił twonka do magazynu i porównał z innymi... Z zewnątrz twonk niczym się nie różnił od najnowszego modelu radioadapteru. Naśladowując towarzyszy pracy, Szeff starannie ukrył w środku i zakamuflował wszystkie organa i reaktory.

Wrócił do warsztatu. I wówczas z jego mózgu uniósł się ostatni welon mgły. Ramiona drgnęły mu konwulsyjnie.

- A niech to szpindel ! - aż się zachłysnął. - Jasne! Wpadłem na rafę czasu !  
Rozglądając się lekliwie, popędził do magazynu, tego samego, do którego trafił na samym początku. Zdjął kombinezon i odwiesił go na miejsce. Następnie poszedł do kąta, pomachał ręką w powietrzu, z zadowoleniem pokiwał głową i usadowił się na niczym, trzy stopy ponad ziemią. Po czym zniknął.

- Czas - wywodził Kerry Westerfeld - jest krzywizną. Ostatecznie wraca tam, gdzie się zaczynał. Zjawisko , duplikacji.

Założył stopy na sposobnie sterczący gzyms kominka i przeciągnął się w poczuciu luksusu. W kuchni Marta pobrzękiwała butelkami i szklankami.

- Wczoraj o tej porze piłem martini - oznajmił Kerry.

- Krzywizna czasu wymaga, abym w tej chwili dostał następne. Słyszysz, aniołku?

- Nalewam - odezwał się z kuchni aniołek.

- Czyli zrozumiałaś, o czym mówię. Ale to nie wszystko. Czas zakreśla nie koło, lecz spiralę. Jeżeli pierwszy skręt oznaczymy jako „a”, to drugi należałoby oznaczyć „a plus , 1” - rozumiesz? Czyli że dzisiaj należy mi się podwójne martini.

- Już ja wiem, czym to się skończy - powiedziała Marta wchodząc do przestronnego, obitego boazerią salonu. Marta była drobną brunetką o wyjątkowo ładnej buzi i stosownej do urody figurze. Kuchenny fartuszek w kratkę wyglądał na niej dość absurdalnie w połączeniu ze spodniami i jedwabną bluzką. - A nieskończenie procentowego dżinu jeszcze nie produkują. Proszę, twoje martini.

Majstrowata przy mikserze i manipulowała szklankami.

- Mieszaj powoli - pouczył ją Kerry. - Nigdy nie miksuj. O, tak dobrze. - Ujął szklankę i przyjrzał jej si z uznaniem. Jego czarne, lekko szpakowate włosy załśniły w świetle lampy kiedy sączył martini. - Dobrze. Bardzo dobrze.

- Marta piła powoli, patrząc na męża. Miły facet, ten Kerry Westerfeld. Sympatyczny brzydał, lat czterdzieści z hakiem, o szerokich ustach i od czasu do czasu - kiedy kontemlował sens życia - sardonicznym błysku w szarych oczach. Pobrali się dwanaście lat temu i jakoś tego nie żalowali.

- Ostatni nikły blask zachodzącego słońca wpadł przez okno prosto na skrzynkę radioadapteru, stojącego pod ścianą koło drzwi. Kerry z satysfakcją popatrzył na aparat.

- Niezła sztuka - zauważył. Tylko... - Co? Och, ledwo to wtaszczyli po schodach. Czemu nie wypróbujesz, jak działa, Kerry?

- A ty nie próbowałaś?

- Już ten stary był dla mnie zbyt skomplikowany - nadąsała się Marta. - Te mechanizmy! Nie znam się na nich. Wychowałam się na Edisonie. Nakręcasz korbką . i z tuby wydobywają się dziwne odgłosy. To jeszcze rozumiałam - ale teraz? Wciskasz guzik i dzieją się

niestworzone rzeczy. Elektryczne oczka, selekcja tonu, płyty, które grają po obu stronach przy akompaniamencie nieludzkich zgrzytów i trzasków z wnętrza pudła - może ty to potrafisz zrozumieć. Ja nawet nie chcę. Kiedy odgrywam na takiej maszynie płytę Crosby'ego, mam wrażenie, że Bing czerwieni się z zażenowania.

- Kerry zjadł oliwkę.

- Nastawię Debussy'ego. - Ruchem głowy wskazał na stół. - Masz tam nową płytę Crosby'ego. Ostatnią.

Marta zakręciła się radośnie. - Mogę, jak myślisz?

- Mhm.

- Ale musisz mi pokazać, jak.

- Całkiem prosto - Kerry uśmiechnął się promiennie do odbiornika. To chytre sztuki, wiesz? Jedynie, czego nie potrafią, to myśleć.

- Szkoda, że nie zmywając naczyń zauważyła Marta. Odstawiła szklanekę, wstała i znikła w kuchni.

Kerry zapalił stojącą pod ręką lampę i podszedł do nowego radia, aby obejrzeć je z bliska. Najnowszy model firmy Mideastern, z wszystkimi udoskonaleniami. Kosztował sporo - ale co tam, Kerry mógł sobie na to pozwolić. Stary odbiornik był już do niczego.

- Zauważył, że urządzenie nie jest włączone do kontaktu. Nie było też widać żadnych kabli - nawet uziemienia. Pewnie nowość. Z wmontowaną anteną i uziemieniem. Kerry przykucnął, odnalazł kontakt i podłączył aparat.

Otworzył klapę i z wyrazem zadowolenia przyjrzał się pokrętlom. Nagły błysk niebieskawego światła walnął go niespodziewanie po oczach. Z głębi konsoly dobiegło nikłe, pełne namaszczenia tykanie. Ni stąd ni zowąd ustało. Kerry zamrugał oczami, pomajstrował przy gałkach i wtykach i przygryzł paznokieć.

- Schemat psychologiczny sprawdzony i zarejestrowany - oznajmiło radio beznamiętnym głosem.

- Co? - Kerry pokręcił gałką. Ciekawe, co to było? Jakaś amatorska stacja - nie, one nie wchodzi na antenę. Ciekawe... .

Wzruszył ramionami i przeniósł się na fotel koło półki z albumami płytowymi. Omiótł wzrokiem tytuły i nazwiska kompozytorów. Gdzie się podział „Łabędź z Tuoneli”? Jest, koło Finlandii. Kerry zdjął album z półki i rozłożył go na kolanach. Wolną ręką wyjął z kieszeni papierosa, wsadził go do ust i zaczął na oślep szukać zapalek na stoliku. Pierwsza, którą zapalił, natychmiast zgasła.

Cisnął ją do kominka i już miał sięgnąć po następną, kiedy uwagę jego przykuł nikły odgłos. Było to radio: maszerowało ku niemu przez pokój. Nie wiadomo skąd wysunął się

biczycowaty czulek, ujął zapalną, potarł ją o spód blatu - tak jak to czynił Kerry - i podał Kerry'emu ogień.

Zwyciężyły odruchy mimowolne. Kerry wciągnął dym, po czym wypuścił go gwałtownie, z szarpającym wnętrzością kaszlem.- Zgiął się w pół, chwilowo podduszony i oślepiony.

Kiedy przejrzał na nowo, radio stało na swoim miejscu.

Kerry zagryzł dolną wargę.

- Marta ! - zawołał.

- Zupa na stole - odpowiedział głos Marty.

Kerry nie odezwał się na to. Wstał, podszedł do radia i przyjrzał mu się podejrzliwie. Kabel był wyciągnięty z gniazdka. Kerry ostrożnie włączył go z powrotem.

Przykucnął, aby zbadać nogi konsoli. Wyglądały na pięknie wypolerowane drewno. Wysłana na przeszpiegi ręka niczego mu nie wyjaśniła. Drewno, twarde i absolutnie sztywne.

Więc jakim cudem, u diabła...

- Obiad! - zawołała Marta. Kerry rzucił papierosa do kominka i powoli wyszedł z pokoju. Żona która właśnie stawiała na stole sos przyjrzała mu się z uwagą.

- Ile martini wypijeś?

- Tylko jedno - odparł półprzytomnie Kerry. - Musiałem się zdrzemnąć. Tak, na pewno.

- No, zjadaj - zakomenderowała Marta. - Masz ostatnią szansę żeby się utuczyć jak wieprzek na moich pierogach - przynajmniej ostatnią tym tygodniu.

Kerry machinalnie namacał w kieszeni portfel. Wyjął z niego kopertę i rzucił ją do Marty.

- Twój bilet, aniołku. Nie zgub.

- Naprawdę? Mam cały przedział dla siebie? - Marta z radosnym pomrukiem wepchnęła kartonik z powrotem do koperty. - Dobry z ciebie kumpel. Na pewno poradzisz sobie beze mnie?

- Co? Tak, tak... Tak, myślę, że Kerry posolił avocado. Otrząsnął się jakby wychodził z lekkiej drzemki. - Pewnie, że sobie poradzę. Ty leć do Denver i pomóż Carol urodzić dziecko. Grunt, że wszystko zostaje w rodzinie.

- Moja jedyna siostra.- Marta uśmiechnęła się szeroko. - Wiesz jacy oni są, ona i ten jej Bill. Kompletni wariaci. Potrzeba im teraz statecznej ręki.

Odpowiedzi nie było. Kerry medytował nad nabitym na widelec kawałkiem avocado. Mruknął coś o Czcigodnym Bedzie.

- Co ci się przypomniało?
- Mam jutro wykład. Co semestr użeramy się z tym Bedą, diabli wiedzą po co. Ha, trudno.
- Przygotowałeś się do wykładu?

Kerry kiwnął głową.

- Jasne.

Wykładał na uniwersytecie od ośmiu lat; nic dziwnego, że znał program na pamięć.

Nieco później, przy kawie i papierosach, Marta spojrzała na zegarek. Już prawie czas na pociąg. Skończę się pakować. Naczynia...

- Ja pozmywam - Kerry podążył za żoną do sypialni, wykonując szereg jałowo pomocnych gestów. Po chwili zniósł walizki do samochodu. Marta dobiła do niego i ruszyli na stację.

Pociąg przyszedł o czasie. W pół godziny po jego odjeździe Kerry wprowadził samochód do garażu, wszedł do domu i ziewnął jak krokodyl. Był zmachany. Naczynia, piwko i do łóżka z książką.

Zerkając podejrzliwie na radio, poszedł do kuchni i zaczął zmywać. W hallu zadzwonił telefon. Kerry wytarł ręce o ścierkę i podniósł słuchawkę.

Dzwonił Mike Fitzgerald, wykładowca psychologii na uniwersytecie.

- Siemasz, Fitz.
- Siemasz. Marta pojechała?
- Tak, właśnie ją odstawiłem na stację.
- A chcesz chwilę pogadać? - Mam niezłą szkocką. Może byś wpadł na godzinkę?
- Z przyjemnością - odparł Kerry, znów ziewając. - Tylko że padam z nóg. Jutro mam ciężki dzień. A ty co - spektakl odwołany?
- Żebyś wiedział. Właśnie skończyłem sprawdzać pracę i czuję potrzebę wyostżenia umysłu. Co ci jest?

- Nic takiego, zaczekaj chwilę. Kerry odłożył słuchawkę, obejrzał się i aż go zatkało. Co jest?!

Przeszedł przez hall i zatrzymał się w drzwiach kuchni, wybałuszając oczy. Radio zmywało naczynia.

Po chwili wrócił do telefonu.

- No, co? - zapytał Fitzgerald.

- Moje nowe radio - wyartykułował jak najstaranniej Kerry - zmywa naczynia. Fitz przez chwilę nie odpowiadał. Roześmiał się w końcu, ale bez przekonania.

- Co ty powiesz?

- Zadzwoń później - powiedział Kerry i odłożył słuchawkę. Chwilę stał bez ruchu, zagryzając usta. Potem wrócił do kuchni i obserwował aparat.

Radio stało tyłem do niego. Kilkorgiem cherlawych członków manipulowało przy naczyniach, nurzając je fachowo w gorącej wodzie z płynem pianącym, szorując zmywakiem, płuczac w czystej wodzie, a na koniec ustawiając porządnie na metalowej suszarce. Biczycowate łapki były jedynym dowodem aktywności urządzenia. Nogi zdawały się twarde i nieugięte.

- Hej tam! - przemówił Kerry. Odpowiedzi nie było.

Kerry przybliżył się chyłkiem. Czułki wyrastały z otworu poniżej jednej z gałek. Kabel bezużytecznie dyndał z tyłu. Czyli bez zasilania. Ale jak...

Kerry cofnął się nieco i wyszperał papierosa. Radio momentalnie wykonało w tył zwrot, wyjęło zapalkę z pudełka na kuchence i podeszło do pana. Kerry zamrugał gwałtownie, patrząc na nogi. Nie mogły być drewniane. Zginały się jak... jak guma. Aparat wędrował dziwnym, posuwistym ruchem - niezmiernym.

Podowało Kerry'emu, ogień i wróciło do zlewu, gdzie podjęło proces zmywania naczyń.

Kerry zadzwonił do Fitzgeralda.

- Nie zgrywałem się. Albo mam halucynacje, albo co. To cholerne radio właśnie przypaliło mi papierosa.

- Czekać no - przerwał mu niepewnie Fitzgerald. - To kawał, tak?

- Nie. A co więcej, nie sądzę, żeby to były halucynacje. To twoja działka. Nie mógłbyś wpaść na chwilę i postukać mnie młotkiem w kolano?

- Dobra - odparł Fitz. - Daj mi dziesięć minut, Przygotuj coś do picia.

Wyłączył się, a Kerry, odkładając słuchawkę na widełki, zobaczył, jak radio przemaszerowuje z kuchni do salonu. Sześcienna, pudełkowata sylwetka, budziła nieokreślony lęk; radio przypominało niesamowitego kraba. Kerry zadrzał.

Poszedł za radiem i znalazł je na zwykłym miejscu, nieruchome i beznamietne. Otworzył drzwiczki, dokładnie obejrzał skalę, ramię fonografu, wszystkie guziki i pokrętła. Z pozoru nic nie odbiegało od normy. Raz jeszcze dotknął nóg. Jednak nie były drewniane. Jakiś plastik, chyba bardzo twardy. A może - może jednak były z drewna? Żeby się upewnić, trzeba by zadrapać fornir. Kerry poczuł uzasadnioną niechęć do użycia noża przeciwko nowemu nabytkowi.

Włączył radio. Stacje lokalne łapał bez kłopotu. Ton był czysty - nienaturalnie czysty - pomyślał Kerry. Fonograf...

Na. chybił trafił wyciągnął „Wejście Bojarów” Halvorsena, umieścił płytę na krążku i zamknął pokrywę. Kompletna cisza. Bliższe oględziny potwierdziły, że igła wędruje rytmicznie po rowku, lecz bez najmniejszych rezultatów akustycznych. Co jest?

Kerry zdjął płytę i w tej samej chwili rozległ się dzwonek u drzwi. Przyszedł Fitzgerald, chudy jak tyka, jak zwykle cierpko skrzywiony, z twarzą poliniowaną zmarszczkami jak dobrze wyprawiona skóra, ze skłębioną czupryną szpakowatych włosów. Wyciągnął na powitanie wielką, kościstą dłoń.

- Gdzie mój kieliszek?

- Przepraszam cię, Fitz. Chodź do kuchni. Już mieszam. Whisky z wodą? - Niech będzie.

- Okej - Kerry poszedł przodem. Ale jeszcze nie pij. Chcę ci pokazać mój nowy nabytek.

- Ten do zmywania naczyń? - zapytał Fitzgerald. - Co on jeszcze potrafi? Kerry podał mu szklankę. - Nie chce odtwarzać płyt.

- Ach, to drobiazg, skoro wykonuje prace domowe. Rzućmy na niego okiem.

Fitzgerald przeszedł do salonu, wybrał z półki „Popołudnie Fauna” i podszedł z płytą do radia.

- Nie włączone.

- To nie ma najmniejszego znaczenia - odparł Kerry, bliski paniki. - Baterie? - Fitzgerald wsunął płytę na sztyft i pokręcił gałkami. - Dziesięć cali, jest. Zobaczmy teraz, Popatrzył na Kerry'ego z triumfalnym uśmiechem. - No i co powiesz? ~ Istotnie, grało.

- Spróbujmy tego Halvorsena. Masz - Kerry podał płytę Fitzgeraldowi który wcisnął klawisz i patrzył, jak ramię fonografu wędruje do góry.

Tym razem jednak fonograf odmówił posłuszeństwa. Nie lubił „Wejścia Bojarów” - i kropka.

- Ciekawe - bąknął Fitzgerald. To pewnie wina płyty. Spróbujmy jeszcze inną. Z „Dafnis i Chloe” nie było problemów. Za to „Bolero” tegoż kompozytora zostało odrzucone w milczącej pogardzie.

Kerry usiadł i wskazał przyjacielowi stojący obok fotel.

- To niczego nie dowodzi. Chodź teraz tutaj i patrz. Jeszcze nie pij. Czujesz się całkiem dobrze, co?

- Jasne. A bo co?

Kerry wyjął papierosa. Konsola przemaszerowała przez pokój zabierając po drodze pudełko z zapalnikami uprzejmie podała panu ogień. Następnie odmaszerowała z powrotem na miejsce przy ścianie.

Fitzgerald nie odezwał się ani słowem. Po chwili sam wyjął z kieszeni papierosa i czekał. Nic się nie zdarzyło.

- No i? - zapytał Kerry.

- Robot. To jedyna możliwa odpowiedź. Skąd ty go wytrzasnąłeś, na litość Petrarcho?

- Nie widać, żebyś się specjalnie zdziwił.

- A jednak się zdziwiłem. Z tym, że ja już widywałem roboty, odbywano nimi próby w Westinghouse. Ale ten...

Fitzgerald postukał paznokciem zęby. - Kto go zrobił?

- A skąd ja, u diabła, mam to wiedzieć? - spytał Kerry. - Przypuszczam że ktoś, kto robi radia.

Fitzgerald przymrużył oczy.

- Poczekaj no. Nie całkiem rozumiem.

- Tu nie ma nic do rozumienia. Kupiłem ten zestaw parę dni temu. Stary zdałem. Dostarczyli mi go dzisiaj po południu, no i... - Kerry opowiedział wszystko po kolei.

- A więc nie wiedziałeś, że to robot?

- No właśnie. Kupiłem go jako radio. A ten..., ten cholernik... jest prawie jak żywy.

- Bzdura - Fitzgerald pokręcił głową, wstał i z bliska obejrzał konsolę. - To nowy typ robota. A przynajmniej... - zawahał się.

- Jak to inaczej tłumaczyć? Proponuję, żebyś jutro skontaktował się z firmą Mideastern i całą rzecz wyjaśnił.

- Otwórzmy skrzynkę i popatrzymy co tam jest w środku - podsunął Kerry. Fitzgerald nie był od tego, ale zamiar okazał się niewykonalny. Pozornie drewniane ścianki nie były skręcone śrubami, nigdzie też nie było widać miejsca, w którym skrzynka dawałaby się otworzyć. Kerry spróbował podważać śrubokrętem, z początku delikatnie, potem z hamowaną furią. Nie tylko nie udało mu się odgiąć ścianki, ale nie zdołał nawet zadrasnąć ciemnej, gładkiej powierzchni urządzenia.

- Niech to diabli! - zdenerwował się w końcu. - Może i masz rację. To robot. Nie wiedziałem, że potrafią coś takiego produkować. I czemu w postaci radia?

- Mnie pytasz? - wzruszył ramionami Fitzgerald. - Sprawdź jutro. To pierwszy krok. Dla mnie to też zagadkowa sprawa. Jeżeli wymyślono nową wersję wyspecjalizowanego robota - to po co ją umieszczać w radioadapterze? I na jakiej zasadzie poruszają się te nogi? Zawiasów nie widać.

- I ja się nad tym zastanawiałem. - Kiedy on idzie, te nogi zachowują się jak... z gumy. Ale nie są z gumy. Są twarde jak najtwardsze drewno. Albo z plastiku.

- Ja się tego boję - wyznał Kerry. - Chcesz przenocować u mnie?

- Nnie... Nie. Chyba nie. Ten... robot nic mi przecież nie robi.

- Nie sądzę, żeby miał złe zamiary. Jak dotąd tylko ci pomaga, prawda?

- Tak - przyznał Kerry i poszedł mieszać następne drinki.

Reszta rozmowy nie przyniosła żadnych wniosków. Po kilku godzinach Fitzgerald pojechał do domu. Był dosyć zaniepokojony. Sprawa nie wydawała mu się tak błaha, jak to okazywał przez wzgląd na nerwy Kerry'ego. Wpływ czegoś tak absolutnie nieoczekiwanego na normalne życie był z lekka przerażający. A mimo to, jak już wcześniej stwierdził, robot nie wydawał się groźny.

Kerry położył się do łóżka z nowym kryminałem. Radio podążyło za nim do sypialni i delikatnie wyjęło mu książkę z ręki. Kerry instynktownie szarpnął ją z powrotem.

- Hejże! - obruszył się. - Co to ma znaczyć?!

Radio odmaszerowało do salonu. Kerry za nim. W samą porę, aby obejrzeć akt odstawiania książki na półkę. Kerry postać chwilę, po czym wycofał się zamykając drzwi. Spał niespokojnie do świtu.

W szlafroku i kapciach, chwiejnym krokiem, udał się do konsoly. Stała na swoim miejscu, jakby się nigdy stamtąd nie ruszała. Kerry zabrał się do śniadania. Wyglądał dość mizernie.

Wolno mu było wypić tylko Jedną kawę. Drugą filiżankę wyrosłe jak spod ziemi radio karcącym ruchem wyjęło mu z ręki i opróżniło do zlewu.

Tego już było za wiele. Kerry Westerfield chwycił kapelusz, płaszcz, i niemal biegiem opuścił dom. Miał paskudne uczucie, że radio może pobiec za nim, ale nie uczyniło tego, na

szczęście dla równowagi psychicznej swego pana. Kerry był już na dobre zaniepokojony.

Podczas porannych zajęć znalazł chwilę na telefon do Mideastern. Dział sprzedaży o niczym nie wiedział. Radio było standardowym zestawem nowego typu. Jeżeli zawodzi, firma naturalnie z chęcią...

- Radio jest w porządku - przerwał Kerry. - Tylko kto je zrobił? Tego chciałbym się dowiedzieć.

- Proszę chwilę poczekać. - Nastąpiła cisza. - Ten egzemplarz wyszedł z działu pana Lloyda. Pan Lloyd jest kierownikiem działu.

- Chciałbym z nim mówić.

Lloyd nie okazał się zbyt pomocny. Po długim namyśle przypomniał sobie, że ten konkretny zestaw umieszczono w magazynie bez numeru seryjnego. I z pewnym opóźnieniem.

- Ale kto go składał?

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że to do sprawdzenia. Umówmy się, że sprawdzę i zadzwonię do pana

- Proszę to koniecznie zrobić powiedział Kerry i wrócił na zajęcia. Wykład o Czcigodnym Będzie nie był największym osiągnięciem jego kariery zawodowej.

Na lunchu spotkał Fitzgeralda, który z wyraźną ulgą powitał pojawienie się Kerry'ego przy stole.

- Dowiedziałeś się czegoś o swoim robociku? - zapytał profesor psychologii. W zasięgu głosu nie było nikogo. Kerry usiadł z westchnieniem i zapalił papierosa.

- Nic a nic. To wielka satysfakcja, działać na własną rękę. - Zaciągnął się głęboko. - Dzwoniłem do firmy.

- I?

- Nic nie wiedzą. Tyle tylko, że nie miał numeru seryjnego.

- To może być ważne - powiedział Fitzgerald.

Kerry opowiedział mu o książce i o kawie. Fitzgerald - zasępił się nad szklanką mleka.

- Robiłem ci kiedyś testy psychologiczne. 21e znosisz nadmiaru bodźców. - Wątek kryminalny!

- To by już była lekko przesada. Ale rozumiem, dlaczego twój robot zachowywał się tak, a nie inaczej chociaż nie wiem, skąd wie, jak ma się zachowywać. - Zawahał się. Skąd wie, nie mając inteligencji.

- Inteligencji? - Kerry obliznął usta. - Wcale nie Jestem taki przekonany, że to zwyczajna maszyna. A jeszcze nie zwariowałem.

- Nie, nie zwariowałeś. Ale mówisz, że robot był w drugim pokoju - skąd mógł wiedzieć, że czytasz?

- Może ma rentgen w oczach, superszybkie zdolności postrzegania, dar asymilacji

- Nie mam pojęcia. Może on sobie w ogóle nie życzy, żebym ja czytał?

- To już coś - mruknął Fitzgerald. - Znasz się na teorii maszyn tego typu?

- Robotów?

- Podkreślam: na teorii. Twój mózg jest, jak wiesz, koloidem. Zwartym, skomplikowanym - lecz powolnym. Wyobraź sobie teraz, że tworzysz mechanizm z multimilionową jednostką radioatomową otoczoną materiałem izolacyjnym. Co to Jest, Kerry? Mózg! Mózg wyposażony w niewyobrażalną liczbę jednostek reagujących wzajemnie z prędkością światła. Głośnik radiowy osiąga płynny przepływ wtedy kiedy pracuje na czterdziestu milionach oddzielnych sygnałów na sekundę. Teoretycznie, mózg radioatomowy o jakim wspomniałem, byłby zdolny do percepcji, identyfikacji, porównywania reakcji i działania w ciągu jednej setnej, a nawet jednej tysięcznej sekundy.

- Teorie.

- I ja tak zawsze myślałem. Ale chciałbym wiedzieć, skąd się wzięło twoje radio. Przyszedł woźny.

- Telefon do pana Westerfielda.

Kerry przeprosił i wyszedł. Wrócił zagadkowo marszcząc czarne brwi. Fitzgerald popatrzył na niego pytająco - Dzwonił niejaki Lloyd z zakładów Mideastern. Rozmawiałem z nim o tym odbiorniku.

- Z jakim skutkiem? Kerry pokręcił głową.

- Zerowym. Nie wie, kto składał ten egzemplarz.

- Ale składano go w ich zakładach - Tak. Jakieś dwa tygodnie temu Ale nigdzie nie ma nazwiska technika. Lloyd zdaje się uważa, że to bardzo a bardzo zabawne. Bo zawsze wiedzą, kto składa które radio w ich fabryce.

- Czyli?

- Czyli nic. Zapytałem go, jak się otwiera skrzynkę. Mówi, że nic prostszego: wystarczy odkręcić śruby w tylnej ścianie.

- Przecież tam nie ma żadnych śrub - powiedział Fitzgerald.

- Wiem o tym. Popatrzeli po sobie.

Pierwszy odezwał się Fitzgerald.

- Dałbym pięćdziesiąt dolarów za wiadomość, czy tego robota rzeczywiście zmontowano zaledwie dwa tygodnie temu.

- Dlaczego?

- Bo mózg radioatomowy wymaga treningu. Nawet w tak prostych sprawach jak przypalanie papierosa.

- Widział, jak ja zapalam papierosa.

- I naśladował cię. A zmywanie? Hmm. Pewnie indukcja. Jeżeli ta maszynka przeszła trening, to jest robotem. Jeżeli nie... - Fitzgerald urwał.

Kerry gwałtownie zamrugał oczami, - To co?

- To nie wiem, co to za lichy. Ma tyleż wspólnego z robotem, co my eohippusem. Jedno wiem na pewno, Kerry: bardzo możliwe, że żaden z dzisiejszych naukowców nie ma dostatecznej wiedzy, żeby skonstruować taki... coś takiego.

- Gonisz w piątkę.- przerwał mu Kerry. - Przecież ktoś to zrobił.

- Mhm. Tylko - kiedy? I kto? Oto Jest pytanie, które mnie dręczy.

- Za pięć minut mam wykład. Może byś zajrzał do mnie wieczorem?

- Nie mogę. Wieczorem wykładam w Pałacu. Zadzwoń do ciebie potem.

Kerry kiwnął głową i wyszedł, starając się nie myśleć więcej o sprawie radia. Całkiem nieźle mu się to udało. Jednak jedząc samotnie kolację w restauracji, poczuł ogólną niechęć do powrotu do domu. W domu czekał na niego karzeł.

- Brandy - polecił kelnerowi. Niech będzie podwójna.

W dwie godziny później Kerry wysiadł z taksówki przed drzwiami swego domu. Był pod wyraźnym wpływem alkoholu. Wszystko pływało mu przed oczami. Zataczając się doszedł do ganku, z niezwykłą ostrożnością wgramolił się na schody, a następnie otworzył drzwi.

Pstryknął światło.

Radio wyszło mu na spotkanie. Cienkie, lecz silne jak stal czułki otoczyły tkliwie jego ciało, przytrzymując je w bezruchu. Kerrym targnął gwałtowny lęk. Bardzo chciał krzyknąć, ale miał kompletnie sucho w gardle.

Z radia wystrzelił promień żółtego światła. Oślepił Kerry'ego. Osunął się nizej, mierząc w klatkę piersiową. Kerry poczuł nagle dziwny smak pod językiem.

Po minucie, mniej więcej, promień wyłączył się z cichym pstryknięciem, czułki znikły, a konsolęta powróciła do kąta. Kerry dowlókł się jakoś do fotela i opadł nań, łapczywie chłonąc powietrze.

Był trzeźwy. Co wydawało się wszak niemożliwe. Czternaście kieliszków brandy pozostawia w systemie krwionośnym znaczną ilość alkoholu. Nie wystarczy machnąć czarodziejską różdżką, żeby w jednej chwili odzyskać trzeźwość. A jednak właśnie coś takiego się zdarzyło.

Ten... robot chciał mu pomóc. Z tym, że Kerry chętniej pozostałby pijany. Podniósł się i chyłkiem przeszedł koło radia do regału z książkami. Jednym okiem śledząc odbiornik, wyciągnął ten sam kryminał, który chciał czytać ubiegłej nocy. Tak jak się tego spodziewał, radio wyjęło mu książkę z ręki i odstawiło na miejsce. Wspomniał słowa Fitzgeralda, Kerry zerknął na zegarek. Czas reakcji - cztery sekundy.

Kerry wziął tom Chaucera i czekał, co będzie. Radio ani drgnęło. Kiedy jednak sięgnął po publikację historyczną, została mu ona troskliwie odebrana. Czas reakcji - sześć sekund.

Kerry wziął następną historię, dwa razy grubszą. Czas reakcji - dziesięć sekund.

- Mhmmm. Ale - kiedy? I kto? Rentgenowskie widzenie i superszybka reakcja. O wielki Jehoszafacie!

Kerry wypróbował jeszcze parę książek, ciekaw. kryterium wyboru. „Alicja w Krainie Czarów” została mu bezpardonowo wyrwana. Wiersze Millay'a - nie. Sporządził dwukolumnową listę, na przyszłość.

A więc robot był nie tylko służącym. Był cenzorem. Ale jakie miał wzorce? Kerry przypomniał sobie w końcu o wykładzie, który miał nazajutrz wygłosić. Zaczął kartkować notatki. W kilku miejscach trzeba było sięgnąć do tekstów źródłowych. Kerry z pewnym wahaniem sięgnął po tom - a robot natychmiast mu go odebrał.

- Bez wyglupów - ostrzegł go Kerry. - To mi jest potrzebne.

Uczył jałową próbę wyrwania książki z zaciśniętych czułek. Odbiornik nie zwracał na niego uwagi. Spokojnie odstawił książkę na półkę.

Kerry stał nieruchomo, przygryzając wargi. Tego już było za wiele. Ten przeklęty robot zachowywał się jak więzienny dozorca. Kerry rzucił się do regałów, złapał książkę i zanim radio zdołało się poruszyć - już był w hallu.

To coś szło za nim. Słyszał ciche stąpanie jego... stóp. Popędził do sypialni i zamknął drzwi od środka. Czekał z bijącym sercem. Gałka powoli się przekręciła. Przez szparę w drzwiach wsunął się cienki jak drucik czulek robota. Zaczął manipulować kluczem. Kerry skoczył i zamknął dodatkową zasuwę. Ale i to nie pomogło. Precyzyjne narzędzia robota - jego wyspecjalizowane czułki odemknęły zasuwę, po czym radio otworzyło drzwi, wmaszerowało do pokoju i zbliżyło się do Kerry'ego.

Kerry poczuł panikę. Dysząc, cisnął w radio książką, która została zręcznie pochwyciona w locie. Widocznie o nic innego nie chodziło, gdyż radio natychmiast odwróciło się i wyszło, kołysząc się groteskowo na gumopodobnych nogach i unosząc z sobą zakazany tom. Kerry zaklął pod nosem.

Zadzwoił telefon. Fitzgerald. - Jak tam? Radzisz sobie?

- Masz w domu „Literaturę Społeczną”, Cassena?

- Nie sądzę. A bo co?

- Nic, wezmę jutro z biblioteki uniwersyteckiej.

Kerry opowiedział, co się zdarzyło. Fitzgerald gwizdnął z cicha.

- Wtrąca się, tak? Hmmm. Ciekawe...

- Ja się go boję.

- Nie wydaje mi się, żeby chciał zrobić ci krzywdę. Mówisz, że cię wytrzeźwił?

- Tak. Promieniem świetlnym. Niezbyt mądrze to brzmi, przyznaję.

- Wszystko jest możliwe. Wibracyjny odpowiednik chlorku thiaminy.

- W świetle?

- Światło słoneczne zawiera witaminy. Mniejsza o to. Cenzuruje twoje lektury - pewnie czyta te książki no zasadzie superszybkiej asymilacji. Nie wiem, czym jest ta maszynka, ale to nie jest zwykły robot.

- Mnie to mówisz! - obruszył się Kerry. - To istny Hitler! \_ Fitzgerald nie roześmiał się.

- Może byś zanocował u mnie? zaproponował przytomnie.

- Nie - w głosie Kerry'ego brzmiał zaciekle upór. - Żadne głupie radio, takie owakie, nie wypędzi mnie z własnego domu. Prędzej oberwie siekierą.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Gdyby... gdyby coś się zdarzyło, dzwoń do mnie zaraz.

- Dobra - Kerry odłożył słuchawkę. Poszedł do salonu i zmierzył radio lodowatym spojrzeniem. Co to, u diabła, jest za stwór? I jakie ma zamiary? Z pewnością nie był to tylko robot. Z równą pewnością nie był żywy; w tym sensie, w jakim żywy jest mózg koloidalny.

Zaciskając usta w linijkę, Kerry podszedł bliżej i zaczął kręcić gałkami. Z aparatu dobył się pulsujący, synkopowany rytm zespołu swingowego. Kerry przełączył na krótkie, - nic nadzwyczajnego. A wniosek z tego? Żaden. Odpowiedzi nie było.

Po chwili Kerry poszedł do łóżka. Nazajutrz przyniósł na lunch „Literaturę Społeczną” Cassena, żeby ją pokazać Fitzgeraldowi.

- Co takiego?

- Spójrz - Kerry przerzucił parę kartek i wskazał na pewien akapit. Rozumiesz coś z tego?

Fitzgerald przeczytał akapit.

- Tak, Chodzi zdaje się o to, że warunkiem powstawania literatury jest indywidualizm. Zgadza się?

Kerry spojrzał na niego. - Nie wiem.

- Jak to?

- Z moją głową dzieje się coś dziwnego. Fitzgerald zmierzwił siwiejącą czuprynę, mrużąc oczy i bacznie obserwując kolegę.

- Zaczynj jeszcze raz. Niezupelnie... - Dziś rano - zaczął Kerry z przesadną, podszytą irytacją cierpliwością - poszedłem do biblioteki, żeby sprawdzić ten właśnie kawałek. Przeczytałem go. I nic nie zrozumiałem. Słowa. Wiesz jak to jest kiedy człowiek wysiada z nadmiaru lektury? Trafiasz na zdanie z dużą ilością okresów podrzędnych - i w nic ci się ono nie składa. Właśnie tak to było.

- Przeczytaj to teraz - odpowiedział cicho Fitzgerald i pchnął książkę przez stół do Kerry'ego.

Kerry usłuchał.

- Nic z tego - uśmiechnął się krzywo.

- Przeczytaj na głos. Będę śledził tekst razem z tobą.

I to nie pomogło. Kerry wydawał się kompletnie niezdolny do pojęcia sensu akapitu.

- Blokada semantyczna - to możliwe - podrapał się w ucho Fitzgerald.

- Nigdy jeszcze ci się to nie zdarzyło? . - Nie... tak. Nie wiem.

- Masz zajęcia po południu? Nie? To dobrze. Jedźmy do ciebie.

Kerry odepchnął talerz.

- Dobra. Nie jestem głodny. Jak tylko będziesz gotów...

Pół godziny później patrzyli obaj na radio. Wyglądało całkiem nieszkodliwie. Fitzgerald zmarnował trochę czasu na próby otwarcia tylnej ścianki, w końcu jednak dał spokój. Z kartką i ołówkiem zasiadł naprzeciw Kerry'ego i zaczął zadawać pytania.

W pewnym momencie zatrzymał się. - A o tym mi nie wspomniałeś.

- Musiałem zapomnieć.

Fitzgerald postukał ołówkiem ~w zęby. - Hmmm. Pierwszym działaniem radia było... - Strzelenie mnie po oczach niebieskim światłem.

- Nie o to chodzi. Co ono wtedy powiedziało?

Kerry zamrugął powiekami.

- Co powiedziało? - zawahał się. „Schemat psychologiczny sprawdzony i zakodowany” - coś w tym sensie. Wtedy zdawało mi się, że to kawałek quizu, albo co. Uważasz...?

- Czy mówiło wyraźnie? Dobłą angielszczyzną?

- Nie, teraz sobie przypominam Kerry skrzywił się. - Słowa były zniekształcone. Akcent na samogłoski.

- Ach tak. No, jedźmy dalej. Spróbowali testu na kojarzenie słów.

W końcu Fitzgerald ze zmarszczonym czołem opadł na oparcie.

- Chciałbym porównać te wyniki z wynikami testów, które ci robiłem parę miesięcy temu. Wygląda mi to dziwnie, bardzo dziwnie. Wiele bym dał, żeby się dowiedzieć, czym naprawdę jest pamięć. O mnemonice - pamięci sztucznej - wiemy już sporo. Ale możliwe, że cała rzecz jest w czymś całkiem innym.

- Co?

- Ta... maszyna, albo ma sztuczną pamięć, doskonale wyszkoloną, albo też przystosowana jest do innego środowiska i innej kultury. Na ciebie wywarło wpływ... bardzo znaczny.

Kerry zwilżył językiem spierzchnięte usta.

- W jakim sensie?

- Spowodowało blokady w mózgu. Jeszcze ich nie skorelowałem. Kiedy to zrobię, być może uzyskamy jakąś odpowiedź. Nie, to z pewnością nie jest robot. To coś znacznie więcej.

Kerry wyjął papierosa ; konsolęta przemaszerowała przez pokój i podała mu ogień. Obaj mężczyźni obserwowali ją z dławiącym, obezwładniającym uczuciem przerażenia.

- Powinieneś zanoćować dziś u mnie - . zaproponował Fitzgerald.

- Nie - odparł zdecydowanie Kerry. Zatrzął się cały.

Następnego dnia w porze lunchu Fitzgerald rozglądał się po całej stołówce, ale Kerry'ego nie było. Zadzwoił do niego do domu. Telefon odebrała Marta.

- Witaj! Kiedy wróciłaś?

- Cześć, Fitz. Godzinę temu. Siostra się pospieszyła i urodziła beze mnie, więc wróciłam.

Marta przerwała. Fitzgeralda zaniepokoił ton jej głosu.

- Gdzie jest Kerry?

- Jest w domu. Nie mógłbyś wpaść, Fitz? Martwię się.

- Co mu jest?

- Ja... ja nie wiem. Przyjedź jak najszybciej.

- Okey - Fitzgerald odłożył słuchawkę, przygryzając dolną wargę. Był zaniepokojony. Kiedy nieco później naciskał dzwonek u drzwi Westerfielców, uświadomił sobie, że słabo panuje nad nerwami. Widok Marty jednak postawił go na nogi.

Poszedł za nią do salonu. Jego wzrok natychmiast podążył ku konsolocie, która stała w kącie jakby nigdy nic, a następnie ku Kerry'emu, usadowionemu nieruchomo przy oknie. Na twarzy Kerry'ego malowała się pustka i oszołomienie. Miał zwężone źrenice i nie od razu poznał Fitzgeralda.

- Cześć Fitz - przywitał go. - Jak się czujesz?

Marta nie wytrzymała.

- Co z nim jest, Fitz? Zachorował? Może ja wezwę lekarza?

Fitzgerald usiadł.

- Nie zauważyłaś nic dziwnego w związku z tym radiem?

- Nie. A bo co? „ - No to słuchaj.

Opowiedział jej wszystko od początku, patrząc jak na twarzy Marty niedowierzanie walczy z niechcianą wiarą.

- Nie mogę... - odezwała się wreszcie.

- Kiedy Kerry wyjmie papierosa, to coś poda mu ogień. Chcesz zobaczyć? - Nie... Tak. Chyba tak. - Oczy Marty były teraz ogromne.

Fitzgerald dał Kerry'emu papierosa. Stało się to, czego oczekiwali.

Marta nic nie powiedziała. Kiedy radio wróciło na miejsce, zadrżała od stóp do głów i podeszła do Kerry'ego. Spojrzał na nią niewidzącymi oczami. - Tu trzeba lekarza, Fitz.

- Tak - Fitzgerald nie miał odwagi powiedzieć jej, że doktor nic tu nie wskóra.

- Co to właściwie jest?

- Coś więcej niż robot. Sukcesywnie przerabia Kerry'ego. Opowiedziałem ci, co się działo. Sprawdziłem wzorce psychologiczne Kerry'ego i stwierdzam, że uległy zmianie. Zatracił całą niemal inicjatywę.

- Nie ma na świecie człowieka zdolnego skonstruować taki aparat. Fitzgerald skrzywił się.

- Ja też tak myślę. Mnie to wygląda na wytwór wysoko rozwiniętej kultury, i to całkiem innej niż nasza. Może marsjańskiej. Jest to przedmiot o działaniach tak wyspecjalizowanych, że pasuje wyłącznie do bardzo złożonej kultury. Ciekawe tylko, dlaczego wygląda dokładnie tak jak odbiornik firmy Mideastern?

Marta dotknęła dłoni Kerry'ego. - Kamuflaż?

- Ale w jakim celu? Byłaś jedną z moich najlepszych studentek, Marto. Spójrz na to logicznie. Wyobraź sobie cywilizację, w której tego typu mechanizm ma rację bytu. Spróbuj rozumować indukcyjnie.

- Próbuję. Niezbyt dobrze mi to wychodzi, Fitz. Martwię się o Kerry'ego. - Nic mi nie jest - powiedział Kerry. Fitzgerald złożył czubki palców. - To nie radio, to nadzorca. Może w tej innej cywilizacji każdy ma coś takiego, a może tylko nieliczni - ci, którym to potrzebne, bo utrzymuje ich w ryzach?

- Zabijając inicjatywę?

Fitzgerald wykonał gest bezradności - Przecież ja nie wiem! Tak zadziało w przypadku Kerry'ego. W innych przypadkach - nie wiem.

Marta wstała.

- Szkoda czasu na gadanie. Kerry potrzebuje lekarza. A potem zastanowimy się, co począć z... tym - wskazała na konsolę.

- Szkoda rozwalać - powiedział Fitzgerald. - Ale... - popatrzył wymownie na Martę.

Odbiornik poruszył się. Posuwając się na boki, wylazł z kąta : podszedł do Fitzgeralda. Fitzgerald skoczył, a wówczas pochwytyły go gwałtownie biczowate czułki.. Błdy promień zaświecił prosto w jego oczy.

Zgasł niemal natychmiast; czułki cofnęły się i radio powróciło na miejsce. Fitzgerald stał jak wmurowany. Marta zerwała się na równe nogi, zasłaniając usta ręką.

- Fitz! - głos jej drżał. . Odpowiedział, ale nie od razu.

- Tak? O co chodzi?

- Nic ci nie jest? Co ono ci zrobiło?

Fitzgerald zmarszczył brwi. - Co? Ono? Nie rozumiem... - To radio. Co ono zrobiło? Popatrzył na konsolę.

- A co, popsuło się? Ze mnie żaden mechanik, Marto.

- Fitz - podeszła i ścisnęła go za ramię. - Posłuchaj - mówiła szybko, gorączkowo. - Radio. Kerry. Rozmowa przed chwilą.

Fitzgerald patrzył na nią otępiały, jakby niewiele rozumiał.

- Jakiś głupi dzisiaj jestem. Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

- Radio - przecież wiesz! Mówiłeś, że odmieniło Kerry'ego - Marta urwała, patrząc na niego z przerażeniem.

Fitzgerald był wyraźnie skonsternowany. Marta zachowywała się dziwnie. Bardzo dziwnie! Zawsze uważał ją za niebrzydka, roztopną panienkę. A teraz opowiadała brednie! On przynajmniej nie pojmował sensu jej słów - ani w żąb. I dlaczego tyle paplała o tym odbiorniku? Żle działa? Kerry cieszył się, że zrobił dobry interes - strojenie doskonałe, najnowsze urządzenia. Fitzgeraldowi przeszło przez myśl, że Marto zwariowała.

Tak czy owak, już był spóźniony na zajęcia. Powiedział to głośno. Marta nie próbowała go zatrzymać. Była biała jak ściana.

Kerry wyjął papierosa. Radio podeszło i podało mu zapaloną zapalkę.

- Kerry!

- Słucham cię, Marto? - głos Kerry'ego był martwy.

Marta popatrzyła w panice na... radio. Marsjanie? Inny świat, inna cywilizacja? Co to jest? Czego chce? Co usiłuje zrobić?

Marta poszła do garażu. Wróciła zaciskając w dłoni małą siekierkę. Kerry obserwował ją. Widział, jak Marta zbliża się do radia i unosi siekierkę. Wtedy z radia wystrzelił promień światła i Marta znikła. W blasku popołudniowego słońca unosił się obłoczek pyłu.

- Zniszczenie formy żywej grożącej atakiem - zakomunikowało radio nie rozdzielając słów.

Mózg Kerry'ego wykonał salto. Poczł mdłości, zawrót głowy i przeraźliwą pustkę. Marta...

Kotłowało mu się w głowie. Instynkt i emocje walczyły z czymś, co je dławiło. Nagle tamy puściły, blokady pękły, runęły barykady. Kerry z nieartykułowanym wrzaskiem skoczył na równe nogi.

- Marta! - krzyczał.

Nie było jej. Rozejrzał się dookoła.

- Gdzie...

Co tu się stało? Nie pamiętał.

Usiadł na nowo w fotelu, pocierając czoło. Wolną ręką wyciągnął papierosa w automatycznym geście, który wywołał natychmiastową reakcję. Radio podeszło z płonąca zapalką.

Kerry wydał zduszony odgłos, jakby , miał zaraz zwymiotować, i wyskoczył z fotela. Teraz już sobie przypominał. Chwył siekierkę i rzucił się na radio, szczerząc zęby w krwiozerczym uśmiechu.

Znów wystrzelił promień.

Kerry zniknął. Siekiera spadła na dywan.

Radio odmaszerowało na miejsce i stanęło bez ruchu. Z radioatomowego mózgu dobyło się nikłe tykanie.

- Podmiot z gruntu nieodpowiedni - oświadczyło po chwili. - Konieczność eliminacji. - Pstryk! - Przygotowania do następnego podmiotu zakończone.

Pstryk.

- Bierzemy - powiedział chłopak.
- Nie pożałują państwo - uśmiechnął się pośrednik. - Zacisze, z dala od ludzi, a i cena niezbyt wygórowana.
- Powiedzmy - wtrąciła dziewczyna.
- Ale czegoś takiego właśnie szukaliśmy.
- Pośrednik wzruszył ramionami.
- Dom nie umeblowany byłby rzecz jasna, tańszy. Ale...
- Za krótko jesteśmy małżeństwem żeby się dorobić własnych mebli. - uśmiechnął się chłopak. Objął żonę - Podoba ci się, kochanie?
- Mhm. Kto tutaj mieszkał?
- Pośrednik poskrobał się po policzku.
- Zaraz, zaraz... Niejacy Westernfieldowie, zdaje się. Dostałem ten dom na listę zaledwie tydzień temu. Ładna chałupka. Żeby nie to, że już mam własną, sam bym się na nią połazczył.
- Fajne radio - zauważył chłopak.
- To chyba najnowszy model? - podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć konsolcie.
- Chodź - ponagliła dziewczyna, - Jeszcze raz obejrzymy kuchnię
- Już idę, kochanie.
- Wyszli z pokoju. Aksamitny głos pośrednika dobiegał z hallu coraz słabiej. Przez okna wpadało ukosem ciepłe popołudniowe słońce.
- Przez chwilę było cicho. A potem
- Pstryk !

przekład : Jolanta Kozak

Henry Kuttner      Żerca dusz

Powiadali w mieście Bel Yarnak, w niezemskim języku, że okrutną głębię Szarej Przepaści Yarnak zamieszkiwała zrazu złośliwa i potworna bestia. Nie znajdziesz Bel Yarnak na Ziemi ani na żadnej z planet, jakie wirują wokół gwiazd naszego nieba, za to za Betlegezem, za Olbrzymami, na zielonym i wesołym globie, wciąż jeszcze promieniejącym młodością, błyszcząły wieże i srebrne minarety owego miasta. Mieszkańcy Bel Yarnak w niczym nie przypominali ludzi, a jednak w długie ciepłe noce rozpalali ogień w dziwacznych kominkach. A tam gdzie ogień, jak kosmos długi i szeroki, nie brak też opowieści i wiernych słuchaczy, przynoszących radość sercu bazarza.

Sindara rządził dobrotliwie, lecz dawnymi laty strach i zagłada niczym całun spowiły ziemię, a w Szarej Przepaści Yarnak rozsiadł się upiorny potwór. Dziwny czar zmroził nieboskłon i pociemniała mgłą przesłonił trzy księżyce. Stwór zaspokajał swój zły głód na ziemi, a mieszkańcy Bel Yarnak nazwali go Żercą Dusz. Nie poznali jego wyglądu, gdyż żaden go nie widział na tyle dobrze, by o tym opowiadać. Stwór tkwił w otchłani, a gdy głód mu już dobrze dopiekl, słał bezgłośnie wezwanie, po którym z tawern i świątyń, od ognisk i z mroku nocy wolno wychodziły postacie naznaczone martwym piętnem śmierci i szły do Bel Yarnak w stronę Szarej Przepaści. Nikt nie wracał. Mówiono, że ów potwór był pół-demonem, pół-bogiem i że dusze pomordowanych pełniły przy nim wieczną służbę, wypełniając złowieszczą misję w mrocznej przestrzeni za gwiazdami.

Zdaniem hydromantów, stwór przybył z ciemnego słońca, gdzie został poczęty przez Starszych, krążących między wszechświatami i szukających wsparcia u Błyszczącego Mrokiem o nieznannej przeszłości. Nekromanci twierdzili co innego, lecz ze względu na powszechnie znaną niechęć, jaką żywili do potężniejszych hydromantów, na ogół nie zwracano uwagi na ich wróżby. Jeden Sindara wysłuchał obu szkół magów i z wysokości chalcedonowego tronu zdecydował, że sam pójdzie do Zatoki Yarnak, którą wielu uważało za bezdenną.

Nekromanci wyposażyli Sindarę w dziwne akcesoria zrobione z kości zmarłych, a od hydromantów dostał wielce skreconą, przezroczystą tubę z kryształu, pomocną ponoć w walce z Żercą Dusz. Potem nekromanci i hydromanci siedli pospołu u wrót miasta i rozpoczęli swe posępne pienia, a Sindara na swym gorlaku, chyżym, lecz ohydny gadzie, pogalopował na zachód. Po pewnym czasie odrzucił broń, gdyż, jak każdy władca w owych czasach, był wyznawcą kultu Vorvadossa. Z bożego nakazu nikt nie mógł czcić Vorvadossa prócz Sindary Bel Yarnak. Sindara zsiadł z gorlaka i żarliwie zaczął się modlić. Przez dłuższy czas nie było odpowiedzi.

Potem piasek zawirował, zatańczył i buchnął pyłem w górę, oślepiając Sindarę. Z wiru dobiegł głos boga, cienki niczym pobrzękiwanie niezliczonych, maleńkich, kryształowych kieliszków.

- Kroczysz ku zagładzie - złowrogo oznajmił Vorvadoss. - Ale syn twój śpi w Bel Yarnak, zatem kiedy znikniesz, nie zbraknie mi czciciela. Idź bez trwogi, gdyż bóg nie może zniszczyć boga, a tylko człowiek, co go stworzył.

Po tych zagadkowych słowach Vorvadoss odszedł, a Sindara zamyślił się głęboko, nim ruszył w dalszą drogę. Kiedy przybył nad otchłań, z której, jak powiadali, brał początek najbliższy księżyc, padł zmęczony i osłabiony nad samą jej krawędzią i popatrzył w zamgloną pustkę. Od przepaści ciągnął zimny wiatr, a głębia zdawała się nie mieć końca. Gdzieś w oddali majaczył zarys drugiego brzegu.

Po grubo ciosanych schodach wchodził ten, którego szukał Sindara. Piął się szybko, wspierając tułów na licznych mackach. Był biały, włochaty i zadziwiająco wstrętny, a choć niekształtną głową sięgał władcy zaledwie do pasa, pajęczne członki czyniły go pozornie większym. Za nim podążały nieszczęsne dusze, szept niezliczonych głosów uporczywie wibrował w powietrzu, przeplatany jękami i westchnieniami za utraconą nirwaną. Sindara dobył miecza i ciął wroga.

Po dziś dzień krążą sagi o bitwie, jaka trwała, zda się, bez końca na wąskim skrawku wieczności. W końcu Sindara padł, brocząc z ran, a nietknięty przeciwnik zamamrotał złośliwie. Demon gotował się do uczy. Gdzieś w umyśle Sindary zabrzmiał cichy głos Vorvadossa.

- Są różne ciała we wszechświecie, jak też inne tworzywa, nie będące ciałem. Nakarm Żercę Dusz.

Tu Vorvadoss opisał ów szczególny posiłek, połączenie dwóch istot, wchłonięcie pośledniego i przemianę, po której z sytego pół-boga ulatywała jękliwa dusza, by dołączyć do służebnego kręgu. Łaska wiedzy spłynęła na Sindarę, a wraz z nią ponura ulga. Z rozpostartymi ramionami powitał widmowy uścisk, gdyż Vorvadoss podał mu sposób jak zażegnać groźbę zagłady.

Stwór rzucił się na niego, ciało i kości władcy przeszył rozdzierający ból agonii. Twierdza jego jestestwa zakołysała się w posadach, a dusza uciekła z krzykiem w najdalszy kąt schronienia. Tam, na krawędzi Szarej Przepaści Yarnak, dopełniła się monstualna fuzja, metamorfoza i poród, tak obrzydliwy i groźny, że urągał wszelkiemu pojęciu. Jak bagno wchłania swe ofiary, tak ciała Żercy i Sindary stopiły się w jedno.

Ból agonii był jednak niczym w porównaniu z cierpieniem, jakie odczuł Sindara, gdy ujrział piękno ziemi, którą rządził. Pomyślał wówczas, że niczego nie da się porównać z urodą zielonego i wesołego globu, a myśl ta ukłuła go w serce i wypełniła je dziwnym, niezaspokojonym poczuciem straty. Zerknął w złe, czarne oczy potwora, błyszczące kilka cali od jego twarzy, i popatrzył w dół, na straszliwą, szarą i zimną pustkę. Ze łzami i ciężkim sercem wspomniawszy srebrzyste minarety i wieże Bel Yarnak, błyszczące nagim pięknem w świetle trzech księżyców. Wiedział, że nigdy więcej ich nie zobaczy.

Raz jeszcze odwrócił głowę i oślepy od płaczu ruszył ku przeznaczeniu. W chwili skoku usłyszał rozdzierający wrzask, a potem jakby przepaść wyszła im na spotkanie. Pół-bóg i władca stoczyli się w głąb otchłani. Jak powiedział Vorvadoss, przez to, i tylko przez to, można było zniweczyć klątwę.

Skalna ściana zaczęła chudnąć, zniknęła w ciemnoszarej mgle, a Sindara padł w pusty opar i w ostatnią, nieruchomą ciemność.

przekład : ?

### Ostatni z rodu Pughów

Myślę, że już zawsze od tej pory ból głowy będzie mi się kojarzył z Pughiem Juniorem. To chyba najbardziej odrażający gówniarz, jakiego w życiu widziałem. Zbudowany jak młody goryl. Tłusta, ciastowata gęba, złośliwe spojrzenie, a oczy tak blisko osadzone, że można by je wydlubać oba naraz, jednym palcem. Ale jego tata. i tak był o nim bardzo wysokiego mnie-mania. Może to i nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę, że mały Pugh to wykapyany ojciec.

- Ostatni z rodu Pughów - mawiał stary wypinając pierś i z zachwytem patrząc na młodego goryla. - Najwspanialszy chłopak pod słońcem.

Czasem robiło mi się zimno, jak patrzyłem na tych dwóch. Z rozrzewnieniem wspominam te cudowne czasy, kiedy ich nie znałem. Możecie mi wierzyć, ale mało brakowało, żeby ci dwaj Pughowie, ojciec i syn, podbili świat.

Bo my, Hogbenowie, jesteśmy ludzie skromni. Nie zadzieramy nosa i pędzimy spokojne życie w naszej dolinie, gdzie nikt się do nas nie zbliża nie proszony. Nasi sąsiedzi i ludzie z miasteczka już się do nas przyzwyczaili. Wiedzą przede wszystkim, że nie wchodzimy nikomu w paradę. Więc mają dla nas wyrozumienie.

Jeśli tata się upije, jak na przykład w ubiegłym tygodniu, i nadleci nagle nad sam środek Main Street w swoich czerwonych gatkach, większość ludzi udaje, że tego nie widzi, żeby nie krępować mamy. Wiedzą przecież, że gdyby był trzeźwy, chodziłby normalnie po ziemi „jak Pan Bóg przykazał.”

Tym razem tata się zalał z powodu Małego Sama, naszego Bobasa, którego trzymamy w pojemniku w piwnicy, a który znów zaczął ząbkować. Po raz pierwszy od czasu wojny Północy z Południem. Już myśleliśmy, że ma to z głowy, ale z Małym Samem nigdy nie wiadomo. Był bardzo niespokojny.

Profesorek, którego trzymamy w butelce, powiedział nam kiedyś, że Mały -Sam wydaje z siebie coś tam poddźwiękowego, kiedy płacze, ale on tak zawsze gada. To nic nie znaczy. Po prostu te wrzaski grają człowiekowi na nerwach, i tyle. Tata tego nie wytrzymuje. Tym razem Bobas obudził nawet dziadka na strychu, a dziadek przecież nie drgnął nawet od Bożego Narodzenia. Pierwsza rzecz, jak tylko otworzył oczy, rzucił się na tatę jak w-ściekły pies:

- Widzę cię, ty trąbo jerychońska! - wrzasnął. - Znów latasz, tak? Żałosny widok! Bacz, abym ci nie urządził przymusowego lądowania! - Zaraz potem rozległ się daleki łomot.

- Zwaliłeś mnie z wysokości dobrych dziesięciu stóp! - wrzasnął tata hen z głębi doliny. - To nie fair. Mogłem coś zniszczyć!

- Zniszczysz nas wszystkich przez swoją pijacką nieuwagę - powiedział dziadek. - Latać na oczach sąsiadów! Za mniejsze rzeczy palili ludzi na sto-sie! Chcesz, żeby ludzkość się o nas dowiedziała? A teraz zamknij się, muszę się zająć Bobasem.

Jeden dziadek potrafi uspokoić Bobasa, jak już nikt nie może sobie z nim poradzić. Tym razem zaśpiewał mu taką jedną piosenkę w sanskrycie i już po chwili chrapali obaj w duecie.

Ja byłem akurat zajęty majstrowaniem dla Mamy takiego specjalnego urządzenia, żeby mogła zakwasić trochę śmietany na placki. Nie bardzo miałem z czego to sklecić, nie było nic poza starymi sankami kawałkami drutu, ale też i niewiele potrzebowałem. Próbowałem właśnie skierować koniec drutu na północny wschód, kiedy mignęły mi w lesie kraciaste portki.

Był to wujek Lem. Słyszałem, jak myśli.

- To nie ja! - mówił całkiem głośno w swojej głowie. - Zajmij się swoją robotą, Saunk! Jestem dalej o milę od ciebie. Twój wujek Lem to przyzwoity starszy pan i nigdy i kłamie. Czy sądzisz, Saunkie, że bym cię oszukał?

- Jasne, że byś mnie oszukał odpowiedziałem mu w myśli. Gdybyś tylko mógł. Powiedz, co ty kombinujesz, wujku Lem?

W tym momencie wujek zwolnił trochę i zataczając szerokie koło zaczął się zniżać.

- A, tak mi przyszło do głowy, twoja mama może by chciała trochę musu jagodowego - pomyślał kopiąc nonszalancko kamień. - Gdyby kto pytał, to powiedz, że mnie nie widziałeś. Bo to prawda, nie widzisz mnie przecież.

- Wujku Lem - pomyślałem, całkiem głośno. - Dałem mamie harcerskie słowo honoru, że cię samego nigdzie nie puszcę, po tym jak nam ostatnim razem uciekleś...

- No, no, no, mój chłopcze myślał szybko wujek Lem. - Co było, to było.

- Przyjacielowi się nie odmawia wujku - przypomniałem mu, kończąc okręcać płozę drutem. Poczekaj chwilkę, aż się ta śmietana zsiądzie i wtedy pójdziemy razem, gdziekolwiek się wybierasz.

Mignęły mi znów wśród krzaków jego portki w kratkę i po chwili z śmieszkiem winowajcy pojawił się wujek Lem. Wujek jest mały i tłusty Wiem, że chce jak najlepiej, ale prawie każdy może go namówić do prawie wszystkiego. Dlatego nie spuszcza go z oka.

- Jak ty to robisz? - spytał patrząc na dzbanek ze śmietaną. - Poganiaasz te małe stworzonka, aby zasuwały prędezej?

- Wujku Lem! - powiedziałem Nie udowaj głupiego. To by było okrucieństwo w stosunku do tych pocziwych zwierzątek - a na to bym sobie nigdy nie pozwolił. Te maleństwa i tak dostatecznie ciężko pracują, żeby zakwasić zwykłe mleko. To takie kruszynki, że mi ich naprawdę żal. Trudno je nawet zobaczyć, jeśli się nie zrobi zeza. Tata mówi, że to enzymy. Ale ja nie wierzę. Są za malutkie

- że malutkie to fakt - przyznał wujek Lem. - No więc jak zamierzasz z tego wybrnąć?

- O, to tutaj urządzenie - powiedziałem z pewną dumą - wyśle ten maminy dzbanek ze śmietaną w przyszły tydzień. W taką pogodę śmietana nie potrzebuje na skwaśnienie więcej jak dwa dni, ale ja dam jej dużo czasu. Jak ją ściągnę z powrotem, będzie kwaśna raz-dwa-trzy. - Postawiłem dzbanek na sankach.

- Nigdy nie widziałem takiego zmyślnego brzdąca - powiedział wujek Lem. Podszedł do mnie i wygiął drut na krzyż. - Lepiej zrób to w ten sposób, ze względu na burzę, która będzie we wtorek. No, dobra, możesz wysyłać śmietaną.

No to ją wysłałem. Kiedy wróciła, była taka zsiadła, że mysz mogłaby po niej spacerować. Po dzbanku łąził szerszeń z przyszłego tygodnia; rozduśiłem go. Ale to był błąd. Wiedziałem to od chwili, kiedy dotknąłem dzbanka. Cholerny wujek Lem.

Z powrotem skoczył w krzaki piszcząc z radości.

- A jednak cię tym razem oszukałem, ty mały śmierdzieliu - wrzasnął. No, zobaczymy, jak sobie poradzisz z wyciąganiem palca ze środka przyszłego tygodnia!

A to wszystko przez opóźnienie. Powinienem był wiedzieć. Kiedy wujek Lem skrzyżował ten drut, wcale nie miał na myśli burzy. Straciłem prawie dziesięć minut na to, żeby się uwolnić, a wszystko przez taką jedną, co się nazywa Inercja i co zawsze wsadzi swoje trzy grosze, jeśli człowiek nieostrożnie igra z czasem. Sam niewiele z tego rozumiem. Jeszcze nie mam swoich lat. Wujek Lem twierdzi, że zdążył już zapomnieć więcej, niż ja się kiedykolwiek w życiu na ucę.

Z tego wszystkiego straciłem go niemal z oczu. Nie miałem się nawet czasu przebrać w kupne ubranie, a po tym, jak wujek był odpalony, wiedziałem, że się wybiera w jakieś eleganckie miejsce.

Ale i on był zdenerwowany. Bez przerwy natykałem się na resztki jego niespokojnych myśli, które wisiały na gałązkach krzaków jak małe strzępki chmur. Niewiele mogłem z nich zrozumieć, bo zanim do nich doznałem, rozplywały się w powietrzu, ale jedno jest pewne: wujek Lem zrobił coś, czego nie powinien zrobić. Było to chyba jasne dla każdego. No więc te myśli szły mniej więcej tak:

„Szkoda. szkoda, szkoda... bodajbym nigdy tego nie zrobił... Boże, zmiłuj się... jakby się tak dziadek dowiedział... ach, ci wstrętni Pughowie, jak mogłem być taki głupi? Szkoda, szkoda, szkoda... biedny stary pocziwina, nigdy nikomu nie zrobiłem nic złego, no i teraz patrzcie... Ten Saunk to sobie trochę za dużo wyobraża, trzeba mu dać nauczkę. Och, szkoda, szkoda... a zresztą co się przejmować, głowa do góry, wszystko będzie dobrze. Zaslugujesz na to, pocziwy Lemuelu. Dziadek nigdy się nie dowie”.

Po chwili mignęły mi jego kraciaste portki wśród krzaków, ale dogoniłem go dopiero, jak zszedł ze wzgórza i przemierzywszy podmiejskie tereny piknikowe znalazł się na stacji kolejowej i hiszpańskim dublonem, którego ukradł tacie z jego skrzynki żeglarskiej, stukał do okienka kasy.

Nie zdziwiłem się wcale, kiedy usłyszałem, że prosi o bilet do State Center. Pozwoliłem mu myśleć, że go nie dogoniłem. Jakiś czas kłóci się z kasjerem, ale na koniec wsadził rękę do kieszeni i wyjął srebrną dolarówkę. Facet się uspokoił.

Pociąg już sapał dojeżdżając do stacji, kiedy wujek Lem wyskoczył zza rogu. Nie miałem zbyt wiele czasu, ale jakoś zdążyłem - w ostatniej chwili. Kilka jardów musiałem nawet podfrunąć, ale chyba nikt tego nie zauważył.

Dawno temu, jak byłem jeszcze małym brzdącem, w Londynie, gdzie wtedy mieszkaliśmy, wybuchła wielka epidemia i my, Hogbenowie, musieliśmy się wynosić. Pamiętam wielki zgiełk w mieście, ale jak teraz patrzę wstecz, wydaje mi się on niczym w porównaniu ze zgiełkiem, jaki panował na stacji State Center, kiedy zajechał nasz pociąg. No cóż, czasy się zmieniły.

Gwizdki gwizdały, klaksony trąbiły, radia wyły jak diabli - mógłbym przy-siąc, że każdy wynalazek z ostatnich dwustu lat jest głośniejszy od wszystkiego, co było dotychczas. Rozboleła mnie głowa i dopiero musiałem sobie odpowiednio ustawić to, co tata nazywa poziomem odporności na decybele; no cóż, popisywał się jak zwykle.

Wujek Lem nie wiedział, że jestem w pobliżu. Uważałem, żeby myśleć na-prawdę cicho, ale wujek tak był zajęty swoimi zmartwieniami, że dosłownie na nic nie zwracał uwagi.

Poszedłem więc za nim przez zgromadzony na stacji tłum i potem na szeroką i bardzo ruchliwą ulicę. Co za ulga zostawić wreszcie za sobą te wszystkie pociągi.

Nie mogę nawet pomyśleć; co się tam dzieje wewnątrz tych kotłów jak te stworzonka, tak maleńkie, że ich prawie nie widać, w nieustannej gonitwie, rozparzone biedactwa i podniecone, stukają się bez przerwy głowami. Żalсна sprawa.

Oczywiście myślenie o tym, co się dzieje wewnątrz mijających nas samo-chodów, nic nie pomaga.

Wujek Lem dobrze wiedział, dokąd zmierza. Ruszył ulicą tak szybko, że nieraz miałem pokusę kawałek podfrunąć. Cały czas się zastanawiałem, czy nie powinienem się porozumieć z rodziną na wypadek, gdyby stało się coś takiego, z czym bym sobie sam nie dał rady, ale dosłownie co się ruszyłem, to gdzieś utknąłem. Mama miała być po południu na jakimś zebraniu parafialnym, a ostatnim razem jak się nagle do niej odezwałem i to wypadło samemu wielebnemu Jonesowi nad uchem, dała mi w łeb. On się jeszcze do nas nie przyzwyczał.

Tata zalał się w trupa. Nie było sensu go nawet próbować budzić. A ja umierałem ze strachu, że, jak zawołam na dziadka, to obudzę Bobasa.

Wujek Lem przemknął tuż koło mnie, ale mignęły mi tylko jego kraciaste nogi. I on był w głębi serca zaniepokojony. Zobaczył w bocznej ulicy tłum zebrany wokół dużej ciężarówki.

Ludzie gapili się na mężczyznę, który stał na wierzchu i wymachiwał oburącz napelnianymi czymś butelkami.

Najwyraźniej wygłaszał jakąś mowę na temat bólu głowy. Słyszałem go aż zza rogu ulicy. Do skrzyni ciężarówki przyczepione były po obu stronach transparenty głoszące. „PUCHA EKSTRAKT NOWY - IDEALNY NA BÓL GŁOWY”.

- Oj szkoda, szkoda! - myślał wujek Lem. - O, niech ja skisnę, co ja teraz zrobię?! W życiu nie podejrzewałem, że ktokolwiek mógłby się ożenić z Lily Lou Mutz. Oj, co za szkoda! No cóż, wszyscy byliśmy zdziwieni, kiedy z jakie dziesięć lat temu Lily Lou Mutz znalazła amatora; tak myślę. Ale co to miało wspólnego z wujkiem Le-mem - nie miałem zielonego pojęcia. Lily Lou to było chyba najszeptniejsze stworzenie płci żeńskiej, jakie kiedykolwiek chodziło po Ziemi. A zresztą „najszeptniejsze” to jeszcze nie to słowo, biedactwo.

Dziadek powiedział kiedyś, że przypominała mu takie znajome siostry -Gorgony się nazywały. Pocziwe było nawet stworzenie z tej Lily Lou. Ze swoją urodą niejedno musiała wycierpieć od ludzi z miasteczka - to znaczy od hołoty.

Mieszkała samotnie na wzgórzu, w nędznej chałupince, i musiała mieć już pod czterdziestkę, kiedy jeden facet, co to mieszkał po drugiej stronie rzeki, poprosił ją pewnego dnia o rękę, wprawiając całe sąsiedztwo w osłupienie. Nigdy go nie widziałem na oczy, ale mówią, że i on nie był mister universum.

Kiedy się nad tym zastanowiłem, patrząc wtedy na tę ciężarówkę, do-szedłem do wniosku, że facet nazywał się Pugh.

Miły starszy pan

W pewnym momencie zauważyłem, że wujek Lem zobaczył kogoś pod latarnią na skraju tłumy i podreptał w tamtą stronę. Tak na moje oko stał tam stary goryl z małym gorylem i gapili się na faceta w ciężarówce sprzedają-cego na dwie ręce płyn w butelkach.

- Chodźcie, bierzcie! - darł się. Każdy po swoją butelkę Niezawodnego Leku na Ból Głowy, póki jeszcze jest!

- Cześć, Pugh, jestem - powiedział wujek Lem do dużego goryla. - Cześć, Junior - dodał zaraz potem, spoglądając na młodego. Widziałem, jak się wstrząsnął nieznacznie.

I trudno się dziwić. Dwóch ohydniejszych przedstawicieli rodzaju ludzkiego nie widziałem w życiu. Gdyby nie mieli takich ciastowatych gąb, albo gdyby byli chociaż ciut-ciut szczuplejsi, może by mi tak nie przypominali dwóch tłu-stych ślimaków: dorosłego i młodego. Ojciec był wystrojony odświętnie, ze złotą dewizką na brzuchu, i z tego jak dumnie stapał, można by sądzić, że się nigdy dobrze nie obejrzał w lustrze.

- Sie masz, Lem - powiedział od niechcienia. - Przychodzisz w samą porę. No, Junior, powiedz panu Lemowi Hogbenowi dzień dobry. Wiele mu zawdzięczasz, synu. - I roześmiał się paskudnie.

Junior nie zwrócił na niego uwagi. Oczki jak paciorki utkwiał w tłumie po drugiej stronie ulicy. Wyglądał na jakieś siedem lat, a był złośliwy jak wszyscy diabli.

- Czy mogę to zrobić. teraz, tato? zaskrzeczał. - Mogę dać im teraz, co im się należy? Co, tato? - Sądząc a tonu, jakim to mówił, przestraszyłem się, że ma pod ręką odbezpieczony karabin maszynowy. Spluwy wprawdzie nie widziałem, ale gdyby spojrzenie mogło zabijać, Pugh Junior skosiłby cały tłum za jednym zamachem.

- Dzielny malec, co, Lem? - powiedział tata Pugh z wyraźnym zachwytem. - Muszę ci powiedzieć, że jestem naprawdę dumny z tego chłopaka. Szkoda, że jego kochany dziadek nie może tego zobaczyć. Pughowie to stary, wspaniały ród. Nie ma takiego drugiego. Jedyne moje zmartwienie to to, że Junior jest ostatni. Rozumiesz, dlaczego chciałem się z tobą zobaczyć, Lem. Lem znów się wzdrygnął.

- Ha - powiedział - rozumiem. Ale tracisz tylko czas, Pugh. Ja tego nie zrobię. Młody Pugh obrócił się na pięcie. - Tata, mogę mu teraz dołożyć? -zaskrzeczał, bardzo ożywiony. - Mogę, tata? Teraz, tata, co?

- Zamknij się, synku - powiedział duży Pugh i dzielił małego przez łeb. A łapy miał jak bochny. Naprawdę był zbudowany jak goryl. Widząc te jego potężne ręce zwisające z pochylonych ramion, można było sądzić, że chłopak przeleci na drugą stronę ulicy, ale ten mały też miał krzepę nie lada. Zachwiał się tylko ciut-ciut, potrząsnął głową i zrobił się czerwony na gębie. A następnie wrzasnął głośno i skrzekliwie:

- Ostrzegałem cię, tata! Ostatnim razem, jak mnie zasunałeś, to cię ostrzegałem! Zobaczysz, teraz ty oberwiesz.

Nabrał powietrza, jego małe oczka zrobiły się takie błyszczące i wylupiaste, że mało mu się nie spotkały pośrodku nosa, a ciastowata gęba po-czerwieniała.

- O'kay, Junior - powiedział tata Pugh, dość pospiesznie. - tamci są gotowi. Szkoda twoich sił na mnie, synku. Zostaw to dla tych ludzi.

Przez cały ten czas stałem na skraju tłumu słuchając i nie spuszczać wuj-ka Lema z oka. Ale w pewnej chwili ktoś mnie potrząsnął za ramię i odezwał się bardzo grzecznie cienkim głosem

- Przepraszam, ale czy mogę o coś zapytać?

Spojrzałem. Był to mały, chudy człeczyzna o życzliwym wyrazie, twarzy. W rękę trzymał notes.

- Nie mam nic przeciwko temu odparłem, też bardzo uprzejmie. Proszę, niech pan pyta.

- Ciekaw jestem po prostu, jak się czujesz, nic więcej - powiedział chudy człowieczek trzymając ołówek nad papierem, w każdej chwili gotów no-tować.

- Dziękuję, świetnie - odpowiedziałem. - To ładnie z pana strony, że pan pyta. Mam nadzieję, że i pan się czuje dobrze:

Potrząsnął głową, jak gdyby z lekko zamroczoney.

- W tym sęk - rzekł - że zupełnie tego nie rozumiem, ale czuję się świetnie.

- Dlaczegożby nie? Taki piękny dzień.

- Wszyscy się tu świetnie czują ciągnął dalej, jakbym się w ogóle nie odzywał. - Poza normalnymi wyjątkami, wszyscy w tym tłumie są po prostu przeciętnie dobrego zdrowia. Ale w ciągu pięciu minut, a, może nawet mniej, tak to oceniam... - spojrzał na zegarek. .

Właśnie w tym momencie ktoś walnął mnie w głowę rozpalonym do czerwoności młotem kowalskim.

Wiadomo, że Hogbenowi nie można nic zrobić waląc go w głowę. Trzeba być głupcem, żeby w ogóle próbować. Kolana leciutko się pode mną ugięły, ale trwała to zaledwie kilka sekund i już po chwili się rozglądałem, kto mnie zdzielił.

Ale nigdzie w pobliżu nie było żywego ducha. Tylko jęki i stękania do-chodzące z tłumu.

Ludzie łapali się za głowy i zataczając się, wsparci jeden o drugiego, walili ulicą do ciężarówki, gdzie mężczyzna wydawał butelki z le-kiem na ból głowy tak szybko, jak tylko nadążał inkasować banknoty dola-rowe.

Chudy człeczyzna o życzliwej twarzy przewracał oczami jak kaczka w czasie gradobicia.

- O, moja głowa - jęczał. - Co ja ci powiedziałem! O, moja głowa! - A potem, grzebiąc w kieszeni, podreptał w stronę ciężarówki.

Rodzina zawsze uważała mnie za głupka, ale trzeba byłoby nie mieć za grosz rozumu, żeby się nie zorientować, że dzieje się tu coś bardzo dziwnego. A ja naprawdę nie jestem głupol,

obojętne, co mama o mnie mówi. Obróciłem się na pięcie i rozejrzałem za Pughiem Juniorem.

No i właśnie: stał sobie spokojni, mały padalec z tłustą głową, czerwoną jak pomidor, cały nadęty i tylko łyskał swoimi złośliwymi oczkami w stronę ludzi.

- Zły urok - pomyślałem sobie, całkowicie spokojny. - Nigdy bym nie uwierzył, ale to najprawdziwszy zły urok. Tylko że jak do licha...

I wtedy przypomniałem sobie Lily Lou Mutz i to, co wujek Lem myślał do siebie. I zaczęło mi się przejaśniać...

Ludzie dostawali szału, żeby się docisnąć do leku od bólu głowy i musiałem się do wujka Lema dosłownie przedzierać. A był już chyba najwyższy czas, żeby mu pospieszyć z pomocą, biorąc pod uwagę jego miękkie serce i słabą głowę.

- Nie, szanowny panie - mówił właśnie bardzo stanowczo. - Ja tego nie zrobię, Pod żadnym pozorem.

- Wujku Lem - powiedziałem. Założę się, że podskoczył na jakiś jard w górę. ..

- Saunk! - zapiszczał. Zaczernieniał się i uśmiechnął zupełnie zbaraniały, a potem wpadł w złość, ale jednocześnie widziałem, że na mój widok odczuł ulgę. - Mówiłem ci, żebyś za mną nie chodził!

- A mama mi przykazała, żebym wujka nie spuszczał z oka - odparłem. - Obiecałem to mamie, a my, Hogbenowie, zawsze dotrzymujemy słowa. Co tu się dzieje, wujku Lem?

- Och, Saunk, wszystko się popieprzyło! - jęknął wujek. - Ja, człowiek o złotym sercu; o rwały włos bym zginął. Poznaj pana Eda Puga, Saunk. On chce mnie zabić.

- Ależ Lem - odezwał się Ed Pugh - wiesz dobrze, że tak wcale nie jest. Po prostu dochodzę swoich praw i to wszystko. Miło mi cię pozna, młody człowieku. Jak się domyślam, jeszcze jeden z rodu Hogbenów? Być przekonasz swojego wuja...

- Przepraszam, że panu przerwie panie Pugh - odezwałem się, naprawdę grzecznie. - Ale może by mi pan coś wyjaśnił. Bo ja nic z tego rozumiem.

Pugh odchrząknął i wypiął dumnie pierś. Widać było, że to jest temat na który lubi mówić. że czuje się wtedy ważny.

- Nie wiem, czy znałeś moją drogą żonę nieboszczkę, Lily Lou Mut - zaczął. - A to jest nasz mały, Junior. Bardzo udany chłopak. Wielka szkoda że nie mogliśmy mieć jeszcze z ośmiu czy dziesięciu takich jak on. - Westchnął głęboko.

- No cóż, takie jest życie. Zamierzałem ożenić się młodo i mieć liczne potomstwo, jako że jestem ostatnim przedstawicielem starego świtnego rodu. Ale nie pozwolę mu wygasnąć. - Tu posłał złośliwe spojrzenie pod adresem wujka Lema. Wujek Lem zakwilił płaczliwie.

- Ja tego nie zrobię - powiedział Nie możesz mnie do tego zmusić.

- Jeszcze zobaczymy - rzekł Ed Pugh z pogroźką w głosie. - Być może twój młody krewny okaże się rozsądniejszy. Wiedz, że odegram w tym stanie poważną rolę i że moje słowo jest święte.

- Tata - zapiszczał w tym momencie Junior. - Tata, im już odpuszcza. Czy mogę tym razem dać im podwójnego, tata? Założę się, że jakbym poszedł na całość, to bym paru załatwił na dobre, tata... Hej, tata...

Ed Pugh zrobił taki ruch, jakby zamierzał znów zdzielić małego padalca, ale najwyraźniej się rozmyślił.

- Nie przeszkadzaj starszym, synku powiedział. - Tatus jest zajęty. Pilnuj swoich spraw i siedź cicho. - Spojrzałem ponad jęczącym tłumem. - Zajmij no się jeszcze trochę tymi tam co stoją za ciężarówką. Jakoś za wolno kupują. Ale nie dawaj im podwójnego Junior. Musisz oszczędzać swoją energię. Ty jeszcze rośniesz.

I znowu odwrócił się do mnie. - Junior jest utalentowanym dzieckiem - rzekł, bardzo dumny.

- Jak zresztą widzisz. Odziedziczył to po swojej ukochanej matce nieboszczce Lily Lou.

Mówiłem ci już o niej. Ta jak powiedziałem, miałem nadzieję ożenić się młodo, ale wyszło inaczej: nie było mi do żeniaczki aż dopiero w sile wieku.

Znów wypiął pierś jak ropucha spojrział z dumą w dół. Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś był tak z siebie zadowolony.

- Nigdy nie spotkałem kobiety która by na mnie spojrzała..., to znaczy nigdy nie spotkałem odpowiedniej kobiety - poprawił się - aż do momentu, kiedy zobaczyłem Lily Lou Mutz.

- Rozumiem, co pan ma na myśli powiedziałem grzecznie. I rzeczywiście rozumiałem. Bo musiał długo szukać żeby znaleźć kogoś, kto byłby sam na tyle brzydki, żeby spojrzeć na niego dwa razy. Nawet Lily Lou, biedactwo musiała się długo zastanawiać, zanim powiedziała tak.

- I tutaj właśnie - podjął Ed Pugh dochodzimy do twojego wujka Lema. Wygląda na to, że bardzo dawno temu rzucił na Lily Lou jakiś urok.

- Ja? Nigdy! - zaprotestował piskliwie wujek Lem. - A zresztą skąd mogłem wiedzieć, że wyjdzie za mąż i przekaże to swojemu dziecku? Kto w ogóle mógł przypuszczać, że Lily Lou kiedykolwiek...

- No więc rzucił na nią urok - nie przerywał sobie Ed Pugh. - Ale ona powiedziała mi o tym dopiero na łożu śmierci, rok temu: Bóg mi świadkiem, że by dostała ode mnie porządnie, gdybym wiedział, że mnie przez całe życie oszukiwała. A to Lemuel rzucił na nią urok i z kolei ona przekazała tę zdolność w dziedzictwie naszemu malcowi.

- Ja to zrobiłem tylko dla jej dobra, żeby ją ochronić - powiedział wujek Lem, dość szybko. - Ty wiesz, Saunk, że mówię prawdę. Biedna Lily Lou była tak koszmarnie brzydka, że ludzie nie mogąc się nieraz powstrzymać, ciskali w nią grudami ziemi. Całkiem machinalnie. I trudno mieć do nich pretensję. Sam czasem ledwie mogłem nad sobą zapanować.

Biedna Lily Lou, było mi jej naprawdę żal. Nie wiesz nawet, jak długo zwalczałem w sobie dobre odruchy, Saunk. Ale w końcu zawsze przez swoje złote serce właduję się w tarapaty. Pewnego dnia zrobiło mi się tej biedaczki tak żal, że obdarzyłem ją mocą czarodziejską. Każdy by tak postąpił na moim miejscu.

- A jak to zrobiłeś? - zapytałem, rzeczywiście zaciekawiony; pomyślałem, że kiedyś mogłaby mi się ta wiadomość przydać. Bo na razie jestem za młody, muszę się jeszcze wiele nauczyć. No więc wujek Lem zaczął mi tłumaczyć, tylko że cała ta sprawa była dosyć zawiślana. Najpierw odniosłem wrażenie, że to jakiś cudzoziemiec na-zwiskiem Gene Chromosome załatwił ją za wujka, ale jak już pojąłem tę część, to on znów zaczął coś bredzić o jakichś falach alfa w mózgu.

Bzdura. Tyle wiedziałem i bez niego. Każdy chyba musi zauważyć patrząc na człowieka, który myśli, jak te falki przechodzą mu przez głowę. Czasem obserwowałem dziadka, jak na przykład ze sześćset różnych myśli naraz spacerowało mu jedna za drugą w tę i nazad po tych małych ścieżkach w mózgu. Aż mnie to raziło w oczy.

- Tak to właśnie było, Saunk - nawijał dalej wujek Lem. - I ten mały padalec odziedziczył po niej cały ten kram.

- No to dlaczego nie wezwiesz tego Gene'a Chromosome'a, żeby odczaro-wał Juniora i zrobił go takim samym jak inni -ludzie? - spytałem. - Przecież chyba nic prostszego. Spójrz, wuju. - Wpatrzyłem się w Juniora naprawdę z wielkim skupieniem, aż mi się oczy zrobiły takie dziwne, jak wtedy kiedy chce się zajrzeć w głąb jakiegoś człowieka.

No i rzeczywiście, zobaczyłem to, o czym mówił wujek Lem: małeńkie łańcuchy stworzonek, trzymających się jedno drugiego jak rzep psiego ogona, i cienkie pałeczki miotające się wewnątrz maciupieńkich komórek, z których każdy z nas jest zrobiony z wyjątkiem może Małego Sama, naszego Bobasa.

- Popatrz no, wujku - zwróciłem się do Lema. - Kiedy rzucałeś urok na Lily Lou, to po prostu oderwałeś te cienkie pałeczki i przyłatałeś je do tych tułaj malutkich łańcuchów, co się tak

szybko huśtają wte i wewte. Dlaczego ich nie przestawisz na miejsce i nie zrobisz tak, żeby Junior zaczął się za-chowywać przyzwoicie. To powinno być bardzo łatwe.

- Owszem, to byłoby łatwe westchnął nade mną wujek Lem. Saunk, jesteś okropnie roztrzepany. Widzę, że nie słuchałeś tego, co do ciebie mówiłem. Nie mogę ich przesunąć z powrotem na miejsce tak, żeby nie zabić Juniora.

- Świat by tylko na tym zyskał powiedziałem.

- Wiem. Ale musisz pamiętać, co obiecaliśmy dziadkowi. Koniec z zabi-janiem.

- Ale wujku! - wybuchnąłem. - To jest straszne. Chcesz powiedzieć, że ten mały, ohydny padalec będzie przez całe życie rzucał na ludzi uroki?

- A nawet jeszcze gorzej -. odparł biedny wujek Lem, prawie ze łzami. Przekaze tę zdolność swoim potomkom, tak jak Lily Lou przekazała jemu.

Przez chwilę rzeczywiście wydawało się, że rodzaj ludzki ma przed sobą jak najgorsze perspektywy. Ale po chwili roześmiałem się.

- Nie martw się, wujku - powiedziałem. - Nie ma powodu do zmartwienia. Spójrz na tego małego gada. Jestem pewien, że na całym bożym świecie nie znajdzie się stworzenie płci żeńskiej, które by podeszło do niego bliżej niż na milę. On już jest tak odrażający jak jego tata. A pamiętaj, że to przecież dziecko Lily Lou Mutz. Możliwe, że jak dorośnie, będzie jeszcze okropniejszy. Murowane, że się nigdy nie ożeni.

- I tu się mylisz - wpadł mi w słowa Ed Pugh, całkiem głośno. Był czerwony na twarzy i robił wrażenie wściekłego. - Niech ci się nie zdaje, że ja nie słyszę, co wygadujesz. I nie wyobrażaj sobie, że kiedykolwiek zapomnę to, co powiedziałeś o moim dziecku. Mówiłem ci już, że mam bardzo mocną pozycję w mieście. Z talentami Juniora na dodatek zajdziemy wysoko.

Już jestem w radzie miejskiej i wiem, że w przyszłym tygodniu będzie wolne miejsce w senacie stanowym, chyba że ten stary bałwan, którego mam na myśli, jest mocniejszy, niż na to wygląda. Więc cię uprzedzam, Hogben, że ty i twoja rodzina zapłacicie mi za te zniewagi.

- Nikt nie powinien się obrażać, kiedy usłyszy o sobie świętą prawdę -powiedziałem. - Junior jest odrażającym typem.

- Trzeba się po prostu do niego przyzwyczaić - wyjaśnił jego tata. -Wszystkich nas, Pughów, trudno zrozumieć. To znaczy do głębi. Ale mamy swoją dumę. Już ja dopilnuję, żeby nasz ród nigdy nie wygasł. Nigdy, słyszysz, Lemuel? .

Wujek Lem mocno zacisnął powieki i szybko potrząsnął głową.

- O, nie, mój panie. Nigdy tego nie zrobię. Nigdy, nigdy, nigdy...

- Lemuel - odezwał się Ed Pugh i zabrzmiało to naprawdę złowieszczo. -Lemuel, czy chcesz, żebym napuścił na ciebie Juniora?

- Niech pan się nie fatyguje - powiedziałem. - Widział pan, chyba, jak próbował mnie zaczarować razem z całym tłumem. Nic z tego, panie Pugh. Na Hogbenów nie ma sposobu.

- No to... - stary rozejrzał się dokoła, najwyraźniej gorączkowo kombinując. - Hmm, już ja coś wymyślę. Ja... .masz miękkie serce Lemuel, tak? Obiecałeś dziadkowi, że nikogo nie zabijesz, co? No to otwórz oczy i spójrz na drugą stronę ulicy. Widzisz tę miłą staruszkę, która idzie o lasce? Co byś powiedział, gdyby Junior tak zrobił, żeby nagle padła martwa?

Wujek Lem zacisnął tylko jeszcze mocniej oczy

- Nie będę patrzył. Nie znam tej staruszki. Wszyscy się mnie czepiają. Dość tego.

Prawdopodobnie ma bardzo silny reumatyzm.

- Dobra. A co byś powiedział na tę ładną młodą kobietę z dzieckiem na ręku? Spójrz, - Lemuel, co to za słodkie maleństwo. Jaką ma różową wstążeczkę na kapturku, widzisz? A jakie dołeczki w buzi. Junior, przygotuj się, żeby móc w każdej chwili rzucić na nich urok. Na początek niech będzie morowa zaraza. A potem...

- Wujku - powiedziałem czując się trochę nieswojo. - Nie wiem, co by na to powiedział dziadek. Może...

Wujek Lem na sekundę wytrzeszczył oczy. Spojrzał na mnie, spode łba, wściekły.

- Nic na to nie poradzę, że mam złote serce - rzekł. - Jestem przyzwoitym starszym panem, a wszyscy się mnie czepiają. Mam już tego dość. Dlatego tak sobie ze mną pozwalacie. A co mi tam, niech Ed Pugh zniszczy cały rodzaj ludzki. Wszystko mi jedno, czy dziadek się dowie o tym, co zrobiłem, czy nie. Na niczym mi już nie zależy. - I roześmiał się dziko. - Koniec. Nie chcę nic wiedzieć. Muszę się zdrzemnąć, Saunk. - Z tymi słowy cały zeszytniał i upadł na twarz, jakby kij połknął.

## Z nożem na gardle

No cóż, mimo całego zmartwvwienia musiałem się uśmiechać. Wujek Lem bywa czasem sprytny. Wiedziałem, że uciekł w sen, jak zwykle, kiedy wpad-nie w jakieś tarapaty. Tata mówi, że to katalepsja.

Wujek Lem padł na chodnik jak długi, zupełnie płasko, i nawet jakby się trochę odbił. Junior wydał ryk radości. Pewnie mu się wydawało, że ma coś wspólnego z tym upadkiem wujka. W każdym razie na widok kogoś leżącego i bezbronno odruchowo podleciał i kopnął wujka w głowę.

Ale, jak już mówiłem, my, Hogbenowie, mamy twarde głowy, więc Junior wrzasnął i zaczął podskakiwać i tańczyć trzymając się za stopę obydwoma rękami.

- Już ja cię urządzę na amen! - wrzasnął do wujka Lema. - Na amen, ty... ty stary Hogbenie! - zaczerpnął tchu, zrobił się purpurowy na twarz i...

I wtedy właśnie się to stało: jakby się błysnęło.

Ja tam się specjalnie nie interesuję magią, ale wiedziałem, co się dzieje, tylko że byłem zaskoczony. Tata usiłował mi później wytłumaczyć, jak to działa. Powiedział, że ten czar porusza utajone toksyny zawarte w organizmie. W ten sposób Junior stał się czynnikiem katalitoksyicznym - a to dzięki zmianom w strukturze kwasu dezoksyrybonukleinowego, z którego zrobione są jego geny, i ich oddziaływaniu na fale kappa jego paskudnego mózdzku, podkręcone teraz do trzydziestu mikrowoltów. Ale co tam, znacie tatę. Jest za leniwy, żeby wyrazić po angielsku. Po prostu wtedy, kiedy potrzebuje, kradnie te wszystkie głupie słowa ludziom prosto z głowy.

A sztuka polegała na tym, że cała trucizna, zapuszkowana w tym małym padalcu i przeznaczona dla tłumu ludzi, wybuchnęła nagle i poszła wujkowi prosto w twarz. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego czaru. A co najgorsze - skutecznego.

Bo we śnie wujek Lem nie miał żadnej odporności. Nawet rozpalonymi do czerwoności pogrzebaczami by go nie dobudził, ale tym razem nie było potrzeby. Leżał jak rażony piorunem.

Na naszych oczach zrobił się zielony na twarzy.

I jednocześnie jak nam wujek zzieleniał, zapadła jakaś okropna cisza. Spojrzałem zdumiony i dopiero wtedy zrozumiałem, co się dzieje. Wszystkie jęki i narzekania ucichły.

Ludzie pociągali z butelek z lekiem na ból głowy, przecierali czoła i uśmie-chali się słabo, z ulgą. Cały nabój złego uroku Juniora poszedł w wujka Lema, no i oczywiście ludzi przestały boleć głowy jak ręką odjął.

- Co tu się dzieje? - zawołał jakiś znajomy głos. - Czy ten człowiek zemdłał? Dlaczego go nie ratujecie? Proszę mnie przepuścić, jestem lekarzem.

Był to chudy mężczyzna o miłej twarzy. Cały czas przepychając się do nas pociągał z butelki z lekiem, ale nie miał już przy sobie notatnika. Na widok Eda Puga zrobił się czerwony ze złości:

- Ach, to pan, panie radny. Ciekawe, jak to się dzieje, że gdziekolwiek jest jakieś zamieszanie, tam zawsze można spotkać pana. Co pan zrobił temu biedakowi? Tym razem posunął się pan chyba za daleko.

- Nic mu nie zrobiłem - odparł Ed Pugh. - Nawet go nie dotknąłem. Niech pan uważa na słowa, doktorze Brown, bo pan pożałuje. Mam w tym mieście niemało do powiedzenia.

- Patrzcie! - wykrzyknął doktor Brown wskazując na wujka Lema, a jego głos z podniecenia zrobił się piskliwy. - Ten człowiek umiera! Wezwijcie pogotowie! Szybko!

Wujek Lem znów zmieniał kolor. Roześmiałem się troszkę, ale w środku, w głowie, oczywiście. Wiedziałem, co się dzieje, i muszę powiedzieć, że było to nawet dość zabawne. Każdy ma naturalnie w sobie całą masę bakterii, wirusów i tym podobnych stworzonek, które się w nim bez przerwy roją.

Urok, który Junior rzucił na wujka, straszliwie poruszył to stadko, które z miejsca zabrało się do roboty. A te mikrusy wcale nie są takie chore, na jakie wyglądają. Są po prostu białe, bo taka już ich uroda.

Jak tylko jakaś trucizna zaczyna nas rąbać, to zaraz te małe białaski łapią za broń i ruszają w nas w środku do boju jak głupie. Takiej awantury, wrzasków i przekleństw nigdyście nie słyszeli. Regularna bitwa pod Bull Run.

Dosłownie coś takiego działo się w wujku Lemie. Tylko że my, Hogbenowie, mamy wewnątrz w sobie coś w rodzaju takiej specjalnej milicji. I trzeba przyznać, że została ona wezwana naprawdę szybko.

Przeklinali, kopali i walili wroga tak, że wujek z zielonego zrobił się czerwony i na całym ciele zaczęły mu występować duże żółte i niebieskie plamy. Robił wrażenie bardzo chorego. Oczywiście, tak naprawdę to nic złego mu się nie działo. Bo ta milicja, Hogbenów potrafi sobie dać radę z każdą zarazką.

Ale rzeczywiście wyglądał odrażająco.

Chudy doktor przykucnął przy wujku i zbadał puls.

- Tym razem to już pan przeholował - zwrócił się do Eda Puga. Nie wiem, jak pan to zrobił, ale posunął się pan za daleko. Ten człowiek jest dotknięty morową zarazą. Już ja dopilnuję, żeby się panem zajęto, panem i tym pańskim ancymonkiem.

Ed Pugh roześmiał się tylko krótko, ale wiedziałem, że jest wściekły.

- Niech pan się o mnie zbytnio nie troszczy, doktorze Brown - powiedział jadowniczo. - Kiedy zostanę gubernatorem, a wszystko na to wskazuje - to ten szpital, z którego pan jest taki dumny, przestanie korzystać z funduszy stanowych. Koniec!

Wylegają się tylko po szpitalach i nic nie robią! Ale już ja ich zagnam do roboty. My, Pughowie, nigdy nie chorujemy. Jak zostanę gubernatorem, potrafię zrobić lepszy użytek ze stanowych pieniędzy, niż płacić ludziom za to, żeby leżeli do góry brzuchem.

A doktor na to tylko:

- No gdzie jest ta karetka pogotowia?

- Jeśli pan ma na myśli taki duży, długi samochód, który okropnie hałasuje - powiedziałem - to jest mniej więcej w odległości trzech mil od nas, ale jedźcie szybko. A zresztą wujek Lem nie potrzebuje żadnej pomocy. Dostał po prostu ataku. U nas to rodzinne, nie ma się czego obawiać.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął doktor spoglądając na wujka Lema. Chcesz powiedzieć, że on to już miewał wcześniej i przeżył? - A potem popatrzył na mnie i uśmiechnął się nagle. - Aha, rozumiem. Boicie się szpitala, co? Nie bójcie się. Nic mu złego nie zrobimy.

To mnie z lekka zdziwiło. Człowiek był bystry. Dlatego go trochę ocyga-niłem. Szpital to nie jest miejsce odpowiednie dla nas, Hogbenów. Ludzie w szpitalach są cholernie wścibscy. No więc zawołałem na wujka Lema, i to całkiem głośno.

- Wujku Lem! Obudź się, ale szybko. Dziadek obedrze cię ze skóry, jak dasz się wziąć do szpitala. Chcesz, żeby się dowiedzieli o tych twoich dwóch sercach? I jak masz poprzyczepiane kości? I o twoim drugim żołądku? Wujku Lem! Obudź się czym prędzej! Szkoda było gadania. Nawet nie mrugnął okiem.

I wtedy obleciał mnie strach nie no żarty. Wujek Lem nawarzył niezłego piwa. Cała odpowiedzialność spoczywała na moich barkach, a ja naprawdę nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić. Mimo wszystko jestem jeszcze młody. Nie sięgam pamięcią dalej, jak do wielkiego pożaru Londynu, do czasów Karola II, tego z tymi lokami do ramion. Ale jemu, muszę przyznać, było z nimi nawet do twarzy.

- Panie Pugh - powiedziałem pan musi koniecznie wpłynąć na Juniora. Nie mogę pozwolić na to, żeby wzięli wujka Lema, do szpitala. Pan dobrze wie, że nie mogę.

- Junior, strzyknij no jeszcze raz rzekł pan Pugh, uśmiechając się naprawdę nieprzyjemnie. - Chciałbym sobie porozmawiać z tym młodym Hogbenem. - Doktor spojrzał, zaintrygowany, a Ed Pugh dodał: - Podejdz no tutaj ciut-ciut, Hogben. Chciałbym z tobą zamienić kilka słów na osobności. No, dawaj, Junior!

Żółte i niebieskie plamy wujka Lema dostały zielonych obwódek. Doktora jak gdyby zatkało, a Ed Pugh wziął mnie za ramię i odciągnął na bok. Kiedy znaleźliśmy się już poza zasięgiem słuchu tamtych, rzekł poufnie, świdrując mnie twoimi małymi oczkami.

- Mam nadzieję, Hogben, że wiesz, o co mi chodzi. Lem nigdy mi nie po-wiedział, że tego zrobić nie może, tylko że nie robi, więc ja wiem doskonale, że leży to w granicach waszych możliwości.

- Ale dokładnie o co panu chodzi, panie Pugh? - zapytałem.

- Nie muszę ci mówić. Chodzi mi o to, żeby nasz wspaniały ród nie zaginął. Chcę, żeby Pughowie byli zawsze. Wiem, jak mnie samemu było trudno się ożenić, a jestem przekonany, że Juniorowi nie będzie łatwiej. Dzisiejsze kobiety nie mają gustu za grosz.

Od czasu kiedy Lily Lou rozstała się z tym światem, nie było kobiety na tyle brzydkiej, żeby wyszła za męża za Pugh'a, i boję się bardzo, że na Juniorze nasz wspaniały ród się skończy. A biorąc pod uwagę jego talenty, nie mogę znieść tej myśli. Zróbcie tak, żeby nasz ród nie wygasł nigdy, to ja każę Juniorowi zdjąć urok z Lemuela.

- Ale jeżeli zrobię tak, że wasz ród nigdy nie wymrze - powiedziałem to tym samym, w chwili kiedy znajdzie się dość Pughów, skazę na śmierć wszystkie inne rody na całym świecie.

- Nie widzę w tym nic złego - odparł Pugh uśmiechając się krzywo. - Uważam, że stanowimy silny, zdrowy trzon. Zgiął swoje goryle ramiona. Był wyższy, nawet jeszcze ode mnie. Nie ma chyba nic złego w tym, że Ziemia zostanie zaludniona przez jednostki silne i zdrowe. Uważam, że to kwestia czasu, byśmy my, Pughowie, opanowali cały cholerny świat. A ty nam w tym pomożesz, młody Hogbenie.

- O, nie! - zaprotestowałem. - Wykluczone! Nawet gdybym wiedział jak...

Przy końcu ulicy rozległ się okropny hałas i tłum się rozstąpił robiąc miejsce karetce pogotowia, która zatrzymała się przy krawężniku koło wujka Lema. Wskoczyło z niej dwóch facetów ubranych w białe kitle, z jakimś płótnem na kijach. Doktor Brown wstał z wyraźną ulgą.

- No, myślałem, że już nigdy nie przyjedziecie - powiedział. - Ten chory musi przejść kwarantannę. Bóg raczy wiedzieć, co wykażą badania. Podajcie mi moją torbę, leży tam z tyłu. Potrzebny mi jest stetoskop. Coś dziwnego dzieje się z sercem tego człowieka.

W tym momencie miałem rzeczywiście duszę na ramieniu. Wiedziałem, że to już po nas, koniec Hogbenów. Jak się raz doktorzy i uczeni o nas dowiedzą, nie zaznamy chwili spokoju i

do końca życia. A na jakiegokolwiek odosobnienie możemy liczyć tyle co kaczan kukurydzy na polu.

Ed Pugh obserwował mnie z ohydny uśmiechem na swojej ciastowatej gębie.

- Zmartwiony, co? I nic dziwnego. Masz powody. Wiem o was, Hogbenach. Jeden w drugiego czarownicy.

A jak wezmą Lema do szpitala, to trudno przewidzieć, czego się tam u niego doszukają. Pewnie dojdą do wniosku, że czarownictwo jest niezgodne z prawem. No, Hogben, masz pół minuty na podjęcie decyzji. Co ty na to?

Cóż miałem na to powiedzieć. Przecież nie mogłem mu dać obietnicy, której się domagał. Ani pozwolić na to, żeby cały świat się zaroił od jado-witych Pughów. My, Hogbenowie, żyjemy długo. Mamy bardzo poważne plany na przyszłość, kiedy to reszta ludzi zacznie nas doganiać. Ale gdyby do tego czasu resztę ludzi mieli stanowić sami Pughowie, to szkoda zachodu. Nie mogłem powiedzieć tak.

Ale z drugiej strony jeśli powiem - nie, to kładę krzyżyk na wujku Lemie. Wyglądało na to, że tak czy siak my, Hogbenowie, jesteśmy bez szans.

Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko zaczerpnąć tchu, zamknąć oczy i wydać z siebie, oczywiście w środku, rozpaczliwy krzyk.

- Dziadkuuu! - wrzasnąłem.

- Słucham cię chłopcze - odezwał się głęboki głos w moim mózgu. Zupełnie jakby dziadek cały czas był przy mnie i tylko czekał na moje wezwanie. A przecież znajdował się w odległości jakichś stu mil, pogrążony w głębokim śnie. Ale kiedy Hogben zawoła takim głosem, jak ja właśnie wtedy, ma prawo oczekiwać odpowiedzi - i to szybko. Doczekałem się. Zwykle dziadek kluczy wtedy wokół tematu przez jakie piętnaście minut, biorąc cię w krzyżowy ogień pytań i nie słuchając odpowiedzi, i mówiąc we wszystkich możliwych starych dialektach, jak na przykład sanskryt, które do niego przyłgnęły w ciągu całego życia. Ale tym razem widział, że to nie przelewki, więc powiedział tylko: „Słucham cię, chłopcze”. Otworzyłem przed nim swój umysł i szeroko jak podręcznik szkolny. Nie było czasu na pytania i odpowiedzi.

Doktor wyjmował właśnie ten swój przyrząd, żeby posłuchać, jak dwa ser-ca wujka Lema biją nie w rytmie, i wiedzieliśmy, że jak tylko usłyszysz, ozna-cza to dla nas, Hogbenów, koniec.

- Chyba że pozwolisz mi ich pozabijać, dziadku - dodałem, wiedząc, że jeden rzut oka mu wystarczy, by ocenić sytuację od początku do końca.

Wydawało mi się, że milczał potem strasznie długo. Tymczasem doktor wy-jął to swoje urządzenie i wkładał sobie do uszu, takie dwa czarne węże. Ed Pugh wpatrywał się we mnie jak jastrząb. Junior stał obok, cały napompowany jadem, i tylko wodził dokoła tymi swoimi złośliwymi oczkami, w kogo by tu nim strzyknąć. Miałem nadzieję, że wybierze sobie mnie. Opracowałem nawet taki sposób, żeby mu ten cały ładunek wrócił prosto w gębę i może by go nawet zabił.

- Mamy nóż na gardle, Sauny powiedział. Byłem nawet trochę zdziwiony, pamiętam, że dziadek jak chce, to może mówić zupełnie potoczna angielszczyzną. - Powiedz Pughowi, że się zgadzamy.

- Ale dziadku... - zacząłem.

- Rób, jak ci mówię! - Aż mnie rozboleła głowa, tak stanowczo to po-wiedział. - Szybko, Saunk! Powiedz Pughowi, że będzie miał to, czego chce.

No cóż, nie śmiałem sprzeczać się z dziadkiem. Ale tym razem mało bra-kowało, żebym się zbuntował.

To chyba logiczne, że nawet Hogben też w końcu zdziecinnieje ze starości, więc pomyślałem, że wreszcie przyszło i na dziadka.

Ale powiedziałem mu w myślach tak: - Jeśli taka wola dziadka, to tak zrobię, ale bardzo niechętnie. Skoro już mamy nóż na gardle, to przynajmniej wypijmy ten kielich goryczy jak przystało na Hogbenów i niech cała ta trucizna zostanie zabutelkowana w Juniorze i się przynajmniej nie rozprze-strzenia po świecie. - A głośno zwróciłem się do pana Pugh : - W porządku, panie Pugh - odezwałem się naprawdę potulnie. - Będzie tak, jak pan sobie życzy. Tytko zdejmijcie ten urok z wujka. I to szybko, zanim będzie za późno.

## Pughowie podbijają świat

Pan Pugh ma wielki, żółty automobil, nisko zawieszony i bez dachu. A jeździł nim piekielnie szybko. No i oczywiście z wielkim hałasem. Raz byłem przekonany, że przejechaliśmy małego chłopca, ale pan Pugh nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, a ja nie śmiałem nic powiedzieć. Jak się wyraził dzia-dek, mieliśmy nóż na gardle.

Było masę gadania, zanim ich przekonałem, że muszą najpierw pojechać ze mną do domu. Takie miałem polecenie od dziadka.

- A skąd ja mogę wiedzieć, czy nas nie zamordujecie z zimną krwią tam, na tym waszym pustkowiu? - zapytał pan Pugh.

- Mógłbym was zabić nawet i tutaj, gdybym chciał - odparłem. - I jeśli o mnie chodzi, chętnie bym to zrobił, tylko że dziadek nie pozwala. A jeśli dziadek mówi nie, to jest pan zupełnie bezpieczny. Jeszcze nigdy żaden Hogben nie złamał słowa.

No więc się w końcu zgodził, głównie dlatego, że mu powiedziałem, iż u nas nie ma mowy o żadnych czarach poza terenem domu. Załadowaliśmy wujka Lema do tyłu samochodu i ruszyliśmy w stronę wzgórz. Po awanturze z doktorem oczywiście.

Wujek Lem jest naprawdę bardzo uparty. Za żadne skarby nie chciał się obudzić, ale Junior zdjął z niego urok i to mu przynajmniej wróciło normalny, zdrowy kolor twarzy. Doktor nie mógł własnym oczom uwierzyć. Pan Pugh musiał mu nieźle zagrozić, żeby nas puścił. Jak odjeżdżaliśmy, siedział na krawężniku, mamrotał coś pod nosem i przecierał oczy, jakby był za-mroczony.

Przez całą drogę czułem, jak dziadek studiuje Pughów przez moje myśl. Wzdychał i potrząsał głową - taka, jaka tam ma - i coś kombinował, czego ni w ząb nie mogłem pojąć.

Kiedy zajechaliśmy przed dom, nie było żywego ducha. Słyszałem, jak dzia-dek mamrocze coś i przewraca się na swoim jutowym worku na strychu, ale tata był niewidzialny, a jednocześnie zbyt pijany na to, żeby mi powiedzieć gdzie jest, kiedy go o to spytałem, spał. Mama jeszcze nie wróciła z zebrania parafialnego i dziadek kazał dać jej spokój.

- Załatwimy to we dwóch, Saunk rzekł, jak tylko wysiadłem z samochodu. - Przemyślałem sprawę. Pamiętasz te sanki, co to jest rano przysposobiłeś do zakwaszania śmietany dla mamy? Wyciągnij no je, chłopcze.

W mgnieniu oka zrozumiałem, o co mu chodzi.

- O, nie, dziadku! - krzyknąłem całkiem głośno.

- Do kogo mówiłeś? - zapytał Ed Pugh gramoląc się z samochodu. Nikogo nie widzę. To wasze obejście? Co za ohydna rudera. Trzymaj się mnie, Junior. Nie ufam tym ludziom ani trochę, jeśli nie patrzą im cały czas na ręce.

- Wyjmuj Bańki - powtórzył dziadek, bardzo stanowczo. - Mam już wszystko obmyślane. Wyślemy tych dwóch goryli w przeszłość, tam, gdzie jest ich miejsce.

Ale dziadku! - wrzasnąłem, tyle te tym razem w myślach. - Omówmy tę sprawę. Chciałbym, żeby mama przy tym była. A i tata jest na trzeźwo całkiem niegłupi. Dlaczego nie poczekamy, aż się obudzi? Uważam, że i Bobasa powinniśmy wciągnąć do pomocy. Nie wydaje mi się, dziadku, żeby wysłanie ich w przeszłość było dobrym pomysłem.

- Bobas śpi - odparł dziadek. Zostaw go w spokoju. Zasnął nad Einsteinem, moje biedactwo. Najbardziej niepokoiło mnie to, że dziadek mówił zwykłą, potoczną angielszczyzną. Nigdy tego nie robi, kiedy czuje się normalnie. Pomyślałem sobie, że to chyba sędziwy wiek rzucił mu się na... jakby tu powiedzieć... na głowę.

- Dziadku - odezwałem się usiłując zachować spokój. - Czy ty nie widzisz? Przecież jeżeli wyślemy ich w przeszłość i damy im to, cośmy obiecali, to tylko pogorszy sprawę milion razy! A może masz zamiar wysadzić ich w roku pierwszym i złamać obietnicę?

- Saunk! - przywołał mnie dziadek do porządku.

- Wiem, dziadku. Jeżeli obiecaliśmy, że ród Pughów nie wygaśnie, to musimy tak zrobić, żeby nie wygasł. Ale jeżeli wyślemy ich w rok pierwszy, to znaczy, że przez cały czas, pomiędzy tym rokiem a terażniejszością, Pughowie będą się mnożyli i mnożyli. Z każdym pokoleniem będzie ich coraz więcej. Dziadku, zrozum, że zaraz potem, jak wylądują w roku pierwszym, grozi mi, że moje oczy zbiegną się razem, a twarz zrobi mi się tłusta i ciastowata jak u Juniora. Dziadku, jeżeli damy im tyle czasu na rozmnażanie, to przecież każdy człowiek na świecie będzie wkrótce Pughiem!

- Przestań pleść, ty przygłupie! wykrzyknął dziadek. - Rób, jak ci każe, durniu jeden! Od razu poczułem się trochę lepiej, ale nie bardzo. Poszedłem i wyciągnąłem sanki. Pan Pugh zaczął się oczywiście wyklócać.

- Nie jeździłem na sankach, odkąd byłem taki mały - powiedział. - Dlaczego miałbym jeździć teraz? W tym się kryje jakiś podstęp. Nic z tego.

- Panie Pugh - odezwałem się albo pan nam przestanie przeszkadzać, albo nic z tego nie będzie. Wiem, co robię. Niech pan tu podejdzie i usiądzie. Junior, tu z przodu jest miejsce dla ciebie. O, tak, dobrze.

Gdyby Ed Pugh nie widział, jak bardzo jestem zmartwiony, nigdy by tego nie zrobił. Ale nie potrafiłem ukryć, co czuję.

- Gdzie jest twój dziadek? - zapytał niepewnie. - Chyba nie zamierzasz dokonać tego zupełnie sam, co? Taki młody głupek jak ty. To mi się wcale nie podoba. I co będzie, jeśli popełnisz jakiś błąd?

- Daliśmy słowo - przypomniałem mu. - A teraz łaskawie niech się pan zamknie i pozwoli mi się skupić. Chyba że pan nie chce, żeby ród Pughów nie wygasł?

- Taka była wasza obietnica - powiedział sadowiąc się na sankach.

Musisz nam to zapewnić. Powiedz nam jak będziesz zaczynał.

- W porządku, Saunk - odezwał się dziadek z poddasza, całkiem dziarsko. - A teraz patrz.

Może się nauczysz tego i owego. Patrz dobrze. Skup wzrok i wybierz sobie jakiś gen.

Jakikolwiek.

Niezależnie od tego, że cała ta sprawa zupełnie mi się nie podobała, nie mogłem nie odczuwać zainteresowania. Bo jak już dziadek coś robi, to robi ciekawie. Geny to piekielnie śliskie, wrzecionowate stworzonka, i do tego jeszcze bardzo malusieńkie. Mają mieszkanka w takich chudych facecikach, chromosomach, które występują parami - pełno ich widać wszędzie, jak już się odpowiednio nastawi wzrok.

- Porządna dawka ultrafioletu powinna załatwić sprawę - mruknął dziadek. - Saunk, ty jesteś bliżej.

- Dobrze, dziadku - powiedziałem i zakręciłem światłem, które przesączało się przez sosny nad głowami Pughów. Ultrafiolet to jest kolor występujący po drugiej stronie widma, tam gdzie barwy dla większości ludzi nie mają już nazw.

Dziadek rzekł:

- Dziękuję ci, wnuku. Tak trzymaj. Geny zaczęły wirować dokładnie w tym samym rytmie co fale świetlne. Junior powiedział:

- Tata, coś mnie łąskocze.

- Zamknij się - odparł Ed Pugh. Dziadek coś mamrotał pod nosem. Jestem przekonany, że kradł słowa temu profesorowi, co go trzymamy w butelce, ale z dziadkiem nigdy nie wiadomo. Może to on je w ogóle na samym początku wymyślił?

- Euchromatyna - mruczał cały czas. - To powinno sprawę załatwić. Ultrafiolet powoduje mutację dziedziczną, a euchromatyna zawiera geny, które przekazują dziedziczność! Ale to ta druga substancja, heterochromatyna, wywołuje katastrofalne zmiany ewolucyjne.

Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Zawsze się przyda nowy gatunek. Hmmm. Sześciokrotna porcja aktywności heterochromatynowej powinna wystarczyć. - Na chwilę zamilkł. A następnie podjął: - Ich am eldre and ek magti! W porządku, Saunk, zabieraj ultrafiolet.

Cofnąłem go z powrotem na miejsce.

- Rok pierwszy, dziadku? - spytałem, pełen wątpliwości.

- To wystarczy - odparł. - Znasz-li drogę?

- O tak - zapewniłem go, schyliłem się i popchnąłem sanki.

Ostatnią rzeczą, jaką słyszałem, był wrzask pana Puga.

- Co ty wyprawiasz!? - krzyknął. O co tu chodzi? No, Hogben, gadaj! Gdzie my jedziemy?

Ostrzegam cię, Saunk, że jeśli szykujesz jakiś głupi kawał, to cię poszczuję Juniorem. Rzucę na ciebie taki urok, że nawet tyyy...

Jego krzyk robił się coraz cieńszy i cichszy, i taki daleki, że w końcu przy-pominał brzęczenie komara. A potem w naszym obejściu zapanowała wielka cisza.

Stałem, cały napięty, gotów bronić się przed zamienieniem się w Puga z całych sił. Te małe geny to straszne szelmy.

Wiedziałem, że dziadek popełnił fatalny błąd.

W momencie, kiedy Pughowie rąbnęli w rok pierwszy, odbili się i odsko-czyli kawałek w czasie, wiedziałem, co się będzie działo.

Nie pamiętam dokładnie, ile lat temu był rok pierwszy, ale jedno jest pewne, że mieli dość czasu, żeby zaludnić całą planetę. Przytknąłem dwa palce do nosa, żeby oczy mi się nie zbiegły, kiedy poczułem, że ruszyły ku sobie, jak to u nas Pughów...

- Jeszcze nie jesteś Pughiem, synu - powiedział dziadek z chichotem. - Widzisz ich?

- Nie. A co się dzieje?

- Sanki zaczynają zwalniać - rzekł dziadek. - O, zatrzymały się. No, mamy rok pierwszy.

Popatrz, jak ci wszyscy ludzie jaskiniowi się pchają, żeby po-witać swoich nowych towarzyszy. No, no, no; ale mają bary. Szersze nawet niż tata Pugh.

A spójrz na te kobiety. Do kaduka, mały Junior jest przy nich kompletne przystojny. Jak przyjdzie czas, nie będzie miał kłopotu ze znalezieniem żony.

- Ale, dziadku, to jest okropne... zaprotestowałem.

- Nie sprzeczasz się ze starszymi, Saunk - zachichotał dziadek. - Tylko patrz. Junior już działa.

O, widzisz, jakiś dzieciak upadł na swoją paskudną buźkę. Zobacz, jak Junior obrywa kopa w tyłek od jego matki. A ojciec malca zaraz dorwie tatę Puga. Popatrz, popatrz, jak się leją!

Tylko spójrz! Ja myślę, Saunk, żeśmy się dobrze zajęli rodziną Pughów.

- Ale co z naszą rodziną? - zapytałem, niemal z płaczem.

- Już ty się nie martw - odparł dziadek. - Czas zrobi swoje. Poczekaj chwileczkę. Muszę się przyjrzeć. Hmmm. Jedno pokolenie to wcale nie tak długo, jak się umie patrzeć. O, już mamy dziesięciu małych Pughów. Ajajaj, co za potworki I Skóra zdjęta z taty i dziadka.

Szkoda, że Lity Lou Mutz nie może zobaczyć swoich wnuków, naprawdę żałuję. Patrzaj no tylko, czy to nie sprytne? Każdy z tych malców dorasta w oka mgnieniu i każdy ma zaraz dziesięcioro małych. Powiedziałem, że mu to załatwię, i załatwiłem:

Jęknąłem tylko.

- W porządku - rzekł dziadek. Przeskoczmy sobie kilka wieków do „przodu. Oho, są w dalszym ciągu i mnożą się jak szaleni. I rodzinne po-dobieństwo dalej bardzo silne. Hmm... Jeszcze tysiąc lat i - proszę! Przecież to starożytna Grecja! Nic się nie zmieniło. Co ty wiesz, Saunk!. - zaczął chichotać, aż zrobił się czerwony na twarzy. - Pamiętasz może, jak ci kiedyś mówiłem, że Lily Lou Mutz przypominała mi taką moją starą przyjaciółkę Gorgonę? Nic dziwnego. To całkiem naturalne. Powinieneś zobaczyć pra-pra--prawnuki Lily Lou! A właściwie to nie, lepiej, że ich nie widzisz. No, no, no, to jest naprawdę interesujące! Przez jakieś trzy minuty dziadek siedział cicho, a potem usłyszałem, jak się śmieje.

- Jest! Pierwszy wybuch heterochromatynowy. Teraz zaczynają się zmiany. Jakie zmiany, dziadku? - zapytałem. Czuję się strasznie.

- Zmiany - które dowodzą, że twój dziadek nie jest taki głupi, za jakiego go miałeś. Wiem, co robię. Niech się tylko złączą, to już później pójdzie szybko. O, druga zmiana. Popatrz tylko na mutacje tych małych genów!

- To znaczy, dziadku, że ja się mimo wszystko nie zamienię w Pughę? Ale, dziadku, ja myślałem, że obiecał mi Pughom, że ich ród nigdy nie wygaśnie?

- I dotrzymujemy obietnicy - odparł dziadek z godnością. - Geny będą przekazywały cechy Pughów aż do pierwszych tręb sądów ostatecznego, tak jak powiedziałem. A wraz z nimi i moc czarodziejska. - Roześmiał się. - No, trzymaj się, Saunk - ostrzegł mnie. Kiedy tata Pugh odjeżdżał do roku pierwszego, rzucił groźbę, o ile dobrze pamiętam, prawda? I nie żartował. Za-raz cię dosięgnie, uważaj.

- O Boże! - jęknąłem. - Do czasu, kiedy się tu znajda, będzie ich już z milion. Co robić, dziadku?!

- No cóż, szykuj się - odparł dziadek bardzo niesympatycznie. - Milion, powiadasz? Skąd! Znacznie więcej.

- Ilu? - spytałem.

Zaczął mówić. Możecie mi wierzyć, albo nie, ale mówi mi do tej pory. Tak długo to trwa. Bo tylu ich jest.

Bo to było mniej więcej tak jak z rodziną Jukesów, która mieszkała na południe od nas. Ci źli byli zawsze ciut-ciut gorsi od swoich dzieci i ten sam cholerny przypadek przytrafił się Gene'owi Chromosome'owi i jego, jakby tu powiedzieć, całemu szczepowi. Pughowie zostali Pughami i zachowali swoją czarodziejską moc. No i mimo wszystko. trzeba przyznać, że opanowali świat.

Ale mogło być gorzej: Mogli na przykład zachować swój wzrost. A zamiast tego zrobili się mniejsi - dużo mniejsi. Kiedy ich znałem, byli więksi od przeciętnego człowieka - a przynajmniej tata Pugh.

Ale jak już się przefiltrowali przez tyle pokoleń, od roku pierwszego, to się skurczyli do tego stopnia, że wielkością przypominali te małe blade stworzonka, co to siedzą we krwi. No i wzięli niezłe cięgi.

Geny Pughów tak oberwały na skutek wybuchów aktywności heterochromatycznej, o których mówił mi dziadek, że zupełnie straciły fason. Można je było śmiało nazwać teraz wirusami, no a wirus to prawie to samo co gen, tyle że trochę zwawszy. Ale mój Boże, to tak samo, jakby ktoś powiedział, że chłopcy Jukesów są dokładnie tacy sami jak George Washington!

W pewnym momencie - poczułem. Zły urok rąbnął mnie, i to porządnie. Kichnąłem jak z armaty. A potem usłyszałem, jak i wujek Lem, który w dalszym ciągu leżał w tym żółtym samochodzie, kicha przez sen. Dziadek dalej trwał o, tym, ilu to Pughów się na mnie właśnie w tej chwili szykuje, więc nie było sensu zadawać żadnych pytań. Nastawiłem oczy inaczej i spojrzałem w sam środek tego kichnięcia, żeby zobaczyć, co mnie tak poślaskotało...

Rany! W życiu nie widzieliście tylu Pughów Juniorów naraz! I to był oczy-wiście ten urok. Załatwiali tak zresztą wszystkich dokoła - jak popadło. I bę-dą to robili zawsze, no bo ich ród, zgodnie a obietnica dziadka, ma nigdy nie wygasnąć.

Podobno niektórych wirusów nie do się zobaczyć nawet i przez mikroskop. Uczonych czeka jeszcze niezła niespodzianka. Kiedyś, kiedy się naucza na-prawdę dobrze nastawiać wzrok i przyglądać im rzeczywiście z bliska; to zo-baczą, jak te małe ohydki o ciastowatych gębach, z oczkami prawie jedno na drugim, uwijają się jak w ukropie, na wszystkich dokoła rzucając urok.

Trwało to dość długo - bo od roku pierwszego - ale Gene Chromosone jakoś sobie wreszcie z pomocą dziadka poradził. Junior Pugh, jakby tu powiedzieć... to już nie jest ta dawna gangrena. -Zaledwie migrena, choć muszę przyznać, że i to też nic przyjemnego,

przekład : Zofia Uhrynowska - Hanasz